

ADLER

TAJEMNICA ZAMKU BAZINA



Marta
Merriday

TOM 1 Z CYKLU BESTIARIUSZ FORBESA

Marta Merriday

Adler

Tajemnica zamku Bazina



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Spis treści:

PROLOG
POGRZEB HUGONA
POWRÓT DO SZKOCJI
RAPORT Z CHIN
KRYPTYDY
KLUB ZOOLOGÓW
NOC NA CHARLOTTE SQUARE
OSOBLIWA HISTORIA GEORGE'A WYATTA
LUNCH Z PROFESOREM
PSY
CREDO
LORD ADLER
SEKRET TRUJĄCYCH DRZEW
FESTIWAL DYNI
SPRAWY LOKALNE
POLOWANIE
MADONNA
ZĘBY ZŁA
POSŁANIEC ZAMĘTU
YE OLDE AXE
DZIKI OGRÓD
CHUSTKA
NOCNA HIENA
ŚMIERĆ DANIELA
KREW W RAJU
NARADA
ZWIADOWCA
NA ZAMKU
EPILOG

*Opowieść tę dedykuję wszystkim łowcom,
którzy polegli w starciu z bestiami nad Amurem,
zwanym Rzeką Czarnego Smoka,
na zmarzniętej ziemi Jakutów
i w borach nadmorskich krain za wschodnimi
rubieżami Syberii.*

Marta Merriday
Chichester, 2017

PROLOG

*Kiedy inni studenci zoologii łapali chrząszcze
i opisywali je namiętnie w swoich dziennikach,
ja włóczyłem się po azjatyckiej tajdze,
tropiąc bestie,
o których milczały uniwersyteckie skrypty.*

A.E. Forbes

BAOBAR, jak sama nazwa wskazuje, mógł być bestią prawdziwą lub zmyśloną.

Za istnieniem baobara przemawiał fakt, że ludy Kraju Nadmorskiego zaskakująco dokładnie go charakteryzowały. Otóż baobar miał być potworem monstrualnym – dorosły mężczyzna musiał zadzierać głowę, by spojrzeć bestii w jej małe, zalane krwią oczy. Ta informacja robi co prawda trochę mniejsze wrażenie, gdy weźmie się pod uwagę przeciętną wysokość mieszkańców Dalekiego Wschodu. Pięć stóp, nie więcej. Tak zwanemu dorosłemu mężczyźnie w odruchu hojności można by dorzucić jeszcze ze trzy cale.

Ale wysokość w kłębie to dopiero początek szczegółowej charakterystyki. O baobarze wiadomo było również, że posiadał długą, mocną czaszkę, zwieńczoną sterczącymi kłami, których kształt kojarzono powszechnie z sierpami (skojarzenie zupełnie naturalne w krainie zwanej niegdyś Związkiem Radzieckim). Zwierzę uzbrojone było w kopyta,

których nie należało bagatelizować: jedno kopyto potrafiło rozłupać ludzką czaszkę, aż wypływał z niej mózg.

Z ciekawostek natury anatomicznej można przytoczyć fakt, że gdyby rozpruć baobarowi brzuch, objawiłoby się krótkie jelito – przy odrobinie szczęścia, wypchane białymi robakami. Krótkie jelito świadczy rzecz jasna o tym, że potwór był mięsożerny, co też i potwierdzają lokalne statystyki ofiar tejże bestii.

Opisy innych cech baobara nie były już tak konsekwentne, a często wręcz kłóciły się ze sobą. Baobar zmieniał się w zależności od tego, w której części gór Sichote-Aliń rzekomo go widziano. Niektórzy głosili odważnie, iż potwór wtargnął do Rosji wprost z Chin, które wszak były o rzut kamieniem. Znaleźli się świadkowie, którzy widzieli, jak baobar wyłonił się niczym potwór morski z wód przygranicznego jeziora Chanka. Krążyły też teorie, według których bestia była zwierzęciem stadnym, przemieszczającym się w watahach. Watahy baobarów atakowały zwierzęta hodowlane lub rozszarpywały inne niewinne stworzenia na strzępy. Podobno grasowały też na przedmieściach miast, bezczelnie strasząc po nocach mieszkańców Bikinu czy Ussuryjska.

Bestie krwiożercze i mocarne z jakiegoś tajemniczego powodu zawsze fascynowały wątpliwych z natury ludzi. Większość z nas jednak woli rozprawiać o potworach aniżeli aktywnie ich poszukiwać. Prastare Królestwo Zwierząt, bezlitosne dla słabych i roślinożernych, potrafi bronić się przed intruzami. Od tego ma zabójcze kły, pazury i jad.

W odpowiedzi na kły *et cetera* myśliwi uknuli amunicję. Komu straszny baobar, jeśli można go powalić jednym, celnym strzałem w komorę? Przed pociskiem nie ma ucieczki.

Człowiek uzbrojony w broń palną może bez lęku szturmować wrota Królestwa Zwierząt.

Nie o takich myśliwych będzie tu jednak mowa. Bohaterowie niniejszej opowieści wyznawali bowiem specyficzną filozofię łowów. Od dziecka parali się kłusownictwem, traktując to zajęcie najpierw jako zabawę, potem jako rodzaj sportu, a wreszcie – styl życia. Burzliwie plądrowali świat przyrody i bardzo szybko, przedwcześnie nawet, doszli do momentu, kiedy ubicie zwierza kulą nie dawało im już większej satysfakcji. Na widok rozwalonego łba bestii bardziej cieszyłby się konstruktor sztucera, z którego oddano strzał.

Oni, łowcy, chcieli czegoś więcej.

– No i gdzie ten chiński potwór? *Gdzie że on, bliad’?!* – zawołał zniecierpliwiony Rosjanin o imieniu Wadim [\[1\]](#). – Niechże już do mnie wylezie: zaduszę gołymi rękami!

– Nie taka była umowa – uciał natychmiast Emerson, tak szorstko, na ile tylko mu pozwalał jego wysublimowany akcent rodem z wyższych sfer Edynburga.

– *Ty, wot, ty... Ja tiebie dam „chin’skij”...!* – zaperzył się Chińczyk Wei.

Wadim zignorował ich obydwu i kontynuował:

– Człowiek tuła się po tajdze za tą dziką świnią, dzień i noc tylko tropi, nic a nic nie śpi, je *gowniszczce*...

– *Gowniszczce?* – podłapał oburzony Wei. – Tylko wtedy, kiedy ty masz dyżur przy garach!

– A właśnie, przy okazji: co dzisiaj na obiad? – zainteresował się Emerson.

Rosjanin prychnął i bez przekonania zabełtał łyżką

w blaszanym kociołku nad ogniem. Poruszona strawa wydzieliła wątpliwy aromat.

Wei skrzywił się i zajrzał kucharzowi przez ramię.

– Co to jest?

– Zupa z nogi.

– Czyjej? – spytał podejrzliwie Chińczyk.

Rosjanin tylko zarechotał.

Wei odsunął się od paleniska i ostentacyjnie skrzyżował ręce na piersi.

– Cokolwiek to jest, ja tego nie będę jadł – oświadczył.

– Kto by pomyślał, że wy, Azjaci, jesteście tacy wybredni? – zakpił Wadim. – Czy to nie u was żre się szczury, insekty i jaszczurki?

Wei nie odpowiedział. Usiadł pod drzewem i zapalił zioło w fajce wydrążonej w poźółkłej kości.

– Emerson! – zaapelował zniecierpliwiony Rosjanin. – Ile jeszcze będziemy siedzieć pod chińską granicą? Jaki jest plan?... Emerson wyjął z kieszeni spodni wymęczoną paczkę papierosów, mechanicznie zapalił i oddał się studiowaniu mapy.

– Znowu wciągasz tą truciznę... – odezwał się sennie Wei.

Chińczyk miał zamknięte oczy i wyglądał, jakby drzemał lub medytował. Jego czujne nozdrza momentalnie jednak wyczuły wrogi aromat, próbujący wgryźć się pomiędzy odór zupy z nogi a nęcący zapach zioła.

– Jaką tam truciznę – mruknął z lekceważeniem Emerson. – Zwyczajny papieros. Świeża paczka z bazaru w Chabarowsku.

– Z bazaru w Chabarowsku... – powtórzył złowieszczo Wei i pokiwał grobowo głową, jakby chciał powiedzieć: „No to

koniec z tobą, bracie.”

Emerson nerwowo zaszeleścił mapą.

– Zmierzcha – rzucił ostro do towarzyszy, jakby to była ich wina. – Mówiłem wam, żebyście siadali bliżej ognia! Żadna iskra nie może nas zdradzić. Nie po to drążymy palenisko w ziemi...

– Ty nie drążyłeś – bezczelnie przerwał mu Rosjanin. – Dzisiaj to ja odpowiadam za biwak.

– Dzisiaj! – prychnął Emerson. – *Gieroj, bliad’, naszołsia...*

– Dzisiaj!... – powtórzył Wei, głosem nieswoim, nawiedzonym.

– Bestia zaatakuje dzisiaj...

Spojrzeli na niego, zdumieni tym niespodziewanym proroctwem.

Chińczyk siedział nieporuszony, z opuszczonymi powiekami. W wieczornej szarówce kontury jego sylwetki zaczęły mięknąć i wtapiać się w ciemny pień świerku.

– Znów się odurzyłeś ziołami, szamanie – sprowadził go na ziemię Emerson.

– Mówiłem, nie brać żółtego – konspiracyjnie zaświszczał Rosjanin. – Toż to inna rasa: prawie jak kosmita!...

– Zamknij się – odwarknął Emerson. – Z czego wnosisz, że to będzie dzisiaj? – zapytał Chińczyka.

Wei otworzył oczy i zmierzył towarzysza całkiem trzeźwym spojrzeniem.

– Ile lampartów dzisiaj spotkałeś? – zapytał rzeczowo.

– Lampartów?... – zdziwił się tamten. – Nie widziałem nawet jednego tropu.

– Ile widziałeś czarnych niedźwiedzi? – naciskał Chińczyk.

- Tyle samo, co ty: zero! Do czego zmierzasz?...

- Ile tygrysów?

- *Blin, o czom ty?* – nie wytrzymał podirytowany Wadim.

- Zamknij się, nie ciebie przesłuchują – odparł cierpko Emerson. – Wei, gadaj do rzeczy!

- Niech będzie, do rzeczy. Od tygodni wędrujemy przez Kraj Nadmorski. Nie jest lekko: co chwilę, jak nie tygrys, to lampart. Jak nie lampart, to niedźwiedź. Albo wataha wilków. Aż tu nagle wszystko znika, ani śladu niedźwiedzia, lamparta czy tygrysa. Więc ja się pytam, *riebiata*, do kogo należy to terytorium? Nie zastanawia was, kto rządzi w tym lesie? Nie dziwi was, że nagle pierzchły wszystkie drapieżniki...?

Zapadło milczenie.

- *On praw* – przyznał wreszcie z niejaką pokorą Rosjanin.

Wei wstał i podszedł do ogniska. W pewnej zadumie zasiedli wokół uwieszonego na gałęzi kociołka i wpatrywali się w długie języki pomarańczowych płomieni, które raz po raz wyłaniały się z dołka w ziemi i łaskotały spód garnka.

Przypominali trzy leśne elfy – z jakiegoś podłego, stojącego nisko w hierarchii szczepu. Mieli długie, tłustawe włosy, zmierzwione przez wichry wiejące znad Morza Japońskiego. Ich młode twarze były wychudłe i zmęczone od wielotygodniowej tułaczki, ręce i nogi – pokryte sińcami, zadrapaniami i opuchlizną po ukąszeniach robactwa i komarów. Byli porządnie brudni, bo choć wciąż obracali się w okolicach licznych dopływów rzeki Ussuri, to do wody wskakiwali tylko wtedy, gdy mieli na to ochotę, nie zaś wówczas, gdy wymagał tego krytyczny stan higieny osobistej.

Emerson zrzucił kaptur kamuflażowej bluzy i objawił swoje

mroczne oblicze o ciemnych oczodołach i dramatycznie wystających kościach policzkowych.

– To prawda, że ani wczoraj, ani dziś nie widzieliśmy śladów żadnych znanych nam drapieżników – powiedział z namysłem. – Co gorsza, nie widzieliśmy też żadnych innych śladów. Nie napotkaliśmy nic, co wskazywałoby na to, że w tych okolicach żeruje bestia.

– Więcej optymizmu – zaapelował Wadim. – Nie słyszałeś przepowiedni Chińczyka? – Rosjanin zarechotał i wyłowił coś łyżką z bulgoczącej strawy. – Jezusie, a co to...?

– Wygląda jak ptasi płód – oświadczył beznamiętnie Wei.

– Z pewnością ma w sobie coś z noworodka – przyznał Wadim, poddając oględzinom pływającą w łyżce zawartość. – Może to łożysko...?

Emerson postanowił zignorować powyższą dygresję.

– Po kolacji – powiedział z naciskiem – proponuję zejść nad rzekę, może na glinie odcisnęły się jakieś świeże tropy.

Wadim przechylił łyżkę i tajemniczy składnik z dźwięcznym pluskiem wpadł z powrotem do garnka. Rosjanin zamieszał energicznie całą miksturę, po czym oznajmił uroczyście:

– No, panowie, zupa gotowa. Można jeść.

Wieczera nie była przyjemnym doznaniem, mimo że kucharz upierał się, iż strawa może nie jest smaczna, lecz za to wybitnie pożywna: wystarczą dwie łyżki i człowiek może przenosić góry.

Po kolacji zeszli nad rzekę, która spływała wartko z górskiego zbocza do rozległej, porośniętej ciemnym borem doliny. Emerson szedł pierwszy, ciachając wybujałe zarośla ciężkim nożem. Przy każdej próbie okiełznania gęstwiny dostawał tęgie razy od ciernistych gałęzi i ostrych jak arkusz

blachy liści. Z każdym ruchem wzniecał srebrzyste chmury uskrzydłonych insektów, czyhających w mrocznym podszybie na kolejną ofiarę, z której mogłyby zasysać ciepłą krew.

Wreszcie wyłonił się z drapieżnego listowia i przystanął na skraju długiego jęzora mułu naniesionego przez rzekę. Obejrzał okolicę w wąłym, pulsującym świetle czołówki, po czym polecił towarzyszom wyłączyć latarki.

– Dzisiejszej nocy zaczaimy się tutaj, na brzegu – zarządził.
– Jak tylko pojawi się bestia, wyciągamy swoje zabawki – i do ataku! – Jego oczy rozbłysły fanatycznie w gęstniejącym mroku.

– Jeśli bestia w ogóle się pojawi – dodał sceptycznie Rosjanin i spojrzał na Chińczyka.

Wei nie dał się sprowokować. W milczeniu obracał w dłoni lekki sztylet, przykładając sztych do opuszki palca.

– Pochować noże – warknął Emerson. – Teraz już nie będą nam potrzebne...

Czekali zatem, błogosławiąc brak większego wiatru, względnie czyste niebo i sprzyjającą fazę księżyca. Noc tymczasem nadciągała szybko. Na granatowym niebie zamrugały małe oczka pierwszych gwiazd i wyostrzył się kontur księżyca.

Wadim niecierpliwie rozkwaszał komary i wypluwał inne, wirujące wokół robactwo. Spokój Chińczyka zmaćła monstrualna ważka – wówczas Wei rozpołowił jej nabrzmiąły tułów jednym cięciem sztyletu, tak błyskawicznym jak mgnienie lub trzepot skrzydeł kolibra.

Tej nocy czekali jednak na próżno. Choć czarny bór ożył i do ich uszu poczęły docierać charakterystyczne, niepokojące szelesty, odległe wycia i pohukiwania, nad rzeką nie pojawiło

się nic godnego uwagi. Jedyłą atrakcją były wątpliwe popisy młodej sowy, która skakała po kamieniach nieopodal przyczajonych chłopaków i uczyła się polować na ryby. Wychodziło jej to całkiem niezdarnie.

– Uch, *bliad*’, więcej bym gołymi rękami nałapał! – pokręcił głową Rosjanin, obserwując poczynania sowy.

O poranku zerwał się wiatr i nad postrzępionym konturem lasu zakotłowały się tłuste, bure obłoki. Zmarznięci i niewyspani, łowcy baobara powrócili w podłych nastrojach do bazy. Po skąpym śniadaniu, które bynajmniej nie poprawiło im samopoczucia, postanowili reanimować niskie morale, oddając się relaksacyjnym czynnościom: Wei palił fajkę, Emerson popijał parzoną herbatę w kruchej filiżance, towarzyszącej mu zawsze w podróży, Wadim zaś pogryzał paski wyschniętego mięsa niewiadomego pochodzenia. Siedzieli na miękkiej acz cuchnącej skórze z tygrysa, którego Rosjanin ubił nad rzeką raptem przed tygodniem, a następnie wygarbował własnoręcznie z dość satysfakcjonującym efektem: skóra nie pogniła i nie trzymało się jej robactwo. W pierwotnym zamiśle, miała trafić na bazar w jednej z podgórszych osad, aby podratować skromne fundusze myśliwego. Wadimowi nie było jednak śpieszno do cywilizacji.

Rozparł się wygodnie na wspaniałych pręgach swojego trofeum i rzucił zaczepnie do towarzyszy:

– Teraz to ja jestem królem tajgi. Dziki kocur przegrał z włócznią Wadima!

Mimo ogromnych chęci, nie potrafili umniejszyć wyczynu Rosjanina. Wadim mierzył zaledwie pięć stóp i pięć cali, lecz nadrabiał krzepą, fantazją i wprawą. Podszedł tygrysa w pojedynek – i rozpruł go włócznią długą na siedem stóp.

Nie do opisania jest triumf łowcy, uzbrojonego jedynie w prymitywne narzędzie. Żaden celny strzał nie daje takiej satysfakcji jak pokonanie dzikiego drapieżnika w walce wręcz. Naciśnięcie spustu to czynność niemal wyłącznie mechaniczna, pozbawiona pierwotnych emocji, poczucia siły i dominacji, które towarzyszy łowcy, kiedy wyjmuje umazany ciepłą krwią grot z trzewi rzężącego zwierza. Dla takich właśnie doznań Wadim, Emerson i Wei włączyli się po Zabajkalu i rosyjskim Dalekim Wschodzie.

Koło południa, kiedy Rosjanin i Chińczyk posnęli ze znużenia, chmury wtargnęły do doliny i uрониły obfity deszcz. Wadim powitał ten fakt wyszukanymi przekleństwami, podczas gdy Emerson przytomnie dorzucał drewna do ognia, by wzniecić potężniejszy płomień. Maskowanie paleniska zdało się na nic – chmury oblepiły cały las i zapowiadała się długotrwała ulewa. Takie deszcze najlepiej przetrwać pijąc gorącą, chińską herbatę przy wielkim ognisku.

Wei schował się do namiotu, gdzie przez parę kolejnych godzin w milczeniu strugał drzewce włóczy z nazbieranego jesionu. Na Rosjanina nawet nie spojrzął, choć ten – przekląwszy już deszcz i jego sprawczynię, Matkę Naturę, od wszystkich najgorszych bladzi – kręcił się wokół z rozbudzonym wigorem, to porywając gotowe drzewce by je przypalić nad ogniem, to zaś próbując uzbroić je w groty z główki noży.

Gdy do namiotu wszedł wreszcie i Emerson, Wei powitał go cichym spostrzeżeniem:

– Czuję, że bestia jest w pobliżu...

– A ten znowu swoje! – nie wytrzymał Rosjanin. – Daj sobie spokój, dobrze ci radzę. Naczelnym prorokiem wyprawy i tak

już nie zostaniesz. Nie wiem, może za mało ziola sypiesz do tej swojej fajeczki? Mnie się jednak bardziej wydaje, że po prostu żaden z ciebie materiał na wieszczka. Takemu jak ty nawet cała plantacja maku nie pomoże...

Ciemne oczy Chińczyka zwięzły się w dwie dramatycznie cienkie szparki.

Na linii Wei – Wadim wytworzyło się groźne napięcie, niewidzialna, rozżarzona linia, którą Emerson bez pardonowo przerwał, sadowiąc się pomiędzy towarzyszami. Wyłuskał z plecaka jakiś podniszczony brulion i począł w nim coś notować. Robił to powoli, z namysłem i pauzami, jakby dopiero niedawno posiadał umiejętność pisania. Nie umknęło to uwagi bystrego Rosjanina.

– Pisanie – sztuka nie tak łatwa, jak ją przedstawiają – pokiwał głową, niby to wyrozumiale, lecz z wyraźną nutą satysfakcji – sam opanował rosyjską cyrylicę przed wieloma laty, bodaj jeszcze w *naczelnej szkole*.

– Być może – odparł beznamiętnie Emerson, nie podniósłszy głowy znad brulionu. – Dla niektórych.

Wadim omal nie wybuchnął szyderczym śmiechem. Patrzcie go: „dla niektórych”! Niezły hipokryta z tego Emersona. Ledwo stawia słowa, a udaje, że to niby nie leczy się z analfabetyzmu i to w tak podeszłym, jakby nie patrzeć, wieku.

– A podstawówkę skończyłeś? – zaatakował Brytyjczyka.

– Na długo przed studiami.

– Że co?... Jakimi studiami?! Ty się najpierw naucz pisać, Emerson. A potem rachować, jak ci starczy zapału. Mnie nie starczyło. „Studiami”!... A to dobre! Profesor się znalazł! – Wadim z rozbawieniem poklepał Emersona po łopatce. – I cóż

tam tak literujesz, profesorze? – Zerknął w dół na karty brulionu.

– To angielski?

– Nie, łacina.

– Łacina? – powtórzył głupkowato Wadim. Zaiste, nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

– Łacina, łacina – warknął Emerson ze zniecierpliwieniem. – Ty podstawówkę skończyłeś? Tak? To pewnie ci wspominali o tym języku.

– Noo, wiadomo – odparł Wadim niepewnie, próbując wyłuskać z czeluści mózgowicy cokolwiek, co by potwierdzało jego edukację w tym zakresie. Wreszcie znalazł coś odpowiedniego:

– Ale to przecież martwy język, chłopie! – rzucił lekceważąco.

– Po co to komu?

– „Martwy język”? – Emerson skrzywił się, jakby cytował idiotę. – Według mnie łacina to uniwersalny język do opisywania świata przyrody. Ale, ale – rzekł z roztargnieniem – deszcz chyba ustaje. Idź sobie może porzucać toporkiem czy coś.

Deszcz bynajmniej nie ustawał. Gęste chmury szczelnie opatuliły dolinę, nie dając najmniejszych szans na szybkie roz pogodzenie.

Wieczorem łowcy postanowili ponowić zasiadkę nad rzeką. Zeszli w dół doliny ścieżką utorowaną poprzednim razem przez Emersona. Brnęli przez błoto z pochylonymi głowami. Spod ich kapturów wystawały mokre nosy i zbite w wilgotne strąki włosy. Tej pochmurnej i deszczowej nocy czatowanie na zwierzynę było bez wątpienia poświęceniem. Wiedzieli jednak

jedno: deszcz, nie deszcz – bestia musi żreć. Kto wie, może zejdzie nad wodę?

Czekanie, dla niektórych, było udręką.

– Nie rozumiem – świszczał nienawistnie Wadim – po co nam było schodzić nad sam brzeg, skoro w deszczu zwierzyna chętniej schroni się w wysokim lesie?

Emerson pacnął go po głowie, co miało oznaczać: „Przymknij się!”

Wei milczał. Może spał. W ciemnościach trudno było stwierdzić.

Patrzyli – i nie widzieli nic. Nasłuchiwali – i słyszeli jedynie szum deszczu i uderzenia kropli o bujne listowie.

Rosjanin tęsknie wypatrywał pośród trzcin małej sowy, lecz ta tej nocy chyba darowała sobie występy. Pewno schroniła się w pobliskim pniu rozłupanego przez piorun drzewa.

Ulewa nasilała się. Po paru godzinach bezowocnej zasiadki, Emerson zarządził ewakuację do namiotu, aby uchronić ekipę przed kompletnym przemoczeniem.

Po powrocie do bazy w lesie, Rosjanin demonstracyjnie poszedł spać, obróciwszy na resztę towarzystwa swój niezbyt atrakcyjny tył. Był w wyjątkowo złym humorze, gdyż w drodze powrotnej potknął się o zwalony pień i runął w dół podmokłego parowu. Koledzy nie pośpieszyli z pomocą.

Emerson i Wei rozpalili wielkie ognisko i porozwieszali wokół mokre ubrania. Resztę nocy spędzili pijąc mocną herbatę. O świcie Emerson przysnął, zaś Chińczyk wyprawiał się na chwilę w głąb lasu, skąd powrócił z pękiem odurzająco pachnących ziół. Rozwiesił ziele nad ogniem, by się suszyło pośród wełnianych skarpetek i zdartej bielizny.

Na śniadanie posilili się zupą z chwastów, ubolewając nad

brakiem dodatków w postaci wędzonej ryby lub upolowanego z procy gołębia. Deszcz rąbał uparcie o płótno namiotu i zapowiadał się kolejny długi dzień, spędzony w kompletnym bezruchu.

– Jak tak dalej pójdzie, to popłyniemy w dół z błotną lawiną – marudził Wadim.

– Za to po deszczu zwierzyna wychodzi aż miło – zacierał ręce Wei.

– Podobnie jak robactwo...

– W taką pogodę nie ma co schodzić nad rzekę – poddał się Emerson i pochylił głowę nad swoimi zapiskami. Coś tam pieczołowicie szkicował na kartach brulionu.

– Ech, ja to już bym chętnie poszedł wyżej w góry – westchnął Rosjanin, a towarzysze obdarowali go tęsknym spojrzeniem, które miało wyrażać podobne pragnienie.

Musieli z tym jednak poczekać, gdyż noc nie przyniosła żadnych większych zmian – kolejnego poranka siwa, mokra mgła znów pełzała po całej dolinie. Deszcz jednak zelżał, teraz padała już tylko gęsta, natrętna mżawka.

Wadim wybrał się nad rzekę, gdzie nałapał jakiejś drobnicy na wieczerzę oraz z frustracji ustrzelił sowę.

Nieplanowana śmierć małej sowy paradoksalnie jeszcze bardziej go zasepiła i cały wieczór przesiedział grzebiąc markotnie w blaszanym kubku z wystygłą zupą rybną. Wei przeciwnie – zajadał ze smakiem, głośno siorbiąc i czkając. Co jakiś czas dosypywał do strawy ziół i jakichś tam chińskich proszków z małych, płóciennych woreczków. Z zaciekawieniem słuchał opowieści Emersona, który swym beznamiętnym głosem głosił o deszczu meteorytów, jaki widziano przed wielu laty nad zaśnieżonymi szczytami

Sichote-Aliń.

– Nudzisz – stwierdził Rosjanin płaczącym głosem. – Obaj mnie już nudzicie. Jeszcze jeden dzień deszczu, a zwariuję! Przysięgam: stanę się wariatem.

– *Wot, durojob!* Wtedy cię zaduszę i pokroję twoje mięso na paski! – obiecał mu Chińczyk.

– Emerson, zabierz ode mnie tego żółtego sadystę – zaapelował Rosjanin.

Zdekoncentrowany Brytyjczyk wyjechał ołówkiem poza kartkę.

– *Damn!* – syknął na widok zepsutego rysunku. – Weźcie się w garść, bo zaraz się tu nawzajem zatłuczemy! – Nawet nie przypuszczał, jak bliskie spełnienia były jego słowa.

Wadim zajrzał mu do brulionu i omal się nie rozpląkał.

– Dobry Boże! – zawył. – I pomyśleć, że w Kijowie czeka na mnie narzeczona! Przynajmniej czekała jeszcze rok czy dwa temu... Taka kobieta! – histerycznie zakreślił w powietrzu dwa gigantyczne koła w okolicach piersi. – A ja się tu włóczę po lasach z chińską ciotą i upadłym naukowcem... I cóż to za koza?!... – wyrwał brulion z rąk Emersona i objawił światu jego koślawe malunki. – Boże drogi, Emerson, jesteś żałosny! – cisnął zeszytem o ziemię i schował twarz w dłoniach, jakby się załamał. – Tyle mówiłeś nam o baobarach... Bestie, jakich nie zna świat!... A teraz siedzisz tylko na dupie i sadzisz kulfony w swoim kajecie. Gryzmolisz kalekie kozy... A potem je podpisujesz – po łacinie,

jak wielki uczony. K-O-Z-A. Patrzcie go, po łacinie pisze, pieprzony mózgowiec!...

Emerson i Wei popatrzyli po sobie.

W dłoni Chińczyka błysnęło ostrze sztyletu. Wei zacisnął palce na oplecionej skórą rękojeści.

– Nie – rzekł cicho, lecz stanowczo Emerson. – To chwilowe załamane. Przejdzie mu.

Ale Chińczyk nie schował noża.

Rosjanin załkał i napił się wódki.

– Tam w błocie – wychrypiał – na brzegu rzeki... tak mi się zdawało, że... widziałem trop jakby świńskich kopyt...

– Jakby świńskich kopyt? – zadrwił nienawistnie Wei. – To musiały być twoje własne, paskudne racice!

– Milcz, żółta mordo!... – Szklana flaszka wystrzeliła w powietrze i zakreśliła nad ich głowami pijaną krzywą.

– Jutro – zagrzmiął Emerson, ze wzburzenia wznosząc swój stłumiony zwykle głos na niespenetrowane dotychczas wyżyny – jeszcze przed wschodem słońca, schodzę nad rzekę. Jeśli który z was stracił cierpliwość, droga wolna – możecie zwijać obóz i ruszać, gdzie wam się podoba. *Poszli won!* Ale powiem wam jedno: łowca pozbawiony cierpliwości to łowca gówniany. Wytrwałość i jeszcze raz wytrwałość! – Udzieliwszy im tej krótkiej nauki, Emerson zatrzasnął brulion z kozami z miną kapłana zamykającego świętą księgę.

Nazajutrz wszyscy odzyskali lepsze humory: przestało lać.

Kiedy Wei wylazł o brzasku z namiotu, oblepiły go długie, mokre pajęczyny i znajome z lepszych, słonecznych dni napastliwe muszki. Obozowisko otulała co prawda mokra, mlecznobiała mgła, lecz słała się nisko przy ziemi, odsłaniając pnie i wierzchołki drzew oraz resztę pogrążonej w porannych ciemnościach doliny.

Zaspani łowcy ruszyli na swoją tradycyjną pielgrzymkę

przez las. Warunki były kiepskie: głębokie błota po deszczu, szarówka i mgła, snująca się leniwie pomiędzy drzewami. Do tego gęsty, wybujały po opadach podszyt, który na nowo trzeba było rozcinać nożami.

Doświadczeni myśliwi stawiali ostrożne, nieśpieszne i możliwie bezszelestne kroki, rozglądając się wokół czujnie i nasłuchując pierwszych dźwięków budzącego się lasu. Między sobą porozumiewali się tylko gestami. Okazji do takich komunikatów nie było zbyt wiele, toteż czasami ich nadużywali. Wei, na przykład, zatrzymał nagle całe towarzystwo znaczącym ruchem ręki. Kiedy pochylili głowy, z napięciem wpatrując się w twarz Chińczyka, ten wyszeptał tylko:

– Czujecie ten zapach? W drodze powrotnej idę na grzyby!... – Za który to komunikat oberwał mocnym pacnięciem w głowę.

Sytuacja powtórzyła się jakiś kwadrans później, gdy zbliżali się już do rzeki w dole – za szarą ścianą boru porastającego strome zbocze słychać było odległy szmer wezbranej wody. Chińczyk wykonał identyczny gest jak poprzednim razem. Emerson zatrzymał się, zaś Wadim syknął w duchu i wywrócił oczami: ejj, zawracanie głowy!...

– Co tym razem? – zaświszczą złowrogo, lecz Wei znacząco przyłożył palec do ust.

Emerson dyskretnym ruchem głowy wskazał gdzieś w dół zbocza.

Rosjanin omiół spojrzeniem najbliższą okolicę: nic tylko dziesiątki czarnych, smukłych pni wynurzających się z siwych oparów niczym zastępy posępnych żołnierzy.

W poirytowaniu, Wadim zmarszczył brwi i wykrzywił twarz,

dedykując tę mimikę Chińczykowi. Ten jednak ani myślał gapić się na Rosjanina. Razem z Emersonem przyczaili się za krzewem kłującego agrestu i wypatrywali coś przez myśliwską lornetkę.

Wadim wytężył wzrok i teraz sam zobaczył, a nawet – usłyszał.

Nie dalej jak trzydzieści jardów od ich agrestowej kryjówki, niską mgłą rozpruwało nader ruchliwe cielsko. W zasadzie widać było tylko wierzchołek tułowia, który płynął przez szare odmęty niczym długi, ciemny i obły okręt podwodny. Cielsko wyrzucało z siebie okazjonalne pochrząkiwanie, charakterystyczne dla buchtującego zwierza.

Wadimowi wystarczyło jedno zerknięcie przez lornetkę, by stwierdzić, iż to nie był dzik. Rosjanin znał się na dzikach – w swojej długiej, kłusowniczej karierze wymordował ich nie dziesiątki nawet, lecz setki.

Ale jeśli to nie był dzik – to co?

Wadim ponownie przystawił oko do lornetki. Mgła z lekka się już przerzedziła, jednak nie do tego stopnia, by objawić sylwetkę zwierzęcia w całej, jak to się mówi, krasie. Widoczny fragment tułowia wskazywał na wyraźnie rozwiniętą przednią część ciała, coś jakby garb, rozsadzający cielsko tuż nad łopatkami. Skóra, pokryta szczątkowym owłosieniem, umazana była zaschniętym błotem, a może i kałem. Łeb, niestety, zanurzony był kompletnie we mgle. I bez łba widać było jednak, że będzie się tu miało do czynienia z całością całkiem konkretnych rozmiarów. Mamut może to i nie był, ale już pół mamuta – owszem. Na oko Wadima, osobnik mierzył w kłębie tyle co żyrafa. Albo i więcej.

Zwierz zmierzał w stronę rzeki. Emerson machnął ręką, by

kierować się za nim.

Wymagało to od tropicieli sporego wyczynu, bowiem musieli bezszelestnie torować sobie drożynę w drapieźnym, podmokłym podszyciu. Zwierz tymczasem parł, zdawałoby się bez wysiłku, rozdzierając gęstwinę na pół.

Deszcze zmieniły nieco krajobraz nad rzeką. Wezbrane wody naniósłły grube pokłady żwiru, głazy i połamane konary. W obawie przed spłoszeniem zwierz, łowcy przystanęli w zaroślach, tonąc po kolana w nieapetycznym, gęstym jak budyń błocie. Ich blade od niewyspania twarze natychmiast obsiadły roje muszek i krwiopijne komary.

Nad rzeką unosiła się mgła, tworząc perłowoszarą zasłonę, przez którą przebijały się kontury drzew oraz tajemniczego zwierz, który przystanął na mulistym brzegu, by napić się wody. Obrócił się zadem do ukrytych w krzakach obserwatorów i jął taranować ryjem płyciznę, żłopiając łapczywie mętłą, szarą wodę. Łowcy w rosnącym napięciu obserwowali kołyszający się zad.

Wiedzieli już, że mają przed sobą zwierzę niecodziennych rozmiarów. Potężna, krępa sylwetka. Względnie mały tył. Przednie łapska jak u goryla, tyle że zwieńczone kopytami. Garb jak u wielbłąda. Skóra jak u owłosionego słonia. Cóż to za poczwara?...

Nie chcieli przedwcześnie spekulować. Niechże najpierw bestia wystawi łeb z wody...

Tymczasem grzęzli w zimnym błocie, z gryzącymi muchami na oraz w nosach, przysłuchując się chrapliwemu pochrząkiwaniu, donośnym parsknięciom, a okazjonalnie nawet obrywając w ucho paskudną strugą z błotnej fontanny.

Wreszcie, zwierz zaspokoił pragnienie i wyciągnął łeb

z wody.

Był to łeb nieproporcjonalnie wielki, podłużny i ciężki, osadzony na krótkiej, muskularnej szyi. Nieduże ślepia ginęły w fałdach suto namarszczonej skóry. Bestia rozwarła długi ryj, okratowany masywnymi kłami. Kły dolne budziły szczególny respekt: grube, stalagmitowe słupy, wykrzywione na boki, zakończone złowieszczym szpicem. Kapitalny oręż.

Emerson z trudem oderwał wzrok od bestii. Odwrócił się do towarzyszy i jego usta wypowiedziały bezdźwięcznie: B-A-O-B-A-R.

Wiedzieli, co to oznacza. Mieli wspólny plan – albo raczej plan, który ustalił dla nich Brytyjczyk. Musieli pojmać stworza żywcem. Żadnych śmiertelnych razów – tylko tyle krwi, ile będzie konieczne, by okiełznać bestię. Potem, w przerzucie zwierza do Władywostoku miało im pomóc paru lokalnych typków. Chińczyk robił już z nimi jakieś interesy i mówił, że chłopaki są tanie, sprytne i solidne – a dla wódki podejmą się każdego wyzwania.

Plan ataku nie był opracowany w szczegółach, to prawda, lecz na pewno nie zakładał tego, co nastąpiło w kolejnych minutach.

Pierwszy zaskoczył Rosjanin: zanim jeszcze Emerson dał umówiony sygnał do podejścia zwierza, Wadim wyłonił się z zarośli i rzucił z łapami na tył bestii – podobnie jak lew atakuje antylopę.

Łapy lwa jednakże są mocarne i silnie umięśnione, a co najważniejsze mają konkretne narzędzie do ataku – pazury. A łapy Wadima? Cóż, cały jego popis byłby raczej śmiechu warty i zakończyłby się wiadomym skutkiem, gdyby nie sztuczka Rosjanina.

Wadim znany był z niecodziennych wyczynów łowieckich, wśród których szczególnie chełpił się umiejętnością zaduszenia zwierza gołymi rękami. Ponoć już w dzieciństwie, jak opowiadał swoim towarzyszom, lubił ukręcać łby kundlom przy pomocy linki. Potem jednak, jak twierdził, zarzucił „sadystyczną” linkę i jako nastoletni chłopak ukręcił łeb wilkowi „bez żadnego wspomagania”.

Kiedy więc rzucił się na baobara z wystawionymi rękami, jego kompani byli pewni, że Rosjanin oszalał. Brać w łapy kundla to jedno, co innego – potwora!

– *Niet...* – wysapał Emerson, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– *On pizdanutnyj na wsju gołowu...!*

– *Ochujeł* – przyznał zastygły z szoku Wei. Wtedy wyszedł na jaw podstęp Rosjanina.

Ledwo zaskoczona bestia zdążyła unieść zdumiony, ociekający wodą łeb, Wadim już wdrapywał się na jej garb, gotów wbić pazury w kark zwierza. O tak, pazury – i to jakie! Teraz Emerson i Wei dostrzegli to wyraźnie: Rosjanin uzbroił dłonie w kastety ze stalowymi ostrzami. Jeden cios w rdzeń kręgowy i...

– Nie taka była umowa!! – nie wytrzymał Brytyjczyk i jednym susem wyskoczył na arenę.

Natychmiast się cofnął, bo ugodzona bestia wydała wściekły ryk i poczęła rzucać się i wierzgać kopytami.

– Pieprzę twoją umowę! – zawołał Rosjanin.

Nic więcej nie zdążył powiedzieć.

W jednej sekundzie Emerson i Wei sięgnęli po swą broń, lecz wtedy zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego.

Najpierw bestia zarzuciła łbem i jednym, potężnym ruchem zwała Wadima w najeżone kamulcami błoto. Na tym zakończył się jej krótki popis, bo nagle niebo nad ich głowami zrobiło się czarne, a mgłę rozerwał wściekle wielki, uskrzydłony kształt.

Gigantyczny nietoperz, pterozaur, a może czarny smok – szkaradna stwora pochwyciła w swą paszczę baobara i w kakofonii przeraźliwych ryków zaczęła unosić się na powrót w zmętnione przestworza.

Wadim wydał żałosny jęk, zagłuszony przez trzepot olbrzymich skrzydeł.

Emerson błyskawicznie rozwinął łańcuch, zwieńczony z jednej strony toporkiem z wygiętą w sierp głownią, z drugiej zaś obciążnikiem. Zamachnął się i wyrzucił w górę łańcuch, lecz skrzydlaty potwór był już za wysoko, by dać się pojmać. Brytyjczyk zarzucił więc metalową pętlę na szyję baobara, który zwiślał żałosnie, ociekając krwią, rozpruty zębami potężniejszego stwora.

Emerson szarpnął za łańcuch i obejrzał się na Chińczyka.

– Pomóż mi! – krzyknął i Wei podbiegł, by wspólnymi siłami wyrwać baobara z paszczy czarnej poczwary.

Udało się. Bezwładne cielsko baobara tapnęło ciężko o kamienie.

Czarny potwór wydał przeciągły, chrapliwy ryk i niezbyt zgrabnie zanurkował, by na powrót pochwycić swą ofiarę.

Emerson prędko odwinął łańcuch z szyi baobara – w samą porę, bo skrzydłata bestia właśnie lądowała na skrawku plaży. Lądowanie również nie wyszło jej płynnie. Całym ciężarem ciała opadła tuż obok ofiary, po czym niezdarnym chłapaniem gigantycznych skrzydeł zepchnęła zalane krwią

cielsko do rzeki. Wezbrane wody natychmiast uniosły żałosne zwłoki. Baobar potoczył się na szarych falach ku Ussuri, a dalej w stronę wielkiego Amuru.

Zostali sami na małej plaży: Emerson, Wei i czarny smok.

Był jeszcze Wadim, lecz tak poturbowany, że tym razem musiał odpaść z gry.

Z chwilowej konsternacji pierwszy otrząsnął się Brytyjczyk. Zauważył, że nowa bestia przypomina zachowaniem krokodyla: momentami rzutka, lecz generalnie niemrawa. Na przykład teraz: dosłownie zastygła z rozdziawioną niemądrze paszczką i rozłożonymi szeroko, błoniastymi skrzydłami. Nawet nie mrugnie!

Powoli, sprężystym, kocim ruchem okrążył ją, by zniknąć z jej pola widzenia. Wei zawahał się, jakby nie pewny, czy pozwolić mu na akcję solo. Sam dzierżył w dłoniach prymitywny bolas: na trzech potężnych rzemieniach kiwały się ciężkie, metalowe kule.

Nagle Emerson wyrzucił z siebie dziki i zupełnie niepotrzebny okrzyk i dopadł tułowia poczwary, idąc w ślady wątpliwego mistrza w tej dziedzinie, jakim był niedysponowany aktualnie Rosjanin.

Bestia ożyła, lecz Emerson zarzucił jej od razu metalową pętlę na szyję.

- Ha!! - zakrzyknął triumfalnie, zaciskając pętlę, a tymczasem potwór uniósł się niczym rozdęta kobra i załopotał gniewnie skrzydłami.

Chińczyk, chcąc nie chcąc, musiał się odsunąć, by nie oberwać potężną, czarną błoną. Wadim zawył dziko, ugodzony deszczem wznieconych przez bestię kamieni. Emerson dzielnie trzymał się na grzbiecie potwora, który w rosnącym

rozdrażnieniu zataczał coraz bardziej szalone młynki łbem oraz skrzydłami. Otwierał przy tym obficie uzębioną paszczę i grzmiał chrapliwym rykiem.

Wreszcie zakołysał się i przestąpił z nogi na nogę.

– Czuję, że zaraz odleci! – krzyknął Emerson, podekscytowany do granic. – Wei, zaraz z nim odleczę!!... – W jego głosie zabrzmiała odrobina paniki.

Nicznym podniebny jeździec zacisnął mocniej pętlę i zawahał się, czy aby przypadkiem nie mądrze byłoby teraz skorzystać z toporka.

Roztrząsanie ostatniego punktu przerwał mu rozgorączkowany głos Chińczyka.

– Będzie leciał!! Emerson, smok będzie leciał!...– Jezu Chryste!! – zdołał tylko wyśpiewać Emerson.

A potem stało się coś nieoczekiwanego.

Wei ściągnął brwi i z dziwną determinacją na swej nieodgadnionej, azjatyckiej twarzy zamachnął się i z całej siły cisnął bolasem. Ciężkie rzemienie rozcięły powietrze i z gwizdem poszybowały w stronę bestii. Ktoś zawył – przeraźliwie, nieludzko – i na dno szarych oparów opadła mała, ciemna figurka.

Na chwilę czas jakby się zatrzymał.

Chińczyk stał nieruchomo, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

– Emerson...? – jęknął Wadim i zwinął się w błocie w nieszczęsny kłębek.

Azjata spojrział na niego ze wzdrgną i ugodził go twardym kopniakiem.

A potem ruszył ku bestii przez mgliste odmęty.

POGRZEB HUGONA

*Zło mieszka nie tylko w Londynie.
Już dawno wylało się poza granice miasta
i spłynęło brudną strugą do samego Pelham.*

Nick Love

NAGŁA ŚMIERĆ HUGONA pogrążyła w smutku niejedną osobę. Tak się przynajmniej zdawało, bowiem na pogrzebie zjawiły się cztery.

Sir Ralph Pearson wraz z narzeczoną przybyli pieszo, jako że ich posiadłość znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie maleńkiego kościółka pod wezwaniem świętego Botolpha, na tyłach którego miał się odbyć pochówek.

Sir George Wilbert Wyatt również planował wybrać się pieszo, w końcu miasteczko Pelham nie było znowuż aż tak rozległe, a i pogoda jak na wrzesień wyjątkowo sprzyjała spacerom. Sir George powędrował więc główną ulicą miasteczka i wtedy nagle zatrafił na niego czwarty żałobnik – lokalny nuworysz, Nick Love, sunący z fantazją po High Street w swoim czarnym bentleyu.

Love opuścił przyciemnianą szybę, wysunął łokieć, objawiając światu skrawek szytej na miarę marynarki, a wreszcie wystawił całą głowę, przyozdobioną czarnym kapeluszem fedora i przeciwsłonecznymi okularami.

– George! – zawołał, pretensjonalnie przeciągając słowa. –

Jak się masz? Zresztą, co ja mówię, wszyscy jesteśmy przybici i tak dalej. Wskakuj, wskakuj! Podwiozę cię. W tak smutny czas niedobrze być samemu, co nie?...

Sir George wskoczył więc, czy mu się to podobało, czy nie. Scen na High Street robić nie zamierzał. Za Love'em nie przepadał, a może raczej – podchodził do niego nieufnie. Londyńczyk co prawda zamieszkał w Pelham już blisko dekadę temu, lecz wciąż bywał tu tylko jedną nogą, drugą zaś w City lub gdzieś tam w szerokim świecie. Tymczasem Pelham, jak każde angielskie miasteczko, było środowiskiem wybitnie skostniałym i jako takie potrzebowało sporo czasu na przyswojenie nowości. Love, po części z uwagi na swą ekscentryczną osobowość, przez rdzennych mieszkańców wciąż traktowany był z rezerwą.

– Chryste, jak dobrze, że nie leje! – skomentował, kiedy sir George usadowił już swe obfite kształty w skórzanym fotelu. – Co prawda, słońce też nie daje czadu – zorientował się nagle, unosząc przyciemniane okulary. – Ale co my tu będziemy pierdolić o pogodzie – rzucił karcąco do towarzysza. – Smutne wieści, George, tak? Smutne wieści!

Sir George pokiwał sucho głową.

– Powiedz mi, George, co tak w ogóle zaszło? Ja tu wracam w środę z Riwiery... Czekał, nie. We czwartek. No więc wracam, a tu dup – taka nowina! Smutna, znaczy się. I tego. – Tu urwał bezradnie i spojrzał wyczekująco na starszego dżentelmena.

Sir George odchrząknął, czując się raczej niekomfortowo.

– Ja, tak naprawdę, niewiele wiem – przyznał. – Sam Ralph nie jest pewny, co się stało. Powiedział mi, że wyszedł o świcie na kaczki i zabrał ze sobą Hugona.

- Czyli jak zwykle.
 - Tak, można tak powiedzieć. W polowaniach zawsze towarzyszył mu Hugo.
 - A gdzie polował? Nad Arun [\[2\]](#)?
 - Polował na terenie swojej posiadłości. Jak zwykle.
 - Hm - powiedział Love, gdyż bardzo chciał jakoś skomentować ten fakt.
 - Ralph posłał Hugona, by wypłoszył kaczki z zarośli - ciągnął tymczasem Wyatt. - Pies pobiegł robić swoje i faktycznie po chwili z traw poderwało się całe stado.
 - Nic tylko walić śrutem.
 - Powiedzmy.
 - No więc kaczki w locie, Ralph strzela - i co?
 - Rzecz w tym, że Hugo nie wrócił. Ralph twierdzi, że nagle usłyszał dobiegające z zarośli skomlenie.
 - No więc rzuca wszystko i pędzi na ratunek, tak?
 - Nie no, strzelby, naturalnie, nie porzucił, tylko zabrał ze sobą. Ruszył przez zarośla, być może nawet pobiegł, przywołując Hugona.
 - Ten się jednak nie zjawia - wtrącił domyślnie Love.
- Sir George niecierpliwie skinął głową.
- Ani też nigdzie go nie widać - dodał.
 - No, a skomlenie? Przecież to musiał być Hugo!
 - Skomlenie ustało. Ralph przeszedł parę razy przez trawy, w tą i z powrotem, cały czas przywołując Hugona.
 - I nic?
 - I nic. Rzecz jednak w tym, iż w łowisku zarośla przechodzą w młodnik, a dalej młodnik przechodzi w stary las.

Pies mógł zatem, z jakiegoś powodu, zapędzić się między drzewa. Ralph poszedł tym tropem i nagle ujrzał liście pomazane krwią.

– Nie! – zawołał Love.

– Tak – potwierdził spokojnie Wyatt, skinąwszy lekko głową. – Na dodatek, w młodniku jakieś zwierzę utorowało sporą drożynę. Ralph ruszył więc przez zagajnik i żeby było ciekawiej, już po paru krokach znalazł zakrwawione stworzenie. Nie był to jednak Hugo, lecz jakiś cielak, znaczy się, młody jelonek. A raczej to, co z niego zostało...

Love gwizdnął przeciągle i pokręcił głową.

– Dalej drożyna weszła w las, no a wkrótce potem kończą się lasy Ralpha i wkracza się na teren National Trust [\[3\]](#). Jak zaś wiesz, lasy należące do National Trust ciągną się aż po grzędawiska przy Zamku. Tak daleko Ralph sam się nie zapędzał, ale jeszcze tego samego poranka zwołał ekipę wolontariuszy, którzy przeczesali okoliczne posiadłości w poszukiwaniu Hugona. Monica, no wiesz – narzeczona Ralpha, poddała nawet pomysł, aby wyznaczyć nagrodę dla tego, kto odnajdzie lub zwróci ich ukochanego psa.

– Nie wiedziałem, że Monica też pała miłością do starego labradora – uśmiechnął się krzywo Love. – Wygląda mi bardziej na taką, co to by wołała parę białych pudli.

Sir George nie skomentował powyższej uwagi.

– Czyli, jakby to powiedzieć – rzekł Love, skręcając w wąski trakt wiodący do kościoła – był pies – nie ma psa, czy tak?

– Hugona nie odnaleziono.

– W takim razie... co my właściwie dzisiaj grzebiemy?

Sir George nie wiedział.

- Wiesz, ja tam do trumny nie będę zaglądał. Najważniejsze, że jest stypa - Love z niepotrzebnym rozmachem zajechał na trawnik przed kościołem.

Wprawnym ruchem pokręcił kierownicą tak, by imponująca, chromowana kratownica na froncie bentleya widniała przodem do ewentualnej publiki.

Wkrótce przybyli pozostali żałobnicy: przygnębiony sir Ralph i kandydatka na trzecią lady Pearson, Monica.

„Brakuje tylko wielebnego Ellwooda”, pomyślał złośliwie Love, przyglądając się akrobacjom Moniki. Monica z determinacją brnęła przez żwir w lakierowanych szpilkach, co raczej nie mogło być zabawne, zważywszy na fakt, że szpilki miały na oko jakichś dziesięć cali. Trudno powiedzieć, co ona sama o tym myślała, gdyż twarz kobiety ukryta była za czarną woalką, opadającą z małego, gustownego kapelusika.

- Kupiliśmy miejsce na tym cmentarzu - wyjaśnił sir Ralph po lakonicznym powitaniu. - Zresztą, jakie tam „miejsce”, po prostu dołek w ziemi! W Pelham, niestety, nie ma cmentarza dla zwierząt. A powinien być - dodał żarliwie.

- Powinien być - przytaknęła gorąco Monica i pogładziła kojąco ramię sir Ralpha.

„No cóż, narzeczeństwo to jeszcze nic pewnego”, pomyślał sobie Love. „Kobieta musi walczyć. Walcz, Monica, walcz. Odbijesz sobie po ślubie...”

Na cmentarzu czekała na nich dwójka odzianych na czarno młodzieńców. Chłopaki od brudnej roboty: kopanie dołka, spuszczenie trumienki i tak dalej. To oni przydźwigali elegancki, czarny sarkofag z lakierowanego drewna - sarkofag o niewiadomej zawartości.

Na miejsce pochówku wybrano malowniczy zakątek na

niewielkim wzgórzu na tyłach kościoła. Rósł tam samotny, prastary dąb o potężnych, fantazyjnie powyginanych konarach. W ciągu kilkuset lat swojego żywota, dąb świadkował już niejednemu dziwnemu wydarzeniu. Tym razem przyszło mu oglądać ostatnią drogę zmarłego w niewyjaśnionych okolicznościach labradora retrievera.

- Nagrobek dojedzie później - wyjaśniała półgębkiem Monica, unosząc dyskretnie rąbek woalki. - Zamówiliśmy u artysty rzeźbiarza z Lewes. Lokalny kamień z wygrawerowaną łapą Hugona.

Żadnych ekstrawagancji.

- Doskonały wybór - zmusił się sir George.

- Hugo był taki niepretensjonalny - przytaknęła Love. - Lokalny kamień - to brzmi jak wybór, jakiego sam by dokonał. Gdyby oczywiście mógł zabrać głos w tej kwestii...

- Ten pies miał piękne życie - wtrącił pośpiesznie sir George. Monica przytaknęła bez przekonania.

Love zinterpretował to na swój sposób. „Pewnie jest szczęśliwa, że w końcu szlag trafił starego burka. Tyle narzekała, że

Ralph poza kaczkami i swoim Hugonem świata nie widzi...”

Ceremonia pogrzebowa przebiegła niemal błyskawicznie: zatrudnieni chłopcy gładko uporali się z robotą. Sir Ralph ledwie zdążył uronić łzę. Zanim zasypano sarkofag, Monica rzuciła nań wiązki białych róż, a potem z ulgą wytarła dłonie, osłonięte rękawiczkami z czarnej koronki.

Wracali gęsiego wąską ścieżyną, meandrującą pośród dziwnego domina ze starych, powykrzywianych płyt nagrobnych.

Sir Ralph kroczył na przedzie, milczący i posepny. Sir

George toczył się za nim, zadowolony z szybkiego końca cmentarnej imprezy. Monica usiłowała ich gonić na chybotliwych szpilkach i wyglądała przy tym jak wielki, niezdarny ptak brodzący. Pochód zamykał Love, którego przez cały pogrzeb gnębiło jedno pytanie:

– Psst, Monica! To co właściwie wsadziliście do trumny...?

Monica zeszywniała i odwróciła się, unosząc czarną woalkę. W błękitnych oczach nie było ani śladu żałoby.

– Że co proszę...? – spytała oschle.

– Co wsadziliście do trumny? – forsował Love. – No bo skoro ciała Hugona nie odnaleziono...

– Ciiicho bądź! – syknęła i znacząco skinęła głową w stronę sir Ralpa. – Kto ci powiedział, że ciała nie odnaleziono? To jakieś bzdury!

– Jakże to: bzdury? Czyli jednak je odnaleźliście...?

– A co, według ciebie, grzebaliśmy dzisiaj?!

– To właśnie starałem się ustalić... To znaczy, byłem ciekaw... W takim razie, gdzie ono było, to ciało?

– Wisiało na drzewie w młodniku, jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć. Zmasakrowane, rzucone w gałęzie. Sam tułów, bez głowy... Ech, lepiej nie wspominać o tym w obecności Ralpa.

– Ma się rozumieć.

– Był zdruzgotany. Tak kochał swojego poczciwego Hugona... – Wszyscy go kochaliśmy...

Monica rzuciła Love'owi krzywe spojrzenie i bez słowa opuściła woal na twarz.

Czarny bentley zawiózł całe towarzystwo pod King's Head, jedyny pub w Pelham. Joe Goodman, właściciel, postawił żałobnikom pierwszą kolejkę. Ralph Pearson był w lokalu

częstym gościem, znano tu także świętej pamięci Hugona. Obaj lubili zaglądać do King's Head po udanych łowach: sir Ralph w upačkanych kaloszach i kraciastej marynarce z zielonego tweedu, labrador cały jeszcze w błocie. Ubite i zapomniane ptactwo huštało się tymczasem w samochodzie, zawieszane za główki na skórzanych trokach.

Panowie dziarsko uporali się z pierwszą pintą, Monica również nie dumwała zbyt długo nad kieliszkiem brandy.

– No i masz, spokojną wieś szlag trafił – zagał barmana Love. – Człowiek ucieka z City, myśli sobie: na wiosce odpocznę, powdycham świeże powietrze, ponudzę się trochę dla zdrowia i tak dalej. A tu masz, niewyjaśnione zbrodnie, krew, rozszarpane zwłoki na drzewach...

– Niewyjaśnione zbrodnie i zwłoki na drzewach? Nie, no chyba jeszcze nie jesteśmy na takim etapie – roześmiał się Joe.

– Bo ty, Joe, jesteś sympatyczny facet i myślisz, że cały świat jest taki uśmiechnięty jak ty. Polewasz ludziom piwo i chcesz, żeby byli szczęśliwi. Zgadza się?

– Ja... Właściwie to...

– A tymczasem, Joe, nikomu nie można ufać! Zło mieszka nie tylko w Londynie. Już dawno wylało się poza granice miasta i, choć może trudno ci w to uwierzyć, spłynęło brudną strugą do samego Pelham. Dzisiaj zło mieszka w West Sussex [\[4\]](#)!

– Nick, ja chyba nie bardzo wiem, o czym my teraz mówimy...

– O śmierci Hugona, Joe! Mówimy o tragicznej śmierci Bogu ducha winnego psa, któremu jakiś sadysta odrąbał łeb, a resztę powiesił na drzewie!

- Oo - spoważniał barman. - Nie wiedziałem, że śmierć tego psa to sprawa kryminalna.

- Ja też nie - zorientował się Love. - Czy zgłosiliście tę sprawę na policję? - zwrócił się do Moniki.

Monica siedziała przy barze ze skwaszoną miną, starając się nie dotykać lepkiego blatu. Obok niej, nieobecny duchem sir Ralph kiwał się posępnie nad kolejną pintą porteru.

- Oczywiście, że nie - zachnęła się. - Nie ma żadnej sprawy kryminalnej, Nick opowiada głupstwa. Hugo miał nieszczęśliwy wypadek - wyjaśniła barmanowi. - Myślimy z Ralphem, to znaczy, Ralph teraz nie myśli, to znaczy, nie w tym stanie... W każdym razie, uważamy, że Hugo napotkał w lesie jakieś większe zwierzę, prawdopodobnie jelenia...

- Aha, i zahaczył się o poroże napakowanego Bambiego? No, jest to jakiś scenariusz, ale moim zdaniem, Monica, trochę naciągany - oświadczył Love i szturchnął sir George'a. - A ty co o tym myślisz, George?

Sir George zawahał się, czy warto zabrać głos w tej dyskusji. Miał swoje przemyślenia, to prawda, lecz czy było tu z kim się nimi dzielić? Love, ta kukła i stary barman. Też mi towarzystwo. Jedyne godny partner do rozmowy, a mianowicie sir Ralph, nie wydawał się jednak gotów do roztrząsania okoliczności śmierci ukochanego Hugona.

Wyatt odchrząknął, zastanowił się chwilę, po czym zdecydował się wyjawic swoje przemyślenia:

- Nie wiem, co tak naprawdę przytrafiło się Hugonowi - powiedział powoli.

Zdjął okulary, przetarł lekko zaparowane szkła, po czym ponownie umieścił je na nosie. Towarzystwo wpatrywało się weń z napięciem. Odpowiedział im pytającym spojrzeniem.

- No i? - nacisnął Love.

- No i co? - zdziwił się sir George i zajrzał do szklanki. Pusta.

- To wszystko? Nie wiesz, co się stało i cześć? George, gdzie się podziała twoja fantazja? - Love był wyraźnie rozczarowany. Niespodziewanie do rozmowy włączył się sir Ralph.

- O cudzej śmierci nie wypada fantazjować - pouczył bezbarwnym, apatycznym głosem. - Gdyby wypadało, pokusiłbym się o stwierdzenie, że wszystkiemu winni są Jean Chambers oraz Cecil Pelham-Torrington. To oni sprowadzili na nas nieszczęście.

Sir George, Monica, Love, a nawet barman spojrzeli w zdumieniu na Pearsona.

- To dość konkretne oskarżenia - zauważył ostrożnie Love. - Jean Chambers? Co to za jedna?

- Pośredniczka w handlu luksusowymi nieruchomościami - wyjaśniła niechętnie Monica. - To jej Cecil powierzył sprzedaż Zamku w Pelham.

- Cecil? - powtórzył sir Ralph ze wzgardą. - Mówisz o nim, jakby był naszym dobrym znajomym. Tymczasem w ogóle go nie znaliśmy. Za młodu wyjechał do Stanów i siedzi tam po dziś dzień, czerpiąc Bóg wie jakie korzyści ze swego arystokratycznego pochodzenia. Pomyśl, cóż to musi być za człowiek: żeby sprzedać rodowy zamek, rodowe dziedzictwo...!

- Rodzina Pelham-Torrington już od dwóch pokoleń nie mieszkała na Zamku w Pelham - zauważył sir George. - Po drugiej wojnie światowej, ojciec obecnego dziedzica udostępnił Zamek brytyjskiej armii. Podobno mieściły się tam magazyny wojskowe.

- No ale Cecil odzyskał Zamek - podkreśliła Monica. - Wojsko już dawno się wyniosło. I nie mów, Ralph, że nie znamy dziedzica.

Cecil bywał tu latem...

- Tak, tak - rzekł Pearson z przekąsem. - Chyba go kiedyś widziałem, jak jeździł w tą i z powrotem po High Street, popisując się swoim zabytkowym kabrioletem.

Monica przygryzła umalowane wargi, choć bardzo ją kusilo, by przypomnieć narzeczonemu, że on sam wszak preferuje podobne letnie rozrywki. Każdego sierpnia całe miasteczko mogło podziwiać sir Ralpha za kierownicą wypolerowanego na błysk, trzykołowego klasyka Morgan 3 Wheeler. Pearson należał nawet do ekskluzywnego klubu posiadaczy tego wyjątkowego modelu. Spotykali się regularnie, by cementować magiczną więź, jaką połączyło ich posiadanie czegoś, na co nie mogą sobie pozwolić inni.

- Tak czy inaczej - rzekł sir Ralph - rodzina Pelham wybudowała ten zamek za wczesnych Tudorów i, pominąwszy epizod z wojskiem, władała nim niemal aż po dziś dzień. A dokładniej, aż po dzień, w którym ostatni dziedzic zdecydował się pozbyć rodowego majątku za marne pół miliona. Doprawdy, haniebnny zamysł! - podsumował gorzko i zażądał whisky.

- Pół miliona to uczciwa cena jak na tę ruinę - stwierdził lekko Love. - Przecież to zamczysko sypie się na naszych oczach.

- I w dodatku ta niefortunna lokalizacja - wtrąciła Monica. - Zamek pływa na bagnach! Dziwię się, że znalazł się kupiec. Kto by chciał wyłożyć na coś takiego jakiegokolwiek pieniądze?

- No, właśnie: kto - przytaknął dobitnie jej narzeczoney. -

W tym właśnie rzecz. Bardzo mnie niepokoi ten nowy właściciel...

– Poznałeś go? – zdziwiła się.

– Tak jakby – odparł lakonicznie.

– Ludzie gadają, że to jakiś Rosjanin – wtrącił się Joe, dolewając Monice brandy. – Podobno dzikus straszliwy, ale mało co tu o nim wiemy, bo do miasteczka nie zachodzi. U mnie go jeszcze nie było, a przyuważyłem, że mam u lokalnych większy priorytet niż nawet rzeźnik czy poczta. Ten nowy trzyma się z dala, podobno przybył do Pelham z jakąś bandą.

– Tak, tak, mnie też to wszystko niepokoi... – przemówił nagle milkliwy dotychczas sir George. – Jak go poznałeś, Ralph?

– To był osobliwy incydent... Sytuacja wybitnie niekomfortowa... – wymamrotał sir Ralph, przyglądając się w zadumie długim smugom na swoim kieliszku. – Trudno nawet powiedzieć, że się poznaliśmy, na pewno nie oficjalnie, gdyż żaden z nas nie przedstawił się drugiemu. Tak naprawdę, w tamtej chwili nie miałem pojęcia, że ten człowiek to nowy pan na Zamku w Pelham. Wziąłem go za barbarzyńcę, wandalę...

Spotkałem go, gdy wędrowałem przez pola wąską drożyną, która później łączy się z porządnym traktem, wybudowanym jeszcze za Rzymian. Grunta National Trust. Miałem przy sobie strzelbę – dzięki Bogu – nie po to jednak, by strzelać, a raczej z przyzwyczajenia. Nawiasem mówiąc, odliczam dni do sezonu. Zmierzchało, w trawie grasowały króliki, a ptactwo wyśpiewywało wieczorne trele. Szedłem, wdychając cudowne powietrze i delektując się samotnością. Tak mi się

przynajmniej zdawało, że jestem sam. Tymczasem naraz powietrze rozpruł rozdzierający warkot, zza pagórka wylazła pokraczna maszyna i jak nie zacznie taranować pól!

Przyjrzałem się tej maszynie: ni toczołg, ni toquad. Ręczna robota, uskładane to to z czego popadnie, ewidentnie dzieło jakiegoś nawiedzonego fantasty. Za sterami dostrzegłem mężczyznę w kurtce z demobilu. Pamiętam głównie rozwiane włosy szaleńca i jego gębę rozdartą w radosnym ryku.

Cóż miałem robić? Zdjąłem z ramienia strzelbę i wypaliłem w niebo – dla ostrzeżenia. Wynoś mi się stąd, dzikusie! A on co? Nic a nic sobie z mojego ostrzeżenia nie zrobił! Dalej jął rozjeżdżać łąki i role. Jak buchtujący dzik!

Wystrzeliłem raz jeszcze, coś tam do niego krzyknąłem i skierowałem lufę prosto w dzikusa, by wiedział, że nie żartuję. On zaś ruszył wprost na mnie. Nie przeląknę się, stałem dumnie wyprostowany i czekałem, aż wytłumaczy swój postępek.

– No, toś się pewno doczekał... – mruknął Love, któremu w przeciwieństwie do sir Ralpa zdarzało się obcować z ludźmi z odmiennych warstw społecznych.

– Nie doczekałem się żadnych wyjaśnień – przyznał sztywno sir Ralph. – Dzikus podjechał tak blisko, że niemal dotykał wystawionej lufy. Prowadził na stojąco, twarz zasłaniały mu długie, splątane włosy mysiego koloru. Spojrzał mi prosto w oczy – choć z kolei ja jego oczu praktycznie nie widziałem – i nagle wykręcił tę przekłętą maszynę, a zawracając zbryzgał mnie całego breją i błotem...!

Love pomyślał, że gdyby miał tu do czynienia z jednym ze swoich kumpli z City, to teraz byłby moment, aby parsknąć

śmiechem. Ale że incydent relacjonował dystyngowany arystokrata – śmiać się, po prostu, nie wypadało.

– Doprawdy – jęknął sir Ralph – gdy się oddalał, miałem ochotę strzelić mu w plecy...!

– Kochanie – Monica z obowiązku pochyliła się nad znieważonym magnatem. – Dlaczego nigdy mi o tym nie opowiedziałeś? – zapytała bez sensu, jakby odpowiedź nie była oczywista.

Sir Ralph skrzywił się tylko i machnął ręką, jakby odganiał się od muchy, psiaka lub dziecka.

– No dobra, ale skąd wiadomo, że ten facet na quadzie to nowy właściciel Zamku? – zapytał Love.

Sir Ralph westchnął.

– Widziałem jeszcze potem tą maszynę – powiedział niechętnie. – Widziałem, jak wtoczyła się na rozlewiska, a potem brnęła ku zamczysku... To musiał być on. To musiał być nowy pan na Zamku w Pelham!

Towarzystwo popadło w zadumę. Monica bezmyślnie popukiwała paznokciem w pusty kieliszek. Reszta patrzyła w swoje szklanki w dziwnym otępieniu.

– No dobrze, ale co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Hugona? – oprzytomniał Love. – Zemsta? – zasugerował. – Myślisz, że tak się odegrał za to, że powitałeś go śrutem? Zwabił twojego psa, odciął mu łeb i powiesił na drzewie...?

– Jeśli tak, to mamy do czynienia z niezłym szajbusem i sadystą – zauważyła Monica znudzonym głosem. Coraz mniej jej się chciało symulować wielki żal po stracie starego labradora. Bądź co bądź, od paru dni chodziła wokół Ralpha na palcach i udawała, że sama chlipie po kątach. Ileż można.

– Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć – odparł

bezradnie sir Ralph. – Żal mi Hugona. Poczciwina, mógł sobie jeszcze pożyć parę lat...

– Nic nikomu nie możesz udowodnić – stwierdził pragmatycznie Love. Był zwolennikiem prostych i szybkich konkluzji. – Wszystko to spekulacje i tyle. Joe, bracie – przywołał barmana – polej no moje ulubione, London Pride! Kochani, wypijmy za drogiego Hugona! Pewno właśnie do nas macha łapą z tego... no, psiego nieba czy innego rajuu... Buja się w obłoczkach, szczęśliwy psina, a my tymczasem wciąż musimy walczyć na tym padole...

Godzinę czy dwie później sir George opuścił pub i udał się zaułkiem Sheep Lane w stronę domu. Zaułek z obu stron obklejały karłowate, ceglane domki, okryte czapą gęstego dzikiego wina. Był początek września i liście winobluszczu zdążyły się już przebarwić. Ociekały teraz karminem, tak intensywnym, tak żywym – jak krew.

Sir George kroczył powoli, pogrążony w myślach. Pewne sprawy od jakiegoś czasu nie dawały mu spokoju. Incydent z Hugonem prawdopodobnie się z nimi nie wiązał, jednak wzmógł tylko poczucie, że coś jest nie tak.

Coś niedobrego działo się na Wzgórzu świętej Anny.

Sir George bardzo pragnął odkryć tajemnicę tego miejsca. Jego własne studia i obserwacje nie przyniosły do tej pory satysfakcjonujących odpowiedzi. Pojawiły się jednak pewne poszlaki i przypuszczenia. Sir George odkrył również, że jest ktoś, z kim mógłby się skonsultować w tak osobliwej sprawie.

Nazajutrz po pogrzebie udał się do Londynu. Stamtąd miał pociąg do Szkocji.

POWRÓT DO SZKOCJI

Człowiek zalał naturę betonem i wydaje mu się, że jest bezpieczny.

C.T. Forbes

JEZIORO, oznaczone na mapie jako Loch Mòr, leżało w centralnej części Szkocji, pośrodku monotonnego i niemal księżycowego krajobrazu, na który składały się zanikające kolejno w oddali pasma bezludnych, niskich gór o półokrągłych, wygładzonych przez wichry i czas wierzchołkach. U podnóży gór rozciągały się w nieskończoność brunatne torfowiska, przecinane gdzieniegdzie plamami prastarego lasu kaledońskiego. W pejzażu brakowało żywych barw, zastygł on jakby w wiecznym przedwiośniu. Martwy krajobraz ożywiały kołujące leniwie ptaki drapieżne: jastrzębie, sokoły i sowy. Wypatrywały one myszy i górskich zajęcy, kryjących się pośród wrzosów i kamieni.

Samo jezioro było rozległym, głębokim zbiornikiem, pocętkowanym dziesiątkami dzikich, niespenetrowanych wysp. Na mapie przypominało długą, spuchniętą szczelinę, rysującą się po przekątnej z południowego zachodu na północny wschód. Jego nieruchoma tafla szkliła się nienaturalnie metalicznym blaskiem, co nadawało mu wygląd martwego, pozaziemskiego stawu, wypełnionego nie wodą, lecz miksturą ciekłych gazów. Nad płaskimi i nagimi wyspami rozsypanymi po powierzchni jeziora wiał nieustępliwy i niezmordowany północny wiatr.

Ten właśnie wiatr – oraz zimne słońce i hektary bezludnej

ziemi – miały już zawsze kojarzyć się Christianowi z jego ojczyzną, Szkocją.

W ostatnich latach Christian Tarquin Forbes rzadko bywał w domu. Rezydencja prominentnego klanu Forbes była jedynym ośrodkiem jako takiej cywilizacji na wschodnim brzegu Loch Mòr. W dawnych latach ponure, granitowe zamczysko służyło właścicielom posesji jako wygodny punkt wypadowy do hucznych polowań, w których uczestniczyli skostniali arystokraci, przybyli z różnych zakątków kraju. Podobno w początkach dwudziestego wieku w rezydencji Forbesów balował sam książę Walii. Jeśli wierzyć kronikom domu, w ciągu dwóch dni Jego Królewska Wysokość i towarzysząca mu świta zdołali unicestwić blisko dwa tysiące ptaków.

Łowieckie ekscesy elit znacznie przycichły w ostatnich dekadach. Obecnie dom stał pusty, a jedynymi osobami, które zaglądały tu od czasu do czasu, byli Christian oraz jego ojciec, Aaron Forbes.

Tej jesieni Christian powrócił z wyprawy do południowych Chin i po wielu tygodniach spędzonych w egzotycznym kraju, zapragnął choć na chwilę ujrzeć rodzinny dom. Zbyt wiele czasu nie miał, zaledwie parę dni, bowiem potem musiał już jechać do Edynburga, gdzie rozpoczynał kolejny rok nauki na tamtejszym uniwersytecie.

Rzucone w sam środek dzikiego pustkowia, jezioro Loch Mòr rzadko gościło zbłąkanych wędrowców. Brak względnie cywilizowanych szlaków komunikacyjnych i notorycznie paskudna pogoda skutecznie odstręczały potencjalnych gości. Nad zachodnim brzegiem jeziora wznosiła się samotna góra o gaelickiej nazwie Sgùrr Liath. Ostry wierzchołek góry

wiecznie tonął w szarej chmurze i deszczu. Ze szczytu Sgùrr Liath spływał z hukiem obfity potok, skacząc po kamieniach i roztrzaskując się o większe głazy. Potok znajdował ujście w jeziorze i był istotnym elementem lokalnego krajobrazu: od lat czerpano z niego wodę do produkcji torfowej whisky MacPhail's Highland Malt. Destylarnia leżała u podnóża Sgùrr Liath, a jej właścicielem był przywódca lokalnego klanu, Lewis Ewan MacPhail. Gorzelnia stanowiła centralny punkt Whitefalls, posiadłości MacPhaila, znanej też pod gaelicką nazwą Eas Bàn.

To właśnie do Whitefalls prowadziła jedyna, w miarę znośna droga. Wiodła on z południa, z górskiej wioski Bridge of Orchy, i wyźłobiły ją ciężarówki z dostawami do destylarni MacPhaila i z gotową już produkcją, wyruszającą w opasłych, dębowych beczkach w szeroki świat. Aby zaś dostać się do zamczyska na przeciwległym brzegu jeziora, należało wyposażyć się w solidny wóz terenowy i skorzystać z drogi, która niestety nie widniała na mapach, nie spełniała bowiem podstawowych kryteriów cywilizowanego traktu komunikacyjnego. Droga, choć intrygująca pod względem krajobrazowym, wiała się przez skalne rumowiska, chaszczce oraz grzędzawiska o nieokreślonych głębiniach. W koleinach na trasie zalegała mętna i gęsta niczym szary kiesel woda.

Aaron Forbes posiadał całą flotę pojazdów do jazdy po trudnym, niedostępnym terenie. Do jego syna należał jedynie stary, terenowy land rover – niezastąpiony w górach, za to wyjątkowo niezgrabny i krnąbrny na edynburskich ulicach. Do stolicy Christian wywiózł też mocno sfatygowany motocykl enduro, którym teraz wyżywał się na zboczach Pentland Hills [5] pod miastem.

Christian nie miał wyboru – jeśli chciał odwiedzić rodzinne strony, musiał zapakować się do terenówki, którą zostawił pod domem w Edynburgu. Nad Loch Mòr, rzecz jasna, nie docierał transport publiczny.

Kiedy wsiadał do samochodu, miał już za sobą blisko dobę podróży, licząc od pierwszego lotu z Chongqing do Hangzhou. Teraz czekały go jeszcze trzy godziny jazdy do Forbes House. Christian przywykł do długich podróży i obijania się po świecie. Chyba miał to we krwi – bądź co bądź, tak właśnie żyli jego rodzice. Wieczni tułacze, bez stabilizacji. Ojciec ostatnio częściej bywał w Szkocji, chyba miał tu jakieś interesy. Matka natomiast wciąż częściej sypiała w namiocie lub pod gołym niebem niż na łóżku, jak inni dorośli ludzie.

To dziwne: niby jechał teraz do domu, lecz nie miał pojęcia, gdzie będą jego rodzice. Był wręcz przekonany, że dom to ostatnie miejsce, w którym mógłby ich spotkać. Szczególnie obu jednocześnie. Aaron Forbes i Zoë Young nigdy nie żyli razem. Kiedyś połączyła ich jakaś przygoda, może nawet myśleli, że odtąd będą tułali się razem. Że wybiorą się wspólnie w tę najdłuższą podróż ich życia. Ale tak się nie stało. Każde z nich ciągnęło w innym kierunku. Aaron był zamknięty, niedostępny, oddany jakimś sekretnym misjom. Zoë po prostu kochała wolność i samotność – do tego stopnia, że bez namysłu, z lekkim tylko wzruszeniem ramion oddała kilkumiesięcznego syna pod opiekę ojca. Christian nigdy jej nie poznał. Możliwe, że spotkali się kiedyś, gdzieś w egzotycznym zakątku świata, i nie wiedzieli zupełnie o więzi, jaka ich łączyła.

Christian wyjechał z Edynburga i skierował się na północny zachód, obierając drogę przez Stirling. Ruch był znikomy,

a krajobraz wokół bezludny, monotony. Za szymbami samochodu okazjonalnie migały zabudowania farmerskie i przysiółki ulepione z domków z szarego kamienia. Nie padało, choć niebo zasnutę było ciężkimi chmurami. Układały się warstwami niczym grube wałki z plasteliny – od srebrzystobiałego po ciemnoszary.

Późnym popołudniem samochód Christiana przetoczył się wreszcie przez bramę wjazdową do zamczyska nad Loch Mòr. Nad ciemnym konturem powyginanych przez wiatr krzewów zarysowały się wieże z poczerńiałego granitu.

„Witaj w domu”, pomyślał Christian, spoglądając w zadumie na mroczne elewacje Forbes House.

Kamienna rezydencja wydawała się całkiem opustoszała. Na łukowatym, wysypanym żwirem podjeździe nie stał ani jeden samochód. Okrągła, kamienna fontanna była wyschnięta niczym studnia w nieudanej fatamorganie.

Dom stał nie więcej jak dwieście stóp od dzikiej plaży, której wąski pas wysuwał się z kłębowiska zapuszczonych zarośli. Front budynku spoglądał prosto na połyskliwą taflę Loch Mòr. Z plaży w głąb jeziora wychodziło niewielkie, drewniane molo. Nieopodal pomostu, na wodzie kołysał się lekki samolot z pływakami – ulubiona zabawka Aarona Forbesa.

Trzasnęły drzwiczki samochodu. Christian zrzucił ciężkie, obklejone zeskorpiałym błotem buty i ruszył boso po żwirze w kierunku plaży.

Wszedł na drewniane molo, z upodobaniem plaskając stopami po rozklekotanych deskach. Przystanął na krańcu pomostu i uniósł głowę ku niebu.

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. A potem jeszcze

jeden. Czuł, jak jego płuca napełniają się chłodnym, orzeźwiającym powietrzem, a zmęczenie stopniowo znika.

Nie zaglądając nawet do domu, wyciągnął kajak spod wiaty i rzucił się z nim na zimne i metaliczne jak blacha wody Loch Mòr.

Na jeziorze, nagle rozjuszony wiatr szturchał wątłą łódkę i szarpał Christiana za przydługie, wymięte po podróży włosy. Tafla Loch Mòr pomarszczyła się jak twarz staruszki, którą młody podróżnik widział w chińskiej wiosce w Yunnan. Mieszkańcy wioski twierdzili, że staruszka ma sto dziewięćdziesiąt osiem lat, lecz zdaniem Christiana przesadzili przynajmniej o jedno stulecie, a twarz kobiety odzwierciedlała po prostu trudy jej życia.

Christian lubił się zmagać z wiatrem i wodą, traktując te żywioły jak groźnych przeciwników, których da się jednak pokonać po perfekcyjnym opanowaniu sztuki walki wiosłami. Parł więc do przodu, z zapalem ciachając wodę i powietrze, a tymczasem po jego bokach przesuwały się kolejne wyspy Loch Mòr. Niektóre z tych wysp były całkiem płaskie i nagie; przypominały bezludną, kamienistą plażę lub czubek głowy z wysoką trzcinałą zamiast włosów. Inne były porośnięte płataniną nieprzyjaznych chaszcz, jeszcze inne straszyły samotnymi, powyginanymi przez wichry drzewami. W dzieciństwie Christian lubił wypływać na jezioro i badać wybrane wyspy: szkicował je w zeszycie i opisywał ich nędzną faunę i florę naiwnym językiem małego odkrywcy. W tamtych latach chłopak szacował, że wysp na Loch Mòr było tysiąc – ta wielka i abstrakcyjna liczba dawała nadzieję, iż można by je eksplorować w nieskończoność.

Jedna z wysp przykuła teraz jego uwagę: na jej brzegu

dostrzegł duży ponton w kamuflażowych barwach.

Zaintrygowany, podpłynął bliżej. Jeszcze nigdy nie spotkał na tym jeziorze drugiego człowieka. Bezludne Loch Mòr zasadniczo nie sprzyjało kontaktom międzyludzkim. Owszem, widywał czasami w oddali łodzie, należące zapewne do wędkarzy lub kłusowników z osady MacPhaila. Zawsze jednak dzieliła ich odległość jakichś kilkuset jardów, a obu stronom brakowało szczególnej motywacji do zmniejszenia tego dystansu.

Być może właśnie teraz Christian miał poznać sąsiadów.

Wciągnął swój kajak na brzeg i pożałował, że nie wziął ze sobą butów: pod jego stopami piętrzyły się kanciaste głązy i zwoje splątanych korzeni. Wyspa była dzika, płaska i kamienista, porośnięta długimi trawami oraz obumarłymi chaszczami. Jedynym ciekawszym elementem flory było uschnięte, karłowate drzewo stojące przy krawędzi małego, bagnistego stawu. Drzewo przywodziło na myśl głowę skazańca: jego gałęzie zwisały posepnie i bez życia, a ich końcówki nurkowały w czarnej brei.

Być może nie była to najpiękniejsza sceneria do zawierania nowych znajomości, lecz okazja mogła się szybko nie powtórzyć. To pomyślawszy, Christian zaczął przedzierać się w głąb wyspy. Właściciel pontonu musiał już tam być, gdzieś za parkanem z suchych krzaków i falującej trawy w kolorze cynamonu.

Ktoś tam był, istotnie.

Z głębi wyspy dobiegały złowieszcze odgłosy. Wściekłe, zajadłe, fanatyczne. Z każdym krokiem Christiana, coraz bardziej alarmujące. Chłopak instynktownie zwolnił, a jego ruchy stały się miękkie, ciche, sprężyste – jak u drapieźnego

kocura.

Lecz na wyspie tak małej nie sposób się ukryć. Szybko wychodzi też na jaw każda tajemnica. Dociekliwość Christiana została wynagrodzona – stał się widzem sekretnego spektaklu. Pewnie by nawet został zmuszony do roli uczestnika, jednakże pojawiła się jedna, sprzyjająca okoliczność, która wybawiła go z tej wątpliwej frajdy.

Na środku wyspy znajdowała się trawiasta arena, okolona ciernistymi gałęziami. Na arenie toczyła się walka pomiędzy mężczyzną w czerni a monstrualnym psem. Zwierzę było muskularne, białe jak śnieg i na oko ważyło ze dwieście funtów. Sama walka była nierówna: pies wyrywał się jak mógł ze stalowego łańcucha, jakim przywiązuje się zwykle bydło, i wściekłymi kłapnięciami usiłował rozszarpać rękę mężczyzny. Wbijał ociekające gęstą śliną kły w rękaw, a jego oczy – wyblakłe, tak jasne, że niemal białe – świeciły nieziemską furją.

„Jezu Chryste!”, pomyślał młody Forbes i odruchowo sięgnął po nóż, lecz wtedy uświadomił sobie kilka spraw równocześnie.

Po pierwsze, procedury lotniskowe kazały mu wyrzucić wszelkie ostrza.

Po drugie, mężczyzna w czerni nie był żadnym tam gladiatorem, lecz wyrachowanym typem, który doskonale przygotował się do starcia z bojowym psem. Na nogach i rękach miał masywne ochraniacze, w dłoni dzierżył jakiś pręt lub pałkę.

Po trzecie, ten mężczyzna był...

– Tato...?! – Christian przelazł przez kolczaste krzaki, zapomniawszy na ułamek sekundy o rozjuszonym psie.

Ten zaś natychmiast zmienił cel. Szarpnął za łańcuch z taką furją i siłą, jakby był gotów wyrwać go z samego jądra Ziemi. Rzucił się na Christiana i tylko błyskawiczna reakcja Aarona Forbesa uratowała chłopaka przed krwawą amputacją którejs z kończyn. Forbes wbił w kark zwierza paralizator. Pies zawył z bólu i jeszcze bardziej się rozjuszył, lecz już po paru sekundach zachwiał się, oszołomiony rażeniem. Wówczas Aaron stanął okrakiem nad bestią i zacisnął sznur wokół jej szyi. Zrobił supeł i beznamiętnie potrząsnął sznurem tak, aż pies się zakrztusił. Na koniec wyciągnął kaganiec w formie szczelnej tuby i założył psu na zapryskany śliną pysk.

Wreszcie uniósł oczy na syna:

– Co tu robisz? – zapytał z pretensją, bez cienia cieplejszych uczuć. – To nie jest miejsce dla małych chłopców.

Zrzucił ochraniacze i ukazał światu swe wątpliwe wdzięki. Mroczna, pociągła twarz, zakończona długim paskiem czarnej, splecionej w warkoczyk brody. Cienie pod oczami. Spojrzenie jak u zabójcy lub gwiazdy norweskiego death metalu. Długie, wymięte włosy ukryte pod prostą, obcisłą czapką z dzianiny. Skórzana kurtka, piercing z kości zadźganych własnoręcznie zwierząt. Krótko mówiąc – upadły, szkocki arystokrata.

Christian zignorował pytanie ojca i skinął głową w stronę unicestwionego psa.

– Co to za bydlę?

– Taki tam... eksperyment – mruknął Forbes. – Chodźmy stąd. Za parę minut mu przejdzie i będzie próbował się podnieść. Nie uda mu się od razu: najpierw wyrzyga pod siebie, o ile mu na to pozwoli kaganiec... Nie chcesz na to patrzeć.

Z tym ostatnim Christian musiał się zgodzić.

– A potem? – zapytał. – Co zrobisz z nim potem?

Aaron wzruszył ramionami.

– Potem go nakarmię ochłapami. Nie jestem sadystą – wyjaśnił synowi.

Christian spochmurniał, nieprzekonany.

– W co ty się bawisz, tato? – zapytał poważnie. – Skąd wytrzasnąłeś tego potwora? Co to za rasa? Wygląda jak nafaszerowany

sterydami dog argentyński...

– Skąd go wytrzasnąłem? Można powiedzieć, że sam go stworzyłem – twarz Forbesa wykrzywiła się w ironicznym półuśmiechu. – Ten pies to krzyżówka. I owszem: sterydy plus morderczy trening. Oto prosta recepta na psa do zabijania.

– Po co ci pies do zabijania...?

– Synu, dużo pytań zadajesz. My tu gadu gadu, a tymczasem bestia niebawem powstanie i znów będzie chciała rozrabiać.

– To istotne pytania – nie dał się zbyć Christian.

– Istotne, a jakże – przytaknął Aaron, lekceważącym i znudzonym głosem. – Ja też mam parę ważnych pytań. Na przykład, skąd się tu wzięłeś? Myślałem, że jesteś za granicą.

– Byłem. Przez parę ostatnich miesięcy...

– Ano tak – rzekł lekko Forbes. – Chiny, zgadza się? Projekt badawczy, stypendium imienia Charlesa Darwina. Fajna sprawa.

Może mi o tym opowiesz przy herbacie?

Herbatę wypili nie w zamku, lecz na sąsiedniej wyspie. Główną atrakcją tej wyspy był szeroki pas piaszczystej plaży,

zmonopolizowany przez kolonie gryzących muszek. Rosła tu także niewielka kępa starych drzew, których gęste listowie skutecznie chroniło przed wiatrem. Pod drzewem stał malutki piecyk, wykrojony z metalowej puszk.

Aaron podpalił połamane patyki wewnątrz puszk i postawił nad ogniem blaszany kubek z wodą.

A potem siedzieli na złamanym konarze i popijali na przemian gorącą, słodką herbatę. Nisko nad taflą jeziora wisiła wielka, pomarańczowa kula zachodzącego słońca. W mglistej, wieczornej szarówce wyglądała jak blada żarówka przysłonięta matowym kloszem.

– Wszędzie te pieprzone robale – warknął Forbes, rozkwaszając podłużnego owada, który dobierał się właśnie do jego szyi. – Człowiek czuje się jak zwierzę. Ale tak to już jest w dziczy, kiedy uciekasz z domu, byle być jak najdalej od komfortów cywilizacji. Stajesz się jak zwierzę, nie ma innej możliwości. Poza granicami cywilizacji wszyscy jesteśmy bestiami...

Zapadła cisza. Aaron zapalił skręta o podejrzliwie wonnym aromacie, Christian patrzył przed siebie, pogrążony w zadumie.

– Człowiek to coś więcej niż zwierzę – rzekł po chwili. – Zawsze będziemy czymś więcej. Kimś więcej.

– Tak? – rzucił sceptycznie Forbes. – No więc, kim jest człowiek?

Jego syn uśmiechnął się lekko.

– Myśliwym – odparł po prostu. – Człowiek jest Myśliwym. Pewnie słyszałeś o prehistorycznych malowidłach, odkrytych w grotach Akwitonii [\[6\]](#). Pochodzą z paleolitu – epoki, w której człowiek wyszedł na podbój przyrody. Na malowidłach

dominują zwierzęta. Dlaczego? Bo zanim cywilizacja pokonała przyrodę, zanim nastąpiła era *homo sapiens*, człowiek musiał stoczyć walkę z prastarym Królestwem Zwierząt. Aby przetrwać, *Hominidae* [7] musiały opanować sztukę zabijania wrogich gatunków. Tak oto człowiek stał się Myśliwym.

Aaron zerknął na syna i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Rozmyślił się jednak i tylko dalej palił skręta, wpatrując się zmrużonymi oczyma w falującą taflę jeziora.

- Już zapomnieliśmy, jak to było - rzekł cicho Christian. - Jak to jest: walczyć o dominację, zabijać, by przetrwać. Zalaliśmy betonem naturę i wydaje nam się, że jesteśmy bezpieczni. Że kontrolujemy każdy zielony skrawek na mapie. Siedzimy w warowniach ze stali i szkła i nawet nie przyjdzie nam do głowy, że era dominacji człowieka może być zagrożona. Że może nadejść czas, kiedy będziemy musieli odszukać w sobie i na powrót rozbudzić te pierwotne instynkty. Na powrót stać się Myśliwymi. Nie możemy wyrzec się tego wcielenia. Jeśli to zrobimy, ryzykujemy zagładę naszego gatunku.

- Skąd te przemyślenia? Czyżby wpływ profesora Reida? - w głosie Forbesa zazgrzytała wrogość.

Tak naprawdę nie sądził, aby podobne teorie mógł zainspirować człowiek pokroju Reida. Reid był tylko tematem zastępczym, zmyłką. Własne tajemnice Forbesa nie pozwalały mu na podejmowanie pewnych kwestii w rozmowach z synem. Nie mógł sobie pozwolić na szczerą i prawdę, na komfort wyrażania własnego zdania. Jeszcze nie teraz.

- Myślisz, że potrafię tylko cytować Reida i podręczniki?

- Nie, ale myślę, że Reid to twój mentor. Chętnie słuchamy naszych mentorów. Równie chętnie głosimy ich myśli.

„To ty powinieneś być moim mentorem”, pomyślał Christian.

Tak, to on powinien być nauczycielem i wzorem – on, jego niegdyś wybitny, obecnie niesławny ojciec. Aaron E. Forbes – najlepszy absolwent Wydziału Nauk Biologicznych na prestiżowym Uniwersytecie w St Andrews [8], zoolog i podróżnik, naukowiec i popularyzator wiedzy przyrodniczej. W trakcie swoich licznych ekspedycji, nawiązał wiele interesujących kontaktów w egzotycznych stronach świata. Najczęstszym kierunkiem jego wypraw były Chiny i Rosja, a także Afryka Południowa i Zachodnia.

Jego upadek zaczął się niewinnie. Cywilizacja coraz bardziej go odpychała. Świat zwierząt coraz bardziej pociągał. Wreszcie, jak mówiono, zdziczał zupełnie, zarzucił obiecującą karierę naukową i zaszył się w lasach. Syna oddał do szkoły z internatem. W ostatnich czasach częściej pojawiał się w ojczystej Szkocji, lecz nikt nie potrafił powiedzieć, czym się zajmuje i w jakim celu znowu wybywa w świat.

Christian czuł, że kiedyś czeka go poważna rozmowa z ojcem, lecz z czasem coraz mniej było mu do niej śpieszno. Setki pytań, które uzbierały się w jego głowie przez całe dzieciństwo, stopniowo gasły. Coraz mniej mu zależało na odpowiedziach. Przed sobą miał własną przyszłość, o którą zamierzał zadbać lepiej niż ojciec. Jednak najwięcej energii przeznaczal na dzień dzisiejszy, na tu i teraz, na studia, odkrywanie świata i setki drobnych aktywności. Jeżeli ojciec nie chciał mieć w tym żadnego udziału, on, Christian, nie zamierzał go na siłę wciągać w swój świat.

Profesor Reid, z drugiej strony, wspierał Christiana w studiach od jego pierwszych dni na Wydziale Zoologii.

Wyłowił go spośród tłumu podobnych mu rówieśników, promieniujących młodzieńczą energią, radością i zuchwałością. Młody Forbes miał w sobie najwięcej magnetyzmu. Reid dostrzegł w nim nie tylko pasję i talent. Profesor poszukiwał ludzi odważnych i zręcznych – takich, których mógłby bez obaw wysłać na egzotyczne projekty badawcze. Którym mógłby powierzyć niełatwe zadania. Zaufał Christianowi. Zgłosił jego kandydaturę do prestiżowego stypendium Fundacji imienia Charlesa Darwina. Fundacja wspierała pomysły obiecujących studentów, młodych badaczy, w których widziała przyszłość rozwoju nauk biologicznych. Stypendium przyznano podopiecznemu Reida – to Christian miał kreować przyszłość zoologii.

Jako kierunek pierwszej wyprawy naukowej młodego stypendysty, Reid zasugerował Chiny. Profesor bardzo aktywnie pomagał opracowywać plan ekspedycji, sugerując miejsca warte dokładnej eksploracji. Na miejscu jednakże Christian dał się ponieść własnej fantazji i dość swawolnie wykroczył poza ramy planu.

– Dlaczego akurat Chiny? – zapytał Aaron i spojrzał badawczo na syna.

– Sugestia Reida – przyznał tamten niechętnie. – Unikalna fauna Gór Żółtych, rezerwat Jiuzhaigou w górach Min Shan...

– E tam – przerwał rozczarowany Forbes. – Myślałem, że byłeś na ekspedycji, a nie na szkolnej wycieczce. – Znów zerknął na syna, który siedział zgarbiony, z łokciami wspartymi o kolana i spoglądał na jezioro chmurnymi, szarymi oczami. – Choć przyznaję, takie rokselany [\[9\]](#) z gór Yunling są niesamowite: wyglądają jak małe Chińczyki!

Christian sposepniał jeszcze bardziej.

- Są niezłe - przyznał. - W ogóle Chiny są ciekawe. Nie żałuję wyprawy, choć tego lata chciałem pojechać w zupełnie inne miejsce.

Aaron wrzucił peta do ogniska, po czym odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

- Dokąd chciałeś pojechać? - spytał nieuważnie.

- Do Angoli - odparł jego syn i Forbes momentalnie oprzytomniał.

- Dlaczego właśnie tam? - wyrwało mu się, nazbyt ostro.

Christian spojrział na niego z lekkim zdziwieniem. Odstawił pusty kubek po herbacie i podniósł się z pnia. Skrzyżował ręce na piersi i przez chwilę spoglądał w milczeniu na postrzępioną taflę Loch Mòr.

- Słyszałeś może o wydarzeniach z Kilamby [\[10\]](#)? - spytał ojca. Aaron nie odpowiedział.

- Jakiś czas temu do mediów trafiło zdjęcie trzech mężczyzn, brutalnie rozszarpanych na ulicach angolskiej Kilamby. Widok z bliska: wybebeszony facet z przeraźliwie, nienaturalnie rozwartą jamą ustną... A w środku zamiast języka sterczy tylko potargany kikut. Wygryzione oczy, głębokie, puste oczodoły. W miejscu, gdzie powinny znajdować się nogi mężczyzny, w czarnej plamie krwi poniewiera się szkielet klatki piersiowej, wyrwanej z trzewi drugiej ofiary. Powykręcane żebra wyglądają jak wielki, zwinięty w kabłąk pająk... No i takie zdjęcie trafia do mediów. Zagranicznych. Świat się chyba trochę przejął, ale w Angoli, kraju przez trzy dekady toczonym przez krwawą wojnę domową, widziano już przecież podobne obrazki.

- No i? - Forbes niechętnie podniósł oczy na syna.

- Mówi się, że tych gości rozszarpały dzikie psy.

– Może i rozszarpały. Po Angoli kręci się *Lycaon pictus* [11]. Wybitnie mięsożerny.

– To nie jedyny taki incydent. Zbadałem trochę temat. Okazuje się, że w mieście-widmie od pewnego czasu mają miejsce osobliwe historie. Zniknięcia, rozszarpane zwłoki, krew na ścianach niezasiedlonych jeszcze wieżowców.

– Brzmi trochę makabrycznie – przyznał Forbes – ale dla tych ludzi to pewnie chleb powszedni.

– Mówisz jak ignorant – nie wytrzymał Christian. – Wśród miejscowych są różne hipotezy: kanibalizm, walki gangów, handel ludźmi i organami ludzkimi, pedofilia, a nawet złe duchy.

– No i co ci się nie podoba w tych hipotezach? Biorąc pod uwagę realia Czarnego Lądu, ta ostatnia teoria wydaje się najbardziej optymistyczna. Oszalały szaman, domagający się krwawej ofiary? Brzmi jak Afryka.

– Rzecz w tym, że świadkowie mówią o watahach dzikich zwierząt, które rzekomo krążą na obrzeżach osiedli i nierzadko zapuszczają się w głąb betonowego kanionu. Nie są jednak zgodni co do charakterystyki drapieżników. Jedno wiem na pewno: żadna z relacji, do których dotarłem, nie opisuje dzikiego psa afrykańskiego. Jeden z chłopców poświadczył, że jego przyjaciół zagryzły psy, lecz powiedział, że były one dziesięć razy większe – *dez vezes maior* – niż zwykłe psy, jakie do tej pory widywał. W innych zeznaniach pojawiały się określenia takie jak *monstros gigantes* (gigantyczne potwory) i *terríveis monstros cinzentos* (straszliwe, szare potwory). Niektórzy świadkowie opisali krwiożercze zwierzęta jako skrzyżowanie hieny, gnu i lwa.

– Ciekawa krzyżówka – mruknął pod nosem Forbes.

- Tymczasem nielicznych i najwytrwalszych mieszkańców miasta-widma ogarnęła psychoza strachu. Strach, ciągła obawa przed tajemniczym złem złamały wiele rodzin - ludzie uciekają do Luandy. Kilamba to łęgowisko krwiożerczych stworów i jądro czarnej magii, która rozpełzła się jak śmiercionośna lawa. Chociaż nie było doniesień o nowych zbrodniach, mówi się o strasznych cieniach, przesuwających się co wieczór po wielkich płytach wieżowców. Mówi się też o nienaturalnych wyciach i rykach, które odbijają się echem od ścian betonowego kanionu. Pod miastem od niedawna stacjonuje wojsko. Oficjalny powód nie jest znany. Armia obozuje również na północnych obrzeżach *Parque Nacional da Kissama* [12].

- Synu - i co z tego? Co ty widzisz w tej całej historii? Czego chcesz?... - Aaron Forbes był dziwnie rozdrażniony. Wydawało się, iż nie może już dłużej słuchać serwowanych mu anegdotek rodem z Czarnego Lądu.

- Chcę - rzekł Christian - rozwiązać mroczną zagadkę z Kilamby. Chcę ustalić winnego, wytypować konkretny gatunek. Za masakrą nie stoi dziki pies afrykański, jestem tego pewien. *Lycaon pictus* w Angoli występuje głównie w południowo-wschodniej prowincji i to też raczej jako migrant z sąsiedniej Zambii czy Namibii. Faktycznie, jest gatunkiem wybitnie mięsożernym - mięso stanowi ponad siedemdziesiąt procent jego diety. Jest również niezwykle skutecznym łowcą. Poluje w zgranych watahach, liczących od kilku do kilkudziesięciu osobników. I tak dalej. Jest jednak pewien problem - wielkość. Dziki pies afrykański osiąga w porywach trzydzieści cali w kłębie. Innymi słowy, żaden z niego *monstro* [13].

– Ale dlaczego, na Boga, chciałbyś, żeby to był potwór?! – wybuchnął Forbes. – Dlaczego to nie może być po prostu dziki kundel? Czemu chcesz czegoś więcej...?

– Nie chcę – powiedział Christian i natychmiast zdał sobie sprawę, że nie jest to prawda – ale tak wynika z relacji świadków. Zacząłem dokładnie badać tą sprawę. Zacząłem się nawet uczyć portugalskiego w nadziei, że dokopię się do prawdy, zakodowanej w tym dziwnym języku. Na studiach mam kolegę z Luandy, nazywa się Rufino da Costa...

– Dosyć! – przerwał mu ojciec. Podniósł się z pnia i podszedł do syna. – Czy ty siebie słyszysz? – rzucił mu ostro w twarz. – Popadasz w obsesję. Jeszcze chwilę, a będziesz jak ta babka, co to pisuje o smokach w Zambii!

– Doktor Marigold Shepherd.

– Taa, Shepherd. Widzę, że już się poznaliście...

– Doktor Shepherd nie pisze o smokach, tylko o pterozaurach.

– Wolałbym, żeby pisała o smokach. Wtedy od razu można by te książki włożyć między bajki. A tak mamy pseudonaukową bujdę! – Aaron odwrócił się od syna, jakby chciał odejść, lecz nagle zmienił zdanie. Zbliżył twarz do twarzy Christiana i powiedział cicho: – Chciałbyś zbadać tą sprawę z Angoli? Nie polecam.

Christian ściągnął brwi.

– Co masz na myśli? – Zapytał i bezskutecznie spróbował wyczytać odpowiedź z pałających oczu Aarona. – Jak będę chciał ją zbadać, to zrobię to.

– W takim razie – syknął tamten – ja ci po prostu nie pozwalam!

Christian omal nie wybuchnął śmiechem.

Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo Aaron, wygłosivszy swą zadziwiającą, rodzicielską kwestię, natychmiast ruszył przez piach w stronę łodzi.

– Idę nakarmić psa – burknął przez ramię, nie oglądając się na syna. – Zgaś ogień, dobra?

– Ja też jestem cholernie głodny – zorientował się Christian.

– To sobie coś upoluj – brzmiała beznamiętna odpowiedź.

Ojciec odpłynął. Ogień w piecyku zgasł. Słońce schowało się już za łagodnymi wzgórzami okalającymi jezioro, lecz niebo wciąż mieniło się delikatną, złotą poświatą.

Na opustoszałej wyspie zostali tylko Christian i wiatr.

RAPORT Z CHIN

Pod wypiętrzonymi górami południowych prowincji kryje się podziemny świat. Tysiące tajemniczych pieczar, których nigdy nie widziało oko ludzkie.

C.T. Forbes

NAZAJUTRZ, nisko nad taflą Loch Mòr umościły się ociężałe, granatowe chmury. Groźne, nabrzmiące od wody, opadły na okolicę niczym ciężka kurtyna. Z okien Forbes House widać było jedynie czarne półkole zatoki oraz drewnianą przystań z pobłyskującymi jak lusterka kałużami.

Christian długo odsypiał podróż w okazałym łóżu w swej dawnej sypialni. Pokój był mroczny, nawet o poranku wyglądał tak, jakby odpalono w nim czarną świecę dymną. Po

ścianach i kątach pełzały tłuste kłęby, utoczone z mroku i kurzu. Łukowate okno przysłaniała ciemna kotara. W ścianie naprzeciw łóżka straszyla czarna jama martwego kominka.

Z wysokiego sufitu nad głową Christiana wyłaniało się baśniowe malowidło: klucz smoków szybujących nocą nad górami. W dawnych latach ojciec opowiadał małemu Christianowi, że smoki migrują na daleką północ, na Hebrydy i Szetlandy, a po drodze zatrzymują się czasami, by żerować w górach. Chłopiec poświęcił niejedne wakacje na tropienie skrzydlatych bestii nad Loch Mòr. Kiedy podrósł i zdał sobie sprawę, że go oszukano, nie usunął malowidła z sufitu. Pozostało symbolem nie tyle jego łowieckiej porażki, co niespełnionych marzeń.

Jako nastolatek zawiesił nad łóżkiem konkurencyjny gobelin. Tkanina wyobrażała półnagą łowczynię ścigającą wspaniałego lwa przez oświetloną promieniami wschodzącego słońca puszcę. Gobelin został utkany w madryckiej manufakturze i sprezentowany Christianowi jako upominek urodzinowy od kolegów z elitarnej szkoły dla chłopców w północnym Yorkshire. Być może tak cennych gobelinów byłoby w sypialni młodego Forbesa więcej, gdyby nie to, że chłopak szybko zdezerterował z tyrańskiej i snobistycznej placówki edukacyjnej. W wieku czternastu lat zażądał od ojca przeniesienia do zwykłej szkoły państwowej. Normalnej i koedukacyjnej. Takiej, gdzie można i dostać w mordę, i przeżyć pierwszą miłość. Tak właśnie trafił do liceum w podgórskim Fort William.

Pierwszej nocy po powrocie z Chin chłopak spał długo. Obudził go dopiero dźwięk klaksonu przed domem.

Wygrzebał się ze sztywnej pościeli, uwalniając mgławicę

starego kurzu. W pokoju panował ziąb. Zeszłego wieczora Christian odkrył, że bojler nie działa i temperatura wody w prysznicu nie odbiega ani trochę od tej w głębinach Loch Mòr. Wykąpał się zatem w jeziorze, lecz nie jakoś starannie: przysłonięta szarą pajęczyną kurzu wykładzina w sypialni nosiła na sobie ślady jego niedomytych stóp.

Dźwięk klaksonu nie powtórzył się i Christian uznał, że mógł to być sygnał od ojca. Pewnie wyjeżdżał „do pracy”. Być może nawet porzucił dom w Szkocji na kolejne długie tygodnie.

Christian bez większego żalu opuścił zimną sypialnię i ruszył pogrążonymi w półmroku korytarzami Forbes House. Jego bose stopy zanurzały się przyjemnie w miękkiej wykładzinie w ciemną kratę. Wykładzinę zdobiły barwy klanu Forbes: zieleń, granat, biel i czerń.

W pierwszej kolejności udał się do kuchni, bez większych nadziei, że przez noc dokonało się tam cudowne rozmnożenie nędznych resztek, jakie odkrył poprzedniego wieczora. Tymczasem czekała go niespodzianka. Po kuchni kręciła się zwalista, ostrzyżona po żołniersku blondyna. Pogwizdując ostro jakąś fałszywą nutę, blondyna dziarsko rozpakowywała torby i zgrzewki, piętrzące się na granitowym blacie.

– Hej – rzuciła niedbale, dostrzegłszy Christiana, po czym wycelowowała w niego kartonem. – Zrób sobie śniadanie – poleciła, kiedy w ostatniej chwili złapał mleko. – Tradycyjna, szkocka owsianka. Gęsta, pożywna – idealne danie dla faceta. Zobaczysz, jaką będziesz po niej miał krzepę!

– Zawsze jem na śniadanie owsiankę – zauważył Christian.

– No to świetnie – odparła nieuważnie. – Co na obiad: zapiekanka z wołowiną czy jagnięciną?

– Obie opcje są równie dobre – powiedział ostrożnie,

zastanawiając się, kim u licha była ta kobieta.

– Aaa – złapała się za głowę – jeszcze przecież lunch! – Tu wyłowiła z torby kilka paczek wędzonego łososia z Morza Północnego. – Strasznie dużo jesz! – rzuciła oskarżycielsko.

Christian wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem – powiedział, wspomniawszy kulinarne hity ostatnich dni: zupka instant i garść bakalii.

– No, ale gdybyś tyle nie żarł, nie miałabym roboty – podniosła na niego rozpromienione nagle oczęta: okrągłe i malutkie, błękitne jak niezapominajka.

Christian wysnuł właściwy wniosek bez zadawania dodatkowych pytań.

– Ojciec panią zatrudnił – stwierdził.

– Mów mi Catriona – zażądała. – Nazywam się Catriona MacDonald. Z twoim ojcem znamy się od lat.

Christian spojrzał na nią z ukosa, zastanawiając się nad charakterem tej znajomości. Niska, napakowana babka koło czterdziestki. Głowa łysa jak u owcy po strzyżeniu. Akcent z okolic Glasgow. Nie, scenariusz romantyczny raczej odpadał.

Znalazł jakąś niedomytą miskę i nasypał sobie hojnie płatków owsianych z kartonowej puszki.

Catriona obserwowała jego poczynania spode łba.

– Mleko trzeba podgrzać – wyjaśniła mu jak idiotcie. Wyrwała karton z mlekiem z rąk chłopaka i zajęła się poszukiwaniem odpowiedniego rondelka. Otworzyła kredens i poczęła z zacięciem i bojową determinacją przekopywać się przez półki z garnkami, robiąc przy tym mnóstwo niepotrzebnego hałasu.

Christian chwycił pierwszy lepszy garnek.

– Już mam – zakomunikował pośpiesznie, by natychmiast ukrócić nieznośną kakofonię.

– Co masz? Nic nie masz. Ten jest brudny – warknęła.

– Nie szkodzi. Będzie pasował do miski.

– Złośliwy jesteś – syknęła groźnie, podnosząc ku niemu zaczerwienioną z wysiłku lub gniewu twarz. – Ale wiedz, że ja tu robię dopiero od dzisiaj. Teraz przyjechałam, przed kwadransem może. Zatrąbiłam przed domem, żebyś wiedział, że jestem. – Obróciła się do półek i z roztargnieniem wytypowała losowy rondel. – Ta robota to nie jest jakieś spełnienie moich ambicji – zaznaczyła, potrząsając złowieszczo żeliwnym naczyniem. – Traktuję ją bardziej jako przysługę. Dla twojego ojca – uściśliła, a kiedy Christian odetchnął z ulgą, po namyśle dodała: – I dla ciebie też. Beze mnie padłbyś z głodu na tym odludziu. Boże, co to za odludzie! Więszego zadupia nie ma w całej Szkocji. No, może twój ojciec by się z tym nie zgodził, on zna jeszcze parę podobnych, uroczych zakątków. W każdym razie – zaczerpnęła tchu – zakupy zrobiłam dziś rano w Fort William. A potem sru przez góry, a tu pogoda taka paskudna i jeszcze ten wypadek... Doceń to! – pacnęła Christiana palcem w pierś.

– Doceniam – odparł mechanicznie, myśląc o czym innym.

– Miałaś wypadek...?

– Nie ja, tylko Chińczyki. W pobliżu Glen Coe. Przyblokowali drogę.

– Co się stało?

– Co się stało – powtórzyła z dąsem. – Ano jedzie sobie autobus wypchany turystami skądś z Azji – jak dla mnie to wszystko jedna rasa, a mianowicie Chińczyki – i nagle jak nie runie w rów! Pewno kierowca stracił kontrolę. Trudno się

dziwić, bo warunki fatalne: dolina cała w chmurze, a do tego leje i wieje z każdej strony, jak to u nas. Szosa niby pusta, bo to rano, a i sezon turystyczny się kończy. Mimo wszystko, wkrótce zrobił się korek, bo nazjeżdżało się tyle karetek, jakby miała miejsce powtórka słynnej masakry – tym razem, Bogu dzięki, nie na MacDonalдах [\[14\]](#). Jak ich mijałam, to starałam się zobaczyć coś więcej, ale się nie dało, bo nas policja przeganiała. Trzeba będzie zaraz sprawdzić, co tam się zdarzyło – To powiedziawszy, Catriona sięgnęła do kieszeni po telefon. – Pierwsze, o co zapytałam Forbesa, to czy w tej twierdzy jest internet. No bo jakże inaczej miałabym tu żyć? A on na to, że jest satelitarny, podobno nawet dofinansowany z kasy państwa w ramach programu wspierania takich odludków jak wy oraz waszych pustelniczych biznesów.

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Christian. – Jak to: żyć? Dlaczego miałabyś tu żyć?

– Twój ojciec chce, żebym prowadziła dom, dopóki ty tu jesteś. Ja tam, wiesz, matki ci nie zastąpię – stwierdziła trzeźwo – ale po mrożonki do Fort William zawsze mogę skoczyć.

– Ja też mogę – rzekł ostro Christian. Proponowany układ zdecydowanie mu się nie podobał. Nie rozumiał, dlaczego ojciec nagle nasłał tą kobietę. Kim ona w ogóle była? Skąd się znali?

Catriona wsparła potężne łapy na blacie i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Słuchaj, młody – rzekła gniewnie. – Ja tu nie zamierzam się z tobą boksować. Ma być pokój, jasne? Bo inaczej rzucam tą robotę. Wierz mi, zwykle przydaję się twojemu ojcu w bardziej ambitnych misjach.

– W takim razie wracaj na misję – odparł Christian. – Nic tu po tobie. Idź do mojego ojca – jeśli wiesz, gdzie on w ogóle może być – i powiedz mu, żeby ci przydzielił ciekawsze zadania.

– Już mu to mówiłam – machnęła ręką. – No, a potem sobie pomyślałam, że ja jestem w końcu babka z charakterem, no a ty podobno też nie byle jaki i kto wie? Może coś się z tego wykluje. Tydzień wakacji dla Catriony – zarechotała. – A tam, na farmie to tylko dzień w dzień gnój i ryzyko kalectwa.

– Pracujesz dla mojego ojca? – Christian spróbował wyciągnąć z jej bełkotu jakieś bardziej użyteczne informacje. – Gdzie?

Popatrzyła na niego z rozbawieniem. Jej okrągła twarz z małymi, świecącymi wesoło oczkami przypominała teraz pucułowatą mordkę różowego prosiaka.

– Słuchaj, takie sekrety to ja mogę zdradzić tylko w łóżku... – zachrumkała.

Christian nie miał ochoty na powtórkę z Pięknej i Bestii i to w takiej konfiguracji. On – niby że piękny, ona – dajcie spokój.

– W takim razie życzę ci, żebyś kiedyś znalazła chętnego, który chciałby je z ciebie wyciągnąć – powiedział łaskawie. – Tymczasem – zwalniam cię.

– Co? – prychnęła. – Wyrzucasz mnie...?

– Nie, jeśli sama wyjdiesz. Za pięć minut ma cię tu nie być, dasz radę?

Catriona szybko przełknęła rozczarowanie.

– A co z towarem? – zapytała konkretnie, wskazując na stertę zakupów.

- Możesz je zabrać z powrotem. Umiem sobie radzić bez sklepów spożywczych.

- Jesteś, wypisz wymaluj, jak twój ojciec – stwierdziła, a on nie wiedział, czy można to było traktować w kategoriach komplementu.

Pozbywszy się Catriony, Christian dość szybko o niej zapomniał, choć samo odkrycie, że łączyły ją z ojcem jakieś interesy dało mu nieco do myślenia. Nie zastanawiał się jednak nad tym zbyt długo, gdyż wkrótce znalazł sobie ciekawsze rozrywki.

Włości Aarona Forbesa położone były nad niewielką i głęboką zatoką, wykrojoną na kształt łagodnego półkola. Wody w zatoce były niespokojne, miejscami tafla załamywała się, woda bulgotała i wirowała groźnie i szybko wokół niewidzialnej osi, ciągnąc wszystko wokół w dół, w przepastne głębiny. Bywały także dni, kiedy zatoka nęciła zdradzieckim spokojem, zachęcając do wypraw na szerokie wody Loch Mòr. W takie dni Christian lubił nurkować w samej zatoce. Od dziecka skakał do wody bez specjalnego sprzętu, na wstrzymanym oddechu, bawiąc się w słodkowodnego delfina. Uważał, że w ten sposób intensywniej odczuwa pobyt w podwodnym świecie – tak bliskim, a jednocześnie tak innym i niedostępnym. Natura chytrze ograniczyła anatomię człowieka tak, iż w pewnych miejscach może być jedynie gościem. Kiedy Christian schodził pod wodę bez tlenu, robił to, by doświadczyć świata, z którego wyrzuciła go Natura. By poczuć, jak Ona staje na jego drodze, jak mu tę drogę zagradza. I by poznać swoje własne limity.

Tego dnia zszedł na przystań z lekką kuszą do podwodnego łowiectwa. Koło brzegu lubiły się kręcić okonie, ścigające

drobniejsze rybki. Po szczupaki lepiej się było wyprawiać w głąb jeziora. Ale wtedy to już łódka i pełny sprzęt. A tak – można sobie skoczyć z głupa do wody i sprawdzić, czy aby nie błąka się tam nic ciekawego.

Nic ciekawego się nie błąkało. Sama drobnica. Woda zimna jak diabli. Następnym razem można piankę założyć.

Christian pokręcił się chwilę przy nierównym i pagórkowatym dnie, rozcinając sobie nogi i brzuch o kamienie. Wreszcie wynurzył się, zziębnięty i przyobleczony w glony. Natychmiast obsiadły go gryzące muszki, gotowe do penetrowania apetycznych zadraśnień.

Wdrapał się na molo i ruszył w stronę domu. Granatowo-szare chmury opadły jeszcze niżej – idąc, miał wrażenie, że rozpruwa je głową i torsem.

Kiedy brnął na bosaka przez zachwaszczoną, kamienistą plażę, na zwirowany podjazd przed zamczyskiem wtoczył się poobijany samochód pospolitej marki.

Był to stary vauxhall z lat siedemdziesiątych. Kanciasty, żółty jak masło. Z licznymi wgnieceniami, świadczącymi o niełatwym, lecz barwnym żywocie. Christian znał tylko jedną osobę, która mogłaby zafundować taki żywot wysłużonemu vauxhallowi. Szczególnie, jeśli samochód był koloru żółtego i posiadał północnoirlandzkie tablice rejestracyjne.

Wyglądało na to, że nad Loch Mòr przybył Rory Dodds.

I rzeczywiście, z auta wysunął się niechlujny młodzian o długich, rudych i okropnie wymiętych włosach, przykrytych dla niepoznaki kowbojskim kapeluszem z czarnej skóry. Rondo kapelusza opadało po bokach, nadając młodzianowi lekko melancholijnej aury.

Rory trzasnął drzwiczkami, lecz ten pojedynczy manewr

bynajmniej nie wystarczył, by się skutecznie zamknęły. Trzasnął więc drugi raz – zamknęły się, a on z zadowoleniem poklepał żółtą blachę.

Od razu okazało się, że Rory nie przyjechał sam: od strony pasażera drzwi również się rozwarły i z samochodu wysiadł smukły młodzieniec w eleganckich mokasynach i marynarce z grubej wełny. Młodzieniec miał poważną, dystyngowaną aparycję, subtelne rysy twarzy, podkreślone okularami w delikatnych, metalowych oprawkach. Nazywał się Vincent Ross.

Vincent, Rory i Christian studiowali razem zoologię na Uniwersytecie w Edynburgu. Christian zaprosił ich nad Loch Mòr, by wspólnie spędzili końcówkę wakacji. W planach nie było nic ambitnego, ot, czysta rekreacja: kajaki na jeziorze, wólczyga po okolicznych górach.

– Co ty, Forbes, na ryby w środku dnia? – Rory uniósł leniwie jedną brew i omiół spojrzeniem zmokłego Christiana. – O świcie trzeba było! – Jego wzrok przesunął się na ociekającą wodą kuszę. – Czy to narzędzie do zabijania? – upewnił się. – Tylko nie pokazuj Vince'owi, bo nam zemdleje, a już i tak kiepsko wygląda po tej jeździe przez wertepy. Omal mi nie zarzygał tapicerki. Nie, żeby nigdy nie była zarzygana, ale powiedziałem sobie – raz na pół roku, nie więcej! Walcz potem z tymi wymiocinami, morduj się z nimi – a plama i tak zostanie. I zapach. To znaczy, smród.

Pojawienie się Rossa, choć zawsze mile widziane, było dosyć kłopotliwe. Vincent był aktywnym działaczem na rzecz ochrony przyrody, udzielał się w wielu „zielonych” organizacjach, z WWF Scotland oraz Scottish Wildlife Trust na czele. Ross wierzył w możliwość harmonijnego współistnienia

człowieka oraz świata przyrody, z którego człowiek wszakże się wywodził. Wiarę tę zakłócali ludzie pokroju Christiana, toteż młody Forbes nie śpieszył się z wyjawianiem swojej pasji do mordowania zwierząt.

Na szczęście, w tej chwili Vincent faktycznie wyglądał dość mizernie i jedyne, na czym koncentrował uwagę po opuszczeniu starego vauxhalla, było zaczerpnięcie jak największej ilości świeżego powietrza.

– Mam chyba – powiedział słabym głosem – chorobę lokomocyjną. – Po czym bez ostrzeżenia zwymiotował do kamiennej fontanny.

Christian wykorzystał moment, by ukryć kuszę za fotelem kierowcy.

Rory objął przyjaciela ramieniem.

– Dobrze, że wróciłeś, stary. A Chiny w porządku?

– Musisz nam wszystko opowiedzieć – wychrypiął Vincent, unosząc znad fontanny żałośnie bladą twarz.

I opowiedział im. Nie wszystko, co prawda, lecz to i owo – i nie w domu, a w górskiej chacie.

Chata była prostym, jednoizbowym domkiem, wybudowanym z dużych, polnych kamieni i przykrytym łupkową dachówką. Dachówka odpadała, wewnątrz, na bielonych ścianach widniały plamy wilgoci, a w kamiennej podłodze straszyły głębokie szczeliny i pęknięcia. Jedynym udogodnieniem było miejsce na palenisko oraz jako taki dach nad głową i mury chroniące przed porywistym wiatrem. Chata wrastała w kamieniste zbocze góry, w pogodne dni z dwóch małych okienek rozpościerał się widok na torfowiska Rannoch Moor i pasmo Black Mount.

Wędrówka do chaty zajęła im cały dzień. O brzasku tego

dnia, Christian zamknął na cztery spusty masywne drzwi granitowego zamczyska, po czym wyruszyli na południe przez otulone mokrą chmurą góry i torfowiska.

Brudni i mokrzy, wymordowani przez wiatr i zmęczeni tułaczką przez bagna i skalne rumowiska, schronili się na noc w samotnej chacie. Christian rozpałił ogień i po chwili z niskiego komina uleciał w zamglone przestworza rzadki, siwy dym.

Wieczór upłynął im na leniwym zaleganiu w grubych śpiworach. Za drzwiami hulały żywioły. Nad ogniem suszyły się wełniane skarpety. Pomiędzy śpiworami kursowała butelka MacPhail's Highland Malt, którą Christian odkrył w Forbes House w dość zaskakujących ilościach – ojciec jakoś nigdy nie przyznawał się do szczególnego umiłowania whisky produkowanej przez sąsiada z drugiego brzegu.

– Za mało wzięliśmy mięsa – marudził Rory, przypatrując się swojemu odbiciu w szkle butelki. – Potrzebuję mięsa. To dla mnie niezwykle ważne, żeby zawsze było dużo mięsa w moim otoczeniu.

Christian ziewnął.

Vincent zamrugnął sennie powiekami.

– Czemu? – zapytał półprzytomnie.

– Co: czemu?

– Czemu to takie ważne?

– Ponieważ – rzekł Rory – hoduję mięśnie, panowie.

– Daj butelkę – rzekł Christian. – Za długo już ją trzymasz.

– Dlaczego hodujesz mięśnie? – zastanowił się Vincent.

– Robię to w ramach walki o wyraźny dymorfizm płciowy naszego gatunku. To szczególnie ważne w dzisiejszych,

skądinąd interesujących, czasach, kiedy to granice pomiędzy płciami często się zacierają i gołym okiem pewnych spraw nie da się stwierdzić na pewno...

Tu Christian przypomniał sobie niejaką Catrionę MacDonald i tylko pokiwał głową.

– Tymczasem ja uważam – kontynuował z zapałem Rory – że samiec, co do zasady, powinien być większy i silniejszy. Powinien mieć masywny kośćiec, silne umięśnienie, dużą głowę i wyraźnie zaznaczony kłęb! Zaś co do maści tudzież szaty godowej... co sądzicie o długich włosach? – tu rozwiązał kucyk i z wdziękiem starego rockmana machnął rudymi piórami.

– Skąd to nagle zainteresowanie wyglądem zewnętrznym? – zapytał podejrzliwie Vincent i bezskutecznie spróbował przejąć butelkę od Rory'ego.

– Nie masz pojęcia, jak ważny jest wygląd zewnętrzny – burknął na to Irlandczyk. – Szczególnie w okresie, w jakim teraz się znajduję.

– A jaki to okres? – zapytał ciekawie Forbes.

– Godowy – odparł ponuro jego kolega.

– Samica hieny jest większa od samca – zauważył tymczasem Vincent. – Zresztą, to tylko jeden z licznych przykładów...

– Nie interesują mnie hieny – uciał Rory. – A skoro już mamy się przerzucać przykładami, przypomnij sobie łosia irlandzkiego! – Powiedział to tak, jak gdyby jego kolega chodził po tym świecie już za plejstocenu.

– Łoś irlandzki, *Megaloceros giganteus* – zagrzmiął Rory, nieroztropnie uderzając butelką w podłogę dla wzmocnienia przekazu – miał poroże długie na dwanaście stóp! Człowieku,

co to był za gigant! Same rogi ważyły tyle co ty!...

– Absurdalny produkt doboru płciowego – skomentował Christian.

– Absurdalny? – poderwał się Rory. – Mylisz się! Atrakcyjność fizyczna i jakość biologiczna – oto, co zapewnia sukces reprodukcyjny. Pomyśl tylko: taki łoś musiał siać pogrom wśród samic!...

– Jednak nie zagwarantowało mu to przetrwania – zauważył Vincent.

– Stary, to był późny plejstocen – wtrącił Christian. – Czasy były ciężkie: epoka lodowcowa i tak dalej.

– Temat jest ciekawy – rzekł w zadumie Vincent. – Jakie cechy są preferowane przez samice? Jaka jest skuteczność poszczególnych cech? Co liczy się bardziej: wielkość, symetria, a może zapach?

– Jeśli mówimy o osobnikach ludzkich, powiedziałbym, że zasoby – odparł ironicznie Forbes.

– Brutalne, ale prawdziwe – przyznał Rory. A potem dodał, pozornie od rzeczy: – Mój ojciec ma farmę owiec.

– I co? Dziewczyny na to lecą?

– Na owce? Nie bardzo.

Koledzy roztropnie zmienili temat.

Christian powrócił do opowieści o Chinach. Rory i Vincent zamknęli oczy i próbowali wyobrazić sobie zaśnieżone szczyty gór Hengduan Shan, zielone doliny Yunnanu i wzburzone wody „Angry River” – rzeki Saluin.

– Przed wyprawą do Yunnanu, czytałem artykuły Josepha Rocka [\[15\]](#) – mówił Christian. – Znalazłem je w archiwalnych wydaniach „National Geographic”. Parę rzadkich tytułów

odkryłem też w bibliotece mojego ojca w Forbes House. Gorzej było z dotarciem do filmów, które Rock kręcił podczas swoich ekspedycji.

Niektóre można znaleźć w amerykańskich archiwach i obejrzeć online. Profesor Reid uruchomił swoje znajomości w Londynie i załatwił dostęp do wersji VHS, nagranej na podstawie oryginalnych taśm z lat dwudziestych.

– Kim był ten Rock?

– Rock to taki Indiana Jones. Łowca przygód. Kręcił się po najdzikszych, najbardziej niedostępnych zakątkach Yunnanu. Dotarł do miejsc, o których wcześniej nie słyszał biały człowiek. Przy okazji zbierał rośliny i opisywał je, jak to botanik. Najpierw pomyślałem sobie, że fajnie byłoby odtworzyć trasę jego ekspedycji, ale potem uznałem, że jeszcze lepiej byłoby nakreślić własną.

– A co na to Reid i sponsorzy z szacownej Fundacji?

– Reid... – zawahał się Christian. – Był bardzo pomocny. Nawet za bardzo. Miałem wrażenie, że forsuje swoją wizję tej wyprawy. Nakreślił plan, który ja miałem wykonać punkt po punkcie. Nawiasem mówiąc, żądał raportów z każdego odcinka wyprawy. Stąd też stworzyłem całą dokumentację: zdjęcia, filmy, dzienniki, próbki i tym podobne.

– Pewnie takie są wymogi Fundacji – zasugerował Vincent.

– Śledzą twoje kroki, bo lubią wiedzieć, co robisz z ich funtami. Monitorują, czy je roztropnie wydajesz. A co do Reida, no cóż – wzruszył ramionami. – Jesteś jego pupilkiem. Chce, żeby twoja kariera przebiegała jak bajka. – W ostatnim zdaniu zabrzmiała gorycz. Nie było tajemnicą, iż Vincent zazdrościł Christianowi zarówno stypendium, jak i względów u profesora.

- Stypendium pewnie i tak mi odbiorą - powiedział Christian i wyjawiał kolegom, że nie trzymał się za bardzo oficjalnego planu wyprawy.

- Ale przecież - zdumiał się Vincent - widziałem twoje wpisy o endemicznych gatunkach, o zwierzętach i roślinach, które żyją tylko w lasach południowo-zachodnich zakątków Chin. Czyż to nie był oficjalny punkt wyprawy? - Pytanie było retoryczne:

Vincent doskonale znał odpowiedź, gdyż dogłębnie przestudiował program ekspedycji Forbesa.

Christian wychylił resztę whisky i przez chwilę przyglądał się refleksom na brudnym szkle.

- Chodzi o to, że - powiedział powoli - zboczyłem z trasy. Dość znacznie. O kasę się nie martwię - w Chinach można płacić na rozmaite sposoby.

- Co masz na myśli? - Rory uniósł się na łokciach i nastawił uszu.

- Nie „to” - burknął Christian i Irlandczyk opadł z westchnieniem i ponownie założył ręce pod głowę. - Są pewne rośliny i grzyby, niezwykle rzadkie, które występują tylko w konkretnych miejscach i za które Chińczycy są skłonni płacić duże pieniądze.

- Ale ty nie jesteś botanikiem, Forbes! - roześmiał się Rory. - I nie mam ci tego za złe: nie po to szedłeś na zoologię, żeby robić w kwiatkach.

- Jestem biologiem - odparł Christian. - Z „kwiatami” też sobie poradzę, jeśli będzie trzeba. Na przykład, kiedy odetną mi fundusze ze stypendium, będę musiał sobie zorganizować kolejny pobyt w Chinach na własną rękę. Ale mam już kilka pomysłów.

- Nie odetną ci funduszy, nie bądź takim fatalistą! Ot, zboczyłeś na chwilę z wytyczonej ścieżki, za to nie płaci się głową. Zresztą, Reid na pewno ci pomoże - rzekł z przekonaniem Rory.

- Chcesz wrócić do Chin? Dlaczego? - zainteresował się Vincent.

Christian zastanowił się, ile może im zdradzić.

- Dotarłem do pewnych miejsc, na które potrzeba więcej czasu. Więcej niż miałem w ramach oficjalnego grafiku.

- Co to za miejsca? - Koledzy spojrzeli na niego czujnie, jakby podejrzewali, że chowa jakiś sekret.

- Groty - odparł. - Podziemny świat, ukryty pod wypiętrzonymi górami południowych prowincji. Jaskinie krasowe ciągnące się jakby w nieskończoność. Gigantyczny kompleks, zagmatwany jak labirynt. Tysiące tajemniczych pieczar, których nigdy nie widziało oko ludzkie.

- Jak dotarłeś do tych grot?

- Podróżowałem z parą Chińczyków, których poznałem w Chongqing. Brat i siostra. Jakiś czas temu zaczęli eksplorować na własną rękę niezbadane dotychczas jaskinie krasowe. Sprawa nie jest prosta: to jak wspinaczka wysokogórska, tyle że schodzisz głęboko pod ziemię. Wewnątrz groty jest czarno, mroźno i mokro. Nie widzisz nic, wokół ciebie huczy spływająca ze skał woda. Trzymasz się kurczowo śliskiej liny i myślisz, jak zrobić kolejny krok, żeby nie spaść. Żeby nie roztrzaskać się o dno tej makabrycznej studni. Masz na sobie kask, gumowce, nieprzemakalny kombinezon. Jedynym źródłem światła jest mała czołówka. W jej blasku oglądasz cuda podziemnego królestwa: baśniowe formacje wapienne i dolomitowe, potężne, skrzące stalaktyty

i stalagmity, które powstają tu od setek albo i tysięcy lat.

Najtrudniej jest zejść, zwłaszcza kiedy musisz transportować sprzęt. Na dole, na dnie groty przydaje się lekki ponton z wiosłami. Przed zejściem patrzysz, jak woda spada z hukiem w czarne czeluści. Wiesz, że musisz iść jej śladem. Woda sięga ci najpierw po kolana, potem już po pierś, a na końcu po prostu się topisz. Masz tylko linę, od tego, jak ją wykorzystasz, zależy, czy nie porwą cię spienione wody. Jeśli cię porwą, twoje zwłoki wypłyną dziesiątki lub setki mil dalej. O ile wcześniej nie roztrzaskają się o skały.

Widoczność jest niemal zerowa. Twoja lina zanika gdzieś w ciemnościach. Nie masz pojęcia, jak głęboko będziesz schodzić.

Nie wiesz, co cię czeka parę jardów dalej.

Na dole jest lepiej. Tutaj zaczyna się ta milsza część wyprawy. Woda na ogół jest spokojniejsza, można przemieszczać się pontonem. Ale głębokość podziemnych rzek jest zdradziecka. Trzeba uważać – zwłaszcza, kiedy na powierzchni mają miejsce ulewy. Wiele grot jest wyniesionych ponad poziom podziemnego potoku. Takie miejsca można eksplorować „na sucho”, krok po kroku odkrywając geologiczne skarby podziemnego królestwa. W niektórych jaskiniach mogliśmy urządzić na kamieniach mały biwak: wyjąć jedzenie i lampy, rozłożyć maty i hamaki. W innych pieczarach witała nas gęsta, wilgotna chmura, przez którą nie mogło się przedrzeć żadne światło.

Wyjść z tego świata to niemal cud. Przecież nie wiesz, którędy prowadzi labirynt. My wychodziliśmy z reguły w odległych dolinach, daleko od miejsca, w którym zaczęła się podróż.

Rory podniósł się raptownie z ziemi. Jego oczy pały podnieceniem.

– Boże, Forbes – powiedział, ściskając ramię Christiana – ty musisz mnie tam zabrać! Bierz mnie tam choćby jutro!...

– No, ale zaraz, zaraz – przystopował go Vincent. Potarł palcami zmęczone oczy, próbując zebrać myśli. – Geologiczne skarby, jak mówisz, to fajna sprawa. Ale czy w tych grotach żyją jakieś zwierzęta? No i... – Odchrząknął, lekko zmieszany. – Czy napisałeś Reidowi raport z tych miejsc?

– W podziemiach warunki życia są specyficzne – zaczął wymijająco Christian, myśląc, jak mógłby wybrnąć z niewygodnego dla niego tematu.

Z kłopotu wybawił go Rory.

– Nie, no przecież jest cała grupa organizmów przystosowana do życia w wodach podziemnych – wtrącił z dużą pewnością siebie Irlandczyk. – Na pewno otarłeś się tam o jakieś ślepe ryby czy skorupiaki...

– Nie tak łatwo wytropić zwierzę, które zazwyczaj jest przezroczyste i stroni od światła twojej latarki – mruknął Christian.

– A tak w ogóle, to jest idealny temat na pracę badawczą! – Rory radośnie pacnął go po plecach. – Fundacja imienia Charlesa Darwina obsypie cię funtami! Fauna chińskiego podziemia, to dopiero temat! Jeśli w ogóle ktokolwiek się nim zajmował, dokumentacja jest na pewno tylko po chińsku, znaczy się – świat o niczym jeszcze nie wie. Dopiero, jak będzie po angielsku, to się dowie. Tak to działa, bracie.

– Coś w tym jest – przyznał, niezbyt ochoczo, Christian.

Vincent przyjrzał mu się uważnie.

– Dlaczego nie napisałeś raportu? – zapytał.

- Bo co? Chętnie byś poczytał?
- Chociażby.
- Nie napisałem tego raportu, bo nie chcę, żeby Reid wiedział o tej wyprawie.
- A tym samym nie chcesz, aby ktokolwiek się o niej dowiedział – rzekł z naciskiem Ross.
- Tobie powiedziałem – przypomniał mu Christian.
- Coś tam powiedziałaś, ale za mało, żebym był usatysfakcjonowany. Mam wrażenie, że coś ukrywasz. Po co chcesz tam wracać? Nie jesteś geologiem – dlaczego więc chcesz dalej łązić po tych grotach?
- Mam! – zawołał Rory. – Wpadłem na genialny pomysł! Christian, temat jest duży – mógłbyś się nim podzielić z kumplami. Ty weźmiesz podziemne ryby, Vince, dajmy na to, mięczaki, a ja skorupiaki. Co wy na to, chłopaki? Genialne, nie ma co!
- Wątpię, żeby Forbes chciał tam wracać dla ryb czy mięczaków – odparł Vincent, nie spuszczając wzroku z Christiana.
- Ee – wyraził szczere niedowierzanie Irlandczyk. – Serio?
- Dla takiej drobnicy nie ryzykuje się połamania kręgosłupa w czarnej pieczarze – wyjaśnił mu Ross. – O, nie. Kręgosłup i życie można poświęcić tylko dla czegoś dużo bardziej spektakularnego... Dla czegoś niezwykłego. Mam rację, Christian?
- „他妈的! [16]”, pomyślał Forbes.

*Twierdzić, że potwór z Loch Ness nie istnieje – to
błuznierstwo.*

R. Dodds

WRÓCILI DO FORBES HOUSE następnego wieczora.

Kiedy nad ranem opuszczali chatę, góry spowijała mgła. Po zarzuconych głazami zboczach pełzały szare, nasyczone wilgocią opary. Chłopakom wirowało w głowie z niewyspania i zmęczenia, a w siwych odmętach czuli się trochę jak we śnie. Przez resztę dnia wędrowali na oślep, rozbryzgując błoto ciężkimi buciorami. Deszcz chlustał im w twarze zimnymi strumieniami. Góry chowały się za chmurami, nieprzyjazne, groźne.

Rory ślizgał się po kamieniach z rozmarzonym uśmiechem.

– Fajne góry macie w Szkocji – powiedział z uznaniem. Z nosa kapała mu woda.

– Ta część Wielkiej Brytanii została chyba wyklęta przez wszystkie możliwe bóstwa Słońca – stwierdził Vincent.

Christian wskoczył na duży głaz i uruchomił lawinę. Patrzyli tępo, jak struga szarych kamieni spływa w dół stromego zbocza. Rory pierwszy oderwał wzrok od koziółkujących głazów. Przyłożył rozpląszczoną dłoń do brzucha i wsłuchał się w siebie z uwagą.

– Ależ bym teraz zjadł burgera z frytkami! – wyjął.

– A ja bym się napił parującej herbaty z mlekiem i poczytał książki – rozmarzył się Vincent. – Pomyślcie sobie, już niebawem będziemy z powrotem w domu, a tam czeka na nas wielki, rozgrzany bojler...

Christian uznał, że byłoby podłością wyznać teraz prawdę o wadliwym bojlerze.

Przynajmniej lodówka była pełna: Catriona wspaniałomyślnie pozostawiła większość zakupów, zabierając jedynie wielopak swoich ulubionych chipsów o smaku octu winnego i miodowej musztardy z Arran. Christian udzielił jej swojego błogosławieństwa.

Przez kolejne dwa dni nad Loch Mòr szalała ulewa. Ciężkie krople deszczu bombardowały cienkie szybki w łukowatych oknach Forbes House, porywisty wiatr zawodził w kominach opustoszałej rezydencji. Chłopcy zabarykadowali się w granitowej twierdzy i czekali, aż szalą żywiołów zelżeje.

Większość czasu spędzali w starym pokoju bilardowym. Leniwie pykali w kolorowe bile, przeglądali książki i popijali whisky zagrabione z piwnic zamczyska. Na wielkim ekranie, zamontowanym tu całkiem niedawno, migały bezdźwięcznie urywki z meczów rugby, piłki nożnej i golfa.

Pokój bilardowy był obszernym, kwadratowym pomieszczeniem o niskim suficie i wątłym oświetleniu. Styl, w jakim urządzone wnętrze, przypominał gościom, iż znajdują się w jaskini mrocznego Aarona Forbesa. Dwa neogotyckie okna przysłonięte były ciężką kotarą z pluszu. Światło nie było tu mile widziane – rozpraszało czarne myśli i psuło szorstkie rozmowy. Na kamiennej podłodze leżał kraciasty dywan, tkany w barwy klanu Forbes. Ściany obito luksusową tapetą z czarnego aksamitu. Centralne miejsce zajmował okazały stół bilardowy; nad jego granatowym sukniem zwiślał złowieszczo ciężki, średniowieczny żyrandol z kutego żelaza.

Vincent przyniósł do pokoju naręczkę książek, jakie wyselekcjonował z biblioteczki w dawnym gabinecie

Christiana. Niestety, wejście do wielkiej biblioteki Forbes House było zakratowane, a Christian nie wykazał entuzjazmu, kiedy poproszono go o znalezienie stosownego pęku kluczy.

Vincent umieścił książki na stoliku o dość osobliwej konstrukcji. Główną oś stolika stanowiła wbita wprost w podłogę dzida, wokół której wiło się wypchane cielsko czarnej kobry królewskiej.

Na łbie węża spoczywał okrągły blat z ciemnego szkła.

Vincent usiadł po turecku i rozchylił karty pierwszej księgi.

Tom nosił tytuł „*Pterosauria zachodniej Zambii*”.

– Oo, co ja widzę? Zakazane lektury! – Popukał palcem w okładkę. – Czy to aby nie jedno z tych niesławnych dziełek doktor Shepherd?

Marigold Shepherd z Uniwersytetu Londyńskiego szczęśliwie zdążyła zrobić doktorat z historii naturalnej Zambii oraz zdobyć jako takie uznanie w skostniałym świątku brytyjskich uczonych, zanim jeszcze zawładnęła nią mania poszukiwań mitycznych stworów na południowoafrykańskich bagnach. Jej późniejsze badania nad gadami latającymi dramatycznie nadwątlily reputację Shepherd jako kobiety światłej.

– Przeczytać można – rzucił lakonicznie Christian.

Przysiadł na brzegu stołu bilardowego i zaczął pocierać końcówkę kija niebieską kredą.

– Niby tak – odparł Vincent – ale chyba cię to wzięło? – Tu znacząco uniósł kolejny tom: „Śladami Franka H. Mellarda” tej samej autorki.

– W liceum czyta się różne rzeczy – wzruszył ramionami Christian. – Jedni biorą się za fantasy o krasnoludach i elfach, inni wolą bajki o *Kongamoto*.

- O czym? – zakrzyknął Rory ze swojego fotela.

Irlandczyk zalegał pośród skór z czarnego niedźwiedzia, którego to biedaka Aaron Forbes przydybał gdzieś w Appalachach.

Christian pochylił się nad stołem i zamasyście uderzył w białą bilę.

- *Kongamoto*, tajemniczy stwór wyglądem zbliżony do pterodaktyla – wyjawiał łaskawie. – Członkowie ludu Kaonde twierdzą, że można go spotkać nad bagnami Jiundu w północno-zachodniej prowincji Zambii.

- Taa... – mruknął Vincent, przewróciwszy parę kartek książki o pterozaurach. – I o ile członkom ludu Kaonde pewne twierdzenia można wybaczyć, to już w stosunku do ludzi uważających się za badaczy, za naukowców, byłbym zdecydowanie mniej tolerancyjny.

- I co? – rzucił cierpko Forbes, przymierzając się do kolejnego uderzenia. – Paliłbyś ich na stosach? – Uderzył mocnym, pewnym ruchem i kolejna kolorowa bila wylądowała w kieszeni stołu.

- Ty, Ross, to nawet w potwora z Loch Ness nie wierzysz – zakpił Rory. – A to już jest świętokradztwo!

Vincent poprawił okulary na swoim długim nosie i ponownie pochylił głowę nad książką.

- Stypendyści Fundacji imienia Charlesa Darwina też nie powinni wierzyć w takie bzdury – orzekł, nie podnosząc oczu na Christiana.

Forbes z pewnym ociąganiem odłożył kij do gry.

- To nie jest kwestia wiary – powiedział, oparłszy dłonie o mahoniową ramę stołu. – Doktor Shepherd prowadzi

badania naukowe w terenie. Poszukuje tropów i śladów, przeprowadza rozmowy z rdzennymi mieszkańcami tych terenów, ze świadkami...

- Ze „świadkami”? Christian, proszę cię... - Vincent z dezaprobatą pokręcił głową. - Zapominasz się. Już nie jesteśmy w liceum. Czas odłożyć bajki na bok i wziąć się za studia. Chyba nie chcesz rozczarować profesora Reida?

- O tej doktor to słyszałem - wtrącił się Rory. - Babka, co przesiaduje na bagnach gdzieś w Afryce i twierdzi, że dinozaury są wśród nas. Ale ten Mellard, co to za jeden?

- Mellard był brytyjskim podróżnikiem i badaczem - wyjaśnił Christian. - Bardzo respektowany gość: ukończył Oxford, był członkiem różnych towarzystw naukowych - zoologicznych, antropologicznych i geograficznych. The Royal Geographical Society przyznało mu nagrodę imienia Cuthberta Peeka. W latach dwudziestych Mellard wydał książkę pod tytułem *The Witchbound Africa*. Ta książka jest czymś w rodzaju studium etnograficznego, Mellard opisuje w niej wierzenia i rytuały ludów Rodezji Północnej, czyli dawnej Zambii.

- I to cię interesuje? - zdziwił się Rory.

- W tej książce zainteresował mnie tak naprawdę jeden rozdział - przyznał Forbes. - Rozdział poświęcony istnieniu tajemniczego stworzenia, nazywanego przez lokalnych *Kongamoto*.

- Nigdy o takim nie słyszałem.

- No, to teraz sobie posłuchasz - mruknął Vincent, zerknąwszy na wyraźnie ożywionego Christiana.

Ten zaś kontynuował:

- Mellard zebrał relacje świadków, którzy twierdzili, iż

widzieli to stworzenie. Na podstawie ich opisów powstała taka mniej więcej charakterystyka: po pierwsze, zwierzę przypominało ptaka, lecz ptakiem nie było. Prędzej była to jakby jaszczurka z błoniastymi skrzydłami – jak u nietoperza. Rozpiętość skrzydeł szacowano na cztery do siedmiu stóp, a to jest już coś. Brak upierzenia. Kolor skóry: czerwony. Zwierzę posiadało dziób oraz – uwaga – zęby.

– Jednym słowem, wypisz wymaluj, czerwony pterozaur! – podsumował Rory. – O ile takowe istniały.

– A czy ten facet zobaczył stwora na własne oczy? – zapytał kąśliwie Vincent.

– Nie sądzę, lecz inni badacze i podróżnicy poparli hipotezę, jakoby stwór o podobnej charakterystyce miał żerować w gęstych, podmokłych lasach Rodezji Północnej.

– Akurat! – prychnął Vincent i znów pokręcił głową. – Pewnie jedynym takim stworem jest aktualnie sama doktor Shepherd... Już ją widzę, jak żeruje w gęstych, podmokłych lasach Zambii i jak tam kwitnie jej fantazja!...

Christian nie zwracał na niego uwagi, zaabsorbowany tematem.

– Miejscowi wierzyli, że popatrzeć tej bestii w oczy to pewna śmierć. Tym, co mnie jednak najbardziej intryguje, jest ta niezwykła zbieżność opisu *Kongamoto* z charakterystyką *Pterodactylus*. Przecież ci ludzie nie mogli wiedzieć o istnieniu prehistorycznych gadów latających. Poza tym, jak wspomniałem, opisy tajemniczych, latających bestii pojawiają się też w innych relacjach. Na przykład, mówiono o smokach latających nocą wokół wierzchołka Kilimandżaro. Jedyne, co mi tu nie pasuje, to dlaczego gad miałby być aktywny nocą, kiedy jest zimno?

Vincent uniósł brew.

– Naprawdę? – odezwał się zmęczonym głosem. – Czy to naprawdę jedyne, co ci nie pasuje w tej historii...?

– A może – zignorował go Forbes – może po prostu smoki są stałocieplne?

Popatrzyli po sobie – i naraz wybuchnęli śmiechem.

– Forbes, zlituj się! – zawył Vincent i wycelował w przyjaciela ciężkim tomem. – Robisz sobie jaja, a ja myślałem, że będzie z ciebie poważny naukowiec!

Christian uchylił się przed ciosem i księga rąbnęła w portret upiornej Lamasztu [\[18\]](#), prosto w zakrwawione ręce demona.

Porzucili temat tajemniczych stworów, lecz zupełnie przypadkowo wrócili do niego pod wieczór. Stało się to za sprawą Rory'ego, który wyprawił się w głąb zamczyska w poszukiwaniu jakiejś kolacji. Szczęśliwie trafił do kuchni, gdzie wyłuskał z zamrażalnika największe pudełko. Zgodnie z obietnicą na opakowaniu, zawartość pudełka – w tym momencie trudna do zidentyfikowania, twarda jak kamień i nieszczególnie apetyczna – miała przeistoczyć się w smakowitą zapiekankę z ziemniaków i mięsa. Potrzebowała na to pół godziny.

Rory wspaniałomyślnie postanowił dać jej szansę. Uruchomił staroświecki piekarnik z mosiężnymi zdobieniami, umieścił w paszczy piekarnika zmrożoną breję i rozejrzał się po kuchni w poszukiwaniu jakiegoś konstruktywnego zajęcia na czas oczekiwania.

Zauważył telewizor.

Włączył go. Na ekranie zamigły wiadomości stacji STV.

Następnie Rory odkrył kredens z imponującą kolekcją dziwnie zdobionych filiżanek. Wyselekcjonował trzy:

czerwoną, po której pełzała porcelanowa żmija rogata (*Cerastes cerastes*, powtórzył sobie w myśli), klasyczną białą – pomalowaną w podskakujące bulterierki i wreszcie jaskrawo zieloną w kształcie pękniętego smoczego jaja.

Potem zabrał się do przygotowywania herbaty. W każdej filiżance zatopił wrzątkiem torebkę mocnej, czarnej Yorkshire Tea. Dolał po brzegi mleka i nawrzucał hojnie kostek cukru. Na końcu wymieszał całą miksturę, z zapalem łomocząc łyżką do zupy o delikatną porcelanę. Gotowe!

Zadowolony z efektu, podniósł głowę i zerknął na ekran telewizora. Znieruchomiał. Brwi powędrowały mu wysoko, aż pod rondo kapelusza. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Cisnął mokrą łyżkę o ziemię i popędził do pokoju bilardowego. Po drodze zgubił się dwa razy – po ciemnych korytarzach potoczyły się złorzeczenia i wyzwiska.

– Chłopaki! – wrzasnął na progu właściwego pokoju. – Szybko! Przerzućcie na STV! – Nie czekając na ich reakcję, sam dopadł pilota i zmienił kanał.

Z ekranu znikły głowy podstarzałych komentatorów sportowych i zastąpił je posępny obraz gór we mgle.

Vincent skrzywił się, jak gdyby widok przyrody go zabolął.

– No i co to ma być? – zapytał surowo.

– Co tak naprawdę zdarzyło w Glen Coe! – wysapał z przejęciem Rory.

– Stary, wszyscy wiedzą, co tak naprawdę zdarzyło się w Glen Coe – rzekł kojąco Christian. – Zresztą, to było wieki temu i nie ma co rozgrzebywać...

– Nie tamto Glen Coe! – przerwał mu Irlandczyk. – To drugie!

– To było jakieś drugie? – zdumiał się Vincent.

Rory zaryczał ze zniecierpliwienia.

– Było! Dwa dni temu! Tylko patrzcie na te zdjęcia!

I rzeczywiście, na wizji przewijała się seria zamazanych zdjęć. Fotografie najwyraźniej zrobiono w kiepskich warunkach pogodowych i na pierwszy rzut oka wszystkie ukazywały to samo: grupkę smętnych, mokrych od deszczu zwierząt, zawieszonych gdzieś w szarych odmętach. Podpis na pasku w dole ekranu precyzował ich lokalizację, wskazując na przydrożną łąkę nieopodal wejścia do doliny Lost Valley, *Coire Gabhail* [19].

Zmyślni redaktorzy pomogli zagubionym widzom odnaleźć się w kalejdoskopie szarych, niemal identycznych zdjęć, a nawet dostrzec na nich coś więcej. Przykładowo, w rogu jednej fotografii zakreślono czerwonym kółkiem szeroki, biały prostokąt. Ogniste litery głosiły: „BOK AUTOKARU – POJAZD JESZCZE NIE BYŁ PRZEWRÓCONY”. Na innej zaznaczono domniemane kontury charakterystycznych wierzchołków Three Sisters [20].

Autorzy telewizyjnego reportażu, niejaki Nick Fraser i jego asystentka Jessica McIntosh, analizowali wypadek autokaru wycieczkowego w Glen Coe, kombinując, jak by tu podważyć oficjalną wersję wydarzeń.

– Minęły dwa dni od tragedii w Glen Coe. Szkocja i Chiny wciąż nie mogą otrząsnąć się z żałoby – poinformowała widzów Jess z odpowiednio nastrojonym dramatyзмом w głosie.

Oboje z Nickiem stali w ulewie na parkingu przy drodze A82, naprzeciwko wejścia do doliny Lost Valley. Mieli na sobie identyczne kurtki przeciwdeszczowe z krzyczącym logo

popularnej marki odzieżowej. Spod naciągniętych głęboko na twarz kapturów wystawały im tylko czerwone z zimna nosy i strąki mokrych włosów.

– Zgadza się, Jess – poświadczył Nick. – Dokładnie dwa dni temu autokar wycieczkowy firmy „Highland Experience”, z pięćdziesięcioma osobami na pokładzie, w niewyjaśnionych okolicznościach zjechał z A82, wpadł do rowu i przewrócił się na bok. W wypadku zginęło dziesięć osób, kilkanaście ciężko rannych turystów przebywa w szpitalach w Fort William i Oban. Wszyscy pasażerowie są obywatelami Chin. Oficjalnie, za przyczynę tragedii uznano wyjątkowo trudne warunki pogodowe.

– Czy aby jednak na pewno za wypadek można winić pogodę?

– wyraziła wątpliwość Jess.

Było jasne, że Nick także nie wierzył w tak proste wyjaśnienie.

– Dokładnie, Jess – powiedział. – Dwa dni po tragedii ekipa „Nick Fraser na tropie prawdy” dotarła do zdjęć, które absolutnie przeczą oficjalnemu scenariuszowi wydarzeń.

– Zdjęcia są autentyczne i pochodzą z aparatów uczestników wypadku – wyjaśniła z niemałą dumą Jess. – Dziennikarze „Nick Fraser na tropie prawdy” odkryli te sensacyjne fotografie na chińskich portalach społecznościowych.

– To było niesamowite odkrycie – Nick aż przygryzł wargę i pokręcił głową z respektem. – A dzisiaj – właśnie teraz! – jako pierwsi w całej Szkocji pokażemy państwu te zdjęcia.

– Oto i one! – zawołała Jess dźwięcznym głosem asystentki magika.

Telewizyjny ekran znów zamigotał kalejdoskopem szarych widokówek.

– A zatem, co my tu mamy Jess? – zainteresował się Nick.

Głos drżał mu z podekscytowania. Zapewne Nick już wiedział, że zdjęcia kryją niemałą sensację.

– To bardzo ciekawe, Nick – odparła Jess. – Dokładna analiza zdjęć sugeruje odmienną kolejność wydarzeń.

– Odmienną, Jess? – zaniepokoił się Nick.

– Odmienną od tej oficjalnej. Z fotografii, które oglądacie teraz państwo na ekranie, wynika, iż autokar zatrzymał się na poboczu, by wypuścić grupę turystów, którzy chcieli sfotografować okolicę. To właśnie na ich zdjęciach widoczny jest bok stojącego autokaru. Kierowca dokonał zatem celowego postoju.

– Zaraz, zaraz, Jess. Co innego sugerował w swoim wstępnym komentarzu rzecznik lokalnej policji...

– Dokładnie, Nick. Zdaniem policji, kierowca miał stracić panowanie nad pojazdem i zjechać do rowu. Ale ta rozbieżność to nie jedyny intrygujący aspekt tej całej sprawy.

– Co mamy jeszcze, Jess?

Jess zmarszczyła czoło, w przekonującej symulacji głębokiej zadumy.

– Analizując tę historię – powiedziała powoli – nasuwa się pytanie, co takiego chcieli sfotografować pasażerowie autokaru, że kierowca musiał dokonać nieplanowanego postoju w, przypomnijmy, fatalnych warunkach pogodowych.

– Rzeczywiście! – zgodził się Nick. – Przy ładnej pogodzie z miejsca postoju widać wspaniale wyeksponowane szczyty Three Sisters. Jednak od czterech dni tutaj, w górach, panuje

absolutna mgła, poważnie ograniczająca widoczność do maksymalnie czterdziestu jardów.

– Pogoda bynajmniej nie zachęca do zdjęć – przyznała Jess i patrząc na jej zmokłą i wykrzywioną przez wiatr twarz, trudno było mieć co do tego wątpliwości. – Jednak pasażerowie autokaru „Highland Experience” zobaczyli tutaj coś niewiarygodnego. Coś, co kazało im namówić kierowcę do zatrzymania pojazdu – i co ostatecznie doprowadziło ich do tragedii.

Nick skinął w powadze głową.

– Co to mogło być, Jess? Czy dziennikarzom „Nick Fraser na tropie prawdy” udało się to ustalić?

– Tak jest, Nick. Istotną wskazówką są zdjęcia, zdobyte przez naszych dziennikarzy. Ale to nie wszystko. Naszym reporterom udało się również porozmawiać z jedną z autorek fotografii!

Nick prawdopodobnie znał już te rewelacje, gdyż zapytał rzeczowo:

– Co nam mówią zdjęcia?

– Zdjęcia przedstawiają niezidentyfikowane zwierzęta, pasące się w pobliżu rzeki Coe, zaledwie parędziesiąt jardów od miejsca, w którym teraz stoimy.

– Niezidentyfikowane, Jess?

– Na pierwszy rzut oka, zwierzęta przypominają przerośnięte bydło, jednak wiele przemawia za tym, że tak nie jest. Nasz ekspert potwierdził, iż budowa zwierząt na zdjęciach wyklucza znane z regionów podgórskich gatunki bydła.

Tu na ekranie pojawiła się sfatygowana twarz starego farmera w wełnianym kaszkiecie. Mężczyzna mówił coś

w niezrozumiałym dialekcie.

- „To nie byki ani krowy” – głosiło tłumaczenie na pasku w dole ekranu. - „Nie ma mowy!”

Jess i Nick wysłuchali z powagą powyższej ekspertyzy.

- Najbliższa farma należy do niejakiego Alasdaira McDonalda – powiedziała Jess – jednak dziennikarzom „Nick Fraser na tropie prawdy” nie udało się z nim do tej pory skontaktować.

Nick nie zamierzał koncentrować się na porażkach.

- Przeprowadziliśmy za to rozmowę z jedną z pasażerek autokaru i autorką zdjęć niezidentyfikowanych zwierząt – przypomniał.

- Tak, Nick, i ten wywiad jest prawdziwą sensacją. Proszę państwa, tylko u nas, w programie Nicka Fräsera, na antenie STV, możecie posłuchać, co tak naprawdę wydarzyło się w Glen Coe – oznajmiła z przejęciem Jess.

Z ekranu poznikali przemoczeni reporterzy. Zastąpiło ich krzykliwe logo Nicka Fräsera na tropie prawdy, a potem na wizję wjechała jakaś Chinka w puchowej kamizelce. Jeśli wierzyć tłumaczeniu STV, kobieta twierdziła, iż tego feralnego dnia razem z grupą współpasażerów opuściła autokar, by zrobić zdjęcia osobliwym zwierzętom. Pech chciał, że zwierzęta okazały się agresywne i zniechęca zaatakowały turystów. Następnie stado zaczęło taranować autokar. Kierowca nie zareagował w porę i pojazd przewrócił się na pasażerów, którzy nie zdążyli do niego wsiąść z powrotem.

- Niesamowita historia! – stwierdził Nick. - Czy to możliwe, Jess, aby za tragedię odpowiadały zwierzęta...?

- To świetne pytanie, Nick – pochwaliła go asystentka. - Niestety, po zwierzętach nie zostało ani śladu. Policja

zagroziła miejsce wypadku i okoliczny teren i nie chce komentować tej linii wydarzeń.

– To jednak nie koniec śledztwa ekipy „Nick Fraser na tropie prawdy” – oświadczył groźnie Nick. – Dla naszych reporterów dochodzenie dopiero się zaczęło... – Ton jego głosu bezbłędnie sugerował, że Nick pokona każdą przeszkodę, która stanie mu na drodze do Prawdy.

– To prawda, Nick. Kolejnym krokiem będzie próba zidentyfikowania zwierząt występujących na zdjęciach. O opinię poprosiliśmy ekspertów z renomowanego Klubu Zoologów w Edynburgu.

– Kiedy się dowiemy, co sądzą eksperci?

– Prezydent Klubu aktualnie przebywa na urlopie, lecz wstępnych opinii spodziewamy się już w przyszłym tygodniu.

– A zatem, już za tydzień, tylko u nas w programie – zagrział Nick – dowiedziecie się, kto – a może raczej: co – odpowiada za masakrę chińskich turystów.

– Co tak naprawdę zdarzyło się w Glen Coe – dorzuciła Jess. – Oglądajcie nas już za tydzień! Opinie ekspertów... – I tak dalej. Rory spojrział wyczekująco na kolegów.

– No i co o tym sądzicie, chłopaki? – zapytał. Oczy mu błyszczały, ni to z rozbawienia, ni to z przejęcia.

– A co można sądzić o takich bzdurach? – prychnął Vincent. – Atak „niezidentyfikowanych zwierząt”, co za nonsens! – I jakby dla udowodnienia swojego własnego zdrowego rozsądku, pochwyił ze stolika losowe dzieło Darwina.

– Można by posłać Forbesa jako eksperta – zaśmiał się Rory i podrzucił wesoło swoim kapeluszem.

– Można by – zgodził się Vincent. – Ale musiałby przedtem zapisać się do tego „Klubu Zoologów”. Widziałeś, Nick Fraser

nie bawi się z amatorami.

– Co to w ogóle za klub? Słyszeliście o nim kiedykolwiek?

– Vincent ci powie, że ten klub to bzdura – odparł Christian. On również, defensywnym gestem, podniósł ze stolika książkę Darwina. *Questions About The Breeding Of Animals* [\[21\]](#).

– Tak jest – poświadczył Ross. – Dokładnie tak ci powiem. To wszystko to jakieś brednie. Celowo wybrali do tego programu ludzi, którzy nie mówią normalnie, po angielsku. Stary góral i Azjatka. Trudno o mniej wiarygodną bandę. I jeszcze mi powiedz, że przez Nicka Frasera i brednie o Glen Coe zapomniałeś o naszym żarciu... Rory wzruszył ramionami.

– I tak się robi pół godziny – powiedział pewnym tonem starej gospodyni domowej.

– Ja tam mimo wszystko będę kibicował Nickowi Fraserowi – oświadczył Christian, kiedy już pili zimną herbatę i pogryzali zwęgloną zapiekanekę.

– Oczywiście, że będziesz – zgodził się Vincent. – W końcu gość jest „na tropie prawdy”. A ty, jak każdy badacz, lubisz znać prawdę. W życiu nie jadłem nic ohydniejszego – tą ostatnią uwagę skierował do Rory’ego.

– Nie patrz na mnie, jakbym był twoją starą – odwarknął obrażony Irlandczyk. – Traktuj to danie jako uprzejmy gest ze strony kumpla.

– Nie sądziłem, że tak nisko cenisz naszą przyjaźń – Vincent demonstracyjnie zachrząścił zwęglonym kawałkiem owego „dania”. – A wracając do tematu, zawsze znajdą się wariaci, którzy lubią tropić tajemnice. Ludzie lubią wierzyć, że istnieje jakaś magia na tym świecie. Że istnieje coś, czego człowiek nie potrafi wyjaśnić albo czego jeszcze nie odkrył.

– Ale przecież takich rzeczy jest mnóstwo – zauważył Rory.

- Nie jesz tego kawałka? To daj mnie.

- A bierz, na zdrowie. Tylko sobie zębów nie połam... Tak, wiem, że takich rzeczy jest trochę. Jestem też przekonany, że w samej dziedzinie zoologii wiele jeszcze zostało do odkrycia. Nikt mi jednak nie wmówi, że nowy gatunek znajdę ot tak, po prostu, żerujący u podnóży Three Sisters. A skąd by się tam nagle wzięło stado przerośniętych byków? Zresztą, przerośnięty byk to nie żaden nowy gatunek, tylko...

- Ofiara hipertrofii mięśniowej [\[22\]](#)? - podsunął Christian. - Chociażby.

- Albo produkt modyfikacji genetycznej. Tyle że po co ktoś miałby desantować takie byki w górach? Przerośnięte, agresywne, hipotetycznie mięsożerne...?

- To już drugorzędna kwestia. Najważniejsze, że znalazło się racjonalne wyjaśnienie: byk jest efektem selektywnej hodowli i modyfikacji genetycznych. Tymczasem po świecie gania cała banda świrniętych pseudonaukowców, którzy wierzą w istnienie magicznych potworów, takich jak ten twój zambijski pterozaur.

- To, co nazywasz magicznym stworem, niekoniecznie musi być od razu smokiem - odparł Christian.

- Jak nie smokiem, to dinozaurem. Na jedno wychodzi...

- Jest więcej możliwości - nie zgodził się Christian. - Na przykład, nie możesz wykluczyć, że istnieją nieodkryte jeszcze wariacje znanych nam gatunków.

- Jak dwudziestometrowa anakonda? - zapytał kpiąco Ross. - Ta akurat została rzekomo odkryta - uśmiechnął się Forbes.

- Przez kogo? - zdumiał się Rory.

- Żył kiedyś taki awanturnik, pułkownik Fawcett. Fawcett

sporo włóczył się po świecie, a najbardziej polubił egzotyczne krainy. Szukał przygód w Ameryce Południowej, w tamtejszych dżunglach spotykał osobliwe gatunki zwierząt. Raz, na przykład, ustrzelił gigantyczną anakondę. Wąż miał mierzyć sześćdziesiąt dwie stopy, znaczy dziewiętnaście metrów.

– Sześćdziesiąt dwie stopy! – gwizdnął Rory. – Facet miał wyobraźnię.

– Łgarz i tyle – syknął Vincent. – I jak skończył ten cały pułkownik? Pożarty przez gigantycznego pająka?

– Możliwe. Nikt tak naprawdę nie wie, jak zginął. W latach dwudziestych wybrał się na ekspedycję w poszukiwaniu zaginionego, starożytnego miasta „Z [\[23\]](#)” – i zniknął gdzieś tam, w brazylijskiej dżungli, w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Wypijmy za niego – rzekł Rory i uniósł do góry butelkę. – To był gość z fantazją. Lubię takich.

– Ludzie z fantazją – rzucił cierpko Vincent – często źle kończą. Znikają w okolicznościach, które sami sobie wyśnili...

KLUB ZOOLOGÓW

Die Wahrheit suchen

Motto Klubu Zoologów

SIR GEORGE WILBERT WYATT przybył do Edynburga późnym popołudniem.

Minęła już piąta i sir George uznał, że o tej godzinie nie uda mu się załatwić bardzo ważnej sprawy, z którą przyjechał do stolicy Szkocji. Postanowił więc udać się do swojego hotelu i odpocząć po trudach podróży.

Przy wyjściu z dworca kolejowego stwierdził, że w Edynburgu dzieje się coś niedobrego.

Po ulicach miasta sunęły zadziorne kontenery ze śmieciami. Niektóre z nich odpadały z wyścigu i wykładały się na środku jezdni – z ich wielkich brzuszysk wylewała się cuchnąca breja, ulepiona z resztek fast foodu, ptasich zwłok, starych brukowców i petów.

Z nieba chlustał agresywny deszcz. Walił z każdej strony: pionowo, poziomo i po skosie – jak mściwy samuraj z parą mieczy. Ludzie tańczyli na ulicach pod dyktando szalonego wiatru. Wicher szarpał ich za włosy, biczował zmarznięte twarze i zrywał ubrania. Jedynie posępny edynburski zamek, osadzony wysoko w wulkanicznej skale, przyglądał się niewzruszenie całemu zamętowi. Kamienna forteca przeżyła setki sztormów i, zdaje się, zagustowała w surowym, północnym klimacie.

Sir George miał tylko jedno wyjście: schronić się szybko w przyjaznych murach.

Odchylił klapy swojego tornistra z brązowej skóry i wyciągnął zeń parasol. Bardzo był z siebie zadowolony – wziął taki mały bagaż, a pomyślał o wszystkim.

Rzucił pogardliwe spojrzenie tym głupim Szkotom, co to biegali po ulicy w prostackich pelerynach z plastiku. Z dumą rozłożył parasol – i omal z nim nie wystrzelił w przestworza, jak jakaś Mary Poppins. Swoją drogą, w przestworzach było już całkiem tłoczno: latały tam reklamówki i inne obiekty

porwane przez wiatr.

Wiatr wykończył parasol Wyatta w minutę. Jeden trzask, drugi, trzeci – i po parasolu została tylko żałośnie postrzępiona płachta i garść połamanych drutów.

No i co teraz?...

Reklamówki latające nad głową dżentelmena zaszeleściły złowieszczo. Jedna z nich bezczelnie pacnęła go w czoło. Sir George chciał się odegrać: wyciągnął rękę i aż podskoczył, by dorwać impertynencką siatkę. Ta jednak była szybsza – zwiłała momentalnie, a sir George opadając tępnał w kałużę. A że był sporych rozmiarów, to i tępnięcie było znaczące. Krótko mówiąc, musztardowe spodnie z doskonałej bawełny wyglądały teraz jak portki ogrodnika: mokre i upačkane.

Sir George zamachał z rozpaczny rękami, a wówczas doszło do kolejnej tragedii. Jakiś ciemny pojazd nadpłynął rzeką, w jaką zamieniła się jezdnia. Płynąc, bryzgał na boki szeroką strugą brudnej wody. Pojazd wyhamował znienna tuż pod nosem Wyatta i z tej okazji wystrzelił ostatnią, brejowatą fontannę – trafiła prosto w pierś dżentelmena.

Sir George wydał jęk, a wówczas drzwi samochodu rozwarły się i jakiś szorstki głos zakrzyknął:

– Wsiadaj pan! Szybko, bo licznik już ruszył!

Sir George nic nie widział przez mokre okulary. Uznał jednak, że wsiądzie, bo dość już miał przygód pod gołym niebem.

W środku okazało się, że trafił do taksówki.

– Machał pan, to jestem – wyjaśnił kierowca. – Dokąd będzie?

Sir George przejechał dłonią po swych srebrzystych lokach, które na ulewie przeistoczyły się w dziesiątki mokrych kótek.

– Proszę na George Street – powiedział słabo i podał nazwę hotelu.

– Na George Street? – zdumiał się kierowca. – Przecież to pięć minut stąd. Można by spacerek zrobić, wiesz pan, dla zdrowia. Zwłaszcza że już po deszczu, wichura się skończyła.

– J-jak to: skończyła się? – wyjąkał sir George. – Zapewniam pana, że wcale się nie skończyła – zaprzeczył przytomnie. – Stanowczo, wciąż jeszcze trwa! – Tu popukał tłustym palcem w szybę, by zwrócić uwagę tępego kierowcy na nawałnicę za oknem.

Taksówkarz roześmiał się.

– Skończyła się, mówię panu, to już resztki! – machnął lekceważąco ręką i wypłynął na środek ulicy. – Żeby pan widział, co się działo wcześniej: wichura z osiemdziesiąt mil na godzinę, taka siła wiatru!

– Chyba prędkość – zauważył uszczypliwie sir George.

– Nie prędkość – a siła, mówię przecież! Patrz pan, jak całe miasto przewróciła do góry nogami!

– Istotnie – rzekł sir George i opadł na fotel, bulgocząc mokrym nosem.

Jazda faktycznie nie trwała zbyt długo. Wyatt niewiele mógł dostrzec przez ociekające wodą szyby. Zauważył jedynie, że taksówka sunęła przez jakąś smętną, szarą ulicę, a potem przystanęła naprzeciwko równie szarego i smętnego domku z kamienia.

– No – ponaglił, zniecierpliwiony. – Dlaczego stoimy? – Spodnie miał mokre pod siedzeniem, co nie było komfortowe.

– To już! – rzucił rażno kierowca.

– To już? – nie chciał wierzyć sir George.

- Ten hotel, co pan sobie życzył. Bardzo elegancki.

Wyatt wyluskał telefon i sprawdził rezerwację.

- Hotel miał być na George Street – powiedział wolno, raz jeszcze wczytując się w opis lokalizacji hotelu. – „Prestiżowa ulica handlowa w centrum New Town”.

- No! – przytaknął taksówkarz, a nawet opuścił niepotrzebnie szybę. Za ścianą deszczu straszył ciąg ponurych kamienic.

- To jest George Street, a to pański hotel!

Cóż było robić. Sir George uiścił zapłatę, wygramolił się z samochodu i zanurkował w głębokich kałużach.

Co do hotelu – jak również „prestizowej” ulicy – okazało się, że nie taki diabeł straszny. Hotel był w istocie komfortowym, eleganckim przybytkiem, tak jak obiecywano Wyattowi przed rezerwacją pokoju. Tego wieczora, sir George wypluskał się przyjemnie w lśniącą białą wannie na mosiężnych lwich nóżkach, a następnie wygrzał pod miękkim pledem przy marmurowym kominku. Nad kominkiem oraz łóżkiem wisiały gustowne ryciny, obrazujące spektakularne szczyty gór Szkocji. Rysunek nad biurkiem był zaś repliką osiemnastowiecznego planu edynburskiego New Town.

Obsługa hotelowa podjęła się misji doprowadzenia do porządku przemoczonej i brudnej odzieży Wyatta. Sir George natomiast przebrał się w świeżą, białą koszulę, jeszcze sztywną od żelazka, i zszedł na kolację do hotelowej restauracji. Posilił się pieczoną łopatką z jagnięciny i lampką czerwonego wina. Dobry humor szybko mu powracał.

Nazajutrz, po wielkiej wichurze zostały tylko pamiątki w postaci porzrzuconych po chodnikach śmieci, przewracanych kontenerów oraz reklamówek, zaczepionych

na gałęziach drzew. Kiedy sir George rozchylił zasłony o poranku, niebo jaśniało wspaniałym błękitem, a słońce łaskawie wychylało się zza puchatych, białych obłoków. Na zimnym wietrze, dziś nie tak znowuż mocnym, falowały włosy kobiet przechadzających się po George Street.

Wyatt skusił się na śniadanie na tarasie dachowym, skąd miał się rozciągać wspaniały widok na odległą zatokę Firth of Forth. Rzeczywiście, w oddali migotał wąski, błękitny pasek morza, a na bliższym planie jeżyły się dachy osiemnastowiecznych kamienic z burego piaskowca. Po dachach skakały głośne, białe mewy.

Po śniadaniu, sir George wrócił do swojego pokoju, gdzie przestudiował raz jeszcze mapę centrum Edynburga. Zaczął odczuwać podenerwowanie. W dzisiejszej wizycie w pewnym osobliwym miejscu pokładał wielkie nadzieje. Ubrał się, staranniej niż zwykle dobierając elementy garderoby, przeczesał swoje loki i nawet przejrzał się w owalnym zwierciadle, zawieszonym w przedpokoju w ciężkiej, mosiężnej ramie. Zwierciadło ukazało brzuchatego dżentelmena w pulowerze z kolorowej wełny i kraciastej, tweedowej marynarce. Pod szyją dżentelmena zwisała przekrzywiona lekko, staroświecka mucha z jedwabiu. Mężczyzna spoglądał pogodnie acz bystro zza szkielec dużych okularów. Spod srebrnych kłaczek jego kosmatych brwi błyskały okrągłe oczka, przypominające małe guziki.

No, George, pora wyruszać.

Mijając stojak z parasolami w hotelowym hallu, sir George w pierwszym odruchu chciał sięgnąć po jeden, lecz wspomniawszy wydarzenia minionego wieczora, machnął tylko ręką.

Wyszedł na George Street i ruszył spacerkiem wzdłuż ściany niewysokich budynków z szarego kamienia, mieszczących popularne restauracje, butiki i hotele. Po drodze mijali go w pośpiechu zaafierowani ludzie w garniturach i żakietach, z kubkami parującej kawy w dłoniach. Zapewne śpieszyli się do pracy w tych słynnych, edynburskich bankach.

Ulica łączyła dwa place: na jej wschodnim krańcu widniał wysoki monument przy Placu Świętego Andrzeja, na zachodnim zaś w oddali majaczyła kopia dawnego kościoła świętego Jerzego przy Charlotte Square. To właśnie tam, na Charlotte Square, wybierał się sir George.

Kwadratowy plac ze wszystkich stron otaczały eleganckie rezydencje. Pośrodku znajdował się zielony park, okolony stalowym ogrodzeniem. Kamienica numer dwadzieścia mieściła się na zachodniej ścianie placu, zaledwie parę domów od West Register House, czyli dawnego kościoła z charakterystyczną kopułą.

Sir George wiedział, że nadszedł najważniejszy moment jego wyprawy do Szkocji. Stał oto pod siedzibą edynburskiego Klubu Zoologów.

Wszedł po schodkach ku drzwiom wejściowym, kryjącym się za rzędem prostych, surowych kolumn. Przyjrzał się dokładnie drzwiom: drewniane, lakierowane na czarno, z mosiężną gałką i otworem na listy z imitującą złotą blaski. Nigdzie nie było żadnej tabliczki – ani niczego innego, co by głosiło, że tu właśnie mieści się ów Klub. No, nic. Sir George poprawił jedwabną muchę i nacisnął guzik dzwonka.

Za drzwiami odpowiedziała mu absolutna cisza.

Sir George odchrząknął i zadzwonił raz jeszcze. Znów cisza. Nikt się nie pofatygował, by otworzyć gościowi. Wyatt

popatrzył na zegarek: kwadrans po dziewiątej. O której godzinie otwierają się kluby tego rodzaju? Czy nie powinna to być punkt dziewiąta – jak jest w bankach albo bibliotekach?

Nacisnął dzwonek i westchnął, bo czuł już, że nic tu nie wskóra.

Przyszło mu do głowy, aby poczekać do dziesiątej. Jak widać, zoologowie mają jakieś swoje, szczególne zwyczaje. Jeśli za godzinę się nie uda, trzeba będzie po prostu wybrać się na spacer po Starym Mieście i wrócić tu po lunchu.

Ulice przyjemnie opustoszały, ucichł poranny zgiełk. Sir George postanowił usiąść na ławeczce w parku przy Charlotte Square tak, by na wszelki wypadek mieć na oku kamienicę numer dwadzieścia. Okazało się jednak, że zieleniec na środku placu nie jest parkiem dostępnym dla wszystkich, lecz zamkniętym, prywatnym ogrodem. Sir George zerknął tęsknie przez stalowe pręty ogrodzenia i poczłapał w stronę Zamku. Jeśli wierzyć mapie, tam, u podnóży wulkanicznej skały, ścieliły się jaskrawozielone trawniki Princes Street Gardens. Otwarte dla wszystkich.

Wyatt powrócił na Charlotte Square dopiero koło jedenastej, tak dobrze mu się siedziało na ławce przy fontannie, z widokiem na Zamek. Nawet nie przypuszczał, iż może być tak przyjemnie w miejscu, w którym spotyka się pospólstwo. Przywykł do relaksu w swoim własnym ogrodzie tudzież w ogrodach swoich znakomitych przyjaciół.

Punkt jedenasta zadzwonił ponownie do drzwi Klubu.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, lecz naraz zaszczekał zamek i na progu stanął jakiś chłopak. Sir George zdumiał się, gdyż nie spodziewał się w szeregach Klubu tak młodej osoby.

Starszy dżentelmen odchrząknął i z jeszcze większym

zdziwieniem stwierdził, iż trudno mu oderwać wzrok od tego młodzieńca. Coś bowiem sprawiało, że mógłby na niego patrzeć bardzo długo, w otępieniu i niemej fascynacji.

Być może to przez te oczy chłopaka. Bo oczy miał hipnotyzujące: szare i skrzące, duże i rozmarzone. Jakby jego ulubionym zajęciem było gapienie się w gwiazdy. Albo wypatrywanie podniebnych drapieżników.

Drugą rzeczą, która przykuła uwagę sir George'a był smok – a raczej smocza głowa. Paskudna, pokryta czerwoną łuską, z wąskimi oczami świecącymi jakimś nieziemskim odcieniem błękitu. Przyozdobiona lśniącą aż do bólu oczu koroną ze złota. Głowa ta nadrukowana była na biały, jedwabny podkoszulek, wystający spod połów marynarki szarookiego chłopaka.

Chłopak wpatrywał się w Wyatta wyczekująco.

Sir George całym wysiłkiem woli zebrał myśli.

– Dzień dobry – powiedział, próbując nie patrzeć ani na twarz młodzieńca, ani tym bardziej na gębę smoka. – Nazywam się sir George Wilbert Wyatt. Zastanawiam się, czy dobrze trafiłem. Czy to... Klub Zoologów?

Młody człowiek nie odpowiedział, lecz usunął się, by zrobić przejście do środka, co sir George uznał za dobry znak. Dżentelmen postąpił parę kroków do przodu i znalazł się w hallu.

Było to najdziwniejsze i najbardziej makabryczne pomieszczenie, w jakim sir George kiedykolwiek postawił swoją nogę. Wysokie, wątko oświetlone, na pierwszy rzut oka przypominało boczną nawę gotyckiego kościoła. Strzeliste ściany pięły się ku niknącemu w mrocznych odmętach sufitowi. Na ziemi leżała marmurowa posadzka

w skomplikowane, arabskie ornamenty. Z półmroku wyłaniała się kuriozalna kolekcja zwierzęcych preparatów. To właśnie ta kolekcja sprawiła, że coś się wywróciło w żołądku Wyatta i chwyciły go mdłości.

Były tu rzędy słoju wypełnionych długimi i skręconymi jak jelita robakami, opisanymi jako pierścienice i wstężnice. Niektóre robaki miały nóżki i zwały się wijami. W innych słojach piętrzyły się kopce martwych nietoperzy lub stłoczono w nich ciała szkaradnych kretoszczurów. W jeszcze innych lepiły się do siebie embriony psa, koniki morskie i długie, pozwijane cielska węży.

W akwariach z formaliną spoczywały wyblakłe narządy, rozcięte skalpelem dla ukazania przekroju. Rozparcelowane żołądki, mózgi, a nawet oczy. W niektórych naczyniach zanurzone były całe zwierzęta, z sierścią, skórą i zębami – rozkrojone na pół, by nacieszyć ciekawe oko. Nie każdy preparat było łatwo zidentyfikować. Na przykład, stos wyschniętych, króliczych nówek przypominał połamane gałązki. Mały kangur został zwinięty w słoju tak ciasno, że w pierwszej chwili mógł się wydać ludzkim niemowlęciem.

Pewne urozmaicenie kolekcji stanowiły pożółkłe szkielety drapieżników lądowych i podwodnych, rozstawione w pobudzających wyobraźnię pozycjach. Szkielety, choć mniej szkaradne, nie miały jednak tej siły przekazu, co całe zwierzęta. Kości siedmiometrowego pytona, wołu czy żyrafy nie mogły się równać z doskonale zachowanym tułowiem pospolitego bydła, rozkrojonym przez środek brzucha dla ukazania klatki piersiowej i zawieszonym za nogi, z genitaliami przodem do widza i głową w dół – jak w rzeźni.

Sir George odwrócił wzrok od słoja ze spuchniętą, brązową

ropuchą, wielką na dwie pięści – i zakrył dłonią usta. Było mu niedobrze, a co gorsza czuł, że nie potrafi zmazać ze swej twarzy wyrazu obrzydzenia.

– I jak się panu podoba nasza sentymentalna kolekcja? – zagaił tymczasem młody człowiek.

– „Sentymentalna” kolekcja? – powtórzył słabo Wyatt. Czuł się, jakby trafił do pokoju sadystów lub groźnych maniaków.

– Teraz znamy więcej technik utrwalania i konserwacji materiału zoologicznego – wyjaśnił chłopak. – To są stare zbiory. Dziś takie kolekcje są rzadkością. W ostatnich latach naukowców bardziej zajmowała biologia komórki. Genetyka, biologia molekularna i tym podobne. Ale to się zmienia. Bowiem tak naprawdę przecież interesuje nas coś więcej niż same tylko procesy biochemiczne. Interesuje nas organizm jako całość – a także jego interakcje ze środowiskiem. Interesują nas całe ekosystemy! – Tu zreflektował się wreszcie i urwał, a sir George natychmiast wykorzystał moment.

– To wszystko – powiedział – jest, naturalnie, bardzo zajmujące, panie...? – zawiesił pytająco głos.

– Adler – przedstawił się chłopak i podał mu dłoń.

Sir George poczuł, że wraca do gry.

– Panie Adler – rzekł – zastanawiam się, czy nie mógłbym porozmawiać z pewną osobą, która wedle mojej wiedzy jest członkiem tego Klubu. Widzi pan, dostałem namiary na tę osobę od znajomej z Londynu, a właściwie znajomej mojego dobrego przyjaciela. Sama nie mogła mi pomóc, bo wybierała się na dłużej za granicę. Powiedziała jednak, że w Edynburgu jest ktoś, z kim mógłbym się skonsultować. Jego nazwisko brzmi... – Wyatt w zakłopotaniu zajrzał do swych notatek. –

Jego nazwisko brzmi profesor Fledermaus.

Chłopak, zwany Adlerem, uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony.

– Profesor Fledermaus? – powtórzył.

– Tak – odparł z wahaniem Wyatt. – Powiedziano mi, abym pytał o profesora w tym Klubie. Czyżby to była jakaś pomyłka? – zaniepokoił się.

– Ależ nie – zaprzeczył natychmiast chłopak. – Rzecz w tym, że spodziewamy się tu profesora dopiero z końcem września.

– Z końcem września? – jęknął mimowolnie Wyatt.

– Czy to duży problem?

Sir George wyduł w zadumie wargi, a jego wzrok spoczął na rozkraczonej bezwstydnie żabie. Preparat był, nawiasem mówiąc, nader interesujący – żaba była przezroczysta niczym meduza, tylko jej drobniutki szkielet jaśniał bogatą czerwienią.

– Alizaryna, czerwony barwnik – wyjaśnił Adler, uchwyciwszy spojrzenie Wyatta. – Preparat został wybarwiony w celu rozpoznania części kostnych.

Sir George skinął nieuważnie głową i powrócił do zasadniczej kwestii:

– Twierdzi pan, że nie zastanę profesora podczas mojego pobytu w Szkocji. To dla mnie... spory problem. Bardzo liczyłem na spotkanie z profesorem. Przyjechałem w tym celu z Anglii.

Z samego południa – dodał dla zwiększenia efektu.

Podniósł głowę i odważył się spojrzeć Adlerowi w te jego magnetyzujące oczy. Zastanowił się, ile może mu wyjawić.

– Widzi pan – powiedział niepewnie – muszę omówić

z profesorem pewną osobliwą sprawę... – Osobliwą?

– Tak, tak. Zupełnie niezwykłą. Ja wiem, że wasz Klub zrzesza poważnych naukowców, lecz zapewniono mnie, iż profesor Fledermaus będzie odpowiednią osobą... Sam, niestety, niewiele wiem, jeśli idzie o zagadnienia z dziedziny zoologii. Jestem historykiem architektury, specjalizuję się w architekturze West Sussex – wyjaśnił Wyatt. – A także East Sussex – dodał szybko. – Sussex, wszak, to kraina historyczna. Tam właśnie zaczęła się Anglia – powiedział pompatycznie, po czym zreflektował się, że rozmawia przecież ze Szkotem. Swoją drogą, Szkot ten nosił niezbyt szkockie nazwisko. Adler... To brzmiało jakby z niemiecka.

Adler ściągnął ciemne brwi. Nadało mu to wejrzenie szykującego się do ataku orła.

– Jutro – powiedział – odbędzie się spotkanie członków Klubu. Jest pewna szansa, nikła, ale jednak, że pojawi się tam profesor Fledermaus.

Wyatt drgnął i spojrzał na młodego człowieka z rozbudzoną nadzieją.

– Nawet, jeżeli profesor się nie zjawi – kontynuował Adler – będzie tam parę innych osób, które być może będą mogły pomóc panu w tej osobliwej sprawie, z którą przybywa pan do Edynburga.

– Czy to oznacza, że mogę uczestniczyć w tym spotkaniu? – Sir George omal się nie wyszczerzył z radości. Pewnie by się nawet wyszczerzył, gdyby nie to, że ostatnio tak swawolnie radował się bardzo dawno temu, zapewne w młodości – i już zapomniał, jak to się robiło.

– Są pewne warunki – odparł poważnie Adler. – Musiałby pan zostać zaakceptowany przez pozostałych członków. Tylko

wówczas profesor Fledermaus będzie chciał z panem rozmawiać.

Sir George uniósł z godnością podbródek.

– Rozumiem – powiedział wyniośle. – Tuszę, iż nie powinno być większych problemów z zaakceptowaniem sir George’a Wilberta Wyatta, z Wyatt’ów z Pelham, West Sussex. Historyka architektury, wybitnego działacza National Trust, uhonorowanego tytułem szlacheckim za zasługi w dziedzinie konserwacji oraz szerzenia wiedzy na temat architektury lokalnej.

– To się okaże – mruknął niewzruszony Adler. I po namyśle dodał: – Sir.

Sir George, udobruchany, opuścił nieco podbródek.

– Sam również chciałbym wiedzieć, w co się, że tak powiem, pakuję – zastrzegł.

Chłopak, nie wiedzieć czemu, tupnął nogą.

– Tu ma pan logo Klubu i nasze motto, sir – powiedział, po czym zwiesił głowę.

Zdumiony sir George powiódł wzrokiem za spojrzeniem Adlera, a ten gapił się na nic innego, jak tylko na posadzkę pod ich nogami. Sir George przyjrzał się uważnie podłodze – i naraz dostrzegł, że w ornamenty na ziemi wpisany został złoty okrąg. W okręgu zaś wyraźnie widniała czarna sylwetka dziwnego stworzenia, niby to ptaka, ale o jakichś kiepskich proporcjach: wyglądał raczej jak gigantyczny nietoperz z długim, zębatym dziobem. No, ale sir George nie czuł się, rzecz jasna, ekspertem w tych sprawach. Wzdłuż okręgu, kawałki złocistego marmuru układały się w łacińską frazę, zapewne wspomniane motto Klubu: *Quaerere Verum* [24]. Ta sama sentencja była zapisana również w języku niemieckim:

Die Wahrheit suchen.

„A cóż to znowu?“, zdumiał się w myśli sir George na widok niemieckich napisów. „Sporo tu Niemców w tym dziwacznym klubie... A może to Żydzi...? Adler? Fledermaus...?“ Głośno zaś tylko odchrząknął.

Adlera zaś chyba znudziła zabawa w odźwiernego, gdyż odwrócił się od Wyatta i zaczął grzebać na półkach z „materiałem zoologicznym“. Przesuwał wielkie słoje i zaglądał w głąb półek. Może sprawdzał, czy już czas pościerać kurze?

Sir George postanowił nie zajmować mu już więcej czasu. Zresztą, to miejsce i tak napawało go obrzydzeniem. Starał się nie patrzeć na zawartość słoii, koncentrując wzrok na bogatych ornamentach posadzki.

– Dziękuję panu – rzucił do Adlera, przesuwając się w stronę drzwi. – To, hm, o której zaczyna się spotkanie?

Chłopak drgnął, jakby sir George przerwał mu jakieś ważne rozmyślenia, nie zaś proste prace porządkowe.

– Proszę stawić się o dwudziestej u bram parku, sir – zabrzmiało to jak rozkaz, szczególnie w zestawieniu z niemieckim nazwiskiem młodzieńca. – Czy widział pan park na środku Charlotte Square?

Sir George potwierdził.

– Wejście od strony wschodniej – dodał Adler. – Aha i jeszcze jedno: jakie wybiera pan zwierzę?

– Co takiego?

– Zwierzę, sir. Jakie zwierzę najlepiej pana opisuje? Mam na myśli pański charakter, wygląd i co tam jeszcze pan chce. My i tak to zweryfikujemy.

Sir George nic z tego nie rozumiał. Jakie stworzenie miałyby go najlepiej opisać? Jak w ogóle jakiegokolwiek zwierzę miałyby oddać złożoność, wielkość i ogólną wspaniałość jego osoby? Osoby ludzkiej, nawiasem mówiąc.

– No, wie pan – zawahał się. – Sam nie wiem...

– To niedobrze – skomentował Adler. Głos miał poważny, nie żartował. – Niech się pan wysili, sir, bo inaczej nici ze spotkania. Sir George wysilił się.

– Czy ja wiem, to może... Pies? – Pies był jedynym zwierzęciem, którego marne istnienie na tym Bożym świecie przeplatało się w jakiś sposób ze wspaniałą egzystencją Wyatta. W swoim życiu sir George posiadał już wiele psów. Psy posiadali również jego znakomici znajomi. Ot, wystarczy wspomnieć nieszczęsnego Hugona.

– Pies? – zdziwił się Adler. – Jest pan pewien? Z psem może być ciężko – uprzedził.

– W jakim sensie: ciężko? – Sir George postanowił walczyć o swoje. Wybrał psa, więc miał być pies.

– W każdym – odparł lakonicznie chłopak. – Niech pan zrezygnuje z psa, to taka dobra rada.

Wyatt zawahał się. Może chłopak ma rację? Może bezpieczniej posłuchać jego rady? W końcu, co on, sir George, wiedział o ekscesach niemieckich zoologów? Nic a nic.

– No, dobrze, w takim razie... – tu w desperacji rozejrzał się po słojach, licząc na interesującą inspirację. Nic go jednak nie olśniło, a na domiar złego powróciły nudności.

Lecz właściwie po co szukać inspiracji pośród tych szkaradnych preparatów? Może by tak poszukać jej w jakimś przyjemniejszym miejscu, dajmy na to, w prastarym, angielskim lesie? Ożywiony tą myślą, sir George zrobił szybki

przeгляд znanych mu leśnych zwierząt. Wiewiórka? Ee. Jeź? Za słabe. Borsuk? Hm, borsuk może byłby dobry, lecz za mało prominentny. No i szlaja się Bóg wie gdzie po nocach, świntuch jeden. No, dobrze, to może sowa? Ee, sowa tylko strachu napędza tym pohukiwaniem.

Huu...huu... Odpada.

– To może dzik? – wyrwało mu się w nagłym olśnieniu.

Sir George widział dzika w lesie w East Sussex. Majestatyczne stworzenie, choć trochę podobne do świni. Dzikie powróciły do Wielkiej Brytanii całkiem niedawno, po kilkuset latach nieobecności zafundowanej im przez myśliwych. Początkowo były typowym towarem z importu, w świetle legislacji nawet zwierzętami egzotycznymi. Zamykano je na farmach lub w specjalnych parkach z dzikimi zwierzętami. Dzikie jednak były sprytne i wymyśliły sposoby, by wydostać się z niewoli. Sir Ralph Pearson często opowiadał Wyattowi o tym, jak to spotykał watahy dzików, włączając się po lasach w Kent, East Sussex, a nawet Gloucestershire.

Sir George był już pewien swojego wyboru.

– Poproszę dzika – powiedział uroczyście. – I niech mnie pan nawet nie próbuje przekonać do zmiany zdania. Tym razem się nie ugnę, ma być dzik!

– Dzik? Niech będzie – odparł Adler. Po czym dorzucił ponuro: – Sir.

NOC NA CHARLOTTE SQUARE

O tej godzinie nic dobrego

*nie może cię spotkać
na ulicach tego starożytnego miasta.*

*Hula północny wicher,
wyłazą duchy i zbóje.*
Sir George Wilbert Wyatt

PODCZAS LUNCHU w hotelowej restauracji, sir George rozmyślał o wydarzeniach minionego ranka.

Prawdę mówiąc, co do wizyty w Klubie Zoologów, miał mieszane uczucia. Niewiele udało mu się załatwić, za to poczynił szereg kuriozalnych odkryć. Siedziba Klubu wyglądała zwyczajnie tylko z zewnątrz, a na wspomnienie tych wszystkich preparatów w środku sir George każdorazowo odczuwał mdłości. Osobiście, tolerował jedynie wypchane głowy jeleni oraz ich poroża. Widywał takie często w domach swoich przyjaciół, ale sam nie trzymał nad kominkiem podobnego świństwa. Patrzy się to to na ciebie szklanymi oczami, a w tym wzroku jest tyle wyrzutu, że od razu człowiek się kuli, łapią go wyrzuty sumienia, choć sam przecież nie strzelał.

Z tego wszystkiego, sir George zamówił dziś na lunch danie wegetariańskie, choć było to wbrew jego kulinarnym zwyczajom, a bardzo nie lubił on mieszać w tradycji.

Ale idźmy dalej. Wystrój Klubu to pół biedy, ważniejsze było to, co tego typu dekoracje mówiły o samych klubowiczach. No, cóż. Póki co, sir George poznał tylko jednego, a mianowicie niejakiego Adlera. Raczej przyjemny młodzieniec, jednakowoż zapewne nowicjusz. No i to nazwisko germańskie, nie można było czegoś bardziej swojskiego? Taki

Campbell, na przykład, lub Mackenzie byłoby w sam raz.

Przy okazji sir George dowiedział się, że profesora Fledermaus nie ma aktualnie w Edynburgu, a to już był ważki powód do zmartwienia. Ciekawe, czy pozostali członkowie Klubu będą w stanie mu pomóc. Sir George nie lubił rozmawiać z ludźmi, którzy uprzednio nie zostali mu poleceni albo przynajmniej przedstawieni przez znane i respektowane przezeń osoby.

No i jeszcze ten nieszczęsny dzik.

Wybierz sobie zwierzę, które najlepiej cię opisuje. Ale po co? Na co komu takie igraszki? Sir George przemyślał sprawę, dłubiąc w ciastku ze słonym karmelem i czekoladą, i doszedł do wniosku, że popełnił straszną omyłkę. No bo jakże to dzik mógł go opisywać? Cóż on, sir George, miał wspólnego z dzikiem...? Ale było już chyba za późno na jakiegokolwiek zmiany.

„No, trudno”, pomyślał sobie. „Stało się. Trzeba wszystko mężnie wziąć na klatę. Dzika też”. Mimo wszystko, trochę się denerwował przed wyznaczonym na kolejny dzień spotkaniem. Następnego dnia było jeszcze gorzej. Sir George plątał się cały dzień po wąskich, brukowanych uliczkach Starego Miasta, lecz z trudem mu przychodziło podziwianie zabytków. Myślami był już z powrotem na Charlotte Square. Zastanawiał się, jak przedstawić swoją historię profesorowi Fledermaus. Intrygowało go również, jaki okaże się sam profesor. O ile w ogóle się pojawi.

Sir George westchnął i zadarł głowę, by przyrzeć się złotemu kogucikowi na wieży Katedry St Giles.

Z jakiegoś powodu, cały ten Klub napawał go dziwnym niepokojem...

Punktualnie o dziewiętnastej trzydzieści sir George zszedł do baru hotelowego, by sobie łyknąć czegoś mocniejszego na odwagę. Odświeżył się już i wypachnił, jak należało przed ważnym spotkaniem. Miał teraz na sobie białą, jedwabną koszulę w srebrzyste paski oraz nową, amarantową muchę w kwiaty.

Co mógł, to zrobił. Reszta zależała od losu.

A los postanowił spłatać eleganckiemu dżentelmenowi niemałego figla.

O dwudziestej ulice Edynburga były mokre i opustoszałe, obleczone w czerń. Sir George kroczył dostojnie, wybijając równy rytm obcasami wypolerowanych półbutów. Nie padało, lecz musiał osłaniać twarz przed podmuchami potężnego wiatru. Z obu stron jezdni spoglądały na niego mroczne ściany posępnych, wiekowych kamienic. W niektórych oknach jaśniały żółte abażury nocnych lamp lub mrugały niebieskawe ekrany telewizorów.

Park przy Charlotte Square pogrążony był w absolutnej ciemności. Zupełnie jakby przepadł w otchłani. Adler się spóźniał – przed bramą wejściową wciąż nie było nikogo. Sir George zerknął na zegarek – zupełnie niepotrzebnie, gdyż i tak wiedział doskonale, która jest godzina – po czym zaczął się przechadzać tam i z powrotem wzdłuż linii ogrodzenia.

Po dziesięciu minutach miał dosyć przechadzki.

Wrócił do bramy i przyjrzał się jej z zastanowieniem. A może była otwarta? Może należało po prostu nacisnąć klamkę i wejść do ogrodu? No, dobrze, a dalej co? Nie widać było żadnych świateł, a o ile pamiętał ze swoich dziennych spacerów, po drugiej stronie parku rósł bujny gaj. Czy to możliwe, aby tam miało się odbyć spotkanie?

Sir George opuścił smętnie ramiona i znów podjął przechadzkę wzdłuż ogrodzenia. Spoglądał na zegarek równo co minutę. Czuł narastającą irytację. A może to wszystko to jakiś żart tego młokosa Adlera?

Wrócił do bramy i gniewnie nacisnął klamkę. Furtka otworzyła się z przeciągłym piskiem. Zaskoczony, sir George w pierwszej chwili cofnął się, a następnie pospieszył zamykać furtkę z powrotem.

Naraz jednak posłyszał głos, dobiegający z ciemnego ogrodu: – Tutaj, sir! Proszę tędy...

Tędy – znaczy się: którędy? Sir George zmrużył oczy, lecz i tak nie wypatrzył nic w ciemnościach. Czy ten głos należał do Adlera?

– Panie Adler? – zapytał niepewnie. – Czy to pan...?

– Tutaj, sir! – powtórzył uparcie głos.

Wyatt zawahał się. Iść tam czy nie iść? A to ci zagwozodka. Swoją drogą, ciekawe, jak by tutaj postąpił, dajmy na to, sir Ralph. Wszedłby do czarnego ogrodu, czy dał sobie spokój i wrócił do komfortowego, hotelowego pokoju? Ech, Ralph pewno i tak najpierw puściłby przodem Hugona. Ale Hugo nie żył, a myśl o martwym psie jakoś niespecjalnie dodała otuchy sir George'owi.

I naraz przypomniał sobie, z jaką sprawą przybył tu aż z samego Pelham. Jak wiele już poświęcił dla tej sprawy. Czy miałyby teraz to wszystko zaprzepaścić tylko dlatego, że wystraszył się ekscentrycznego profesora Fledermaus i jego sługusa, Adlera?

Postąpił krok do przodu. A potem jeszcze jeden – i znalazł się w ogrodzie.

– Tutaj – powiedział ktoś cicho.

Sir George musiał nastawiać uszu, aby wyłowić słowa spośród podmuchów wiatru. Zrobił kilka kroków, zupełnie na oślep.

Z niezadowoleniem stwierdził, że trawnik jest błotnisty i mokry.

– Adler...? – ponowił.

Nie odpowiedział nikt prócz wiatru. Co to za głupie sztuczki? Co to wszystko ma znaczyć...?

Sir George nabrał powietrza i wypiął dumnie pierś, a następnie zaczął kroczyć stanowczo do przodu, przesadnie wymachując przy tym łokciami.

– Panie Adler, jestem! – zawołał głosem gromkim acz drżącym. – To ja, sir George!

– Tutaj – powiedział czyjś głos, tak blisko, że Wyatt aż się wzdrygnął.

– Gdzie: tutaj? – zapytał, rozglądając się wokół. Ogród wyglądał jak kartka zamazana czarnym flamastrem.

Znów postąpił do przodu i tym razem wdepnął głęboko w grząską breję. Syknął i spróbował strząsnąć lepkać maź z wyglansowanego półbuta. Kiedy tak stał na jednej nodze, niczym bocian, coś kopnęło go z całej siły w kostkę i dżentelmen runął w błoto.

– Aaaa...! – zawył, zanim padł twarzą prosto w maź.

Całym wysiłkiem woli, wsparł się na rozdygotanych łokciach i wynurzył z brei upaćkaną głowę. Okulary zleciały mu z nosa, małe oczka świeciły płaczkliwie. Na rzęsach drgały kulki błota.

„To jakiś... spisek!”, pomyślał, drżąc na całym ciele. „Ten cały

Adler... oni wszyscy... to jakaś mafia! Niemiecka mafia...!”

Lecz nie miał czasu roztrząsać dłużej tego problemu, gdyż naraz posłyszał niskie, chrapliwe dźwięki. Coś jakby chrumkanie.

Chrumkanie nasilało się. Sir George słyszał wyraźnie trzask łamanych gałęzi i ciężkie, nierytmiczne tąpnięcia w mokrej ziemi. Idzie tu, nadchodzi... Ale co...?

Sir George podniósł się na czworaki, dysząc ciężko.

Tymczasem niskie, chrapliwe dźwięki dobiegały teraz z każdej strony. Wyattowi wydało się, iż widzi, jak kołyszą się liście na pobliskich krzewach, jak rozchylają się gałęzie gęstwiny...

Wstał prędko, zatoczył się i wystawił ręce do przodu, w ciemność, jak małe dziecko, które jeszcze nie potrafi dobrze chodzić.

- Ajjj! - wrzasnął cienko, gdyż nagle coś mokrego i ciepłego musnęło go po udach, a wicher zmieszał się z paskudnym odorem.

Sir George zaczął biec na oślep, coraz bardziej zapadając się w grzęzawisko. Niewidoczne gałęzie kłuły go po twarzy i rękach i próbowały wydłubać rozszerzone z przerażenia oczy. Wicher zawodził gdzieś w stropach tej czarnej otchłani, tarmosząc korony drzew i zdzierając z nich liście. Niektóre lądowały na głowie nieszczęsnego dżentelmena i lgnęły do jego lepkich włosów.

Sir George potknął się o mokry konar i załopotał żałośnie rękami, by nie utracić równowagi. Lecz wtedy jakiś złośliwy brutal pchnął go od tyłu i Wyatt po raz kolejny wylądował na czworakach. Może i nawet dobrze się stało, bo w tej samej chwili w ciemnościach rozległ się huk wystrzałów. Ktoś strzelał w parku!...

Tego już było stanowczo zbyt wiele dla flegmatyka z cichej, angielskiej prowincji. Sir George pisnął i skulił się, na ile mu tylko pozwalały jego obfite kształty, z całych sił przyciskając dłonie do uszu. Dłonie również miał pulchne, jednakże nie na tyle, niestety, by odciąć się od kakofonii złowrogiego świata. Przez szparki pomiędzy palcami docierał do niego dziwaczny jazgot, upiorna melodia jak z piosenki o zarzynaniu święt.

Wiele czasu minęło, nim odjął ręce od uszu. Straszne dźwięki już dawno ustały. Znów słyhać było jedynie wycie wichru, który huśtał się wysoko w gałęziach starych drzew.

Czy to już po wszystkim...? Sir George postanowił się podnieść, lecz nie było to łatwe, gdyż, po pierwsze, cały dygotał, a po drugie, z uwagi na swą tuszę nigdy nie osiągnął mistrzostwa w gimnastycznych akrobacjach, do których zaliczał na swoje potrzeby także i przysiady. Podjął jednak ten tytaniczny wysiłek – i wstał, bowiem bardzo nie chciał umierać w Szkocji. Nie chciałby umrzeć nawet w Yorkshire, a co dopiero za murem Hadriana [\[25\]](#)!

Wstał zatem i ruszył chwiejnym krokiem przed siebie. Nie uszedł pięciu jardów, jak zapadł się pod ziemię. Dosłownie: osunął się na dno zamaskowanej zapadni – i nie miał już sił jęknąć, tylko zamknął oczy. Ostatnią jego myślą było: czy tak to jest właśnie – umierać?

Lecz umieranie jakoś nie nadchodziło. Sir George zaczął się nawet wiercić, co zapewne nie było stosownym zachowaniem w tak doniosłym acz smutnym momencie, jakim jest zejście wielkiego człowieka. W dodatku, przypomniał sobie, zupełnie nie w porę, że nie spisał wszak testamentu, a przecież chciałby, ażeby wszystko odziedziczyła jego jedyna wnuczka, Majella.

Potem oddał się myślom bardziej abstrakcyjnym: o życiu, które w gruncie rzeczy miał całkiem udane; o prawdziwej miłości, której raczej nie zaznał, co nie przeszkodziło mu spłodzić potomka, niestety, płci żeńskiej; o pokoju na świecie – tu nie miał głębszych przemyśleń ani też większych złudzeń. Na końcu, rozgrzeszył łaskawie swoich prześladowców. I tak, jak Bóg da, będą smażyć się w piekle... A jeśli nie ma Boga? No cóż, to on, sir George, postawił na złą kartę. Bywa.

Z przedśmiertnych rozmyślań wyrwał go czyjś głos.

– Panowie, a oto i nasz *Eber*!

Eber? Co za Eber? Sir George zadarł głowę i zaraz pożałował, że otworzył oczy. Tuż nad jego głową rozkraczył się mężczyzna w kilcie. Wiatr podwiewał połę jego stroju, ukazując blade, owłosione uda.

– Masz pan, pańskie okulary, sir – tu nieznajomy podał Wyattowi jego zgubę.

Sir George skwapliwie założył okulary, lecz świat wokół nie uległ znacznemu wyostrzeniu. Ubłocone szkła przetarto bez większej staranności, zapewne rąbkiem kiltu...

Nad dołem, w którym tkwił dżentelmen, zgromadziło się tymczasem więcej ludzi. Wśród nich pojawił się też ten padalec, Adler.

– Uch, ty...! – Sir George wystrzelił do góry rękę i rozcapierzył palce. Tak bardzo chciał zadusić gada, który zgotował mu ten los. Do grobu go wpędził i to dosłownie, no bo jakże inaczej nazwać ten dół?!

Niespodziewanie, jego dłonie pochwycił w swoje łapy mężczyzna w kilcie.

– Panowie, pomóżcie mi! – krzyknął. – Eber jest cholernie ciężki!

„I znowu ten Eber! O co tu chodzi?“, zastanawiał się sir George, podczas gdy pozostali mężczyźni wyławiali go z zapadliska. Stękali przy tym, jak gdyby podnosili co najmniej ciężarówkę.

A niech się męczą, dobrze im tak!

Męczyli się długo, bo po wyciągnięciu Wyatta wcale nie postawili go na ziemię, lecz ponieśli w głąb ciemnego gaju – na ramionach, jak grabarze z ciężką trumną.

Sir George nie protestował. Może jednak umarł, otrzymał pośmiertne imię Eber, a ci goście byli istotami z zaświatów. Co prawda, zbyt przekonująco czuć było od nich alkoholem, a to raczej jeden z tych wybitnie ziemskich aromatów...

Po krótkiej chwili dotarli do niewielkiej polany, okolonej starodrzewem. Nie było innego wyjścia: musiał to być ten gaj w zachodniej części zieleńca przy Charlotte Square. Na polanie było zadziwiająco zacisznie, bujne wciąż jeszcze listowie jaworów skutecznie tamowało silniejsze podmuchy wiatru. Na środku trawnika ustawiono płaskie, żeliwne misy, w których płonął ogień. Sir George zauważył jeszcze namiot, przypominający jurkę z mongolskich stepów [26], a także okrągłą balię z drewna, z której buchały białe kłęby wodnej pary.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zaprotestować lub chociażby wierzgnąć butami w oprawców, sir George Wilbert Wyatt został obdarty z zabłoconego odzienia i wrzucony do wrzątku.

– Aaaa...! – zawył i zanurkował w balii.

Wynurzył się nader szybko, gdyż balia nie była głęboka.

Rozchylił sparzone usta i chlusnął strumieniem wrzątku, jakby był kranem z gorącą wodą. Jedna rzecz była zaiste

zadziwiająca: kąpiel w gorącej wodzie cudownie zregenerowała umęczone ciało. Wrzątek wyparzył brud i wygłansował skórę, tak że lśniła teraz wspaniałą czerwienią niczym dojrzałe jabłko. Znikła gęsia skórka, którą – ze strachu – pokryły się ręce i nogi Wyatta.

Wszystko parzyło go teraz jakimś ożywczym żarem.

Jakby na potwierdzenie tej refleksji, ktoś powiedział potężnym głosem:

– Oto narodził się *Eber* – Dzik!

Sir George potarł mocno oczy, znów pozbawione okularów. Zmrużył powieki i zauważył, iż z góry spoziera na niego sześć figur ludzkich. Sześciu kompletnie obcych mu ludzi patrzy, jak on, sir George, tapla się w drewnianej balii. Zupełnie nagusieńki.

Jakby tego było mało, nagle zjawiała się siódma osoba.

– Schmetterling, sir! Nie mogę znaleźć jednego prosiaka! Zbiegł! – zaraportował nowoprzybyły.

– Nie teraz! – odwarknął mężczyzna w kilcie. Ten sam, który odnalazł Wyatta w zapadni. Zresztą, kto wie: może to on właśnie nastawił sidła na nieszczęsnego dżentelmena?

– Ale, sir...

– Nie teraz, mówię! Po ceremonii. Świniak z parku i tak nie ucieknie.

– Ja mówiłem, że z tymi prosiakami to bez sensu – odezwał się marudnie ktoś z tłumu. – Eber to Eber, a nie jakaś świnia...

– *Sus barbatus* [\[27\]](#) to nie zwykła świnia! – odpowiedział mu czyjś zaperzony głos. – Poza tym to fantastyczny materiał do krzyżówek z innymi świniowatymi, w tym dzikami.

– Czasu było mało – rzucił Szkot w kilcie. – A co to ja, Bóg, żeby w jeden dzień stworzyć całe zoo?

Sir George nic z tego nie rozumiał. Wyglądało na to, że stał się elementem jakiegoś cudacznego rytuału. Kim są ci ludzie? Co planują z nim zrobić? Na wszelki wypadek zanurzył się w balii po szyję i tylko popatrywał naokoło wystraszonymi oczami, zastanawiając się, z której strony nastąpi kolejny cios.

Nastąpił podstępnie: od tyłu. Ktoś zawiązał oczy sir George'a aksamitną taśmą.

– Zaraz będzie po wszystkim – wyszeptał mu do ucha czyjś znajomy głos. Adler!

– C-co to... Co to wszystko ma znaczyć? – wybełkotał sir George.

– To tylko konieczne elementy ceremonii przyjęcia – odpowiedział spokojnie Adler.

– Na Boga, Adler, co mnie jeszcze czeka? – Sir George w panice spróbował namacać rękami głowę chłopaka. Chciał ją złapać, ścisnąć, zmiażdżyć, wydusić odpowiedź...!

– Przed panem – szepnął szybko Adler – etap spożycia wybranej zwierzyny. A potem ceremonia piercingu, która zwieńczy pańskie przyjęcie do Klubu...

– Adler! – rzucił ostro Szkot w kilcie. Sir George potrafił go już teraz rozpoznać bezbłędnie, nawet z zawiązanymi oczami. Oj tak, był przekonany, że jeszcze nieraz usłyszy ten złowieszczy, szkocki akcent w swoich koszmarach... O ile, rzecz jasna, wyjdzie z tego wszystkiego cało i będzie mu dane śnić koszmary.

Naraz do jego nozdrzy dotarł dziwnie ponętny zapach. Coś jakby mięsko z rusztu, mniam, mniam...

- *Eber!* - zadudnił Szkot. - Oto ciało i krew zwierzęcia, które sobie obrałeś. Skosztuj je, aby jego ciało stało się twoim, zaś jego krew popłynęła w twoich żyłach. Tak oto dopełni się ceremonia przeistoczenia i odtąd będziecie jednym.

Sir George rozdziawił usta ze zdumienia.

A wówczas ktoś wykorzystał moment i wepchał mu między zęby kawałek pieczonego mięsa. Wyatt pogryzł je posłusznie. Przekąska wykrzywiła mu twarz: mięso, samo w sobie, nie smakowało jeszcze najgorzej, mogło być jednakże lepiej doprawione. Nawet soli nie sypnęli, nie wspominając już o czosnku, pieprzu czy aromatycznych ziołach.

Skwapliwie przyjął kieliszek z winem, który wsunęło mu w dłoń.

- Czy to wino czerwone? - upewnił się, unosząc kieliszek do ust. Takie najlepiej komponowałyby się z mięsiwem, zwłaszcza tak kiepsko przyrządzonym.

Nikt mu nie odpowiedział. Nie musiał - sir George po jednym, zbyt łapczywym łyku przekonał się, iż to nie czerwonym winem napełniono jego kieliszek.

- C-co to jest...?! - wystękał, krztusząc się z obrzydzenia. - Trucizna...?!

- Jaka tam trucizna. Krew z dzika! - poinformował go łaskawie jeden z oprawców.

Na co sir George zwymiotował do balii.

Zdjęto wstęgę z oczu biedaka, wyciągnięto go z wody i przyobleczono w ciemnozieloną pelerynę z aksamitu. Następnie, Szkot w kilcie zadysponował, by przyniesiono igły do ceremonii piercingu. Do ceremonii jednak nie doszło, gdyż sir George po prostu zemdłał. Na wieść o tym, iż zamierzają

go dziurawić żywcem, w jego tętnicach zastygła krew.

Kiedy się ocknął, spoczywał na prowizorycznym pościeli pod dachem mongolskiego namiotu. Wnętrze jurty oświetlała nieduża, przenośna lampa kempingowa. Nad dżentelmenem pochylał się Adler, z napięciem wpatrując się w twarz omdlałego. Innych członków bandy, na szczęście, nie było w pobliżu.

– No i co się tak gapisz? – stęknął sir George.

Chłopak wyprostował się z wyraźną ulgą.

– Sprawdzam, jak się pan trzyma.

– Trzeba było sprawdzić wcześniej! – ofuknął go sir George.

– Na przykład zaraz po tym, jak mi pan nogę podstawił! Albo jak wepchnął mnie pan do zapadni. Albo jak...

– No dobrze już – przerwał beznamyślnie Adler. – Chyba nie będzie się pan nad sobą użalał, sir – nie zapytał nawet, lecz stwierdził. Nieczuły drań.

Sir George, który właśnie zamierzał się nad sobą poużalać, zaczerwienił się z oburzenia.

– Chcieliśmy, żeby poczuł się pan trochę jak dzik, sir – wyjaśnił młody człowiek. – Jak *Eber*. No to pan sobie trochę porył w błotku, pohasał ze swoimi, ale też poznał pan, jak to jest wpaść w pułapkę kłusowników. Za kąpiel powinien nam pan być wdzięczny – jak pana wyciągaliśmy z zapadni, wyglądał pan jak błotny upiór, sir.

– Jak błotny upiór? – Sir George omal nie zakrztusił się ze złości. – A może mi pan powie, Adler, kto mnie doprowadził do takiego stanu?!

– Nie rozumiem, czemu się pan złości – odparł beztrąsko Adler. – To wszystko było konieczne, aby został pan przyjęty

do Klubu. Żeby umarł sir George Wyatt, a narodził się *Eber* – dodał kpiąco.

– Eber i Eber! Wszędzie ten Eber! – Sir George załopotał ze zniecierpliwieniem rękami. – Może mi pan raczy wyjaśnić, o co tutaj chodzi? Co to za Eber?

– Eber to pan.

– Nie – zaprzeczył natychmiast sir George. – Ja nie jestem żaden Eber. Nazywam się sir George. Wy mnie z kimś mylicie. Ja nie jestem jednym z was, nie jestem pomyłką...

– Eber, znaczy „dzik” – przerwał mu Adler. – A dzik to zwierzę, jakie sam pan sobie wybrał, sir. Każdy z członków Klubu Zoologów wybiera sobie zwierzę, z którym najbardziej się utożsamia i na drodze ceremonii przyjęcia, przeistacza się w to zwierzę. Kiedy dopełni pan ceremonii, dla pozostałych członków Klubu już na zawsze będzie pan Eberem. Tytuł szlachecki raczej zostawimy, choć nie mamy precedensu. Ale to będzie fajnie wyglądało w klubowych statystykach...

– Czyli pan wcale nie nazywa się Adler? – pojął sir George.
– Co właściwie znaczy pańskie imię?

– Adler to po niemiecku „orzeł”. Nie podałem panu mojego, hm, prawdziwego nazwiska, ponieważ spytał pan o profesora Fledermaus. Profesor Fledermaus, jak się pan zapewne domyśla, sir, znany jest w świecie zewnętrznym pod zupełnie innym nazwiskiem. Skoro jednak skądś znał pan jego pseudonim klubowy...

– Ach tak, rozumiem – powiedział machinalnie sir George. Tak naprawdę, wcale sobie jeszcze nie przyswoił tych wszystkich rewelacji. Przychodziło mu to z trudem.

– Ta dzisiejsza ceremonia została przygotowana w pośpiechu – wyjaśnił Adler. – Sam pan powiedział, że

zależy panu na czasie, uznałem więc, że może uda się coś zmontować i odegrać na nieoficjalnym spotkaniu tej nocy.

- Dziękuję - wymamrotał sir George. Kto by mógł przypuszczać, że będzie dziękował za zgotowanie mu tych wszystkich katuszy!

- Wszystko jest raczej prowizoryczne, nawet dzików nie mamy, tylko świnie brodate, dzięki uprzejmości doktora Schwein. Facet ma obsesję na ich punkcie. Odkąd się dowiedział, jakie imię pan wybrał, bardzo chce pana poznać. Chyba myśli, że jesteście bratnimi duszami - Adler uśmiechnął się i znacząco mrugnął do sir George'a.

Dżentelmen obruszył się i spróbował wstać. Trochę mu jeszcze wirowało w głowie i w żołądku, poza tym bardzo nie chciał wychodzić na zewnątrz, do reszty szurniętych zoologów.

- Ja tego dzika wybrałem ot tak, losowo - zastrzegł. - Proszę sobie nie myśleć nie wiadomo czego. To pan mnie zmusił do podjęcia szybkiego wyboru - dodał oskarżycielsko.

- Niech pan się cieszy, że zdecydował się pan na dzika, sir.

- O, tak, dostałem do skosztowania kawałek całkiem niezłej dziczyzny - zadrwił sir George.

- No i połknął pan kawałek świni, co z tego? - Adler lekceważąco wzruszył ramionami. - To żaden heroizm. Taka doktor Libelle [\[28\]](#) albo sam profesor Fledermaus [\[29\]](#) by pana wyśmiali. Proszę sobie wyobrazić, co też leżało na ich talerzach... Ale my, członkowie Klubu Zoologów, jesteśmy wszystkożerni. To zresztą jeden z wymogów.

Z zewnątrz dobiegło charakterystyczne chrumkanie. Sir George struchlał.

- Szkoda, że profesor Fledermaus jednak się nie pojawił - zauważył tymczasem Adler. - Nawet nie wiem, czy uzna tę

całą ceremonię.

Sir George momentalnie zapomniał o świniach.

– Co takiego? – zawołał, zaalarmowany. – Nie ma tu profesora Fledermaus...?

– Schmetterling go zastępuje. To znaczy, stara się, jak może.

– Schmetterling...? – Sir George, skołowany, chwycił się za głowę.

– To ten facet w kilcie – wyjaśnił Adler. – Jego pasją są owady, szczególnie rzadkie motyle. Profesor Fledermaus twierdzi, że na takiej pasji można nieźle zarobić. Ale Schmetterling ani myśli handlować swoimi okazami. Póki co, tylko je kolekcjonuje, a nadwyżki zjada.

– Zjada motyle?!... – Sir George spróbował sobie wyobrazić Szkota w kilcie, pałaszującego nadzianego na długą wykałaczkę motyla.

– Tak i jest prawdziwym mistrzem owadziej kuchni! Opracował dziesiątki przepisów, chociaż twierdzi, że najlepsze owady to te świeże, bez zbędnych dodatków. Takie rzekomo mają najwięcej walorów odżywczych.

– Potrawy – zauważył sir George – je się również dla walorów

smakowych...

Jakaś głowa zajrzała do namiotu, wypytując o kondycję Dzika.

Wyatt ostentacyjnie opadł na poślanie i ciaśniej otulił swoją nagość aksamitną peleryną. Adler wypchał głowę z powrotem na zewnątrz, po czym sam wyszedł, a sir George zadumał się nad swoim jakże nieciekawym położeniem. A zatem leżał tu,

pod dachem płóciennej jurty, kompletnie nagi i pozbawiony godności. Przy wejściu do namiotu czyhały na niego szajbusy z gangu zoologów. Niemcy i ultrapatrioci ze szkockich klanów. Szykowali igły, a także inne narzędzia tortur. Może też piekli na ruszcie świnię brodate, „Sus barbatus”, i zajadali się motylami. Diabli wiedzą, jak to ostatnie będzie po łacinie.

Jedno było pewne: całe upokorzenie sir George’a poszło na marne. Bolesne i poniżające przeistoczenie w błotnego upiora, w Ebera, zdało się na nic. Albowiem profesor Fledermaus się nie pojawił. A to dla niego przecież sir George buchtował w błocie, dla niego postradał galowe ubranie – i godność.

Sam się o to prosił. A po co wsiadał do pociągu [\[30\]](#), o którym wiedział, że wywiezie go na daleką północ, za mur Hadriana i poza wszelkie granice jako takiej cywilizacji? Po co laź w nocy do czarnego parku? O tak późnej godzinie nic dobrego nie może cię spotkać na ulicach tego starożytnego miasta. Hula północny wicher, wyłazą duchy i zbóje...

Sir George zmarszczył brwi. Istotnie, jednak w końcu robił to wszystko po coś. A skoro zaszedł już tak daleko, to czy nie byłoby niemądrze teraz się wycofać? Wszak Adler twierdził, iż będzie możliwość konsultacji z innymi, khm, ekspertami w dziedzinie zoologii. Może więc trzeba tutaj trochę więcej wytrwałości – i sprytu? Spryt nie leżał w naturze sir George’a, nigdy nie miał potrzeby kombinować. Tej nocy jednak spryt mógł mu się przydać – jeśli chytrze rozegra sprawę, nie odejdzie z niczym.

To pomyślawszy, powstał z posłania i przyglądził poły peleryny. A potem uniósł wysoko podbródek i wymaszerował na zewnątrz.

Członkowie Klubu siedzieli wokół niewielkiego grilla: na

kamiennej płycie prażyły się kawałki mięsa, nieopodal stał olbrzymi, pleciony bukłak na wino. Klubowicze pogrążeni byli w jakiejś dyspacie. W prowizorycznej zagrodce za ich plecami tłoczyły się wyjątkowo włochate świnie.

Wszyscy podnieśli oczy na sir George'a, który zniemacka wychynął z namiotu. Dżentelmen uniósł dłoń na znak, że będzie przemawiać.

– Panowie – powiedział, po czym zorientował się, że wśród zgromadzonych obecna jest również kobieta. – Współbracia! – postanowił ją zignorować. – To dla mnie wielki zaszczyt i niesamowite przeżycie, iż narodziłem się dziś jako Eber, iż stałem się jednym z członków tego szacownego Klubu.

– Nie tak szybko – przerwał mu Schmetterling, ten fan motyli. Odstawił ciężki bukłak na ziemię i podniósł się ze swego siedziska. – Inicjacja musi być zakończona uroczystym obrzędem piercingu. – Wytarł ręce i podszedł do tacki z igłami. – Gdzie będziemy kłuć? – spytał rzeczowo.

– Pierwsze kłucie tradycyjnie zawsze było w sutek – zauważył jeden ze starszych klubowiczów. – Przy kolejnych, tych za rozmaite zasługi – wyjaśnił Wyattowi – jest już zupełna dowolność.

– Grunt, żeby kłucie było bolesne – dorzucił ktoś inny. – Żebyś poczuł, jak ostatecznie przeistaczasz się w jednego z nas, w wybrane zwierzę.

Ale sir George uznał, że dostatecznie już odczuł ból swego przeistoczenia.

– Nie, panowie – rzekł stanowczo. – Nie poddam się ceremonii piercingu.

Popatrzyli po sobie, skonsternowani. Schmetterling w zastanowieniu podłubał igłą za paznokciem.

- Nie poddam się ceremonii piercingu - kontynuował sir George - ponieważ uważam, że nie jest to konieczne. Jeżeli nie zechcecie mnie przyjąć do Klubu - w porządku. W istocie, kiepski ze mnie zoolog. Wcale też nie pragnę stać się członkiem Klubu. Przyszedłem tu dziś na zaproszenie jednego z was, Adlera, ponieważ zależy mi na spotkaniu z profesorem Fledermaus. Z nim to właśnie chciałbym się skonsultować w pewnej szczególnej sprawie. Znajoma uczona z Londynu skierowała mnie do niego, twierdząc przy okazji, iż Klub Zoologów zrzesza niewątpliwych ekspertów - tu sir George ściągnął brwi i popatrzył po zgromadzonych, jakby chciał stwierdzić, na ile prawdziwa była ta rekomendacja. - A teraz zastanawiam się, czy trafiłem na kolejne koło wzajemnej adoracji, czy też na grupę prawdziwych profesjonalistów, gotowych dzielić się swą ekspertyzą ze specjalistami z innych dziedzin. Ja, na przykład, swoje życie oddałem studiom nad historyczną zabudową West Sussex i zawsze z wielką radością dzielę się tą niszową wiedzą, o czym zresztą świadczą moje liczne publikacje. Przy okazji, z początkiem nowego roku ma się ukazać monografia Pelham mojego autorstwa. Nowa edycja, poprawiona i uzupełniona.

Schmetterling z brzękiem odłożył igłę na tacę.

- Sir Eber - rzekł powoli i wsparł potężne łapy o pas kiltu. - Dobrze jest wyjaśnić sobie to i owo. Po pierwsze, profesor Fledermaus nie jest obecny na dzisiejszym, nieformalnym zresztą, spotkaniu. Po drugie, Prezydenta Klubu zastępuję ja, Schmetterling. To do mnie należy decyzja, co też z panem począć. Pański status jest dziwny - nie przeszedł pan całej inicjacji. Jest pan jak przedwcześnie poczęte niemowlę. Ni to Dzik, ni to cholera wie co.

Sir George chrząknął ostrzegawczo.

– Niemniej jednak – ciągnął Schmetterling, a jego mocny głos niósł się po całej polanie – zawsze nam miło powitać gościa z Anglii. Niech pan nie myśli, że my tu w Szkocji potrafimy tylko owce klonować. Co więcej, nasi członkowie pochodzą z różnych stron Wielkiej Brytanii. Wymiana doświadczeń – oto, co nas interesuje. Jeżeli więc przybywa pan z interesującym *case study* – zapraszamy: siadaj pan, pij wino, sir, bierz pan żarcie z rusztu. Ale bez klucia nie będziesz pan jednym z nas.

Sir George odparł, że nie szkodzi. A potem jeszcze zadał jedno, intrygujące go pytanie:

– Wasze pseudonimy... Dlaczego są po niemiecku?

Schmetterling wzruszył ramionami.

– Taki żart klubowy – odparł z kamienną twarzą.

OSOBLIWA HISTORIA GEORGE’A WYATTA

*Pod koniec kwietnia
w angielskich lasach
można obserwować bajeczne zjawisko.*

Sir George Wilbert Wyatt

SIR GEORGE ZAJĄŁ MIEJSCE z dala od zagródki z brodatymi świniami.

Musiał przyznać, że owszem, *Sus barbatus* stanowi dość

niezłą imitację dzika eurazjatyckiego, lecz złowieszcze chrumkanie tych stworzeń już zawsze miało mu się kojarzyć z przykrymi przeżyciami tej nocy.

Tuż obok niego, w siedzisku z wysokim i wąskim oparciem, siedział drobniutki mężczyzna, zwany przez pozostałych klubowiczów panem Eule [\[31\]](#). Pan Eule miał żylaste, wybitnie opalone dłonie i obracał w nich właśnie jakąś ziemistą bryłkę.

– Myślałem – rzucił w roztargnieniu do sir George’a – że to wypluwka *Tyto alba* [\[32\]](#). To byłoby ciekawe znalezisko: płomykówki to rzadki okaz w mieście. W Edynburgu widywałem je tylko w większych parkach i oczywiście na przedmieściach. W tak małym zieleńcu, przyzna pan, to byłoby intrygujące odkrycie.

– Istotnie – przyznał sir George, choć zupełnie nie wiedział, o czym mowa.

Pan Eule od razu się ożywił.

– Pewnie pana intryguje, jak odróżniam wypluwki poszczególnych gatunków sów?

– Czy ja wiem? – zastanowił się uczciwie sir George.

Pan Eule zignorował jego zawahanie.

– Otóż, patrzę na wielkość, kształt, barwę i, naturalnie, zawartość – wyjaśnił z zapałem. – W wypluwkach *Tyto alba* często znajduję kompletne czaszki ofiar, przeważnie drobnych ssaków owadożernych, lecz także przecież nietoperzy czy mniejszych ptaków, a nawet płazów czy jaszczurek. Widzi pan – tu Eule roztarł palcami grudkę i roześmiał się – to nawet nie jest wypluwka! Prawda, lśni się, jakby była pokryta świeżym śluzem, ale w środku – po prostu garść ziemi!

Sir George zastanowił się poważnie, jak tu zmienić temat.

- Rozumiem, że zbieranie sowych wypluwek leży w obszarze pańskich zainteresowań zawodowych - powiedział. - Czym jeszcze pan się zajmuje, jeśli wolno spytać?

- Ja, proszę pana, posiadam Imperium Sów - odparł dumnie malutki pan Eule.

- Przepraszam, jakie imperium...?

- Imperium Sów. Od lat prowadzimy je razem z żoną. Mamy obecnie blisko dwa tysiące sztuk. Ponad sto gatunków.

- To imponujące - musiał przyznać sir George. - Gdzie mieści się owo Imperium i jakim celom służy? Mniemam, że edukacyjnym i badawczym?

- Mamy sporą posiadłość w Scottish Borders [\[33\]](#) - odparł skromnie pan Eule. - Tam też żyjemy razem z naszymi ptakami oraz chmarą wolontariuszy. Wie pan, jest trochę brudnej roboty. Sowy w ogóle wiodą mało estetyczny żywot. Żona i ja zajmujemy się głównie treningiem wybranych osobników oraz pozyskiwaniem nowych. Mam tu na myśli sowy - nie wolontariuszy.

- Do czego trenujecie te ptaki?

- Do walki, rzecz jasna - odparł poważnie pan Eule. - A raczej:

do zabijania.

- Wybacz pan, ale nie bardzo rozumiem - powiedział sir George ostrożnie.

- Docelowo, Imperium mają tworzyć osobniki zdolne uśmiercić każde inne żywe stworzenie, włączając człowieka.

- Człowiek zabity przez sowę? Przecież to absurd! - parsknął niegrzecznie sir George.

- Ani trochę. Znane są przypadki skutecznych ataków

przeprowadzonych przez przedstawicieli rodziny *Strigidae* [34] – poinformował go pan Eule. – Na przykład, taki *Bubo virginianus* [35] autentycznie zabił człowieka!

– Ile lat, czy może raczej miesięcy, miał ten człowiek? – spytał kąśliwie sir George, lecz Eule go zignorował.

– Chciałbym wykorzystać te najbardziej agresywne osobniki i stworzyć z nich maszyny do zabijania – wyznał z fanatycznym błyskiem w oczach. – A potem handlować nimi jak bronią... – Westchnął i potarł swe świeżące, opalone na złocisty brąz czoło.

– Szkoda, że pomysł nie jest mój.

– Nie? A czyj? – zapytał ostrożnie sir George.

Nie bardzo umiał się odnaleźć w towarzystwie niebezpiecznych świrów.

– Był kiedyś taki biolog... – odparł mętnie pan Eule. – Miał ciekawe teorie na ten temat.

– Na temat wykorzystania dzikich zwierząt do zabijania ludzi? – upewnił się sir George. A więc to takich sztuczek uczą na wydziałach biologii...

– Tak jest – potwierdził pan Eule. – Swojego czasu odbyłem z nim doprawdy inspirującą rozmowę.

– I kogóż tak chciałby pan zabijać?

– Ja? Ależ ja absolutnie nie mam ciągót do zabijania ludzi. Moja rola sprowadzałaby się jedynie do odpłatnego przekazywania wyszkolonych sów z Imperium tym, którzy by ich akurat potrzebowali. A ludzie stale gdzieś się piorą. Wiem, bo sporo podróżuję. Sam parę razy omal nie skończyłem, a to od kuli południowoamerykańskich bandytów, a to na ruszcie afrykańskich kanibali. Ludzie, panie Eber, od tysiącleci toczą

boje o to samo.

Wojna to jeden z pierwszych wynalazków człowieka.

– Niewątpliwie – zgodził się grzecznie sir George.

Pan Eule westchnął ciężko i wparł podbródek na dłoń. W swoim wysokim krześle wyglądał teraz jak mały królewicz, którego wyciągnięto na siłę z pokoju do zabaw i posadzono na tronie, by rządził jakimś smutnym królestwem.

– Profesor Fledermaus nie popiera mojego projektu – wyznał nagle nieszczęśliwym tonem.

– Doprawdy? – zainteresował się sir George.

Profesor momentalnie zyskał u niego szacunek.

– Profesor sugeruje, bym wykorzystał swoją bogatą wiedzę o siedliskach sów w innym celu. Fledermaus chce, abym poszukiwał cennych gatunków, rzadkich bądź zupełnie nowych. Uważa, że ja i Emily, to jest moja żona, jesteśmy stworzeni do tego typu eksploracji. Zaproponował nam teraz taki projekt, ale ja sam nie wiem...

– A jaki to projekt?

– Mielibyśmy poszukiwać upiornego Ubu.

– Słucham...?

– Ubu to wielki puchacz śnieżny. Prawdziwy olbrzym. Istnieje na jego temat wiele mitów. Na przykład, według Chińczyków Ubu potrafi rozkuć dziobem grubą na trzy stopy pokrywę lodową na Rzece Czarnego Smoka, czyli po naszymu Amurze. Inne legendy są jeszcze bardziej nieprawdopodobne, Ubu jawi się w nich niemal jako kornwalijski *Owlman* [\[36\]](#) – pan Eule parsknął niewesołym śmiechem i pokręcił głową. – Według mnie, nie ma potwierdzonych dowodów na to, że Ubu w ogóle istnieje. Ostatnia, w miarę wiarygodna relacja

pochodzi z lat sześćdziesiątych. Niejaki doktor Edmonds z Uniwersytetu w Cambridge opisał swoje obserwacje nad *Bubo scandiaus* [37] w Kanadzie. W raportach Edmondsa pojawia się wzmianka o innym, niezidentyfikowanym gatunku, który odpowiada charakterystykom wielkiego puchacza śnieżnego z innych źródeł. No i mamy jeszcze kiepskiej jakości dokumentację fotograficzną ze Związku Radzieckiego, wczesne lata siedemdziesiąte. Jednak studia nad fotografiami nie przyniosły póki co wiążących rezultatów.

– Krótko mówiąc, mamy tu mityczną sowę, zaś pańską misją byłoby ją odnaleźć – sir George pokiwał głową ze zrozumieniem.

Doprawdy, z każdą chwilą coraz lepiej rozumiał dążenia tych wariatów.

– Moją misją byłoby zweryfikowanie istnienia wielkiego puchacza śnieżnego – uściślił pan Eule. – Jak sam pan widzi, to niebagatelny projekt. Potencjalne siedliska są rozrzucone na kilku kontynentach... Potrzebuję pomocy, inaczej ugrzęznę w tym na długie miesiące, a pewnie i lata. Prócz tego, będę musiał zarzucić trening sów. Moje plany selekcji i krzyżowania też trzeba będzie schować do szuflady...

– To istotnie musi być dla pana niewygodne – wysilił się na empatię sir George.

– Byłoby o wiele łatwiej, gdybym podjął się tego projektu z grupą młodych entuzjastów, takich jak Adler. Lecz Adler jest zajęty czym innym, a Fledermaus nie chce rozszerzać naszego klubowego grona – westchnął Eule. – Bo trzeba panu wiedzieć, Eber, że nasze pomysły i zadania są tajne. Takie poszukiwania staramy się trzymać w sekrecie.

– A czym zajmuje się Adler? – zapytał sir George,

z nieudawaną ciekawością. – Dlaczego nie może pan poprosić go o pomoc?

Eule wzruszył ramionami.

– Z tego, co wiem, Adler wykonuje jakieś prace dla profesora

– odparł bez przekonania. – Sprytny Fledermaus zawłaszczył go dla siebie. Tymczasem mnie i Emily tak by się przydała pomoc zdolnej młodzieży!... – powrócił do swojego narzekania.

Sir George porzucił jego towarzystwo, kiedy tylko nadarzyła się pierwsza okazja. Potem przez chwilę pokręcił się koło Schmetterlinga, lecz mocno już pijany Szkot napawał go lękiem, toteż i z jego kompanii szybko zrezygnował. Od Schmetterlinga zdążył się dowiedzieć, iż rzadkie motyle mogą, „w pewnych kręgach”, służyć jako środek płatniczy.

– To interesujące, doprawdy, interesujące – mruczał sir George, wycofując się w ustronny zakątek polany.

Spojrzał na zegarek. Niedobrze: jak tak dalej pójdzie, wybijie północ, a on wciąż nie wydusi z siebie dręczącej go sprawy. Ale przed kim by się tu otworzyć? Czy do któregoś z tych jakże dziwacznych ludzi można mieć zaufanie? Z drugiej strony...

„Już nigdy tu nie wrócę”, myślał sobie. „Może warto podjąć ryzyko?”

Jego uwagę przykuła znajoma sylwetka: Adler zmierzał w stronę namiotu. Sir George powiódł za nim zahipnotyzowanym wzrokiem. Adler, „zdolna młodzież”... Dlaczegoż by nie spróbować? Gdy tylko chłopak zniknął za wejściową płachtą jurty, sir George natychmiast podążył za nim.

- Czy pan już wychodzi, panie Adler? - zaniepokoił się, gdyż ujrzał, jak młodzieniec przewiesza torbę przez ramię i kieruje się ku wyjściu.

Adler podniósł na niego zaskoczone oczy.

- Chodzi o to, że - zaczął pośpiesznie sir George - ja bardzo chciałbym z panem o czymś porozmawiać. Miałem nadzieję, że uda mi się omówić tą sprawę z profesorem Fledermaus, ale ponieważ nie przybył on na spotkanie...

- A tak, jasne - przerwał mu Adler nieco zmęczonym głosem.

Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na Wyatta spod ściągniętych brwi.

- Co to za sprawa? - zapytał.

- To... nie takie proste - wymamrotał sir George. - Moja opowieść może wydać się panu co najmniej dziwaczna...

Adler rzucił torbę na ziemię, a sam rozsiadł się na dawnym posłaniu sir George'a.

- Proszę przejść do rzeczy - rzekł krótko. - Zapewniam pana, sir, że słyszałem już wiele dziwnych historii, a i sam miałbym parę do opowiedzenia.

Lekko pokrzepiony powyższym wyznaniem, sir George odchrząknął, po czym osunął się na mały, malowany zydelek, stojący nieopodal posłania. Stołeczek zatrzeszczał złowieszczo pod ciężarem dżentelmena, lecz obeszło się bez upokarzających scen.

Sir George odetchnął głęboko i rozpoczął swoją opowieść:

- Historia, którą chciałbym panu opowiedzieć, wydarzyła się w miasteczku Pelham na południu Anglii. Przypuszczam, że te okolice nie są panu znane?

- Nie znam dobrze południa - przyznał Adler. - Więcej chyba bywałem za granicą niż we własnym kraju.

- Pan... - sir George zawahał się - jest Brytyjczykiem? - upewnił się.

Adler omal się nie roześmiał.

- To zależy - odparł - jak się pan zapatruje na Szkotów...

- Ach, proszę wybaczyć! - zawołał sir George w ogromnym zakłopotaniu. - Po prostu, pański akcent... Nie potrafiłem go rozpoznać. Nie przypomina znanych mi akcentów z północy.

- Za rzadko przyjeżdża pan do Edynburga, sir.

- Tak, niewątpliwie - wymamrotał sir George, a jego okrągłe policzki zapłonęły nieszczęsnym rumieńcem: przenigdy nie popełniał takich gaf w towarzystwie!

- A zatem miasteczko nazywa się Pelham? - zlitował się nad nim Adler.

- Tak, miasteczko zwie się Pelham i leży w sercu angielskiej prowincji, pośród pastwisk i zielonych łągów, migoczących rzek i prastarych gajów dębowych - sir George rozpogodził się na wspomnienie swych rodzinnych stron. - Jest w Pelham Zamek, wzniesiony za wczesnych Tudorów, obecnie w ruinie. Z czasów Tudorów pochodzi też spora część zabudowy miasteczka. Prócz Zamku, do którego aktualnie i tak nie ma dostępu, na uwagę zasługuje niezwykle romantyczna płatanina krętych uliczek i zaułków. Jedynie główna High Street jest prosta jak strzała, tędy bowiem wiodł główny trakt do Londynu. Pelham było miastem handlowym i tę tradycję po dziś dzień starają się kultywować sklepikarze z High Street. Zaś pamiątką po dawnych, kupieckich czasach jest kamienny krzyż. Takimi krzyżami niegdyś biskupi bądź królowie, czy też inni wielmoże, oznaczali miejsce do handlu.

Jest w Pelham wzniesienie, zwane Wzgórzem świętej Anny. Wzgórze porasta wiekowy bór, z jakiegoś powodu niezbyt popularny wśród miejscowych. Mało kto tam zagląda, a szkoda, bo Wzgórze kryje fascynującą historię. W dawnych wiekach, jeszcze przed powstaniem samego miasteczka, stał tam klasztor braci Augustynów. Bracia prowadzili prężne gospodarstwo i, jak mówią kroniki, żyli w pokoju i harmonii oraz z radością podejmowali gości. Jednym z najznakomitszych gości był sam król Edward I. W czasach reformacji, klasztor podzielił los innych, podobnych mu przybytków – zgromadzenie zostało rozwiązane, zaś majątek klasztorny skonfiskowany przez Henryka VIII na mocy aktu z 1536 roku [38]. Dziś, dawny dom Augustynów to ruiny, a kamień z rozebranych zabudowań klasztornych znajdzie pan tu i tam w murach innych domów w Pelham.

Krótko mówiąc, dziś Wzgórze świętej Anny to miejsce zapomniane. Mnie jednak zdarza się je od czasu do czasu odwiedzić. Zapewne dlatego, iż mieszkam w pobliżu oraz fascynuje mnie historia architektury. Jest jeszcze jeden powód...

Pod koniec kwietnia w angielskich lasach można obserwować bajeczne zjawisko. Raz do roku, niektórzy będą się upierać, że dokładnie w Dzień świętego Jerzego, rozkwita *Hyacinthoides non-scripta*. Niech pan sobie wyobrazi: wilgotną od wiosennej ulewy ziemię przekłuwają tysiące smukłych łodyżek, obsypanych niebieskimi dzwoneczkami. Niebieskie kobierce ścielą się u stóp prastarych buków i migoczą baśniowo w nieśmiałym, kwietniowym słońcu. Kiedy nikt nie patrzy, w morzu dzwoneczków figlują zwykle dostojne bażanty; lękliwa sarna też chętnie zanurza w nim delikatne kopyto. Nisko nad kwiatami wirują łakome motyle i ciekawskie

ważki z pobliskiej rzeki. Uwielbiam chować się za pnem i obserwować ten spektakl – sir George znów się zarumienił. Nie przywykł do obnażania swoich uczuć.

– Bardzo obrazowo pan to opisał, sir – zauważył z uznaniem Adler.

– Niestety – rzekł ciężko Wyatt – tegorocznej wiosny cały czar tego miejsca przysł. Przytrafiła mi się osobliwa historia, której dotychczas nikomu nie wyjawiałem.

Oczy Adlera rozbłysły, jakby ujrzął przed sobą skarb.

– Proszę mi ją opowiedzieć, sir.

Sir George splótł palce i przez chwilę przyglądał się w milczeniu swym dłoniom spod opuszczonych powiek.

W końcu westchnął i opowiedział Adlerowi swoją sekretną historię:

– Zdarzyło się to pod koniec kwietnia. Jak co roku, wybrałem się do lasu na Wzgórzu świętej Anny, by podziwiać cudowne kobierce dzwoneczków. Towarzyszyła mi Maggie Elms, żona lokalnego GP [\[39\]](#). Szliśmy dziką ścieżyną, na drzewach wokół nas mieniły się świeżą, jaskrawą zielenią drobne jeszcze listeczki. Maggie miała lornetkę, przez którą wypatrywała ptaki. Ja zaś prowadziłem ją do miejsca, w którym zwykle rozkwitały dzwoneczki.

W pewnym momencie Maggie dostrzegła stadko brązowych saren, żerujące w oddali, pomiędzy drzewami. Przez chwilę przyglądała im się przez lornetkę, lecz bała się podejść bliżej, by ich nie spłoszyć. Sarny zobaczyły nas jednak i uciekły. Maggie ruszyła dalej ścieżką, bo wytropiła pośród gałęzi jakiegoś ptaka. Ja zaś dostrzegłem jakiś kształt w miejscu, w którym przed chwilą żerowały sarny. Pomyślałem, że to mała sarenka, która nie uciekła. Może jest osłabiona lub ma

złamaną nóżkę i będzie potrzebować pomocy? Podszedłem ostrożnie do żerowiska i wówczas odkryłem, iż nie ma tam małej sarenki. Patrzyłem na pozostałości z uczyty stada. – Sir George podniósł oczy na Adlera. – I czy pan zgadnie, co tam ujrzałem? Ujrzałem zakrwawioną i rozszarpaną padlinę...

Zrobiło mi się słabo: sarny jadły mięso!... – Na samo wspomnienie tego obrazu Wyatt ponownie poczuł mdłości.

Adler milczał, jakby oczekiwał dalszego ciągu opowieści. Jakby nie otrzymał jeszcze kompletnych informacji.

Sir George odchrząknął i powtórzył z naciskiem:

– A zatem, jak wspomniałem, te sarny pożerały inne zwierzę. Co pan o tym sądzi, panie Adler? Czy to normalne, by niewinna sarna, która zwykle żywi się listkiem, zieleń, ewentualnie jagodą lub grzybkami, rozszarpywała drugie zwierzę?... Czy to normalne, by zagryzała je dla mięsa?

Adler wreszcie przemówił.

– Myślę, że musimy odróżnić dwie sprawy – powiedział powoli, z namysłem. – Pierwsza to sarny żywiące się padliną, druga – sarny polujące na inne zwierzęta.

– Dlaczego uważa pan, że to dwie różne sprawy? – zdumiał się sir George.

– Bo sarna, która skubie padlinę, to zjawisko – owszem – nietypowe, lecz okazjonalnie obserwowane w przyrodzie. Natomiast sarna, której instynkt każe dopaść i rozszarpać drugie zwierzę

– to już jest inna historia...

– Jakże ponura historia! – podjął żarliwie Wyatt.

– Dla jednych ponura, dla innych... fascynująca.

Sir George skrzywił się. Tylko tych dziwaków z Klubu

Zoologów mogłyby fascynować takie makabryczne historie!

- Z tego, co rozumiem, pan widział jedynie, jak sarny żerują na padlinie - upewnił się Adler. - Nie potrafi pan powiedzieć, czy same upolowały to zwierzę?

- Nie potrafię - odparł ponuro Wyatt. - Nie wiem też, co to było za zwierzę. Ale to nie był mały ptaszek, który wypadł z gniazdka. To było coś znacznie większego...

- Może inna sarna? - zasugerował niewinnie Adler, a Wyattowi natychmiast powróciły nudności.

- Zatem twierdzi pan - rzekł słabym głosem - że zdarzają się przypadki, kiedy sarna łakomi się na mięso?

- Tak - odparł Adler. - Czasami podobne zachowania obserwuje się wśród roślinożerców. Powody mogą być różne: głód, potrzeba uzupełnienia diety o pewne składniki odżywcze albo po prostu okazja - zwierzęta to oportuniści. Jeśli roślinożerca sięga po mięso, to jest to z jego strony pewien eksperyment. Taki eksperyment może okazać się jednorazowy, ale może też przekształcić się w nawyk, który w kolejnych pokoleniach zmodyfikuje preferencje pokarmowe gatunku. Jakby nie patrzeć, zwierzęta wszystkożerne mają większe szanse na przystosowanie się do zmieniających się warunków środowiska.

Sir George kiwał w roztargnieniu głową.

- A zatem to jest pierwszy scenariusz - powiedział powoli. - Sarny eksperymentowały z padliną. Drugi scenariusz to sarny ze zwyrodniałym instynktem, każącym im zabijać inne stworzenia. - Uniósł oczy na Adlera, a ten skinął głową. - Wie pan... - Wyatt zawahał się i potarł dłonią czoło. - Wie pan, ja sądzę, że mamy do czynienia z tym drugim przypadkiem...

Sir George podniósł się niezgrabnie ze swojego stołeczka.

- Uważam, że coś niedobrego dzieje się na Wzgórzu świętej Anny – rzekł z powagą.

Adler również wstał prędko i zapytał żarliwie:

- Czy wrócił pan potem w tamto miejsce?

Wyatt skinął głową.

- Zdobyłem się na odwagę – i wróciłem – odparł. – Jednakże tamtych saren, czy też takich saren w ogóle, już nigdy więcej nie spotkałem. Ale to nie wszystko. Kilka razy słyszałem dziwne dźwięki, dobiegające, jak miemam, z ruin na Wzgórzu. Było to po zachodzie słońca i... obawiałem się tam podejść – przyznał sztywno. – Nikomu nie opowiedziałem o mięsożernych sarnach, zataiłem to nawet przed żoną doktora Elmsa, towarzyszącą mi wszak tamtego dnia.

Raz wybrałem się na Wzgórze z Albertem, moim cocker spanielem. Był poniedziałek, wczesne popołudnie, piękny, letni dzień. Nie miałem czego się obawiać. Doszedłem do polany z ruinami klasztoru i odkryłem pośród kamieni strzępy ludzkiej odzieży i kawałki zepsutego mięsa – solidne porcje, niczym od rzeźnika z High Street. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć.

Nie ukrywam, że nie znam się zupełnie na zachowaniach i preferencjach pokarmowych zwierząt, lecz czuję, że coś tu jest nie w porządku. Coś tu jest nie tak... – sir George przygryzł wargę, po czym postanowił wyłożyć wszystkie karty na stół. – Wie pan, nie mam syna, a mój zięć i córka stale przebywają za granicą albo w Londynie. Opiekuję się ich córką, to moja jedyna wnuczka. Mieszkam w Pelham od urodzenia, zatem bardzo martwi mnie wszystko, co może zagrozić dobrobytowi, jakim cieszymy się w tym wyjątkowym miasteczku. Jednakowoż nie bardzo mam do kogo zwrócić się

o pomoc. Sam pan rozumie: sprawa jest osobliwej natury i nie każdemu można ją opowiedzieć...

– Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytał Adler, badawczo przyglądając się Wyattowi spod ściągniętych brwi.

Sir George poczuł dziwną treść.

– Chciałbym – odparł cokolwiek lękliwie – aby pomógł mi pan zbadać tę sprawę.

Adler milczał.

– Ja, oczywiście, zdaję sobie sprawę – dodał pośpiesznie sir George – że ma pan inne zobowiązania, mam tu na myśli naukę czy pracę... Moja propozycja jest wymagająca: chciałbym, aby przyjechał pan do Pelham i przyjrzał się sprawom na miejscu. Trudno oszacować, ile czasu zajęłoby rozwikłanie tej, hmm, szczególnej zagadki. Na początek, myślę, byłoby wspaniale, gdyby mógł pan poświęcić jej choćby parę dni... Nie wiem też, czy to wszystko pana w jakimkolwiek stopniu interesuje... Naturalnie, zapraszam pana pod swój dach, gdzie zapewnię panu komfortowe, jak mniemam, warunki. Posiadam spory dom, a mieszkamy w nim tylko ja i moja wnuczka. Prócz tego, zatrudniam kucharkę i ogrodnika, lecz oni wracają na noc do swoich domów w miasteczku. – Sir George uznał, iż przedstawił swą propozycję w dostatecznym detalu.

Podniósł oczy na Adlera i zapytał nieśmiało: – No i co pan na to?

– Czy zamierza pan angażować w tę sprawę profesora Fledermaus?

Sir George zastanowił się, po czym uznał, że to raczej wątpliwe, by profesor przystał na jego propozycję. Z szacownym profesorem sir George mógłby się zapewne

skonsultować jedynie na miejscu, to jest tutaj, w Edynburgu. Profesor pogrzebałby w książkach lub w swojej mądrej głowie i wyłożyłby pewnie rozmaite teorie na temat tego, co też, jego zdaniem, grasuje w lasach Pelham. Sir George wróciłby do Anglii, bogaty w nowe hipotezy, lecz w dalszym ciągu bałby się spacerować po Wzgórzu świętej Anny.

- Z profesorem, naturalnie, chętnie bym porozmawiał, jednakże po namyśle stwierdzam, iż pańska pomoc byłaby o wiele cenniejsza. Jestem, oczywiście, świadomy rozbieżności wiedzy i doświadczeń, jaka musi istnieć pomiędzy uczniem, a jego, że tak się wyrażę, mistrzem, lecz mimo to podtrzymuję swoją prośbę do pana - oświadczył pompatycznie sir George.

Adler przyjrzał mu się z rozbawieniem.

- Musi pan także wiedzieć, sir, że wszelkie osobliwości fauny interesują profesora tylko wówczas, kiedy mogą się przełożyć na konkretny zysk.

Wyatt uniósł srebrne, kłaczkowate brwi.

- Nie bardzo rozumiem?

- Profesor poszukuje cennych okazów, nieznanymi lub spektakularnymi gatunków. Jeżeli mógłby mu pan obiecać, że wyciągnie coś takiego z pańskiej sprawy, na pewno dobilibyście interesu. Nie sądzę jednak, by fenomen, który pan opisał, zainteresował profesora. Na pewno nie na tyle, by poświęcił mu swój własny czas i energię. Jeśli już - uśmiechnął się Adler - do zbadania

sprawy, wysłałby właśnie mnie...

- Zatem na jedno wychodzi - uśmiechnął się także sir George.- Niezupełnie. Widzi pan, ja działam na własny rachunek... - Czy pana również interesują osobliwości świata

zwierząt?

– Nic nie pociąga mnie bardziej – odparł Adler żarliwie.

– W takim razie – rzekł z satysfakcją sir George – ogromnie się cieszę, że pana poznałem. Bowiem dla mnie zwierzęta są jedynie nie zawsze koniecznym dodatkiem do wspaniałego świata, jaki wzniosł człowiek. Myśl o cudach architektury napawa mnie wzruszeniem, natomiast świadomość istnienia krwiożerczych drapieżników przepęlnia moje serce lękiem. Świat przyrody jest taki brutalny i prymitywny; sama idea, iż wygrywa ten, kto jest silniejszy, jest przerażająca. Gdybym musiał być zoologiem – a dzięki Bogu nikt nie przystawił mi w tej kwestii noża do gardła – byłbym zapewne, jak Schmetterling, kolekcjonerem motyli. Studiowałbym ich piękno. Wspaniałe skrzydła, grację, z jaką tańczą po kwiatach...

– Zatem kiepski byłby z pana zoolog – stwierdził mściwie Adler. – Bardziej nadawałby się pan na poetę, sir. Albo konesera sztuki. Dla zoologa piękno motyli nie leży jedynie w ich barwnych skrzydłach. Najbardziej intrygujący jest cały cykl życiowy lub, jak pan woli, najpiękniejsza jest sama przemiana – z gąsienicy w poczwarkę, a z poczwarki w dorosłego owada, imago.

– Doprawdy, jak można się interesować spuchniętą, włochatą gąsienicą! Przecież to obrzydliwe – skrzywił się sir George. – Wy, zoolodzy, jesteście trochę obrzydliwi, wie pan?

– Ale piękno w przyrodzie też bywa pozorne – zauważył z uśmiechem Adler. – Skoro już mowa o motylach, weźmy takiego *Morpho menelaus* – ten motyl uznawany jest za jednego z najpiękniejszych na świecie. Wspaniałe, niebieskie skrzydła o metalicznym połysku. Taki poeta, jak pan, sir, na

pewno by się zachwycił. Tymczasem już pobieżne studia nad tym gatunkiem pozwalają odkryć brudne sekrety tej ślicznotki. Najpierw okazuje się, że larwy wyżerają się nawzajem. Innymi słowy, uprawiają wściekły kanibalizm. Potem zauważamy, że dorosłe motyle mają dość paskudną dietę. Przykładowo, odchody i płyny ustrojowe zwierząt. Krew, mocz, soki trawienne, płyn mózgowo-rdzeniowy... A na końcu przychodzi największe rozczarowanie – wychodzi bowiem na jaw, że motyl wcale nie jest piękny. Pod niebieską, iryzującą powłoką kryje się brązowy brzydal!

– Pan to wszystko potrafi obrzydzić – zachnął się sir George. – Ale pańskie słowa tylko potwierdzają, iż nie ma mowy o pięknie w świecie zwierząt.

– Piękno to domena wyznawców teorii stworzenia.

– Doprawdy? Czy to znaczy, że pan, Adler, w ogóle nie dostrzega piękna na świecie?

– Dostrzegam, ale w innych zjawiskach niż pan.

Sir George uznał słuszność powyższej refleksji i skoncentrował się na sprawach bardziej przyziemnych.

– Gdzie są moje ubrania? – zapytał.

– Ktoś miał pomysł, żeby wysuszyć je nad ogniem – przypomniał sobie Adler. – Chyba Libelle. Podobała jej się pańska mucha.

Sir George z zażenowaniem i trwogą uświadomił sobie, że w upokarzającym procedurze, zwanym ceremonią przyjęcia do klubu, brała udział kobieta. Zrobił małą szparę w płachcie namiotu i zobaczył, iż, rzeczywiście, poszczególne części jego garderoby porozwieszano na żerdkach zagrody dla świń brodatych, by się suszyły w gorącym dymie.

– Byłby pan łaskaw przynieść moją odzież? – poprosił

słodko Adlera. – Chcę panu dać moją wizytówkę, powinna być w kieszeni marynarki.

Adler powrócił z kłębkami brudnych, zmiętych i wciąż wilgotnych ubrań, śmierdzących ponadto dymem oraz mięsiwem z rusztu.

Sir George wyłuskał z kłębka jakiś mokry papierek i wsunął go w dłoń Adlera.

– Jeśli się pan zdecyduje przyjechać do Pelham, proszę pisać lub dzwonić, tutaj są wszystkie adresy i numery.

Adler przyglądał się w milczeniu rozmytym cyferkom. Zdawało się, że nad czymś się zastanawia, że podejmuje jakąś decyzję.

– Wie pan, co, sir? – powiedział wreszcie. – Proszę przyjąć i moją wizytówkę – tu podał Wyattowi stosowny bilecik.

Na prośbę sir George'a, Adler zamówił jeszcze taksówkę, która zawiozła starszego dżentelmena pod drzwi hotelu na George Street.

Sir George wkroczył z rozmachem do hallu, łopocząc połami zielonej peleryny. Minał młodego recepcjonistę, kompletnie ignorując jego zbaraniałe oblicze. Nacisnął guzik windy i uśmiechnął się do siebie pod nosem.

Już po wszystkim. Nie było łatwo, o nie, lecz on, sir George, poradził sobie dzielnie. Teraz pozostaje przekazać pałeczkę młodym zoologom. Ten Adler wydawał się naprawdę zainteresowany osobliwą historią z Pelham. Pytanie tylko, czy na tyle, by faktycznie przyjechać do miasteczka...

Sir George przypomniał sobie o wizytówce chłopaka. Wyciągnął ją i z ciekawością przyjrzał się stworowi wytłoczonemu na czarnym kartoniku. Smok czy jakaś inna gadzina?... Ten chłopak ma chyba obsesję na punkcie

baśniowych bestii. Niby naukowiec, a jaki niedorzeczny!

A potem sir George obrócił kartonik i poznał prawdziwe imię Adlera.

Nazywał się Christian Tarquin Forbes. Sir George wiedział doskonale, że w tym prominentnym szkockim nazwisku nie było nic niedorzecznego.

LUNCH Z PROFESOREM

*Lubię patrzeć,
jak błyszczą ci oczy,
gdy rozmawiamy o zwierzętach i dzikich wyprawach.*

Prof. John Reid

PO POWROCIE DO EDYNBURGA profesor Fledermaus zaprosił Christiana na lunch.

Profesor wybrał swoją ulubioną restaurację, mieszczącą się w posępnych, kamiennych murach dawnej świątyni, opuszczonej przez wyznawców przed wieloma laty. Takich nieczynnych, zamkniętych na głucho kościołów w Edynburgu były dziesiątki. Dziś już tylko ich imponująca architektura przypominała przechodniom, iż niegdyś te mury były natchnione.

Restauracja znajdowała się w dzielnicy Morningside, zaledwie dziesięć minut spacerem od eleganckiej willi z piaskowca, w której rezydował profesor. Mroczne, strzeliste wnętrza restauracji rozświetlały fioletowe reflektory.

W połączeniu z drżącymi płomieniami licznych świec, dawało to dosyć upiorny efekt. Zarezerwowany przez profesora stolik mieścił się w bocznej nawie dawnego kościoła. Stolik był malutki, okrągły i niezwykle wysoki; pokryty śnieżnobiałym obrusem, długim aż do ziemi.

Christian zjawił się punktualnie, ubrany w białą koszulę i klasyczną, ciemną marynarkę. W kwestii ubioru, profesor miał konserwatywny gust: krzywił się na widok wszystkiego, co nie było garniturem lub frakiem. Sam profesor przybył przed umówioną godziną. Zawsze tak robił, zapewne celowo, by płoszyć młodych podopiecznych. W granatowym garniturze i czerwonym krawacie, ze złotym, klubowym znaczkiem w klapie marynarki, profesor Fledermaus wyglądał niczym prezes Bank of America.

Tymczasem był po prostu zwykłym akademikiem, który w ostatnich latach próbował swoich sił w biznesie. Nawiasem mówiąc, był to biznes szczególnej natury, nie bardzo legalny, a zatem zyskowny. Profesor naprawdę nazywał się John Reid i wykładał od lat na Uniwersytecie Edynburskim. Swoją akademicką karierę związał z zagadnieniami taksonomii i filogenezy zwierząt [\[40\]](#). Początkowo interesowały go *Chiroptera* [\[41\]](#), szybko jednak rozszerzył swoje zainteresowania na inne kręgowce.

Profesor powitał Christiana z typowym u niego zniecierpliwieniem w głosie. Zawsze, nawet wówczas, kiedy się z kimś umawiał, można było odnieść wrażenie, że profesor bardzo cierpi, gdyż powinien być właśnie na innym, o niebo ważniejszym spotkaniu.

Młody Forbes zasiadł przy stoliku bez słowa. Nie zamierzał się tłumaczyć ze swojej punktualności.

Tymczasem zjawił się kelner. W dłoni piastował pękata butelkę z bursztynowym płynem. Nie, nie była to whisky – w butli rozpierał się pozwijany w równe pierścienie wąż. „Nalewka z kobry”, rozpoznał bezbłędnie Forbes.

– Pańska nalewka, sir – powiedział cicho kelner, po czym usłużnie wypełnił po brzegi malutki kieliszek z grawerowanego kryształu.

Profesor Reid niedostrzegalnie skinął głową.

– Dla pana, sir? – tu kelner podniósł oczy na Forbesa.

– Dla mnie to samo – odparł mężnie chłopak.

Profesor uniósł swój kieliszek teatralnym gestem, jak gdyby odprawiał jakiś rytuał. Następnie wychylił zawartość jednym haustem i nie skrzywił się, lecz dziwnie zamyślił.

Christian nie spieszył się z degustacją. Aby odwlec ten moment, rozejrzał się po pustawym stoliku. Jego wzrok nieuchronnie zatrzymał się na rozłożystym kapturze szyjnym kobry.

– Wspaniały okaz – skomentował bez przekonania, pukając palcem w butelkę.

– O, tak – odparł Reid, również bez przekonania.

– Naprawdę, nieźle się prezentuje w tym szkle.

– Pij.

Christian westchnął i wypił. Nie było źle. Podczas pobytu w Azji jego żołądek miewał większe wyzwania i jakoś sobie radził. Profesor obserwował go zza połyskujących szkieł okularów.

– Powiedz mi, Christian – zaczął, złowróźnie zimnym tonem – dlaczego pod moją nieobecność sprowadzasz do Klubu jakichś baranów?

Aha. Więc chodzi o tego Wyatta.

– To nie baran, sir. To sir George Wyatt – odparł Christian, jakby to wyjaśniało wszystko.

– Sir Baran – burknął Reid. – Nie potrzebujemy takich bezużytecznych baranów, zapamiętaj sobie.

– W porządku.

– Jakbym potrzebował bezużytecznych baranów, zaprosiłbym więcej twoich kolegów ze studiów – Profesor nie krzyczał, lecz mówił cichym, jadowitym głosem. – A tymczasem – kontynuował, nalewając kolejną porcję mikstury z węża – z moich obecnych studentów, w Klubie jesteś tylko ty. To wielkie wyróżnienie, Forbes.

– Tak, sir.

– Widzisz, moja wizja zaczyna się realizować, a to oznacza, że Klub będzie nabierał coraz większego znaczenia... w pewnych kręgach.

– Co to za wizja, sir?

Profesor nie odpowiedział. Łyknął nalewki i znów na chwilę się zamyślił.

– Wszystko w swoim czasie, Christian – odparł w końcu. – Chcę jednak, abys był świadomy wyróżniania, jakie cię spotkało. Taka świadomość... motywuje.

Tym razem Christian nic nie odpowiedział, jednak profesor i tak nie potrzebował, by jakiś młokos przerywał mu monolog bezsensownymi wtrętami.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego w Klubie nie ma twojego przyjaciela Doddsa? Bo z Doddsa da się zrobić co najwyżej fachowego zootechnika. Taki przyda się ojcu na farmie. Z kolei ten okularnik, Ross, to przerośnięty

pseudointelektualista. Kiedyś zasypią go książki i już się spod nich nie wygrzebie. Reszta twoich kolegów poszła na zoologię, bo kocha zwierzaki. – Tu obaj zgodnie zarechotali. – Zatem sam widzisz. Zostałeś tylko ty. Intelpekt, siła i entuzjazm – wszystko to masz to w genach, Forbes. W twoich żyłach płynie krew twojego straconego ojca. Nie zmarnuj swojej szansy. Nie przegraj, jak on.

Christian uniósł ciężką butlę i przelał trochę spirytusu do swojego kieliszka. Wypił bez zastanowienia i zbędnych refleksji. Profesor Reid skopiował poczynania ucznia i ciągnął:

– Kiedy byłem młody, nie miałem takiej szansy, jak ty. Musiałem wybić się sam – a zaczynałem nisko. Zaczynałem od liczenia nietoperzy na Zamku Bodiam.

– To rzeczywiście fatalny start – przyznał Christian, któremu alkohol powoli przywracał zdolność konwersacji z mentorem.

– Byłem wówczas młodym doktorantem – rzekł z nagłym rozrzewnieniem Reid. – I już wtedy wiedziałem, że będzie ciężko. Że jak się bardziej nie postaram, to kiedyś zdechnę na tej wieży, pośród dwustu dwudziestu czterech obojętnych na mój los nietoperzy.

Zjawił się kelner i spytał, czy może podać lunch.

Reid skinął głową.

– Serwują tu najlepsze ozorki wieprzowe w całej Szkocji – rzekł do Christiana. – Mięso, co prawda, kupują od Anglików, na jakiejś farmie w Northumberland [\[42\]](#). W każdym razie, musisz spróbować. Doskonale komponują się z pieprzną rzeżuchą.

– Przy okazji, sir, mam pomysł na danie, jakie możemy podać na pierwszym, powakacyjnym spotkaniu Klubu – ożywił

się Christian. – Inspirowane kuchnią południowoazjatycką. Na pewno się panu spodoba!

– Słucham? – Reid sceptycznie uniósł brew. Nie podobało mu się ożywienie chłopaka.

I słusznie.

– Zupa z nietoperza, sir. Takie danie na pańską cześć... Ze zdobyciem nietoperzy nie powinno być problemu. Mogę się po nie wybrać z chłopakami nad Water of Leith [\[43\]](#). Samo przyrządzenie potrawy też wydaje się proste. Bierze pan nietoperza, sir, gotuje go pan we wrzątku, żeby sierść odeszła, a na koniec dusi w wywarze z ziół i przypraw. Można jeszcze mleka kokosowego dolać.

– No tak – odparł powoli Reid – widzę tu tylko jeden problem, natury prawnej. Nietoperze są pod ochroną. Ale, z drugiej strony, radzenie sobie z tego typu problemami to nasz chleb powszedni, czyż nie? – Profesor zdecydował się przyozdobić swą twarz porozumiewawczym uśmiechem. Był to uśmiech wątpliwej jakości, bardziej skrzywienie albo nerwowy spazm mięśni ust.

– Przy okazji – rzekł – bardzo ci dziękuję za upominki z Chin. Szczególnie za te, na które składałem specjalne zamówienie.

Oczy Christiana błysnęły mimowolnym rozbawieniem. Do kategorii zamówień „specjalnych” zaliczały się przede wszystkim specyfiki medycyny chińskiej. Na witalność – i potencję.

Christian przywiózł tego z Chin całkiem sporo. Wszystko zawinięte w papier ze starej, chińskiej gazety, z dołączoną instrukcją, której Reid i tak nie zrozumie. W każdej paczuszce była perełka: a to garść sproszkowanych mrówek, a to

wyschnięte skórki cykad, to zaś suszone genitalia jelenia.

– Chińska medycyna to doprawdy zagrożenie dla bioróżnorodności – zauważył Christian.

Profesor dostrzegł wesoły błysk w jego oczach.

– Powiedz mi lepiej – rzekł surowo – gdzie zdobyłeś te wszystkie medykamenty?

– Jak pan wie, sir, sporo czasu spędziłem w górach Xishuangbanna [\[44\]](#), głównie z uwagi na niesamowite bogactwo gatunków zwierząt i roślin w tym tropikalnym regionie. Jakiś czas pomieszkiwałem wtedy u starego medyka. Każdego poranka, Chen, bo tak miał na nazwisko, wyruszał do zanurzonego we mgle, tropikalnego lasu po różne składniki do swoich leczniczych mikstur. Zbierał zioła, korę, korzonki, kwiaty i owady. Parę razy się z nim wybrałem, by mu pomóc w rąbaniu drzewa i ścinaniu kory. Na pamiątkę dał mi fajny tasak.

W swoim domu Chen zgromadził setki składników. Nie wszystkie pochodziły z pobliskiego lasu. Niektóre, głównie części zwierząt, kupował na lokalnych targach. W jego domu wszędzie było pełno wiązek gałęzi, słoików z węzami, plecionych tac, na których suszyły się owoce leśne i liście. Gotowe składniki grupował na te, które mają moc ogrzewania organizmu oraz te, które go chłodzą. W jego gabinecie znalazłem kopię starożytnego manuskryptu, w którym spisano setki receptur, z podaniem właściwych proporcji i tak dalej. No, ale ja dopiero startuję z chińskim, więc pomyślałem, że zawsze będę mógł wrócić i gwizdnąć tę książkę za parę lat. A wrócę tam chętnie.

– Czy to od tego medyka pochodzi większość moich ziół?

– Tak, sir.

Przyniesiono lunch: świńskie ozorki z dodatkiem aromatycznej zieleniny, grzanek i jajek w koszulkach.

– Dawno nie jadłem wieprzowiny – poinformował Christiana profesor, zabierając się do jedzenia. – Nie jest tak popularna w Szkocji, jak chociażby w Chinach, prawda?

Christian przypomniał sobie, kiedy ostatni raz zjadał się mięsem ze świni. Było to faktycznie w Chinach, oczywiście w Yunnanie, gdzie spędził lwią część wyprawy, tuż przy granicy z Laosem. Kwaterował wówczas u rodziny, która utrzymywała się ze zbierania liści herbaty na plantacjach rozrzuconych po parnych i błotnistych wzgórzach. Żyli w drewnianej chacie, wyniesionej w górę na palach. W chłodnej piwnicy pod chatą trzymali świnię i kurczaki, które ubijali tylko na specjalne okazje. Tak się złożyło, że zżyli się bardzo z Christianem i jego ówczesnymi towarzyszami. Na pożegnalny posiłek gospodarze zaserwowali im zarżniętego uroczyście prosiaka.

– Skoro już mówimy o Chinach – rzekł Reid, nadziewając na widelec pęk zieleniny – przeglądałem twoje relacje i sprawozdania w miarę na bieżąco. Te sprawy omówimy w Klubie albo na uczelni. Dzisiaj chciałbym poruszyć tylko jedną kwestię.

Profesor wsadził do ust zieleninę i począł ją mleć zębami jak krowa.

– Przed twoim wyjazdem, wspomniałem ci o pewnym człowieku z miasta zwanego Chongqing – przypomniał Christianowi.

– Tak, sir.

– Niewiele o nim wówczas wiedziałem, słyszałem jedynie pogłoski. – Profesor mówił wolno, z rozmysłem. – Pogłoski

mówiły o tym, jakoby człowiek ten kolekcjonował egzotyczne zwierzęta. Przez egzotyczne rozumiem niezwykle, unikalne. Warte wielkich pieniędzy. – Reid zrobił pauzę, po czym oznajmił: – Interesuje mnie ten człowiek. Nie wspominałem ci o nim bez przyczyny. Chciałbym wiedzieć o nim więcej: kim jest lub chociażby pod jakim imieniem jest znany, jak do niego dotrzeć, jak bogata jest jego kolekcja. Czy interesuje go jedynie nabywanie unikalnych okazów, czy też sam nimi handluje. I tak dalej.

Profesor wyprostował się i spojrzał Christianowi prosto w oczy.

– Wiedziałeś o tym – powiedział. – Wiedziałeś, że poszukuję tych informacji. A zatem, czy masz mi coś do powiedzenia w tej kwestii?...

Christian spodziewał się tego pytania. Miał dużo czasu, by przygotować jakąś wiarygodną odpowiedź, jednak tego nie zrobił. Sprawy za bardzo odbiegły od z góry nakreślonego scenariusza. Wiedział na pewno, że nie może powiedzieć prawdy. Że nie chce tego zrobić. Nie będzie się spowiadał Reidowi. Nie ufał już profesorowi. Czuł, że mają rozbieżne interesy.

Naturalnie, Christian zdawał sobie sprawę, że wypinać się na mistrza to kiepska taktyka. No, chyba że ma się w rękawie jakiegoś asa. Czy tak było w tym przypadku? Christian nie był pewien.

– Nie powiedział mi pan, sir, dlaczego interesuje pana ten człowiek.

Reidowi nie spodobała się taka zuchwałość. Z chrzęstem rozgniół grzanekę i skrzywił się, jakby obrzydło mu tak jedzenie, jak i towarzystwo.

Christian tymczasem uznał, że dojrzał już do kolejnej dawki spirytusu z kobrą. Nie zdążył jednak sobie polać, gdyż profesor zaskoczył go nagłą refleksją:

– Beze mnie byłbyś nikim, Forbes – oświadczył ponuro. – Jesteś nikim. Twoje nazwisko już się nie liczy. Twój ojciec wznosił je na wyżyny, a potem sam upaprał w syberyjskim błocie. Kto go zresztą wie, gdzie się teraz szlaja. Jeśli zaś ty kiedykolwiek zbłądzisz, przypomnij sobie, komu zawdzięczasz rekomendację i stypendium. Kto cię przyjął do Klubu. A to dopiero początek: przed tobą niebanalna przyszłość. Są jednak pewne warunki.

Trzymaj się ich, jeśli nie chcesz wrócić do szeregu.

Wybrałem cię, bo spodobał mi się twój entuzjazm. Bo dostrzegłem w tobie coś, czego nie mieli inni. Lubię patrzeć, jak ci błyszczą oczy, kiedy gadamy o zwierzętach i dzikich wyprawach. Ciesz się nowymi możliwościami, jakie przed tobą otworzyłem, ale respektuj moje warunki i wymagania. Twoja rola jest taka: uczysz się, wyżywasz na ekspedycjach, a przy okazji zdobywasz odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Tu profesor Reid zorientował się, iż przemawia nazbyt dosadnie i szczerze. To nie było w jego stylu. W kwestii prywatnych uczuć i osądów, preferował on grę niedomówień. Bawić się w szczerłość mogą tylko głupcy i ci, co nie mają nic do stracenia.

Podjrzliwość Christiana zaniepokoiła go, więcej – niemal wytrąciła z równowagi. Dotychczas Reid widział w chłopaku roztrzepanego entuzjastę, młodego odkrywcę, zafascynowanego niezbadanym jeszcze wszak do końca światem. Nie sądził, że cokolwiek może grozić mu ze strony tego młokosa i fantasty. W każdym razie, jeszcze nie teraz.

A miał sporo czasu, aby go urobić, stopniowo wtajemniczyć w to i owo. Jego brak zażyłości z ojcem był Reidowi na rękę. Z drugiej strony, przydałoby się wiedzieć, co też knuje stary Forbes. Ale wszystko w swoim czasie.

W tym roku profesor zdecydował się wysłać Christiana do Chin. Przykrywką w postaci stypendium była kwestią sugestywnego odświeżenia paru znajomości. Profesor śledził na bieżąco relacje z ekspedycji Christiana, przeglądał wnikliwie jego raporty i pozostałą dokumentację. Od tej wyprawy wiele zależało, to był swego rodzaju test przyszłego układu, który miał zaproponować młodemu Forbesowi.

Z początku nie podejrzewał go o celowe nieposłuszeństwo, lecz brak odpowiedzi na pewne pytania, luki na opracowanej wszak starannie mapie wyprawy wydały mu się zastanawiające. Czyżby chłopak coś przed nim ukrywał? Jeśli tak, pytanie brzmiało: co, bowiem nie wszystkie opcje były alarmujące. Jeżeli, dajmy na to, za tymi paroma niejasnymi tygodniami kryła się wakacyjna przygoda z jakąś azjatycką ślicznotką, nie było przecież powodu do paniki. Prędzej by, zresztą, podejrzewał młokosa o taką historię niż o jakieś przebiegłe zagrania i dwulicowość. Z drugiej strony, dzieci awanturników bywają niepokorne...

No, cóż. Trzeba będzie jeszcze dokładnie przyjrzeć się temu wszystkiemu. Na razie i tak nie mógł sobie pozwolić na to, by zrezygnować z chłopaka. Powiedział mu, że jest nikiem, a tymczasem on, John Reid, sam dopiero stawiał pierwsze kroki w tym nowym biznesie...

– Opowiem ci coś interesującego – powiedział miększym tonem i nalał im obydwu do kieliszków. – Jakiś czas temu, w Londynie, poznałem ciekawego gościa. Nazwijmy go

Księciem, bo też istotnie wywodzi się z rodziny królewskiej. Otóż ten nasz Książę jest blisko spokrewniony z ostatnim królem Hellenów, przebywającym przez długi czas na emigracji w Wielkiej Brytanii. – Królem Hellenów?

– Tak. Inaczej, królem Grecji. Brzmi to jak Bóg wie co, ale w dzisiejszych czasach oznacza po prostu gościa z koligacjami i kasą.

– Szczególnie w obecnych realiach: w Grecji nie ma monarchii – zauważył przytomnie Christian.

– Prawda, lecz monarchowie jakoś sobie radzą w tej niekomfortowej sytuacji. Wróćmy do naszego Księcia. Jego powiązania dynastyczne dają mu prawo sukcesji tronu w kilku europejskich mocarstwach. Oczywiście, wszędzie po odstaniu w wyjątkowo długiej kolejce.

– Gratuluję znajomości – powiedział Christian, zastanawiając się, po co profesor mu o tym wszystkim opowiada.

– Książę, naturalnie, ma wiele zalet. Lubi, na przykład, efektownie wydawać pieniądze. A musisz wiedzieć, że jest monarchą na wskroś nowoczesnym i hańbi się pracą. Bankowość inwestycyjna, szklane wieżowce w City. Podobno znośne zarobki. Ale pewnie się zastanawiasz, jak w ogóle poznałem Księcia. Otóż jego znajomy z City chciał sprawić swojej córce dość szczególny prezent urodzinowy: białą panterę śnieżną. Podobno o tym marzyła. I ja... pomogłem mu zdobyć takiego zwierzaka. Nie sam, działałem przez siatkę pośredników. Wiem tylko, że zwierzę miało pochodzić z Indii, lecz nie wierzę na sto procent tej informacji. Zresztą, to nieistotne. Najważniejsze, że pantera trafiła do dziewczyny, a my dostaliśmy w zamian konkretną zapłatę.

- Czy pomagał panu ktoś z Klubu?

Reid skinął lekko głową.

- Ten i ów okazał się przydatny. Lecz najważniejsze są kontakty w krajach, z których pochodzą takie zwierzęta. Wiesz, mam na myśli te wszystkie szemrane republiki i inne dziwne krainy i królestwa. W każdym razie, mój kupiec był bardzo zadowolony z efektów przedsięwzięcia i gorąco polecił moje usługi swemu znajomemu, greckiemu Księżciu. Okazuje się, że Książę też ostatnio oszalał na punkcie dzikich zwierząt. Interesują go, jakże by inaczej, gatunki rzadkie i zagrożone. Zasłyszał gdzieś o wielkim puchaczu śnieżnym Ubu i gotów jest dać za taki okaz ogromne pieniądze. Więcej: pokryje nawet koszty poszukiwań! - Reid zmrużył oczy, ubawiony ludzką naiwnością. - Na początku nie wiedziałem, jaką taktykę obrać. Czy być realistą i ostudzić jego zapał, czy też wręcz przeciwnie.

- Wszyscy wiemy, że wybrał pan to drugie - mruknął Christian.

- Tak. Stwierdziłem, że postaram się spełnić marzenia Księcia. Dlaczego by nie? Tacy ludzie jak on są nam potrzebni, Christian. Nawet jeśli nigdy nie znajdziemy puchacza Ubu, pomyśl, ile odkryć możemy poczynić przy okazji. Ile krain zwiedzić - i tak dalej. Sam rozumiesz. Dlatego zapamiętaj sobie - profesor pochylił się niżej nad stolikiem i gestem dłoni zachęcił, by jego słuchacz zrobił to samo - kluczem do sukcesu w dowolnym biznesie są naiwni ludzie z pieniędzmi. Musisz ich tylko oczarować swoją ideą. Przy czym wystarczy ich oczarować jedynie na chwilę - na moment przelewu funduszy.

Christian patrzył na profesora, słuchał jego słów -

i wydawało mu się, że ma przed sobą jakąś obcą osobę. Tamten profesor Reid, który zawsze podkreślał zasadność pogłębiania wiedzy poprzez studia i podróże, który głosił swoją fascynację światem zwierząt i najciekawszą z nauk, zoologią, tamten profesor znikł. Przed sobą Christian miał teraz obłąkanego akademika, który na stare lata odurzył się zapachem mamony.

Chłopak wiedział też, że wszelkie wzmianki o odkryciach i egzotycznych krainach mają na celu go poruszyć, zapalić do działania. Sam profesor tak naprawdę nie znosił podróży, a już na pewno nie wybrałby się do żadnej z tych „szemranych republik”, o których wspominał. Od tego miał Christiana.

Było jeszcze coś, co zaczynało drażnić młodego Forbesa: docinki o jego ojcu. Ostatnimi czasy, stanowiły stały element w repertuarze Reida, natrętny przerywnik, kiedy profesor łąpał oddech pomiędzy dwiema różnymi kwestiami.

Christian nie miał sprecyzowanych uczuć względem ojca. Nie zamierzał go bronić ani też zaprzeczać faktom, których, nawiasem mówiąc, znał niewiele. Przeszłość Aarona Forbesa była dla niego tajemnicą, choć zdarzało się, zawsze przypadkowo, że odkrywał jakiś trop.

Kiedyś, nad Loch Mòr, ojciec wynurzył się z jeziora i na jego obnażonych plecach Christian zobaczył ciemne pręgi. Wziął je wówczas za jakiś osobliwy tatuaż, którego ojciec jednak nie chciał mu pokazać z bliska. Dopiero parę lat później Christian przekonał się, że nie był to tatuaż, lecz głębokie, kiepsko zabliznione szramy. Tak szpetnych i przerażających blizn nie powstydzilby się więzień polityczny. Ale pasowały również do dziczającego poszukiwacza przygód.

Całkiem możliwe, że ojciec i Reid starli się w przeszłości. Możliwe, że złośliwe uwagi profesora miały podłoże w jakiejś osobistej historii. Być może historia ta miała miejsce jeszcze w czasach, kiedy Aaron Forbes triumfował w kręgach akademickich, zaś Reid musiał się zadowolić liczeniem nietoperzy w zamkowych wieżach oraz pisaniem kwiecistych esejów na ten temat.

Profesor złożył sztucce i odsunął talerz.

– Dostałem od ciebie jeszcze jeden upominek, którego, jak mi się zdaje, nie zamawiałem – rzekł uprzejmie, mimo iż był pewien, że nie składał podobnego zamówienia. – Malutka klatka z bambusa i pudełko z dziwnymi akcesoriami. Czy to sugestia odnośnie nowego hobby?

– W pewnym sensie – odparł Christian. – To klatka na świerszcze.

– Świerszcze? – profesor w zdumieniu uniósł brwi. – I cóż miałbym z nimi robić?

– Po pierwsze, zestaw nie zawiera świerszczy – ostudził go Christian. – W pudełku są akcesoria do karmienia, wie pan, miniaturowe miseczki z porcelany, pęseta do nakładania mrówczych jaj... A ze zdobyciem świerszczy nie powinno być trudno. W kraju jest ich coraz więcej, występują nawet na północy. Ross twierdzi, że to przez ocieplenie klimatu.

– No, ale po co mi te świerszcze? – nie wytrzymał profesor.

– Może je pan hodować do walki, sir.

– Do walki?...

– Nie słyszał pan o walkach świerszczy? Jak pan je sprytnie podrażni, sir, i zagrzeje do walki, mogą dla pana walczyć za pieniądze.

Profesor prychnął nieuprzejmie.

- Chyba za długo przebywałeś w Azji, Forbes – zauważył kpiąco.
- A co, jeśli moje świerszcze nie będą chciały walczyć?
- Wtedy – odparł Christian – może pan je usmażyć w głębokim tłuszczu i zjeść.

PSY

*Kiedy pies zamierza atakować przeciwnika,
warczy i obnaża kły [\[45\]](#).*

C.R. Darwin

PO ZAKOŃCZENIU pierwszego tygodnia zajęć na uczelni, Christian, Vincent oraz Rory wdrapali się na wierzchołek wulkanicznego wzgórza, zwanego Arthur's Seat.

Na szczycie dawnego wulkanu wiał ogłuszający wiatr, lecz miejsce to miało swoje walory: rozpościerał się stamtąd panoramiczny widok na Edynburg i okolice, od zatoki i zabudowań Portobello na północy po poszarpany kontur wzgórz Pentland Hills na południu.

Rory i Christian rozpędzili grupkę małych, zajmujących najlepsze, albowiem względnie zaciszne miejsce w wykuszu brązowej skały. Vincent nie brał udziału w tym akcie przemocy.

Wszyscy trzej rozsiedli się na skrawku zdobytej przestrzeni i wyciągnęli puszki Belhaven Best. Wygodnie nie było: w siedzenia wbijała im się skała oraz kłujące listki jakichś

chwastów. A wystarczyłoby zejść parę kroków i już siedziałyby się na zielonej trawie, pośród długich, falujących słomek, przyjemnie muskających twarz. No, ale wtedy wiatr pourywałyby im głowy.

Psyknęły otwierane puszki.

– Widzicie? – odezwał się Rory, siorbiąc ze smakiem. – Tam w dole ktoś ułożył z kamieni napis „Wyjdź za mnie”. Ale numer. Wyszlibyście?

– Sam nie wiem, czy to romantyczne, czy prostackie – zastanowił się Vincent. – Biorąc pod uwagę, że musiał to ułożyć facet, to chyba jednak to drugie.

– Nie wszyscy faceci to prostytutki – zaperzył się Rory. – Zresztą chyba nie chciałbyś być jak ten metroseksualny gość od biologii komórki?

– Delmore?

– Taa, Delmore. Czasami, jak tak na niego patrzę, to się zastanawiam, o co tak naprawdę mu chodzi: o eukarionty, czy może o coś więcej...

Vincent sceptycznie pokręcił głową.

– Chyba nadinterpretujesz jego wygląd zewnętrzny – stwierdził.

– Poważnie, ta jego wymuskana twarz ma w sobie coś odstręczającego... Szczególnie ta wypachniona broda. Na kilometr jedzie od niego drzewem sandałowym.

– Co to jest drzewo sandałowe? – zainteresował się Christian.

– Lepiej, żebyś nie wiedział – odparł Rory takim tonem, jak gdyby chronił niewinność przyjaciela przed czymś wyjątkowo plugawym. Następnie dorzucił z pretensją: – Co on, tak

właściwie, chce osiągnąć tym zarostem?

Vincent westchnął lekko i podjął dyskusję.

– Może chce podkreślić, że prawidłowo funkcjonują mu androgeny? – zasugerował.

– Albo hoduje ją z uwagi na jej właściwości termoizolacyjne? – dodał Christian. Szybko jednak zwątpił w siłę swego argumentu. – Ale nie oszukujmy się – dodał. – Taka broda to po prostu jedna wielka ferma pasożytów.

– Nie bagatelizujcie zarostu – uśmiechnął się Vincent. – Dobrze wypielęgnowana broda może mieć poważne konsekwencje biologiczne.

– Co masz na myśli? – spytał Rory.

– Sukces reprodukcyjny: dla wielu kobiet mężczyzna z zarostem to atrakcyjny partner.

– Myślisz? – zadumał się Rory i bezwiednie przesunął palcem po swoim gładko ogolonym podbródku.

– Nie każdemu, oczywiście, jest z nią do twarzy – rzucił lekko Forbes. – Nie wiem na przykład, czy dziewczyny poleciałyby na irlandzkiego drwala... To już mogłoby być nazbyt przytłaczające.

Wszyscy trzej przez chwilę kontemplowali tę refleksję. W swych wełnianych marynarkach i mokasynach ze skóry przypominali trochę zamyślonych oksfordzkich studentów z lat pięćdziesiątych.

Chwilę zadumy pierwszy przerwał Rory.

– Powszechnie wiadomo, że samce wszystkich ssaków gonią za samicami – orzekł.

– Darwin – odgadł bezbłędnie Ross.

– Brawo! Widzę, że ty także sięgasz po klasyków – Rory

z uznaniem poklepał go po łopatce. – Tak sobie myślałem... Pamiętajcie tego plejstocenijskiego łosia, o którym wam kiedyś wspominałem?

– Łosia irlandzkiego?

– Tegoż właśnie. Tak sobie myślałem o jego ornamentach: o tych gigantycznych rogach.

– Jak rozumiem, w kontekście ubiegania się o samice?

– Otóż to. Doszedłem do wniosku, że nie warto wzorować się na łosiu. Mimo iż, co zauważył dawno temu dziadek Darwin, umiejętność podobania się samicom przynosi konkretne korzyści. Uważam jednak, że łoś przesadził – że doprowadził siebie do skrajności, do stanu totalnie niepraktycznego *non plus ultra*. Ten łoś był fanatycznym metroseksualistą, jego wybujałe rogi to przerost formy nad treścią – jak broda Delmore’a.

– Ty nosisz długie włosy – zauważył niewinnie Forbes.

– To drobna modyfikacja – odparł Rory. – Eksperyment tego pokolenia. Nie wiem, czy wiesz, że rudość to dominująca cecha mężczyzn z rodu Doddsów. Mój dziadek był rudy, rudy był również syn dziadka, czyli mój własny ojciec. Ja także jestem rudy. I tą cechą zamierzam przekonać do siebie kobiety. Udało się mojemu ojcu – uda się i mnie. – To powiedziawszy, wypiął dumnie pierś i łyknął sobie porządnie z puszki.

Christian spoglądał na panoramę stolicy: na rysujące się w oddali Wzgórze Zamkowe, spiczaste wieże kościołów, miniaturowe pomniki na odległym wzniesieniu Calton Hill. W stronę szczytu, na którym siedzieli, pięły się malutkie figurki, zmierzające tu, by obserwować zachód słońca.

– Co robimy w weekend? – zatroskał się tymczasem Rory.

- Forbes miał pomysł, żeby się wspinać na urwiskach Salisbury Crags – przypomniał mu Vincent.

Christian zgniótł puszkę i powiedział bez przekonania:

- Niby tak, ale cały weekend nie będziemy się przecież wspinać. Zresztą... – zawahał się – ja chyba i tak muszę wyskoczyć na parę dni do Anglii.

Vincent i Rory wymienili zaskoczone spojrzenia. Rozpoczęła się w nich walka taktu z ciekawością.

W przypadku Rory'ego, walka była krótka.

- Do Anglii? A po co? – spytał.

- To może zabierzemy się z tobą? – wtrącił z ożywieniem Vincent. – Jedziesz może przez Londyn? Tak dawno nie byłem w Muzeum Historii Naturalnej!...

- Ja też lubię to muzeum, stary – odparł Christian. – Ale nie wiem jeszcze, kiedy będę jechał i na jak długo. Myślałem o którymś weekendzie. Im wcześniej, tym lepiej.

- Czy to coś pilnego? – drążył Rory.

Vincent szturchnął go w żebra.

- Powiedział przecież: „Im wcześniej, tym lepiej”.

- Mi to jeszcze nic nie mówi – upierał się Irlandczyk. – Co to za pilne interesy, Forbes?

- Stary, to żadna wielka sprawa... – zaczął Christian.

- Wiem! – przerwał mu Dodds, nagle podekscytowany. – Tu chodzi o kobietę! – Aż się zachłysnął swoim odkryciem. – Zgadłem...? Na pewno zgadłem!

Christian spojrział na niego z rozbawieniem.

- Masz randkę? – wychrypiął Vincent i zarumienił się jak małolata.

Rory skoczył na równe nogi i wycelował w Christiana

palcem. – Na pewno ma! – krzyknął, podniecony. – Forbes ma randkę! Christian prychnął śmiechem.

– Stary, zajmij się lepiej swoimi randkami – poradził koledze. – Ja nie mam żadnych randek – odparł obronnym tonem Rory. – W tym właśnie problem – wyjaśnił mu Forbes. – Może sobie jakieś zorganizuj.

Po zachodzie słońca przenieśli się do tłocznych i gwarnych pubów przy popularnym Grassmarket, dawnym placu targowym w sercu Starego Miasta. Przesiedzieli tam do północy, bratając się ze starymi bywalcami, studentami innych kierunków oraz zbłąkanymi turystami, którzy z niepojętych przyczyn przybyli do Edynburga akurat na sezon sztormów i kompletnych ciemności.

Ostatnią pintę wypili w gospodzie z emblematem białego jelenia nad drzwiami. To tutaj się poznali, na spotkaniu integracyjnym dla pierwszego roku.

– To wyjątkowe miejsce – powiedział wówczas Vincent do Rory’ego.

Irlandczyk posłusznie potoczył wzrokiem po lokalu. Zarejestrował wysłużone, wyleniałe sofy, zdezelowane stoły, odpryskującą farbę i tandetne ornamenty. Wnętrze wypełniała dusząco-dławiąca woń browaru i barowego żarcia. Jednym słowem, przeciętny brytyjski pub.

Uniósł pytająco brwi.

– To prawdopodobnie najstarsza knajpa w Edynburgu – wyjaśnił mu Vincent, rdzenny mieszkaniec miasta. – Częstoje browarem od szesnastego wieku. Zaglądali tu Robert Burns [\[46\]](#) i podobno nawet sam Oliver Cromwell. To miejsce inspiruje, stary – dodał z teatralną nabożnością.

Jak dotąd, Rory Dodds nie zaznał jakiegóś szczególnej

inspiracji w tych murach, choć nie raz popijał ciemne piwo pod figlarnym spojrzeniem Burnsa, którego popiersie rozpiekało się w grubych, mosiężnych ramach na tle czekoladowej boazerii.

Christian, Vincent i Rory opuścili pub razem z resztą niedobitków i ruszyli przez miasto w stronę domu. Wynajmowali wspólnie willę, mieszczącą się w przyjemnych okolicach Królewskiego Ogrodu Botanicznego.

Na ulicach było czarno i pusto; okazjonalnie, po mokrych, niedbale wylanych asfaltem jezdniach przemykały taksówki. Wiatr gwizdał w wąskich zaułkach i rozpylał wokół męczącą mżawkę. Na przystanku w centrum miasta, pośród styropianowych tacek po frytkach i zdeptanych kubków po coli, dygotały z zimna pijane istoty, oczekujące na przybycie piętrowego, nocnego autobusu.

Przyjaciele przemknęli labiryntem uliczek Starego Miasta. Przeskakiwali kałuże i świeże placki wymiocin; przeciskali się przez wąskie, nieoświetlone alejki; wbiegali, to znów zbiegali po wyślizganych płytach krętych, wiekowych schodków.

Tak dotarli do głównej handlowej ulicy Edynburga, zwykle niemożliwie tłocznej, lecz o tej porze opustoszałej jak po zamachu bombowym. W oddali migotały tęcze iluminacje Zamku; z bliska oślepiały agresywne reklamy w witrynach sklepowych.

Tutaj zaczynało się New Town.

Pobiegli dalej w dół szerokimi ulicami, mijając place, prywatne ogrody i rzędy identycznych rezydencji z szarego kamienia. Gdzieś wyrastały monumentalne siedziby rozmaitych instytucji, które za dnia więziły w swoich murach rzesze mniej lub bardziej wydajnych pracowników najemnych.

Wreszcie, stroma, brukowana ulica doprowadziła ich do

przepaści. Przepaść odgradzono metalowym parkanem, w dole straszyły ciemne chaszczce publicznego parku.

– Chodźmy przez park! – rzucił Christian i przelazł przez parkan.

Nie mógł wiedzieć, rzecz jasna, jak fatalna w skutkach będzie ta decyzja.

Rory i Vincent poszli w jego ślady.

W dawnych czasach w głąb parku prowadziła żwirowana alejka. Wiła się ona stromymi zakolami w dół zalesionego wzgórza. Na dole, znajdował się niegdyś zadbane zieleniec, gdzie można było spotkać wiktoriańskie nianie z wózkami spacerowymi na ogromnych kołach. W latach późniejszych alejki zalano asfaltem i wydrążono oczko wodne, lecz pozostawiona samej sobie roślinność wymknęła się spod kontroli. Park stopniowo przeobrażał się w zapuszczony gąszcz i zaczęło pojawiać się w nim mniej dostojne towarzystwo. Wkrótce asfalt popękał, ławki poniszczały i nawet bezdomni przestali tu zaglądać, gdyż nie było to już miejsce tak dochodowe jak dawniej.

Obecnie park pełnił wiele marginalnych funkcji; najczęściej służył w roli publicznej toalety lub wątpliwego skrótu dla tych, którzy jak Christian, Vincent i Rory, śpieszyli do północnych dzielnic miasta. Z parku do cywilizacji można było się przedostać starym tunelem, wymurowanym z wielkich, kamiennych bloków. Tunel był reliktem szkockiej myśli inżynierskiej; w początkach dziewiętnastego stulecia przebiegał tędy szlak konnej kolei.

Po wkroczeniu do parku, Christian instynktownie zwolnił, Vincent instynktownie przyspieszył, zaś Rory natychmiast się zatrzymał.

- Stop! - zawołał. - Nic nie widzę!
- To zdejmij kapelusz - poradził mu Ross.
- Nigdy nie zdejmuję kapelusza - odparł Rory, co też było prawdą.

Wiatr miał już tysiące okazji, by buchnąć mu kapelusz, lecz niegłupi Irlandczyk zabezpieczył się przed stratą przy pomocy sznurka, który ścigał sobie pod brodą.

Włączyli latarki w telefonach; w ciemnościach zamrugały trzy niebieskawe światełka.

- Dałbym głowę, że była tu kiedyś jakaś działająca latarnia - mruzczał nerwowo Vincent. - Czuję się jak kret! I jeszcze ten smród! Czym tu tak śmierdzi?

- „Czym tu tak śmierdzi”? - przedrzeźnił go Christian, zirytowany tym marudzeniem. - Stary, faktycznie, smród jak cholera, aż płuca mi stają... Co to może być? Nic mi do głowy nie przychodzi... Ty wiesz, Dodds, co to za smród?

Irlandczyk nie wyczuł podstępów.

- No, pewno! - odkrzyknął. - To będzie mocz!

Vincent prychnął ze złością i przyspieszył kroku.

Gęstwina skutecznie tamowała wątłą poświatę księżyca. Szli niemal na oślep, potykając się o połamane kawałki asfaltu. Wiodąca w dół zbrocza ścieżka momentami urywała się i wówczas pod ich nogi wpełzały zwoje śliskich, splątanych korzeni.

Park pogrążony był w nienaturalnej ciszy. Rozcapierzone gałęzie starych krzewów zastygły i zeszywniały, jak pociągnięte gęstym, czarnym lakierem. Nie było słychać typowych dźwięków nocy: żadnego pohukiwania w koronach drzew czy tupotu malutkich nówek pośród liści.

„Zupełnie jak w martwym zoo”, pomyślał Christian.

Szedł niespiesznie na tyłach i odruchowo nasłuchiwał najsubtelniejszych nawet szmerów. Swoim łowieckim zwyczajem, patrzył pod nogi, na ścieżkę, rozglądał się wokół i zadzierał głowę. Zewsząd wyzierał czarny, głuchy bezkres.

On jednak czuł, że coś czai się za tą ciemną kurtyną. Dzika, rozbestwiona przyroda. Wierzył, że wstrzymała oddech tylko na chwilę, na moment ich przemarszu. Czuł, że chciała ich omamić, by nie poznali jej sekretów.

Nagle ciszę rozdarł przeciągły, pijacki śmiech. To Rory dogonił Vincenta, złapał go za ramię i próbował do czegoś namówić.

Stali przy sadzawce, powleczonej gęstym kożuchem z odpadków, wyschniętych liści i wydzielającej fetor rzęsy wodnej. Gdzieś pośrodku tej brei utknął zdezelowany rower wodny, dawniej pożądana atrakcja, dzisiaj smętne, skorodowane straszdyło.

– Co robisz? Puszczaj! – irytował się Ross. – Nie będę z tobą pływał!

Kiedy Christian podszedł bliżej, Rory zdążył już wleźć do stawu i brnął teraz po kolana w czarnej zawieszynie. Widać, alkohol zalał mu rozsądek, za to rozbudził potrzebę rekreacji.

– Wyłaź stamtąd, durniu! – wołał Vincent.

– Vincent, ja płynę! – odparł śpiewnie Rory i załopotał niezdarnie rękami, gdyż chwilowo stracił równowagę. – A zaraz będziemy płynąć razem!... – Ruszył z zapalem w kierunku roweru.

Zgrzytnęły zardzewiałe pedały, powietrze znów rozciął chrapliwy śmiech Irlandczyka.

– Chłopaki, jest fantastycznie! – Zaaferowany, nie

spozstrzegł nawet, że rower stoi w miejscu, blokowany przez skorupę z patyków i śmieci. – Żałuj, Ross! Żałuj albo ściągnij spodnie i wskakuj do wody!

Rory ponownie zazgrzytał pedałami. Vincent skrzywił się i zakrył uszy, Christian wprost przeciwnie – zastygł, uważnie nasłuchując.

Naraz szybko obrócił się i spojrzał na ścieżkę, prowadzącą ku sadzawce. Była pusta, lecz chłopak był pewien, iż przed chwilą posłyszał dobiegający stamtąd dźwięk. Dźwięk był charakterystyczny: grzechot żwiru pod czyimiś stopami.

Rory przestał się śmiać i przestał pedałować. Najwyraźniej skończyła mu się energia.

Christian wciąż stał nieruchomo i teraz wyraźnie słyszał subtelny szelest listowia i lekki trzask łamanych gałązek w pobliskich zaroślach. Trzask, trzask, coraz bliżej i bliżej...

Coś przesuwało się w ich kierunku. Coś się ku nim skradało.

Z oddali dobiegł wystraszony głos Rory'ego:

– Chłopaki, myślicie, że są tu krokodyle...?

Czyżby on też usłyszał to samo, co Christian?

Jeśli chodzi o Vincenta, on najwidoczniej niczego nie usłyszał. Podeszedł z zezłoszczoną miną do krawędzi stawu i warknął do Rory'ego, aby natychmiast wyłaził z wody, bo nikt się z nim bawić nie zamierza i nie będą na niego czekać.

– A wiesz, Vincent – rzekł Rory, głosem cichym i dziwnie zmienionym – niedobrze mi. Ja chyba też mam chorobę lokomocyjną...

W zaroślach trzasnęło. Christian nie wytrzymał.

– Słyszeliście to? – wyszeptał.

– Co? – zapytał nieuważnie Vincent, obserwując

z niesmakiem, jak Rory wymiotuje do stawu.

– Coś siedzi w krzakach – odszepnął Christian.

– A niechże sobie siedzi. Pewnie jeź – odparł bez zainteresowania Ross. – Idę wyciągnąć tego durnia, bo nie dotrzemy do domu przed świtem...

– Nie jeź – rzucił za nim Christian. – Jeź na pewno nie... – wyszeptał do siebie.

Odsunął się od krzewów i wrócił na ścieżkę, a tam przystanął koło pnia starego wiąz. Nie odrywał wzroku od czarnych zarośli. Był pewien, że i jego obserwuje stamtąd para ślepi.

Vincent pomógł Rory'emu wydostać się na brzeg sadzawki. Irlandczyk jedną ręką trzymał się kurczowo ramienia przyjaciela, drugą zaś machał zawzięcie, jakby odpędzał się od chmary os.

– Nie trzeba, puść! – bełkotał ze złością. – Nie trzeba, ja sam!... Sam pójdę!

Wreszcie jednak umilkł, osłabiony, i zawisł całym ciężarem ciała na ramieniu Rossa. Vincent znosił to wszystko mężnie.

– Idziesz, Forbes, czy będziesz tak sterczał pod tym drzewem? – rzucił niecierpliwie.

Christian z ociąganiem porzucił miejsce obserwacji. W gruncie rzeczy i tak już narobili zbyt wiele hałasu. Cokolwiek kryło się w zaroślach, pewno dało sobie spokój.

Ruszyli dalej, ścieżka prowadziła teraz przez opuszczony plac zabaw. Z ciemności wynurzały się złowieszczo garbate grzbiety drabinek i oberwane liny, na których niegdyś wisały huśtawki. Pośrodku placu stała upiorna karuzela; zardzewiała, z zeszkobanym lakierem, pochylona niczym koślawy inwalida. Na trawniku koło karuzeli poniewierały się stare opony,

pozrywane z huśtawek. Patrząc na te wszystkie smutne, groźne sprzęty, Christian wyobrażał sobie różne ich zastosowania, lecz żaden z pomysłów, jakie przychodziły mu do głowy, nie wydawał się stosowny dla dzieci.

Jego wzrok prześlizgnął się po wielkim króliku na sprężynie. Królik miał ułamane ucho i szczyrzył się do Christiana szyderczo. Paskudny uśmiech obiecywał, że jeśli ktokolwiek odważy się dosiąść zabawki, on, królik, połamie mu gnaty.

Christian poczuł nagłą ochotę, by podjąć to wyzwanie. Dosiadł okrakiem królika, wyciągnął z za pasa nóż i przejechał ostrzem po wyszczerzonym pysku: uśmiech królika zamienił się w groteskowy grymas.

Nagle chłopak zamarł. Po drugiej stronie placu zobaczył jakiś czarny kształt.

Zwierzę. To było jakieś zwierzę: jego czujna, wyprężona sylwetka mówiła Christianowi, że jest obserwowany, że kolejny ruch bądź gest chłopaka może podzielać jak zapalnik.

„Ostrożnie”, przykazał sobie i zaczął wolno, niemal niezauważalnie, podnosić się z zabawki. W dłoni zaciskał nóż. Nie był to zwykły scyzoryk, lecz nader sugestywny model, kształtem przypominający siekierkę: długa rękojeść, krótka, niebezpiecznie zakrzywiona głownia.

Kiedy się podnosił i patrzył w niewidoczne oczy zwierza, czuł, jak rękojeść robi się lepka od potu. Już prawie się wyprostował, kiedy zwierzę nagle pochyliło łeb i dało susa w pobliską gęstwinę.

W pierwszej chwili, Christian nie rozumiał, dlaczego tak się stało, co spłoszyło zwierzę. Odwrócił się i wówczas ujrzał na ścieżce ciemną sylwetkę: jakiś mężczyzna szedł pospiesznym krokiem, nie – on niemal biegł przez czarny park, z pięściami

w kieszeniach i głową wciśniętą w ramiona. Chyba zdał sobie sprawę z tego, że popełnił błąd, wybierając ten skrót.

– Forbes!

To był głos Vincenta. On i Rory stali już u wejścia do starego tunelu. Wyglądali jak dwie blade zjawy na tle zionącej czernią, półkolistej jamy, okolonej ciężkimi zwojami winobluszczu.

Machnął im ręką, żeby szli, lecz Vincent był nieustępliwy. Najwyraźniej przeczuwał, że jeśli teraz nie przycisnie Christiana, i tak potem będzie musiał tu po niego wrócić.

Christian poczuł dziwne rozdrażnienie. A niech idą w diabły i pozwolą mu kontynuować... co właściwie? Co to było: obserwacja, podchody, urojenia? Dlaczego tak się zawziął, by tropić to zwierzę? Przecież to był zwykły pies i dobrze o tym wiedział.

Nie. Właśnie, że nie. To nie był zwykły pies i on, Christian, wyczuł to od razu. Od samego początku coś mu tutaj nie pasowało...

Jaki pies by się tak czał? Tak umyślnie skradał po krzakach? Ta koncentracja, te sprężyste ruchy, postawione uszy... Klasyczna sytuacja: drapieżnik obserwujący ofiarę. Christian wiedział, że zwierzę go wybrało i że od tej pory nikt inny się nie liczył. Nikt inny. Byli tylko oni dwaj – drapieżnik i jego cel. Jak lew i antylopa.

Tyle że Christian nie godził się z rolą ofiary.

– Po co ci ten nóż...?

Głos Vincenta był tylko z pozoru opanowany. Ross przyglądał się przyjacielowi z zaniepokojeniem. Był jak nieznośna, nadopiekuńcza matka. Christian miał ochotę wepchać go do tunelu, a samemu wrócić na plac zabaw. Do

królika i psa.

Nie, to było idiotyczne. Westchnął i schował nóż.

– Forbes zawsze chodzi z jakąś maczetą – zauważył Rory.

Irlandczyk słaniał się jeszcze lekko i śmierdziało od niego wymiotami.

– Chodźcie – rzucił oschle Ross i weszli do tunelu.

Tunel był potężny i ogromnie zaniedbany. Kamienne ściany pokrywała zielonkawa plecha. Z nadwątłonego sklepienia skapywała woda. Zamiast chodnika czy alejki była tu tylko mieszanka brudnej ziemi i piachu. Wewnątrz panowały kompletne ciemności; trzeba było poświecić własną latarką, by odkryć pod sufitem długi rząd zdemolowanych lamp jarzeniowych.

– Ależ tu cuchnie! – krzywił się Vincent, szarpiąc za ramię Rory'ego, który co chwilę się zatrzymywał, by poczynić jakiś przygłupi komentarz.

– Fajna blacha – mówił na przykład i poklepywał skorodowaną karoserię, która jakimś tajemniczym sposobem wylądowała w czeluściach tunelu. – Ten rower też niczego sobie – dodawał, rozglądając się dalej z zaciekawieniem – tylko trzeba mu koło doczepić z przodu. I z tyłu.

– Ostatni raz tędy idę – zarzekał się Vincent. – Takie nory zostawiam miłośnikom grot! – dodał znacząco, patrząc spode łba na Christiana.

Ten zaś zupełnie go nie słuchał. Jako miłośnik grot i wszystkiego w ogóle, co wiązało się z Naturą i destabilizowało betonowy kościec miasta, w zapuszczonym tunelu czuł się całkiem w porządku. A ściślej mówiąc, czułby się w porządku, gdyby nie jego własne fantazje.

Otóż wyczuwał, że nie są tu sami. Ich śladem podążał ten

dziwny pies. Drapieżnik, który upatrzył sobie ofiarę.

Należało być czujnym. Pies zaatakuje, a wtedy on, Christian, musi go unicestwić.

„To nie jest zwykły pies”, powtarzał sobie. Czuł, że w tym zwierzęciu było coś osobliwego. „Dlaczego wybrał mnie?”, zastanawiał się. Drapieżnik wybiera wszak najsłabszych. Czy on, Christian Forbes, był słabszy od Rossa? Albo od pijanego Doddsa...? Niemożliwe! Tu chodziło o coś innego. Za tym kryło się coś więcej...

Wychodzili już z tunelu, kiedy Christian obejrzał się za siebie i znów go zobaczył: wąski snop światła z latarki poraził zwierzę w ślepią.

Christian zatrzymał się. Był pewien, że słyszy warczenie. Nie było wątpliwości: pies szykował się do ataku. Wszystko w zachowaniu i wyglądzie zwierzęcia przedstawiało się tak, jak to opisywał Darwin: wyprostowany, wyprężony tułów, sztywny chód, prosty ogon, najeżona sierść, postawione uszy, spojrzenie utkwione w przeciwniku.

Christian sięgnął po nóż.

– Forbes, co ty robisz, do diabła?!

Nie odpowiedział. To była wyłącznie jego sprawa, jego walka.

– Forbes!

Boże, jacyż oni byli wkurzający.

– Tam jest ten pies – powiedział cicho. – Czai się w tunelu – dodał, gdy nie ujrzał empatii na ich twarzach. – Być może będę musiał stoczyć z nim walkę.

Rory i Vincent wymienili spojrzenia. Rory parsknął śmiechem.

Vincent podszedł do Christiana i objął go ramieniem.

– Nie, stary – powiedział poważnie. – Nie będziesz musiał toczyć żadnej walki. Z żadnym psem. – I odciągnął przyjaciela od tunelu. – Coś ci się pomieszało. Piwo z whisky, whisky z bajkami, które niepotrzebnie czytasz.

– Ale on tam jest! – uparł się Christian i odwrócił się, by pokazać palcem.

Ku jego zaskoczeniu, pies stał u wylotu ciemnej groty. Było go całkiem nieźle widać w świetle pobliskiej latarni.

– No, widzę – rzekł spokojnie Ross. – To zwykły owczarek niemiecki.

– Nie jest zwykły – odparł Christian. – On chciał mnie zaatakować.

– Serio? – rzucił lekko Vincent. – To chyba mu przeszło.

– Niby skąd on się tu wziął? – nie poddawał się Christian.

– Stary, ten park to zapuszczona dżungla. Pewnie kręci się tu trochę dzikich psów.

Pies ruszył w ich stronę. Zrobił parę kroków i zatrzymał się, jakby niezdecydowany. Rozchylił pysk i począł na przemian warczeć i ujadać. Christian patrzył prosto w jego ślepią, zaciskając palce na rękojeści noża.

– Chodźmy – wtrącił się Rory. – On może mieć wściekliznę.

Vincent z całej siły wypchał Christiana przed siebie.

– Idź przodem, stary. Ty najlepiej znasz tutejsze zakamarki.

Christian nie chciał iść. Chciał się rozprawić z psem. Bo to nie był zwykły pies. I nie miało to nic wspólnego z wścieklizną.

Absolutnie nic wspólnego, tego był pewien.

Vincent był jednak taki nieznośny. On po prostu niczego nie

rozumiał. Nie rozumiał instynktów, które powodowały tym zwierzęciem. Nie rozumiał instynktów, które powodowały Christianem.

Poprowadził ich kawałek brzegiem osiedla. Dobrze wiedział, że pies podąży ich śladem. Musiało tak być.

Minęli grupę ciemnych, ceglanych sześcianów, ożywionych tu i ówdzie rozświetlonym oknem. O tej porze większość mieszkańców osiedla już spała.

Christian obrał kolejny skrót, wiodący wzdłuż rzeki. Powędrowali gęsiego błotnistym przesmykiem przez czarny tunel upleciony z gąszczu. Rory zamykał pochód. Christian prowadził z poczuciem, że stchórzył, że uciekł – i myśl ta nie dawała mu spokoju. Odwracał się co chwilę za siebie, z rozdrażnieniem i nadzieją, lecz jego oczy każdorazowo napotykały jedynie surowy wzrok idącego za nim Rossa.

Zbliżali się już w okolice domu. Zarośla przerzedziły się, w oddali zaczęły migotać pojedyncze światła starych willi. Ścieżka urwała się i wyszli na kamienny mostek. W dole bulgotała brudna, miejska rzeka.

Christian poczuł wielkie rozczarowanie. Pies nie przyszedł za nim, wycofał się z walki. Może faktycznie był to po prostu bezpański owczarek z wścieklizną...

Z rezygnacją schował nóż.

Podniósł oczy i wiedział natychmiast, że za szybko stracił czujność. Pies był tu, czekał na niego po drugiej stronie mostu. Jego sierść żarzyła się ogniście w pomarańczowym blasku ulicznej latarni.

Towarzysze Christiana także spostrzegli zwierzę.

– Ej, ale numer, skąd on się tu wziął? – Rory zamachnął się i kopnął jakiś kamyk pod nogi zwierzęcia.

Pies warknął ostrzegawczo.

Vincent zmarszczył brwi, lecz nie zdążył skomentować sytuacji. Christian gwałtownie odepchnął kolegów i wysunął się naprzód. W dłoni miał swój nóż, a w oczach – obłęd. Pies zbliżył się do niego i zaczął wściekle ujadać.

Vincent i Rory krzyknęli jednocześnie: – Schowaj ten nóż! To zwykły kundel!... – Stary, to nawet nie jest ten sam pies!

– Zostaw go!! – zaapelował Vincent, szarpiąc Christiana za ramię.

Ten ze złością odepchnął Rossa. Niech się nie miesza!

Vincent stracił równowagę i upadł na chodnik. Pies poderwał się, zaaferowany, i rzucił na łatwą ofiarę. Wbił kły w spodnie Vincenta i wgryzł się aż do krwi.

Ross jęknął i wariacko kopnął nogą, co tylko rozwścieczyło psa. Rory rzucił się na pomoc, lecz zaraz odskoczył, odpędzony kłapnięciem zmoczonego krwią pyska.

Christian zerwał z siebie kurtkę i owinał ją szybko wokół przedramienia. Machnął ręką. Pies natychmiast przeniósł na niego uwagę. Chłopak podrażnił go i zwierzę posłusznie rzuciło się z kłami na owiniętą rękę. Wtedy Christian zamachnął się drugą dłonią, tą uzbrojoną w nóż. Dźgnął psa w szyję i rozciął mu gardło.

Ciężkie cielsko runęło bezwładnie na chodnik.

Christian nie musiał nawet patrzeć w dół. Wiedział dobrze, że zabił nie tego psa, który skradał się za nim w parku.

CREDO

*Jesteś fantastą, Forbes.
Wierzysz w rzeczy, które nie istnieją.*

V. Ross

TEJ NOCY DALSZĄ PRZYJAŹŃ między Vincentem a Christianem stanęła pod znakiem zapytania.

Kiedy siedzieli w poczekalni na oddziale drobnych urazów, Vincent nie myślał ani trochę o pogryzieniu i jego ewentualnych konsekwencjach, lecz zastanawiał się, jak też mógł zadawać się z obłąkanym brutalem, który z zimną krwią zakatował psa. Co więcej, autor karygodnego występu bynajmniej nie wyraził skruchy, bąknął tylko coś o pomyłce, a poproszony o wyjaśnienie, stwierdził jedynie, że zabił niewłaściwego psa.

Vincent zawsze dobrze dogadywał się z Christianem; cenił jego inteligencję i wiedzę, choć uważał, że jak na przyszłego naukowca Forbes ma zbyt wybujałą wyobraźnię. Fantastyczne opowieści i hipotezy Christiana trąciły dziecinadą, lecz Vincent przyznawał skrycie, iż polemizowanie z fantastyką naukową było jedną z jego ulubionych rozrywek. Ot, taka nieszkodliwa zabawa intelektualna.

Tej nocy poznał jednak ciemną stronę Christiana. Poznał oblicze, którego nie był świadomy. Gdyby bowiem wiedział, że Forbes morduje zwierzęta, nigdy nie zostaliby przyjaciółmi.

„Ten człowiek jest niebezpieczny”, myślał Vincent, kuląc się w plastikowym krzeselku. „Jest tak niebezpieczny, jak jego ojciec”. O ojcu Christiana krążyły bowiem niewesołe plotki.

Rory zdawał się nie podzielać osądu Vincenta i nie zapatrywał się na minione wydarzenia w aż tak dramatycznym świetle. Co tu dużo gadać, byli pijani, a jak się jest

nietrzeźwym, człowiekowi mogą się przytrafić najdziwniejsze historie. Irlandczyk skrzywił się, co prawda, kiedy Christian zepchnął zwłoki psa do rzeki, ale musiał przyznać mu rację, że była to prawdopodobnie najlepsza opcja rozstania się z nieznanym i w dodatku martwym psem. Pomysł Vincenta – stosowny pogrzeb psa – wydał się Rory’emu przesadą. Pozostawało tylko wierzyć, że pies nie miał właścicieli. Lecz przecież gdyby ich miał, nie kręciłby się sam w nocy przy kontenerze na śmieci.

Rory siedział w poczekalni z nieszczęśliwą miną. Zdjął kapelusz i bezmyślnie miętosił go w dłoniach. Bardzo przeżywał konflikt pomiędzy dwójką swych przyjaciół. Vincent wyrzucił Christiana ze szpitala, wyzywając go od sadystów. Dobrze, że nie padło słowo „morderca” – Christian wszak wciąż miał przy sobie zakrwawioną siekierkę. Rory podszeptał Christianowi, że może faktycznie, biorąc pod uwagę nieciekawe okoliczności, byłoby lepiej, gdyby sobie poszedł.

Forbes miał wypieki na twarzy i tak obłądnie roziskrzone spojrzenie, że kiedy poderwał się ku wyjściu, Rory wcale nie był pewien, czy tej nocy skończy się na jednym incydencie.

To była długa noc. Zdecydowanie za długa, jak na kiepską kondycję Rory’ego.

W szpitalu okazało się, że Vincent będzie żyć i że nie grozi mu raczej amputacja dolnej kończyny. Rory dopytał się o to drugie na stronie, bowiem nagle przelekkła go pewna wizja. Otóż zobaczył siebie w roli dozgonnego opiekuna Vincenta – inwalidy. On, Rory, pchał staroświecki wózek alejkami parku, a Vincent, z kraciastym pledem na kolanach i sterczącym demonstracyjnie kikutem, zrzedził i utyskiwał na cały świat, ze szczególną nienawiścią przeklinając Christiana. Rory

dyplomatycznie starał się wykazać nieistniejące plusy sytuacji, na co Vincent tylko prychnął ze złością, wyzywając Rory'ego od idiotów. Rory tymczasem poświęcił przeciwświatlaną karierę na farmie ojca po to jedynie, by każdego poranka pchać wózek z Vincentem do stawku z kaczkami i łabędziami w Inverleith Park [\[47\]](#).

Rory potrząsnął głową, aby odpędzić od siebie tę wizję. Lubił Vincenta, lecz nie na tyle, by pragnąć spędzić z nim resztę życia.

Jego obawy, na szczęście, okazały się nieuzasadnione. Wizja trwałego kalectwa została rozwiana przez znający się na rzeczy personel do spraw drobnych urazów. Miła pielęgniarka opatrzyła nogę Vincenta i kazała mu połknąć dwie kapsułki uniwersalnego paracetamolu. Lekarz przepisał mu jeszcze antybiotyk, mający zapobiec ewentualnej infekcji.

Wrócili do domu taksówką, choć ze szpitala Western General do ich willi było piętnaście minut spacerem. Ranny zażądał jednak wygody i kaprys należało spełnić.

Dom, który wspólnie wynajmowali, wybudowano przed stuleciem. Była to jedyna na całej ulicy willa z różowego piaskowca. Nietypowy kamień sprowadzono do Edynburga z kamieniołomu w odległym o siedemdziesiąt mil Dumfries. Aktualny właściciel posesji mieszkał w Nowym Jorku i wynajmował swe edynburskie cztery kąty studentom z respektowanych rodzin.

Na parterze willi mieścił się olbrzymi, pustawy salon, którego żadnym sposobem nie dało się porządnie ogrzać. Kiedyś, w akcie desperacji, Christian rozniecił na środku pokoju ognisko, lecz tajemniczym sposobem zwiedzieli się o tym sąsiedzi i omal nie przyplacił tego pomysłu

wypędzeniem na bruk. Przyjaciele nie życzyli mu takiej doli: musiałby dołączyć do rzeszy bezdomnych, a wszyscy wiedzieli, że w Edynburgu rynek jałmużniczy jest wściekle konkurencyjny i nowi nie są mile widziani.

Kiedy Rory i Vincent wrócili ze szpitala, Christian czekał na nich w ciemnym salonie. Siedział na podłodze pod oknem, zgarbiony i zmierzwiony, z rozrzuconymi niedbale nogami. Jego twarz kryła się w mroku. W dłoni wciąż obracał zakrwawiony nóż.

Rory zapalił światło. Christian podniósł głowę i jego wzrok spotkał się z nienawistnym spojrzeniem Vincenta. Vincent porywczo wkroczył do salonu, z niezwykłym, jak na kalekę, wigorem. Rzucił się gniewnie na zasłany owczymi skórami fotel i machnął przed nosem Christiana swoją receptą.

– Przez ciebie zeżre mnie gangrena! – syknął oskarżycielsko.

Rory przysłonił dłonią rozdziawione usta. O Boże, więc jednak!...

Christian podniósł się szybko z podłogi i zerknął na świstek.

– To tylko antybiotyki – zauważył.

– Nie o to chodzi! – zezłościł się Vincent. – W ogóle w tym wszystkim nie chodzi o mnie!

– O co więc chodzi? – zapytał Christian zmęczonym głosem.

– O ciebie i twoje urojenia! – odwarknął Vincent. – O to, że zabiłeś psa!

– Rzucił się na ciebie.

– Bo był dezorientowany! Bo wyczuł, że zamierzamy go zaatakować! On... wiedział, że chcesz go zabić...! – Vincent wyrzucał z siebie słowa niedbale i porywczo; ze szpar

pomiędzy zębami strzelała mu ślina. – Wciągnąłeś bezbronne zwierzę w swoją urojoną grę. Jesteś... – zachłysnął się i wycelował w Forbesa palcem. – Jesteś mordercą zwierząt!

Christian milczał. Czekał, aż Vincentowi wyczerpią się siły lub argumenty. Na razie jednak nie zanosilo się na to.

– Jesteś fantastą, Forbes. Wierzysz w rzeczy, które nie istnieją. Bestie z Kilamby, dinozaury z Zambii, nawet w krowach z Glen Coe dopatrujesz się mrocznego sekretu! – Twarz Vincenta pokraśniała od natłoku emocji. Przejechał dłonią po spoczonej grzywce i zadał ostateczny cios: – Wiesz, co ja myślę, Forbes? Myślę, że wariujesz, jak twój stary! Tylko że on, zanim zdziczał kompletnie, zdążył przynajmniej zrobić stopień naukowy...!

Rory jęknął bezgłośnie. Wzmianka o ojcu Christiana była już ciosem poniżej pasa. Irlandczyk ruszył się z progu, gotów do interwencji. Christian stał nad fotelem Vincenta; jego ręce zwisały luźno wzdłuż ciała, lecz w dłoni zaciskał przeklęty nóż.

Vincent umilkł, przerażony własną impertynencją.

– Przepraszam – wyszeptał chrapliwie. – Nie powinienem był mieszać do tego twojego ojca.

Christian patrzył niewidzącym wzrokiem na czerwoną twarz Rossa. Jego duże, szare oczy były mętne i chmurne jak niebo nad szkockimi górami. Przypomniał sobie słowa Reida, wypowiedziane zaledwie przed paroma dniami: *Twoje nazwisko już się nie liczy.*

Twój ojciec sam upaprał je w syberyjskim błocie.

Swojego czasu, Aaron Forbes zniknął z powierzchni normalnego świata, by podążać za własnymi fantazjami. Czy to możliwe, że on, Christian, popada w ten sam rodzaj obłądu? Teraz, gdy czuł zaschłą krew pod swoimi palcami,

trudno było odpowiedzieć na to pytanie przecząco.

Vincent pochylił się i niby przypadkiem uniósł nogawkę spodni, obnażając owłosioną łydkę z opatrunkiem.

„Bierze go na litość”, pomyślał sobie Rory.

Irlandczyk stał w pobliżu ze skrzyżowanymi ramionami i rozstawionymi szeroko stopami. Pozycja miała wyrażać, iż jest gotów sprawnie dać w mordę komu trzeba. Obeszło się jednak bez tej konieczności: Christian bez słowa wyszedł z pokoju.

Kiedy był już sam w swojej sypialni, pstryknął niedbale włącznik drapieżnej lampy z okratowaną żarówką. Wyciągnął poobijany telefon z tylnej kieszeni spodni, zapadł się w fotel i jeszcze raz przeczytał wiadomość, którą otrzymał po północy:

Panie Adler,

Tej nocy zdarzyło się coś niedobrego. Moją wnuczkę zaatakowała bestia. Majella nie chce mi nic powiedzieć, lecz wiem na pewno, że do incydentu doszło w lesie na Wzgórzu świętej Anny. Proszę nam pomóc. Proszę przyjechać do Pelham.

Liczę na Pana, Eber (sir)

Kolejny tydzień minął Christianowi jak sen.

Dosłownie jak sen, bowiem zupełnie nie mógł się skupić na prozaicznych zajęciach i cały czas błądził myślami w jakimś nieokreślonym bezkresie. Za dnia pojawiał się na uczelni, lecz nie uważał na wykładach i tylko ćwiczenia w laboratoriach zmuszały go do większej koncentracji. Profesor Reid chciał z nim rozmawiać, lecz Christian nie zaszczycił go wizytą

w jego gabinecie.

Po zajęciach wsiadał na swój motocykl i ujeżdżał wertepy pod miastem, strasząc owce rozsypane po okolicznych wzgórzach. Wracał uwalony błotem i nie odzywał się do nikogo. Jeśli już, to tylko do Rory'ego, choć ich konwersacje ograniczały się do wymiany monosylab.

Rory błędnie diagnozował stan przyjaciela. Jego roztargnienie i bezprecedensową milkliwość przypisywał depresji po zabiciu psa. W grę mógł również wchodzić zawód miłośny, ale kogo to Christian miałby tak nieszczęśliwie kochać, tego już Rory nie wiedział.

Przydybał Christiana w czwartek po zajęciach.

– Stary, może skoczmy na piwo? – Zabrzmiało to jak: „Może chcesz pogadać?” i Rory przestraszył się, że go wezmą za psychoterapeutę. – Jest mecz Szkocja – Litwa – dodał pośpiesznie. – Nic zajebistego, ale można pokibicować swoim.

– Stary, nie mogę – odparł Christian. – Jadę do Anglii.

Rory nie spodziewał się takiej riposty.

– Jak to? Jeszcze dziś? – zdumiał się. – Olewasz jutrzejsze zajęcia z genetyki?

Forbes wzruszył ramionami.

– Chcę przeskoczyć do Londynu przez noc, żeby ominąć korki pod Manchester i Birmingham. Z Londynu jadę jeszcze kawałek na południe.

Rory zdjął kapelusz i z roztargnieniem podrapał się po czubku głowy.

– To będę sam na weekend – stwierdził w końcu smutno.

– A co, Ross gdzieś się włóczy z tą kulawą nogą? – zapytał Christian, nie kryjąc zjadliwości.

– Rodzice zabierają go do siebie na dwa dni. Wiesz, do tej ich chaty pod Edynburgiem. Matka chyba chce trochę porozpieszczać kalekę.

– Jaki tam z niego kaleka – mruknął Forbes.

Rory wzruszył ramionami. Nałożył kapelusz i klepnął przyjaciela w łopatkę.

– To trzymaj się, stary. Miałem cię prosić, żebyś przywiózł coś z Anglii, ale w sumie czego nam tutaj w Szkocji brakuje?

– Serwetek do herbaty? – uśmiechnął się Christian.

– Ee, my, Irlandczycy i Szkoci, i tak nigdy nie prześcigniemy Anglików w wykwintności. Nawet nie chce mi się ich gonić.

– Mi też nie – przyznał Forbes.

Pożegnali się po przyjacielsku i Rory powędrował w stronę Starego Miasta, zaś Christian wrócił do domu szykować się do drogi.

Wyjechał grubo po północy. Naturalnie, było to dużo później niż planował. Był jeszcze u siebie w pokoju, kiedy Rory wrócił z miasta; słyszał, jak Irlandczyk stąpa niepewnym, pijanym krokiem po skrzypiących schodach wiodących na piętro, gdzie mieściły się sypialnie.

Powodem opóźnienia wyjazdu były publikacje niejakiej Mai Green, w których zaczytał się Christian.

Maya studiowała na Uniwersytecie Londyńskim i pracowała w Muzeum Historii Naturalnej. Obecnie asystowała w olbrzymim projekcie badawczym, firmowanym przez znanego paleontologa, profesora Toma Brodie. Uczestnicy projektu Toma analizowali zmiany wielkości rozmaitych zwierząt lądowych, zachodzące na przestrzeni setek tysięcy i milionów lat pod wpływem zmian czynników środowiskowych

i klimatycznych. Maję wrzucono do zespołu zajmującego się teropodami. Praca marzeń, myślał sobie Christian, przeglądając wpisy na jej blogu: analizy i wstępne wnioski, wskazujące na preferencje mniejszych rozmiarów ciała u tej grupy dinozaurów.

Nawiasem mówiąc, Maję miał poznać już za kilka godzin, był z nią bowiem umówiony w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Dziewczyna była siostrzenicą doktor Marigold Shepherd, tej od pterozaurów w Zambii. Doktor Shepherd należała do Klubu Zoologów, ona i Forbes byli bratnimi duszami – wyczuli to już przy pierwszym spotkaniu. Christian utrzymywał z nią regularny, choć niemal wyłącznie zdalny kontakt i z zapartym tchem śledził doniesienia z zambijskiego frontu. Na wieść o tym, że chłopak będzie w Londynie, Marigold zaproponowała mu nocleg w swoim apartamencie, do którego i tak przez większą część roku nie zaglądał nikt prócz pajęczaków, żyjących w kłębach kurzu. Doktor Shepherd z góry przepraszała za ewentualną obecność *Dermatophagoides pteronyssinus* pod prześcieradłem lub w materacu, lecz jednocześnie zachęcała do obserwacji mikroskopowej tego jakże fascynującego stworzenia i jego mikroświata.

Klucze do mieszkania miał odebrać od Mai.

Christian ocknął się około pierwszej w nocy, kiedy skończyła mu się kawa w termosie przygotowanym na podróż. Przez ostatnią godzinę czy dwie plądrował ogrom zdjęć, filmów i analiz autorstwa Toma Brodiego. Z bogatych zasobów na stronie słynnego, medialnego profesora wynikał prosty wniosek: Tom był bogiem paleontologii, a jego życie było wspaniałą przygodą.

Christian ziewnął szeroko i poszedł zrobić nową kawę. Jeśli miał zamiar dotrzeć na rano do Londynu, lepiej było nie zwlekać już dłużej ze startem.

Dwie godziny później mijał Carlisle [\[48\]](#). Szkocja została za ścianą deszczu, daleko w tyle na północy.

Przez Anglię przetaczał się huragan. Wiał z taką furją, jakby szukał na Wyspach jakiejś osobistej zemsty. Czarna autostrada świeciła pustkami. Christian mógłby jechać pod prąd, a i tak nikt by go nawet nie strąbił. Trzymał się jednak swojego kierunku: Południa.

Cały termos kawy opróżnił jeszcze przed Manchesterem i od tej pory co dwie godziny zatrzymywał się w opustoszałych, przydrożnych restauracjach, by łyknąć miniaturowe espresso i siorbnąć trochę zimnej wody z kranu w toalecie. Jakoś się trzymał, choć nie wiedział, co bardziej pomagało: kawa czy szwedzki power metal w głośnikach.

Do Londynu wjechał akurat w porze porannych tłumów i korków. Prosta aplikacja w telefonie pomogła mu wyszukać parking, optymalny pod względem opłat i lokalizacji. Nie musiał przebijać się przez centrum, lecz wylądował po złej stronie Tamizy.

Resztę trasy przebył w zatłoczonym wagoniku metra. Był wymięty i wymęczony, ale nie wyróżniał się jakoś specjalnie od przeciętnego pasażera, znużonego i zmizerowanego już na samą myśl o rozpoczynającym się dniu pracy.

Kiedy dotarł pod gmach Muzeum, gdzieś tam, w Westminster, Big Ben pokazywał godzinę dziesiątą.

Christian wszedł do budynku wraz z tłumkiem pierwszych zwiedzających. Już na progu czuł ogromną radość – to było jedno z jego ulubionych miejsc na Ziemi. W tym olbrzymim

gmachu naukowcy i inni pasjonaci Przyrody przez lata zgromadzili imponującą kolekcję, lecz najbardziej ekscytująca była świadomość, że kilkadziesiąt milionów eksponatów i tak stanowiło tylko namiastkę bogactwa, barw i różnorodności świata natury.

Christiana interesowało absolutnie wszystko: historia Ziemi, rośliny kopalne, ewolucja człowieka i innych kręgowców, wulkany, minerały, skamieniałości, DNA martwych organizmów. Kiedy pierwszy raz odwiedził Muzeum, miał zaledwie kilka lat. Zaprowadzono go, jakże by inaczej, do sali z dinozaurami. Pokochał to miejsce od pierwszej wizyty.

Teraz przysiadł w głównym hallu, tuż pod szybującym nad ziemią, olbrzymim szkieletem płetwala błękitnego. Czuł narastającą senność. Ziewnął przeraźliwie i nasunął na głowę kaptur bluzy. Oparł podbródek na dłoni i zakołysał się niebezpiecznie. Wszystkie dźwięki wokół niego zaczęły cichnąć, mięknąć i rozplýwać się.

Usnął.

Śniła mu się wściekła nawałnica w okolicach Birmingham. Była noc. Z chmur sypał się śrut: krople deszczu jak pociski rozwalaly szyby w jego samochodzie. Wiatr rozrzucal szkło garściami. Świetnie, gdzie on teraz znajdzie jakiś czynny warsztat? Na szczęście, nie musiał szukać. Ktoś wyrwał go z koszmaru.

– Hej, ty musisz być Adler? – Stała przed nim dziwaczna dziewczyna w trampkach, babcinyh okularach i koszulce z welociraptorem. Żuła gumę i kosmyki swoich włosów, które wysypywały się z jej niedbale związanego kucyka. – Domyśliłam się po bluzie – dodała.

Christian podniósł się, półprzytomny, i uświadomił sobie

z pewnym trudem, że ma na sobie bluzę z wielkim, białym krzyżem na plecach – luźne nawiązanie do szkockiej flagi.

– Jestem Maya Green – przedstawiła się dziewczyna. – Nie należę do Klubu, więc po prostu mów mi Maya, okej? – Zrobiła balona z gumy i przekuła go pomalowanym paznokciem. – I na ciocię też nie mówmy po niemiecku, bardzo cię proszę. Ja nie lubię niemieckiego, ty lubisz? Nazywajmy ją po prostu ciocią Marigold, okej? Ona tak to lubi.

Christian skinął głową, co miało oznaczać, że przystaje na warunki. W duchu zaś przykazał sobie, by w rozmowie z Mają nie wspomnieć doktor Shepherd ani razu.

Maya zadarła głowę i przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w szkielet płetwala.

– Mogłabym tak patrzeć na niego godzinami – powiedziała z rozmarzeniem.

„Ja też”, pomyślał Christian.

– Największe zwierzę na Ziemi – ciągnęła Maya, ze wzrokiem utkwionym w potężnych szczękach pod sufitem. – Prawdopodobnie największe w historii naszej planety.

– Popatrz, jak można wyrosnąć na planktonie.

– Montaż i podwieszanie szkieletu zajęło nam dwa miesiące, uwierzyłbyś?

– A jaki był twój udział w montażu? Podawałaś paliczki [\[49\]](#)? – spytał kpiąco Christian.

Maya opuściła głowę i rzuciła mu nieodgadnione spojrzenie zza szkieł babcinych okularów.

Christian coś sobie przypomniał.

– A wiesz? – zagaił. – Darwin przypuszczał, że przodkami waleni mogą być niedźwiedzie. A konkretnie,

północnoamerykański niedźwiedź czarny.

- Dlaczego obstawiał akurat niedźwiedzia czarnego?

- Bazował na relacji angielskiego odkrywcy i handlarza futer, niejakiego Samuela Hearne. Hearne widział gdzieś w Kanadzie, jak czarny niedźwiedź pływa przez wiele godzin z szeroko otwartym pyskiem i w ten sposób wyłapuje z wody insekty. Darwin dopatrzył się tu analogii do sposobu zdobywania pożywienia przez walenie i założył, że jest możliwe, by w drodze selekcji naturalnej niedźwiedź przeistoczył się w zwierzę lepiej dostosowane do warunków życia w wodzie, z większą paszczą do zagarniania pożywienia z wody i tak dalej.

- Dziadek Darwin był niesamowity - powiedziała Maya. Wbiła ręce do kieszeni mini-spódniczki i wyprodukowała kolejnego balona. - Ale wiesz, że dzisiaj mamy inne hipotezy na ten temat? - upewniła się tonem osoby starszej i lepiej zorientowanej w temacie. Bądź co bądź, ona kończyła już studia magisterskie. - Badania molekularne sugerują pokrewieństwo waleni z parzystokopytnymi.

- No co ty? A my, w Edynburgu wciąż myślimy, że wieloryb pochodzi od niedźwiedzia. Jednak co Londyn, to Londyn. Już w metrze powiało mi wielkim światem...

- O, Jezu, nie denerwuj się. Nie to miałam na myśli, że jesteście zacofani czy coś...

- Wiem, że dziadek Darwin jest trochę przestarzały i wszyscy się go czepiają. Ja jednak jestem fanem biologii ewolucyjnej.

- Ja też! Mimo wszystko, wierzę we wspólnych przodków - zadeklarowała radośnie Maya i z zapalem zaczęła wyliczać: - Wierzę w losową zmienność mutacyjną, w działanie doboru

naturalnego, w dryf genetyczny...

Christian słuchał jej wyliczeń jednym uchem i zastanawiał się, jak siostrzenica doktor Shepherd zapatruje się na opętanie ciotki hipotetycznymi gadami latającymi. Nie chciał jednak przerywać jej credo pytaniem o tak delikatną i potencjalnie drażliwą kwestię.

Maya musiała wracać do pracy. Christian natomiast marzył o łożku lub choćby skrawku podłogi, na którym mógłby się położyć i spokojnie zasnąć. Odebrał od Mai klucze, przyozdobione pękiem kolorowych zawieszek w domniemanym kształcie stwora *kongamoto*. Każda zawieszka przedstawiała go w trochę inny sposób.

Mieszkanie doktor Shepherd mieściło się w kamienicy przy Gower Street i sąsiadowało z zabudowaniami University College London. Z narożnych okien apartamentu widać było jeden z bardziej reprezentacyjnych budynków Uniwersytetu: monumentalną wieżę z białego piaskowca, zwaną Senate House. W tym momencie jednak Christiana zupełnie nie interesowały widoki. Zasuwał rolety i padł na zakurzoną pościel, obojętny na fakt, że zapewne dzieli łożko z kolonią roztoczy.

Kiedy się obudził, w pokoju panował gęsty mrok. Tylko uliczna lampa kreśliła świetliste kółko na tkaninie rolety. Za cienką, obluzowaną szybą wył wiatr.

Gdzieś tam daleko, czterysta mil na północ, był Edynburg. W Edynburgu zostali: Vincent, martwy pies, profesor Reid i cała reszta nadąsanego towarzystwa. O nich teraz nie myślał.

Myślał o jednej, wyjątkowo cennej rzeczy, którą tam zostawił. Ta rzecz była dla niego niczym skarb. Teraz, kiedy

był tak daleko, mógł tylko mieć nadzieję, że wybrał dla niej dobrą kryjówkę...

Tylu spraw nie dało się pogodzić. Na tym świecie współistniały istoty rozumne i obłąkane, zjawiska tajemnicze i opisane w najmniejszych detalach, aż nudne. Racjonalna Maya Green i szalona doktor Shepherd. Wyrachowany profesor Reid i fanatyczni członkowie Klubu Zoologów. A Christian Forbes? Kim on tak naprawdę był i po której stał stronie? Czy można było być jednocześnie miłośnikiem Przyrody i mordercą zwierząt? Naukowcem i fantastą?

Dlaczego rzucił wszystko i przejechał ponad czterysta mil po zasłyszaniu urojonej być może historii? Podpisywał się pod credo Mai Green, a jednocześnie kibicował jej ciotce. I jeśli miał być ze sobą szczery, obawiał się, że kiedyś człowiek faktycznie dopnie swego i osiągnie uporządkowany świat bez luk. A on osobiście wolał żyć w świecie, w którym jest jeszcze trochę tajemnic. Wolał żyć w wersji świata według doktor Shepherd.

To nie dawało mu spokoju. Chciał być zoologiem, a jednocześnie wierzył w coś, co mogło okazać się iluzją. To Darwin kiedyś napisał: „Często przeszywa mnie zimny dreszcz i zadaję sobie pytanie, czy aby nie poświęciłem swojego życia fantazji [\[50\]](#)”.

LORD ADLER

*Cóż lepszego robić w poniedziałkowe poranki,
jeśli nie strzelać do bażantów i kuropatw?*

W SOBOTĘ O PORANKU sir Ralph strzelał do kuropatw. Seria odległych wystrzałów za oknem w końcu wyrwała ze snu jego narzeczoną. Monica Sandalls podniosła się z pościeli, rozczochrana i podirytowana przedwczesną pobudką. Przez chwilę siedziała w lekkim otępieniu, następnie ziewnęła tak szeroko, jak tylko jej na to pozwalały wątle szczęki i zastanowiła się, jaką przyjąć strategię na nadchodzący dzień.

Zasadniczo miała dwie opcje: jedną kuszącą, drugą rozsądną. Korzystając z nieobecności Ralpha, mogłaby bezczelnie przespać pół dnia jak ostatni leniuch, którym zresztą była. Uniknęłaby w ten sposób nudnego i przykrego doświadczenia, jakim były dla niej jesienne poranki na wsi. Z drugiej strony, może lepiej byłoby wstać i potrenować przed jutrem? Msza u wielebnego Ellwooda startowała punkt dziesiąta, a Monica zdążyła się już zorientować, że Ralph nigdy nie omijał niedzielnego nabożeństwa. No i ławka Pearsonów była w pierwszym rzędzie, tuż pod bystrym okiem Ellwooda.

„Ten Ellwood jest cholernie cwany”, myślała sobie Monica, niechętnie spuszczać bosa stopy na miękką wykładzinę. „Ostatnio nic, tylko nawija o zmurszałym dachu kościoła. O niczym innym z nim nie pogadasz. Zrywasz się do niego na tą dziesiątą, a on zamiast zabawiać cię jakąś dobrą nowiną, nic tylko wieszczy rychłe zawalenie się kościelnych stropów. Chytry jest – chce pieniędzy. Ralph jest w niebezpieczeństwie. Moment słabości i Ellwood położy łapę na jego portfelu. Oskubie go, tak że tylko drobne zostaną”. Tu Monica bardzo

się zdenerwowała, bowiem dążenia wielebnego w tym zakresie zdawały się kolidować z jej własnymi. Pastor był jej naturalnym wrogiem.

Monica podeszła do okna i nieufnie odchyliła zasłonę – nigdy nie wiadomo, jakie paskudztwo na dworze zgotuje ci jesień.

Czekała ją miła niespodzianka. Poranek był wyjątkowo piękny: słońce, lazururowe niebo, pulchne obłoczki w kolorze bitej śmietany. Tylko nieliczne jeszcze, kolorowe liście na drzewach w ogrodzie zdradzały, iż rozpoczęła się jesień.

Monica odwróciła się z uśmiechem od okna. To był wspaniały dzień na konną przejażdżkę.

W Pelham nie było klubu jeździeckiego, lecz Monica zawsze znajdowała jakieś towarzystwo do wspólnych przejażdżek. Parę dobrze sytuowanych kobiet trzymało swoje konie w stajniach Johna Parrotta. Parrott wykonywał wszystkie prace przy koniach i wystarczyło odebrać od niego zwierzę niczym wypolerowane auto z garażu. Córka Parrotta udzielała też lekcji konnej jazdy lokalnym dziewczynom.

Monica zasiadła przy porannym cappuccino i wykonała parę telefonów do miejscowych koleżanek. Nie miała wiele szczęścia – na poranną przejażdżkę po okolicach Pelham skusiła się jedynie Ailith Love.

Monica nie przepadała za Ailith. Jej zdaniem, dziewczyna była nazbyt ekscentryczna, czym zresztą przypominała swego adopcyjnego ojca. Przed piętnastoma laty Nick Love sprowadził małą sierotkę z toczonej przez wojnę domową Angoli, by spełnić kaprys Emmy, swej ówczesnej żony. Słodka dziewczynka o czekoladowej skórze i ciemnych, lekko skośnych oczach podbiła serce Emmy. W londyńskim

apartamencie Love'ów przygotowano dla małej Ailith pokój godny księżniczki z bajek Disneya. Niestety, Emma szybko straciła zapał do matkowania, a w miłości do męża wytrzymała niewiele dłużej. Na mieście mówiono, że porzuciła Nicka dla jakiejś kobiety, posłanki szwedzkiego Riksdagu, jeśli wierzyć tym lepiej poinformowanym. Zostawiła byłemu mężowi parę starych zabawek, którymi już się znudziła: pudła i czarnoskóre dziecko. Parę lat później Love kupił w Pelham posiadłość i przywiózł tu dziewczynkę. Teraz Ailith miała dwadzieścia jeden lat, była egzotyczną piękną i z niezrozumiałych dla Moniki powodów, uwielbiała tkwić na wsi.

Tego przedpołudnia Monica i Ailith wybrały się na przejażdżkę po okolicznym lesie. Lasy Pelham i sąsiedniego Plumpton przecinało wiele traktów do konnej jazdy. Monica pilnowała, by nie wyjechały na otwarte pola, gdzie szalał jej Ralph i inni maniacy strzelania do kuropatw.

Ailith jakby czytała w jej myślach.

– Gdzie Ralph? – chciała wiedzieć.

– Włóczy się po polach z Charliem – odparła Monica znudzonym głosem.

– Kto to jest Charlie?

– Nowy pies Ralpa, seter szkocki.

– A co z żałobą po Hugonie? – Do Ailith docierały różne plotki.

– Nie ma czasu na przydługą żałobę: zaczął się sezon polowań – wyjaśniła niechętnie Monica.

– Bardzo chciałam być na pogrzebie, wiesz?

– Naprawdę nie masz czego żałować.

– Byłam ciekawa, jak się grzebie zwierzęta.

Monica prychnęła.

– Pogrzeb psa to obrzydliwy biznes – wyznała. – My nawet nie mieliśmy porządnych zwłok, więc możesz sobie wyobrazić, jaką musiałam odstawić komedię.

Ailith westchnęła z niepoprawnym rozmarzeniem.

– Gdy zdechnie moja Ada, zmumifikuję ją tak, jak to robili starożytni Egipcjanie...

– To ten pudel wciąż żyje? – Ada należała jeszcze do niewiernej Emmy.

– Tak i jest w nim coś magicznego. Ta długowieczność to prawdziwa zagadka. Chciałabym znaleźć źródło tej magii... – Ile ona ma lat?

– Siedemnaście.

– To faktycznie, powinna być już co najmniej głucha i ślepa – stwierdziła trzeźwo Monica. – Ale nie dopatruj się w tym żadnej magii. Po prostu, dobre geny, no i wiedzie u was życie jak w bajce. Ty sama dożyjesz stu pięciu lat, jeśli Nick dalej będzie cię tak rozpieszczał...

Jechały przez chwilę w milczeniu, dwie dumnie wyprostowane kobiety na wspaniałych koniach. Monica miała na sobie śnieżnobiałe bryczesy i szyty na miarę, klasyczny frak jeździecki ze srebrnymi guzikami. Ciemnoskóra i ponętna Ailith wybrała żywsze barwy: jej kształtne uda opinały bladożółte bryczesy, duży biust wyglądał zza klap zielonkawej marynarki z tweedu. Pod szyją zawiązała bladożółty krawat, a na zgrabne łydki wsunęła obcisłe oficerki ze złotym zamkiem.

– Monica?

– Tak?

- Ty wierzysz w proste rozwiązania?

- Żadnych innych nie toleruję. Świat nie jest wcale tak skomplikowany, jak by tego chcieli nasi psychoterapeuci. Ludzkie charaktery są powtarzalne i jest tylko kilka podstawowych typów urody. Jak pożyjesz dłużej na tym świecie, to zaczniesz ci się wydawać, że znasz już wszystkich ludzi na ulicy, wszystkich już gdzieś kiedyś widziałaś, a co najgorsze – wszyscy są jednakowo nudni.

- No a Ralph? – spytała przebiegle Ailith.

- Co: Ralph?

- On też nie ma w sobie nic oryginalnego?

- Ralph jest wyjątkowy – odparła mechanicznie Monica.

- No, zobacz. To chyba trafił ci się jedyny ponadprzeciętny mężczyzna?

- Owszem – rzekła sucho przyszła lady Pearson. – Dlatego za niego wychodzę.

Znów umilkły, oddając się kontemplacji przyrody. Konie statecznie stąpały utwardzaną ścieżką. W koronach starych drzew delikatnie szeleściło wciąż zielone, lecz wyschnięte i zmęczone minionym latem listowie. Powietrze było mroźne, las pachniał jesienią.

Monica zaproponowała Ailith, by wspólnie zjadły lunch. Po przejażdżce, oddały swoje drogie konie pod opiekę niezawodnego Parrotta i udały się do swych domów, aby się przebrać. Musiały dbać o wizerunek. W porze lunchu na głównej ulicy Pelham było zawsze tłoczno, w oknach kawiarni przesiadywały wścibskie, lokalne emerytki, wiecznie głodne plotek. Gwiazdki pokroju przyszłej lady Pearson i czarnoskórej córki Love'a zawsze przyciągały uwagę.

High Street z obu stron obklejał długi sznur samochodów.

Dominowały uwalone błotem, terenowe wozy lokalnych farmerów oraz lśniące kabriolety bezrobotnych arystokratów. Znalezienie wolnego miejsca parkingowego granoczyło z cudem.

Biały jaguar Moniki Sandalls przez blisko kwadrans bezskutecznie przemierzał High Street tam i z powrotem. Kobieta wparła łokieć na okiennej ramie i niedbale podtrzymywała kierownicę trzema palcami. Jej mina wyrażała znużenie i frustrację. Wreszcie, wytropiła idealne miejsce pod pubem King's Head: właśnie wycofywał się stamtąd czerwony traktor retro. Traktora dosiadał dżentelmen w granatowym garniturze i wypucowanych gumowcach; powojenny model Field-Marshalla [\[51\]](#) ewidentnie był tylko jego zabawką.

Monica przymierzyła się do ataku, lecz niespodziewanie ktoś ją ubiegł: na miejsce traktora wsunął się mały, sportowy mercedes, błękitny jak laguna na ciepłym Oceanie Indyjskim. Był to samochód Ailith Love.

Monica syknęła i skręciła z głównej ulicy w zaułek St Ann's Close. Tutaj zaparkowała wprost na jezdni, dokładnie naprzeciwko wejścia do stylowej herbaciarni, w której umówiła się z Ailith. Biały jaguar zablokował wąską uliczkę jak korkowa zatyczka.

Monica weszła do herbaciarni i zasiadła przy małym stoliczku w okiennym wykuszu. Zamówiła lampkę szampana i makaron tagliatelle z czarnymi truflami.

Po krótkiej chwili w lokalu zjawiała się Ailith.

– Zapomniałaś włączyć światła awaryjne. – Uśmiechnęła się do Moniki i puściła oko.

– Szkoda akumulatora – odparła Monica, lustrując koleżankę.

Ailith jak zwykle wyglądała zjawiskowo. Miała na sobie szmaragdowe futerko i suknię z kremowego jedwabiu. Na jej czekoladowym dekolcie lśniły rubiny z Mozambiku.

Nick musiał ją naprawdę kochać.

Ailith zamówiła Yorkshire pudding z brązowym sosem i gotowanymi warzywami, a także specjalność lokalu: parzoną herbatę, którą tradycyjnie podawano w srebrnym serwisie.

– Tak się zastanawiam – odezwała się zaczepnym tonem Monica – co też cię pociąga we wsi?

Ailith roześmiała się, niezbyt szczerze.

– Mówisz tak, jakby w tym, że mieszkam na wsi, było coś podejrzanego – odparła.

– Bo to jest dziwne. Piękna, dwudziestoletnia dziewczyna nie powinna się ukrywać w dziczy. Twoje miejsce jest na salonach, w Londynie. Albo w jakimś innym wielkim mieście. Wybacz, że mówię tak wprost, ale w końcu jestem twoją przyjaciółką. – To ostatnie było oczywistą nieprawdą i obie dobrze o tym wiedziały.

Ailith uśmiechnęła się pod nosem i przejechała dłonią po lśniących, prostych włosach.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego uważasz, że moje miejsce jest w Londynie.

– Choćby dlatego, że Nick wynajmuje tam penthouse z widokiem na Tamizę. Nie kusi cię, żeby urządzać tam imprezy i poznawać ludzi?

– Ale ja urządzam tam imprezy – odparła lekceważąco Ailith. – Tylko że... wszystko tam jest takie sztuczne. Nawet kwiaty w tym mieszkaniu są jakby z papieru lub gumy. A ludzie nie potrafią się wyluzować, jak otacza ich tylko szkło i stal.

Monica wywróciła oczami i z ulgą powitała nadejście kelnerki. Przez chwilę jadły w milczeniu, po czym znów odezwała się

Ailith.

– Wiesz, co mnie pociąga na wsi?

Monica podniosła na nią oczy. Z ust zwisała jej wstążka makaronu.

– Wieś to Natura, a Natura to świat żywiołów. Świat pełen magii. Kiedy tu jestem, kiedy biegnę boso pośród drzew i kwiatów, czuję, że oddycham. Jestem kreatywna i spontaniczna – żyję.

To miejsce mnie szalenie inspiruje.

Monica z niedowierzaniem uniosła brew.

– Doprawdy? Do czego?

– Do... eksperymentów. – Ailith nalała sobie herbaty do szklanki w srebrnym koszyczku.

Monica przyjrzała się jej podejrzliwie.

– Eksperymentów? Jakiego rodzaju?

– Powiedzmy, że mam na myśli eksperymenty artystyczne – odparła Ailith i aby zmienić temat, chwyciła dłoń koleżanki. Na cienkim palcu Moniki iskrzył się wspaniały żółty diament, otoczony mrowiem malutkich brylantów. – Czy to pierścionek zaręczynowy od Ralpa? Fajny.

Monica nie dała się tak łatwo zwieść. Pierścionek od Ralpa nie był dla niej żadną nowością, poza tym dawno już przestała popadać w zachwyty na wzmiankę o garstce diamentów.

Zmrużyła oczy i przyjrzała się Ailith, starając się coś sobie przypomnieć.

– Czy ty aby nie miałaś w planach studiów na uczelni

artystycznej?

– Studiowałam przez chwilę w Londynie – przypomniała jej Ailith. – Ale uczelnia mnie wkurzała: ciągle te projekty i projekty. A ja nie potrafię tworzyć na zamówienie! – wzruszyła ramionami i posłodziła herbatę dwoma kostkami cukru. – Zwłaszcza w mieście – dodała. – Poza tym prawdziwy artysta nie potrzebuje certyfikatu. Monica łyknęła szampana i pokiwała bez przekonania głową.

– Masz jakieś świeże plotki o nowym właścicielu Zamku? – spytała.

– To Rosjanin – odparła Ailith. – Nazywa się Bazin i chyba utopił całą swoją kasę w tych ruinach. Zamieszkał tu z kilkusobową ekipą. Ma syna. O żonie nic mi nie wiadomo.

Monica wyraźnie się ożywiła.

– Skąd masz takie informacje? – zapytała, przyglądając się Ailith ciekawie. – Rozmawiałaś z nim...?

Ailith pokręciła przecząco głową.

– Wiem o tym od Jean Chambers, tej pośredniczki. Zaprosiłam

ją na drinka i rozmawialiśmy trochę o lokalnych interesach.

– Jean Chambers, no przecież! Że też ja o tym nie pomyślałam! – Monica złapała się za głowę, ubolewając nad tym, że dała się wyprzedzić jakiejś młódce.

Ailith z satysfakcją siorbnęła herbatę.

– Oczywiście, wkrótce zamierzam poznać pana Bazina osobiście – oznajmiła.

Monica zakrztusiła się swoim szampanem.

– Jak to? Nick planuje złożyć mu wizytę...?

– Nie mieszajmy w to papy. Ja sama zamierzam zaprosić

Bazina na herbatkę zapoznawczą.

Monica przyjrzała się dziewczynie z zastanowieniem.

– Myślisz, że przyjdzie?

– Dlaczego miałby odmówić?

– Chodzą słuchy, że to jakiś dziwak. Wariat i odludek – jeszcze ani razu nie pojawił się w miasteczku. Za to podobno szaleje po polach...

– Szaleje po polach? Co masz na myśli? – zainteresowała się

Ailith.

– Ralph chyba raz go spotkał gdzieś w polu. I nie było to miłe spotkanie. Ten facet to gbur.

– Jak wygląda? – spytała szybko Ailith.

Monikę zdziwiło jej nagłe ożywienie.

– Jak każdy gbur – odparła lekceważąco. – Długowłosey, zarośnięty. Prostak i tyle.

Ailith straciła zainteresowanie. Na jej twarzy malowało się teraz rozczarowanie. Westchnęła i ugodziła widelcem gotowaną marchewkę.

– Parę dni temu – zaczęła w zadumie – spotkałam kogoś w lesie... – Urwała, czym okropnie zirytowała Monikę.

– Kogo? W którym lesie? – przycisnęła dziewczynę. Czuła, że kroi się romantyczna historia. A kto wie, skoro miejscem akcji był las, może będzie z odrobiną pikanterii...?

– Nie wiem, kto to był – odparła Ailith. – Ale był taki... dziki.

– Odłożyła widelec i popatrzyła na Monikę jakimś dziwnym spojrzeniem. – Myślałam, że to Pan – wyszeptała.

– Pan...?

– Wiesz, bóg lasu. Pół-człowiek, pół-zwierzę. Zresztą, on

wcale nie musi się nazywać Pan. To tylko takie uproszczenie. Chciałabym poznać jego prawdziwe imię... – Umilkła i odpłynęła gdzieś myślami.

Monica czekała na ciąg dalszy, lecz ten nie nastąpił.

– I to już cała historia? – spytała, nie kryjąc rozczarowania.

Ailith skinęła lekko głową.

– Niestety, póki co tak.

– Znaczy tak: zobaczyłaś jakiegoś gościa w lesie i chciałabyś wiedzieć, jak on się nazywa – podsumowała trzeźwo Monica.

– Tak – odparła Ailith cicho.

– Dlaczego go po prostu o to nie spytałaś?

– Bo on... uciekł. Zniknął w lesie. A ja byłam zbyt zaskoczona, aby pobiec za nim.

Monikę znudziła ta cała historia. Za dużo w niej było niedopowiedzeń, za mało konkretnej akcji.

– No cóż – rzekła kpiąco – może on pojawi się na jutrzejszym Festiwalu Dyni?

Ailith wyduła wargi.

– Nie wiem, czy przyjdę oglądać ten festiwal.

– Dlaczego? To może być dobra okazja do rozmaitych spotkań...

– Mam plany na dzisiejszy wieczór i jutro na pewno nie wstanę przed popołudniową herbatą. A te wszystkie wiejskie imprezy startują tak wcześnie...

– Owszem, startują zaraz po mszy – przyznała grobowym głosem Monica.

Po lunchu rozmawiały jeszcze przez chwilę, stojąc na wąskim pasku chodnika przed wejściem do herbaciarni. Z tego

miejsca miały dobry widok na parking przy pubie King's Head.

W pewnym momencie Ailith skinęła głową w stronę parkingu i zapytała:

– Czy to przypadkiem nie twój drogi Ralph?

Monica odwróciła głowę, by spojrzeć na mężczyznę wychodzącego z potężnego pickupa, który właśnie zatrzymał się przed pubem.

Zaiste, wszystko wskazywało na to, że był to jej drogi sir Ralph: mężczyzna miał na sobie oliwkowy strój myśliwski z kraciastego tweedu, na głowie sztywny kaszkiet, pod szyją zielony krawat, a na nogach gumowce. Wysoki i dumnie wyprostowany, sir Ralph jak zwykle prezentował się niewiarygodnie dostojnie.

Od strony pasażera też ktoś wysiadł: jakiś nieznany Monice chłopak w bluzie z kapturem i niechlujnych, jak na jej gust, spodniach. Na ramieniu chłopaka wisiał plecak. Monica ze zdumieniem obserwowała, jak sir Ralph podchodzi do nieznanego, coś do niego mówi, wskazując ręką to na swój samochód, to na przeciwległy zaułek, a następnie ściska mu dłoń na pożegnanie.

Chłopak odszedł, a Monica i Ailith popatrzyły po sobie znacząco.

A potem obie naraz się poderwały. Monica wskoczyła do swojego jaguara i wycofała go w te pędy pod pub, nie zerkając nawet w lusterka wsteczne, czy aby kogoś nie taranuje.

Ailith drobila za nią w swoich amarantowych szpilkach na niebotycznym obcasie.

– Ralph! – wykrzyknęła serdecznie Monica przez opuszczoną szybę. Poprawiła szybko diamentową kolię pod

szyją i z gracją wysiadła z samochodu.

– Kochanie, już wróciłeś? – zapytała bez sensu. – Jak się udało polowanie? Jak się spisał Charlie?

– Witaj, Ralph – wtrąciła się Ailith, wyciągając dłoń na powitanie. – Z kim rozmawiałeś? Kto to był?

Sir Ralph gubił się w babskim szczebiocie, toteż co do zasady go ignorował.

– Przyjechałem na lunch – oznajmił potężnym głosem, jak gdyby oczekiwał, że zaczną mu bić za ten wyczyn oklaski. – Zjem u Joe'ego. Mam ochotę na żeberka.

– Doskonale – zachwyciła się Monica. – Ja również jadłam na mieście.

– Charlie spisał się na medal – oświadczył z dumą sir Ralph. – Podobnie jak moja ulubiona beretta. – Pearson zawsze znalazł ciepłe słowo dla swojego psa i luksusowej strzelby.

Monica czasami zastanawiała się, czy Ralph nie żeni się z nią tylko po to, aby spłodzić prawowitego potomka. Poprzednie małżonki Pearsona zawiodły w tej kwestii.

Mimowolnie westchnęła, na co sir Ralph rzekł pocieszająco:

– To był doskonały poranek: ustrzeliłem piętnaście kuropatw.

– Świetny wynik, Ralph – odparła obojętnie.

– Ralph? – zagaiła Ailith słodkim głosem. – Podobno raz spotkałeś na polach Bazina?

– Kogo? – zdumiał się sir Ralph.

– No, tego Rosjanina, nowego właściciela Zamku.

Monica nagle złąkała się na myśl, iż sir Ralph oskarży ją o wyjawienie tak intymnej i w dodatku niechlubnej historii.

– A dzisiaj też kogoś spotkałeś, kochanie – wtrąciła

pośpiesznie, przesłodzonym głosem. – Kto to był, ten młody człowiek?

Sir Ralph wyjął z samochodu elegancką, skórzaną torbę myśliwską i przewiesił ją przez ramię.

– To był lord Adler – odparł krótko, jak gdyby to wyjaśniało wszystko.

– Kto...? – zapytały równocześnie Monica i Ailith.

Obie, naturalnie, nigdy nie słyszały o nobliwym rodzie Adlerów.

– Czy to... ktoś z Londynu? – strzeliła w ciemno Monica. – Byliście razem na polowaniu?

– Och, nie – rzekł pogodnie sir Ralph. – Ten młody człowiek wypłoszył mi ptactwo. Wyobraźcie sobie, przyjechał do West Sussex z drugiego końca kraju i na ostatnim odcinku nawigacja wyprowadziła go w szczerze pole. Dosłownie! – Tu Pearson niemal zachichotał, na co panie znów tylko popatrzyły po sobie. – Pomyślcie sobie: Szkocja – przecież to jest koniec świata! Ja bym się raczej nie odważył na tak długą podróż samochodem – powiedział pochopnie i szybko dodał: – Tak przypuszczam.

– A gdzie jest samochód tego Adlera?

– Wykończył się na wertepach. Zerwał się pasek rozrządu. Silnik został, że tak się wyrażę, śmiertelnie uszkodzony. Kompletnie niewesoła sytuacja.

– Dlaczego więc się uśmiechasz? – spytała podejrzliwie Ailith.

– Bo wtedy właśnie do akcji wkroczyłem ja – oznajmił sir Ralph i z dumą uniósł podbródek. – Uratowałem tego młodzieńca. Musiał dzwonić po pomoc drogową, poleciłem mu więc warsztat Frosta, a sam przywiozłem go do Pelham.

- Zawsze działasz tak zdecydowanie - zachwycała się Monica.

Pearson był wyraźnie z siebie zadowolony. Przeniósł spojrzenie na Ailith, jakby i od niej oczekiwał pochwały. Jednak córce Love'a najwidoczniej nie tak łatwo było zaimponować.

- Skąd wiesz, Ralph, że ten chłopak to lord? - zapytała, wydymając sceptycznie wargi. - Znasz tych Adlerów? Ja nigdy o nich nie słyszałam.

- A co ty wiesz o Szkocji, moja droga? - wtrąciła obronnie Monica.

Pearson zastanowił się.

- Właściwie, ja również nie słyszałem o tym rodzie - przyznał z niejakim zakłopotaniem. - Założyłem, iż młodzieniec pochodzi z dobrej rodziny, gdyż, po pierwsze, zdaje się, że przyjaźni się z George'em - nawiasem mówiąc, to do niego właśnie przyjechał w gości - a po drugie, no cóż, chłopak doskonale zna się na teorii łowów i - wyobraźcie sobie - polował na włościach samego księcia Roxburghe! Książę, naturalnie, nie zadaje się z szemranym towarzystwem. Ja sam chętnie bym u niego kiedyś postrzelał. Posiadłość jego książęcej mości ma pięćdziesiąt pięć tysięcy akrów, z czego spora część to wrzosowiska. Wrzosowiska zaś to wszak królestwo pardwy szkockiej!

Niepozorna pardwa szkocka uznawana była przez myśliwych za królową wśród łownego ptactwa. Ten niezwykle rzadki, dziki ptak żerował pośród wrzosowisk w północnych i zachodnich częściach kraju. W miejscach tych panował nieprzyjazny, ostry i wietrzny klimat. Samo ustrzelenie pardwy też wymagało sporo zachodu: ptak był niezwykle

zwinny i przebiegły, i potrafił czmychnąć nad wrzosami z prędkością rozpędzonego na autostradzie samochodu.

Brytyjscy myśliwi zwariowali na punkcie pardwy szkockiej jeszcze za królowej Wiktorii. Początek sezonu polowań, to jest dwunastego sierpnia, zwykli nazywać „Wspaniałym Dwunastym”.

– Adler powiedział mi, że uczył się polować w posiadłości swego ojca – ciągnął sir Ralph. – Polecił mi parę łowisk w Yorkshire i Szkocji. Kiedyś trzeba się będzie wybrać na północ.

– Cieszę się, że ucieliście sobie miłą pogawędkę – rzekła znudzonym tonem Monica.

– Otóż to! To doprawdy była miła pogawędka – potwierdził uroczyście sir Ralph. Jego narzeczona dawno nie widziała go w tak dobrym humorze.

Ailith pomyślała sobie, że Pearsonowi po prostu brakuje syna, z którym mógłby dzielić swoje męskie pasje, któremu mógłby przekazywać wiedzę o broni, łowiskach i psach myśliwskich.

– Ja ze swojej strony oczywiście również poleciłem mu kilka wartych uwagi terenów łowieckich na południu. No i zaprosiłem go na wspólne łowy.

– Ależ, Ralph! Chyba nie w niedzielę [\[52\]](#)? – zaniepokoiła się Monica.

– Oczywiście, że nie – zachnął się Pearson. – Myślałem o poniedziałku. Cóż lepszego robić jesienią w poniedziałkowe poranki, jeśli nie strzelać do bażantów i kuropatw?

Monica i Ailith zgodnie wzruszyły ramionami. Żadna z nich nie знаła dobrze tej pory dnia, jaką był poranek. Zazwyczaj po prostu ją przesypiały.

SEKRET TRUJĄCYCH DRZEW

Angielski las to cudowne miejsce do nocnej wędrówki.

Sir Ralph Pearson

WYGLĄDAŁO NA TO, że zajeździł starego Defendera na śmierć. W warsztacie Frosta obiecali przyjrzeć się staruszkowi po lunchu, lecz na pierwszy rzut oka widać było, że sprawa jest z gatunku beznadziejnych.

Chłopcy z warsztatu zaryglowali bramę i zniknęli ze swoimi trójkątnymi kanapkami i kawą. Była sobota i nikt w Pelham nie zamierzał się przepracowywać. Lunch mógł potrwać dobrą godzinę.

Adler przesiedział pierwszy kwadrans na krawężniku, słuchając głośnej muzyki i szumu aut, wjeżdżających do miasteczka od południa. Uformował się spory korek, Pelham wyraźnie cieszyło się popularnością wśród mieszkańców okolicznych farm i przysiółków.

Potem postanowił zapoznać się wstępnie z topografią miasta, ale nie zamierzał w tym celu wędrować po zatłoczonym High Street. Zamiast tego, dyskretnie wdrapał się na kasztanowca, rosnącego w rogu pustego placu, przy którym stał warsztat. Konary starego drzewa, rozcapierzone na wszystkie strony, wprost zachęcały do wspinaczki. Jedna z gałęzi wysuwała się poziomo niczym ławka. Przysiadł na niej, rozchylił zakurzone listowie, by mieć lepszy widok na okolicę i zerknął na mapę w telefonie.

Z mapy wynikało, że znajdował się teraz na południowym krańcu głównej ulicy Pelham. Po drugiej stronie ulicy mieścił się pub zwany King's Head. Parking i jezdnia wokół pubu były oblepione samochodami. Niektóre z aut blokujących przejazd mrugały przepaszająco światłami awaryjnymi.

Ze wschodu i zachodu do głównej High Street dobiegały, niczym kręte strumyki, uliczki różnej długości. W jednym z takich zaułków, całkiem niedaleko, mieszkał sir George Wyatt. Zaułek zwał się Sheep Lane, a jego lustrzanym odbiciem po drugiej stronie High Street była ślepa uliczka o nazwie St Ann's Close. Adler przyjrzał się mapie i stwierdził, że to właśnie z tej uliczki musiała prowadzić jakaś ścieżka ku ruinom klasztoru na Wzgórzu świętej Anny. Nie wyglądało to na długą wyprawę – może czterdzieści minut spacerem przez las.

Na przeciwległym, to jest północnym, krańcu głównej ulicy uwagę przykuwał kościół pod wezwaniem świętego Botolpha oraz większa posiadłość, oznaczona jako Badgers. Dalej droga wiodła już przez pola i lasy do sąsiedniej miejscowości zwanej Plumpton. Gdzieś pośród tych pól zaznaczono na mapie zamek. Musiał to być ów Zamek, o którym wspominał sir George.

Adler wsunął telefon do kieszeni i uśmiechnął się do siebie. Dobrze było wyrwać się na takie krótkie, nieplanowane wakacje.

Żeby jeszcze tylko miał czym wrócić do domu...

Tę ostatnią kwestię omówił wkrótce z synem właściciela warsztatu. Andy Frost nie miał dobrych wieści.

– To będzie sporo kosztować – powiedział, kręcąc sceptycznie głową, jak gdyby jego warsztat miał ucierpieć na

takim zleceniu. – Nowe części, robocizna. Biorąc pod uwagę stan i wiek auta, ja nie wiem, czy to się tobie opłaca. Może lepiej zezłomować?

Adler nie zamierzał się poddawać. Musiał czymś wrócić do Szkocji. Poprosił Andy'ego, by oszacował koszty, lecz ten odparł, że szukać części i tak zaczęliby dopiero po weekendzie.

– W poniedziałek mogę podzwonić tu i tam – rzekł bez zapału Frost. – Poinformuję cię, na czym stoimy. Ale to może zająć parę dni – uprzedził.

Świetnie. A zatem ugrzązł na angielskiej wsi.

Ominą go przyszłotygodniowe ćwiczenia w laboratoriach i zajęcia w terenie. Wykłady jakoś przeboleje, zresztą i tak są nagrywane i wrzucane do sieci. Każdy teraz pragnie sławy, akademiccy biolodzy nie są wyjątkiem.

Z Frostem umówił się na telefon w poniedziałek, a potem powędrował w kierunku Sheep Lane. Tutaj, na samym końcu zaułka stał dom sir George'a Wyatta. Dom nosił nazwę St John's Cottage i przypominał chatę z bajki.

Budynek był sporych rozmiarów i przysłaniała go czapa grubej strzechy. Jego szkielet stanowiły ciemne, drewniane bale, wypełnione ceglanymi panelami. Na pierwszym piętrze cegły pociągnięto białą farbą, na parterze zaś ułożono je w jodełkę. Okna w chacie były malutkie, miały romboidalne, oprawione w ołów szybki i rozmieszczono je w dość fantazyjny sposób. Drzwi wejściowe były żółte i wesołe jak płatki słonecznika. Dom oddzielono od drogi bujnym, choć nieco już obumarłym po jesień, ogrodem frontowym.

Adler rzucił okiem na białe sztachetki drewnianego płotku – sięgały mu zaledwie do ud – i zastanowił się, czy po prostu ich

nie przekroczyć. Po namyśle jednak, odchylił małą furtkę i kulturalnie wszedł do ogródka. Bądź co bądź, zapamiętał sir George'a jako gościa z dobrymi manierami.

Sir George był w domu i niezmiernie ucieszył się na widok gościa. Wiedział oczywiście o jego przyjeździe, lecz z uwagi na postój Adlera w Londynie, nie był pewien, o której godzinie spodziewać się go w Pelham. Na powitanie gościa wybiegł również energiczny cocker spaniel o rudej lub, jak kto woli, złotej sierści.

Adler z lekkim rozbawieniem zauważył, iż sir George nawet po domu przemieszcza się w odprasowanej, białej koszuli. Sam miał na sobie brudne jak diabli, wiązane buty wojskowe i czarny T-shirt z wymalowanymi ptakami stymfalijskimi – mitycznymi mięsożercami o dziobach i szponach z żelaza. Bluzę, tę ze szkockim krzyżem, zdjął niedawno, gdyż stwierdził, że w Anglii jest jednak strasznie gorąco. Krótko mówiąc, aktualnie tylko kosztowny zegarek zdradzał przynależność Adlera do klas wyższych.

Sir George powitał gościa, jak należy. Najpierw nakarmił go specjałem przygotowanym przez niezastąpioną kucharkę, panią Chapman. Były to kielbaski w cieście francuskim z dodatkiem ostrej angielskiej musztardy o mocnym, chrzanowym posmaku.

Podczas posiłku, pan domu wysłuchał opowieści gościa o niefortunnych przygodach z samochodem i gorąco zapewnił go, że może pozostać w St John's Cottage, tak długo, jak tylko będzie miał ochotę. Ustalili też, na życzenie gościa, że w Pelham będzie on występował pod swoim pseudonimem klubowym. Jego prawdziwe nazwisko mogłoby budzić niepotrzebne kontrowersje. Poza tym, przybył tu

w szczególnej misji i im mniej o nim wiedzano, tym lepiej. Sir George przystał na te ustalenia, choć miał wielką ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o szkockim rodzie Forbesów.

Adler zamierzał wybrać się od razu na Wzgórze świętej Anny, by korzystając ze światła dziennego przyjrzeć się dokładnie temu miejscu i zbadać ewentualne tropy zwierzyny.

Sir George oponował.

– Po co ten pośpiech, panie Adler. Niech pan się najpierw zrelaksuje po trudach długiej podróży i jej – tu odchrząknął – niefortunnym finale. Mam na myśli pańską przygodę z samochodem... – Zmieszał się. – Tak... Proponuję spacer! Pokażę panu Pelham, co pan na to?

Adler uznał, że ostatecznie może zobaczyć miasteczko. Jutro będzie miał cały dzień na łażenie po lesie w poszukiwaniu mięsożernej sarny.

Wyszli do przedpokoju, gdzie sir George począł z namaszczeniem wiązać pod szyją czerwoną muchę. Jego gość czekał z rękami w kieszeniach spodni i wdychał wszechobecny zapach zbutwiałego drewna. Wtedy właśnie ze schodków wiodących na piętro zbiegła lekko jakaś wiotka istota w tiulowej sukience.

Na ich widok zatrzymała się na ostatnim stopniu.

– O, Majella, już wstałaś? – wykrzyknął serdecznie sir George.

Adler zerknął z ukosa na tarczę ściennego zegara: dochodziła czwarta po południu.

– Moja droga, pragnę ci przedstawić naszego gościa. Pan Adler przybył ze Szkocji na moje specjalne zaproszenie. – Sir George uśmiechnął się zachęcająco, zaś Adler wyciągnął dłoń w stronę dziewczyny.

- Cześć, jestem Christian. Miło cię poznać - rzucił sztampowo.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, ani też nie uśmiechnęła się. Stała nieruchomo i spoglądała poważnie na nieznanego spod przydługiej, jasnej i prostej jak słoma grzywki.

Sir George odchrząknął z zakłopotaniem.

- Pan Adler zatrzyma się u nas na parę dni - wyjaśnił. - Mamy do omówienia pewną pilną kwestię.

Majella zeskoczyła ze schodka i bez słowa zaczęła się ubierać do wyjścia. Założyła płaszcz z puszystej wełny i okręciła wokół szyi jaskrawo czerwoną chustę.

- Moja droga, może do nas dołączysz? - zapytał sir George nieśmiało.

- Umówiłam się z Ailith - odparła dziewczyna. Głos miała cichy i z lekka pretensjonalny. - Idziemy na jagody.

Adler uniósł brwi. Jagody...? To chyba jakiś lokalny kryptonim na wiadome rozrywki.

Sir George nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaalarmowany.

- Ach, znowu te jagody - powiedział z pobłażaniem. - Jestem ciekaw, co wy tam zbieracie. Pamiętaj, że te czerwone jagody na cisach są trujące. Ale u Nicka w ogrodzie chyba nie rosną cisy.

- Nie będziemy przesiadywać w ogrodzie. Wybieramy się do lasu.

- O, nie - zaniepokoił się natychmiast sir George. - Rozmawialiśmy o tym: nie wolno ci chodzić do lasu. Nie po tym, co ci się ostatnio przytrafiło...

- Nic mi się nie przytrafiło - odparła znudzonym głosem

Majella.

– Byłaś ranna...!

Na bladą twarz dziewczyny wypłynął delikatny rumieniec.

– Nic mi nie było, dziadziu. Przesadzasz.

– Nie sędzę – upierał się sir George.

Ale Majella najwyraźniej w tej kwestii powiedziała już wszystko, bo tylko wzruszyła ramionami i wyszła.

– Co właściwie przytrafiło się wtedy pańskiej wnuczce? – spytał Adler. – Wspominał pan, że została zaatakowana.

Sir George poluzował muchę i odetchnął ciężko.

– Wyglądała, jakby zaatakowało ją jakieś dzikie zwierzę: krew na włosach, krew na ubraniu, po prostu koszmar! Okazało się, że ma skaleczoną dłoń, ale nie chciała mi pokazać tej rany z bliska. Nie poszła też do naszego lokalnego GP, bo wie, że go znam i mógłbym go o wszystko wypytać. Ta cała Ailith, jej nowa przyjaciółka, zawiozła ją pewnie do lekarza w Plumpton albo do samego Chichester. Majella w ogóle nie chce ze mną rozmawiać o wydarzeniach tamtej nocy, ale ja mam swoje podejrzenia.

– Myśli pan, sir, że pańska wnuczka wybrała się wówczas do tego lasu na Wzgórzu świętej Anny?

– Jestem o tym absolutnie przekonany. Odkąd zaprzyjaźniła się z Ailith Love, nieustannie włączą się gdzieś po okolicy zamiast kulturalnie dyskutować w salonie. W ostatnim czasie Ailith bez przerwy wyciągała Majellę do lasu. Majella nigdy nie opowiadała mi zbyt wiele o tych spacerach, zapewne dlatego, bym nie zabronił jej spotkań z przyjaciółką, lecz od pewnego czasu przestała w ogóle cokolwiek mówić. Nabrała wody w usta, że tak się wyrażę. Osobiście winię za to tę dziewczynę, Ailith. To nie jest odpowiednia znajoma dla mojej

wnuczki. Przede wszystkim, jest od niej sporo starsza – Majella chodzi jeszcze do szkoły.

– No a... te jagody? – zapytał ostrożnie Adler.

– Ach, jagody! – zachnął się sir George. – To kolejny pomysł córki Love'a, ale wygląda mi na niewinną rozrywkę. Byłem jednakże przekonany, że szukają tych jagód w ogrodzie Nicka.

– Co to za jeden, ten Nick?

– Nick Love, sąsiad. Pracuje gdzieś w City. Kupił w Pelham dom i zagląda tu zazwyczaj raz w tygodniu. Bardzo hałaśliwa postać. Jego córka wdała się w ojca, takie niefortunne geny. – Tu sir George zadumał się nad słusnością ostatniej tezy, gdyż przypomniał sobie, iż Love nie jest biologicznym ojcem Ailith.

– Chodźmy – powiedział szybko. – Pokażę panu Zamek.

Wyszli na High Street i ruszyli w dół głównej ulicy miasteczka.

Nie było już tak tłoczno, jak w porze lunchu. Sklepy zamykały się o czwartej i po tej godzinie po chodnikach snuły się jedynie niedobitki. Sir George przystawał przy wybranych kamienicach i z zapalem rozprawiał o ich architekturze. Adler kiwał głową, symulując zainteresowanie tematem, podczas gdy jego oczy błędziły ponad dachami domów. Nie dopatrzył się jednak niczego interesującego – pewnie większość ptaków żerowała w polach.

– Proszę spojrzeć, jaki panuje tutaj eklektyzm! – zachwycał się tymczasem Wyatt. – Każdy dom został wykończony w inny sposób: tu mamy wiszącą dachówkę, tu zaś krzemień. O, a tutaj, pod grubą warstwą białej farby kryje się ręcznie wypalana cegła! O każdym z tych domów mógłbym panu długo opowiadać. Naturalnie, o wszystkim przeczyta pan

w monografii Pelham mojego autorstwa. Wieczorem podaruję panu kopię, co pan na to?

– Fantastycznie – odparł mechanicznie Adler, a po namyśle dodał: – W Szkocji nie widuje się takich kolorowych kamienic.

Główne ulice w małych, szkockich miasteczkach wyglądały podobnie. Jezdnia była zazwyczaj wylana mocno już podniszczonym asfaltem. Po obu stronach drogi stały brzydkie i posępne domy z szarego kamienia. Przypominały rząd smętnych, szeregowych żołnierzy albo raczej przybrudzone nagrobki tychże, bezimiennych, poległych w jakimś bezsensownym boju, w bitwie, której daty nikt już nie pamięta. Kamienice zlewały się swym ponurym kolorytem z szaroburym niebem i spoglądały na ulicę rzędami małych, prostokątnych okienek, których szyby mieniły się od kropli ostatniego deszczu.

Sir George odebrał komentarz Adlera jako komplement. Uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł łaskawie:

– Naturalnie, kiedyś w przyszłości chciałbym poszerzyć swoją, rozległą skądinąd, wiedzę o dokładniejsze informacje na temat lokalnych kamieni budowlanych na północy kraju.

Adler szczerze powątpiewał, czy byłby to ciekawy temat do studiów.

Na drugim krańcu High Street, sir George przystanął przy bramie wjazdowej do jakiejś dużej posesji. Przez żeliwne pręty ogrodzenia można było dostrzec wąską, wysypaną jasnym żwirem aleję, która wiodła prosto przez park w kierunku eleganckiej, ceglanej rezydencji ze spadzistym dachem pokrytym dachówką.

– To Badgers, posiadłość sir Ralpha Pearsona – wyjaśnił sir George. – Dom zbudowano w osiemnastym wieku. Prosta

bryła, cieszące oko proporcje. Minimum elementów dekoracyjnych. Idealny dom dla dostojnego dżentelmena. Przy okazji, Ralph napisał mi jakąś godzinkę temu, że wpadnie do nas na wieczór na szklaneczkę whisky.

Adler pokiwał nieuważnie głową.

– Co jest po drugiej stronie ulicy? – zapytał, wskazując na niezabudowany teren, ciągnący się na wschód od High Street.
– Według mapy gdzieś tam chyba powinien być Zamek?

Sir George niechętnie odwrócił wzrok od eleganckiej fasady dworku Pearsonów.

– Tak, Zamek... – powiedział wolno, z namysłem. – Nie tak łatwo go zobaczyć.

– Dlaczego? – zapytał Adler i nie czekając na odpowiedź, w paru krokach przeskoczył jezdnię i znalazł się na zwirowanym placu po drugiej stronie High Street. Placyk ten służył do manewrów autobusu z Chichester, który kończył bieg w Pelham. Z jakiegoś tajemniczego powodu władze dystryktu uznały, że sąsiednie Plumpton i dalsze przysiółki nie zasłużyły na usługę, jaką jest transport publiczny. Być może miał tu coś do rzeczy fakt, że na wjeździe do Plumpton stał salon Rolls-Royce'a, a niecałych piętnaście mil dalej handlował dealer Bentley'a. Okolice nie należały do biednych.

Adler przystanął przy krawędzi placu. Rósł tam stary, samotny jesion o grubym pniu i okazałej koronie. Spod drzewa rozpościerał się rozległy widok na ciągnące się zdawałoby się w nieskończoność mokradła. Płaskie, brunatno-zielone pustkowie przypominało gigantyczny staw, którego ciemna, migocząca tafla zarastała gęstniejącym kożuchem. Nisko nad ziemią kotłowały się gęste kłęby mokrych, siwych oparów. Miejscami, z oparów tych wynurzały

się wyspy, porośnięte długą trawą, chaszczami lub łągowym zagajnikiem.

Wzdłuż granic grzędawiska przebiegał zmurszały parkan, oddzielający podmokłe łąki i moczary od cywilizacji. Sir George statecznym krokiem podszedł do parkanu i wsparłszy rękę o spróchniałą balustradę zapatrzył się w ten niezwykły, niepokojący pejzaż.

– Sam pan widzi – rzekł do Adlera. – Nie tak łatwo wypatrzeć Zamek. Trzeba uparcie się wpatrywać w te zakłęte, tańczące opary – i czekać. *On* jest kapryśny i nie ujawnia się przypadkowym gapiom. Jeżeli jednak będzie pan wytrwały, zostanie pan wynagrodzony: czasem odsłoni się posępna wieża z poczerńiałego kamienia, innym razem mignie obnażony skrawek ziemistej i spękanej fasady. Za godzinę zajdzie słońce – a wtedy już go pan nie zobaczy.

Adler skrzyżował ręce na piersi i utkwiał wzrok w jakimś odległym punkcie. Zdawało mu się, że widzi bryłę Zamku, lecz nie był tego pewien, gdyż mury zlewały się kolorytem z obłokami pary oraz plamami zieleni.

„Istna fatamorgana”, pomyślał sobie, przyglądając się magicznemu spektaklowi. „Te bagna wytworzyły własny mikroklimat”. Istotnie, od mokradeł napływało dużo chłodniejsze, wilgotne powietrze.

– Jak można się dostać w pobliże Zamku? – zapytał sir George’a.

– Wszystko to – tu Wyatt zakreślił dłonią łuk w powietrzu – to teren prywatny. Przez stulecia należał do rodziny Pelham-Torrington, obecnie trafił w ręce jakiegoś Rosjanina.

– W takim razie, jak dostaje się do Zamku jego właściciel? To wybitnie podmokły teren, a nie widzę drogi.

- Słuszna uwaga. Rosjanin przemieszcza się jakoś na dziko. Słyszałem, że służy mu do tego celu flota odpowiednich pojazdów... Od strony Plumpton jest chyba dogodniejszy wjazd. Formalny układ tej posiadłości, wraz z oficjalną aleją wjazdową, dawno już nie istnieje – rzekł z westchnieniem sir George. – Wojsko rozjeździło całą okolicę, a ostatni prawowity właściciel, Cecil Pelham-Torrington nawet nie mieszkał w samym Zamku. Podczas swoich nielicznych pobytów w miasteczku zatrzymywał się w tak zwanym Domku Myśliwego na obrzeżach posesji.

- Wspomniał pan o wojsku, sir?

- Tak, po drugiej wojnie światowej Zamek udostępniono brytyjskiej armii na magazyny i Bóg wie co jeszcze. Armia wyniosła się stamtąd dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Osobiście, zamierzam się zająć tym wycinkiem lokalnej historii. Uważam, że my, mieszkańcy miasteczka, powinniśmy mieć pełniejszą wiedzę na temat tego, co wówczas się odbywało w posiadłości będącej wszak ikoną Pelham.

- Czy słusznie wnioskuję, sir, że pan nigdy nie widział Zamku z bliska?

- Niestety, to prawda – przyznał z niejakim zakłopotaniem sir George.

- W takim razie pańska monografia o Pelham jest, jakby to powiedzieć, niekompletna? – uśmiechnął się kpiąco Adler.

- To daleko idący wniosek – zaperzył się dżentelmen. – Doskonale orientuję się w historii Zamku.

- Niech się pan nie martwi, sir. Postaram się zdobyć dla pana jakieś informacje odnośnie czasów bardziej nam współczesnych...

- Zamierza się pan wdrzeć na teren prywatny? – przeraził

się sir George. – Nie radzę panu, nowy właściciel nie cieszy się dobrą opinią.

– Czy pan go poznał, sir?

– W zasadzie to nie – przyznał Wyatt. – Nikt z nas, to znaczy z tutejszego towarzystwa, nie miał, hmm, stosownej okazji, aby się z nim zapoznać. Osobiście liczyłem na to, że nowy właściciel zapisze się w końcu do naszego klubu krykietowego, lecz – rzecz dziwna – tego nie uczynił.

– Nie zapisał się do klubu krykietowego? Co za pajac.

Sir George nie wyczuł ironii.

– Otóż to. Ralph twierdzi ponadto, że to niebezpieczny człowiek. Miał okazję się o tym przekonać. Wolałbym nie wnikać w szczegóły tej historii, niech mi pan jednak wierzy, że są wyjątkowo niesmaczne.

Adler zapewnił go, że nie potrzebuje znać szczegółów. W myślach zaś postanowił, że jeśli starczy mu czasu, złoży na Zamku nieproszoną wizytę.

Słońce powoli chowało się za dachami kamienic i wkrótce w miasteczku miał zapanować półmrok. Adler odprowadził sir George'a pod dom i oznajmił, że uda się teraz na Wzgórze.

– Ależ... – wybąkał zaskoczony sir George. – Przecież za pół godziny w lesie zapanują kompletne ciemności.

– Zabrałem parę przydatnych drobiazgów – uspokoił go Adler i klepnął znacząco w plecak. – Na przykład, lornetkę, która świetnie sprawdza się przy nocnym podchodzie zwierząt.

– Pan pewnie nie wie, jak trafić do ruin. Przecież dopiero co pan przyjechał!

– Miałem sporo czasu, żeby rzucić okiem na mapę.

Sir George wciąż nie wyglądał na przekonanego. Jego mina

mówiła: „To dzieje się zbyt szybko”.

– Zaraz zacznę się zastanawiać, dlaczego w ogóle pan mnie zaprosił, sir, skoro już pan zdążył zwątpić, a ja jeszcze nie zrobiłem kroku w stronę lasu...

– Nie, ja nie wątpię, nie, nie! – zaprzeczył gorąco sir George.

– Uważam, że spadł mi pan z nieba i...

– Nie, ja nie spadłem z nieba – odparł twardo Adler. – Przejechałem ponad czterysta mil, żeby teraz tutaj z panem rozmawiać. Przy okazji wykończyłem swój samochód, opuściłem zajęcia na uczelni i w Klubie. Tak że, pan wybaczy, ale ja naprawdę chciałbym zajrzeć do tego lasu.

Sir George stropił się.

– Ja... Ja również jestem ciekaw, co też uda się panu ustalić – przyznał. – Nie powinienem był pana zatrzymywać, po prostu, na samo wspomnienie tamtego zdarzenia w lesie, ja... przeląknęłam się.

– To zrozumiałe – odparł Adler, siląc się na empatię.

Sam nie czuł bynajmniej lęku, nawet na ekscytację było jeszcze za wcześnie. Trzeba najpierw zweryfikować, czy to, co opowiadał Wyatt mogło być prawdą.

Sir George pchnął furtkę wiodącą do chaty i odwrócił się, by odprowadzić rzewnym wzrokiem dzielnego młodzieńca.

Adler nie postąpił nawet dwóch kroków, kiedy naraz w zaułku rozbrzmiał warkot silnika i drogę zagroził mu niski, trzykołowy samochód. Pojazd przypominał zabytek sprzed drugiej wojny światowej i utrzymany był w perfekcyjnym stanie: kakaowe fotele ze skóry nie nosiły ani śladu skazy, karoseria pyszniła się wspaniałym lakierem o barwie butelkowej zieleni, chromowane lampy lśniły jak lustro.

Za kierownicą siedział dumny właściciel, odziany w skórzaną czapkę i gogle. Na widok sir George'a i Adlera, kierowca uśmiechnął się szeroko i wystawił wysoko do góry rękę. W dłoni trzymał butelkę koniaku.

– Ralph! – zakrzyknął wesoło sir George.

Był to istotnie sir Ralph, lecz w mniej sztywnej niż za dnia odślonie. Wieczory w stricte męskim towarzystwie zawsze działały na niego rozluźniająco.

Sir Ralph domagał się, by Adler dołączył do ich grona. Nie chciał słyszeć żadnych wymówek. Chciał za to czym prędzej wznieść toast za lorda Adlera. Christian uznał, że ostatecznie może wychylić kieliszek lub dwa. Pół godziny w towarzystwie lokalnych arystokratów nie powinno mu zrobić wielkiej krzywdy.

Jednak, jak to często bywa podczas tego typu spotkań, sprawy przybrały nieplanowany obrót i zakładane pół godziny przeciągnęło się do późnego wieczora. W międzyczasie spałaszowano obiad, wypito butelkę koniaku, wypalono trzy cygara, a sir Ralph zdążył zrobić chronologiczny przegląd wszystkich swoich psów myśliwskich, ubarwiając opowieść anegdotami, ilustrującymi wspaniałość każdego ze swych łowieckich kompanów.

Sir George słuchał cierpliwie tych historii, kiwając się sennie w fotelu, z kieliszkiem koniaku w dłoni i wyrazem błogości na twarzy. Adler wypytywał Pearsona o lokalne łowiska, ten zaś rozwodził się o miejscach niezwykłych i szalenie arystokratycznych, takich jak posiadłość księcia Richmond w sławnym Goodwood, gdzie uczestnikom elitarnych łowów punkt jedenasta podawano szampana i serwowano lunch w ogrodowym pałacyku z widokiem na morze i wyspę Wight.

Adler odwzajemniał się ostrożnie niektórymi z własnych wspomnień. Wybierał te wiarygodne, poprawne i nie noszące znamion kłusownictwa. Napomknął na przykład o polowaniu na wyspie Skye, gdzie z pomocą irlandzkiego setera ustrzelił pardwę szkocką, a następnie uwędził ją nad ogniem i pożarł. Też miał widok na morze, lecz morze to tworzyły purpurowe, ciągnące się w nieskończoność wrzosowiska.

Sir Ralph wzniosł toast za Szkocję.

Dochodziła jedenasta, kiedy Adler podniósł się niechętnie i cokolwiek chwiejnie, by wyruszyć w ciemny las.

Pearson zaprotestował gorąco, lecz nie miał sił, aby powstać z fotela przy kominku. Sir George drzemał z łagodnym półuśmiechem. U jego stóp spał pies Albert.

– Adler, dokąd idziesz? – zdumiał się sir Ralph, cały purpuro-wy na twarzy. Bezdyskusyjnie przodował w opróżnianiu karafki z koniakiem.

– Do lasu.

– Do lasu...? – wybełkotał sir Ralph i w otepieniu zamrugął powiekami. – Przecież jest noc, zimna i czarna.

Adler ziewnął szeroko w ramach odpowiedzi.

– Idź! – pobłogosławił mu niespodziewanie sir Ralph pijackim charkotem. – Idź, idź. Angielski las to cudowne miejsce do nocnej wędrówki. Cudowne miejsce...!

Po takiej rekomendacji nie było odwrotu. Adler narzucił na ramiona swój plecak i nasunął kaptur głęboko na oczy.

Na dworze było zimno i kompletnie czarno. Od pól ciągnęło przeszywającą wilgocią. Zaułka Sheep Lane nie oświetlała ani jedna latarnia.

Adler zamknął za sobą furtkę i rzucił ostatnie spojrzenie na

rząd żółtych okienek na parterze domu sir George'a. To światła w palarni, gdzie bawili teraz dwaj dżentelmeni. Przeniósł wzrok na piętro i stwierdził, że okna wszystkich sypialni były ciemne. Ciekawe, czy wnuczka Wyatta wróciła już do domu. Jeśli tak, musiała to zrobić bezszelestnie, lecz przecież było w niej coś eterycznego. Może to przez tą zwiewną sukienkę z tiulu?

Był trochę pijany, ale nie na tyle, by odechciało mu się wyprawy. Zimne powietrze szybko go orzeźwiło i na nowo rozbudziło się w nim poczucie misji. Było późno i ciemno, wszyscy mieszkańcy Pelham przykładowie siedzieli po domach i tylko on wybierał się do czarnego lasu, w którym straszy.

Wyciągnął małą latarkę i ruszył żwawo w kierunku ślepej uliczki zwanej St Ann's Close. Na końcu uliczki spodziewał się znaleźć ścieżkę, wiodącą na Wzgórze.

Miasteczko spało. Wszędzie wokół panowała idealna cisza. Idąc, słyszał swoje własne kroki: ciężkie tąpnięcia żołnierskich buciorów. Postanowił być bardziej subtelny.

Po dziesięciu minutach rażnego marszu dotarł na kraniec zaułka St Ann's Close i przystanął przy ostatnim domu: niskiej i pokracznej chatce z nieregularną linią dachową. Na tyłach chaty rozpoczynał się las, czarne pnie wspinały się po wzniesieniu ku zaczepionemu wysoko na niebie księżycowi.

Adler postanowił prześlizgnąć się na tyły chaty zarośniętym przesmykiem, prowadzącym wzdłuż zbutwiałego płotku. Wydawało mu się, że chata jest opustoszała. Może dlatego, że w oknach nie paliły się światła, a architekturą przypominała domek czarownicy. Poświecił latarką na tabliczkę z nazwą domu: Skrzydła Nietoperza. Profesor Fledermaus byłby zachwycony.

Ruszył przesmykiem, odgarniając na boki cierniste gałęzie. Starał się robić jak najmniej hałasu, na wypadek gdyby w tym domu żyła jednak jakaś wiedźma. Kątem oka dostrzegł ruch po drugiej stronie płotu: to nietoperze wirowały w ciemnym ogrodzie. Przedarł się na tyły domu. Kłujące krzewy przeredziły się, ustępując miejsca strzelistym bukom. Wyłączył latarkę – i wszedł do lasu.

Musiało upłynąć parę minut, zanim jego oczy przywykły do ciemności.

Podszyt lasu był rzadki i Adler mógł swobodnie się przemieszczać pomiędzy smukłymi pniami. Korony drzew były już lekko przeredzone – na ziemię opadły pierwsze suche liście. Przez podziurawiony, leśny baldachim sączyła się biaława poświata księżyca.

Adler przewiesił lornetkę przez szyję, a wyłączoną latarkę trzymał w pogotowiu. Póki co, nie znalazł żadnej ścieżki, lecz i bez tego wiedział mniej więcej, w którym kierunku musi wędrować: ruiny klasztoru znajdowały się wszak na szczycie wzgórza.

Stąpił ostrożnie, nasłuchując i rozglądając się wokół i tak ślepyimi oczami. Osobiście wolał obserwować zwierzynę o brzasku, kiedy nie trzeba było robić wielkich oczu, aby chłonąć niemal nieobecne światło. Gdy przystawał i wstrzymywał oddech, do jego uszu docierały subtelne odgłosy nocy: szelest liści gniecionych przez jeże, tupot łapek borsuków, pohukiwanie puszczyka.

Raz nad jego głową przeleciała sowa i usiadła na pobliskiej gałęzi. Nie mógł się oprzeć pokusie i poświecił w jej stronę latarką. W snopie światła oczy puszczyka zaświeciły na czerwono – jak u ptaszyska z horroru. Mimo woli wzdrygnął

się i ruszył nieco zwawiej pod górę.

Parę razy usłyszał dobiegające z oddali krzyki lisów. Tak mu się przynajmniej z początku zdawało. Po namyśle zwolnił, a wreszcie przystanął i jął wsłuchiwać się w dalekie, zniekształcone odgłosy. Przebijały się pomiędzy drzewami skądś z góry, być może z samego szczytu. Co to było? Krzyk lisa? A może ludzki śmiech...?

Dźwięki coraz bardziej oddalały się i wyciszały, mimo że on ruszył teraz w kierunku ich źródła. Wzgórze świętej Anny nie było wysokie, więc przypuszczał, że niebawem dojdzie do grzbietu. Co jakiś czas unosił latarkę i świecił po oczach jakiejś zaskoczonej sarny.

Naraz posłyszał głośny szelest gdzieś blisko. Serce zabiło mu szybciej. Rzucił przed siebie snop światła i ujrzał żółte, roziskrzane oczy. Wypuścił powietrze. To był tylko lis.

W lesie było nieznośnie cicho, każdy szelest potęgował się i brzmiał jak grzmot. Po trzech kwadransach wędrówki, stwierdził, że dotarł na szczyt. Wzgórze nie posiadało spiczastego wierzchołka, lecz rozległy, lekko falujący grzbiet. Pojawiły się tutaj inne gatunki drzew: skupiska starych dębów, pojedyncze cisy i jesiony. Wszystkie drzewa były bardzo stare, miały potężne pnie i rozłożyste korony.

Adler zatrzymał się i wytężył wzrok.

Drzewa po prawej stronie wyraźnie się przeredzały i zdawało mu się, że dostrzegł stare mury klasztoru, niebieskawe w nocnej poświacie. Poświecił tam latarką i teraz miał już pewność: do ruin było jakieś dwadzieścia kroków od miejsca, w którym stał.

Już miał tam wyruszyć, kiedy naraz kątem oka dostrzegł pulsujące światło po przeciwległej stronie grzbietu. Ściślej

mówiąc, były to dwa świetliste punkciki, zawieszony gdzieś w czerni, jeden trochę wyżej, drugi nieco niżej. Odruchowo skierował w ich stronę światło latarki. W odpowiedzi, jedno migoczące oczko zgasło niemal natychmiast. Drugie zniknęło dopiero po chwili uporczywego wpatrywania się w chłopaka.

Adler zgasił swoją latarkę i przez chwilę uważnie nasłuchiwał. Nie usłyszał nic, żadnych charakterystycznych dźwięków, które mogłyby cokolwiek wyjaśnić. Zawahał się, po czym ruszył w kierunku, z którego błyskały światła.

Szedł za głośno, tak mu się przynajmniej zdawało. Każdy patyk pod jego butami łamał się z nieznośnym trzaskiem. Odgarniane liście szeleściły irytująco. Na pewno pół lasu słyszało, że nadchodził.

Wreszcie wyszedł na leśną polanę. Czy to możliwe, by to stąd dobiegały te pulsujące światła? Na polanie panowała absolutna cisza. Nie docierał tu blask księżyca, gdyż tamowały go rozłożyste korony drzew. Było ciemno, niemal czarno. Jego oczy wciąż nie potrafiły wyłowić żadnych kształtów.

Ruszył przez trawę i już po paru krokach nadepnął na coś miękkiego.

Cofnął buta i spojrzał pod nogi. Nie zobaczył nic, więc przykucnął. Wystawił ostrożnie dwa palce i namacał jakieś wilgotne futerko. Krótka sierść. Lepka. Dziwnie lepka... Przełknął ślinę i włączył latarkę.

Skrzywił się, ale zachował spokój – jego kłusownicza kariera była na tyle bogata, że dawno już przywykł do podobnych, makabrycznych obrazków.

Z trawy patrzyła na niego zakrwawiona głowa wielkiej wiewiórki, z groteskowo rozwartym pyskiem i zezłoszczonym spojrzeniem martwych, czarnych oczu. Reszta tułowia

spoczywała tuż obok, odwrócona na plecy, z nieprzyzwoicie rozrzuconymi na boki łapkami.

Trudno powiedzieć, jaka przygoda spotkała martwą wiewiórkę, lecz wyglądało to tak, jakby jej głowę odcięto od tułowia niezdarnie, tępyimi nożyczkami. Coś jeszcze było w niej takiego, co nie dawało spokoju Adlerowi. W tym momencie jednak nie miał ochoty tego roztrząsać.

Poświecił wokół latarką, jakby miał nadzieję wypatrzyć kata wiewiórki.

Z jego ust wyrwał się okrzyk niedowierzania: cała polana zasłana była zwłokami. Na trawie leżały długie, nabrzmiące ciała wiewiórek z puszystymi ogonami – wszystkie, co do jednej, były pozbawione głów.

Adlerowi mimowolnie stanęła przed oczami scena z hinduskich festiwali religijnych, gdzie bykom podrzynano gardła zakrzywionymi szablami, a potem setki zwłok zalegały na olbrzymich placach; krew zwierząt mieszała się z wszechobecnym kurzem.

Zaczął liczyć zwłoki, nie wiedząc zupełnie, dlaczego to robi. Przy dwudziestu dał sobie spokój. Było ich zatem dwadzieścia i trochę.

Poświecił po krawędzi polany: okalały ją potężne, trujące cisy o rozwidlonych i spękanych pniach. Pnie były puste w środku, niczym skorupa, i tak przestronne, że mogłyby tam mieszkać jakieś baśniowe postaci. W innych okolicznościach, prastare drzewa wyglądałyby magicznie. Teraz przypominały tylko bezdusznych widzów dziwnego, krwawego spektaklu.

Adler przystanął obok pnia i położył dłoń na szorstkiej korze.

Wydało mu się, że słyszy czyjś oddech. Głębokie, tłumione

wdechy i wydechy. Ale to niemożliwe, by drzewo mogło oddychać. Może i był fantastą, jak twierdził Vincent, ale nie wariatem.

Oderwał się od pnia i wrócił szybko na trawę, nie patrząc nawet, czy nie depcze po zwłokach. Przystanął i mocno potarł twarz. Coś nie dawało mu spokoju.

„Coś jest nie tak z tymi zwierzętami”, pomyślał, rozgorączkowany, rozglądając się po sterczących wokół pyskach i zgasłych ślepiach.

No tak, fakt, że ktoś zebrał tu trzydzieści wiewiórek i z niewiadomych przyczyn pozbawił je głowy był sam w sobie niepokojący. Ale jego dręczyło coś jeszcze. Dręczyła go ta wiewiórka.

Przykucnął raz jeszcze i przyjrzał się martwej, rozzłoszczonej główce. Co my tu mamy? Wąski, nadmiernie wydłużony pysk; podejrzenie duże kły i zbyt małe siekacze; nietypowe ubarwienie sierści, zwłaszcza te czarne plamy wokół oczu. Za krótkie uszy, zbyt okrągłe, no i bez tych charakterystycznych pędzelków. Ale przede wszystkim ten pysk... Ten dziwny, drapieżny pysk tu nie pasował.

Zamyślił się i powoli pokręcił głową. To nie była wiewiórka.

To żadnym sposobem nie mogła być normalna wiewiórka.

To było jakieś inne zwierzę, którego on nie potrafił nazwać.

FESTIWAL DYNI

Doprawdy żałuję, że to musiało stać się w tej właśnie stodole.

POSTANOWIŁ zachować nocne odkrycie dla siebie.

Krwawy pogrom niezidentyfikowanych gryzoni na pewno nie nadawał się na dobry temat do dyskusji z George'em Wyattem i jego dystyngowanymi kumplami. Zwłoki zwierząt były świeże, by nie powiedzieć ciepłe i zdaniem Adlera ich katem musiał być człowiek, bo żaden dziki drapieżnik nie bawiłby się w podobne rytuały. A kto i po co ukręcałby główki niby-wiewiórkom? Jakiś szaleniec pewnie, o sadystycznym umyśle i chorych upodobaniach.

Adler ani myślał wnikać w portret sprawcy, pomny, że i jego niedawno nazwano wszak „mordercą zwierząt”. Psychologia go nie interesowała, zamierzał za to przyjrzeć się zagadce zoologicznej, jaką prezentowała ta sprawa.

Wyciągnął telefon i zrobił kilkanaście zdjęć truchła, ze szczególnym uwzględnieniem wydłużonego pyska i kłów. Ledwo się powstrzymał, by od razu nie wysłać tych zdjęć znajomym zoologom. Rory na pewno by tak zrobił. Kiedyś nudził się na farmie swego ojca i rozsyłał masowo rozmaite ujęcia kopulujących owiec.

Adler zdjął bluzę i owinał w nią swą martwą modelkę. Będzie musiał dokładniej ją zbadać. Jeśli nie uda mu się szybko zidentyfikować tego gatunku, poprosi o pomoc znanych mu ekspertów od anatomii i taksonomii: profesora Reida albo doktora Sebastiana Lahma.

Przez chwilę wahał się, czy aby nie powinien uprzątnąć reszty pobojuwiska. Już za parę godzin w lesie pojawią się zapewne pierwsi psiarze ze swoimi pupilami i wtedy tajemnicza afera wyjdzie na jaw. Z drugiej strony, kimże on

był, aby ukrywać przed mieszkańcami miasteczka ich własne sekrety? I cóż niby miałyby począć z paroma tuzinami zdechłych ciał?

Postanowił nie ingerować. Niech sprawy toczą się własnym biegiem. Zniknięcia jednej wiewiórki i tak nikt nie zauważy. Zresztą, powiedzmy, że tylko ją sobie pożyczał do celów naukowych.

Naraz tchnęła go myśl, że sprawca tej rzezi może wciąż kryć się w pobliżu. Przecież sam nie dalej jak pół godziny temu widział w tych okolicach światła. Nie był pewien, czy pochodziły z czyjejs latarki, lecz mimo wszystko uderzyła go własna lekkomyślność. Następnym razem nie ruszy się bez swojego austriackiego drylingu [\[53\]](#).

Po raz ostatni przyjrzał się polanie, po czym odwrócił się i powędrował w stronę ruin klasztoru. Było mu zimno, na rękach miał gęsią skórkę. Co za wstyd, żeby Szkot tak marzył na południu Anglii! Jesień i nocna pora nie miały tu żadnego znaczenia. Na północy takie temperatury bywały i latem, a człowiek chodził w T-shircie.

Dawny dom mnichów przypominał niedokończoną budowlę z klocków lego. Pozostały zeń głównie kamienne fundamenty oraz fragmenty ścian z łukowatymi oknami. Zabudowania konwentu były rozległe, choć nie tak wspaniałe, jak znane Adlerowi ruiny opactwa w nadmorskim Whitby, w Yorkshire.

Gdyby był poetą, pewnie zachwyciłby się romantycznym i niepokojącym pięknem ruin skąpanych w mlecznej poświacie księżycy. Ale że był myśliwym, po prostu przysiadł na murku, wyciągnął nóż i zabrał się do patroszenia zwierzęcia. Mięso go nie interesowało, potrzebował natomiast szkieletu i skóry. Zaniesie tuszę do ogrodu sir George'a, wystudzi ją przez noc,

a następnie odpreparuje skórę. Potem prawdopodobnie będzie musiał wysłać pozyskane trofea do Edynburga, w trybie ekspresowym. Z tym niestety trzeba będzie poczekać do poniedziałku, a w międzyczasie sam spróbuje zidentyfikować zwierzę.

Kiedy wracał przez las, nie był już tak uważny jak w drodze na Wzgórze. Zbiegał slalomem pomiędzy drzewami, przyświecając sobie latarką.

Przeskoczył przez płotek posesji sir George'a i udał się do ogrodu na tyłach domu. Zawiesił swoją tuskę na gałęzce drzewa rosnącego w najbardziej zarośniętym kącie ogrodu. Miał nadzieję, że ogrodnik, o którym wspominał Wyatt, nie pojawi się przez weekend.

Uporawszy się ze zwłokami (te zawsze komplikują sytuację), odetchnął głęboko i wrócił przed front domu. Cichutko nacisnął klamkę drzwi wejściowych – sir George w swej zapobiegliwości zostawił je otwarte – i już chciał skradać się po schodach do swojej sypialni, gdy zauważył, że w salonie pali się światło.

Zawahał się, po czym podszedł do drzwi i stanął w progu pokoju.

Salon był przyjemnym pomieszczeniem, obitym ciepłą, żółtą tkaniną w pionowe pasy. Pokój nie miał jako takiego centrum – na wzorzystym dywanie rozstawiono w sposób raczej chaotyczny rozmaite sofy, fotele, pufy i inne wygodne siedziska. Wnętrze oświetlały przyozdobione sznurami kryształów lampy ścienne i liczne lampy stojące z kolorowymi abażurami z jedwabiu. Na jednym z miękkich krzeseł, tym najbliżej kominka, siedział gospodarz domu. U jego stóp piętrzyła się sterta podniszczonych, zapewne wiekowych

ksiąg, zaś na kolanach trzymał malutki, przenośny komputer.

Minęło parę chwil, nim zaabsorbowany pracą sir George uniósł znad ekranu nieprzytomne oczy i zauważył Christiana.

– Panie Adler! – zawołał z ulgą i natychmiast odłożył na bok komputer. Wstał i podszedł do chłopaka, aby mu się uważnie przyjrzeć. – Jak dobrze, że już pan jest, cały i zdrowy...!

Adler mimowolnie się roześmiał.

– Widzę, że zakładał pan najgorsze scenariusze, sir.

– Och, wie pan, ja po prostu czuję, że tutaj dzieje się coś niedobrego... Wolałem poczekać, aż pan powróci z wieściami. Musiałem się czymś zająć – wskazał na stertę książek. – Zwykle nie pracuję w salonie, tylko w gabinecie... Ale, ale, niech mi pan opowie o swojej wyprawie! Może chce pan herbaty? Pan okropnie przemarzł! Czy nie zabrał pan płaszcza...? Noce są teraz przeraźliwie zimne.

Adler wypuścił głośno powietrze i usiadł na sofie. Staruszek niepotrzebnie wprowadzał atmosferę zamętu.

– Mam tylko bluzę – rzekł spokojnie. – Ale jest brudna – dodał.

„I cała we krwi. W końcu były w nią zawinięte świeże zwłoki...”

– Tym zajmie się pani Chapman, poproszę ją jutro o pranie – zapewnił gorąco sir George, pragnąc być jak najbardziej pomocnym.

– Nie trzeba! – zaprotestował szybko Adler. – Ja sam sobie poradzę! – Nie mógł dopuścić do tego, by jakaś lokalna plotkarka grzebała w jego rzeczach i robiła przepierki zakrwawionej odzieży. – Czy pańska wnuczka jest już w domu? – zapytał, aby zmienić temat.

- Majella? - zapytał z roztargnieniem Wyatt, jakby po świecie chodziły jeszcze jakieś inne jego wnuczki. - Pisała mi, że dziś nocuje u Nicka. To znaczy, u jego córki. Pisała mi też, że się rozmyśliły i nie poszły do lasu.

- Ach tak?

- I całe szczęście. Boże, jakbym się znów martwił, pan sobie nie wyobraża...! Muszę jej kategorycznie zabronić tych wycieczek. Obawiam się jedynie tej Ailith, ta dziewczyna ma na Majellę ogromny wpływ. Jest niebezpieczna, szalenie niebezpieczna. - Wyatt zdjął okulary i potarł palcami zmęczone oczy. - Proszę mi powiedzieć, jak przebiegła pańska nocna wyprawa? Czy dotarł pan do ruin klasztoru? Wszędzie musiało być okropnie ciemno!

- Można powiedzieć, że poczyniłem pierwsze odkrycia, sir - powiedział ostrożnie Adler.

- Doprawdy? - zainteresował się Wyatt. - Czy mogę poznać szczegóły?

- Wolałbym na razie ograniczyć się do stwierdzenia, że w lasach Pelham może występować osobliwa fauna. Chciałbym to jednak potwierdzić i w tym celu muszę zrobić jeszcze kilka wycieczek po okolicy, o różnych porach dnia i nocy.

- Czy ta... fauna, jak pan to ujął... czy ona jest groźna?

Adler pomyślał o tajemniczym sprawcy masakry na polanie.

- Możliwe - odparł. - W każdym razie, póki co zalecałbym zarówno panu, jak i pańskiej wnuczce, żebyście zadowolili się spacerami po High Street. W lesie istotnie może dziać się coś złego... Sir George zmienił się na twarzy.

- Tak pan sądzi? - wychrypiął, po czym lękliwie rozejrzał się na boki, jakby spodziewał się, że zza oparcia wytwornych

foteli wyskoczy nagle całe zło tego świata.

– Ja też, podobnie jak pan, sir, miałem na Wzgórzu świętej Anny pewną zagadkową przygodę. Chciałbym, w miarę możliwości, rozwikłać obydwie zagadki, pańską i moją.

– Czy myśli pan – wyszeptał sir George – że zło ogranicza się do Wzgórza świętej Anny?

– Nie sądzę – odparł z powagą Adler. – Zło nigdy się nie ogranicza.

Tej nocy nie dyskutowali dłużej, gdyż obaj byli już potwornie zmęczeni. Gdy poznikali w swoich sypialniach, w całym domu słychać było jedynie kojące tykanie starych zegarów.

Nad ranem, Adlera obudził świst wiatru za oknem. Cienkie szybki dygotały w ołowianych oprawach i ociekały deszczem. W pokoju panował okrutny ziąb.

Chłopak ziewnął szeroko i niechętnie uniósł głowę z poduszki. Przydługie, zmierzwione włosy sterczały mu na wszystkie strony jak ciemne pióra na głowie harpii *Harpia harpyja*.

Zerknął z ukosa na mokre szyby. A niech to! Trzeba ratować cenny materiał zoologiczny!

Poderwał się z łóżka, a że spał w stroju, w którym przechodził cały ubiegły dzień, bez zastanowienia rzucił się do drzwi i popędził do ogrodu. Na dworze powitał go jesienny standard: deszcz, wiatr, zachmurzenie i błoto. Trawnik w ogrodzie zamienił się w chlupiące grzęzawisko. Zwłoki pseudowiewiórki wisiały na gałązce niewysokiego klonu japońskiego, wspaniale zamaskowane pośród purpurowych liści drzewa. Adler odczepił je i po chwili rozpaczliwego namysłu stwierdził, że jedynym miejscem, w którym aktualnie

może ukryć swój szemrany skarb, jest użyczona mu sypialnia. Prześlizgnął się więc z powrotem do pokoju, modląc się po drodze, by nie spotkać żadnego z domowników. Udało się, ale trzeba będzie poprosić sir George'a o klucz do sypialni. Kto wie, ile takich zakrwawionych truchel nagromadzi się przez kolejne dni...

Na piętrze odkrył przestronną łazienkę, wyłożoną czarnymi kafelkami. Po kąpieli, wrzucił pod kran poplamioną krwią bluzę. Rezultat prania, choć satysfakcjonujący, nie był doskonały. Taka pani Chapman, bez dwóch zdań, lepiej poradziłaby sobie z tym zadaniem.

Zostawił bluzę, by wyschła w łazience; przed wyjściem po raz ostatni rzucił okiem, czy nie ma na niej aby jakichś zdradzieckich plam. Sam zaś ubrał wodoodporną kurtkę i także spodnie, spakował plecak i ponownie wyruszył na Wzgórze świętej Anny. Był strasznie ciekaw, czy mieszkańcy Pelham wiedzieli już o nocnej masakrze. Gdyby choć jedna osoba wdepnęła w świeże cmentarzysko na polanie, wieść błyskawicznie dotarłaby na High Street.

W lesie deszcz był mniej uciążliwy, choć ścieżki zdążyły już porządnie podmoknąć. Adler starał się odtworzyć swoją nocną trasę, co nie było takie trudne, gdyż doskonałym punktem orientacyjnym były ruiny klasztoru.

Wyszedł na polanę i w pierwszej chwili pomyślał, że się pomylił. To nie mogło być to samo miejsce: owalny trawnik świecił niewinną zielenią, po martwych zwierzętach nie było ani śladu.

Lecz z drugiej strony... to musiało być tutaj! Polanę okalały te same stare cisy o tęgich, rozwidlonych pniach. Nie było mowy o pomyłce.

Wszedł w bujną, moką od deszczu trawę i rozejrzył się wokół z niedowierzaniem. Ani śladu... Przesuwał się krok za krokiem, zerkając podejrzliwie na wybrane kępy. Czysto. Ciała zniknęły, głowy także. Deszcz zmył krew – pewnie zmieszała się z czarną ziemią.

Dotarł pod drzewo i oparł się łokciem o pokarbowany i pokryty bruzdami pień. Potarł dłonią twarz, usiłując zmyć z niej wyraz rozczarowania i zdumienia. Może to i lepiej, że ktoś usunął te zwłoki? Tylko kto to był? I kiedy to zrobił?

Naraz jego uwagę przykuły brunatne smugi na pniu. Pień był pusty w środku, smugi widniały na krawędzi głębokiej wnęki. Zmarszczył brwi i przyjrzał się uważnie ciemnym plamom.

Czyżby to była krew...?

Skrzywił się i odsunął nieco od pnia.

A potem przygryzł wargę i znów zlustrował z bliska korę. Tak, to mogła być krew. To najprawdopodobniej była krew. Może w środku pnia jest więcej takich smug...? Nie miał jednak ochoty zaglądać do zbrukanej krwią dziupli. Wystarczyła mu myśl, że być może w tym starym pniu krył się zabójca. Może przez cały czas zabójca chował się tu w nocy i obserwował poczynania Adlera? A kiedy chłopak poszedł, obłąkany kat przezornie po sobie posprzątał.

Adler wzdrygnął się i ruszył na środek polany. Stąd miał najlepszy widok na wszystkie wydrążone pnie. Przez chwilę czuł się, jakby osaczały go wrogie siły, stare, trzeszczące drzewa, w których drzemie zło i czarna magia... Nonsens.

Ale nie ma co tu tak sterczeć i czekać, aż coś wyskoczy z ciemnej dziupli.

Zdecydował się wrócić inną drogą. Wybrał trasę, która

powinna go wyprowadzić mniej więcej w połowie High Street. Deszcz przestał padać, z koron drzew ciurkały tylko strumyki nagromadzonej w listowiu wody. Zaczęło się przejaśniać i w lesie zrobiło się nieco przyjemniej. Adler lubił lasy, szczególnie gęste starodrzewy, takie jak ten na Wzgórzu świętej Anny. Niestety, w jego ojczystej Szkocji, smaganej wichrami i szturmowanej przez morskie burze, nie zachowało się wiele borów. Tam każda kępa drzew była na wagę złota.

Po czterdziestu minutach wędrówki, ścieżka wyprowadziła go na skraj lasu. Przed nim rozpościerały się opadające ku północnemu zachodowi pola, a dalej – grzęzawiska. Nad mokradłami snuła się niska mgła, ale z wzniesienia, na którym stał teraz Adler, widać było zarys odległego Zamku.

Wyciągnął lornetkę i przyjrzał się murom zamczyska. Na tle granatowego nieba rysowały się sześciokątne wieże i zębate blanki z bladego kamienia. Całość była porządnie nadgryziona przez czas. Front zamku zachował się najlepiej, choć, zdaje się, zatracił pierwotną symetrię. Na tyłach ciągnęły się pomieszczenia gospodarcze, dobudowane zapewne całkiem niedawno. Bryła zamku była stylizowana na średniowieczną fortecę, a pochodziła, z tego co mówił sir George Wyatt, z początków szesnastego wieku. W późniejszych latach pewnie wielokrotnie ją modyfikowano.

Adler nie dostrzegł żadnego ruchu wokół Zamku, żadnych figurek ludzkich czy samochodów. Przeniósł wzrok na niebo i przez chwilę przyglądał się kołującym nad polem myszołowom. Potem ruszył w dół ścieżką wzdłuż skraju lasu. Ścieżka prowadziła ku domostwom położonym po wschodniej stronie głównej ulicy Pelham. W głębokim rowie na tyłach domów płynął wartki, brązowy strumień.

Schodząc do miasteczka, Adler zauważył, że na High Street znów uformował się korek. Tym razem auta, jak kolorowe paciorki, sunęły od strony niewielkiego kościółka na północy Pelham. Pewnie skończyła się msza i wszyscy ochotnicy, a także ci, co nie chcieli podpaść pastorowi, wycofywali się z jego terytorium, gratulując sobie pobożności tudzież przeklinając swą uległość. Co ciekawe, sznur aut zdawał się wędrować w tym samym kierunku, do tego samego punktu – małe samochodziki wtaczały się jeden za drugim na posesję położoną przy jednym z zachodnich zaułków. Musiała ich tam wabić jakaś wiejska impreza.

Adler dotarł do rowu na tyłach domów. Rosły tu dzikie, wybujałe krzaki; na ich gałązkach siedziały stadka puszystych raniuszków, zza ciemnych listków wyskakiwały radosne rudziki i szare muchówki. Skądś z oddali dobiegało charakterystyczne krakanie. Adler przeskoczył strumień i przyuważył gromadę kruków, wydziobujących coś z rowu. Ptaki robiły sporo hałasu, co rusz nadlatywały kolejne, by przyłączyć się do wielkiej uczty.

Po chwili wszędzie wokół łopotały czarne skrzydła. Zaintrygowany, chłopak ruszył w ich stronę.

Wyglądało na to, że ktoś wyrzucił do rowu wielki worek z czymś, co kruki uznały za świetną wyżerkę. Adler wiedział co prawda, że nie są to ptaki wybredne, lecz znalezisko w rowie wyraźnie wywołało wśród nich wielkie poruszenie. Spróbował przedostać się bliżej, by rzucić okiem na zawartość rozszarpanego worka. Czarny worek. Zarośnięty rów w miejscu, w którym nikt nie chodzi...

Obstawiał dwie opcje. Pierwsza: śmieci. Popularny przysmak kruków. Druga: zwłoki. Żaden kruk nie wzgardzi

padliną.

Okazało się, że obstawiał słusznie, a poprawna była opcja numer dwa. Kruki plądrowały worek z padliną. Żeby było ciekawiej, była to padlina doskonale mu znajoma. Powoli zaczynał żałować, że nigdy nie poznał tych zwierząt za życia...

To były te martwe wiewiórki, które widział na polanie minionej nocy. Przyjrzał się im jeszcze dokładniej przez lornetkę, aby to potwierdzić, lecz wystarczyła mu krótka obserwacja, by pozbyć się wszelkich wątpliwości. A zatem, szalony kat posprzątał swoje dzieło i spuścił je do rowu w nadziei, że popłynie dalej mętnym, brązowym ciekiem lub wykończy je padlinożerne ptactwo.

Opuścił lornetkę i przez chwilę stał bez ruchu w ponurej zadumie, kontemplując zaobserwowane zjawisko. Co do kruków, bynajmniej nie przerywały sobie ucztę.

Gdzieś w jego plecaku zadzwieczał telefon. Adler wyciągnął go i popatrzył na wyświetlacz: „George Wyatt”. Odebrał.

– Panie Adler? Dzień dobry, tu George Wyatt.

– Dzień dobry, sir.

– Mam nadzieję, że pana nie obudziłem. Ja sam musiałem się dziś zerwać o dziewiątej, żeby wielebny mnie nie zrugął. Ale nieważne.

– Nie śpię już od kilku godzin – uspokoił go Adler.

– Oo, doprawdy? Żeby moja Majella miała tyle energii, co pan! Ale ona, ostatnimi czasy, wstaje dopiero na podwieczorek, pan sobie wyobrazi. Dobrze, że w tygodniu ma szkołę, bo chyba kompletnie przestawiłaby się na nocny tryb życia. A to już nieprzyzwoite.

– Mhm – mruknął niezobowiązująco Adler.

- Ale nie o tym chciałem - zreflektował się sir George. - Czy jest pan teraz bardzo zajęty?

- Niespecjalnie. („Stoję nad śmierdzącym rowem i patrzę, jak kruki rozszarpują truchło...”).

- Może chciałby pan zajrzeć tu do nas, do Pumpkin Cottage? Właściwie miał tu dziś być Festiwal Dyni, lecz w nocy zdarzył się pewien przykry incydent.

- Co się stało?

- Proszę przyjść, zobaczy pan na miejscu. Jesteśmy w Pumpkin Cottage, to dom państwa Finneran przy Angel Close. Uliczka zaczyna się przy sklepie rzeźnika na High Street.

- W porządku. Zaraz tam będę.

Bez trudu odnalazł Pumpkin Cottage. Nad główną ulicą miasteczka powiewał wesoły, choć nieco wymęczony przez wiatr baner reklamujący coroczny Festiwal Dyni w Pumpkin Cottage w Pelham. Adler nie był wcale zdziwiony, gdy okazało się, że Pumpkin Cottage to właśnie ten dom, pod którym gromadziły się samochody, sunące od strony kościoła. Przebił się przez chaotyczne skupisko kolorowych karoserii i zanurzył w głośnym tłumku, który zalał frontowy ogród.

- Proszę państwa, proszę o spokój! Przestańcie się przekrzykiwać i rzucać oskarżenia! W ten sposób do niczego nie dojdziemy - apelowała jakaś kobieta stojąca na progu domu. Była to najpewniej pani Finneran, właścicielka posesji. Jej sylwetka górowała nad depczącą ogród gawiedzią. - Pozwólcie państwo, że ja i mój mąż zajmujemy się tą sprawą. Dla was zachowało się jeszcze trochę dyń, znajdziecie je w namiocie na tyłach domu. Tradycyjne odmiany. Standardowe ceny.

– Ależ, droga Sue, nie zostawimy was samych z taką aferą!
– obruszyła się jakaś staruszka w filcowym kapelusiku. Staruszka była mocno umalowana i przypominała emerytowaną aktorkę z londyńskich teatrów. Z jej wiotkich i cienkich jak bibułka uszu zwisały ciężkie, brylantowe kolczyki. – To przecież sprawa kryminalna!

Zgromadzeni natychmiast jej przyklasnęli. Tak jest, święta racja: to sprawa kryminalna! Tylko jedna czy dwie osoby wyłamały się z tłumu, szemrając, że ostatecznie przecież nikogo nie zamordowano.

Naraz, ponad wystrojone w kapelusze głowy wystrzeliła czyjaś pięść.

– To sabotaż tych z Plumpton! – zagrzmiął chrypliwy głos. – Tych od Dnia Jabłka! To ich sprawka!

Tłumek znowu zamruczał z uznaniem.

– Racja, Keith! To sabotaż tych drani, nie może być inaczej! Natychmiast ruszyła lawina oskarżeń.

– A ja myślę, że to Bazin, ten z Zamku! Chce zniszczyć naszą społeczność!

– Zgadza się, to niebezpieczny outsider! Ruski mafioso!

– Mi to wygląda na robotę Roba Farringtona. W zeszłym miesiącu włamał mi się do stodoły i żebyście widzieli, jaką tam zrobił rozpierduchę!

– To nie był on, tylko jego świniaki...

– Na jedno wychodzi! Farrington to bandyta!

– Ee, to porządny gość – widziałam go dziś w kościele.

– Całe życie wykupuje się datkami na kler! Wielebny co niedzielę zaprasza go na herbatę.

– Bo to „Herbata dla farmerów” – ty też jesteś zaproszony.

- Nie będę pił herbaty z bandziorami, tfu!

- A ja wam mówię, że to terroryści z Plumpton! Zawsze im nie pasowało, że jesteśmy od nich lepsi.

- To fakt. Nigdy nie mogli się pogodzić z tym, że ten ich Dzień Jabłka to niewypał.

- No bo czymże jest jabłko wobec dyni...

Adler słuchał powyższej dysputy z uniesionymi brwiami i zastanawiał się, o co tym ludziom chodzi. Raptem za jego plecami odezwał się znajomy głos.

- Panie Adler, tu pan jest! Wszędzie pana szukam. - Sir George odetchnął z ulgą i przygładził poły swej wełnianej marynarki w pepitkę. Wyglądał na zmęczonego panującym wokół harmiderem. Na jego czole świeciły kropelki potu.

- Wszystko w porządku? - upewnił się Adler, patrząc na niego badawczo. - Co to za zlot? Kim są ci ludzie?

- W porządku, wszystko w porządku - wymamrotał sir George. Skulił się, rozejrzał wokół jak złodziej, po czym wyjął barwną chusteczkę z kieszonki marynarki i dyskretnie przejechał nią po twarzy. - Jak ja nie lubię takich zgromadzeń! - skrzywił się. Strzepnął poszetkę i schował ją z powrotem do kieszonki. - Ale pani Finneran jest moją przyjaciółką i chciałbym jakoś jej pomóc.

- Wspominał pan o jakimś nocnym incydencie? Co się wydarzyło?

- Pokażę panu, proszę tędy - sir George poprowadził Adlera wokół skandującego tłumku w kierunku tyłów domostwa.

Znajdował się tam spory plac, na którym rozstawiono drewniane ławy i stoły. Na stołach piętrzyły się puste skrzynki z plastiku i wyplatane kosze. W rogu placu, pośrodku wielkiej kałuży stał brudny, biały namiot. Sir George odchylił płachtę

wejściową i wszedł do środka.

– Proszę tutaj! – zawołał do Adlera.

Chłopak ciekawie zajrzał do namiotu. Wewnątrz było pełno dyni. Nigdy nie widział takiego nagromadzenia odmian i kolorów. Były tu „klasyczne”, pomarańczowe dynie: od malutkich jak mandarynki po giganta ważącego ponad tysiąc funtów. Były także dziwaczne, ozdobne wariacje: dwukolorowe „tureckie turbany”, zielone patisony w kształcie latającego dysku UFO, niebieskie *Queensland Blue*, różowe *Porcelain Doll*, pasiaste *Sweet Dumpling* i wiele innych cudów.

– To wszystkie, które przetrwały – powiedział smutno sir George i po krótkim wahaniu zgarnął wyjątkowo dorodną japońską dynię *kabocha*. Była ciężka, musiał ją trzymać oburącz.

– „Przetrwały”? Co takiego?

– Masakrę. Prawdziwą rzeź dyń – odparł dżentelmen ponuro. – Gdzie miała miejsce ta masakra? – zapytał ostrożnie Adler.

– W stodole. Tam, na zewnątrz. – Sir George westchnął teatralnie i po wykonaniu stosownych akrobacji udało mu się jeszcze wepchać do kieszeni miniaturowy „turecki turban”. – Dynie czekały tam na swój wielki dzień – na dzisiejszy Festiwal Dyni. Ale w nocy ktoś włamał się do stodoły i zaszlachtował większość zbiorów. Wszyscy są w szoku. Ten festiwal to chluba miasteczka.

Tymczasem za tydzień w Plumpton – to sąsiednia wieś, trochę dalej na północ – odbędzie się Dzień Jabłka.

– Konkurencyjna impreza?

- W rzeczy samej. Choć muszę panu powiedzieć, że Dzień Jabłka to wymysł nowy i nie może się równać prestiżem z Festiwalem Dyni. Nie ma tak długiej tradycji i nie budzi tylu emocji. Stąd niektórzy wierzą, że całe zajście jest dziełem sabotażystów z Plumpton.

- Czy pana zdaniem to wiarygodna hipoteza, sir?

Sir George wsparł wielką dynię na biodrze i zamyślił się.

- Sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - przyznał w końcu bezradnie.

Wyszli z namiotu. Granatowe chmury nie wytrzymały i uрониły mżawkę. Na piaszczystym placu od razu zrobiło się błoto, a koleiny wypełniły się mętną wodą.

Na końcu placu stał duży budynek gospodarczy. Boczne ściany budynku wymurowano z czerwonej cegły i krzemienia, front pokryty był długimi, zbutwiałymi deskami. Wejście do budynku stanowiły wielkie wrota z desek. Wrota były szeroko otwarte i kręciło się przy nich kilku gości w gumowcach i wełnianych kaszkietach. Był tam także jeden dostojny dżentelmen w płaszczu z postawionym kołnierzem. Adler rozpoznał w nim sir Ralpa.

- Doprawdy żałuję, że to musiało się stać w tej właśnie stodole - pokręcił głową sir George i ruchem ręki zachęcił Adlera, by podeszli do sir Ralpa i reszty.

- Dlaczego, sir? Chyba nie ma pan jakichś, hmm, szczególnych wspomnień związanych z tym miejscem? - Adler spróbował wyobrazić sobie starszego dżentelmena baraszkującego w sianie z jakąś wiejską dziewczuchą: rumianą mleczarką albo dziarską krowiarką.

- Och, nie. Nic z tych rzeczy - odparł Wyatt. - Po prostu to nie jest typowa stodoła z epoki wiktoriańskiej, a bardzo

chciałbym, żeby od takowej zaczął pan swoją przygodę z angielską wsią. – Sir George zamyślił się na chwilę, po czym podjął z zapałem: – W okolicy spotka pan wiele tradycyjnych zabudowań farmerskich. Jednym z lepszych przykładów jest, według mnie, Pelham Farm. Gospodarstwo należy obecnie do rodziny Butlandów. Pelham Farm to po prostu klasyk. – W oczach sir George’a błysnęły fanatyczne iskry. – Jestem przekonany, że gdyby zobaczył pan tę dziewiętnastowieczną zabudowę, wpadłby pan w zachwyty! Proszę sobie wyobrazić: kwadratowy plac, wokół placu zwarta grupa niskich budynków farmerskich z dwuspadowym dachem. Solidna konstrukcja: krzemień i czerwona cegła. Ręcznie wypalana dachówka – zaś dawniej całość była kryta strzechą. Tradycyjna stolarka: niewielkie okna i drzwi. Spójne architektoniczne detale. Całość przypomina bardziej solidny budynek mieszkalny niż ciąg stodoł, obór i chlewni. Stąd też obecnie tak popularnym jest przerabianie dawnych zabudowań farmerskich w budynki mieszkalne. Znakomitym tego przykładem jest dawna stodoła na posesji sir Ralpa. Wpisano ją nawet do rejestru nieruchomości o szczególnych walorach historycznych i architektonicznych. Ralph musi być taki dumny! A stodoła Finneranów? Cóż, to po prostu niezbyt smaczna mieszanka stylów.

– Jak dla mnie, ta mieszanka jest dość przekonująca...– Tego się właśnie obawiałem.

Dotarli do Pearsona i mężczyzn w gumowcach. Przywitani się, sir George przedstawił wszystkim swojego „drogiego przyjaciela Adlera”. Okazało się, że w grupce obecny był także nieszczęsny hodowca dyń, Gary Finneran.

– Jestem w szoku – wychrypiął niskim głosem i potarł

brudną pięścią swój obfity nos. – Jestem w szoku, panowie. Tyle poświęcenia, tyle ciężkiej pracy na nic! Na nic! – Kumple Finnerana zwiesili głowy i zaszurali nerwowo butami.

– Ja ci mówię Gary, to zrobili ci z Plumton – odważył się jeden z nich. – Keith ma rację!

– Sam nie wiem – skrzywił się Finneran. – Wezwiemy policję i tyle. – Splunął, wbił ręce do kieszeni dżinsów i wycofał się do ciemnej stodoły.

Adler wszedł za nim.

Stodoła wyglądała, jakby rąbnął w nią meteoryt: olbrzymia dziura i rozwalone deski w tylnej ścianie, na ziemi przypominająca wymiociny pomarańczowo-żółta miazga i niedobitki dyń.

– Nic pan nie słyszał? – zapytał ze zdumieniem.

Finneran skrzywił się i pociągnął nosem.

– To spróchniałe deski, chłopcze. W deszczu robią się wilgotne, niemal miękkie. Może i było słychać trzask, tyle że jakoś nie dotarł do naszych uszu. Mieszkamy po drugiej stronie placu w domu z kamienia. Od strony stodoły praktycznie nie ma okien. Ech, nie wiem! – gniewnie kopnął w niewielką dynię, która przetrwała rzeź. Pękła natychmiast od uderzenia butem. – Stodoły też mi żal – dorzucił. – To piękny budynek, bracie. Z duszą. Teraz się już takich nie stawia w West Sussex...

Adler przyjrzał się poboju. Dyniowa miazga na ziemi była zdeptana ciężkimi podszewkami. Zapewne sporo ciekawskich zdążyło tu zajrzeć od rana. Dziura w ścianie była rozległa, lecz jej najwyższy punkt sięgał chłopakowi zaledwie do ramion. Niewielkie, tylne drzwi były nienaruszone.

– Zastanawia mnie, dlaczego ktoś rozwalił byle jak pół

ściany zamiast po prostu dyskretnie wyważyć drzwi – odezwał się do Finnerana.

– Bo chcieli narobić jak więcej szkód, oto dlaczego! – warknął hodowca dyń. – Plantację też mi rozkopali, dranie! I to przed Halloween, kiedy są największe zyski! Nie mamy dużego areału, ale już od dawna chcemy z żoną dokupić trochę ziemi, żeby uprawa bardziej się opłacała.

– Biznes dyniowy na dużą skalę?

– A i owszem – Finneran splunął i kopnął niewinnego niedobitka. – Zadzwoń na policję, tylko że wiesz, co z tego będzie: nic! Bo już pytaliśmy sąsiadów i co? Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Typowe. Ale biorąc pod uwagę, że to niemal sami staruszkowie, może i nawet prawdę mówili, takie to ślepe jest przecie i głuche, tylko za dnia wścibia się w nieswoje interesy.

– Mogę zobaczyć plantację? – zapytał Adler i nie czekając na odpowiedź, pochylił głowę i wylazł przez dziurę.

Rozpadało się na dobre. Czarne zagony zmieniły się w błoto, po którym pełzały długie, zielone pędy. Owoców było niewiele, z większości pozostała rozbryzgana miazga. Tu i ówdzie turlały się pomarańczowe kule, nietknięte przez bandytów.

Po drugiej stronie dziury, na błocie widniały odcisnięte ślady butów, dość mocno zniekształcone przez padający deszcz i wodę spływającą z rynny. Ślady dość szybko zanikały i gdy Adler udał się w głąb uprawy, już ich nie zobaczył. Najwyraźniej nawet właściciel nie obszedł jeszcze plantacji, by opłakać straty. Pomiędzy płożącymi pędami Adler zauważył jednak coś innego. Przykucnął i przyjrzał się z bliska swojemu odkryciu. Potem wstał i zrobił parę kroków do przodu. Znowu

przykucnął i nad czymś się zadumał.

- Dobra, chłopcze - zawołał Finneran, który obserwował jego akrobacje - wracaj, nic tu nie możemy już zrobić. Jeśli o mnie chodzi, wołam policję i idę do pubu opłakiwać moje dynie... Adler zignorował jego marudzenie.

- Czy gdzieś w okolicy jest hodowla świń? - spytał.

- Hodowla świń? Gdzieś w okolicy? Chłopcze, to jest wieś - tu są same farmy! - spojrzał na Adlera, jakby miał do czynienia z kompletnym głupkiem albo mieszcuchem. Zresztą, na jedno wychodzi. - Wracaj już, dziadek cię woła. - Miał pewnie na myśli sir George'a Wyatta.

Adler mimowolnie parsknął śmiechem.

- To nie mój dziadek - odparł. - A tutaj jest pełno tropów świni.

- Że co? - skrzywił się Finneran i ruszył przez błoto ku Adlerowi.

- Jeśli to nie jest świnia hodowlana, to może być dzik. Deszcz trochę rozmył tropy, ale nie mam wątpliwości, że pański ogródek został stratowany przez kopyta. I ryje.

Finneran zsunął z czoła kaszkiet i przez chwilę nieufnie wpatrywał się w ziemię pod swoimi nogami.

- A to ci dopiero - mruknął w końcu przeciągle. - Chyba masz rację! Też mi to wygląda na ślady świńskich racic. Nie wszystkie są wyraźne, ale ten tu, na przykład, o, albo ten tutaj: odcisk kopyta jak się patrzy! A niech mnie! - Spojrzał na Adlera z zastanowieniem. - Pytasz, kto tu w okolicy hoduje świnie, hmm... Tom Butland, na przykład. Albo Phil Sturridge. Tylko że to porządne chłopaki! Znamy się od dziecka.

- Ja ich nie oskarżam. Ale może zwierzęta wymknęły im się spod kontroli...?

- Może - mruknął Finneran bez przekonania. A po chwilowej pauzie dorzucił: - Rob Farrington też trzyma parę prosiaków, ale raczej tak tylko, hobbystycznie.

- A może w okolicy są dziki?

- Wiem, że gdzieś dalej w lasach się je spotyka, ale czy w naszych też, tutaj w Pelham? Tego nie wiem. Trzeba myśliwych popytać. - Z powrotem nasunął czapkę głęboko na czoło i jego oczy zniknęły w cieniu. - Spytamy Ralpa Pearsona, on będzie wiedział.

Naraz przez dziurę zajrzało kilka kaszkietów.

- Panowie, idziemy do pubu! - zakrzyknął jeden z nich. - Keith zwołał grupę konspiracyjną. Będzie wendeta!

SPRAWY LOKALNE

Za Puszcza leży Szeroki Świat.

A to jest coś, co nie obchodzi ani ciebie, ani mnie.

Szczur [\[54\]](#)

W PUBIE KING'S HEAD zaroilo się od spiskowców.

Mocne oskarzenie rzucone przez Keitha przekonało wielu. Pewne znaczenie miał też fakt, że była właśnie pora lunchu. Spiskowanie przy burgerze z frytkami i pincie lokalnego piwa stanowiło ciekawą alternatywę dla niewypału, jakim okazał się doroczny Festiwal Dyni. Poza tym na dworze lało, więc dobrze było schronić się w przyjaznych murach.

Adler, Pearson oraz Wyatt dołączyli do grupy wzburzonych

konspiratorów, wśród których największym prowokatorem był niewątpliwie Keith Wood.

Wood miał twarz jak sęp: pomarszczoną, lecz czerstwą, z ogromnym, zakrzywionym nosem i małymi, błyskającymi groźnie oczkami. Do jego ulubionych zajęć należało prowadzenie obserwacji oraz knucie. Lubił też włóczyć się po okolicy z kniejówką na ramieniu i parą wyżłów u boku.

– Musimy ustalić plan – rzucił do ekipy zgromadzonej przy barze.

– Co się dzieje, chłopaki? – zainteresował się Joe Goodman, stojący za barem. Pstryknął na jakąś nieletnią kelnerkę, by nalewała piwo.

Streszczono mu teorię Wooda: w nocy sabotażyści z Plumpton dokonali ataku terrorystycznego na plantację Finneranów.

Wszystkie dynie zostały zniszczone. Z festiwalu nici. Całe miasteczko w żałobie.

– Poważna sprawa – zaniepokoił się Joe. – Jesteście pewni, że za tym stoi Plumpton?

Wood prychnął i z mocą odstawił kufel. Piwo chlupnęło na blat.

– Joe, pomyśl tylko: Dzień Jabłka w Plumpton już za tydzień – odparł.

– Niby tak – rzekł Joe bez przekonania.

Wood zmarszczył brwi. Goodman był ważną lokalną sylwetką i jego poparcie wiele znaczyło.

– To był celowy atak, wymierzony w naszą społeczność i istotne dla nas tradycje – spróbował jeszcze raz Keith. – Tu się rozchodzi o coś więcej niż tylko doroczną imprezę.

- Zniszczyli Gary'emu biznes! - wyrwał się jeden z gości w kaszkietach.

- Zniszczyli mu plantację i zbiory - potwierdził Wood. - A październik to najważniejszy miesiąc w tym biznesie: najpierw jest Festiwal Dyni, potem Halloween.

- Tak jest! - zawołał jakiś tłusty młodzian w pikowanej kurtce. - A wiem, że Gary w tym roku miał na Halloween jakieś poważne zlecenie. Miała być duża impreza dla klientów z Londynu. Wiecie, dla dzieciaków bogatych rodziców. Nawet pytali o miejsca parkingowe dla swoich rolls-royce'ów. Gary na to, że owszem, coś się znajdzie. A tu lipa. - Młodzian z żalem pokręcił głową i ze smakiem chrupnął cebulowy krążek.

- W zeszłym roku pokazywali Finneranów w telewizji - przypomniał sobie ktoś inny.

- Pamiętam, jakieś gotowanie na ekranie. Leciało na BBC South. Sue pichciła zapiekanekę z dyni, a Gary miał trzy minuty, żeby pokazać swoje zagony.

- Tak że sami widzicie - zagrzmiał Keith. - Dla Finneranów cios jest olbrzymi. Osobiście, odbieram całe zajście jako atak na nasze miasteczko. A kto od zawsze nienawidzi Pelham?

- Plumpton, a jak! - zakrzyknięto zgodnie.

- Ano, Plumpton - odparł Wood takim tonem, jakby wreszcie udało im się ustalić coś, co powinno być od samego początku oczywiste. - To naturalna konkluzja. Typy z Plumpton zawsze nam zazdrościły. Wszystkiego: tego, że mamy status miasteczka handlowego, a oni, choć niewiele mniejsi, są tylko pospolitą wsią; tego, że w Pelham jest zamek; tego, że odwiedziła nas królowa i jeśli dobrze wyczytałem z kronik, nawet nie spojrzała w stronę Plumpton!

- Bo też i nie było jeszcze na co spoglądać - nie wytrzymał

sir George, ekspert od historii lokalnej. – W szesnastym wieku Plumpton praktycznie nie istniało, a jak rozumiem mówimy o wizycie Elżbiety I w 1593 roku?

Wood zignorował tę uwagę.

– W Plumpton zazdrozczą nam nawet takich historycznych perełek. A czy wiecie, co rzekł o Pelham sam sir Winston Churchill? Powiedział: „to wyjątkowo przyjemne miasteczko”. Tak powiedział!

– Doprawdy? – zainteresował się sir George. – Czy mogę spytać o źródło tej informacji? Jeśli to prawda, nadaje się do mojej monografii.

– Nie znam źródła – odparł niedbale Wood. – Źródło nie jest istotne. Istotne jest, że tak powiedział.

Sir George chciał coś odrzec, lecz zagłuszyły go okrzyki ogólnej aprobaty.

– Powiedział tak! Sam wielki Churchill tak powiedział! – Zupełnie, jakby byli przy tym obecni.

– Za Churchilla! – zawołał ktoś i w górę wystrzeliły szklanki.

– A ja uważam, że winni są Rosjanie – odezwał się nagle sir Ralph, który do tej pory siedział sztywno i w milczeniu przysłuchiwał się okrzykom.

Wszyscy spojrzeli na niego z zatroskaniem, jakby przedwcześnie postradał zmysły, a jeszcze tyle mógł zdziałać dla świata.

– Rosjanie, Ralph? – zapytał miękko Joe.

– Mam na myśli tę hołotę z Zamku – wyjaśnił sucho arystokrata.

– Aa, chodzi o Bazina! – pojął Keith. – To też jest jakaś teoria – przyznał łaskawie. – Ale nie ma zbyt mocnych

podstaw.

- Moim zdaniem - rzekł wyniośle sir Ralph - ta teoria powinna być rozpatrywana w pierwszej kolejności. Nie słyszeliście, co stwierdził mój przyjaciel Adler? - tu wykonał gest w stronę chłopaka. - Do stodoły Finneranów napuszczono świnie. Na plantacji jest pełno odcisniętych racic!

Zgromadzeni, wszyscy - prócz Wooda, przyjęli powyższą rewelację z ożywieniem.

- Mówiłem, że to robota tego przeklętego Farringtona!

- I wygląda na to, że miałeś rację, Steve! Miałeś rację, bracie!

- Ee, Farrington to swój, mnie to bardziej wygląda na robotę Ruskiego... Czuję tu obcą siłę!

- A skoro już o obcej sile mowa - wtrącił rozgniewany Wood - powróćmy może do bardziej wiarygodnej teorii: obcy z Plumpton, co wy na to?! - Znów uderzył kuflem o blat. Nie podobało mu się, że ktoś inny przejmuje pałeczkę w spisku, który on wymyślił.

Znów rozbrzmiały okrzyki, z których wynikało, że obie teorie są w zasadzie równie mocne i warte rozważenia.

- Nie będziemy nic rozważać! - warknął Keith. - Za dużo tu gadania, za mało działania. Ja wam powiem, panowie, co zrobimy: rozprawimy się z obydwojema wrogami! Tylko metodycznie, po kolei, najpierw z jednym, potem z drugim. W walce na dwa fronty jeszcze nikt nie wygrał.

- Panowie, panowie - mitygował Joe. - Co wy właściwie macie do zarzucenia temu Rosjaninowi? Dajcie spokój, napijcie się piwa, co będziecie bez sensu wojować.

Wood prychnął na znak, że absolutnie się nie zgadza z proponowanym podejściem.

- Joe, pacyfizm jest dobry, ale z umiarem - pouczył barmana. - My chcemy tylko, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Nie chcesz walczyć? A jak potem spojrzysz w oczy Finneranom? Tych ludzi skrzywdzono, Joe. Skrzywdzili ich chuligani z Plumpton i my nie zamierzamy stać z założonymi rękami! - rąbnął pięścią w blat.

- Brawo, Keith! Święta racja!

Wood łyknął porządny haust piwa i obtarł usta brudną dłonią. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Poza tym - rzekł z przekonaniem - w Plumpton też mają świnie, a jak! A co do Bazina i jego świty, musimy im się dokładniej przyjrzeć. Osobiście się tego podejmę. Na razie mamy za mało informacji.

- Nie mamy żadnych informacji - bąknął ktoś nieśmiało.

Sir Ralph miał pewne informacje, lecz nie zamierzał się nimi dzielić z hałastrą. Uniósł wyniośle podbródek i odsunął od siebie nietkniętą filiżankę z kiepską, barową kawą.

Tymczasem spiskowcy chcieli poznać plan działania. Keith dopił piwo i zabrano się za knucie misternej intrygi. Każdy miał coś do powiedzenia, każdy chciał dorzucić swoje trzy grosze.

- A zatem, panowie, Dzień Jabłka w Plumpton już za tydzień w sobotę.

- W Wielkich Sadach, jak zwykle.

- Do kogo należą Wielkie Sady?

- Do Colina Thornley'a, ale jabłka będą od wielu lokalnych sadowników. Przecież wiecie, że Plumpton „słynie” z jabłek...

- Taa, zasłynęło przed pięcioma laty, kiedy wymyślono Dzień Jabłka.

- Dobra. Czy wiemy, gdzie magazynowane są owoce bezpośrednio przed imprezą?

- Na pewno na terenie posesji. W Wielkich Sadach jest cały zespół budynków gospodarczych.

- Drewniane? Ceglane? Kryte strzechą? Każdy szczegół jest ważny!

- I ceglane, i z desek. Nie wiadomo, które wybiorą na przechowanie jabłek. Taki magazyn musi być odpowiednio wychłodzony, dobrze wentylowany i tak dalej.

- Można się tam wybrać wcześniej na zwiady.

- Nawet trzeba! – huknął Wood. – Ale przedtem nadamy naszej akcji kryptonim.

Czerwone gęby w kaszkietach momentalnie się ożywiły.

- Tajny kryptonim?

- Jak najbardziej tajny! – odrzekł Wood. – Co powiecie na akcję „Śliwa”? Od *Plum* [55]-pton. A śliwka też owoc, jak jabłko.

Przez chwilę rozważano tę propozycję. Nie brzmiała szczególnie porywczo, lecz była w niej jakaś logika.

- Akcja „Śliwa”, niech będzie! – pokiwano głowami.

- Zobaczycie, pół hrabstwa usłyszy o tej akcji! – obiecał im Wood. Jego oczy błysnęły maniakałnym blaskiem. – Zakradniemy się pod magazyny w nocy z piątku na sobotę i urządzimy w Plumpton taki pogrom, że się nie pozbierają! Oko za oko, jabłko za dynię!

W górę znów poszybowały szklanki.

- Za „Śliwę”!

Sir George pokręcił głową i pokusił się o refleksję:

- To chyba najmniej sekretna ze wszystkich tajnych akcji –

wymamrotał do Pearsona i Adlera. – Anglia nie miała jeszcze tak głośnych spiskowców...

Sir Ralph zerknął na Adlera.

– Ubolewam, że zignorowano twoje spostrzeżenia – rzekł. – Wood to nienajgorszy myśliwy i szkoda, że nie poświęca się w pełni łowiectwu, tylko traci energię na bezsensowne knowania.

– Zobaczycie, z tej całej „Śliwy” nie wyniknie nic dobrego...
– mruknął posępnie sir George.

– Ciekawe, czy akcji pobłogosławi Finneran? – zastanowił się sir Ralph. – Ostatecznie, to on jest tu poszkodowanym.

Gary Finneran nie pojawił się w pubie. Razem z żoną poinformowali policję o masakrze dyń w stodole i teraz czekało ich składanie smutnych zeznań. Tymczasem w lokalu robiło się coraz tłoczniej. Grupa spiskowców okupowała bar, stoliki pozajmowane były głównie przez rodziny z miasteczka, które tradycyjnie spożywały niedzielny lunch u Goodmana. Napłynęło też trochę wycieczkowiczów z Chichester i okolic, tych można było poznać po przemokniętych, zupełnie nieadekwatnych do pogody kreacjach i rozczarowanych minach: Festiwal Dyni został odwołany.

Spiskowcy przy barze pozjadali swoje burgery i wypyli piwo, i wkrótce co poniektórzy z nich znudzili się gadaniem o szczegółach akcji „Śliwa”. Wówczas podzielono się na frakcje. Adler i Pearson skorzystali na tym rozbiściu i dołączyli do frakcji lokalnych myśliwych.

– Jutro zapolujemy z Adlerem na bażanty – pochwalił się sir Ralph.

– Gdzie? – zainteresował się Keith Wood.

– Na moich gruntach. Możecie panowie dołączyć.

- Akurat jutro wybieram się na łowy do Wiltshire – rzekł Wood. – W planach są króliki, gołębie i co tam jeszcze wpadnie. Takie czasy nastały, że aby postrzelać do królików, trzeba jechać do innego hrabstwa – westchnął.

- Dlaczego? – zainteresował się Adler.

- Lokalna populacja drastycznie się zmniejszyła – wyjaśnił jeden z myśliwych. – Pamiętam jeszcze, jak z ojcem chodziłem na łowy: wtedy od króliczych uszu w trawie można było dostać zawrotów głowy, tak się od nich roiło! I mięso było smaczne, delikatne, dzieciom się dawało. Nie to, co teraz: łykowate, niedobre. Niezjadliwe.

- No, paru ludzi się tu u nas pochorowało od króliczego mięsa – dodał Wood. – Jakby trujące było czy co.

- Zające też jakieś liche i niestrawne. I coraz mniej ich i mniej, jakby same wymierały na jaką zarazę... Bo nikt tu do nich już nie strzela.

- Z bażantami sprawa też nie przedstawia się najweselej – dorzucił swoje trzy grosze sir Ralph. – W mojej posiadłości staram się utrzymywać stałą populację, ale w innych popularnych łowiskach w okolicy ptactwa jest coraz mniej. To samo tyczy się bekasów.

Pozostali myśliwi przyznali mu rację.

- Kiedyś to były łowy! – rozmarzył się Wood. – Nigdy nie zapomnę, jak w jedną minutę położyłem dwadzieścia bażantów! To mój osobisty rekord. Lepszy wynik osiągnął chyba tylko drugi markiz Ripon, a ten to był prawdziwym Hitlerem w gnębionym przez niego świecie przyrody. Czytałem gdzieś pośmiertne podsumowanie jego łowieckich wyczynów. W sumie ponad pięćset pięćdziesiąt tysięcy sztuk ubitej zwierzyny, w tym niemal połowa to bażanty. Co ty na to,

Pearson? Niezły był z niego wyczynowiec, co? Ha, ha!

– Jak myślicie, dlaczego lokalne populacje się kurczą? – spytał Adler.

Wyjaśnienia, jakie przychodziły mu do głowy, nie pasowały raczej do okolic Pelham. Tutaj, pięćdziesiąt mil od centrum Londynu, w sercu angielskiej wsi, nic nie zmieniło się od lat: nie wycinano lasów, nie budowano nowych osiedli. Co zatem mogło spowodować znaczący spadek populacji zwierząt?

– Kłusownictwo? – zasugerował. – A może pojawiły się jakieś inne, bardziej agresywne gatunki, które wypierają te rodzime? Z drugiej strony – odpowiedział sam sobie – niby skąd miałyby nadciągać agresywne gatunki? Z Hampshire? – Ten żart rozbawił lokalnych myśliwych. – I co by to miało być konkretnie? O ile mi wiadomo, drapieżna fauna Anglii to borsuk, lis i garść łasicowatych.

– W West Sussex pojawiły się dziki – zauważył sir Ralph. – W lasach Pelham co prawda ich jeszcze nie spotkałem.

– Dzik to nie drapieżnik, ale zeżre wszystko – dodał Wood. Adler ożywił się.

– Więc to możliwe, że na plantację Finneranów wtargnęło stado dzików! – zawołał. – Nie rozumiem tylko, dlaczego plądrowałyby farmę z taką agresją. Ta cała dziura w stodole... – urwał i zamyślił się.

Wyłamane deski w stodole niepokoiły go. Był przekonany, że plantację stratowały dziki albo świnie domowe. Nie sądził, aby za pogromem dyni stał człowiek. Na miejscu znalazł zbyt wiele śladów, wskazujących, że winnymi w sprawie były parzystokopytne z rodziny *Suidae* [56]. Alternatywną hipotezę, tę z bandą zawistnych sąsiadów z drugiej wioski, zbada zapewne policja. Jeden tylko element wciąż nie dawał mu

spokoju – właśnie ta wyrwa w ścianie stodoły. Sugerowała ona, iż zwierzęta wtargnęły do budynku z zadziwiającą agresją. Że włamały się do składu niczym rozjuszony potwory. Agresywne zachowanie u zwierząt zwykle wiązało się z walką o przetrwanie, z rywalizacją o terytorium, pożywienie lub partnera. W tym przypadku pożywienia było aż nadto, zatem agresja wydawała się nieuzasadniona.

– Chłopcze, wyobraźnia cię ponosi – warknął lekceważąco Wood. – Świnie mogły rozdeptać zagony, ale na pewno nie roztrzaskałyby stodoły! Dzikie też by tego nie zrobiły, to inteligentne zwierzęta. Tylko człowiek jest zdolny do takich aktów agresji.

– Ja tam w ogóle nie widziałem dzików w naszych stronach – dorzucił jeden z myśliwych. – Za to jednej nocy spotkałem wilki.

Całą watahę!

– Wilki? Chybaś był pijany!

– Byłem – przyznał mężnie myśliwy. – Ale to nie zmienia faktu, że widziałem wilki.

– Ty, Rob, a może to były wilkołaki? One podobno lubią żyć na obrzeżach małych, odludnych miasteczek...

– Aż tak pijany nie byłem. Według mnie to były wilki.

– Nikt od pięciuset lat nie widział w Anglii wilków na wolności. Ty też nie mogłeś ich spotkać, bo po prostu w tym kraju nie istnieją!

– W Pelham istnieją – upierał się myśliwy. – Może urwały się z jakiegoś prywatnego parku. Mało to teraz tych ekscentryków, co kolekcjonują egzotyczne zwierzęta?

– Niemało – przyznał ponuro Wood. – By nie szukać daleko, wystarczy wymienić paru sąsiadów. Taki Nick Love, na

przykład. To on ostatnio sprawił sobie białą panterę! Taki kaprys milionera. Ciekawe, co tam jeszcze hoduje w swoim ogrodzie...

Na wzmiankę o białej panterze, Adler przypomniał sobie swoją rozmowę z profesorem Reidem. Profesor wspominał klienta z londyńskiego City, dla którego organizował przemyt pantery śnieżnej z Indii. Czy to możliwe, by tym klientem był ów Nick Love? Niewykluczone. Sir George mówił, że Love pracuje w City.

– A te wilki widziałem w lesie przy bagnach – przypomniał sobie myśliwy. – A wiecie, kto mieszka na bagnach? – zapytał znacząco.

– Ano, wiemy – warknął Wood. – Rosjanin.

– Równie dobrze mogła to być sfora dzikich psów, a nie prawdziwe wilki.

– I jedno, i drugie jest wielce podejrzane – stwierdził Wood.

– Wielce podejrzane – poparł go niespodziewanie sir Ralph. Pearson zwykle nie mieszał swej czcigodnej osoby w szemrane aktywności, takie jak knucie teorii spiskowych z podchmielonymi bywalcami King's Head.

Wood docenił poparcie.

– Należałoby w przyszłości przygotować coś w rodzaju ekspedycji na włości Bazina – rzekł.

Towarzysze wytrzeszczyli nań oczy, przekrwione od alkoholu i stęchłego powietrza.

– „Ekspedycji”...? – zdumieli się.

– No tak – odparł niezmiuszony Wood. – Sam przecież nas nie zaprosi, a tereny, jak ustaliliśmy, są warte zbadania. – Sięgnął po szklanę, po czym dorzucił, jakby sobie nagle coś

przypomniał: – Ale to już po akcji „Śliwa”. Pamiętajcie: na dwa fronty nie walczymy. – Uniósł szklanke do wygiętych złowieszczo ust i wychylił zawartość do dna.

Sir Ralph natychmiast pożałował udzielonego poparcia. Nie zamierzał bynajmniej wpraszać się na włości Rosjanina. Miał dziwne przeczucie, że to by groziło jakąś katastrofą.

Naraz ktoś pchnął z mocą drzwi wejściowe do pubu. Zaklekotały kruche szybki w drewnianej framudze. Okrzyki przy barze ustały i wszyscy spiskowcy zwrócili głowy w kierunku mężczyzny, który stanął w progu.

Był to Gary Finneran. Wielki, mokry od deszczu i uwalony błotem, Finneran potoczył wokół groźnym spojrzeniem spode łba. Przypominał trochę kowboja. Nie takiego z amerykańskiego westernu – z kapeluszem z rondem i parą rewolwerów za pasem, lecz takiego z serca angielskiej prowincji: w kaszkiecie, gumowcach i koszuli w kratę.

Gary podszedł do baru, stąpając ciężko gumowcami. Podeszwy butów zostawiły na wykładzinie ciemne, mokre placki. Ta jednak niejedno już przyjęła w ciągu swego długiego żywota.

Gary rozparł się łokciami na blacie i wychrypiął do Goodmana:

– Polej mi coś mocnego, Joe.

Wszyscy spoglądali na niego niepewnie, bojąc się odezwać.

Finneran jednym haustem wychylił kieliszek z bezbarwnym lekarstwem na duszę. Barman natychmiast zaserwował mu kolejny. Gary wypił, otarł dłonią usta i rozejrzał się po gębach przy barze. Oględziny najwyraźniej nie wypadły in plus, gdyż skrzywił się i splunął pod nogi.

– No i czego się tak gapicie? – warknął. – Człowieka

w żałobie nie widzieliście? Gapią się jak stado baranów! Dobrze jest sobie popatrzeć na cudzą tragedię, co? Polej jeszcze! – burknął do barmana. – Więcej! Spirytusu żałujesz nieszczęśnikowi?!

Atmosfera przy barze nieznośnie się zagęściła. Co słabsze psychicznie jednostki zaczęły się wycofywać w głąb sali. Sir George odchrząknął z zakłopotaniem, czym niestety tylko przyciągnął uwagę Finnerana. Gary machnął niedbale ciężką dłońią, strącając kieliszek. Szkło roztrzaskało się w drobny mak. Przy barze zapadła cisza. Finneran przysunął się do Wyatta. Przez chwilę wpatrywał się w niego nienawistnym spojrzeniem, po czym zamachnął się i rąbnął pięścią w olbrzymią dynię, spoczywającą na kolanach dżentelmena.

– A to co: kradzież?! – ryknął. – Sto funtów się należy! Ty wiesz, ile trudu potrzeba, by wyhodować taki okaz?! Ile harrrowy...?!

Sir George zląkł się i poczerwieniał na twarzy. Wszyscy patrzyli teraz na niego.

– Nie, ja... ja... oczywiście zapłacę – wymamrotał i zaczął poklepywać drżącymi dłońmi kieszenie w poszukiwaniu portfela.

– Zapłacisz, pewno, że zapłacisz! – gorączkował się Gary. Z kącików ust ciekła mu szara ślina.

– Gary, sto funtów to chyba za dużo – zauważył nieśmiało Joe Goodman, któremu żal się zrobiło Wyatta.

Finneran, jak dzika bestia, obrócił się gwałtownie w jego stronę. Zachwiał się i przez moment wyglądało, jakby chciał przyłożyć barmanowi.

– Ty się nie wtrącaj, Joe – wybełkotał. – To kradzież! Sto funtów albo policji wydam! Za kraty go wsadzą, burżuja!

Burżuj z niego i nierób, co to okrada harujący lud! Miał rację Robin Hood, że gardła rozcinał takim jak ty! – parsknął w stronę Wyatta.

Przerażony sir George za nic nie potrafił znaleźć portfela. Kieszenie marynarki były puste, z jednej tylko sterczała zdradziecko czerwona główka „tureckiego turbanu”. Gary, mimo obleczonych krwią oczu, bezbłędnie rozpoznał owoc swoich trudów.

– Macie go! – ryknął. – Więcej nakradł, złodziej pospolity!

Sir Ralph podniósł się gwałtownie i stanął u boku Wyatta, wyprostowany i nieustraszony niczym admirał brytyjskiej floty. Obrzucił hodowcę dyń zimnym, potępiającym spojrzeniem.

– Nie godzi się – rzekł wyniośle – bym słuchał, jak obrażają mojego przyjaciela.

– Nie godzi się?! – wybuchnął Finneran. – A kraść – tu rąbnął pięścią w blat – okradać pracujący naród się godzi?!

Sir George wyjął „turecki turban” z kieszeni i potulnie położył go na blacie. Następnie pchnął go palcem i turban potoczył się w stronę prawowitego właściciela. Zanim jednak Finneran zdążył capnąć dynię, ktoś ją pochwycił – sir Ralph zacisnął palce na turbanie z miną przebiegłego golfisty.

– Przepróż mojego przyjaciela! – zażądał.

Gary rozstawił szeroko nogi i skrzyżował groźnie ramiona.

– Po moim trupie! – ryknął. – Nie będę korzyć się przed złodziejami, co to nic nie wiedzą o prawdziwej robocie!

– Ja zapłacę! – jęknął płaczliwie sir George.

– Milcz, George! – rzucił sucho sir Ralph. – Nie masz obowiązku korzyć się przed chamem.

Finneran uniósł pięść i z wściekłością zamachnął się na Pearsona. Powstrzymali go jednak przytomni koledzy.

– Gary, daj spokój, odpuść! On zapłaci.

Gary splunął – prosto w dostojną pierś Pearsona. Sir Ralph zareagował natychmiast. Zaciśnął dłoń w pięść i przywalił Finneranowi w szczękę. Gary wykrzywił twarz i zakołysał się lekko. Przez tłumek spiskowców przetoczyła się fala nieokreślonych pomruków. – Panowie, dajcie spokój – zaczął Joe mitygującym tonem.

Nic więcej nie powiedział, bo hodowca dyń przyłożył mu w nos. Cios był tak silny, że z obu dziurek trysnęła jasna krew.

– Och, Joe, nic ci nie jest? – spytała głupio młoda kelnerka, w akompaniamencie zgorszonych okrzyków.

Tymczasem Gary rozgrzał pięści i mógł teraz nacierać na arystokratów. Zgarnął z blatu kufel z niedopitym piwem i już celował nim w głowę sir Ralpha, gdy naraz powietrze przeciął świst, kufel pękł i pod nogi Finnerana posypało się mokre szkło. To Pearson cisnął „tureckim turbanem” w atakujący kufel.

Gary ryknął jak wściekłe zwierzę i rzucił się na Pearsona, głową naprzód i z rozchylonymi szeroko ramionami. Adler odepchnął sir Ralpha i wysunął się do przodu. Zablokował przejście atakującemu, oparł jedną dłoń na jego barku, drugą – na potylicy i jął z całych sił zaciągać jego głowę w dół. Twarz Gary’ego nabiegła krwią, szarpnął głową, raz i drugi, lecz nic z tego – zatrzasnęła się między ramionami Adlera. Jeszcze moment, a się udusi, jeszcze chwila, a złamie mu kręgosłup!... Z otwartej gęby Gary’ego poczęły kapać sople szarej śliny. Zawył i klapnął na podłogę, Adler pochylił się,

lecz nie zwolnił stalowego uścisku.

– Niech was diabli! – wydusił Finneran i na znak kapitulacji rozrzucił na boki ręce i nogi.

Adler puścił go wreszcie, a wtedy sir George wymierzył ostatni cios. Podniósł się z barowego stołka, dzierżąc w ramionach skradzioną dynię. Ręce zadrżały mu złowieszczo pod ciężarem pomarańczowego olbrzyma. Wszyscy wstrzymali dech i wbili przestraszony wzrok w masywną kulę, która wyglądała teraz jak śmiercionośna broń. Sir George nabrał powietrza i pchnął dynię w kierunku rozwalonego na ziemi Finnerana.

– Masz, twoja dynia – wysapał. – Zwracam!

Ciężka kula zaczęła się toczyć w stronę Gary'ego. Wszyscy wstrzymali dech. Scenę obserwował już cały pub, łącznie z usmarowanym krwią właścicielem. Na widok kuli, Gary wytrzeszczył przerażone oczy, zaklął i bezskutecznie spróbował się podnieść. Paru kumplom zrobiło się go żal, lecz każdy obawiał się do niego podejść. Finneran był rozjuszony i nieobliczalny. Wreszcie, w przyptywie adrenaliny Gary podjął ucieczkę na czworakach. Nie patrzył, jak i gdzie lezie i wkrótce ugodził głową w parę smukłych nóg. Nogi, rzecz dziwna, miały kolor czekoladowy. Gary zamrugał gęsto i uniósł głowę: nogi ciągnęły się wysoko wysoko do góry i zniknęły gdzieś w czeluściach czerwonej sukienki.

– Co tu się dzieje, do ciężkiej cholery? – zapytał czyjś rozzłoszczony głos.

Czekoladowe nogi cofnęły się i teraz Gary zobaczył całą postać: stała przed nim Ailith Love.

Nikt nie kwapił się, by wyjaśnić jej zajście. Cisza pękła i w sali podniosła się wrzawa. Spłoszeni przyjezdni zaczęli

pośpiesznie opuszczać lokal. Joe Goodman warczał na wszystkich jak nie on, przyciskając do nosa zakrwawioną ścierkę. Po podłodze tarzała się krągła, pomarańczowa dynia. Pod barem, w kałuży piwa pływały odłamki szkła.

Gary Finneran podniósł się wreszcie z czworaków. Potknął się i znów omal nie wpadł na czarnoskórą Ailith. Przystanął, bo kręciło mu się w głowie. Zamrugął i potoczył wzrokiem po gapiących się na niego ludziach przy barze. Zobaczył Adlera. Wyciągnął rękę i wycelował w chłopaka wskazującym palcem.

- Jeszcze się z tobą policzę, gówniarzu - warknął. - Lepiej dwa razy się zastanów, czy dalej chcesz mieć tych typów za kumpli - tu znacząco skinął głową w stronę Wyatta i Pearsona. Potem przeniósł wzrok na barmana, ale chwilowo nie miał mu nic do powiedzenia. Splunął i wytoczył się z baru.

- Dobry Boże, Joe, ty chyba tracisz kontrolę nad tym lokalem? - zauważyła Ailith, podchodząc do baru. Głos miała pretensjonalny, przeciągły i irytujący. Zrzuciła z ramion futerko, by się pochwalić rubinami i sukienką z czerwonego jedwabiu.

Joe nie zaszczycił jej odpowiedzią. Ailith wydeła usta i przesunęła znudzonym wzrokiem po stłoczonych przy barze spiskowcach w poszukiwaniu interesujących twarzy. Znalazła tylko jedną, za to zdecydowanie wartą uwagi.

Chłopak wydał jej się dziwnie znajomy. Gdzieś już widziała te gniewne, skrzące oczy. Gdzieś widziała te nieokiełznane włosy, rozsypujące się niesfornie po twarzy. Tylko czy tamte włosy nie były innego koloru...? Czy one nie były jaśniejsze? Ale przecież nawet sylwetka tego chłopaka przy barze była taka sama, jak ją sobie zapamiętała. Ten tutaj też był wysoki i smukły, miał muskularne ręce i nogi i postawę świadczącą

o pewności siebie.

Postanowiła spróbować.

Przysunęła się do Adlera akurat w momencie, kiedy zbierał się do wyjścia wraz ze swoimi towarzyszami, sir George'em Wyattem i sir Ralphem Pearsonem. Cała trójka wyglądała raczej nieprzystępnie: ściągnięte brwi, zaciśnięte szczęki, niebezpieczne spojrzenia. Ailith pomyślała, że nie trafiła na najlepszy moment. No, ale cóż to było dla niej? Żadne wyzwanie udobruchać faceta odsłoniętym dekoltem. Chyba że okazałby się rasistą. Ailith spotkała w swoim życiu paru takich bydlaków.

– Hej – rzuciła przeciągle i ponętnie, tak jak to sobie ćwiczyła setki razy przed lustrem. Jeszcze się nie zdarzyło, by jej uwodzicielskie „hej” pozostało bez odpowiedzi.

Tym razem także otrzymała odpowiedź, lecz nie taką, jaka by ją satysfakcjonowała. Owszem, chłopak zmierzył ją bystrym spojrzeniem, lecz szybko – zbyt szybko! – rozkojarzył się i wyrzucił z siebie zupełnie byle jakie i pozbawione emocji pozdrowienie. A potem zaczął przeciskać się przez tłumek ku wyjściu.

Ailith z niedowierzaniem powiodła za nim wzrokiem.

– Hej, zaczekaj! – krzyknęła w końcu i podreptała za nim na czerwonych szpilkach.

Odwrócił się, zdziwiony.

Ailith odkasłała lekko i spróbowała wykrzesać z siebie zniewalający uśmiech. Nie była pewna, czy jej się udało, bo warunki były niesprzyjające: ten cały śmierdzący, barowy tłum wokół, hałas i pośpiech. No i wcale nie miała ochoty się uśmiechać.

– Może wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponowała.

- Właśnie tam idę - odparł trzeźwo. Wydawał się już zmęczony jej towarzystwem, a jeszcze nawet nie przeszła do sedna sprawy. Westchnęła ze zrezygnowaniem i ruszyła za nim ku wyjściu.

Na zewnątrz było zimno i paskudnie, ale nie chciała ubierać futerka, bo bardziej zależało jej na tym, aby wyglądać kusząco. On jednak nie wyglądał na oczarowanego. Może krzywo przykleiła sztuczne rzęsy? Albo wyjechała szminką poza wargi? Niemożliwe, co chwilę sprawdzała w lusterku. Ale takie wizerunkowe wpadki nierzadko śniły się jej w koszmarach.

Chłopak spojrział na nią pytająco. Od zimna na dekolcie wyskoczyła jej gęsia skórka. Szlag by to trafił.

- Czy ty jesteś znajomym Ralpa Pearsona? - spytała bez sensu, w ramach rozgrzewki zmysłowego tonu głosu.

Wiedziała, że był znajomym Ralpa. Pearson i Wyatt czekali na niego parę kroków dalej na chodniku przed King's Head.

Skinął głową.

- Można tak powiedzieć.

Wtedy coś sobie przypomniała.

- No jasne! - krzyknęła dźwięcznie. - To ty jesteś lord Adler, czyż nie?

Chłopak uniósł pytająco brwi.

- Po prostu: Adler - powiedział. I uśmiechnął się.

- Adler, ciekawe nazwisko - szepnęła, mrużąc oczy. Nie podziałało. Nie poddała się jednak. - Wiesz, Adler, wydaje mi się, że widziałam cię kiedyś w lesie... W nocy - dodała i delikatnie przygryzła wargę.

Ściągnął brwi i przyjrzał jej się z zastanowieniem.

– Tak? – zapytał ostrożnie. – A kiedy?

Bingo!

– To było chyba... przed dwoma tygodniami – rzekła, patrząc mu badawczo prosto w oczy. Czuła, że jest na właściwym tropie.

Ze zdumieniem dostrzegła, że chwilowy błysk w jego oczach zgasł. Co to było? Rozczarowanie?

– To nie mogłem być ja – odparł stanowczo. – Dopiero wczoraj przyjechałem do Pelham wyjaśnić.

Po czym odwrócił się i ruszył do swoich towarzyszy.

POLOWANIE

Przez ciebie las zaleje się krwią.

Jegor Bazin

SIR GEORGE wrócił do domu w fatalnym humorze.

Po wyjściu z King's Head przez całą drogę zastanawiał się głośno nad tym, czy nie odbiorą mu tytułu za kradzież dyni. Oczyma wyobraźni widział już nagłówki w lokalnej *Chichester Post*: „George Wilbert Wyatt z Pelham pozbawiony tytułu szlacheckiego w związku z udziałem w aferze dyniowej. Wyatt splamił swój honor, dokonując perfidnej kradzieży »tureckiego turbanu« oraz japońskiej dyni *kabocha*. Komisja rządowa uznała, iż pospolity przestępca nie jest godny piastowania honorowego tytułu. Królowa w pełni popiera to stanowisko”. A co najgorsze, artykuł w lokalnej gazecie cytowałby jedynie

za *The Gazette*, którą czytają wszyscy. Nazwisko Wyatta dopisano by do czarnej listy, na której były już takie szemrane gwiazdy, jak Mussolini i bankierzy-oszuści [57].

– Ja wcale nie zamierzałem ukraść tych dyń – jęczał sir George, chowając twarz w dłoniach. – Zabrałem je niemal nieświadomie.

– George, George – odezwał się kojąco sir Ralph. On, w przeciwieństwie do towarzysza, wracał z pubu w doskonałym humorze. Pokazali temu prostakowi Finneranowi, gdzie jest jego miejsce.

Arystokraci powinni trzymać razem. Niezależnie od okoliczności. – Oczywiście, że zrobiłeś to nieświadomie. Zresztą, powiedz mi, jak długo przyjaźnisz się z Sue Finneran?

– Jak długo? Całe życie! Znamy się od dziecka.

– Otóż to. Ja jestem przekonany, że Sue chciała ci sprezentować te dynie. W imię przyjaźni i tak dalej. A ty jak sądzisz, Adler? – No nie wiem – odparł chłopak. – Może ją o to zapytamy?

Adler nie był w dobrym nastroju. Stanął po stronie Pearsona i Wyatta, lecz tak naprawdę czuł, że to Finneran był tu poszkodowanym. W pubie hodowca dyń wydawał się wściekły, zaczepny i niezrównoważony, ale czy takie zachowanie nie było w pełni zrozumiałe? W końcu facetowi ktoś podeptał cały biznes i to akurat w momencie, kiedy miał kasować z niego zyski.

– Wypiszę czek na sto funtów – oświadczył grobowym głosem sir George.

– Słuszna decyzja, sir – poparł go Adler.

Sir Ralph skrzywił się.

- Sto funtów to za dużo, George. Zdajesz sobie sprawę, że Finneran nie oszacował tej kwoty w sposób uczciwy?

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Ralph: ja również nie postąpiłem w sposób uczciwy. Poza tym ta kwota uwzględnia również straty moralne.

- A pomyślałeś o twoich stratach moralnych? O wszystkich bezceństwach, jakich dzisiaj dopuścił się względem ciebie ten człowiek? Przybyłeś do jego domu, by mu pomóc w biedzie. Zrobiłeś to zupełnie dobrowolnie. Byłeś jedną z pierwszych osób na miejscu tragedii, jednym z pierwszych, którzy rzucili się, by go pocieszać...

- Bez przesady - odparł sir George. - Powiedziałbym, że byłem jednym z ostatnich...

Pearson nie pozwolił mu dokończyć.

- George, nie poniżaj się - zażądał stanowczo. - To się nie godzi.

Wyatt westchnął ciężko. Zwiesił głowę i popatrzył smętnie na swe lakierowane półbuty. Były całe zbrukane błotem. Co za wstrętny dzień! Same niefortunne wypadki i jeszcze ta natrętna mżawka, ta szara ulica, bezludne chodniki i złowieszcze wrony na mokrych drzewach. Powiedziałbyś: nadeszła jesień. Ale to coś więcej. Nadeszło coś znacznie gorszego. Sir George nie potrafił powiedzieć, co to było, ale za każdym razem, kiedy o tym myślał, jego serce kurczyło się nerwowo i brakowało mu tchu.

Po południu Pelham opustoszało. Jak zwykle, kiedy pozamykano kawiarnie i sklepy, z wesołego miasteczka zmieniło się w to, czym tak naprawdę było: odizolowanym przysiółkiem, ściśniętym w kleszczach dzikiej natury. Daleko od cywilizacji, od miast. Wokół tylko prastara knieja, pola

i mokradła. Królestwo dzikiej fauny.

Sir George wzdrygnął się i zapragnął jak najszybciej znaleźć się w domu, pod strzechą St John's Cottage. Dziękował Bogu [58] za tę bezpieczną przystań, która od lat dawała mu schronienie przed wrogim, zewnętrznym światem.

Na pożegnanie sir Ralph przypomniał Adlerowi o wspólnych łowach. Perspektywa spędzenia kilku godzin w szczerym polu, ze strzelbą w pogotowiu i wybornymi psami myśliwskimi u nogi, momentalnie przywróciła chłopakowi dobry humor.

– Jasne, o dziewiątej stawię się w Badgers!

Sir George apatycznie przyglądał się rozpromienionym twarzom swoich towarzyszy. Nigdy nie rozumiał entuzjazmu, jaki napawał myśliwych, kiedy tylko pojawiały się widoki na ukatrupienie jakiegoś wycinka przyrody, niech to będzie ptactwo czy zwierzyna gruba.

– Panie Adler, pan jest zoologiem, prawda? – zagaił, kiedy wracali razem do domu.

– Zgadza się, sir.

– Czy wolno mi spytać, jak łączy pan miłość do zwierząt z pasją do łowów? Jakoś nie mogę tego pojąć. Wiem, że myślistwo jest ważną składową czegoś, co nazywam brytyjską tradycją, jednakże pański przypadek jest dla mnie niepojęty. To tak, jakbym przyłapał ekologa na wyrąbywaniu drzewa.

– Czasami trzeba wyrąbać drzewo – zauważył oględnie Adler.

Sir George przyjrzał mu się badawczo.

– Ale pan tego nie robi, bo tak trzeba. Czuję, że tak nie jest. Pan nie jest po prostu wykonawcą ustalonego odgórnie planu odstrzału. Pan to robi z pasji, czuję to.

- Wie pan, dla mnie myślistwo to obcowanie z przyrodą - na jej warunkach, nie moich. Dlatego muszę być przygotowany, dlatego muszę mieć ze sobą ciepłe ubranie, broń. Bo świat przyrody jest brutalny, obowiązują w nim proste zasady: albo zabijasz, albo jesteś ofiarą.

Sir George skrzywił się.

- Doprawdy nie wiem, co pana pociąga w tym brutalnym świecie - rzekł.

- Ale pan też należy do tego świata! Zastawił się pan książkami i dobrym winem i już pan myśli, że wylądował na innej planecie? Nic bardziej mylnego. Pan jest wciąż tu i teraz, sir, w świecie, w którym najbardziej przebiegłym i brutalnym gatunkiem jest człowiek. A jak pan sądzi, kto sieje zło na Wzgórzu świętej Anny?

- Pan uważa, że za tym stoi człowiek? - zapytał z przerażeniem sir George.

Adler odwrócił wzrok.

- Nie wiem jeszcze - burknął. - Ale nie wyjadę stąd, dopóki nie poznam prawdy.

- Bardzo panu dziękuję - rzekł zdławionym głosem sir George.

Powrót do domu nie zakończył zmartwień starszego dżentelmena. Zaraz w hallu ujrzał swoją wnuczkę w stanie tak nędznym, że aż go zatkało. Majella Humphreys siedziała w mrocznym kącie, pod wielkim portretem posepnej matrony w czarnej sukni z olbrzymią kryzą. Dziewczyna sama przypominała zjawę z niepokojącego obrazu. Była śmiertelnie blada i wydała się Wyattowi bezbarwna, przezroczysta. Wciąż miała na sobie wczorajszą suknię z tiulu, lecz delikatna tkanina sukni była poszarpana i brudna.

Sir George westchnął ciężko. Zupełnie nie był w nastroju, by witać wnuczkę ze zwykłą atencją.

– Źle wyglądasz – rzucił sucho. Pociągnął nosem i zaczął z namaszczeniem ścierać lakierowane półbuty.

Adler uważnie przyjrzał się dziewczynie. Przypominała bohaterkę gotyckich horrorów, ściganą przez żądne krwi demony po mrocznych korytarzach średniowiecznego zamczyska. Rozdarta sukienka. Błede, cienkie ramiona. Subtelna, wystraszona buzia.

Włosy w nieładzie, poprzetykane listkami.

– Wszystko w porządku? – zapytał, choć to, co widział, mówiło samo za siebie.

Majella nie odpowiedziała, tylko zacisnęła palce na chuście z czerwonego jedwabiu.

– Przecież widzi pan, że nic nie jest w porządku – odezwał się zjadliwie sir George. – Dziewczyna wygląda jak siedem nieszczęść i na pewno nie powie mi, dlaczego wraca do domu po całej dobie nieobecności i to w tak karygodnym stanie! – Dziewczyna chyba istotnie nie zamierzała tego zdradzić, gdyż uparcie milczała. – Zmęczyło mnie to wszystko! – rzucił gniewnie sir George. – W moim domu jest za dużo kobiet – poskarżył się.

– To jest ich więcej? – zdumiał się Adler.

– A ta jedna to mało? Kobiety są dziwne, panie Adler. Nie rozumiem ich, nigdy ich nie rozumiałem. Miałem żonę i córkę, a teraz mam wnuczkę i powiem panu, że z każdym kolejnym pokoleniem jest gorzej!

Zatrzymał gniewny wzrok na siedzącej w kącie Majelli i mimo woli zaniepokoił go jej stan.

– I co ja mam z tobą zrobić, dziecko? – westchnął

bezradnie. – Dzwonić na policję – czy na pogotowie?

– Nic mi nie jest – wyszeptała. – To chyba tylko... te jagody. Niedobrze mi po nich...

– Jagody? Może narwałaś trujących? Majella, może się zatrowała?!

Majella nie odpowiedziała. Nagle wstała, zakryła dłońmi usta i wbiegała po schodach na piętro. Kiedy chwilę później Adler podążał jej śladem, posłyszał charakterystyczne dźwięki, dobiegające zza drzwi łazienki. Majella wymiotowała.

Na szczęście nie trzeba było wzywać pogotowia. Zatrucie osłabiło dziewczynę, lecz nie miało skutków śmiertelnych, wbrew temu, co wieszczył czuwający pod drzwiami łazienki sir George.

Kiedy było po wszystkim, to jest kiedy Majella zniknęła za drzwiami swojej sypialni wraz z wiernym psem Albertem, sir George udał się do swego gabinetu, by wypisać czek, zaś Adler z ulgą zamknął się w swoim pokoju. Natychmiast włożył do uszu słuchawki i włączył muzykę, by w ten sposób odciąć się od osobliwego życia rodzinnego sir George'a Wyatta. Uchylił okno, bo już dawała o sobie znać wisząca na wieszaku do ubrań padlina.

Tego dnia miał jeszcze do załatwienia parę pilnych spraw. Po pierwsze, musiał oskórować wiewiórkę, oczyścić jej szkielet i pozbyć się reszty. Nie zamierzał się do tego jakoś szczególnie przykładać, mimo że miał spore doświadczenie w przygotowywaniu trofeów. Tym razem chciał uzyskać efekt minimalny: szkielet i futerko miały się nadawać do ekspresowej wysyłki. Staranne przygotowywanie preparatów i trofeów było zajęciem nazbyt czasochłonnym, a dla postronnych także wybitnie obrzydliwym. Adler miał na swoim

koncie wiele godzin praktyki, wyniesionej zarówno z pracy przy kolekcji Klubu Zoologów, jak i ze swoich prywatnych łowów.

Jedno z pierwszych zadań, zleconych mu w Klubie przez profesora Fledermaus, polegało na przygotowaniu szkieletu nietoperza. Adler wykazał się wówczas inwencją, zaprzęgając do pracy kolonię chrząszczy z rodziny *Dermestidae*. Ich zadaniem było oczyścić kości z tkanki. Obserwacja chrząszczy przy pracy nie była relaksującym zajęciem, a dla osoby niewtajemniczonej w proces z pewnością wydałaby się makabryczna: oto mrowie robaków oblaźło zwłoki zwierzęcia i wygryzło jego skórę i wnętrzności aż po nagie kości. Z ciała, które przed chwilą jeszcze było ciepłe, został suchy szkielet, poskładany z dziesiątków malutkich kosteczek.

W zbiorach prywatnych, Adler najbardziej cenił swoje pierwsze duże trofeum: wspaniałe poroże starego kozioroźca syberyjskiego, *Capra sibirica*. Kiedy go ustrzelił, miał tyle samo lat, co jego ofiara: trzynaście. Rzecz miała miejsce w górach Azji Środkowej, gdzie ojciec zabrał go na włóczęgę w wakacje. To wtedy właśnie Adler przekonał się w praktyce, jak wygląda przykra procedura, jakiej musisz poddać głowę swojej ofiary, zanim zaprezentujesz ją światu. Na przygotowanie popisowego trofeum – masywnych, pięknie zakręconych rogów wraz z czaszką – zeszło mu kilka niewdzięcznych dni. Najpierw parzył kozi łeb w wielkim garze z wrzątkiem, wdychając wydobywający się przy tym cuchnący odór. Potem ściągał skórę i wydłubywał oczy. Pieczołowicie czyścił obleśne uzębienie kozy tak, aby każdy ząbek lśnił niczym perła. Dzielnie eksplorował podniebienie ofiary, wyłuskując zaschłe trawki. Wreszcie zalał całość żrącym

specyfikiem, który nadał porożu i czaszce barwę dziewiczej bieli. Pozostało rozkoszować się rezultatem.

Praca przy padlinie to niewątpliwie brudna robota. Ktoś może twierdzić, że obrzydliwa. Lecz dla studenta nauk biologicznych, podobnie zapewne jak dla studenta medycyny, słowo „obrzydliwy” po prostu nie istnieje. *Naturalia non sunt turpia* [59].

Po uporaniu się z wiewiórką, wysłał jej zdjęcia do profesora Reida. Dołączył parę słów komentarza i obiecał przesyłkę szkieletu i skóry na adres uniwersytetu. Po namyśle, porozysłał kopie wiadomości do paru innych zaprzyjaźnionych zoologów. Większość z nich przebywała akurat na badaniach w terenie, gdzieś w szerokim świecie, lecz nie mógł wytrzymać i po prostu musiał pokazać im swoje znalezisko. Bardzo liczył na ich odzew.

Reid odpisał niemal natychmiast:

Gdzie ty się podziewasz, Forbes?! Włóczysz się po Anglii i zbierasz gryzonie?? Fatalnie, że cię nie będzie na dzisiejszym spotkaniu klubowym. W całej kamienicy jest potwornie zimno! Bojler nawala, pieprzony antyk. Brakuje mi ciebie – ty zawsze umiałeś przemówić do rozsądku temu rupieciowi.

Adler uśmiechnął się pod nosem. Bojler nie działał i tak miało być... Nic im się nie stanie, jak trochę pomarzną, a utrzymanie niskich temperatur w siedzibie Klubu było konieczne.

Rory też nie zwlekał z odpowiedzią:

Dzięki za foty, choć wiesz, że nie takie lubię oglądać wieczorem. Ten zwierzak wygląda trochę jak wiewiór

z „Ice Age”, co nie? Zapytam Rossa, co to może być. Na pewno będzie wiedział. I wyluzuj: nie powiem mu, że to ty się pytasz.

Adler pomyślał, że Rory ma trochę racji: zwierzę rzeczywiście przypominało wiewióra z „Ice Age”. Tylko co by robiła w Pelham wiewiórka z epoki lodowcowej...? I dlaczego ktoś chciałby poderżnąć jej gardło?

Przypomniały mu się dziwne historie, zasłyszane w pubie od myśliwych. Niewyjaśniony spadek populacji zwierząt, rzekomy powrót wytępionych gatunków, trujące króliki, mięsożerne sarny. A do tego jego własna przygoda w lesie na Wzgórzu świętej Anny. Wszystko to było bardzo osobliwe. Wszystkie te zjawiska kumulowały się wokół miasteczka Pelham. Dlaczego?

Od pierwszego momentu, od chwili, kiedy tu przyjechał, czuł, że to miejsce jest odosobnione. Jego samochód zepsuł się w szczerym polu. Otaczał go falujący bezkres: blade, ciągnące się w nieskończoność łąny, pokreślane ciemnym zygzakiem zagajników i lasów. Polne ścieżki prowadzące donikąd, znikające gdzieś za dalekimi wzgórzami. Aż trudno było uwierzyć, że do obrzeży tętniącego życiem Londynu było niecałych czterdzieści mil, zaś do morza zaledwie dwadzieścia. Pelham leżało w dzikiej głuszy, tak jak jego rodzime Loch Mòr.

Wstał i wyjrzał przez okno. Przestało padać, wiatr ustał. Ciemny ogród spowijała siwa mgła. Oby jutro na polowaniu nie lało, to będzie fantastycznie. Uśmiechnął się, bo przypomniało mu się powiedzonko myśliwych: *mokry myśliwy i suchy rybak – obaj diabła warci*.

Nazajutrz o poranku nadal utrzymywała się mgła.

– Do południa się rozdmucha – rzucił optymistycznie sir Ralph, kiedy punkt dziewiąta spotkali się z Adlerem

w Badgers. Obaj byli zresztą w wyśmienitych humorach. – Chcesz ode mnie strzelbę, czy będziesz walił do bażantów ze swojego drylingu?

Adler odparł, że wybiera swoją trójlufkę.

– Jasna sprawa – rzekł Pearson wyrozumiale. – Kto raz spróbował, na nic nie zamieni, co?

Prócz Adlera, sir Ralph zaprosił na poniedziałkowe łowy Lionela i Davida van Langenbergów. Lionel był lokalnym dealerem Bentleya, zaś jego brat David parał się jakąś niejasną, lecz lukratywną działalnością. Panowie przybyli z ułożonym wyżłem, który wabił się Bull.

Towarzystwo ruszyło w pola.

Włości Pearsona były rozległe, obejmowały posiadłość Badgers z formalnym ogrodem i parkiem, a także lasy, grunta dzierzawione lokalnym farmerom, a nawet wycinek meandrującej rzeki Rother, nad brzegiem której sir Ralph chętnie wędkował, jeśli akurat nie był na polowaniu.

– Dzisiejsze polowanie jest raczej kameralne – wyjaśnił sir Ralph Adlerowi. – Ot, takie nieformalne spotkanie paru znajomych. Van Langenberga znam z klubu krykietowego. Zwykle w sezonie, zgodnie z naszą tradycją, zapraszam na łowy zgraję z całej Anglii. Minimum kilkanaście osób, najczęściej kilkadziesiąt. Pakujemy broń, jedzenie i psy i jedziemy przez wertepy land roverami do umówionego łowiska. W tym roku spodziewam się gości w listopadzie. Zapolujemy na bażanty z naganką. A potem będzie jeszcze jeden zlot na Boxing Day. Może chciałbyś do nas dołączyć?

– Taka impreza to bardziej spotkanie towarzyskie niż prawdziwe łowy – odparł Adler.

Kiedyś uczestniczył w tego typu polowaniach zbiorowych

w Szkocji i Yorkshire i potrafił sobie wyobrazić grono nadętych lordów, każdy z kieliszkiem porto w jednej dłoni i beretką w drugiej, umilających sobie pogawędkę o biznesach okazjonalnym strzałem do ptactwa, skierowanego przez specjalnie wyszkolonych naganiaczy prosto na lufę ich strzelby.

– Obawiam się, że nie znam definicji „prawdziwych łowów” – rzekł Pearson.

– Prawdziwe łowy są dzikie, bardziej spontaniczne – odparł z niepohamowanym entuzjazmem Adler. – Zabiera pan nóż i swoją ulubioną broń i zaczają się pan gdzieś w kniei lub w górach. Spędza pan tam wiele dni: tyle, ile będzie pan potrzebował – nie tylko po to, aby wytropić zwierza, ale żeby poczuć się jak on. W tym celu musi pan doskonale poznać jego zachowania, tryb życia, terytorium. Dopiero na końcu zmierzy się pan z nim – albo i nie. Tylko takie polowanie ma sens. Jeśli pan tego nie rozumie, wystarczy panu strzelanie do rzutków, sir.

– Ha, ha, ha! – roześmiał się tubalnie Lionel van Langenberg, który z ciekawością przysłuchiwał się rozmowie, okazjonalnie bicząc kijem mijane po drodze zarośla. – No to ci pokazał, gdzie jest twoje miejsce, Pearson! – Uderzył kijem i z gałązek krzewów poderwały się sójki i sroki.

Sir Ralph zawahał się, po czym rzekł do Adlera:

– Nie mogę się zgodzić z twoim zapatrywaniem na łowy. Jest godne dzikusa, a nie młodzieńca reprezentującego to, co najlepsze w zachodniej cywilizacji. Mówisz tak, jakbyś wierzył, że możesz przeistoczyć się w dzikie zwierzę, że twój umysł – umysł ludzki – może zniżyć się na tak pierwotne, instynktowne poziomy.

- A jak pan się zapatruje na łowiectwo, sir? - spytał Adler, choć sądził, że zna odpowiedź: dla Pearsona polowanie było niczym więcej jak tylko przyjemną, wiejską rozrywką, sposobem na zabicie wolnego czasu, którym dysponował w nadmiarze.

Sir Ralph odkaszlnął i odrzekł pompatycznym tonem:

- Łowiectwo to tradycyjny sport Anglii, udział w łowach uważam za obowiązek angielskiego dżentelmena. Poza tym jest to również forma zarządzania wiejskim majątkiem. Odstrzały nierzadko są konieczne.

- Nie spodziewałem się po panu innej odpowiedzi - mruknął Adler.

- Dobra, panowie - przerwał im nagle podekscytowany David van Langerberg - piesek wyczuł ptaki!

Wszyscy momentalnie umilkli i zajęli pozycje. Nastąpił moment maksymalnej koncentracji. Polowanie na bażanty ujawniało mistrzów, pomagało także demaskować marnych amatorów. Sprytnie wypłoszony bażant wystrzelał z kryjówki pionowo do góry. Aby zestrzelić ptaka unoszącego się ponad pięćdziesiąt jardów nad głową, myśliwy zadzierał dramatycznie strzelbę, praktycznie stawiając ją w pionie. Taki cel był nie lada wyzwaniem, znakomicie testował styl i umiejętności strzeleckie myśliwego. Oczywiście, wybór broni, kalibru i amunicji miał tu pierwszorzędne znaczenie.

Sir Ralph okazał się znakomitym strzelcem. Podobnie jak Adler, z bronią eksperymentował od dziecka. Pearson miał mnóstwo wolnego czasu, który przeznaczzał w większości na ulubione sporty. Strzelanie było jego pasją, a pieniądze umożliwiały mu testowanie dowolnego sprzętu. Nie stronił także od teorii - od czasu do czasu, na przykład w deszczowe

wieczory, lubił przeglądać zapiski innych doświadczonych strzelców. Jego ulubionym autorem był sir Ralph Payne-Gallwey, który całe swoje życie oddał eksperymentom strzeleckim. Pearson jeszcze w dzieciństwie przeczytał wszystkie tomy „Listów do młodego strzelca”, a „Strzelanie do bażantów w teorii i praktyce” przez długi czas było jego biblią.

Bażanta z łatwością można by ustrzelić, gdyby przysiadł na gzymsie Katedry świętego Pawła (wys. 100 stóp). Być może powiodło by się także, jeśli usiadłby na czubku Kolumny Księcia Yorku (46 jardów). Ale już z Kolumną Nelsona (54 jardy) strzelec nie miałby zapewne tyle szczęścia i na pewno nie powiodłoby mu się, gdyby ptak umyślił sobie spocząć na Monumencie upamiętniającym Wielki Pożar Londynu (67 jardów).

Są dwa powody, mniej lub bardziej niezależne od strzelca, dla których lecące wysoko bażanty są tak trudne do ustrzelenia. Pierwszy powód jest taki, że kiedy strzelec celuje do bażanta, za tło zazwyczaj ma jedynie niebo. W pobliżu nie ma wierzchołków drzew, które byłyby pomocne w określeniu pozycji ptaka, jego wysokości i prędkości lotu. Drugi powód to taki, że kiedy kilka ptaków nadlatuje razem, ich prędkości się różnią – najsilniejsze ptaki lecą najszybciej. Jeśli zatem strzelec mierzył do ptaków lecących wolniej, te szybsze – choć mogły mu się wcale nie wydawać takowe – najpewniej spudłuje [\[60\]](#).

Dzień był udany, mgła podniosła się z pól o wiele wcześniej niż zapowiadał sir Ralph. Już po dziesiątej okrągłe, pomarańczowe słońce przedarło się przez siwą poświatę i rozbłysnęło w całej okazałości. Psy sprawnie wypląsały

żerujące bażanty z młodników i wysokiej trawy. Ptaki były tłuste, gdyż na włościach Pearsona miały pod dostatkiem żeru. Do lunchu każdy myśliwy strzelił po pięć par lub więcej. Sir Ralph zaprosił wszystkich na poczęstunek do swojej rezydencji. Pokrzepili się tradycyjną nalewką z tarniny i ruszyli w stronę Badgers. Maszerowali dumnie z przytroczonym ptactwem, zabawiając się wymianą luźnych uwag.

– Ostatnio w łowiskach na południu pojawia się sporo obcokrajowców – zauważył sir Ralph. – Amerykanie, Francuzi, Rosjanie...

– Obcokrajowcy nie potrafią strzelać – rzekł pogardliwie Lionel. – Amerykanie nadmiernie się ekscytują i walą w ptactwo bez sprawdzania odległości. Potem zamiast tuszki mają pasztet.

Panowie roześmiali się, ubawieni poczynaniami zagranicznych idiotów.

– Jak się panu sprzedają bentleye? – zapytał Adler van Langenberga.

– Nie narzekam – odparł gładko Lionel. – Choć mam w okolicy poważną konkurencję. W Plumpton stara Lexi Herbert handluje rolls-royce'ami. Żebyś ty widział tę kukłę. Przeszła taki tuning pod skalpelem chirurgów plastycznych, że się nie zorientujesz, że to kiedyś całkiem normalna babka była!

– A kto tutaj kupuje takie samochody? Farmerzy? – nie mógł się nadziwić Adler.

– Farmerzy trzymają w swoich stajniach land rovery. Ale ja tam klienta o profesję nie pytam. Ważne, żeby miał gotówkę. Interes zaczynałem od samochodów używanych, teraz mam nowki. Większy popyt na nie jest. Trzeba ci wiedzieć, że

w okolicy mieszkają najbogatsi ludzie w hrabstwie. Większość robi kasę w Londynie, a tutaj przyjeżdżają, żeby się wyciszyć. Pozostali to zamożni emeryci. Oni już swoje skasowali i teraz mogą się wozić moimi bentleyami. Do Chichester i z powrotem!

– Według mnie, to rolls-royce'y są bardziej popularne wśród lokalnych emerytów – wtrącił David. – Typowy, brytyjski emeryt ma konserwatywne gusta. Z kolei bentley spodoba się bardziej młodym, agresywnym milionerom.

– Rolls-royce to symbol klasy i prestiżu – podjął odważnie sir Ralph.

Lionel uniósł brwi.

– A bentley niby czego? – chciał wiedzieć.

– Pieniądzy – odparł lekko Pearson. – Kasy.

Lionel pokręcił głową.

– Wiecie, panowie – rzekł – moglibyśmy się o to pewnie długo spierać, ale ja powiem wam, jaka jest prawda: mój klient nie zastanawia się, czy wybrać rolls-royce'a czy bentleya. Jeśli stać go na jedno, stać go i na drugie. Mój klient zastanawia się raczej nad kolorem lakieru, tapicerki i innymi detalami wykończenia. A swoją drogą, Ralph, czekam na twoją pierwszą wizytę w moim salonie. Konserwatywny sir Ralph Pearson przekracza próg salonu bentleya – powitałbym cię szampanem!

Sir Ralph uśmiechnął się enigmatycznie i cokolwiek sztywno.

Po posiłku, suto zakrapianym winem, wrócili w teren w doskonałych humorach. Nikomu już nie chciało się polować na serio. Adler wyciągnął procę i demonstrował burżujom, jak się ubija ptactwo przy pomocy prymitywnego narzędzia. Był

trochę pijany, więc za bardzo mu nie szło.

Późnym popołudniem wytrzeźwiał jednak na tyle, że zapragnął pozwiedzać nieco okolicę. Nadarzyła się doskonała okazja: jego kompani rozbili właśnie obóz pod rozłożystym jaworem, rzucili strzelby w trawę i raczyli się pomarańczową wódką domowej roboty. Jak zapewniał Lionel van Langenberg, pomarańcze pochodziły z ogrodów w Sewilli. Panowie życzyli Adlerowi powodzenia w eksplorowaniu włości Pearsona – żaden z nich, niestety, nie był w stanie towarzyszyć mu w trudach tej ekspedycji.

Adler przeskoczył przez zbutwiały parkan odgradzający posiadłość sir Ralpa od rozległych gruntów National Trust i ruszył skrajem pola. Na łąki powróciły mgły. W promieniach niskiego słońca płonęły korony starodrzewu. Na wciąż jasnym niebie zamigotał nieśmiało błydy półksiężyc. Było zimno i bardzo cicho. Nad polem przemknęła bezszelestna płomykówka.

Adler wyciągnął lornetkę, bowiem uznał sowę za zwiastuna: nastąpiła pora wieczornego żerowania, niebawem z kniei zaczną wyłaniać się ciekawsze zwierzęta. Nie był pewien, co dokładnie rozumiał przez „ciekawsze”, w końcu nie znajdował się w egzotycznej dżungli, tylko w sercu angielskiej prowincji. Udzielił mu się jednak osobliwy klimat tego miejsca, zdawało mu się, że odczuwa emanującą z lasów Pelham aurę, którą sir George witał z takim zaniepokojeniem, on zaś – z podekscytowaniem.

Przesuwał się niespiesznie wzdłuż krawędzi lasu, rejestrując mnóstwo pospolitej drobnicy: rdzawe kanie, rudziki, sroki. Lis rozgrzebujący jakąś padlinę. Czas mijał, a on wciąż czuł się jak widz przed rozpoczęciem spektaklu.

I wreszcie spektakl nastąpił.

Najpierw, w oddali, na tle ciemnej ściany lasu ukazał się blady kształt. Adler zmrużył oczy: czyżby to był jeleń? Zerknął przez lornetkę i w pierwszej chwili był przekonany, że to istotnie *Cervus elaphus* – jeleń szlachetny, król lasu! Co za gigantyczne poroże!

Jeleń nie dał się jednak długo podziwiać, gdyż niemal natychmiast rzucił się w podskokach ukosem przez pole. Zachowywał się dziwnie: nie jak zwierzę, które wyszło na żer, lecz raczej jak zwierzę ścigane.

Adler przyczaił się za pniem starego dębu o rozcapierzonych gniewnie konarach. Jeleń także przystanął pośród traw. Obrócił łeb w kierunku lasu i zastygł, jakby czegoś wyczekiwał. Znowu zapanowała absolutna cisza. Wszystko znieruchomiało, tylko mgła pełzła powoli, spowijając łąkę.

Naraz Adlerowi wydało się, że słyszy jakiś odległy, monotony dźwięk. Dźwięk nie nasilał się jednak, tylko burczał uporczywie gdzieś daleko stąd. Chłopak uniósł lornetkę i niedbale przesunął wzrokiem po okolicy. Nic się nie poruszyło. Nic nowego się nie pojawiło.

Wzruszył ramionami i skierował lornetkę na jelenia. Zwierzę uspokoiło się trochę, w każdym razie jego sylwetka nie była już tak nerwowo wyprężona. Cały czas spoglądało jednak nieruchomo w stronę ciemnej kniei.

Jeleń był potężny, dobrze zbudowany. Coś jednak w jego wyglądzie przestało Adlerowi pasować. Chłopak zmarszczył brwi i wyregulował ostrość. Jeleń poruszył się. Jego poroże oplatały białe wstęgi rzadkiej mgły. Wyglądały trochę jak poszarpany welon panny młodej.

Adler potarł oczy i jeszcze raz spojrzął w lornetkę. Już

wiedział. To poroże. To z nim coś było nie tak.

Poroże jelenia było zredukowane do dwóch grubych tyk, rozłożonych szeroko na boki. Tyki wyginały się do tyłu i zakrzywiały nietypowo ku dołowi. Przypominały poroże potężnego koziorożca. Z tyk wyrastały, niczym płomienie, pionowe odnogi różnej długości. Dwie dodatkowe odnogi nad oczami skierowane były do przodu – jak widły. Było coś straszego w tym porożu, a może nie w nim samym, lecz w tym groteskowym połączeniu dziwnych rogów ze szlachetnym zwierzęciem. Jeleń wydał się teraz Adlerowi wybrykiem natury. To nie był jeleń, tylko kuriozum. Zupełnie, jakby ktoś odpiłował rogi od baśniowego zwierza i przyczepił je na siłę do głowy dostojnego króla lasu.

Adler nie miał czasu się nad tym wszystkim głębiej zastanowić. Daleki, stłumiony dźwięk przerodził się naraz w warkot – tak szybko i znieścacka, jak nagły grzmot myśliwca nad górami Szkocji [\[61\]](#). Na pole wdarł się wojskowy uaz, stuningowany pod czyjeś ekstremalne gusta. Kamuflażowe nadwozie huśtało się na czterech olbrzymich oponach, tak niewyobrażalnie wielkich, że nie powstydziałaby się ich koparka czy też inna maszyna budowlana. Przedni i tylny zderzak wzmacniały masywne, stalowe rury. Na masce wymalowano jakąś flagę, lecz niknęła ona pod bryzgami błota.

Jeleń poderwał się i pognął zygzakiem przez pole. Maszyna zwolniła, sunęła teraz cichutko i powoli, niemal niezauważalnie. Zwierzę znów przystanęło, w obiektywie lornetki jego czarne oczy zionęły przerażeniem. Adler przesunął wzrok na wojskową terenówkę: zatrzymała się, a jakiś człowiek laźł po jej wzmocnionym, bocznym progu. Dotarł na tyły auta, zaczeplł się jedn rk o stalow rur,

drugą odryglował drzwi ciemnozielonego kontenera i natychmiast usunął się na bok. Z bagażnika wypadły dwa niewiarygodnie wielkie psy. Zeskoczyły na trawę i pognały w kierunku jelenia, wydając z siebie agresywny bulgot. Nieznajomy przysiadł na masce i wyciągnął lornetkę, by obserwować atak.

Adler nie miał wątpliwości: to byli kłusownicy.

Przygryzł w napięciu wargę i skierował obiektyw na pogoń. Psy były olbrzymie, superszybkie, przy czym działały z niewiarygodnym sprytem. Rozdzieliły się i pilnowały, by ścigana zwierzyna w żaden sposób nie mogła schować się z powrotem do lasu. Miała pozostać na ringu – na otwartym polu.

Jakiej rasy były te psy? Adler miał dziwne wrażenie, że już kiedyś widział podobne bestie. Widział takiego monstrualnego doga, z przerośniętymi muskułami i ociekającymi gęstą śliną kłami... Psy miały ciemne, niepozorne umaszczenie i doskonale zlewały się z leśnym otoczeniem. Jeleń skakał jak oszalały, bez żadnego pomysłu, to w tę, to zaś w drugą stronę. Potykał się i zdawał opadać z sił. Adler pomyślał, że taka była rola psów: zamęczyć zwierzę, osłabić je, by było łatwym celem.

Zrobiło mu się żal takiego okazu: jeleń był wyjątkowy, to kuriozalne poroże byłoby niesamowitym trofeum... Żal oddawać coś takiego w ręce tych bydlaków.

Sprawnym ruchem sięgnął po broń.

Tymczasem los jelenia zdawał się być przesądzony. Psy krążyły wokół jego rozedrganych kopyt, przymierzając się do skoku i ostatecznego ataku. Zaszczute zwierzę cudem wyrwało się bestiom i popędziło na oślep – w stronę dębu na

skraju lasu, za którym czaił się Adler. Psy natychmiast rzuciły się za nim.

Adler szybko odbezpieczył broń i wymierzył ją w jednego z wściekłych dogów. Przez chwilę myślał, że już za późno – pies właśnie podskoczył i wbił przednie łapy w tułów jelenia. Rogacz odwrócił się i zrobił coś tak dziwnego, że Adler zapomniał na moment o oddaniu strzału. Jeleń nie zachował się jak potulny roślinożerca, lecz jak atakowany drapieżnik. Rozchylił pysk i obnażył ostrzegawczo zęby. Od strony uaza dobiegły jakieś pokrzykiwania. Pies zawahał się. Jego ofiara wykorzystała moment i na powrót poderwała się do biegu. Jeszcze chwila, a uderzy łbem w pień dębu.

Naraz stało się coś niespodziewanego: kłusownicy wypuścili jeszcze jednego psa, prawdziwe monstrum, bestię. Bydlę było tak wielkie i tak wściekłe, że Adler był pewien, iż trzymano go w osobnej klatce, żeby nie porozrywał pozostałych zwierząt na zakrwawione strzępy. Olbrzym kłapnął paszczą i pocwałował w stronę jelenia.

Adler wiedział, że jeśli teraz nie strzeli, bestia zagryzie jelenia tuż pod jego nosem. A potem niechybnie zobaczy człowieka czającego się za pnem i...

Strzelił. Powietrze rozdarł nieznośny huk.

Pies podskoczył, trafiony kulą w klatkę piersiową. A potem tąpnął bezwładnie na ziemię. Pozostałe dwa psy odskoczyły na boki, dezorientowane, spłoszone. To była szansa dla ich ofiary – jeleń miał teraz wolną drogę do lasu.

I wtedy padł kolejny strzał – tylko że tym razem nie z broni Adlera.

Strzelał człowiek z uaza. Chciał zapewne trafić w jelenia, lecz zwierzę zdołało dać drapaka między drzewa, a potem

zniknęło w gęstym lesie. Kłusownik zawył. Potrząsnął bronią w geście irytacji i wyrzucił z siebie jakieś bełkotliwe słowa. Odpowiedział mu podobny bełkot ze strony kierowcy. Musieli dojść do jakiejś konkluzji, bo naraz strzelec stanowczym gestem przywołał pozostałe bestie. One jednak go zignorowały. Podniecone, podbiegły do zwłok olbrzyma. Przez chwilę krążyły wokół ciepłego jeszcze cielska, obwąchując je i ujadając. Adler mógł powiedzieć jedno: ich obnażone kły nie wróżyły nic dobrego. I rzeczywiście, nagle psy podjęły decyzję: rzuciły się na zwłoki i jęły je rozszarpywać. Po ich mordach spływała krew.

Adler nie mógł uwierzyć własnym oczom. Potrząsnął głową i przywołał się do porządku: czego innego mógł się spodziewać po takich potworach...?

W napięciu wpatrywał się w parę kanibali, gotów do oddania kolejnego strzału. Tym razem w obronie własnej.

Kłusownik tymczasem nonszalancko rozsiadł się na masce, skrzyżował po turecku nogi i zapalił papierosa. Broń złożył niedbale gdzieś na boku. Zaciągnął się i zmrużonymi oczami przyglądał się swoim pociechom. Najwyraźniej, roztropnie postanowił zaczekać, aż się najedzą. Adler też nie miał innego wyboru. Chwilowo mógł liczyć tylko na to, że krew olbrzyma przytępi bestiom węch.

Kolejne minuty ciągnęły się nieznośnie. Psy obzerały się ciałem swojego kumpla, kłusownik popalał, Adler zaś mierzył w łeb jednej z bestii. Od gapienia się w ten sam punkt zaczęły mu łzawić oczy.

Na łące znów było ciszej. Do uszu Adlera docierały strzępki zdań, jakimi wymieniali się kłusownik i jego kierowca. Nie potrafił odróżnić ani słowa. Może mówili w obcym języku?

Adler nie był raczej poliglotą. Prócz ojczystego języka, dobrze znał tylko niemiecki i łacinę. W chińskim stawiał pierwsze, w dodatku nader chwiejne kroki, a po hiszpańsku umiał jedynie zamówić drinka i wyznać komuś miłość – tyle zwykle wystarczało na wakacjach.

Strzępy rozmowy, które do niego teraz docierały, brzmiały jakoś inaczej, egzotycznie. Dziwny, szeleszczący język.

Adler na chwilę zapomniał o psach i ostrożnie wychylił się zza pnia, kierując lornetkę na uaza. Przyjrzał się człowiekowi siedzącemu na masce. Był to chudy młodzian o agresywnym wejrzeniu, ubrany w osobliwy strój. Młodzieniec miał na sobie długi, rozchełstany niedbale płaszcz wojskowy z jakiejś zamierzchłej epoki, z dwoma rzędami srebrnych guzików i futrzanym kołnierzem. Do tego założył kompletnie nieadekwatne do kłusowniczej akcji spodnie galowe z błyszczącej tkaniny. Egzotyczny cudak był boso; spod nogawek jego spodni wystawały długie, chude i niemiłosiernie brudne stopy.

Adler przesunął wzrok na jego towarzysza za kierownicą. Przełknął ślinę. Kierowca robił dokładnie to samo: obserwował Adlera przez lornetkę. Adler zauważył jedno: facet za kierownicą był znacznie poważniejszych rozmiarów niż ten na masce.

Chłopak oparł się plecami o pień i zabębnił palcami w chropowatą korę. Zauważyli go. Co teraz...? Znów posłyszał wymianę zdań. Usłyszał: *bliad'*, *suka*, *dieriewo*. Olśniło go: to był słowiański język. To musieli być Rosjanie! Rosjanie z Zamku, o których plotkowało całe miasteczko.

Tymczasem uczta kanibali dobiegała końca. Bestie wyglądały na ociążałe i zadowolone. Krążyły teraz leniwie

wokół poszarpanych zwłok, okazjonalnie szturchając je umorusanymi krwią pyskami.

Kłusownik zeskoczył z maski i przywołał psy. Głos miał ostry, zaczepny. Idealny raczej do rozjuszania bestii niż do przywoływania ich do porządku. Psy wolno uniosły łby i z ociąganiem ruszyły w jego stronę. W ich ciężkich, niedbałych stąpaniach Adler instynktownie wyczuwał coś złowieszczonego.

Kłusownik też nie był w ciemną bitą i chyba zdawał sobie sprawę, że jego krwiożercze pupile nie do końca uznają jego autorytet. Zamienił swój sztucer na glocka, gotów w każdej chwili rozwalić bestii łeb, gdy ta tylko wykona jeden fałszywy ruch.

Psy zbliżyły się do swojego pana, bujając na boki atletycznymi cielskami. Ten wydał komendę, by wskakiwały do kontenera. Jeden pies usłuchał i wskoczył do środka. Drugi jednak przystanął i obrócił głowę w kierunku Adlera. Dzielila ich odległość może czterdziestu paru jardów.

Pies zaczął nienawistnie bulgotać. Adler bez wahania wzięł go na celownik.

Kłusownik pojął zamiar Adlera i wściekł się. Ponowił komendę nagłym głosem, lecz pies go zignorował. Sytuacja była napięta. Adler miał świadomość, że rozwalił już jedną bestię Rosjan i że mogą mieć mu to za złe. Udaremnił im łowy i w ogóle zepsuł zabawę. Krótko mówiąc, nie wywarł na nich korzystnego pierwszego wrażenia. Ze starcia z Rosjanami nie mogło wyniknąć nic dobrego. Było ich dwóch, byli uzbrojeni i nieobliczalni.

W kontenerze zadudniło: to drugi pies zaczął ujadać. Wściekłe ryki zwabiły jego kumpla: bestia drgnęła i rzuciła się na tyły samochodu. W blaszanych ścianach załomotało.

Kłusownik z ulgą zaryglował drzwi. Adler opuścił broń.

Wojskowa terenówka błysnęła ostrzegawczo rzędem halogenów na dachu i potoczyła się przez pole. Zmierzała dokładnie w kierunku Adlera.

Chłopak wiedział, że musi im wyjść na spotkanie. Nie sięgnął po broń – i on, i kłusownicy mieli przy sobie narzędzia służące jedynie do zabijania. W takim arsenale nie było półśrodków. Kula na grubego zwierza nie znała słowa kompromis. Nie znało go też ostrze noża ani pocisk procy. Adler skrzyżował ręce i spod zmarszczonych brwi spoglądał na zbliżający się samochód. Uaz płonął w blasku zachodzącego słońca. W kontenerze grzmiały wściekłe dogi.

Kłusownik w wojskowym płaszczu wychylił się do połowy przez okno w przednich drzwiach. A raczej – wyskoczył jak klaun na sprężynie. Był porywczy, wymachiwał glockiem.

Jego skośne, zielone oczy świeciły dziko w bladej twarzy, pocętkowanej dziesiątkami brązowych piegów. Miał szalone wejrzenie młodego anarchisty z czasów Imperium Rosyjskiego. Cienie pod jego oczami przypominały barwy bojowe, jakich nie powstydziliby się żaden autentyczny dzikus.

– *Wali otsiuda, poka ja tiebie mordu nie nabił!* – warknął do Adlera i potrząsnął glockiem.

Adler nie zrozumiał ani słowa, choć ogólne przesłanie było oczywiste.

Tłumacz znalazł się niespodziewanie szybko.

– Wynocha, bo w łeb zajebie – odezwał się chrapliwy głos od strony kierowcy.

Adler zirytował się natychmiast.

– Powiedz mu, żeby wylazł i spróbował! – rzucił zaczepnie

do tłumacza. Nie spuszczał wzroku z dzikich, iskrzących oczu jego towarzysza.

Nastąpiła krótka przerwa techniczna, związana z tłumaczeniem. Zielonooki przyjął wyzwanie: wyskoczył z samochodu, sprężył się i w oka mgnieniu, demonstracyjnie rzucił glocka na siedzenie i trzasnął drzwiczkami.

Adler także zwałił swój osprzęt na trawę.

– No i o co chodzi, ruski klaunie?

Chodziło zapewne o rozstrzelanego potwora, którego pomazane krwią żebra sterczały pośród traw jak chwiejne rusztowanie.

Rzecz dziwna, Adlera jakoś nie gryzły wyrzuty sumienia. Rosjanin ruszył w jego stronę.

– *Ja skazał, wali otsiuda* – zawarczał. – *Ty szto, głuchoj?*

Adler wskazał na obgryzione zwłoki.

– Chyba nie będziesz płakać po tym smoku? – zadrwił. – Wyświadczyłem ci przysługę: jeden mniej. Zupełnie nie panujesz nad swoimi kundlami.

Rosjanin obrócił się we wskazanym kierunku. Chyba pojął, o czym mowa.

– *Za eto ja tiebia ub'ju!* – ryknął i pogroził Adlerowi pięścią.

Adler zignorował jego rozgorączkowany bełkot i wymowną gestykulację.

– Skąd ty się w ogóle urwałeś? – Przyjrzał się krytycznie staremu płaszczowi, zwisającemu z chudych ramion Roskiego.

– Wyglądasz jak bolszewicki bojownik. Taką modę macie w Rosji?

– Roześmiał się. Był pewien, że Rosjanin go nie rozumie.

Był w błędzie. Albo to słowo „bolszewicki” podziało na Ruskiego jak płachta na byka.

– *Ty, bliad’, smiejoszsia? Dawno po jebału nie połuczył?!*
– Rosjanin pchnął Adlera w ramię i przygotował pięści do walki.

Adler przestał się śmiać. Ruski nie żartował. Odepchnął jego łapy, ale ten natarł ponownie. Ręce Rosjanin miał cienkie, lecz bardzo silne. Dodawał sobie animuszu bluzgami w swej ojczystej mowie.

Obaj przeciwnicy byli podobnego wzrostu: Adler mierzył sześć stóp, Ruski trochę więcej. Adler rekompensował sobie jednak stratę paru cali bardziej muskularną sylwetką.

Rosjanin znów zamachnął się do pchnięcia. Adler w lot zablokował jego pięść jedną ręką. Łokciem drugiej walnął go w obojczyk i zacisnął palce na barku, a potem szarpnął ku dołowi. Ruski stęknął i rozstawił szerzej nogi, by złapać równowagę. Adler trzasnął go w bok głowy i powalił kopniakiem w nogę. Rosjanin runął na brzuch, załopotwały poły jego płaszcz.

Kierowca flegmatycznie uniósł jedną brew. Wyraźnie nie miał zamiaru włączać się do szczeniackiej bójki.

Ruski tymczasem nie poddał się, lecz niemal natychmiast wykrzesał siły, by wstać. Adler dopadł go i bez namysłu pchnął z powrotem na ziemię. A potem sam zwałił się na niego, zakleszczając tułów Ruska pomiędzy nogami. Naparł nań całym ciężarem swego ciała, gotów do zadawania dalszych ciosów.

Ku jego zdumieniu, Ruski nagle zaczął się śmiać. Było w tym śmiechu coś perwersyjnego. Zielone oczy Rosjanina błyskały dziwnym ogniem. Zbity z tropu, Adler na moment

stracił kontrolę. To wystarczyło, by Ruski szarpnął go za ramię. Adler stracił równowagę i zarył twarzą w mokrą ziemię.

Teraz to Ruski usiadł na nim okrakiem i szczyrzył się bezczelnie.

Adler ze złością wypluł ziemię i z całych sił odepchnął go na bok.

Trzasnęły drzwi samochodu.

– Jegor! – wychrypiał zaalarmowany głos kierowcy. – *Wsjo, chwatit! Dawaj walim otsiuda!*

Ruski i Adler, obaj jeszcze na klęczkach, zwrócili ku niemu głowy.

– *Walim, bystro!* – ponaglił zniecierpliwiony kierowca i wskazał potężną łapą gdzieś w dal. Jegor syknął. Wyraźnie nie chciał przerywać zabawy.

Adler zmrużył oczy i zauważył dwie ciemne figurki płynące skrajem pola przez gęstniejącą mgłę. Myśliwi lub spacerowicze z Pelham na wieczornej przechadzce z psami.

Jegor zaklął i zwinnie poderwał się z ziemi. Adler skoczył na równe nogi. Ani myślał spowiadać się lokalnym ze swojej schadzki z Rosjanami.

Jegor zawahał się. Splunął w bok i wycelował palcem w Adlera.

– *Słysz ty – rzucił – ty nachuja lieziosz w ciużyje diela! Dumajesz, szto ty gieroj kakoj-to? Wot, ja tiebie skazu: ty idiot! Sowsiem nie ponimajesz, szto zdies' proischodit.*

Z tej całej przemowy Adler wyłowił jedno słowo–klucz: idiota.

Natarł na Ruska z pięściami.

– Licz się ze słowami, bolszewicki klaunie! – warknął.

Rosjanin odepchnął go i nagle spowaźniał. A potem zlitował się nad Adlerem i przemówił w jego ojczystym języku.

– Nie masz pojęcia, co się tutaj dzieje – rzekł z silnym, dziwnym akcentem. – Przez ciebie groźny mutant zwiął. Las zaleje się krwią.

Obrzucił Adlera długim, niewesołym spojrzeniem, po czym włożył ręce do kieszeni płaszcza, odwrócił się i odszedł w stronę samochodu.

MADONNA

*Niektóre małpy
lubią bardzo kawę, herbatę oraz napoje wysokokowe,
a zdarza się nawet, że palą fajki [62].*

C.R. Darwin

„PRZEZ CIEBIE groźny mutant zwiął. Las zaleje się krwią”. Słowa te Rosjanin wypowiedział z dziwną powagą i niezrozumiałym dla Adlera wyrzutem. Kłusownik był zły. Był zły na Adlera, bo winił go za ucieczkę „mutanta”. A co nazywał mutantem? Tego jelenia z porożem jak ze strasznej baśni? Czy taki jeleni mógł być groźny? I niby dlaczego las miał zalać się krwią...?

Te pytania nie dawały Adlerowi spokoju od chwili, gdy rozstał się z Rosjanami na środku skąpanego w czerwonej poświacie pola. Wojskowy uaz dał drapaką gdzieś w dal, przez zamglone łąki. Adler wdarł się w szarą knieję i pobiegł

w stronę miasteczka.

Kiedy wypadł na High Street, powitała go niemal bezludna ulica i uśpione w szarówce kamienice. Tu i ówdzie pobłyskiwały żółte latarnie i witryny sklepików. Od pół ciągnął ziąb. Nisko, po krzywych, chodnikowych płytkach pełzała popielata mgła.

Adler przystanął na krawężniku i przepuścił parę samochodów, wjeżdżających do Pelham od strony Chichester i Portsmouth. To mieszkańcy miasteczka wracali po skończonym dniu pracy. Chłopak wyciągnął telefon i ujrzał stos nowych wiadomości i nieodebranych połączeń. Andy Frost z warsztatu dzwonił do niego parę razy i zostawił mu wiadomość głosową. Adler odsłuchiwał jej ze stosownym przygnębieniem. Były to złe wieści:

Frost zrobił wstępne rozpoznanie cen części i szacunkowy koszt naprawy niebezpiecznie zbliżył się do aktualnej wartości auta. Frost prosił o kontakt, między dziewiątą a piątą. Adler stracił humor. W takiej cenie można by sobie sprawić godnego, choć używanego, następcę Defendera. Ale nie w tych okolicznościach. Nie w Pelham, tym dziwnym, odludnym miasteczku, którego mieszkańcy znają tylko luksus. Tutaj handluje się wyłącznie luksusem. Mógłby więc sobie co najwyżej podejść do salonu Lionela van Langenberga i pooglądać przez szybę jego wypolerowane bentleye. Może nawet dostałby zniżkę po znajomości, ha, ha...

Trudno. Samochodem trzeba będzie zająć się jutro. Dzisiaj za to należało koniecznie pogadać z Wyattem.

W ogródku przed St John's Cottage niespodziewanie spotkał tę niemowę, Majellę. W mglistych oparach wyglądała jeszcze bardziej eterycznie niż zwykle. Wyglądała jak duch

zamordowanej przed laty dziewczicy. Albo coś w tym rodzaju.

– Hej – rzucił w miarę pogodnym głosem, by nie wypłoszyć zjawy. – Sir George jest w domu?

Majella drgnęła i spuściła wzrok. Jej oczy jak zwykle kryły się pod jasną grzywką. Adler zauważył, że w dłoni obracała raketę do badmintonu. Miała bardzo małą dłoń. Jak dziecko.

– No, dobra – westchnął z rezygnacją. – Jeśli to jakaś tajemnica, to sam sprawdzę. – I ruszył w stronę żółtych drzwi.

Drzwi były zamknięte. Nacisnął guzik dzwonka.

– Zamknął drzwi na klucz – odezwała się nagle Majella. Jej cichy głos zabrzmiał dziwnie złowieszczo w zamglonym ogrodzie. – O tej porze nigdy tego nie robił – dodała. – Zawsze czekał, aż wrócę ze szkoły.

Dopiero teraz zauważył, że Majella była ubrana w mundurek jakiejś elitarnej szkoły. Miała na sobie granatową minispódniczkę w kratę, białą bluzkę z krawatem i czerwoną marynarkę.

– Dzwoniłaś do niego? – zapytał.

Skinęła głową.

– Nie odpowiada?

Znów potwierdziła skinieniem głowy.

– A ty nie masz kluczy. – Nie musiał o to pytać. To było oczywiste.

Rzucił na trawę swój myśliwski ekwipunek i zaczął obmyślać jakiś szybki i potencjalnie skuteczny plan działania.

– Trzeba go poszukać. Podzwonić po znajomych. Orientujesz się pewnie, z kim tu się przyjaźni? Ralph Pearson i tak dalej.

Patrzyła na niego nieruchomo. A może nawet usnęła, kto ją tam wie. Jej oczu nie było widać zza grzywki.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała nagle.

– Jasne, a u ciebie? – odparł nieuważnie.

I wtedy uświadomił sobie, skąd wzięło się jej pytanie. Był przecież brudny, wysmarowany błotem od tarzania się po ziemi z Ruskim. We włosach miał liście jak jakiś pieprzony Green Man.

Na twarzy piekły go skaleczenia.

– U mnie też w porządku – odpowiedziała ostrożnie.

– Przeszło ci po tych jagodach?

Nie odpowiedziała. Zadarła głowę i przyglądała się koronie starego kasztanowca. Na pojedynczych, bezlistnych gałęziach przysiadły czarne wrony.

– Nie lubię wron – szepnęła.

– Dlaczego? – zdziwił się Adler. – To bardzo inteligentne ptaki.– Są takie złowieszcze... – Wzdrygnęła się i opuściła wzrok.

Chciał się z nią sprzeczać, lecz w tym momencie przyszła mu go głowy pewna niepokojąca myśl: a co jeśli za zniknięciem sir George'a stoi Gary Finneran, ten hodowca dyń? Co jeśli postanowił zemścić się jakoś perfidnie na bezbronny Wyatt'cie?

– Trzeba zacząć od Finneranów – postanowił. – Idę do Pumpkin Cottage! Majella, ty tu zostań i czekaj, może twój dziadek zaraz wróci. W międzyczasie, zacznij dzwonić po jego znajomych.

Majella podniosła na niego wystraszone oczy. On jednak nie rozumiał uczuć, jakie targaly spłoszoną małolatą.

– Idę! – rzucił stanowczo. – Jeśli sir George wróci pod moją nieobecność, dajcie mi znać. – Nie chciał się napażać z porywczym Finneranem bez dobrego powodu.

Ale nie zdążył nawet przekroczyć furtki, gdy do ogrodu wtoczyła się znajoma, obła sylwetka.

– Dziadziu! – wykrzyknęła Majella. – Gdzie byłeś? Dlaczego zamknąłeś drzwi na klucz?

Adler odniósł wrażenie, że sir George jest cokolwiek zmieszany. Dżentelmen poprawił z godnością krzykliwą muchę i rzekł nieco protekcyjnie:

– Wybrałem się na przechadzkę.

Adler zerknął z ukosa na buty Wyatta i uśmiechnął się pod nosem: no proszę, sir George w gumowcach!

– Ale dlaczego zamknąłeś drzwi? – forsowała Majella. – Nigdy przedtem tego nie robiłeś!

Sir George odchrząknął.

– Takie czasy nastały, moi drodzy, że trzeba ryglować drzwi w swoich domach. – Westchnął i wyciągnął pęk kluczy. – Czy to nas ochroni przed złem? Chciałbym wierzyć, że tak.

Pchnął drzwi. Stare drewno zaskrzypiało złowrogo. Brzęknęła stara, żelazna podkowa. Adler przyjrzał się jej w zamyśleniu. Niegdyś wierzono, że podkowa ma moc odpędzania złych duchów. Szatan zawarł pakt ze świętym Dunstanem z Canterbury: obiecał, że będzie omijał domostwa, na których drzwiach ujrzy podkowę. Czy sir George naprawdę czuł obecność złych sił? Czy naprawdę wierzył, że przed złem może go ochronić kawałek żelastwa?

– Chciałbym pana o coś zapytać, sir – powiedział Adler nagląco, kiedy Wyatt nasycił się wreszcie wieczerzą. Pani Chapman upichciła niewyszukaną, lecz smaczną kompozycję

z polędwiczek wołowych i pieczonych ziemniaków.

Sir George drgnął i podniósł oczy na Adlera. Odkąd powrócił ze spaceru, był dziwnie rozkojarzony i milkliwy.

– Oczywiście, proszę pytać – odparł. – Słucham.

– Chciałbym, żeby mi pan opowiedział wszystko, co panu wiadomo o Zamku w Pelham.

– Wszystko? – sir George uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Interesuje mnie głównie historia najnowsza – dodał szybko Adler. – Plus mapy terenu, jeśli udało się panu dotrzeć do jakichś.

– Skąd to nagle zainteresowanie Zamkiem?

Adler zignorował pytanie.

– Co pan wie o Bazinie? – przycisnął. – O tych ludziach, którzy teraz tam mieszkają. Ilu ich jest? Kim są? Czym się zajmują?

– Przecież pan wie, panie Adler, że właściwie nikt z miasteczka nie posiada wiedzy w tym temacie – odparł sir George z rozdrażnieniem.

– Wspominał pan, że sir Ralph miał jakąś przygodę z Bazinem? – nie ustępował Adler.

– Bo miał – odparł niechętnie Wyatt. – Ale to była prywatna przygoda sir Ralpa. Jeśli on zechce ją panu opowiedzieć, może uda mu się zaspokoić pańską ciekawość. Ja osobiście nie czuję się upoważniony. Zresztą, nie znajduję w tej historii nic szczególnie zajmującego.

– Ja mam pomysł, kto może wiedzieć coś o Bazinach – wtrąciła niespodziewanie Majella.

Podczas wspólnego obiadu nie odezwała się ani razu. W milczeniu skubała widelcem zieleninę lub uporczywie

wpatrywała się w swój talerz.

Sir George rzucił jej karcące spojrzenie.

– A kogóż obchodzą twoje pomysły, dziecko? Ty mi lepiej powiedz, czy rozwiązałaś już zagadkę algebraiczną pana McAra. Pan McAra to jeden z tych świrniętych matematyków – wyjaśnił Adlerowi. – Wie pan, tych, co to nie widzą świata poza cyframi i innymi śmiesznymi znaczkami. Moja wnuczka uczęszcza do Bury Hill School. To prestiżowa szkoła: na nauczycieli przygarniają rozmaitych cudaków z Oksfordu. Pamiętaj, że na tę szkołę idzie cała książeczka czekowa twojego ojca – przypomniał groźnie dziewczynie. – Wszystkie zagadki mają zostać rozwiązane.

Adlera nie obchodził pan McAra i jego matematyka. Pochylił się w stronę Majelli.

– Powiedziałaś: Bazinach? To tam mieszka cała rodzina?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy cała – odparła. – Na pewno jest ojciec i syn. Ailith mi powiedziała, a ona wie od Jean Chambers. Jean to lokalna pośredniczka nieruchomości luksusowych. – Majella zawahała się, po czym wyznała: – Ailith chce zaprosić tych Bazinów na wielką imprezę, która odbędzie się za dwa tygodnie, dokładnie w Halloween. Może też przyjdiesz? – zapytała, patrząc uparcie w rozszarpaną sałatę na swoim talerzu.

Sir George oniemiał, Adler zaś odparł trzeźwo:

– Nie sądzę. Za dwa tygodnie będę już z powrotem w Szkocji.

– Ciebie też nie będzie na tej imprezie – pocieszył wnuczkę Wyatt.

– Dlaczego? – zdumiała się.

- Bo będziesz wtedy w domu ze swoim dziadkiem - wyjaśnił jej. - Wbrew pozorom, z tym starcem łączy cię więcej niż z wychowanką Love'a. Ciebie i ją, powiedziałbym, dzieli wszystko: wiek, rasa, klasa społeczna...

- A ty i ja, twoim zdaniem, różnimy się tylko wiekiem?...

- To odważny wniosek - odparł spokojnie. - Ma on przy tym, zauważ, konkretne implikacje: z różnicy wieku wynika olbrzymia przepaść pomiędzy twoją znikomą znajomością życia, a moją ogromną wiedzą na temat pułapek, jakie ono nieustannie na nas zastawia...

Adler pomyślał, że przed awanturą uratował ich tylko nienaturalnie flegmatyczny i przytępiony do granic temperament Majelli. Dziewczyna podniosła się od stołu, lekko i bez słowa, i niczym obrażony duch rozmyła się w ciemnym korytarzu za drzwiami jadalni.

Po jej wyjściu Adler powiedział poważnie do Wyatta:

- Podejrzewam, sir, że pańska historia ze Wzgórza ma szersze tło. Dobrze by zatem było, gdyby nie chował pan przede mną istotnych faktów lub wskazówek. Musi pan być za mną szczery, jeśli chcemy rozwiązać wspólnie tą zagadkę.

Sir George poruszył się niespokojnie w swoim krześle. Mebel zatrzeszczał zdradziecko.

- Panie Adler, czy uważa pan, że coś przed panem ukrywam?

Adler nie odpowiedział. Zabębnił palcami w stół, po czym zapytał znienacka:

- Gdzie pan dziś był na spacerze, sir?

- Tu i tam - odparł niewinnie Wyatt, przyglądając się swoim dłoniom.

- Aha.

- Wie pan, żąda pan szczerości, a sam nie chciał mi pan opowiedzieć o swojej nocnej przygodzie na Wzgórzu – rzekł obronnym tonem sir George. – Albo na przykład dzisiaj: czy mam uwierzyć, że tak się pan poturbował na polowaniu z Ralphem? Otóż nie uwierzę w to nigdy. Pearson poluje od lat i nigdy nie ponosił z tego tytułu strat na swoim wizerunku. A proszę tylko spojrzeć na siebie w lustro! Mamy więc swoje tajemnice. Jednak zapewniam pana, że mój mały sekret nie pomoże nam w zrozumieniu szerszego tła, o którym pan wspominał.

Kiedy wstali od stołu, sir George dodał jeszcze, tonem nieco pogodniejszym:

- O Zamku chętnie panu opowiem. Obawiam się jednak, że mogę dyskutować jedynie o jego architekturze oraz historycznych mieszkańcach. Ze słów mojej wnuczki wnioskuję, że o obecnym właścicielu więcej mogłyby panu powiedzieć lokalne kobiety – naturalnie, jeżeli zadowolili się pan plotką. Moglibyśmy zaaranżować stosowne spotkanie. Jeżeli będzie to absolutnie konieczne – dodał z rezygnacją.

Nie musieli jednak niczego aranżować. Okazja do spotkania z lokalnymi kobietami – i nie tylko – nadarzyła się całkiem niespodziewanie, kiedy to do Pelham zawitał londyński finansista, Nick Love.

Love nawiedzał swą wiejską rezydencję zazwyczaj tylko w weekendy, w tym tygodniu jednak pojawił się na wsi już w środę wieczorem.

- Brytyjska kolej wkroczyła w nowy sezon – wyjaśniał znajomym. – Sezon opadania liści [\[63\]](#). Liście, te skurczybyki, opadają bezczelnie na trakcję i paraliżują ruch kolejowy

w kraju.

Diabelskie nasienie! Co roku to samo: wielogodzinne opóźnienia, skasowane połączenia. Postanowiłem przyjechać wcześniej, zanim nastąpi prawdziwy paraliż, bo inaczej nie zobaczyłbym swojej córki do połowy grudnia! Powiedziałem swoim kumplom z City: „Jadę na wioskę, zanim kolej zgrzebie się w liściach. A wy dopilnujcie, żeby pod moją nieobecność nie zawalił się londyński rynek finansowy”!

Love postanowił uczcić swój przedwczesny przyjazd, organizując przyjęcie w swojej rezydencji. Przyjście miało odbyć się we czwartek i zaproszeni byli na nie kumple Nicka z King's Head. Nie wszyscy, lecz tylko ci, którzy posiadali solidny, roczny dochód, ładną żonę lub chociaż tytuł honorowy. Na liście gości znalazł się także Adler – Love bardzo chciał poznać młodego człowieka, któremu udało się zyskać sympatię lokalnej konserwy: sir George'a Wyatta i sir Ralpa Pearsona.

Adler przyjął zaproszenie. Wiedział już, że nie opuści miasteczka tak prędko, jak się pierwotnie spodziewał, a przyczyną opóźnienia wcale nie był sezon opadania liści.

Wciąż jeszcze nie otrzymał od znajomych zoologów żadnego cennego komentarza na temat znaleziska ze Wzgórza świętej Anny. Na początku tygodnia wysłał do Edynburga przesyłkę z unikalnym materiałem zoologicznym. Początkowo odbiorcą miał być tylko profesor Reid. Jednak po namyśle Adler zdecydował się wysłać paczkę na adres uniwersytetu, dopisując do odbiorców jeszcze parę innych nazwisk. Obiektywnie patrząc, było to sensowne rozwiązanie: im więcej ekspertów obejrzy zawartość, tym większa szansa na konkretne konkluzje. Podświadomie jednak zdawał sobie

sprawę, że z jakiegoś powodu nie darzy już Reida takim zaufaniem, jak kiedyś. A może to nie o zaufanie chodziło, tylko o zwykłą sympatię. Po ich ostatniej rozmowie w Edynburgu, czuł pewien niesmak. Ta cała gadka o zoologicznym biznesie... Jakoś nie mógł się pogodzić z nową filozofią profesora.

W pierwszej połowie tygodnia, pomimo zjadłego deszczu, zorganizował kilka wypraw w okolice Pelham. Nie wyniósł z nich nic, prócz lepszej znajomości lokalnej topografii. Parę razy towarzyszyli mu Pearson i ten lokalny wojownik, Keith Wood. Razem brnęli przez błota, wymieniając się uwagami na temat ukrytej po lasach zwierzyny. Ich wspólne wyprawy kończyły się zazwyczaj w pubie King's Head, gdzie Adler spędzał długie godziny, wysłuchując dziwnych opowieści stałych bywalców. Wieczorami nadrabiał zaległości z uczelni w przyjemnej bibliotece sir George'a. Odkrył jednak, że po całym dniu spędzonym na włóczędze przez pola i lasy, nie miał jakiegóż szczególnej ochoty na wysiłek umysłowy. Ziewając przeraźliwie, padał w fotel przy kominku i jednym, sennym okiem przeglądał wykłady na tablecie, leniwie pukając palcem w wyświetlacz. Zwykle zasypiał podczas słuchania komentarza do wykładu. Dobrze, że nikt go nie widział, jak chrapie nad notatkami z genetyki. Najlepszy student roku.

Stypendysta prestiżowej Fundacji imienia Charlesa Darwina...

Tym, co najbardziej pochłaniało obecnie jego myśli, było poniedziałkowe starcie z rosyjskimi kłusownikami. Zastanawiał się, kim tak naprawdę byli ci ludzie. Dlaczego ścigali tamtego jelenia? Skąd wytrzasnęli sforę krwiożerczych psów nieznaney rasy? Co miały oznaczać słowa, które kłusownik rzucił do

Adlera na odchodnym...?

Adler podejrzewał, że byli to Rosjanie z Zamku, o ile dobrze rozszyfrował ich dziwaczny język. Jeden z nich, kierowca, mówił zresztą także po angielsku. Nazwisko „Bazin” nie padło ani razu, ale i okoliczności nie sprzyjały wzajemnym prezentacjom. Rosjanie wydali się Adlerowi egzotyczni i dzicy. Nawet jeśli któryś z nich był tym nowym właścicielem Zamku, to ich poczynania w lesie były podejrzane. Przeprowadzali przecież jakąś dziwną, lecz niewątpliwie zorganizowaną akcję. Nie było to zwykłe polowanie. W łowach nie biorą zazwyczaj udziału takie psy, naładowane morderczą agresją kanibale. Na zabawę też to nie wyglądało. No chyba że Ruscy mają inne zapatrywanie na to, co jest dobrą zabawą. Wydawało się jednak, że nie do końca panowali nad swoją sforą. Nie oplakiwali też specjalnie bestii, którą położył Adler. Nie robili mu z tego tytułu wyrzutów. Może nie było im żal tego potwora. A może po prostu mieli takich więcej – tak wiele, że śmierć jednego nie robiła im żadnej różnicy...?

Jedna rzecz ich rozjuszyła: ucieczka jelenia. To o niego chodziło w tej całej akcji. Rosjanie zorganizowali obławę. Obławę, którą udaremnił im Adler. To dlatego tak się na niego wkurzyli. Wciąż jednak nie rozumiał, czemu aż tak im zależało, aby dopaść to zwierzę. I dlaczego potrzebowali do tego sfory bestialskich psów? Jeleń był nietypowy, to prawda. Miał groteskowe poroże jakiegoś mitycznego stwora. Adler doskonale pamiętał też moment, w którym rogacz obrócił się ku swojemu oprawcy i obnażył kły. Zareagował jak drapieżnik. Czy to dlatego Rosjanin nazwał go mutantem...? Czy w ogóle miał na myśli jelenia? Może chodziło mu o jakieś inne zwierzę lub w ogóle o coś innego. Może Adler źle go zrozumiał...?

„Przez ciebie las zaleje się krwią”. Czyżby Ruski chciał go nastraszyć? Las zaleje się krwią. A może to jakieś powiedzonko kłusowników ze Wschodu. Pozdrowienie łowców...?

Jednego był pewien: oni coś wiedzieli. Wiedzieli więcej niż lokalni myśliwi – ci ostatni mieli tylko nieskonkretyzowane podejrzenia. Adler głowił się nad rolą Rosjan w tej całej zagadce. Czy sprowadzała się jedynie do wyłapywania osobliwych okazów?

W jego głowie mnożyły się pytania, na które nie znał odpowiedzi. Wiedział jednakże, gdzie mógłby zacząć ich szukać. Czuł, że jego wizyta na zamkowych mokradłach była już tylko kwestią czasu.

„Nie wracam w tym tygodniu na uczelnię”, pisał do swoich znajomych i wykładowców w Edynburgu. „Zatrzymały mnie sprawy w Anglii. Plus nie mam czym wrócić – Defender padł”.

Wyglądało na to, że stary land rover dokonał żywota w West Sussex. Razem z Frostem z warsztatu, doszli do konkluzji, że najlepiej będzie zezłomować weterana szkockich szos i wertepów.

– To rozsądna decyzja – twierdził Frost. – Zezłomować, wyrejestrować. Pomożemy z papierami i całą procedurą. – A zerknąwszy na minę Adlera, dorzucił: – Żaden wóz nie jest nieśmiertelny.

Chyba się liczyłeś z takim zakończeniem, co?

– Liczyłem się, wiadomo – odparł chłopak. – Ten wóz był starszy ode mnie. A mam dwadzieścia lat – wyznał ponuro.

Sir George bardzo się przejął kłopotami Adlera.

– Mam okropne wyrzuty sumienia! – mówił. – Powiniennem był postawić panu bilet kolejowy, a nie zmuszać pana do tak

długich wojaży własnym samochodem.

Sir Ralph był bardziej konstruktywny w swym współczuciu.

- Z przyjemnością użyczę ci mojego pickupa - rzekł wspaniałomyślnie. - Ma wszystko, co lubisz: napęd na cztery koła, terenowe opony, automatyczną skrzynię biegów i osłonę podwozia. Do tego kupa elektroniki, na pewno nie zdążysz się znudzić. Ja nie przepadam za japońskimi samochodami. Preferuję rodzimą produkcję.

Adler nie wahał się ani chwili. To była propozycja nie do odrzucenia. Toyota sir Ralpa, spersonalizowana pod wysokie wymagania i wyszukane gusta właściciela, otwierała nowe możliwości. Takim wozem można było wyjechać na bezdroża i eksplorować okolicę. Może nawet udałoby się wtargnąć na podmokłe ziemie Bazina?

Sir Ralph przekazał Adlerowi kluczyki we czwartek, dzień po tym, jak padł ostateczny werdykt w warsztacie Frosta. Chłopak wybrał się na przejażdżkę na otarcie łez. Rozparł się wygodnie w miękkim, skórzanym fotelu, włączył silnik i ruszył. Podwójne, chromowane rury wydechowe wydały przyjemny, basowy pomruk. Ekran nawigacji wyświetlił mapę nieznanego terenu.

Przestało mu się spieszyć z powrotem do Szkocji.

Czwartkowe przyjęcie u Nicka Love było luksusową wersją tradycyjnej popołudniowej herbaty.

Oprócz herbaty, zaserwowano szampana, parzoną kawę oraz płynną czekoladę z kostkami ze słodkiej pianki. Na srebrnych, trzypiętrowych tacach podano wyszukane przekąski: gorące rogaliki z migdałami, kolorowe makaroniki z luksusowej, francuskiej piekarni, maleńkie ptysie z bitą śmietaną, cieniutkie kanapki w kształcie paluszków

z delikatnego chleba, posmarowane masłem i przełożone zielonym ogórkiem, wędzoną szynką lub łososiem. W srebrnych salaterkach piętrzyły się egzotyczne bakalie i drobne owoce. Na stolikach stały wazony z pachnącymi, świeżo ściętymi kwiatami.

Dzień był słoneczny i jak na październik dość ciepły, zatem goście zebrali się w ogrodzie. Adler przybył z sir George'em oraz Majellą, która nie potrzebowała zaproszenia z racji tego, że przyjaźniła się z córką Love'a. Co do sir George'a, niewiele brakowało, a w ogóle nie pojawiłby się na przyjęciu. Z jakiegoś powodu, dżentelmen nie chciał odwiedzić Nicka. Uparł się, że to wielce zły pomysł i w kółko powtarzał, że lepiej będzie, jeśli zostanie w domu. Adler wyciągnął go niemal na siłę.

– Wszyscy tam na pana czekają – przekonywał go, pchając dżentelmena do auta. – Ten Nick i w ogóle... ta cała banda.

Sir George nie wydawał się przekonany.

– Chyba przecenia pan moją znajomość z Love'em. Ja tak naprawdę nie znam go dobrze.

– Sir Ralph tam będzie – kusił go Adler. – Widziałem się z nim dziś rano i stanowczo domagał się, żeby był pan obecny na tej imprezie.

– Doprawdy? – zapytał sir George i wreszcie poddał się, i wsiadł do samochodu.

Majella, ubrana w białą sukienkę z jedwabiu i satyny, opadła na tylne siedzenie, lekka jak puch. W dłoni obracała raketę do badmintona.

– Po cóż ci ta rakietka? – zdumiał się jej dziadek.

Wzruszyła ramionami i z kapryśną minką poprawiła bransoletkę z pereł.

- Jak to: po co? Do gry!

- Przecież lotka może wpaść ludziom do herbaty! – zgorszył się sir George, a Adler odpalił samochód, uśmiechając się pod nosem. Ci ludzie tutaj doprawdy żyli w jakimś dziwnym świecie i zaprzęтали sobie głowy wydumanymi problemami. W Pelham nawet pęknięta filiżanka mogła stanowić powód do zgrzyoty oraz temat do długiej dysputy.

Wiejska rezydencja Love'a mieściła się przy odnodze High Street zwanej Bishop Close. Jadąc wolniutko wąską, asfaltową alejką, Adler zauważył, że na Bishop Close w zasadzie nie było innych domostw. Nad jezdnią wznosił się potężny tunel z kasztanowców, rdzawe liście sypały się na dach pickupa niczym confetti. Na drugim końcu tunelu majaczył kamienny mur wokół posesji oraz biały ażur frontowej bramy.

- Posiadłość zwie się Red Lions – poinformował Adlera sir George. – W dawnych czasach mieścił się tu domek myśliwski biskupów Chichester. W osiemnastym wieku ziemię tę kupił John Carr, lokalny prawnik. Zaplanował ogrody i rozbudował dom, a dwa następne pokolenia nadały jego architekturze ostateczny kształt.

- Dlaczego posiadłość nazywa się Red Lions?

- Och, nazwę tę nadano dopiero w ostatnim stuleciu. Przedtem dom znany był po prostu jako Bishop's Lodge. Jako taki przynajmniej widnieje na dawnych mapach. A dlaczego Red Lions? Otóż w dziewiętnastym wieku Samuel Carr, również prawnik, przyjaźnił się z ówczesnym panem na Zamku w Pelham. William Arthur James Jacob Pelham-Torrington znany był z zamiłowania do łowów. Jednego roku Carr oraz dziedzic wybrali się razem na polowanie do Afryki. Carr ustrzelił dwa lwy, Pelham-Torrington

jednego – za to jakiego! Niech pan sobie wyobrazi, był to kompletnie biały lew. Biały jak mleko do herbaty! Fantastyczny okaz. Oczywiście, takie trofeum zepsuło nieco humor Carrowi. No bo czymże była para zwykłych rudzielców w porównaniu z baśniowym albinosem? Przy okazji powiem panu, że w kronikach doszukałem się sugestii, jakoby to Samuel Carr ustrzelił białego lwa, lecz dziedzic zmusił go do zamiany trofeów. Całkiem możliwe, nie sądzi pan? W każdym razie, panowie przywieźli swoje łupy do Anglii i na pamiątkę udanych łowów Carrowie przemianowali dom na Red Lions, zaś przy schodach wejściowych umieścili dwa posągi lwów.

– Trofeum białego lwa znajduje się zapewne na Zamku? – za-pytał Adler.

– Gorzej: znajduje się w Plumpton!

– W Plumpton? – roześmiał się Adler. – Dlaczego? Czyżby stało się łupem w jednej z wojenek między wioskami?

– Nic z tych rzeczy – odparł sir George urażonym tonem.

– Skóra lwa wisi teraz w gospodzie „Biały Lew”. William Pelham-Torrington bardzo lubił ten pub i często tam zaglądał. Niestety. Oczywiście w tamtych czasach gospoda ta nosiła sztapową nazwę „Święty Jerzy i Smok”. Dopiero potem ją zmienili. Wie pan, taki chwyt marketingowy – wyjaśnił z miną znawcy nowoczesnego świata, którym rządzi agresywna reklama.

Adler zatrzymał się i przepuścił rząd eleganckich dziewczynek na kucykach, nadjeżdżających z naprzeciwka. Grupkę prowadziła młoda kobieta. Kobieta podziękowała Adlerowi, unosząc dłoń, a dziewczynki natychmiast skopiowały ten gest i uśmiechnęły się do niego szczerbatymi ustami. Kiedy mijały pickupa, w bocznym lusterku migają po kolei ich

neonowe kamizelki z wielką literą „L” na plecach.

– To uczennice ze szkoły jeździeckiej Johna Parrotta – wyjaśnił Adlerowi sir George.

– Ailith ma białą panterę – rzekła nagle Majella. – Dostała na urodziny.

„No tak, słynne zlecenie profesora Reida”, pomyślał sobie Adler.

– Według mnie, to absurdalny kaprys – skomentował sir George.

– Ta pantera jest śliczna – szepnęła Majella. – Wabi się Madonna. Ale to samiec.

Sir George skrzywił się z niesmakiem.

Dojechali do rezydencji. Adler przecisnął się ostrożnie przez bramę, zbudowaną w czasach, kiedy na drogach rządziły dorożki i nie zakładano jeszcze, że człowiek wymyśli coś tak masywnego jak pickup sir Ralpha.

Na podjeździe przed domem tłoczyły się wypolerowane samochody pozostałych gości.

– Panie Adler, proszę spojrzeć na tę elewację! – ożywił się sir George, zadzierając głowę i przyglądając się frontowi rezydencji. – Wspaniałe połączenie cegły czerwonej z niebieską! Tylko w oknach niepotrzebnie wstawiono podwójne szyby – zauważył z wyraźnym niezadowoleniem.

– Co złego jest w podwójnych szybach? – zdziwił się Adler.
– To chyba bardziej praktyczna opcja?

– To nowoczesna fanaberia, kompletnie wbrew tradycji. Niech pan sobie zapamięta: okna w tradycyjnym, angielskim domu winny mieć pojedynczą szybę – pouczył go Wyatt. – Każde inne rozwiązanie, niech to będzie szyba podwójna,

potrójna, czy – nie daj Boże – okna plastikowe, rujnuje wygląd i charakter historycznego budynku.

Majella wymownie wywróciła oczami. Odbiła parę razy lotkę, po czym wbiegła na ścieżkę wiodącą na tyły rezydencji.

– Chodźcie, do ogrodu tędy! – zawołała.

Podążyli za nią.

Wyglądało na to, że przyjęcie u Nicka już się rozpoczęło. Po soczyście zielonym trawniku plątali się podpici dżentelmeni i ich kobiety, wystrojone w jedwabne sukienki oraz miękkie futerka. Adler nie wpasował się w lokalny dress code. Cieszył oko gapiów bluzą w barwy Szkocji i żołnierskimi buciorami. Przed wyjazdem do Anglii wrzucił do plecaka tylko absolutny niezbędnik; głównie sprzęt, ubrań prawie wcale. Nie zakładał, że zostanie na południu dłużej niż parę dni, a już na pewno nie przyszło mu do głowy, że będzie imprezował z elitami Pelham. Sir George chciał mu, co prawda, pożyczyć jedno ze swoich tweedowych wdzianek, a nawet był gotów jechać do wypożyczalni kiltów, lecz Adler stanowczo uciął jego zapędy.

– Nie dbam o to, za kogo mnie wezmą ci ludzie – oświadczył Wyattowi. – Niech mnie biorą za pańskiego ogrodnika. Albo innego typa z wulgarnego plebsu – dorzucił z ironią, lecz na widok zmartwiałej twarzy dżentelmena, obiecał łaskawie, że przynajmniej umyje swe buty.

W ogrodzie u Nicka każdy gość trzymał w dłoni wysmukły kieliszek z szampanem, niektórzy – jak na przykład gospodarz – dzierżyli całą butelkę.

– George, staruszkule! – zawołał Nick Love tak czule, jak gdyby witał się ze swoim najlepszym przyjacielem. – Witaj! Wspaniale, że jesteście! Ty musisz być Adler – puknął palcem w pierś Adlera. – Ralph tyle mi o tobie opowiadał! Podobno

strzelasz tak świetnie, że mógłbyś robić jako płatny zabójca. Czy to prawda, stary? Jeśli tak, miałbym dla ciebie jedno czy dwa zlecenia, ha, ha! – Wepchnął swoją butelkę w rękę Adlera. – Pij szampana, wesel się, bracie! A potem opowiadaj światu, że nie ma to jak urznąć się u Nicka!

– Dzięki, stary – Adler przyjął skwapliwie butelkę. Czuł, że na trzeźwo nie ogarnie tej imprezy.

– Sądziłem, że zaproszono nas na popołudniową herbatę – odezwał się sztywno sir George. – A tymczasem mamy bibkę.

Love poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się z pobłażaniem.

– George, jest i herbata, staruszkule! Ale trochę bąbelków by ci nie zaszkodziło, ha, ha! Powiem więcej – tu zniżył głos i przysłonił usta, jakby zdradzał sekret – lepiej sobie łyknij coś niecoś, zanim moja Ailith przedstawi ci swojego kocura!

– Kocura...? – nie zrozumiał sir George.

Love pokiwał zamasyżycie głową i teatralnym gestem wskazał gdzieś w głąb ogrodu. Wyatt i Adler powiedli wzrokiem w tamtym kierunku. Zobaczyli gąszcz fantazyjnie przyciętych krzewów, a pośród nich – sadzawkę. W sadzawce, ku uciechu pijanych gości, pluskała się skąpo odziana, czarnoskóra dziewczyna, zaś na brzegu spoczywała ogromna pantera o lśniącym, białym futrze. Kocur raz po raz otwierał paszczę i ziewał przeraźliwie. Wydawał się znudzony.

Sir George poczerwieniał na twarzy.

– Muszę się napić – wychrypiał. – Herbaty! – Odwrócił się nader gwałtownie i odszedł w stronę stolików z przekąskami.

– George, przyjacielu, jak się masz? – powitał go ciepło barczysty mężczyzna, żerujący wraz z grupką innych panów przy tacy z maślanymi bułeczkami. – Dawno cię nie

widziałem, ostatnio rzadziej zaglądasz do klubu.

Sir George sięgnął po bułeczkę z dżemem i gęstą śmietaną.

– Witaj, Rob. Witajcie, panowie – skinął głową do przyjaciół z klubu. – Byłem trochę zajęty i przyznaję, odrobinę zaniedbałem obowiązki klubowe.

– George, George, jakie tam „obowiązki”! – roześmiał się serdecznie jeden z panów, Bertie, jeśli wierzyć grawerunkowi na złotych spinkach na jego mankietach. – Chyba wyłącznie towarzyskie! Ominął cię całkiem niezły mecz krykieta.

Ta wiadomość zmartwiła sir George’a. Był wielkim miłośnikiem krykieta. Taka przyjemna, angielska rozrywka. Tradycyjny sport dżentelmenów.

– Żadna strata, za tydzień kolejny mecz! – pocieszył go inny klubowicz.

– Niby tak, Neville – pokręcił głową Bertie – mnie się jednakowoż wydaje, że będzie bardzo trudno pobić ubiegłotygodniowy mecz – oświadczył z powagą.

Sir George wielce się przejął.

– Ojej – powiedział, krztusząc się bułeczką – był aż tak dobry?

– Jak mówiłem, George – odparł z godnością Bertie – całkiem niezły. Całkiem niezły!

Przy stoliku obok, gospodarz i grupka jego kompanów rozprawiali na tematy lingwistyczne.

– No, bo jakże w ogóle wymawia się nazwisko „Bazin”? Bardziej z francuska, czy też z rosyjska: jak Stalin? – padło pytanie.

Love zadumał się nad tą kwestią. Rozważania nie zajęły mu długo.

- Diabli wiedzą! – poddał się i wychylił szampana.

- Nie, no, z rosyjska na pewno. Przecież to Ruski! – przekonywał jeden z jego kompanów. – Lenin, Stalin, Bazin – ma sens, czyż nie?

- Ma sens! Pasuje jak ostatni puzeł! – przyznali pozostali.

- Szkoda, że taki obiekt trafił w ręce jakiegoś Bazina – pokręcił głową Eddie Harlington. Eddie'ego zwano Człowiekiem z pogranicza, bowiem jego rezydencja mieściła się na linii granicznej z wrogim Plumpton. – Kiedy usłyszałem, że na Zamku dostali pozwolenie na lądowisko dla helikopterów, nie chciałem wierzyć własnym uszom! Według mnie, najbardziej zawalił tutaj przewodniczący lokalnej rady. Jeszcze tego samego dnia, kiedy wydano decyzję, poszedłem do niego, to jest do naszego klubu i mówię mu: „Słuchaj, Dave, takich rzeczy się nie robi starym kumplom!” Nie mam racji, panowie?!

Pokiwali głowami na znak że, owszem, ma.

- Od trzech lat starałem się o pozwolenie na luksusowy hotel i spa – gorączkował się Eddie. – Ślęczałem nad planami. Głównym nad tym, jak osuszyć mokradła. Walczyłem z lokalnymi urzędnikami, ekologami i innymi zacofanymi półgłówkami. To były długie miesiące ciężkiej, cholernie niewdzięcznej walki – i co? I wszystko na nic! Najpierw Zamek trafia w łapy Rosjanina, potem ten cwaniak dostaje jeszcze zielone światło na wszystkie swoje kaprysy! On ma wszystko, a ja nic. W Anglii nie ma już sprawiedliwości, panowie!

Gospodarz poklepał nieszczęśnika po ramieniu. Gdzieś za ogrodzeniem zawyły smutno psy.

Eddie dość szybko poprawił sobie humor kolejnym kieliszkiem, lecz psy nie przestawały ujadać.

- Co, u diabła, z tymi kundlami? - zirytował się Harlington.

- Nudzi im się, stary - odparł Nick. - Żyjemy w nudnej wiosce. Wystarczy, że bydlęto wyjdzie na łąki, a psy już podnoszą larum.

Adler też usłyszał ujadanie psów, lecz nie zwrócił na nie większej uwagi. Popijał z gwinta szampana i przyglądał się śnieżnej panterze. Tuż obok kąpała się dziewczyna - nie w jego typie, ale całkiem znośna - co czyniło obserwację pantery jeszcze bardziej wciągającym zajęciem.

- Pewnie się zastanawiasz, kim, u licha, jest ta czarna lalka?

- odezwał się nagle kpiący głos za jego plecami.

Odwrócił się, zaskoczony, i ujrzał Monicę Sandalls, narzeczoną sir Ralpha, którą poznał przelotnie podczas lunchu w Badgers. Jak wtedy, tak i teraz, pachniało od niej drogim winem i takimiż perfumami.

- Wbrew pozorom - ciągnęła - to nie luksusowa call girl, tylko Ailith, słodka jedynaczka Nicka. Czarna półsierotka.

- Jej matka nie żyje?

- Żyje i ma się cudownie - prychnęła Monica. - Sypia teraz z jakąś szwedzką panią poseł.

Adler wychylił trochę szampana. Ailith nie wyglądała na Mulatkę, ale Nick Love stanowczo był biały.

Monica tymczasem przyglądała się Ailith zmrużonymi oczyma.

- Moim zdaniem - szepnęła konspiracyjnie - ta dziewczyna ma nierówno pod sufitem.

Adler zerknął na nią z ukosa.

- Tak sądzisz? - zapytał.

Monica pokiwała gorliwie głową. Z jej ust wyrwała się pijacka czkawka.

– Nasadziła różnych, podejrzanych ziół w ogrodzie – ciągnęła. – Kiedyś mnie częstowała. Żułam te liście jak pieprzony królik, a potem... – urwała. Położyła dłoń na piersi Adlera i spojrzała mu prosto w oczy. – Potem kompletnie mi odwaliło! – wyznała.

Przesunęła rękę z piersi chłopaka na jego dłoń i nagle, z zaskakującą siłą, wyrwała mu butelkę. Łyknęła sobie zdrowo, po czym chwiejnym gestem wskazała na otaczające ich krzewy.

– Widzisz te wszystkie śmieszne krzaki? – spytała.

– No, widzę. Dziwne mają kształty.

– Nie chcesz wiedzieć, co to za kształty – zapewniła go Monica. – Chyba że chcesz, to ci powiem – zadeklarowała się niespodziewanie.

– Nie musisz – stwierdził nagle.

– Widzisz to? – upewniła się. – Obrzydliwe, nieprawdaż? – Zachichotała i siorbnęła szampana. – Na miejscu starego George'a, trzymałabym Majellę jak najdalej od tego miejsca. Możesz sobie wyobrazić, jak ci ludzie mogą namieszać w głowie takiej małolaty!

Adler zmarszczył brwi i przesunął wzrok na Majellę. Dziewczyna stała przy sadzawce, pośród bogatych pijaków, i wpatrywała się z zachwytem to w kąpiącą się Ailith, to w białego kocura.

Wyszarpnął od Moniki swojego szampana.

– Gdzie jest Pearson? – zapytał.

– Ralph? Gdzieś się płacze – odparła bez większego

zainteresowania. – Tak naprawdę przyszedł tu dziś tylko po to, żeby odebrać swój portret. To znaczy, nie swój nawet, a Hugona.

Adler uniósł brwi.

– Co to za jeden, ten Hugo? Jakiś przodek?

Monica prychnęła.

– Hugo to zdechły pies Ralpa. Padł, trzeba mu przyznać, w dość nieciekawych okolicznościach. – Tu pokrótce opowiedziała Adlerowi smutną historię wiernego labradora.

– Ciekawe – mruknął chłopak, na którym opowieść ta wywarła większe wrażenie, niż chciałby przyznać.

– Ralph sądzi, że psa zamordowali Rosjanie, wiesz, ci z Zamku – dodała bez przekonania Monica.

– Dlaczego tak sądzi? – zainteresował się Adler.

Wzruszyła ramionami.

– Widywał ich w okolicznych lasach. Zachowywali się dziwnie. Sama nie wiem. W każdym razie – ucięła ze znużeniem – Ralph przyszedł dziś tutaj, aby odebrać portret psa. Poprosiłam Ailith, żeby wysmarowała na płótnie coś na kształt Hugona. Dziewczyna studiowała przez jakiś moment w szkole artystycznej. Pomyślałam, że sobie poradzi z pędzlem i farbami. Taką przynajmniej mam nadzieję, bo Ralphowi bardzo spodobał się pomysł, żeby umieścić ten portret w rodzinnej galerii.

– Jasne, złocone ramy i tak dalej.

– Naturalnie.

Monica i Adler dołączyli do towarzystwa zgromadzonego przy stolikach z poczęstunkiem. Widowisko przy sadzawce również dobiegło końca, bowiem Ailith znudziło się taplanie,

a nikogo prócz niej nie przekonywała zabawa w pool party w drugiej połowie października. Kocur Madonna, znużony obecnością hałaśliwych gapiów, niespodziewanie ożywił się i zaczął płoszyć wytwornych pijusów dziwacznymi, przeciągłymi krzykami.

– Co jest nie tak z tym tygrysem? – skrzywiła się jakaś kobieta.

– Lexi, ten kot to dzikie zwierzę – odparł niedbale Nick. – Musi sobie trochę pokrzyczeć. Zresztą, gdyby tego nie robił, zwróciłbym go do reklamacji.

Lexi pokręciła głową i sięgnęła po kruche, niebieskie ciasteczko o smaku „Maria Antonina”. Adler z nudów przyjrzał się kobiecie: była bardzo malutka i bardzo pijana, miała burzę nienaturalnych blond włosów i nosiła minisukienkę w panterkę. Wyglądałaby jak lalka Barbie, gdyby nie fakt, że miała jakichś sto lat, a jej spalona na niezdrowy brąz skóra marszczyła się jak u słonia. To musiała być ta Lexi Herbert, właścicielka salonu Rolls Royce’a, o której wspominał Lionel van Langenberg.

– Tak przy okazji, stary – rzekł nagle Nick do Adlera – George wspominał, że znasz się trochę na zwierzakach.

Adler skinął niezobowiązująco głową.

– Widzisz, stary, ja się na nich nie znam. Nic a nic – zapewnił niepotrzebnie Love. Ściszył głos i zaświszczał chłopakowi do ucha: – Ale wiesz, czasami faktycznie wydaje mi się, że coś jest nie tak z tym moim kocurem.

– Czemu tak sądzisz?

– Stary, ta pantera w ogóle nie ryczy! Jeśli już, to tylko wyje, sapie lub drze się jak mały kociak, tak jak teraz. A przecież to samiec jest, ma jaja, powinien więc ryczeć,

dawać czadu, rozumiesz? Co to się z nią dzieje, powiedz mi? Wcisnęli mi kota z defektem?

Adler przyjrzał się Madonnie. Kot wydawał się w tym momencie nieco pobudzony, lecz poza tym nic w jego zachowaniu nie wzbudzało raczej zastrzeżeń.

– Według mnie, wszystko z nim okej – uspokoił Nicka. – Pantery śnieżne nie ryczą jak lwy. Wydają za to całą masę innych dźwięków.

Za jego plecami wyrósł naraz sir Ralph.

– Adler! Jak dobrze, że jesteś. Potrzebuję twojej opinii. Chodź, pokażę ci coś. – Powiódł chłopaka w stronę wielkiego cyprysu amerykańskiego, pod którym ustawiono fantastyczny mebel: sofę w kształcie ponętnych warg, obitą wściekle różową satyną.

Adler zawahał się i spojrzał pytająco na Pearsona.

– No, chodź, chodź – ponaglił go sir Ralph. – Muszę to komuś pokazać. Nie wytrzymam! – Dżentelmen padł na sofę.

Adler przełknął ślinę i powoli podszedł do lubieżnego mebla.

– Tu! Patrz! – gorączkował się sir Ralph. – Patrz i oceniaj!

Adler wziął głęboki wdech – i spojrzał.

Pearson zniknął, zaś w jego miejscu zjawilo się wielkie płótno, zamalowane farbą o barwie i konsystencji smoły. Z czarnej otchłani wynurzał się raczej pokraczny, bezgłowy jegomość w dziwacznym surducie i meloniku, a także z fajką w niewidzialnej dłoni. Kołnierz jegomościa splamiony był krwią – gęsta, lepka farba skapywała w dół płótna nabrzmiałymi kroplami.

– No i? – sir Ralph niecierpliwie potrząsnął obrazem i wychylił głowę zza jego krawędzi. – Co sądzisz o tym

portrecie?

Adler ściągnął brwi i spróbował ułożyć naprędce jakąś sensowną opinię. W głowie miał jednak kompletną pustkę.

– Wie pan, sir – zaczął ostrożnie – tu, pod tym drzewem, jest dosyć ciemno. Nie widzę wyraźnie... Trudno mi ocenić...

– Ach, wiedziałem! – westchnął ciężko Pearson. – Ten obraz to gniot! Żadnym sposobem nie oddaje wspaniałości Hugona... Gorzej: on szydzi z mego psa! Spójrz tylko na to podezrnięte gardło...!

– Hmm – Adler w zakłopotaniu mierzwił włosy – czy jest pan pewien, sir, że ten obraz przedstawia pańskiego psa? Ja nie widzę

twarzy... ani pyska... A ubrany jest raczej...

– Naturalnie, że nie widać pyska! – wybuchnął sir Ralph. – Hugo był czarny!

Pearson grzotnął obrazem w trawę i jęknął z niechęcią. W głębi ogrodu kocur Madonna znów zaczął zawodzić. Przysiadł u stóp ogrodzenia i wpatrywał się uparcie w gęstą ścianę żywopłotu, jakby właśnie zobaczył coś po drugiej stronie. W jego wyciu było coś nieprzyjemnego, coś alarmującego.

Paru gości zerknęło nerwowo w stronę kocura. On jednak nie interesował się zupełnie tym, co działo się w ogrodzie. Najwyraźniej, bardziej pochłaniał go nieznaną świat za ogrodzeniem.

Adler rzucił okiem na zaaferowaną panterę, lecz musiał skupić się na pocieszaniu sir Ralpha.

– Niech pan nie rozpacza, sir – rzekł krzepiąco. – Niech pan lepiej weźmie mój nóż i od razu pochlasta ten kicz. – Sięgnął za pas.

Nie zdążył jednak podać noża Pearsonowi, gdyż nagle pod drzewem zjawiała się Ailith, autorka nieszczęsnego bohoma.

– Oo, co ja widzę? – zawołała z nieprzyjemnym grymasem. – Jakie piękne ostrze! Czy takie zabawki nie są przypadkiem nielegalne?

Alder zmieszał się. Nie dlatego, że posiadał nielegalne ostrze, lecz dlatego, iż Ailith najprawdopodobniej słyszała ich rozmowę.

Pearson również wyglądał na zakłopotanego.

– Ailith, ja właśnie... podziwiałem... Twoją sztukę podziwiałem – wybełkotał nieporadnie.

– Cudownie – odparła zjadliwie i drapieźnie, po czym zwróciła się do Adlera: – Nie chowaj noża, jeszcze może uratować ci życie. Widzisz to drzewo? – wskazała na gruby pień cyprysa, gęsto okręcony sznurami winobluszczu. – Jest mięsożerne!

– Nonsens – odparł natychmiast Adler. – To zwykły cyprys.

– W tym drzewie nie ma nic zwykłego – rzuciła ostro. – W Indiach widziano, jak ten gatunek pożera bydło! W Ameryce Południowej ofiarami są ludzie. Chwila nieuwagi i gałęzie oplotą twoje ciało, poczujesz na sobie lepki śluz, a potem ból, bardzo ostry, przenikliwy, zabójczy... A potem będzie już za późno, roślina

zacznie wysysać z ciebie soki, zacznie cię trawić...

– Ailith, chyba jesteś pijana – zauważył łagodnie sir Ralph, lecz czym prędzej podniósł się z sofy i odsunął od drzewa.

Madonna zawył desperacko.

– Nick, dlaczego to zwierzę tak się wydziera? – zapytał ostrożnie Eddie Harlington. – Chyba nie jest głodne?

- Niech ktoś uciszy tego kocura! - wrzasnęła Lexi Herbert gniewnym, chrypliwym głosem.

- Boże, jak mnie wkurza ta spróchniała starucha! - skrzywiła się Ailith. - Najchętniej kazałabym Madonnie przegnać ją do diabła! - oświadczyła i niemal od razu przywołała na twarz fałszywy uśmiech: Lexi właśnie zbliżała się do nich chwiejnym krokiem.

- Ailith, moja mała, gdzie się podział twój słodki pudel? - wybełkotała Lexi. - Czyżby zdechł? - zachwiała się niebezpiecznie, lecz sir Ralph w porę pochwycił ją za ramię. - Dzięki, kochanie - rzuciła do niego, obrzucając go tępym spojrzeniem. Chyba nie bardzo się orientowała, kogo ma przed sobą. - No, więc: gdzie Ada? Boże, jak ja uwielbiałam tego pudla!

Ailith zawahała się.

- Ada... ostatnio nie czuje się zbyt dobrze. Relaksuje się w swoim saloniku, takie głośne imprezy jej szkodzą.

- To fatalnie! Fatalne wieści. Jestem zrozpaczona! - wychrypiała Lexi, kręcąc bezradnie głową. Wyglądała, jakby naprawdę nie mogło ją spotkać gorsze nieszczęście.

Kilka jardów dalej Madonna wyrzucił z siebie kolejną salwę dziwacznych krzyków. Lexi fuknęła z irytacją. Jej twarz, starannie naciągnięta przez najlepszych specjalistów z Londynu, zdeformowała się w okropnym grymasie. Kobieta natarła z wyrzutem na Ailith:

- Ada jeszcze żyje, wciąż jeszcze dyszy, a ty już kupujesz sobie nowego kurwieszona?! - rozcapierzyła sztuczne szpony i machnęła ręką w stronę pantery.

Coś jeszcze mówiła, lecz jej słowa zagłuszył naraz kolejny ryk. Głęboki, chrapliwy, donośny. Ryk potwora - lub

walczącego grizzly.

Goście zamarli. Każdy odruchowo zerknął na panterę. Kocur nie poruszył się. Był wyprężony, czujny. Wpatrywał się z napięciem w jeden punkt w żywopłocie. I nagle stało się jasne: to nie pantera ryczała. Pantery zresztą i tak nie ryczą, jak powiedział Adler.

Zapadła pełna napięcia cisza.

– Co to było...? – zapytał ktoś wreszcie.

Goście popatrzyli po sobie niepewnie. Niektórzy przezornie przysunęli się w pobliże domu.

– Tam na polach pasie się bydło – zauważył przytomnie Nick

Love. – Pewnie jakiegoś byka poniosło...

– Ee, to pewno spłoszona zwierzyna. Wszędzie teraz panoszą się myśliwi. Taki sezon.

Paru ludzi wzruszyło ramionami i powróciło do przerwanej rozmowy. Adler nie spuszczał wzroku z pantery. Jego dłoń odruchowo zacisnęła się na rękojeści noża.

– Co jest za tym ogrodzeniem? – zwrócił się do Ailith.

– Nic. Tylko pola i farmy.

Pola i farmy. Hektary bezludnej ziemi. Niby nic, pustkowie. Ale po pustyniach lubią wędrować demony.

Pantera podniosła się i zaczęła chodzić tam i z powrotem, wzdłuż żywopłotu.

Sir Ralph westchnął i wetknął pod pachę portret Hugona.

– Idę pokazać twoje dzieło Monice – rzekł do Ailith.

Artystka wyduła wargi i kokieteryjnym gestem odrzuciła do tyłu ciemne włosy.

– Mam nadzieję, że będziesz ubóstwiał ten obraz –

powiedziała. – Tak jak ubóstwiałeś Hugona.

Sir Ralph złapał spojrzenie Adlera. Jego wargi drgnęły. Opuścił głowę i podążył w stronę reszty biesiadników. Pod rozłożystym cyprysem pozostali tylko Adler, Ailith i stara Lexi. Kobiety spojrzały wyczekująco na Adlera, jakby spodziewały się, że będzie je zabawiał, on zaś gapił się na panterę. Kocur przyspieszył kroku, sprężył się i przeskakiwał z jednego rogu ogrodu na drugi. Był teraz pobudzony, wyraźnie czymś zaabsorbowany. Zatrzymał się nagle i ponowił swój jazgot.

Lexi przyłożyła dłonie do uszu.

– Chryste, daję słowo, że nie wytrzymam! – wrzasnęła. – Idę zrobić z tym kotem porządek! – niepewnym krokiem wymaszerowała na środek ogrodu.

– Niech pani wraca! – zawołał z irytacją Adler. Sam nie wiedział, dlaczego tak się zezłościł. Coś mu mówiło, że kobieta popełnia tragiczny błąd.

Ailith tylko prychnęła i skrzyżowała smukłe ramiona, obserwując poczynania staruchy. Lexi wybełkotała coś ze złością i ruszyła przez ogród jak czołg. Na środku trawnika zaczepił ją jeszcze jakiś pijany jegomość z kijem do krykieta. Adler zawahał się – a potem było już za późno.

Wszystko zdarzyło się w zawrotnym tempie. Najpierw na jazgot Madonny odpowiedział potężny ryk zza ogrodzenia. Lexi wrzasnęła przeciągle. Zawtórował jej pisk pozostałych kobiet. Pantera wyskoczyła na środek trawnika, zdezorientowana. Pijany jegomość z kijem zachwiał się, a potem zamachnął na zwierzę, sądząc zapewne, że jest atakowany. Kocur odskoczył i sapnął ostrzegawczo. Pijak przewrócił się i gniewnie zabełkotał. Kij wypadł z jego dłoni na trawę.

- Rob, ty niezdaro! - huknęła Lexi i schyliła się, by podnieść kij. Była jednak zbyt pijana, by wykonać ten prosty manewr. Załopotana niezdarnie rękami i z piskiem runęła na ziemię. Skołowany kocur rzucił się na nią i przygniótł swoim cielskiem.

Przy stolikach z herbatą wybuchła panika.

- Lexi! O mój Boże, zróbcie coś!! - wołały kobiety. - Pomocy!- Chryste, on ją pożre! Ten potwór ją pożre...!

- Gdzie jest mój sztucer?! - gorączkował się sir Ralph. - Dlaczego nie zabrałem sztucera?!

Nikt mu nie odpowiedział. Nikt go nie słuchał. Ludzie rozbiegli się z piskiem i wrzaskiem, a potem zaczęli cisnąć się do domu. Niektórzy wołali nie wiadomo kogo o pomoc, inni dzwoniли pod 999 [\[64\]](#). Pijany jegomość oniemiał. Nie potrafił nawet sięgnąć po swój kij, nie był w stanie odeprzeć ataku dzikiego kota.

Adler poderwał się ku wrzeszczącej Lexi. Miał tylko nóż przy sobie. Tylko nóż... Dwanaście cali przeciwko panterze...

Kocur szarpał rękę kobiety. Lexi płakała i wierzgała spazmatycznie cienkimi nogami, usiłując zepchnąć zwierzę. Zza żywopłotu dobiegł ryk nieznanych bestii - poczuły krew.

Pantera uniosła łeb, zaalarmowana. Z jej pyska zwisały strzępy sukienki. Zęby ociekały krwią. Adler krzyknął coś, by zwrócić na siebie uwagę. Kocur odpowiedział ostrzegawczym wyciem, lecz nie ruszył się z miejsca. Adler krzyknął ponownie. W odpowiedzi, za ogrodzeniem wybuchła piekielna kakofonia: ktoś zaczął wyc i zawodzić, na przemian śmiać się i płakać. Nie był to ludzki śmiech ani też ludzki płacz. Co to było? Co za upiorne dźwięki!

Wrzaski rozbudzonych demonów...

Ludzie zaczęli krzyczeć. Przywoływali Adlera. Wybuchło zamieszanie. Kocur zawahał się, ogłupiał, zdezorientowany. A potem nagle naprężył się i skoczył na Adlera. Chłopak usłyszał, jak ktoś krzyczy jego imię. Nie stracił równowagi: kot był jeszcze młody, za mały, by go powalić na ziemię. Adler przeciął powietrze nożem jak szpadą. Kocur odskoczył, unikając draśnięcia, ale zaraz znów wystrzelił z łapami w górę. Był bardzo skoczny, żywy, sprężysty. Zniknął znużony Madonna, zabawka córki milionera. Pojawił się młody drapieżnik, z kłami i pazurami.

Adler powitał go uniesionym nożem – i dźgnął kocura gdzieś w pierś. Ostrze przecięło miękkie, lśniące futro i sprężystą skórę. Zanurzyło się w bulgoczących i ciepłych wnętrznościach. Adler zwał się na kota całym ciężarem ciała i dźgnął go raz jeszcze. Oby gdzieś tam było serce, oby trafił w serce...! Zwierzę zawyło wściekle, przeraźliwie. Gdzieś w oddali wydzierała się jakaś kobieta. Kocur wciąż żył, wciąż mógł ranić i zabijać, jego ciało pulsowało od adrenaliny. Adler czuł, że tak samo tętni i wrze jego własne ciało. W desperacji wbił nóż w gardło pantery. Trysnęła krew. Dużo krwi. Kocur nie próbował już walczyć, jego łapy tapnęły miękko o ziemię. Żył jeszcze, lecz życie wyciekało wartko z jego rozkrojonych żył. Podniósł się i zakołysał. Zgromadzeni przed domem gapie zamarli. Zwierz odsunął się od Adlera i powlókł w ciemny róg ogrodu. W połowie drogi osunął się na trawę. Grupa ludzi puściła się pędem ku rannej Lexi i Adlerowi.

– Wezwijcie pogotowie! – zawołał chłopak i zerwał się na równe nogi.

Serce biło mu wariacko, głośno, jak jakiś pijak walący pięściami w zaryglowane drzwi. Z jego twarzy i włosów

ściekała cudza krew. Własnych ran prawie nie odczuwał, były to krwiaki i marne zadrapania. W spoczonej dłoni zaciskał ociekającą krwią rękojeść.

Otoczyli go ludzie, coś do niego mówili, ściskali za ramię. Widział ich twarze, widział wystraszone oczy i otwarte usta. Ale nie słuchał ich – jedna tylko myśl zaprzętała całą jego uwagę. To nie o panterę tutaj chodziło. To nie ona była istotna. Dziki kocur tylko wskazał mu drogę. I poniósł ofiarę.

Miał tylko ten nóż, nic więcej, żadnej lepszej broni. Miał tylko nóż – ale wiedział, że nie może przegapić tej okazji. Gdzieś tam, za grubym żywopłotem, tam, na spowitych mgłą polach żerowały teraz bestie. Słyszał je. Wszyscy je słyszeli.

Ale tylko on jeden chciał je zobaczyć. Tylko on czuł, że to nie mogły być zwykłe zwierzęta z tutejszych farm. Musiał je zobaczyć. Musiał odkryć, czym są i skąd przychodzą. Miał pewne podejrzenia, ale nawet jemu samemu wydawały się one zbyt baśniowe. Vincent powiedziałby zapewne, że to kolejna fantazja Christiana Forbesa.

Zapiął zakrwawioną bluzę i nie zważając na krzyki w ogrodzie popędził ku bramie wyjściowej z Red Lions. Jacyś ludzie próbowali go zatrzymać, lecz on odtrącił gniewnie ich wyciągnięte ręce i wybiegł przez bramę.

Nadciągał mrok. Nad pola nadpłynęły mgły.

ZĘBY ZŁA

Tej nocy na mym polu żerowało zło.

Phil Sturridge

ZMIERZCH zapadał szybko. Kiedy Adler przedostał się na pola, niskie słońce świeciło mu po oczach jak rozżarzona do granic żarówka. Żarówka wkrótce zgasła, a na niebie została jedynie bladoróżowa poświata. Od pól zionęło wilgocią i chłodem. Przez łąki przetaczały się białe tumany mgły.

Adler rozejrzał się wokół.

– Cholera, nie widzę nic – mruknął do siebie.

Nie miał latarki, a nawet gdyby jakimś cudem wpadła w jego ręce, i tak niewiele by zobaczył przez gęstniejącą mgłę. Białe odmęty kłębiły się w płytkich kotlinach i spowijały okoliczne role. Gdzieniegdzie z oparów wychylały się czubki pojedynczych drzew. Nigdzie nie było widać żadnych zwierząt.

A jednak słyszał je. Słyszał odległe zawodzenie. Przedziwne, straszne odgłosy. Jakby ktoś się dławił, jakby się krztusił, tracił oddech i usiłował zaczerpnąć powietrza. A potem następowało przeciągłe, groteskowe muczenie. A potem krzyki, nieludzkie, wstrętne, a jednak tak podobne do krzyku człowieka.

„Chryste, co to może być?!”, zastanawiał się Adler, biegnąc na oślep w kierunku jazgotu. Trawa była mokra, teren nierówny. W podstępnych szczelinach, tam, gdzie ziemia jeszcze nie zmarzła, stała woda, mętna i brudna jak rozlana kawa.

Przystanął przy kępie drzew i spojrzął na swój nóż. Na ostrzu zakrzepła krew. Krew... wszędzie pełno krwi. Na nożu, na palcach, na ubraniu.

Zwierzęta czują krew. Być może wyczuły już jego obecność.

Cóż mógł działać z jednym nożem? Zaszlachtował nim wielkiego kota, podobnie jak w Edynburgu zadźgał psa, ale to

nie dawało mu żadnych gwarancji na najbliższą przyszłość. Tak jak to, że golił się brzytwą, nie czyniło go jeszcze superbohaterem. Ile ich tam było, tych zwierząt? Para? Dwie pary? A może całe stado? Jeśli go zaatakują, cóż będzie mógł wskórać, uzbrojony w jedno, krótkie ostrze?

Za domem w Edynburgu oraz w ogrodzie zamczyska nad Loch Mòr, Adler trzymał drewniane tarcze, do których celował ostrzami własnej produkcji. Lubił zabawy z nożem, może dlatego, że po prostu lubił noże. Do swojego zamiłowania nie dorabiał żadnej ideologii. Rzucał zawsze, kiedy nie chciało mu się myśleć o niczym albo przeciwnie – kiedy chciał poprawić swoją koncentrację. Rzucał nie tylko ostrzami własnoręcznie wykrojonymi ze stali, ale także toporkiem ojca i jego ciężkim, zakrzywionym nożem, słynnym *kukri* nepalskiego ludu Gurkhów. W jego codziennym życiu, umiejętność miotania nożem nie była szczególnie przydatna. Nie łąził po ciemnych zaułkach Edynburga i nie przykładał ludziom stali do gardeł.

A w tej sytuacji? Roześmiał się, pokręcił głową i opuścił uzbrojoną dłoń. Nie miał szans, by pokonać tym narzędziem tabun zwierząt. Spróbuje jednak podejść do nich jak najbliżej. A potem się zobaczy.

Ruszył środkiem pola. Kierował się na północ, gdyż stamtąd docierały odległe wrzaski tajemniczych zwierząt. Powietrze było mroźne. Niezbyt silny, chaotycznie rozhuśtany wiatr rozpylał wokół bagienny odór. Na polach było pusto, choć jeszcze podczas porannej przejażdżki widział pasące się w okolicach bydło i owce, rozstawione pośród traw jak pionki.

Znów minął grupę drzew. Z ciemnego listowia wypadła z krzykiem biała płomykówka. Jego serce załomotało, odruchowo ścisnął rękojeść noża. Sowa zwróciła ku niemu

sercowatą twarz. Jej oczy były złowieszcze i puste, jak dwa czarne guziki. Wyglądała, jakby skrywała jakąś szyderczą tajemnicę.

Szedł dalej. Zastygły w szarówce pejzaż przypominał czarno-białą fotografię. Gdzieś daleko na zachodzie zamajaczył długi, ciemny prostokąt. Samotna farma. Na wprost drgała linia horyzontu. Pojawiała się i na powrót znikwała w kłębach wieczornej mgły. Gdzieś tam musiała się czać wataha tajemniczych zwierząt.

Nie wiedział, gdzie dokładnie się znajdował. Te pola były jak morze. Jak szary ocean. GPS pokazałby malutki krzyżyk pośrodku olbrzymiego pustkowia. Bez dróg, bez ścieżek.

Wiatr przynosił kolejne fale dalekich wrzasków. A potem nastąpiła cisza. Adler poświecił wokół beznadziejnym światłem latarki w telefonie. Ciemność zapadała bardzo szybko. Już nie widział, a raczej pamiętał, że po lewej stronie widniały odległe budynki gospodarcze, po prawej mijał ciąg poszarpanych krzewów. Wyłączył latarkę, schował telefon.

Przystanął i wciągnął głęboko powietrze. Było mokre i wilgotne jak nos psa. Pachniało błotem i czymś jeszcze. Gdzieś w pobliżu musiała przepływać rzeka Rother.

Dlaczego zwierzęta ucichły...?

W zniecierpliwieniu parę razy obrócił nóż w dłoni. W jego kieszeni zawibrował telefon. To nie był dobry moment na pogaduchy. Telefon dzwonił uporczywie. Adler sięgnął do kieszeni, aby go wyłączyć.

Nie zdążył nawet zerknąć na wyświetlacz, kiedy z pomroki wypadł jakiś ciemny kształt. Kształt był ruchliwy, przymierzał się na Adlera to z tej, to z innej strony. Warczał, popiskiwał, chichotał. Był jak szalona kulka na wygaszaczu ekranu.

Adler sapnął z rezygnacją. Co to miało być, u diabła? Ani to straszne, ani specjalnie wielkie. Co teraz: czy znów miał użyć noża? Miał łązić po wiosce i podrzynać gardła okolicznym zwierzakom? Czy taka była jego rola...?!

– Zjeżdżaj, maluchu! – warknął.

Zwierzę nie usłuchało, lecz dopadło jego łydki. Zawył z bólu – malec miał porządne kły. Kopnął nogą, aby go strącić i pożałował, że nie ma przy sobie najzwyklejszej zabawki do odstraszenia zwierząt. Każdy farmer w okolicy miał zapewne pistolet hukowy.

Zwierzak odpadł od nogi Adlera i zasyczał złowrogo. W mroku chłopak widział tylko jego garbatą sylwetkę i sierść: długą, szarą, poprzetykaną liśćmi. Może chował się w pobliskich krzakach.

To mu poddało pewien pomysł. Podskoczył do krzewów i ułamał dużą gałąź. Zamachnął się nią na skoczego stwora.

– Zjeżdżaj, bo cię wychłostam! – ostrzegł.

Zwierz odskoczył z piskiem. Adler już miał otrzepać dłonie, gratulując sobie szybkiej i bezkrwawej akcji, kiedy zorientował się, dlaczego zwierz skapitulował.

To nie on spłoszył zwierza. I z pewnością nie jego licha gałąź.

Ciemny horyzont zadrgał jak powietrze nad czarnymi wydmami. Gęsta, nienaturalna cisza pękła: rozdarł ją demoniczny skowyt. Coś się zbliżało. Coś mknęło ku Adlerowi na dziesiątkach cichych łap. Całe stado, tak jak sobie wymarzył. Wiedział jedno: musi wiać. Czym prędzej. Już!

Poderwał się z miejsca i rzucił sprintem przez czarne pole. Nie ucieknie im. Nie ma szans. Ich cwał był bezszelestny, lecz jazgot nasilał się. Były coraz bliżej. Coraz bliżej. Wydawało

mu się, że słyszy za plecami ich szarpane oddechy.

Przed nim wyrastał jakiś kształt. Wielki prostokąt. Wiatr chuchnął w jego nozdrza charakterystycznym odorem. To była farma, jakaś obora! Jeśli uda mu się dostać do budynku, będzie uratowany. Musi tam dobiec, musi się tam wedrzeć! Choćby miał spędzić noc z krowami.

Przyspieszył, czuł się jak odrzutowiec. Myślał tylko o tym, by bieć. Prosto na oborę.

Jazgot ucichł, lecz Adler wiedział, że jest ścigany. Bestie były podstępne. Teraz kompletnie bezszelestne. Naraz zarył butami w błoto, uderzył w podstępny parkan i nieomal nadział się na spróchniałe sztachety. Byłby jak ofiara, która sama wlaźła na ruszt. Zaklął, z irytacji i bólu. Przeskoczył przez płot i pognał w stronę budynku, rozchlapując wokół łajno i błoto.

To koniec. Drzwi do obory były zaryglowane. A więc tak umrze: cały w łajnie, ziemi i krwi, zaszczuty i zagryziony przez niezidentyfikowane potwory. Walnął pięścią w drewniane wrota, klnąc z bezsilności. Ze środka odpowiedziało mu znudzone muczenie jakiejś cierpiącej na bezsenność krowy.

Za jego plecami rozbrzmiał dziki skowyt. Przeszywający, niebezpiecznie bliski. Bestie dobiły do barierki. Adler był zgrzany, rozpalony, ale w jednej sekundzie zmroziło go tak, jakby wpadł do lodowatej przerębli gdzieś w północnej Kanadzie. Czy to już koniec...? Czy naprawdę jego los był przesądzony?

Jakiś impuls kazał mu bieć. Nie będzie stał i czekał, aż cała wataha posieka go kłami. Jeśli mają go dorwać, niech złapią go w biegu. Jak antylopę gnu. Którą, nawiasem mówiąc, zawsze uważał za jedno z najbardziej beznadziejnych

stworzeń na świecie.

Poderwał się i rzucił na tyły budynku. Usłyszał za sobą trzask łamanego drewna. A potem jeszcze potężniejszy łomot. I potworne ryki. Popędził przez ciemny dziedziniec i dopadł ogrodzenia. Zerknął szybko przez ramię i naraz znieruchomiał: nikt go nie gonił. Ryki mieszały się z innym, przeraźliwym dźwiękiem – kwikiem zarzynanych zwierząt.

W oborze doszło do koszmarnej rzezi. Z budynku dobiegały upiorne ryki i stukoty, straszliwe jęki, trzaski i rżenie. Wszystko to było jak z horroru. A może to tylko halucynacje? Może sobie to wszystko uroił? Love mógł mu dosypać czegoś do szampana.

Ale nie, to nie mogły być halucynacje. Słyszał przecież wyraźnie ten makabryczny jazgot, słyszał trzaski i znów te niezwykle, demoniczne dźwięki: jakby ktoś się dławił i krztusił, a potem śmiał, a potem znowu płakał i zawodził...

Nie było na co czekać. Nie mógł tu zostać ani chwili dłużej. Przeskoczył przez parkan i znów biegł przez czarne, zamglone pole. Biegł na oślep, przed siebie, byle jak najdalej od straszliwej rzezi. Uciekał – ale jednocześnie czuł jakąś dziwną frustrację. Coś mu mówiło, że nie powinien wiać – jak tchórz albo zwykły śmiertelnik. Coś mu mówiło, że on, Adler z Klubu Zoologów, powinien być teraz tam, w oborze, i oglądać makabryczny spektakl.

Na horyzoncie zamigotało wątłe światło. Niemal od razu znikło mu z oczu, przysłonięte przez mleczone opary. Może to byli myśliwi? Może po polach włóczył się Keith Wood? Adler przyspieszył, choć w płucach brakowało mu już tchu. Światło pojawiło się znowu. Niebieski prostokąt. Okno z telewizorem migoczącym za szybą. Dotarł do jakiegoś samotnego

domostwa.

Po chwili stał już przy kamiennym murku, okalającym dom. Schował nóż za pas i przelazł przez murek. Przedarł się przez ogrodowe krzaki i ruszył przez zabałaganiony trawnik. Gdzieś ze środka domu rozległo się szczekanie psów.

Przystanął pod drzwiami, oświetlonymi białą, kulistą lampką. Zawahał się. A potem uderzył żelazną kołatką. Jeżeli to wszystko nie działo się naprawdę, jeżeli była to tylko jakaś straszna baśń, otworzy mu zapewne stara, paskudna wiedźma, która zamieni go potem w szczura lub innego, nędznego gryzonia. Wszystko to było takie nierealne: ten bieg przez mgłę i czarne pola, te wrzaski bestii w ciemnościach, masakra w oborze...

Lecz jeśli to nie był sen, ktoś zaraz otworzy drzwi. I w progu stanie...

Drzwi się otwarły i w progu stanął potężny jegomość w zmechaconym szlafroku. U jego nóg kotłowały się zaaferowane psy.

Jegomość ściągnął srogie brwi i zmierzył Adlera raczej antypatycznym spojrzeniem. Nic dziwnego, chłopak nie mógł się podobać: był cały w błocie i krwi, zgrzany i potargany. Jego wielkie oczy błyszczały jakimś nienormalnym blaskiem.

– Czego? – warknął jegomość.

– Czy pan... – wysapał Adler. – Czy zna pan właściciela tej obory... tej tam, na polach?... – machnął zakrwawioną ręką.

Jegomość odruchowo się cofnął.

– Co? – burknął. – Jakiej obory? Kim pan jest?! – Psy zawarczały wściekle, słysząc podniesiony głos pana.

Adler wziął głęboki wdech i spróbował jeszcze raz.

- Nazywam się Adler. Pilnie szukam właściciela tamtej obory. Tam się teraz dzieje coś makabrycznego... Jakieś zwierzęta zaatakowały bydło. Jest prawdziwa masakra!

- C-co? Co pan gadasz?! - jegomość poczerwieniał na twarzy, mocno zbulwersowany. - Jakie zwierzęta? Jaka masakra?! Skąd pan wiesz takie rzeczy?!

Adler nagle stracił całą cierpliwość.

- Niech pan da spokój! - rzucił ostro. - Szkoda czasu na ten durny wywiad! Zna pan właściciela obory czy nie?

Jegomość oniemiał. Przez chwilę gapił się na Adlera, a w końcu wychrypiał cichym, znacznie potulniejszym głosem:

- No znam - powiedział. - To ja jestem właścicielem. Phil Sturridge, do usług.

Adler skinął pośpiesznie głową.

- Ma pan broń?

Sturridge potarł powieki grubymi paluchami. Chyba się zastanawiał. Albo dobudzał.

- Mam strzelbę - rzekł w końcu. - I armatkę hukową - dodał.

- Super - odparł krótko Adler. - Jakiś wóz?

Sturridge ściągnął brwi i władczym gestem poprawił poły szlafroka.

- Pojedziemy traktorem! - zdecydował.

Parę chwil później pruli przez czarną noc olbrzymim ciągnikiem. Rząd wielkich reflektorów rzucał szerokie snopy światła na zamgloną rolę. W ciemnościach migają postrzępione kontury samotnych drzew i zagajników. Migają zmurszałe płotki i niskie murki z szarego kamienia. Potężne koła ciągnika co rusz wpadały to w bagno, to w bulgoczący

strumień. Sturridge zamaszyście sterował maszyną, znał w tym polu każdą koleinę. Adler siedział obok, jak afrykański partyzant; na kolanach trzymał strzelbę nabitą breneką [65].

Jechali jak burza, na ile tylko silnik ciągnika pozwalał. Ciężki ryk traktora zagłuszał wszelkie dźwięki. Z gałęzi raz po raz podrywały się spłoszone sowy. W nocy zazwyczaj to one rządziły na tym terytorium. Lecz to nie była zwykła noc. Najpierw przez pola przetoczyła się szarża jazgotliwych drapieźców, wataha dzikich bestii, jakich tu nie widywano. Teraz znowu do żerowiska wtargnęła rycząca maszyna. Dotychczas ciągniki bywały na polach jedynie za dnia. Nikt się ich nie bał, żadne polne zwierzę: ruszały się nieśpiesznie, kreśliły słamazarne linie po kwadratowych poletkach. Jednakże tej nocy było inaczej.

Tej nocy rycząca maszyna przeprowadzała szturm.

Dotarli wreszcie na miejsce. Rajd po czarnych wertepach porządnie ich wytrzepał i zmierzwił. Sturridge zatrzymał ciągnik tuż pod parkanem ogradzającym oborę. Przez chwilę nasłuchiwali w milczeniu. Od strony budynku docierały jakieś niewyraźne odgłosy. Przypominały raczej lament niż jatkę.

Sturridge zawiercił się nerwowo w swoim foteliku. Łypnął na Adlera.

– Jak myślisz, mam otworzyć bramę? – zapytał.

– Lepiej nie – zdecydował chłopak. – Jeśli one tam jeszcze są, lepiej, żeby pozostały w zagrodzie. – Zdawał sobie sprawę, że obdarza zbutwiały parkan nadmiernym zaufaniem.

– To co, bracie, narobimy hałasu? – Sturridge sięgnął po butlę z gazem.

Adler pomógł mu umieścić lufę armatki na stojaku. Sturridge założył żółte nauszники, Adler zasłonił uszy. Raz!

dwa! trzy!... Powietrze rozciął huk. Armata wypluła serię ogłuszających wystrzałów.

Sturridge klepnął się po kolanach.

– W mordę jeża! Ale łomot! – wrzasnął.

Adler odsunął jedną dłoń od ucha i machnął do farmera: daj pan jeszcze! Sturridge wystawił kciuka i zagroda znów zmieniła się w poligon.

– Okej, starczy! – krzyknął Adler.

Z wnętrza obory dobiegały płaczliwe, urywane głosy. Jakaś krowa muczała żałośnie. Z budynku nie wybiegło ani jedno zwierzę. Podwórze było puste. W jaskrawym świetle reflektorów mieniły się zastygłe w nocnym przymrozku kałuże.

Adler zeskoczył z traktora i odbezpieczył strzelbę.

– Idę się rozejrzeć – rzucił do farmera.

Sturridge uniósł się w fotelu.

– A ja? – zapytał. – Co mam robić?

– Na razie nic – odparł Adler. – Wejście do budynku jest z drugiej strony. Spróbuję się tam zakraść. Zobaczę, co się dzieje.

– Ja nie widzę tutaj żadnych śladów dzikiej zwierzyny – zauważył Sturridge. – Zresztą, co by to miało być: borsuki?...
– Nagle zaczął wątpić w całą akcję.

Adler nie odpowiedział. Nie miał ochoty zwierzać się teraz farmerowi ze swoich przeżyć.

Bezszelestnie obszedł budynek i wychylił się zza rogu frontowej ściany. Poświecił latarką. Pierwszym, co rzuciło mu się w oczy, były kompletnie roztrzaskane wrota. Front obory był zdemolowany, zupełnie jak nieszczęsna stodoła Finneranów.

Przyłgnął do ściany, nasłuchując. Słyszał tylko żalosne zawodzenie krów. Tylko krowy... Ale przecież wciąż potrafił odtworzyć w głowie te demoniczne dźwięki, to krztuszenie się, nieludzki chichot i płacz... Czy to możliwe, by to wszystko mu się wydawało? Czy, u diabła, był skończonym wariatem?!

Ze złością oderwał się od ściany i podbiegł do wyłomu. Stał w otworze, w szerokim rozkroku i z uniesioną bronią, niczym funkcjonariusz antyterrorystycznej brygady. W oborze było ciemno. Jedną ręką sięgnął po latarkę. Włączył ją – i jego oczom ukazał się makabryczny widok.

Na zalanej czarną posoką podłodze leżało poszarpane bydło. Przewrócone na plecy krowy z dramatycznie rozchylonymi nogami i rozharatanymi brzuchami. Młode cielaki i jałówki, kompletnie zmasakrowane, wygryzione aż po kości. Wokół unosił się dusząco-dławiący odór, zmieszany z mgłą i nocnym powietrzem znad pól i mokradeł. Na cały ten dramat spoglądały nieliczne, ocalałe jednostki: ściśnięte w rogu, muczące płacziwie krasule.

Adler westchnął ciężko i opuścił strzelbę. Chyba było już po wszystkim. Poświecił po kątach obory, na wypadek gdyby gdzieś tam jeszcze uctowała jakaś szczególnie nienasycona bestia. Nic z tego. Wyglądało na to, że wszyscy sprawcy masakry zbiegli. Zgasił latarkę i powłókł się w stronę traktora, by poinformować Sturridge'a o zajściu.

Rozpacz farmera była straszliwa. Wielki chłop popłakał się jak bóbr. Zwalił się na środek czarnej kałuży krwi i zakrył twarz rękami. A potem już tylko ryczał i wył. A potem jeszcze złorzeczył. I znowuż płakał. Po jego grubych palcach toczyły się olbrzymie łzy. Adler stał obok niego, z opuszczoną strzelbą i jedną ręką poklepywał nieszczęśnika po ramieniu.

- Może chce pan, żebym zadzwonił po jakieś służby? - zapytał. - Weterynarz? Policja?

Sturridge kręcił tylko głową i pociągał nosem.

- Nie rozumiem... - wykrztusił. - Nie rozumiem nic... Co tu się właściwie stało? Jak do tego mogło dojść?... Kto to zrobił? - podniósł na Adlera spuchniętą od łkania twarz.

Adler ściągnął brwi i wpatrywał się uparcie w czarną dal. Była jak otchłań, w której wylęga się zło. Miał ochotę zostawić tu Sturridge'a, wskoczyć na traktor i pognać tropem czarnej hydry.

- Czy wierzy pan w potwory? - spytał w końcu.

- W potwory...? - wyjąkał farmer. - Masz na myśli zwierzęta - czy ludzi?

- A jaka jest różnica? - prychnął Adler, któremu naraz stanęło przed oczami wspomnienie rosyjskich kłusowników.

Sturridge podniósł się ze stękiem i wypuścił ciężko powietrze ze swych ogromnych płuc.

- Wierzę w zło - wychrypiał. - Bo jakże mogę w nie nie wierzyć? Zostawiło ślady zębów na moich zwierzętach! - Powiódł zgnębionym, dziwnie refleksyjnym spojrzeniem po ciemnej oborze. - Tak - wycedził. - Tej nocy na moich polach żerowało zło. Nazywaj je jak chcesz. Potwory? To brzmi trafnie.

Adler wyszedł przed zagrodę. Powietrze było mroźne, noc czarna i cuchnąca. Cuchnęła błotnistą rolą. A może to on sam cuchnął? Ziemią, łajnem, krwią...

Obok niego stanął Sturridge - smutny, zwalisty farmer z wielką latarką halogenową w spracowanej dłoni.

- Nic tu po tobie, bracie - rzekł do Adlera. - Ja muszę

obejść zagrodę, przeliczyć i obejrzeć bydło. Ocenić straty, jak to się mówi – mruknął. – Dzięki za wszystko. – Poklepał chłopaka po ramieniu. – Dzięki!

– Nie potrzebuje pan pomocy?

– Zawołam syna. Jak będzie trzeba, zadzwonię do weterynarzy. Tu niedaleko mamy całodobową przychodnię. Na policję może też zadzwonię, tylko co im powiem? – pokręcił sceptycznie głową. – Pewno każą mi przyjechać na posterunek, do Chichester. Albo i do Petersfield. – Prychnął z niechęcią. – Chodź, bracie – rzekł. – Odwiozę cię. Wyglądasz makabrycznie, matka cię nie pozna.

Adler parsknął niewesołym śmiechem. To fakt: matka by go nie poznała. Nie wiedziała nawet, jak wyglądał.

Sturridge podwiózł go do miasteczka. Pojechali traktorem przez pola, na skróty. Po drodze Adler wyciągnął telefon i zobaczył setki nieodebranych połączeń od George'a Wyatta oraz drugie tyle od jakichś nieznanymi numerów. Ale ktoś jeszcze próbował się z nim skontaktować: ktoś, kto nie dzwonił nigdy, chyba że sprawa była paląca. Profesor Reid.

Adler zagapił się na wyświetlacz, tknięty jakimś niedobrym przeczuciem. A potem wybrał numer sir George'a i powiadomił go krótko, że wraca.

Przed białym płotkiem St John's Cottage zebrała się grupka ludzi. Jezdnię blokowały ich luksusowe samochody, zaparkowane niedbale jak rozrzucone zabawki.

Na widok nadchodzącego Adlera wszyscy oniemieli. Ich twarze zastygły w wyrazie przerażenia. Adler zaklął w duchu. Musiał naprawdę wyglądać jak upiór.

Ktoś poświecił mu po twarzy latarką. Chłopak skrzywił się i zmrużył oczy.

- Adler, na Boga, co z tobą?! - Rozpoznał głos sir Ralpha.

Snop światła z latarki przesunął się na jego zakrwawioną bluzę, a potem na nogi - całe w błocie i Bóg wie, w jakim jeszcze gnoju.

Druga latarka błysnęła mu prosto w oczy jak ostra żarówka na przesłuchaniu mordercy.

- Synu, kto cię tak poharatał? - To był Nick Love. Nawet w sytuacji stresowej głos Nicka trącił wrodzoną nonszalancją.

- Tak to jest, jak się włóczy nocami po lasach - skomentował flegmatycznie wszytkowiedzący Keith Wood. - Sam w młodości nieraz łąziłem... - nie dokończył, gdyż przerwał mu sir George.

- Adler, gdzie byłeś?! Co ci się stało?! - zawołał wylęknionym głosem.

- Może trzeba go zawieźć do lekarza? - zasugerowała Monica Sandalls. Jej głos był czysty, nudnawy, pozbawiony emocji. Monica opatuliła się ciaśniej swoją chustą i ziewnęła szeroko. - Pardon - powiedziała, ani odrobinę nie speszona.

- Nic mi nie jest! - rzucił ostro Adler. Nie chciał się z niczego tłumaczyć. Chciał, żeby go zostawili w spokoju. - Jeżeli to przeze mnie się tu zebraliście, możecie wracać do domów. Wszystko jest w porządku. Nic mi nie jest - powtórzył.

- Nic ci nie jest? - powtórzył jadowicie jakiś głos. - W takim razie jesteś szczęściarzem. - Z tłumku wyłoniła się Ailith Love. W ciemności praktycznie nie było widać jej twarzy ani nóg. Futro Ailith wyglądało, jakby samo unosiło się nad ziemią.

- Szczęściarzem? - powtórzył, nie rozumiejąc, co dziewczyna ma na myśli.

- Tak, cholernym farciarzem! - syknęła.

Ktoś szarpnął ją za poły futra. Jakaś cienka, biała rączka. Majella. Ailith odepchnęła ją brutalnie i zbliżyła się do Adlera.

- Jesteś farciarzem - w przeciwieństwie do Madonny! Nienawidzę cię! - syknęła. - Zamordowałeś mojego kota! - Wymierzyła mu policzek.

Adler skrzywił się. W jego skórę wbiły się wyszukane ornamenty złotych pierścionków z New Bond Street.

Tłumek zamruczał nerwowo. Nick Love podszedł do córki i zagarnął ją ramieniem.

- Ailith, nie teraz - mruknął.

Wyszarpała się z jego objęcia z nienaturalną siłą. W jej oczach płonęła nienawiść. Wycelowała w Adlera palcem i zasyczała, nieomal plując jadem:

- Śmierdzisz! - Odwróciła się na pięcie, szarpnęła za drzwiczki swego mercedesa i odjechała z furją.

W alejce zapadła niezręczna cisza. Ktoś odchrząknął.

Adler ze złością rozepchał tłum rękami i pomaszerował w stronę domu. Czuł się podle. Po części dlatego, że Ailith miała rację: śmierdział i zamordował jej kota.

Wbiegł po schodach na piętro i w pierwszej kolejności dopadł łazienki. Wyszedł z niej dopiero wtedy, gdy w marmurowej misie na gąbkę zrobiła się sadzawka, a w pomieszczeniu skłębiło się tyle oparów, że nie mógł złapać tchu.

Czuł się trochę lepiej. Był czysty, rany piekły go i szczypały dziwnie pobudzającym gorącem. Nie był już błotnym upiorem.

Był całkiem przyzwoitym mordercą zwierząt.

Ruszył korytarzem do swojej sypialni. Naraz stanął jak

wryty – pod drzwiami siedziała skulona Majella. Dziewczyna miała nienaturalnie pochyloną głowę i przez skołowaciały umysł Adlera przemknęła myśl, że ktoś mógł jej podciąć gardło. Długie włosy Majelli były w nieładzie, opadały chaotycznymi pasmami na kolana.

– Majella? – spytał niepewnie.

Drgnęła, a kiedy zaczęła unosić głowę, niemal spodziewał się ujrzeć długą, czerwoną szramę wzdłuż jej bladej szyi.

Szramy nie było. Nie było też żadnych innych makabrycznych znaków. Majella zamrugła zaspanymi oczami i potarła twarz małą dłonią. A potem podniosła się bezszelestnie, dźwigając coś z ziemi.

Adler zobaczył tacę z niewielkim, porcelanowym imbrykiem i ręcznie malowaną filiżanką.

– Przyniosłam herbatę – powiedziała Majella, nie patrząc na niego. – Pomyślałam, że po tym całym okropnym dniu chętnie byś się napił – dodała nieśmiało.

Adler omal nie prychnął. O tak, chętnie by się napił. Whisky, nie herbaty. Ale im dłużej patrzył na ten niewinny imbryk i małe dłonie trzymające tacę, jego bunt tracił na sile.

– Jasne, dzięki – skapitulował. – A gdzie twoja filiżanka?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– To dla ciebie – powtórzyła, pewna, że ją źle zrozumiał.

– Nie będę pił sam – odparł z uśmiechem.

– W salonie czeka dziadzio z whisky – powiedziała z rezygnacją.

– Kuszące. Ale lepiej skocz po jeszcze jedną filiżankę. I... Majella? – zawołał, kiedy dziewczyna odwróciła się radośnie ku schodom.

- Co?
- Nie musisz zapraszać dziadka.

POŚLANIEC ZAMĘTU

*Taktyka na potwora jest taka: należy zastawić sidła
i czekać.*

Keith Wood

NASTĘPNEGO DNIA Adlera obudziło natarczywe pukanie do drzwi.

Nieprzytomny, uniósł się na łokciu i potarł czoło palcami. Głowa bolała go straszliwie. Jakby imprezował do rana – lub pół nocy ścigał bestie.

- Kto tam? – wychrypiał.

Drzwi uchyliły się i przez szparę łypnęła para okrągłych, ciekawskich oczu.

- Halo? Panie Adler?

Adler uniósł brwi. Kto to mógł być? Głos należał do kobiety, ale nie brzmiał ani trochę znajomo.

- Wszystko z panem w porządku...?! – Oczy w szparze zamrugały gorączkowo.

- Tak, wszystko w porządku! – odkrzyknął Adler, siadając w łóżku.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, jakby ktoś potraktował je niecierpliwym kopniakiem i do pokoju wtargnęła pani Chapman, gospodyni domowa. Kobieta zbombardowała Adlera

łapczywym spojrzeniem.

– Bogu dzięki! – zawołała, składając dłonie jak do modlitwy.
– Bogu dzięki, że pan żyje! Boże, już myślałam, że będę jak te kucharki w kryminałach, co to nad ranem znajdują ciepłe zwłoki swych panów dobrodziejów...! – Odetchnęła głęboko i z wyraźną ulgą.

– A dlaczego, pani zdaniem, miałbym być martwy?! – zdenerwował się Adler.

Momentalnie odechciało mu się spać. Szybkim, obrażonym gestem przysłonił kołdrą swoją nagość.

Pani Chapman nie zwracała uwagi na jego manewry.

– Dlaczego?! – prychnęła. – Proszę pana, ja co dzień rano sprzątam łazienki – oświadczyła z godnością.

Adler uniósł brew i łypnął na nią podejrzliwie.

– No i? – przycisnął.

– No i – rzekła dobitnie – dzisiaj rano wchodzę, proszę pana, do łazienki na piętrze i co znajduję? Pańskie ubrania! Całe we krwi. – Jej oczy z zaaferowania nieomal wyszły z orbit. – I co ja sobie miałam pomyśleć, proszę pana?! – Wzięła się pod boki i spojrzała wyczekująco na Adlera.

Chłopak stłumił ziewnięcie i przejechał dłonią po zmierzwionych włosach. No tak, te cholerne ubrania. Całe we krwi Madonny. Całe w błocie i czarnej posoce martwych krów. Zupełnie o nich zapomniał. Albo inaczej – po przeżyciach minionej nocy kompletnie nie miał głowy do tego, by trapić się ich dalszym losem.

A teraz jego jedynym strojem był niezniszczalny zestaw outdoorowy. Swoją drogą, jedyna sensowna opcja w tym miejscu. Szczególnie, gdy się weźmie pod uwagę jego ostatnie przygody.

– Jak pani myśli, czy te ciuchy da się jeszcze odratować? – zapytał.

Pani Chapman zamyśliła się z miną kogoś ważnego poproszonego o ekspertyzę.

– Zobaczę, co się da zrobić – powiedziała w końcu. – Ale niech mi pan powie, co pan wczoraj wyprawiał?! Skąd ta krew? Czy pan jest ranny...?

– Nie, nic z tych rzeczy – uciął szybko Adler. – Po prostu... byłem na farmie i tam... zarzynano akurat zwierzęta. Zaciekawilo mnie to i ja... chyba podszedłem zbyt blisko.

Gospodyni pokiwała ufnie głową.

– No tak – powiedziała – dla takich jak pan, to jest miastowych, ubój na farmie to pewno atrakcja.

– Wielka – zapewnił ją Adler, pragnąc, by już sobie poszła.

Wścibska gosposia nie dała się jednak łatwo spławić.

– Pewnie teraz nie masz się w co ubrać, biedaku – zauważyła, popatrując sceptycznie na jego gołe ramiona.

Otworzył usta, by stanowczo zaprzeczyć, lecz nie pozwoliła mu dojść do słowa.

– Tak sobie myślę, gdzie by tu pan mógł kupić sobie jakieś nowe ubrania, ale to nie taka prosta sprawa. Pelham to nie Mediolan, wie pan. Ani Londyn – dodała niepotrzebnie. – Nasze High Street to nie Oxford Street [\[66\]](#). Ale dla niewybrednych coś się tutaj znajdzie. Mamy tak – rozcapierzyła palce, gotowa do wyliczanki – sklep z odzieżą dla myśliwych i rybaków, absurdalny butik dla bogatych dam oraz kupę szmateksów, prowadzonych przez organizacje dobroczynne. Ja to się zwykle w nich właśnie ubieram. Preferuję Donkey Sanctuary – zaznaczyła, jak gdyby jej rekomendacja miała istotne znaczenie.

- Donkey Sanctuary? To ta grupa maniaków walczących o dobrobyt osłów? – roześmiał się Adler.

Pani Chapman zmierzyła go karcącym spojrzeniem.

- To poważna organizacja – odparła. – Z bardzo poważną misją – dodała z naciskiem. – Ciuchy też mają niezłe. Ponoć pierwsza lady Pearson podarowała im pół swojej szafy.

Kiedy gospodyni zostawiła go wreszcie w spokoju, Adler sięgnął pod łóżko i namacał swój telefon, rzucony niedbale gdzieś na dywan poprzedniego wieczoru.

Podniósł go i w pierwszej kolejności odsłuchał wiadomość od profesora. Była krótka: *Adler, skontaktuj się ze mną pilnie. Mam parę pytań odnośnie twoich raportów z Chin. I jeszcze jedno: dlaczego nie widziałem cię w tym tygodniu na zajęciach?*

Adler przygryzł w zamyśleniu wargę. Wiedział, że nie powinien dłużej unikać profesora i jego pytań. Z drugiej strony, teraz naprawdę miał na głowie pilniejsze sprawy. Poza tym, do Edynburga wróci już za parę dni. A wtedy spotka się z Reidem... i pogadają.

Padł z powrotem na poduchy, założył jedną rękę pod głowę, a drugą przeglądał coś w smartfonie. Wczoraj w nocy, tuż zanim zasnął, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wtedy nie miał już sił ani serca, by zastanawiać się nad tym dokładniej. Dziś jednak zamierzał przekuć swój pomysł w konkretny plan działania. Potrzebował tylko sprawdzić parę informacji. A potem wybrać się na małe zakupy.

Jego plany pokrzyżował odrobinę sir George. Dżentelmen czekał na Adlera w jadalni, przy dużym, okrągłym stole, nakrytym białym obrusem. W pokoju panował typowy dla domu Wyatta półmrok. Małe okienka wpuszczały skąpe ilości

dziennego światła, dlatego wnętrza oświetlano dodatkowo świecami w kinkietach oraz lampami naftowymi o szklanych kloszach.

Sir George spoglądał w zadumie na swoje śniadanie: kawę, jajko i rząd trójkątnych tostów ułożonych w srebrnym stojaku. Dżentelmen najwyraźniej nie miał dziś wilczego apetytu. Uniósł szczypcę do otwierania jajka, lecz jego dłoń zastygła w niezdecydowanym geście.

– O, Adler – powiedział, opuszczając szczypcę.

Adler wszedł do jadalni, lecz nie zajął miejsca obok sir George'a. Oparł się o brzeg stołu i skrzyżował ręce.

Spodziewał się ataku ze strony Wyatta. Spodziewał się morza pytań odnośnie wczorajszych wydarzeń. I rzeczywiście, sir George chciał wiedzieć wszystko: jak Alder się dziś czuje, czy nie jest ranny, dlaczego wczoraj tak nagle wybiegł z przyjęcia, gdzie się włóczył pół nocy, co go spotkało, czy to ma związek ze Wzgórzem świętej Anny i wreszcie – czy wie, że Majella jest jeszcze niepełnoletnia.

Adler wysłuchiwał cierpliwie jego pytań, a nawet odpowiedział na co poniektóre.

– Czuję się świetnie, sir. Nic mi nie jest. Co do wczoraj... no cóż. Wczorajsza noc, zdaje się, potwierdziła, że w okolicach Pelham grasują jakieś dziwne zwierzęta – rzucił oględnie.

Pochylił głowę i potarł zmęczone oczy.

– Czy to jest pańska opinia jako zoologa? – zapytał niemal drwiąco sir George. – Czy też jako poszukiwacza przygód?

Adler spojrzał na niego zdumiony.

– Dostrzegam w panu pasję do szukania guza. Niewątpliwą pasję. Tymczasem liczyłem na ekspertyzę zoologa. Stwierdzenie, iż „w okolicach Pelham grasują jakieś dziwne

zwierzęta” już mi nie wystarcza. Ani bynajmniej mnie nie uspokaja. Co to za zwierzęta, panie Adler? Dlaczego uważa pan, że są dziwne? Czy to te same sarny, które ja widziałem na Wzgórzu? I wreszcie, czy to z mej strony słuszne, że... że się obawiam? – głos dżentelmena załamał się, sir George ukrył twarz w dłoniach. – Boję się, panie Adler. Boję się, że pan widzi więcej niż potrafimy dostrzec my, mieszkańcy miasteczka. Pan coś odkrył, czuję to. Tylko że dla pana to wszystko jest dobrą zabawą, dla nas natomiast to sprawa śmiertelnie poważna. Ktoś – lub coś – próbuje zniszczyć nasze sielskie życie. Dawniej można było nocą wybrać się na łąki, by oglądać pełnię. A teraz? Sam pan widzi, ledwie wystawił pan nos poza granice ostatniego domostwa, a już spotkało pana nieszczęście! – Sir George wstał od stołu i popatrzył Adlerowi prosto w oczy. W szklach jego okularów odbijały się skoczne płomienie świec. – Co się tutaj dzieje, panie Adler? Niech mi pan powie! Niechże pan skończy te zabawy i mi wreszcie powie! – Wyatt krzyczał, lecz nie był zły. Raczej – złękniony.

Adler zacisnął pięści i spróbował się opanować. Jego wzrok padł na karafkę z sherry. Całą siłą woli powstrzymał odruch, by sięgnąć po karafkę i natychmiast wyłopać zawartość. A potem wyjść stąd czym prędzej, trzaskając drzwiami.

Każdy był z niego niezadowolony. Ojciec, Vincent, teraz nawet Reid i Wyatt. Banda zrządów, jak takim dogodzić?

– Niech pan nie histeryzuje, sir – poradził Wyattowi. – Pan myśli, że się zabawiam? Wolałby pan, żebym usiadł za biurkiem i wysmarował panu coś, co mógłby pan potem nazywać ekspertyzą? Ja nie jestem historykiem, sir. Ani archiwistą. Nie siadam za biurkiem, nie produkuje dokumentów.

Sir George poczerwieniał, ogromnie zakłopotany. Adler nie zwracał na niego uwagi.

– Chce pan znać fakty? – ciągnął, wzburzony. – Na razie mogę tylko potwierdzić, że tak, słusznie się pan obawia: nie dalej jak milę od pańskiego domu żerują krwiożercze stworzenia. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę zapytać swojego sąsiada, niejakiego Sturridge’a. Ten dopiero panu opowie makabryczną historię!... – Adler urwał i zatrzymał rozbiegany wzrok na barwnym, okiennym witrażu. Westchnął, po czym dodał spokojniejszym tonem: – Jeśli chce pan wiedzieć, co to za stwory i skąd nadciągają, musi pan uzbroić się w cierpliwość. Ja sam nie znam jeszcze odpowiedzi, ale mam pomysł, jak przydybać te bestie.

Sir George westchnął ciężko i opuścił głowę.

– Przepraszam – wyszeptał. – Najmocniej pana przepraszam. Poniosło mnie. Ostatnio żyję w takim napięciu. Wie pan, ja nigdy nie wiedziałem, co to takiego jest napięcie czy stres. Wstawałem o poranku i wychodziłem z Albertem na spacer do lasu, na Wzgórze. Potem wracałem i zasiadałem do pracy, przy biurku, o którym raczył pan wspomnieć. Czasem zaglądałem do archiwum. Czasami – do przyjaciół i pubu. Chodziłem też sporo po miasteczku i oglądałem historyczne budynki. Majella była w szkole, córka w Londynie. Wie pan, święty spokój. Pani Chapman gotowała mi pyszności, ogrodnik przycinał krzewy w moim ogrodzie. To było piękne życie – uśmiechnął się słabo i żałośnie, jakby teraz to wszystko postradał.

Adler patrzył na niego niewzruszenie.

– No i? – zapytał dość ostro. – Nie sądzę, żeby wiele się zmieniło w pańskim życiu – zauważył.

Sir George pokręcił głową.

– Myli się pan – odparł, już nie kłótliwym, a łagodnym tonem. – Zmieniła się jedna, istotna rzecz: prysnął spokój. Wszystko rodzi teraz we mnie podejrzliwość i napięcie: ulice i ścieżki, które znałem, dźwięki, na które nigdy nie zwracałem uwagi. Ludzie. Majella. – Z jakiegoś powodu nie zaliczył wnuczki do ogólnej kategorii. – Proszę usiąść – powiedział do Adlera i wysunął dla niego krzesło.

Adler usiadł. Sir George plasnął miękko na swoje siedzisko.

– Wczoraj – rzekł – po tym, jak pan zniknął z przyjęcia, przyjechało pogotowie. Zabrali Lexi Herbert. Dziś rano dzwonił do mnie Ralph i mówił, że Lexi ma ponoć poszarpaną rękę, ale dzięki panu żyje i się z tego wyliże. Powtarzam: dzięki panu. Uratował pan życie tej starej pijaczce. Myślę – sir George uśmiechnął się lekko – że może pan liczyć na porządną zniżkę w salonie Rolls-Royce'a.

Adler oparł łokcie na stole i przez chwilę bawił się w milczeniu srebrnymi szczypcami.

– Zabiłem panterę Love'a – powiedział w końcu.

– Musiał pan to zrobić – odparł łagodnie Wyatt. – Ratował pan Lexi. Nikt prócz pana nie zdobył się na odwagę. – Przyjrzał się Adlerowi. – Czy bardzo przeżywa pan śmierć tego kocura?

„Wcale”, pomyślał Adler. Czy myśliwy miałby przeżywać śmierć każdej swej ofiary?

Głośno zaś powiedział:

– Po prostu nie lubię pozbawiać ludzi ich ulubionych czworonogów. Ta cała Ailith musi mnie teraz faktycznie nienawidzić.

W sumie nawet jej się nie dziwię.

Sir George zeszywniał.

– Tak, to smutne – rzekł powściągliwie – stracić swojego ulubieńca. Ralph mógłby panu o tym sporo opowiedzieć. Niedawno grzebał swego ukochanego Hugona. Ale życie toczy się dalej – zauważył rażno. – Śmierć tego kocura była konieczna. Jestem przekonany, że Nick to rozumie. Nie wydawał się zresztą wczoraj ani trochę na pana zagniewany. Dziewczynie też przejdzie. Znajdzie sobie inną zabawkę. A teraz – sir George klepnął się w kolana – zapraszam pana na śniadanie! Poproszę panią Chapman o więcej jajek i ciepłe grzanki.

Podczas śniadania sir George starał się zrekompensować swój poranny wybuch na wszelkie możliwe sposoby. Szczytem jego wybujałej nagle uprzejmości było zaproszenie Adlera na niedzielną eskapadę do Arundel.

– Zobacz pan, to fascynujące miasteczko z wspaniałym, isticie bajkowym średniowiecznym zamkiem! A do tego tej niedzieli odbywa się tam arcyciekawa impreza!

Adler zastanowił się w myślach, jaką też imprezę jegomość pokroju Wyatta mógł określać mianem arcyciekawej. Wytypował same podejrzanе eventy: jakiś Dzień Ziemiaka lub innego warzywa, festiwal lokalnej cegły...

– Dzisiaj natomiast – kontynuował sir George – czeka mnie doprawdy przykra, rzekłbym nawet: traumatyczna, wizyta.

Adler zerknął na niego badawczo.

– Dentysta?

Wyatt westchnął ciężko.

– Żeby to dentysta! Żeby to ten sadystyczny konował, doktor Salem! Ale nie, jest sto razy gorzej: wybieram się do Finneranów.

Adler odsunął swój talerz. Jego wiedza lokalna mówiła mu, że ponowne starcie Wyatta z Gary'm Finneranem nie było dobrym pomysłem.

– Po co pan tam idzie? – zapytał ostro.

– Jak pan może pamiętać, na początku tygodnia wysłałem Finneranom czek. W ramach przeprosin i w ogóle – bąknął sir George.

– Pamiętam.

– Czek opiewał na skromną kwotę stu funtów. Może nazbyt skromną, bowiem po dziś dzień nie dostałem żadnej informacji zwrotnej. Ani od Sue, ani od Gary'ego. No więc zastanawiam się... Sam nie wiem – rzekł bezradnie. – Chciałbym wiedzieć, na czym stoję. Poza tym interesuje mnie, co udało się ustalić w sprawie masakry w stodole. Tyle dyń przecież wtedy poległo, to jest zostało stłuczonych na miazgę...

– Jeśli koniecznie chce się pan tam wybrać, idę z panem! – powiedział Adler stanowczo.

Sir George podniósł na niego oczy.

– Naprawdę? – zapytał z nadzieją. – Ale to niebezpieczna wyprawa – ostrzegł.

– Mam nadzieję – odparł Adler.

Jeżeli już miał angażować swoją energię w tę wizytę, w grę wchodził tylko agresywny nalot. Miał na dziś plany dużo ciekawsze niż grzecznościowa herbata i ciasteczka u sąsiadów.

Po śniadaniu udali się więc razem do Pumpkin Cottage. Furtka wiodąca do posesji Finneranów stała otworem. Sir George i Adler wkroczyli do frontowego ogrodu. Zewsząd uśmiechały się do nich szczerbate dynie. Porozwieszano je na gałęziach drzew niczym choinkowe bombki. Jeszcze więcej

dyń szczyrzyło się z za szyb małych okienek o malowanych na żółto framugach.

– A tym co tak do śmiechu? – mruknął podejrzliwie sir George.

Adler zastygł, nasłuchując.

– Słyszysz pan te stukoty, sir? Jest jakaś akcja na tyłach domu!

Ruszyli w tamtym kierunku. Sir George dość opornie, Adler – stanowczo, jak wojowniczy kolonizator.

Na placu za domem ich uwagę przykuło natychmiast ogromne rusztowanie. Całą stodołę osłaniał pancierz ze stalowych rur i plandeki. Z głębin rusztowania dobiegała gromka stukanina i pokrzykiwania. Tu i ówdzie, z otworów w plandece, wystawały głowy robotników w żółtych kaskach. Na placu przed dawnym wejściem do stodoły zaparkowały dwa białe vany. Nieopodal samochodów rozstawiono dwa, obite zielonym pluszem fotele. W jednym zasiadał jakiś waśniak w białym kasku, w drugim – Sue Finneran. Obydwoje popijali bursztynowy trunek. Sue chichotała i kokieteryjnym gestem przyglądała fałdy pledu, który przysłaniał jej kolana.

Sir George i Adler popatrzyli po sobie znacząco.

Nie zdążyli podejść do pani Finneran, by się przywitać, gdyż naraz plandeka na jednym z wyższych pięter rusztowania rozwarła się i ukazało się w niej popiersie Gary'ego.

– Oo, kogo ja widzę? – zawołał Gary, patrząc w dół. Wychylił się ryzykownie przez stalową barierkę i zamachał ręką. – Sir George z wnukiem! – Głos miał radosny i dziwnie serdeczny. – Zaraz do was schodzę, panowie! – Jego głowa zniknęła prędko za zasłoną.

Sue oraz jej towarzysz w kasku odchyliłi lekko głowy, by

przyjrzeć się gościom. Sue roześmiała się serdecznie i pomachała do sir George'a.

Dżentelmen, lekko skonsternowany, odchrząknął i uniósł niepewnie dłoń.

Tymczasem przez placyk już biegł ku nim Gary. Coś się zmieniło w jego wyglądzie i o ile Adler dobrze kojarzył poprzednie wcielenie Finnerana, była to zmiana znacząca. Gary, którego mieli teraz przed sobą, ubrany był w komiczny zestaw godny bywalca królewskich wyścigów konnych w Ascot. Albo innej, równie snobistycznej imprezy, której jedynym celem było pokazać się w tak zwanym dobrym towarzystwie.

Finneran miał na sobie czarny frak, żółtą kamizelkę i pasiaste spodnie. W jednej dłoni ścisnął melonik, w drugiej – cygaro i kieliszek z koktajlem.

– Myślałem, że wypisał mi pan czek na sto funtów, sir – mruknął dyskretnie Adler.

– Bo też i tak było – odszepnął sir George.

– Jest pan pewien, że nie pomylił się pan w liczbie zer?...

Sir George nie zdążył odpowiedzieć. Wyszczrzył się niezbyt przekonująco w odpowiedzi na szeroki uśmiech Gary'ego.

– Witajcie, panowie! – zagrzemiał ciepło Finneran i wyciągnął prawicę. Zorientował się, że jest zajęta – trzymał w niej cygaro i koktajl – i wybuchnął niby to zakłopotanym śmiechem. – Co za niespodzianka, George! Ta-ak... Ha, ha! Co za niespodzianka, stary! – rzucił poufale do Adlera.

„Stary” brzmiało niemal pieszczotliwie. Adler nie zapomniał, że ostatnim razem, to jest po bójce w pubie, Gary Finneran nazwał go gówniarzem. Wyatta zaś określił mianem pospolitego złodzieja...

- Co się stało z twoją gładką buzią, synu? - zatroskał się Finneran, przyglądając się twarzy Adlera.

W toku ostatnich wydarzeń, takich jak szamotanina z Ruskim i panterą czy ostry policzek od pewnej kobiety, gładka buzia Adlera uległa raczej niekorzystnej deformacji. Co do Gary'ego, ten nie nosił już żadnych śladów pamiętnej awantury w King's Head. A przynajmniej nie było ich widać spod grubej warstwy pudru i fluidu na jego dawniej tak prostackiej gębie.

Adler zignorował pytanie. Zachowanie Finnerana wydawało mu się kompletnie niezrozumiałe. Sir George chyba też nie bardzo potrafił sobie poradzić z zaskakującą przemianą butnego hodowcy dyń.

- Widzę, że remontujecie stodołę po, khm, tych jakże niefortunnych wydarzeniach - odezwał się niepewnie.

Gary włożył cygaro między zęby i powiódł wzrokiem w kierunku rusztowania.

- Taa... Remontujemy, George. Znalazłam świetnego architekta, który w mig naszkicował mi rewolucyjny plan! Chcemy przerobić tą rudere na supernowoczesną stodołę. - Finneran nieumiejętnie zaciągnął się cygarem, jakby to był zwykły papieros. Zakaszłał, w jego oczach stanęły łzy.

- Ciekawe - ożywił się mimo woli sir George. - Czy mogę wiedzieć, w jaki sposób uzyskacie efekt tej supernowoczesności?

- Szkło, George - odparł Finneran tonem znawcy. - Dużo szkła, rozumiesz. Szkło, drewno i światło. Prosta forma. I tak dalej. Mistrzostwo. Mówię ci, George, ten projekt to prawdziwe mistrzostwo.

- Szkło, powiadasz. Dużo szkła... - Sir George

w zakłopotaniu gładził podbródek. Szkło nie było tradycyjnym materiałem budowlanym w Pelham. – Macie już pozwolenie na tę budowę?

– spytał z niedowierzaniem.

Gary siorbnął swój koktajl.

– Pozwolenia jeszcze nie mamy, ale Sue właśnie rozpoczęła starania u znajomego planisty z urzędu – skinął w stronę pary raczącej się trunkiem w zielonych fotelach.

Wyatt zmieszał się i mocno zarumienił.

– Czy policji udało się coś ustalić w sprawie wydarzeń tamtej nocy? – spytał Adler.

Gary poklepał go po ramieniu.

– Nie mówmy o tym, synu. Nie ma co wspominać nieszczęścia. Życie toczy się dalej! – zawołał optymistycznie i znów żłopnął koktajl.

Adlera nie satysfakcjonowała taka odpowiedź.

– Słyszałeś o akcji odwetowej na Plumpton? – zapytał.

Finneran pociągnął nosem w niejakim zakłopotaniu, lecz szybko przywołał na twarz sztuczny uśmiech.

– Masz na myśli akcję „Śliwa”? Tak, coś tam słyszałem. Ale już gadałem z chłopcami, żeby odwołali akcję. Nikomu nie jest potrzebna. Ja już się wylizałem ze swoich ran – stwierdził, strzepując popiół z cygara. Na ziemię upadła długa grudka przypominająca sowią wypluwkę.

– Mam nadzieję, że Keith Wood jest tego świadomy – mruknął Adler. – To on miał przewodzić tej całej bandzie.

Właściwie mógł o to zapytać samego Keitha. I tak zamierzał dziś z nim pogadać. Wieczorem najpewniej znajdzie go w King's Head.

Sir George i Adler nie przedłużali swej wizyty u Finneranów. Sue była zajęta pertraktacjami z urzędnikiem, a Gary założył na głowę melonik i stwierdził, że musi wracać do nadzorowania budowy. Nie było co mieszać w ich nowo odzyskanym szczęściu.

– No i co pan o tym wszystkim sądzi? – zapytał sir George, kiedy opuścili Pumpkin Cottage i ruszyli zaułkiem Angel Close.

– Podejrzany dobrobyt – odparł Adler.

– Prawda? – podchwycił sir George. – Ja też odniosłem takie wrażenie. Od tragedii minęło zaledwie parę dni, a tu już budowa na całego i te stroje, i cygara... – pokręcił z niedowierzaniem głową.

– No i akcja Wooda podobno odwołana – dodał z namysłem Adler. – A to oznacza... To oznacza, że wytypowali innych winowajców. Jest szansa, że Plumpton nie spłonie tej nocy.

Po krótkiej i ostatecznie bezkrwawej wizycie u Finneranów, Adler wsiadł do samochodu i podjechał na farmę Sturridge'a, aby sprawdzić, jak farmer sobie radzi ze skutkami nocnej katastrofy.

Sturridge był zajęty: na farmę przybyło dwóch weterynarzy. Bez mrugnięcia okiem wbijali igły w tłuste zady ocalałych krów. Po oborze kręciła się także mała ekipa budowlańców z synem farmera na czele. Uprzątali połamane deski, przymierzali nowe.

Sturridge uściśnął dłoń Adlerowi i powiedział krótko:

– Gasimy pożar. Nie spałem całą noc. Zadzwoiłem nawet na 101 [\[67\]](#) i wdepnąłem w cholerną procedurę. Podeszli do sprawy bardzo sceptycznie. Syn gadał z posterunkowym, a ten powiedział mu wprost, że mają już po dziurki w nosie zgłoszeń z tych okolic. Większość z nich to telefony od

kapryśnych milionerów, których pogryzły ich własne tygrysy... Mnie obiecali jedynie, że sprawdzą, czy to nie sprawka któregoś z sąsiadów. Ale tutaj nie Szkocja, gdzie sobie ponoć nawzajem wykradają owce! Tu, na południu Anglii, farmerzy to dżentelmeni.

Z farmy Sturridge'a Adler wyruszył na obrzeża Pelham, gdzie miał się mieścić przybytek o szumnej nazwie Burberry's Pet Farm & Spa. Według informacji z sieci, miał to być rzekomo najlepiej zaopatrzonego sklep zoologiczny w całym West Sussex. A także luksusowe spa dla zwierząt.

Adler odnalazł Burberry's bez trudu. Od strony Pelham zmierzał tam długi ciąg aut. W tylnej szybie każdego samochodu szczyrzył mordkę jakiś psiak.

Zostawił samochód na obszernym parkingu i ruszył w stronę drewnianego, obficie przeszklonego hangaru. Nad wejściem powitał go gigantyczny billboard, na którym śliczny, długowłosej Yorkshire terrier zachęcał inne zwierzęta do skorzystania z usług spa. Terrier spoczywał na puszystym, różowym ręczniku; na łebku miał lekką chmurkę mydlanej piany, na oczach zaś zielone plasterki ogórka.

Adler nie mógł się powstrzymać i przesunął wzrokiem po liście zabiegów, do których nakłaniał wdzięczny psiak. Był wśród nich masaż i lecznicza terapia reiki, psi pedicure i program kontroli wagi, aromaterapia i kąpiel w płatkach owsianych. Oferta specjalna obejmowała kompleksowe przygotowanie psa do profesjonalnego modellingu.

Adler wiedział już, że wylądował na obcej planecie. Gdyby wcześniej nie przejrzał oferty tego sklepu, na pewno w tym momencie zwątpiłby, czy znajdzie tu to, czego szukał. Ale spodziewał się, że prócz kawioru dla kotów i francuskich

kosmetyków dla psów, Burberry's będzie mieć na składzie także trochę sprzętu.

Na przykład, lokalizatory GPS.

Wymuskany asystent, który powitał Adlera na progu, zaprowadził chłopaka do interesującego go działu i dosyć nachalnie pomagał wyselekcjonować najbardziej odpowiedni model. Adler zbywał jego pytania i wreszcie, z wielkim trudem, pogonił asystenta precz. Nie zamierzał wtajemniczać półgłówka w szczegóły swego planu.

Po długim gdybaniu, wybrał wreszcie nadajnik z obrożą i oprogramowaniem na telefon, które miało mu umożliwić ustalenie bieżącego położenia zwierzęcia oraz śledzenie pokonywanej przez niego trasy. Sprzęt nie był tani, ale w końcu na coś musiał trwonić środki ze stypendium i funduszu na studia.

Z pewną ulgą opuścił egzotyczny świat Burberry's i wrócił do Pelham. Wstąpił do pubu i z zadowoleniem dostrzegł, że Keith Wood już kiwa się nad swym codziennym przydziałem mocnego, ciemnego piwa. Adler przysiadł się do niego i zamówił pintę dla siebie.

– Keith, chcę z tobą pogadać – rzekł.

Wood łypnął na niego spod kosmatej brwi.

– Kolejny ochotnik do akcji „Śliwa”? – spytał chrapliwie i bez entuzjazmu. W ogóle jakoś smętnie się dziś prezentował.

Adler wypuścił z rezygnacją powietrze.

– To ta akcja wciąż jest aktualna? Przecież sam Finneran ją odwołał.

– A kimże on jest, żeby odwoływać moje akcje? – burknął Keith. – Nie on ją zwołał i nie on ją będzie odwoływał. „Śliwa” jest moja! – Siorbnął ponuro ze szklanki.

- Tego nie zrobili ludzie z Plumpton, Keith. Zresztą, podobna historia miała miejsce dziś w nocy na farmie Sturridge'a. Tylko tym razem ofiarą padło bydło, nie jakieś pieprzone owoce.

Wood zerknął na niego z większym zainteresowaniem.

- Skąd wiesz o farmie Sturridge'a?

Adler opowiedział mu pokrótce swe nocne przygody. Wood wysłuchał z uwagą i pokręcił głową.

- No, no - mruknął. - A to ci historia. Spotkałem dziś syna Sturridge'a. Wracał z miasta, był w strasznym pośpiechu, ale coś niecoś napomknął o tragedii w oborze. Tyle że nie zdradził, że był to pogrom takiego kalibru! Masz rację, chłopcze, przy tej historii dynie Finnerana to pestka!

- Masz jakiś pomysł, co to za zwierzęta mogły zaatakować oborę? - spytał Adler.

Wood wykrzywił wargi w podkowę i zagapił się szklanym, nieruchomym spojrzeniem w pęknięcie na blacie. W końcu wychrypiał:

- Żebym to ja wiedział, synu. Znam te tereny, nie powiem. Nieraz się tam włóczyło. Ustrzeliło się zająca albo i sarnę, a za starych, dobrych czasów nawet i lisa. Teraz do rudzielców strzelać już nie pozwalają. Niech ich, zresztą, diabli porwą - burknął apatycznie. - W naszym hrabstwie, synu, nie ma dużych drapieżników. Więc jakież to zwierzę mogło zaatakować farmę poczciwego Sturridge'a? Może jaki kocur wyrwał się któremuś z tych naszych bogaczy? Albo jaki inny potwór... - Wood przejechał ciężką dłońią po nieogolonej szczęce. - No a jeśli to był potwór, znaczy się:

bestia nieznaną, to takiego można dorwać jedynie podstępem.

– Też tak myślałem! – ożywił się Adler.

Wood zignorował go i ciągnął dalej monotonnym głosem:

– Taktyka na potwora jest taka: należy zastawić sidła i czekać. Czekać! – postukał wielkim paluchem w blat. – Czekać aż sam wpadnie i połamie sobie gnaty!

– Można jeszcze wystawić przynętę – zasugerował Adler.

Wood przeniósł na niego ciężkie spojrzenie.

– Można – zgodził się ponuro.

– To właśnie zamierzam zrobić – wyznał Adler. – Taka będzie moja taktyka. To część większego planu.

Keith zamrugał gęsto i w jego szklanych oczach znów zatliło się życie.

– Zamierzasz podejść tego zwierza? – spytał z ożywieniem.

– Jaki jest twój plan? Potrzebujesz kompana?

– Póki co potrzebowałbym weterynarza – odrzekł Adler.

Wood dopił jednym haustem piwo, otarł mięsiste wargi i położył Adlerowi dłoń na barku.

– Do usług! – wychrypiał.

– Jesteś weterynarzem? – zdumiał się chłopak.

– Nie – przyznał Wood. – Ale oglądałem „Wszystkie stworzenia duże i małe”! – wybuchnął chrapliwym śmiechem.

– Pewnie tego nie znasz, chłopcze. Za młody jesteś.

– Znam – odparł Adler. – Przygody weterynarza, który zмага się z bydłem gdzieś na zadupiach Yorkshire. Żeby było jeszcze ciekawiej, rzecz dzieje się jakichś sto lat temu...

– Szacunek, bracie. Widzę, że faktycznie znasz trochę klasykę.

– Widziałem parę odcinków. – Rory Dodds był wielkim fanem serialu i zawsze namawiał kumpli, by wspólnie z nim

śledzili przygody nieustraszonych weterynarzy z północnych rubieży

Anglii.

– A tak poważnie, chłopcze, po co ci weterynarz?

– Muszę zdobyć trochę środków usypiających – wyznał Adler. – Znasz może kogoś, kto mógłby mi coś takiego odpalić? Chodzi mi o czasowe uśpienie dużego zwierzęcia.

Wood przez chwilę wpatrywał się w niego w ponurym milczeniu, po czym rzekł niespodziewanie:

– Ja ci chętnie odpalę coś takiego, synu. Mam u siebie parę takich specyfików.

– Naprawdę? – zdumiał się Adler.

Wood skinął głową.

– Nie musisz o tym nikomu rozpowiadać, ale takie rzeczy warto mieć w swojej domowej apteczce. Myślę, że jakbyś zapytał swojego przyjaciela Pearsona, też mógłby ci coś niecoś odpalić.

Adler pokiwał głową z uznaniem. Miejscowi byli całkiem nieźle zorganizowani.

– Jeśli ci to nie robi różnicy, wolałbym pogrzebać w twojej apteczce. Z sir Ralphem byłoby więcej zachodu.

– No, tak. U lorda trzeba się wpierw zaanonsować i tak dalej – rzekł wyrozumiale Wood. – Nie ma problemu, synu. Wypijemy jeszcze po pincie i możemy się zbierać. Nie mam wiele czasu – pod wieczór spotykam się w King's Head z resztą spiskowców. Pub Goodmana to nasz punkt zborny.

– Więc nie zamierzacie odpuścić? – Adler przyznał w duchu, że byłby kiepskim rozjemcą. Potrafił planować agresywne interwencje w dzikim Królestwie Zwierząt, lecz nie nadawał się

do roli posłańca pokoju – ani wśród zwierząt, ani też, jak widać, ludzi. Jeśli już, był posłańcem zamętu – tak jak mściwy Wood.

– Wendeta musi być! – oświadczył Keith.

W jego głosie nie było jednak słycać przekonania i dawnego żaru.

YE OLDE AXE

Rosyjski łowca to dzikus. Dziecko pijanej Matki Natury.

A.E. Forbes

BYŁO JEDNO TAKIE WYDARZENIE, na które sir George Wilbert Wyatt każdego roku wyczekiwał z ogromną niecierpliwością. Pierwszy raz brał w nim udział jako ośmioletni chłopiec i od tamtego momentu wydarzenie to przyćmiło inne, nieliczne wszak, cykliczne imprezy, takie jak choćby Boże Narodzenie.

Wydarzeniem tym był doroczny Festiwal Średniowieczny w Arundel, znany pod nazwą Ye Olde Axe [\[68\]](#).

Już samo miejsce festiwalu było wyjątkowe: bajkowy Zamek w Arundel, dominujący nad miasteczkiem i w okolicznym pejzażu. Wzniesiony na kredowej skarpie, Zamek przyciągał oko każdego, kto miał szczęście wędrować w okolicy: w dolinie meandrującej niczym błękitna wstążka rzeki Arun. Historia Zamku sięgała niemalże początków Anglii. Pierwotną fortecę postawił w tym miejscu Roger de Montgomery, pierwszy hrabia Arundel, tuż po podboju Anglii

przez Wilhelma Zdobywcę [\[69\]](#). Rzecz jasna, obecna bryła Zamku – potężne, blade mury z piaskowca i krzemienia – była efektem późniejszych licznych rozbudowań i modyfikacji. Jako historyk architektury, sir George zdawał sobie sprawę z upośledzeń zmodyfikowanej twierdzy: z niewłaściwych, pseudogotyckich dodatków i okrutnej przebudowy na modłę królewskiego Zamku w Windsor. Pomimo tych wszystkich skandalicznych zabiegów, dokonanych w głównej mierze w dziewiętnastym wieku, Wyatt i tak kochał ten Zamek. Uwielbiał go bardziej niż inne, wspaniałe fortece Sussex, takie jak Bodiam czy Herstmonceux. Sir George kochał Zamek w Arundel, bo to z nim właśnie wiązały się najpiękniejsze wspomnienia dżentelmena.

Lubił też samo Arundel: malutkie, historyczne miasteczko u stóp Zamku i strzelistej, neogotyckiej Katedry, ze stromą High Street i stłoczonymi po obu jej stronach, eklektycznymi kamieniczkami. Idealna sceneria do festiwalu Ye Olde Axe.

Sir George nie mógł się doczekać niedzieli. Już od kilku tygodni wydzwaniał do swoich kolegów z rycerskiego bractwa i pytał, jak idą przygotowania. Odpowiadali, że doskonale, a Wyatt nie miał żadnych powodów, by wątpić w ich zapewnienia. Na Festiwalu zawsze było cudownie. Każdego roku bawił się wyśmienicie.

Zawsze było cudownie. Dlaczego zatem tym razem wszystko potoczyło się nie tak?

Może dlatego, że ten rok był inny niż minione lata, pełen niepokojących zdarzeń, przeklęty. Wyatt witał każdy nowy dzień z podejrzliwością – i narastającym lękiem. Różne osoby oraz incydenty utwierdzały go w słuszności jego obaw.

W piątek nic jeszcze nie wróżyło nadciągającej katastrofy.

Sir George zaprosił Adlera na Ye Olde Axe i z wdzięcznością powitał jego propozycję, by razem stawili czoła Finneranom. Potem chłopak zniknął gdzieś na całą dobę. Sir George początkowo podejrzewał, że Adler zaciągnął się do bandy odwetowej Wooda i ruszył na Plumpton. Ktoś widział ich razem w King's Head, a jeszcze ktoś inny był świadkiem, jak szli ramię w ramię w kierunku kwatery Wooda, ponurej chaty zwanej „Skrzydłami Nietoperza”. Potem jednak sam Ralph napomknął, że Adler wpadł do niego wieczorem i wypytywał o lokalne łowiska i dobre punkty obserwacyjne. Ponoć szczególnie go interesowały drewniane wieże do obserwacji ptaków, jakie często spotyka się na granicy lasów i pól tudzież mokradeł. Sir George przypuszczał, że tej nocy Adler wybrał się na jakieś obserwacje.

Zatem o ile w piątek nie wydarzyło się nic dziwnego czy też szczególnie niepokojącego, z sobotą rzecz już miała się gorzej.

Z samego rana pani Chapman stwierdziła, że z pokoju Adlera zniknął jego plecak oraz większość osobistych rzeczy. Gdzie się podziewał Adler? Czyżby całą noc spędził gdzieś w głuszy? Sir George postanowił nie panikować. Choć miał na to wielką ochotę.

Potem przyszły doniesienia z frontu, czyli z Plumpton. Te były raczej śmieszne niż straszne i w pewnym sensie – do przewidzenia. Okazało się, że większość spiskowców nie dotarła do magazynów w Wielkich Sadach, lecz utknęła w gospodzie „Biały Lew”. Podobno widziano tam samego Wooda, jak po paru kolejkach próbował zedrzeć ze ściany słynne trofeum Pelhama-Torringtona, wrzeszcząc, że zostało podstępnie zagrabione i należy do ludu Pelham.

Wyglądało więc na to, że Plumpton nie spłonie, jak to powiedział Adler. Jeżeli nawet dotarły tam niedobitki pijanej armii Wooda, raczej nie były w stanie wzniecić apokalipsy. To chyba dobrze, bo chodziły słuchy, że na Dniu Jabłka w Plumpton miała się pojawić pewna dama, reprezentująca szeroko pojętą rodzinę królewską. Szkoda by było zepsuć idylliczny wizerunek angielskiej wsi, jaki zapewne dama ta piastowała w swym sercu.

Sir George pokrzepił się sobotnim śniadaniem (smakowite kiełbaski wieprzowe, różowy bekon i jajka w koszulkach) i wtedy właśnie zrzucono na niego pierwszą bombę.

Zadzwonił telefon. Nie ten tradycyjny, z ciężkiego, czarnego bakelitu, z normalną słuchawką, okrągłą tarczą i dużymi cyframi. Nie, zadzwonił ten cieniutki potworek, ten wielki płaszczak z maleńkim znaczkiem owocu na obudowie, za który to znaczek sir George musiał zapłacić więcej niż za dobry koniak. Ten model był podstępny wynalazkiem: jednym, omyłkowym puknięciem można było wyrządzić nieodwracalną katastrofę. Sir George puknął kiedyś tak niefortunnie i, naturalnie, kompletnie przez omyłkę, że nagle po ekranie zaczęły fikać golusieńkie ludziki. Żeby to jeszcze panie były, a tu nic z tego – sir George i bez okularów poznał, że fikali faceci. Innym razem znów coś nie tak puknął i się okazało, że omal nie przekazał fortuny na jakąś mafię z tropikalnych wysp.

Teraz rozchylił skórzane etui telefonu i podejrzliwie zerknął na wyświetlacz. Na ekranie zamigotało: „Ralph (sir)”. Odetchnął z ulgą i odebrał.

– Dzień dobry, George – powiedział sir Ralph. – Wybacz, że cię niepokoję tak z rana.

Było w pół do jedenastej.

– W porządku, Ralph. Słucham – rzekł łaskawie sir George.

– Słuchaj, George, jest mała afera. „Potwór z Pelham”, słyszałeś już o tym?

Wyatt natychmiast się zdenerwował.

– Ż-że co proszę?... Jaki potwór? Ralph, na Boga, o czym ty opowiadasz?!

– Uspokój się, George. Potwór jest martwy. I, jak na moje oko, niewielkich rozmiarów.

– W takim razie to żaden potwór – stwierdził sir George kategorycznie i z niejaką ulgą.

– Tak go nazwali.

– Kto go tak nazwał?

– Mniemam, iż jakiś dziennikarz. Albo osoba, która znalazła zwłoki potwora.

Sir George nic z tego nie rozumiał.

– I niby gdzie jest teraz ten potwór? – zapytał z lekką irytacją.

– Jak to: gdzie? W Pelham! Mówią o nim przecież „potwór z Pelham”.

– Kto tak o nim mówi? – próbował ustalić Wyatt.

– Wszyscy! Chłopcy z klubu, chłopcy z pubu – sir Ralph zawahał się, nie wiedząc, kogo jeszcze mógłby zaliczyć do znanego mu ogółu. – Wszyscy, George! Wszyscy, przyjacielu.

– Doprawdy? – rzekł George ponuro. – W takim razie tylko ja nie zostałem w to wszystko wtajemniczony...

– Dlatego właśnie dzwonię, George. Ja sam dowiedziałem się dopiero przed chwilą. Bertie pokazał mi artykuł w Pelham Online. Sugeruję, abyś niezwłocznie go przejrzał. Tekstu nie

ma wiele, za to zdjęcia są intrygujące.

– Doskonale – odparł pompatycznie sir George. – Tak też zrobię. Przejrzę ten artykuł.

– Czekam na twój komentarz. Jakby co, jesteśmy z chłopcami na polu golfowym.

– Doskonale – powtórzył sir George, po czym się rozłączył.

Westchnął, założył okulary i rozpoczął walkę z telefonem. Sprzedawca twierdził, że w tym aparacie jest absolutnie wszystko. Musiał więc gdzieś tam być także artykuł o potworze.

Sir George pogardzał serwisem informacyjnym Pelham Online, gdyż jego zdaniem był on redagowany przez niepiśmiennych amatorów. Sam fakt, że nie odważyli się drukować swoich tekstów, mówił sam za siebie. No, ale skoro Ralph osobiście rekomendował artykuł z tego źródła, należało go przestudiować.

Nie miał większych problemów z odnalezieniem tekstu o potworze. Już na głównej stronie serwisu widniało olbrzymie zdjęcie, opatrzone nagłówkiem: „POTWÓR Z PELHAM”. Sir George przełknął ślinę i zerknął na zdjęcie.

– Ach! – jęknął i prędko odwrócił wzrok.

Przez chwilę wpatrywał się uparcie w popielnicę na cygara. Potem wziął głęboki wdech i znów spojrzął na ekran. Skrzywił się z obrzydzeniem. Przerażająca szkarada! Paskudztwo!

Po krótkim wahaniu, powiększył zdjęcie. Wyobrażało stwora doprawdy ohydneho. Długie, nabrzmiące cielsko spoczywało bez życia gdzieś w błocie czy piachu. Spuchnięte, purpurowe, przypominało jeden gigantyczny guz. Skóra była obdarta z sierści; śladowe, zapiaszczone kudły zachowały się tylko w okolicach łba. Łeb był najbardziej przerażający. Został

z niego jedynie kościsty pysk z obnażonymi zębami, półotwarte, nieruchome i wodniste oczy oraz coś zdumiewającego: dziób! Dziób wyglądał groteskowo, bowiem cała poczwara bynajmniej nie przypominała ptaka. Miała wszak cztery opuchnięte łapy oraz obrzydliwy ogon, który wyglądał jak kilka szarych, zlepionych ze sobą parówek. Szkarada! Doprawdy, paskudztwo.

Sir George całym wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie rzucić głupio telefonem gdzieś w dal. Tak bardzo nie chciał już oglądać truchła na ekranie. To jedno zdjęcie przyprawiło go o nudności, a kątem oka dostrzegł strzałkę obiecującą kolejne.

Redaktorzy serwisu przygotowali całą serię odpychających fotografii z obrzękłym, wyleniałym stworem w roli modela.

Wyatt poprawił kciukiem okulary i zmusił się, by odczytać skąpą treść sensacyjnego artykułu. Głosił on, co następuje:

CZY W PELHAM GRASUJĄ POTWORY? Dziś o poranku mieszkaniec Pelham znalazł zwłoki makabrycznego stworzenia. Niezidentyfikowany stwór posiadał drapieżne pazury, ostro zakończone kły oraz zakrzywiony dziób! Ciało potwora spłynęło w strumieniu ze Wzgórza świętej Anny. Nigdy przedtem w okolicach Pelham nie obserwowano takich zwierząt. Redakcja Pelham Online apeluje do Czytelników o pomoc w identyfikacji tajemniczego drapieżnika.

Pan J., który odkrył zwłoki podczas porannego spaceru z psem, uważa, że stwór jest kombinacją morsa, wilka i orła. Czekamy na Wasze opinie i zachęcamy do obejrzenia zdjęć potwora w naszej galerii. Ostrzeżenie: z uwagi na

drastyczną treść, zdjęcia nie są polecane odbiorcom poniżej 16. roku życia.

Sir George ani myślał zaglądać do wspomnianej galerii, chociaż szesnaście lat ukończył dawno temu. Już nawet zapomniał, kiedy to było – i czy w ogóle.

Sam nie wiedział, co myśleć o sensacyjnym znalezisku pana J. Stwór z fotografii nie przypominał żadnego znanego mu zwierzęcia. Był obrzydliwy i przerażający. „Potwór z Pelham” – to określenie było całkiem niegłupie. Sir George postanowił jednak wstrzymać się z oficjalnym komentarzem. Oparł podbródek na pulchnej dłoni i zamyślił się głęboko. Znowu to nieszczęsne

Wzgórze i kolejny potwór...

„Zapytam Adlera, co o tym wszystkim sądzi”, postanowił.

A potem, tchnięty nagłą myślą, znów sięgnął po telefon i wybrał numer Phila Sturridge’a. Rzadko gawędził z lokalnymi farmerami, lecz tym razem uznał sprawę za pilną. Poza tym, jakby nie patrzeć, Phil był biznesmenem, a nie jakimś małorolnym chłopem. Sir George postanowił go wypytać o wydarzenia minionej nocy, o których wspomniał Adler.

Przez resztę dnia Wyatt przesiadywał samotnie w swojej bibliotece. Usiłował czytać, lecz nie mógł się skupić. Rozmowa z żoną Sturridge’a nie podniosła go na duchu. Kobieta nie zdradziła wiele, lecz Wyattowi wystarczyła sama wzmianka o sforcie krwiożerczych drapieżców, którzy w oborze urządzili rzeźnię. Zatem Adler miał rację: nie dalej jak milę od domu sir George’a żerowały bestie.

Sir George poruszył się niespokojnie w fotelu. Niedobrze, że zmierzch zapadał teraz tak szybko. Biblioteka pogrążyła się w gęstniejącym mroku. Cień opadł na księgozbiór niczym

wielkie, czarne skrzydło. W dalekim rogu pokoju, podświetlany globus tlił się tajemniczą poświatą.

Wyatt podkręcił płomień w naftowej lampie i wspiął się po drabinie, by sięgnąć ku wyższym półkom. Po chwili namysłu wybrał opasłe tomiszcze pod tytułem „Historia hrabstwa Northampton. Tom III”. Sir George zagnieździł się z powrotem w fotelu, rozchylił księgę wojowniczym gestem i zaczął czytać. Nie dlatego, że interesowała go jakoś szczególnie historia hrabstwa Northampton, lecz dlatego właśnie, że nie interesowała go ona w najmniejszym stopniu, a był świadom, że w takim stanie ducha, w jakim aktualnie się znajdował, nie wyniesie z lektury absolutnie nic.

Po południu wrócił Adler. Albo raczej – wpadł na chwilę, gdyż Wyattowi poświęcił zaledwie kilka minut. Sir George nie wypytywał swego gościa, gdzie się włóczył i co go tak zajmowało. Pouczono go wszak, aby się nie wtrącał. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie pokazać Adlerowi wiadomego artykułu.

– Panie Adler, co pan na to? – zapytał żarliwie, wręczając mu telefon, otwarty na porannym hicie Pelham Online.

Adler w milczeniu przejrzał artykuł. W przeciwieństwie do sir George’a, dokładnie obejrzał wszystkie zdjęcia stwora. Oddał dzentelmenowi telefon bez słowa komentarza.

– Nie powie mi pan, cóż to może być? – zapytał błagalnie sir George.

Adler skrzyżował brudne ręce.

– Co to może być? – powtórzył. – Przecież napisali, że to „kombinacja morsa, wilka i orła”. Nie zadowala pana takie wyjaśnienie? W komentarzach pod artykułem są też inne sugestie...

– Pan sobie kpi, a tymczasem sprawa jest co najmniej dziwna.

– Zgadzam się – odparł Adler.

– To stworzenie naprawdę wygląda jak potwór.

– Można tak powiedzieć.

– I znaleziono go na Wzgórzu świętej Anny! – rzucił w desperacji sir George.

Adler spojrzał na rozgorączkowaną twarz dżentelmena.

– Wie pan co, sir? Na pewno się przyjrzę temu „potworowi” – obiecał.

Sir George uspokoił się nieco.

– Tylko raczej nie dzisiaj – dodał Adler. – Teraz muszę jeszcze gdzieś wyjść.

– Ale pamięta pan o jutrzejszej wycieczce?

– Jasne. O której wyruszamy?

– Natychmiast po śniadaniu – rzekł kategorycznie sir George.

– Chce pan, żebym prowadził? – zapytał z nadzieją Adler.

– Niestety – westchnął sir George. – Mamy już kierowcę.

Kierowcą była Majella. Nikt nie był tym faktem zachwycony: ani sir George, ani Adler, ani nawet sama Majella. Jednakże, w ramach nauki jazdy, wnuczka Wyatta w każdym tygodniu bez wyjątku otrzymywała jakąś misję, z którą musiała się zmierzyć za kierownicą sympatycznego autka jej dziadka. Sir George dysponował niewielkim, pękatym fiatem ze skórzanymi fotelami i fornirami z mahoniem. W tym tygodniu misją Majelli było przetransportować towarzystwo do Arundel – na festiwal Ye Olde Axe.

Sir George pożałował pomysłu, gdy tylko zasiadł w fotelu

obok kierowcy. Była niedziela rano. Dzień Festiwalu.

A miejsce Majelli było puste.

– Gdzie ona się podziewa? – rzucił nerwowo do Adlera, który właśnie rozparł się na tylnym siedzeniu. – Już czas ruszać!

Adler wzruszył ramionami i ziewnął szeroko. Wyglądał, jakby nie spał całą noc.

– Przed nami bardzo intensywny dzień, mamy wyjątkowo bogaty i napięty grafik i doprawdy dobrze by było, gdybyśmy już wyruszali! – gorączkował się sir George.

Od tych emocji zrobiło mu się potwornie gorąco. Porozpinał guziki w swojej marynarce z szetlandzkiej wełny.

– Idzie – obwieścił nagle Adler, wskazując kciukiem w stronę domu.

Rzeczywiście, przez ogród biegła Majella. W lekkiej sukience z blad różowego tiulu wyglądała jak kłębek słodkiej waty cukrowej.

Dopadła autka, osunęła się na swój fotel, po czym rzuciła na kolana dziadka swoją wyprawkę: zakieciak z różowej wełny, wściekle czerwoną apaszkę i maleńką torebeczkę.

Odetchnęła głęboko i spojrzała na sir George'a.

– Dziadziu, ja zapomniałam, jak się tam jedzie – wyznała potulnie.

– Nie szkodzi, skorzystasz z nawigacji – odparł cierpko sir George.

– Ja nie umiem jednocześnie i jechać, i patrzeć na mapę – poinformowała go bezlitośnie. – Mogę robić albo jedno, albo drugie.

– W takim razie jedź – zadysponował sir George. – A ja

będę ci mówił, którądy.

Plan był prosty, ale tylko w teorii. W praktyce okazało się, że Majella nie umie także jednocześnie prowadzić i słuchać instrukcji. Ani tym bardziej uwzględniać ich na bieżąco w prowadzeniu pojazdu. Po drodze mijali wiele rond [70], każde okręcali kilka razy i zawsze wydostawali się z nich nie tym zjazdem, co trzeba.

– Jak tak dalej pójdzie, wywieziesz nasz do samego Londynu!

– Naprawdę? – ucieszyła się Majella.

Sir George był coraz bardziej poirytowany. To miał być jego wielki dzień, to był wielki dzień, na który czekał cały rok. Bardzo mu zależało, żeby i Adler wyniósł z wizyty w Arundel jak najwspanialsze wspomnienia. Tymczasem sunęli w kierunku stolicy, mijając coraz to mniej znajome wioski, zanurzone w burej kniei. Niebo pocięte było spalinami samolotów, zmierzających do londyńskich lotnisk.

– Zawróć na najbliższym rondzie! – rozkazał sir George. – O, na tym tutaj, teraz. Zawracaj!

– Nie krzycz na mnie, bo wtedy się denerwuję i nie mogę się skupić – odparła Majella, po czym zamiast zawrócić na rondzie, wybrała inny, losowy zjazd.

Jeśli wierzyć drogowskazom, jechali teraz na Guildford.

– Dostyc tego! Zmiana kierowcy! – zarządził sir George.

Majella posłusznie wcisnęła pedał hamulca i włączyła światła awaryjne.

– Blokujesz innym pas – powiedział słabo sir George.

Sir George chwycił stery autka w swoje dłonie i ostatecznie doholował towarzystwo do celu. Po drodze bardzo przeproszał

Adlera za nieplanowane opóźnienie, lecz chłopak tylko kręcił głową, że niby to nic się nie stało i on nie widzi żadnego problemu. W ogóle, jak na oko sir George'a, wydawał się raczej rozbawiony całą sytuacją.

Sir George rozbawiony nie był. Do rozpoczęcia Festiwalu nie zostało wiele czasu, a tymczasem dżentelmenowi ogromnie zależało, by przedtem zaliczyli jeszcze jedną atrakcję.

Jak zwykle w dniu Festiwalu, w malutkim Arundel było bardzo tłoczno. Ulicę pod Zamkiem ciasno obklejały samochody. Te, które się tam nie zmieściły, rozlały się kolorowym potokiem na pobliską łąkę. Łąka pełniła rolę nie tylko parkingu, lecz również pola campingowego. Choć oficjalnie Festiwal trwał tylko jeden dzień, corocznie na Ye Olde Axe zjeżdżali fani średniowiecza, którzy potrafili przez tydzień lub dłużej świętować pod gołym niebem minioną epokę. Ich namioty wyrastały spomiędzy morza samochodów, a wieczorami nad łąką unosił się dym z ognisk, przy których gromadzili się na wspólnej balandze.

Dzięki skromnym rozmiarom swojego fiacika, Wyattowi udało się wepchać w sznur aut stojących tuż pod Zamkiem. Dżentelmen miękko wytoczył się na chodnik i tupnął lakierowanym półbutem, by odpędzić dwa wielkie łabędzie, które krążyły wokół aut w nadziei na jakiś łatwy kąsek.

– Moi drodzy – rzekł Wyatt uroczyście do Adlera i Majelli – zanim udamy się na Festiwal, proponuję spacer do pobliskiego przysiółka zwanego Offham. Wędrując wzdłuż rzeki, będziemy mieli cudowną panoramę na Zamek i miasteczko.

– Tak, chodźmy do Offham! – zawołała Majella. – Możemy zjeść lunch w gospodzie „Black Rabbit”!

Sir George obrzucił wnuczkę zdumionym spojrzeniem.

Majella nigdy nie objawiała takiego entuzjazmu. W stosunku do niczego. Jej ożywienie było nietypowe, lecz wówczas jeszcze nie wydało się Wyattowi złowróźbne. Później, kiedy poddawał posępnej analizie wydarzenia minionego dnia, wszystkie takie pozornie nieistotne detale zdawały się jasno zapowiadać klęskę. Wszystko było inaczej niż zwykle. Nawet spacer do Offham okazał się niewypałem.

Droga do Offham wiodła zarośniętą ścieżyną, wijącą się wzdłuż zakoli rzeki Arun. Krajobraz wokół był płaski, trawiasty, urozmaicony jedynie wybujałymi chaszczami u brzegów rzeki. W chaszczach kryły się liche, drewniane przystanie, przy których cumowały białe łódki. Latem łodzie na Arun cieszyły się szaloną popularnością. Płynąc w kierunku północnym, mijano się po drodze urocze zakątki: malownicze wioski i przysiółki, ukryte pośród pól i lasów, nietknięte przez czas. Żeglując na południe, można było dotrzeć do samego morza.

Teraz jednak na rzece nie było nikogo, a łodzie kiwały się ponuro w swych szpetnych kryjówkach pośród zgasłej zieleni. Na ścieżce też nie spotkali żadnych innych wędrowców. Nie było ani jednego spacerowicza z psem, ani nawet biegaczy. Jedynymi żywymi stworzeniami były gawrony, które gromadziły się na okolicznych łąkach czarnymi chmarami, jak hordy bandytów szykujących się do nieczej akcji. Po pustkowiu niosło się ich podniecone krakanie.

Sir George wzdrygnął się i spróbował skoncentrować uwagę na rzeczach pozytywnych.

– Panie Adler, proszę spojrzeć w tym kierunku – rzekł, wskazując na południowy zachód. – Zapewniam pana, iż nie ma piękniejszego widoku w całej południowej Anglii!

Na horyzoncie malowała się słynna panorama Arundel. Miasteczko wynurzało się z gęstego starodrzewu, porastającego trawiastą równinę i pięło się po skarpie. Na szczycie dominowały dwie budowle, rozstawione na przeciwległych brzegach skarpy: Zamek oraz nie mniej imponująca Katedra.

Sir George, Adler i Majella przystanęli na chwilę, by napawać się widokiem. Adler zatrzymał wzrok na odległej, biało-czerwonej fladze, łopoczącej na jednej z wież Zamku. Flaga Anglii niespodziewanie wznieciła w nim ogień patriotyzmu.

– Niezły ten zamek – powiedział łaskawie. – Ale daleko mu do poważnych fortec, takich jak zamek w Edynburgu czy Stirling.

Sir George natychmiast się nastroszył.

– W Anglii również nie brakuje wspaniałych fortec – pouczył swego przyjaciela z podbitej Północy.

Adler zmarszczył brwi i skrzyżował ręce. Sir George skopiował ten manewr i przygotował się psychicznie do ostrej polemiki.

Majella szarpnęła go za rękaw.

– Dziadziu, zobacz: nie ma już tej farmy! – oznajmiła z przejęciem.

– Nie teraz, dziecko – odparł surowo.

Dziewczyna nie odpuszczała.

– Nie ma farmy – powtórzyła uparcie. – Wiesz której!

– Oczywiście, że nie wiem – zirytował się jej dziadek.

– Wiesz! Tej wielkiej, z krowami, co tu zawsze była. Znikły wszystkie krowy i widzę tabliczkę „na sprzedaż”!

Sir George westchnął i poddał się. Poklepał Adlera pojednawczo po ramieniu, a do wnuczki rzekł łaskawie:

– Pokaż mi tę tabliczkę.

Rzeczywiście, nie dalej jak dziesięć kroków od miejsca, w którym przystanęli, wbito w ziemię tablicę z ogłoszeniem sprzedaży. Napis na tablicy głosił: „Ferguson & Ferguson – renomowani pośrednicy nieruchomości. ZIEMIA NA SPRZEDAŻ: 150 akrów. Wysoki potencjał zysku! Dokładne informacje pod numerem tel. 01903 (...)”. Sir George przypomniał sobie, że istotnie – zawsze widywał bytło na tych pastwiskach. Nieco dalej w stronę Offham znajdowała się duża farma ze sporym domem mieszkalnym i grupą profesjonalnie wyposażonych budynków gospodarczych. Jak odkryli w dalszej części spaceru, obecnie zarówno dom jak i gospodarstwo zamknięto na głucho, a wszędzie wokół zionęło pustką.

„Wysoki potencjał zysku...”, myślał sobie sir George. „Jaki farmer chciałby się pozbywać rentownego gospodarstwa?...” – Szkoda, że nie ma już krów – powiedziała Majella.

– Tak, wszędzie tylko te złowieszcze gawrony... – odparł sir George i westchnął, obrzuciwszy nieufnym spojrzeniem czarne rzesze ptaków, które obsiadły blaszane dachy farmerskich magazynów.

On także nie lubił, kiedy coś się zmieniało w znanym mu od dziecka krajobrazie. Krowy pasły się tutaj od zawsze i najlepiej by było, aby tak pozostało. Do końca świata, a przynajmniej – Anglii.

Dotarli do Offham i tu Wyatta czekało kolejne rozczarowanie. Wesoła zazwyczaj gospoda „Black Rabbit” dziś prezentowała się równie przygnębiająco, co opustoszała

farma. Przede wszystkim, nie było żadnych klientów. W ogródku na zewnątrz, długi rząd topornych ław z ciemnego drewna świecił absolutnymi pustkami. W środku, przy barze, kiwał się jakiś podpity samotnik. Mężczyzna powitał sir George'a rozpaczliwym beknięciem.

– Wychodzimy stąd! – zarządził sucho Wyatt.

– Ale ja już zmarłam – zaprotestowała Majella. – I jestem głodna.

Sir George był niewzruszony.

– To nie jest miejsce, w którym chciałybyś zaspokoić swój głód – rzekł z przekonaniem.

Majella była niepokieszona. Adler zaproponował, że skoczy do baru po coś ciepłego na wynos i zanim sir George zdołał go zatrzymać, chłopak zniknął w ponurych czeluściach gospody. Dżentelmen miał przez moment nieodparte poczucie, że więcej go już nie zobaczą.

Ujrzeli go jednak ponownie po jakichś pięciu minutach. Wynurzył się na światło dzienne z kubkiem gorącej czekolady. Kreatywny barman przyozdobił czekoladę cukrowymi piankami.

Majella powitała dar z nieśmiałą wdzięcznością.

Usiedli na chwilę przy jednej z wielkich, pustych ław. Majella dyskretnie siorbała czekoladę, a cukrowe pianki pieczołowicie wyławiała i wykladała na stół. Wilgotne, białe pianki wyglądały jak świeżo wyrwane mleczaiki.

– Dlaczego to robisz? – zapytał sir George z obrzydzeniem.

– Nie smakują ci?

– To dla gawronów – odparła.

– Chcesz tym nakarmić te paskudne ptaszyska?

- Christian uważa, że gawrony wcale nie są takie okropne, jak nam się wydaje. - Majella spokojnie wyłowiła kolejną, ostatnią już piankę. - Powiedział mi, że gdy daje im się cukierki, potrafią być całkiem sympatyczne. Kiedyś miał misie i gawron mu je zjadł.

- Gawron zjadł misie? - osłupiał sir George. - Jesteś tego pewna?

- Tak. Misie, takie żelki. Gawron wyjadł Christianowi całą paczkę. Więc zobaczymy - dziewczyna podniosła się i zgarnęła pianki na dłoń - może te cukierki też im posmakują. - Odeszła w stronę stada skrzydlatych straszycy, a dziadek powiódł za nią zdumionym spojrzeniem.

Potem nie pozostało mu nic innego, jak tylko patrzeć na wnuczkę i Adlera karmiących wspólnie gawrony białymi piankami. Ptactwo, rzecz jasna, bez wahania rzuciło się na darmową przekąskę.

- Będzie pan dobrym dziadkiem - powiedział na stronie sir George do Adlera.

- Słucham...?

- Będzie pan dobrym dziadkiem - powtórzył dżentelmen dobitnie. - Majella to trudna wnuczka. Ja jakoś nigdy nie potrafiłem się z nią porozumieć, a pan po paru dniach zaledwie już ma z nią taki dobry kontakt.

- Może wrócimy łódką? - zmienił temat Adler. - Podobno można wypożyczyć z przystani przy gospodzie.

- Tak, to dobry pomysł - odparł sir George. - To miejsce jest dziś wyjątkowo ponure. Im sprawniej się stąd wydostaniemy, tym lepiej. Doprawdy nie mam pojęcia, gdzie się podziali wszyscy ludzie. I to w dniu festiwalu w Arundel! Spodziewałem się, że wszędzie będą tłumy.

– Podobno od jakiegoś czasu okolice są raczej wyludnione – rzekł Adler.

– Doprawdy? Skąd ma pan takie informacje? – zdumiał się sir George.

– Od tego faceta przy barze. Gdybym mu postawił szklanę dżinu, może zdradziłby więcej.

Powrót łodzią przebiegł sprawnie i bez przykrych incydentów. Sir George poczynił z pokładu tylko jedną, mało przyjemną obserwację: na płyciźnie stadko gawronów rozszarpało łabędzia. Sir George mógłby przysiąc, że łabędź jeszcze żył. Sycząc, opędzał się od zgrai wielkimi skrzydłami. Dżentelmen postanowił zachować obserwację dla siebie. Nie chciał łamać serca Majelli, która dziś właśnie po raz pierwszy zapalała sympatią do tych ptasich oprychów. Co zaś się tyczy Adlera, on i tak na pewno nie popłakałby się nad tragicznym losem pięknego łabędzia, a do zachowania gawronów dorobiłby niewątpliwie jakąś bezlitosną, zoologiczną teorię. Sir George dawno już odkrył, że czymkolwiek Adler kierował się przy wyborze kierunku studiów, na pewno nie była to miłość do zwierząt.

Przybili do przystani w Arundel, po czym od razu ruszyli na Zamek. Ye Olde Axe właśnie się rozpoczął. Za murami twierdzy zagrzmiała inauguracyjna salwa armatnia.

Zamek w Arundel był potężną fortyfikacją. Dawną część mieszkalną i przyległe do niej grunty okalał podwójny mur obronny, wzmocniony licznymi basztami. Z głównej wieży Zamku widać było jak na dłoni całą okolicę: zielone równiny, lasy i falujące wzgórza West Sussex. Część mieszkalna, poddana na przestrzeni wieków wielu przebudowom, stanowiła obecnie najbardziej imponujący element bryły

Zamku. Do wewnętrznego dziedzińca nie miał jednak dostępu nikt prócz książąt Norfolk, właścicieli Zamku. Festiwal odbywał się zatem w ogrodach – na rozległym, zielonym terenie w obrębie murów zewnętrznych.

Trawnik i różane ogrody okupowało teraz mrowie białych, stożkowatych namiotów i pawilonów, obleganych przez tłum. Na straganach piętrzyło się jadło i wyroby rzemieślnicze: srebro, zbroja, puchary, tarcze, łuki, miecze, topory, skórzane trzewiki i lniane przyodziewki. Swoje kramy rozstawili rzeźnicy, płatnerzy, bednarze, kowale i aptekarze. Na rozległej murawie przygotowywano się do turniejów rycerskich, rekonstrukcji słynnych oblężeń Zamku i pokazów broni. Wokół rozbrzmiewała nostalgiczna muzyka, wygrywana z pasją przez samozwańcych minstrelów na lutniach, fletach, giternach i dudach. Nie brakowało też kiczu oraz atrakcji zupełnie niezwiązanych z okresem średniowiecza.

Tuż przy głównej bramie, jakiś rycerz w pełnej zbroi zwoływał ludzi na pokaz rekonstrukcji oblężenia Zamku przez armię Williama Zdobywcy [\[71\]](#). Dwa kroki dalej, zakapturzony typ w wełnianej pelerynie zachęcał do strzelenia sobie fotki z „autentycznym niedźwiedziem”. Zwierz czaił się tuż za plecami mężczyzny, był niewątpliwie autentyczny i potrafił na rozkaz stanąć na tylnych łapach.

– No, to już przesada – skrzywił się sir George. – Ten niedźwiedź. Jaki on ma związek ze średniowieczem? Właściwie – dodał po namyśle – jaki ma on związek z czymkolwiek?

– Z tą bitwą też chyba wyjechali poza ramy epoki – zauważył Adler. – O ile internet nie kłamie, William Zdobywca wojował w siedemnastym wieku – rzekł oskarżycielsko, unosząc wysoko smartfona niczym dowód zbrodni.

Sir George był jednak w tym przypadku dużo bardziej łaskawy. Lubił historyczne bitwy, niezależnie od epoki.

– Ale to była jedna z ważniejszych bitw w historii Zamku – rzekł wyrozumiale. – Nie widzę powodu, dla którego nie można by jej wspominać na Ye Olde Axe. Trzeba niestety przyznać, że Zamek zdobyto sprawnie, nie napotkawszy większego oporu. W ogóle można powiedzieć, że William Waller szedł jak burza – za jednym zamachem zajął kilka południowych fortec: Arundel, Chichester, Winchester, Farnham... Zasłużył na swój lokalny przydomek: „Zdobycwca”. Stąd też, uważam, należy mu się miejsce w programie Festiwalu.

– Niedźwiedziowi też się należy. Nawet bardziej.

– Co też pan opowiada? – zdumiał się sir George.

– W średniowieczu w Anglii żyły jeszcze niedźwiedzie – wyjaśnił Adler. – Co prawda, raczej nie były to amerykańskie grizzly, jak ten tutaj – przyznał.

Ruszyli z tłumem główną aleją, pełną kramów, nawołujących kupców, aromatów i muzyki. Mijali grupki łuczników i pływających minstrelów, a także zgromadzone przy paleniskach kobiety, pochłonięte pichcieniem średniowiecznych przysmaków: dziczyzny, gęstych wywarów z warzyw, tłustych serów i żytniego chleba. Przy rożnie z całymi świniakami, sir George niespodziewanie wytropił wielebnego Ellwooda. Pastor ze smakiem obgryzał solidny goleń wieprza i przyglądał się żywym prosiętom, które kotłowały się w małej zagrodce. Sir George poczerwieniał. Nie był dziś na mszy i obawiał się konfrontacji z pastorem.

Zanim jednak zdążył wmieszać się w tłum, wielebny przywołał go wygiętym w złowieszczy haczyk palcem. Sir

George podszedł doń, struchlały.

– Nie było mnie dziś na mszy, wiem – wyrzucił jednym tchem, jak mały urwis przyłapany na gorącym uczynku.

Wielebny wbił zęby w tłusty goleń i zamrugał gęsto. Przez ułamek sekundy sir George był pewien, że pastor się dławi. Przez ułamek sekundy – miał nawet taką nadzieję.

Ale nie, wielebny uporał się z kęsem. Przełknął, odchrząknął i otarł dłonią tłuszcz z brody.

– Mnie też nie – rzekł uspokajającym tonem. – Zatem bez obaw. Nie lękaj się, George. Tak radzi Pan.

Sir George wybałuszył na niego oczy.

– J-jak to? – wyjąkał. – To dziś nie było mszy? – zapytał z nadzieją.

– George – rzekł pastor przeciągle i karcąco. – Jakże to, miałyby nie być nabożeństwa w świętą niedzielę?

– Właśnie, coś mi nie pasowało, jak zobaczyłem tutaj wielebnego... – zaczął się tłumaczyć Wyatt, lecz Ellwood dał znak dłonią, by przestał.

– Do Pelham przyjechał misjonarz z Afryki – wyjaśnił. – Wiesz, młody, czarny, z pasją. Zbiera datki, bo tam bieda i te sprawy. Było o tym w parafialnej gazetce i na naszej stronie – przypomniał Wyattowi.

– A tak, istotnie – rzekł pośpiesznie sir George, choć nigdy nie czytał gazetki, ani też nie zaglądał na archaiczną stronę kościółka świętego Botolpha. – Czyli to misjonarz odprawiał dziś nabożeństwo?

Pastor skinął głową i przymierzył się do kolejnego kęsa.

Sir George chciał się bezpiecznie oddalić, lecz drogę zagroziły mu dwie masywne postaci: barczyści mężczyźni

o długich, niechlujnie splątanych włosach; odziani w jednakowe, rozchełstane futra. Mężczyźni bezpardonowo odepchnęli sir George'a, torując sobie drogę do rożna. Wyatt zasyczał z bólu i powiódł wzrokiem za bezczelną hołotą. Takich typów należało zatrzymać jeszcze przy głównej bramie! Festiwale może i są dla ludu, ale bez przesady – lud też winien podlegać selekcji.

Tymczasem jeden z mężczyzn – ten wyższy, o potężniejszych ramionach – zawiesił wzrok na tacce wielebnego Ellwooda. Pastor uniósł oczy znad swojej golonki. Musiał ujrzeć coś wstrząsającego w twarzy masywnego typa, bowiem struchlał i opadła mu szczęka.

Typ wyjął tackę z rąk pastora, burknawszy coś w stylu: „Czy mogę?” Uniósł tackę pod nos i poddał jej zawartość starannym oględzinom. Wielebny obserwował bezradnie jego poczynania. Sir George rozejrzał się wokół w poszukiwaniu Adlera, lecz nie widział go nigdzie w napierającym nań tłumie.

Typ westchnął ciężko z czeluści swych potężnych płuc. Sir George mimowolnie zadrżał. Czy to był moment, by wołać na pomoc służby porządkowe? Nie, chyba jednak nie – typ zwrócił tackę wielebnemu.

– Małe porcje dają – rzucił do towarzysza.

Ten drugi mruknął coś w odpowiedzi. Przez chwilę kontemplowali wspólnie wielkiego wieprza, kręcącego się powoli na rożnie. Sir George nerwową gestykulacją dał znać Ellwoodowi, by lepiej czym prędzej czmychał.

Za późno: barczysty typ z nienacka położył ciężką łapę na barku pastora. Spłoszony wielebny zadygotał i potrząsnął tacką. Golonka wystrzeliła w powietrze. Sir George mimowolnie podążył wzrokiem za trajektorią jej lotu. Mięso

rąbnęło pod nogi typa. Sir George przyłożył dłoń do ust: to nie były wcale ludzkie nogi – to były kopyta! Z ubłoconych racic wyrastały porośnięte krótką sierścią kończyny. Na szczęście, znikwały szybko za połami futra.

Wyattowi zrobiło się słabo. Nie mógł uwierzyć, że miał przed sobą monstrum! Może to był sam Szatan wysłany na kuszenie Ellwooda...?

– Pardon – powiedziało monstrum, zabierając łapę z barku pastora. – Chciałam tylko zapytać, czy nie wiesz może, stary, czy można sobie usmażyć takiego prosiaka z zagrody?

Sir George osłupiał. „Chciałam”...? To coś było kobietą?!

– J-ja... – zająknął się wielebny. – Ja nie wiem. – Rozłożył przepraszająco ręce.

– Wiesz, myślałam, żeby złapać po prosiaku i nabić je na ten rożen – ciągnęła kobieta z kopytami. Mówiła z akcentem z Yorkshire. – Tak, ja... zrozumiałem – zapewnił ją wielebny.

– Genevieve! – warknął ten drugi typ. – *Konczaj boltat’
Ja golodien!*

Sir George zrobił wielkie oczy. A to cóż znowu za język szatański?! Czy i ten miał zamiast nóg kopyta? Nie, spod jego futra wystawało względnie normalne obuwie: skórzane kowbojki z zadartymi drapieźnie czubkami.

Potężna Genevieve odpowiedziała coś w tym samym, bełkotliwym języku, po czym z rozmachem przełożyła nogę przez barierkę zagrody i wlała między świnię. Niechybnie, zamierzała wyłapać dwie sztuki na rożen. Gdy unosiła racicę, sir George zobaczył cienki obcas i zamek błyskawiczny. I wtedy pojął: kopyto Genevieve nie było prawdziwym kopytem, lecz osobliwym fasonem obuwia. Chciał odetchnąć z ulgą – ale jakoś nie mógł.

Prosięta pierzchły z kwikiem na boki. Genevieve zakasała rękawy i rzuciła się na trzódkę z rozcapierzonymi szponami. Sir George nie zamierzał świadkować tej akcji. Wycofał się w tłum, pożegnawszy pastora przepraszającym spojrzeniem. Wielebny był zajęty: nurkował właśnie między nogami drugiego oprycha, próbując odratować swą golonkę.

Sir George ruszył wzdłuż kramów, wypatrując Majelli i Adlera. Zaglądał w przesmyki między stoiskami. Na tyłach namiotów ciągnęły się boiska, na których rozgrywano turnieje, pokazy i konkursy. Wiele imprez odbywało się w tym samym czasie, stąd pomiędzy boiskami stale przemieszczały się sznury niezdecydowanych gapiów.

Wyatt odnalazł Majellę na skraju kameralnej, zielonej murawy, okolonej kramami z białą bronią. Rozpoznał różową sukienkę dziewczyny przy jednym ze straganów. Majella oglądała topory i młoty bojowe. W dłoni obracała stalową siekierę.

– Odłóż to natychmiast – rzucił mechanicznie sir George. Nie usłuchała.

– Gdzie Adler? – zapytał surowo.

Bez słowa wskazała kciukiem na murawę.

Rozstawiono tam wysokie pale i drewniane tarcze. Wokół kręcili się ludzie uzbrojeni w noże i topory. Jedni z wątpliwą wprawą podrzucali ostrzami, inni zadowalali się dzierzeniem topora i pozowaniem z nim do zdjęć. Po drugiej stronie trawnika złowieszczo migają światła furgonetki Czerwonego Krzyża. Na masce samochodu przysiedli młodzi ratownicy i zmrużonymi oczami wypatrywali pierwszych ofiar. Na brzegu boiska przystanęła grupka gapiów.

Sir George poprawił okulary i spróbował wypatrzeć Adlera.

Nagle ktoś szturchnął go mocno i jego pole widzenia przesłonił rycerz w ciemnej zbroi. Rycerz siorbnął piwa z cynowego kufła i wymachując wielkim mieczem, jał nawoływać potencjalnych śmiałków do udziału w pojedynku: „Sprawdź swoje siły w starciu z okrutnym Czarnym Rycerzem!”. Paru ludzi porzuciło swoje topory i noże i otoczyło wojownika, żądając szczegółów. Zirytowani organizatorzy konkursu miotania ostrzami przepędzili czarnego pijusa precz z ich murawy.

Na środek trawnika wyszedł gruby facet w srebrzystej kolczudze i ogłosił start zabawy. Zawodnikom wręczono po nożu, stylizowanym na krótki miecz rzymskiego legionisty i rozstawiono ich w odległości około dziesięciu stóp od okrągłych tarcz, wyciętych z pnia i pomalowanych w czerwone okręgi. Dystans miał się zwiększać z każdą kolejną rundą.

– Odpadną ci, którzy wbiją ostrze w zewnętrzny okrąg – poinformował sir George’a jakiś facet, który przystanął obok, by przyglądać się zmaganiom amatorów. – A także ślepi inwalidzi, którzy w ogóle nie trafią w tarczę – uzupełnił.

Sir George nie zaszczycił go odpowiedzią. Zobaczył właśnie Adlera. Chłopak stał na końcu, na wprost dwunastej tarczy. Podrzucał leniwie nożem i bez większego zainteresowania przyglądał się akrobacjom pozostałych uczestników. Nic dziwnego – zdecydowaną większość z nich można było zaliczyć do kategorii ślepych inwalidów. Kiedy przyszła kolej na Adlera, chłopak odwrócił się tyłem do tarczy, rzucił – i wbił nóż w sam środek drewnianego koła.

- Popisuje się – skomentował jeden z gapiów.
- Powinni go zdyskwalifikować – stwierdził ktoś inny.
- Taa, i kto by wtedy przeszedł do następnej tury?
- Ten grubas, co też trafił w środek, brodacze i ta łysa

dziewczyna.

– Skąd pan wiesz, że to dziewczyna?

– Umiem poznać... po tym i owym.

Większość widzów wynagrodziła popis Adlera brawami. W końcu przyszli tu, aby dobrze się bawić. Organizator w kolczudze poprosił chłopaka, by trzymał się reguł.

– Ale to będzie nudne – pokręcił głową Adler. – Nie może pan trochę poluzować reguł?

– Nie sądzę – odparł niepewnie organizator.

– W takim razie, dalej bawcie się beze mnie – Adler poklepał organizatora po ramieniu i ruszył z powrotem przez trawnik.

Tłumek gapiów zaprotestował. Skonsternowany organizator musiał się zgodzić na odrobinę wolnoamerykanki. Adler pozbierał noże od przegranych uczestników i zabawił się krótkim przemarszem wzdłuż ich tarcz: w środku każdej tarczy zostawił po sobie wbite ostrze.

Potem były rzuty z poważnych odległości: trzydzieści stóp, czterdzieści, pięćdziesiąt i więcej. Spróbować mógł każdy – w tarczę nie trafił prawie nikt poza garstką zawodowców pokroju Adlera. Później przyszła kolej na topory: należało wbić ostrze w zdradziecko wąski pal. Topór był ciężki – jeden z zawodników zamachnął się i grzmotnął w pal z taką siłą, że roztrzaskał go na pół. Otrzymał zero punktów i gorący aplauz od gapiów.

Adler dźwignął trzy topory i wrąbał je w pal jeden nad drugim w równych odstępach. Ten wyczyn także spodobał się publice. Sir George wkrótce oswoił się ze świstem rozdieranego przez ciężkie siekiery powietrza i też zaczął się całkiem nieźle bawić.

I wtedy właśnie zjawili się ludzie, którzy popsuli mu zabawę.

Pierwszym z nich był młody człowiek w wojskowym płaszczu, który wyrósł znienacka z tłumku gapiów. Młodzieniec był bardzo specyficzny; wyróżniał się nie tylko osobliwym strojem, jak i tym, że był wyższy od wszystkich o głowę, a od sir George'a nawet o dwie. Młodzian miał niebezpieczne, świdrujące spojrzenie, dzikie i bystre – jak zamachowiec przed akcją. I od samego początku, zdaniem sir George'a, zachowywał się dziwnie.

Najpierw wysunął się przed gapiów i przez krótką chwilę obserwował zmagania miotaczy na murawie. Jedną dłoń miał w kieszeni płaszcza, w drugiej trzymał wielką, plastikową butlę, z której coś popijał. Truskawkowe mleko, dwie pinty. Sir George widział dokładnie, bowiem młodzian przystanął akurat na wprost niego, zasłaniając dżentelmenowi inne, bardziej pożądane widoki.

Sir George odchrząknął i już miał popukać bezczelnego młodziana po łopatce i powiedzieć mu, aby się z łaski swojej przesunął, kiedy to niespodziewanie wyręczył go rycerz w czarnej zbroi. Rycerz wtargnął ponownie na trawnik, odpychając na bok młodziana. Zamachał niechlujnie mieczem i krzyknął mu w twarz swoją mantrę: „Sprawdź swoje siły w starciu z okrutnym Czarnym Rycerzem!”. Nawet sir George poczuł odurzającą woń piwa, wydobywającą się z wąskich szpar w hełmie rycerza. Czarny wojownik już miał odmaszerować, by wyzywać innych, lecz młodzian w wojskowym płaszczu zareagował błyskawicznie.

Zagroził drogę rycerzowi i puknął go w hełm.

– *Da, poszoł ty, pridurok!* – ryknął.

Skonsternowany rycerz zadął głowę, by spojrzeć na śmiałka.

Młodzian wystawił palec, jakby mu groził.

– *Ja s toboj pozze razbierus’!* – warknął, po czym przepchał się przez tłumek w stronę kramów z bronią.

Tłumek zaszemrał. Rycerz stał z opuszczonym mieczem, patrząc tępo przez podłużne szparki w hełmie.

– Ktoś zrozumiał cokolwiek z tego, co tu było mówione? – zapytał w końcu rzeczowo.

– To jakiś Rosjanin – powiedział któryś z gapiów. – Znam trochę rosyjski.

– I co on mówił? – chciał wiedzieć rycerz.

– No-o, mówił, że fajny ma pan hełm – odparł bez przekonania dyżurny lingwista. – I chyba chciałby potem jeszcze z panem porozmawiać.

– Ze mną się nie rozmawia! – zakrzyknął wojownik. – Ze mną się walczy! – Potrząsnął mieczem i ruszył dalej, by nagabywać ochotników do pojedynku.

Rosjanin tymczasem zgarnął ze straganu garść ostrych ośmioramiennych shurikenów [\[72\]](#).

– Zaraz oddam! – rzucił po angielsku do oburzonego sprzedawcy i ruszył bojowym krokiem przez murawę.

Gdy mijał pierwszą tarczę, łupnął butlę z mlekiem na krawędź drewnianej tablicy. Potem zamachnął się i rzucił pierwszą gwiazdą. Shuriken rozciął powietrze niczym tarcza pilarki i poszybował z zawrotną prędkością nad murawą. Ostrze utknęło gdzieś w najbardziej odległej tablicy. Sir George nie potrafił nawet dokładnie go zobaczyć.

– Dobry jest! – zakrzyknął jakiś facet stojący tuż obok

Wyatta. – Będzie ze dwadzieścia jardów!

– Dwadzieścia jardów?! – nie mógł uwierzyć ktoś inny. – A to cyrkowiec!

Rosjanin nie poprzestał bynajmniej na tym jednym wyczynie. Z rozmachem wyciągał następne shurikeny i łapał nimi w kolejne tablice. Ani trochę nie zwolnił przy tym kroku. W parę minut ściągnął na siebie uwagę wszystkich zgromadzonych.

Organizatorzy spojrzeli po sobie nerwowo, niepewni jakie podjąć kroki. Rosjanin był na ich murawie intruzem, lecz po pierwsze, był nieźle uzbrojony, po drugie zaś, jego militarne odzienie, mimo iż z innej epoki i obcej krainy, wzbudzało naturalny szacunek.

Poza tym chłopak nie celował przecież do ludzi. Jeszcze.

Rosjanin dotarł na drugi skraj trawnika, pod tarczę, w którą wycelował na początku swych popisów. Wyszarpnął ostrze z drzewa i podszedł do kogoś stojącego w pobliżu. Sir George zmrużył oczy. Przełknął ślinę: Rosjanin podszedł do Adlera i zawisł nad nim złowieszczo. Coś mówiło Wyattowi, że Adler nie powinien pod żadnym pozorem zadawać się z tym typem.

Jakby tego było mało, za plecami dżentelmena odezwał się skądś już znajomy, lecz bynajmniej nie przynoszący miłych wspomnień głos.

– Ha, ha! Patrz, Romeo! Twój Jegor rządzi na tej imprezie.

Sir George odwrócił głowę i ujrzał ogromną Genevieve z prosiakiem nadzianym na maczetę. Obok niej stał długowłosy facet w futrze. Oboje mieli brudne i tłuste wargi, zapewne od obgryzania zwęglonej skóry prosiaka.

Sir George zorientował się, iż Genevieve, w przeciwieństwie do swojego kompana, była jeszcze całkiem młoda. Mogła mieć

zaledwie dwadzieścia parę lat. Była jednak tak potężna i okrutnie zaniedbana, iż Wyatt doprawdy zrozumiałby każdego, kto wziąłby ją za faceta. Cóż, takie już chyba były te kobiety z dzikiej północy.

Dzentelmen czym prędzej odwrócił wzrok i skupił się na poczynaniach młodego Rosjanina. Czy to jego Genevieve nazwała właśnie Jegorem?

Rosyjski młodzian przyjrzał się badawczo twarzy Adlera, po czym parsknął śmiechem i rzekł:

– *A my użę znakomy. Poznajesz mnie? Ja tiebia srazu uznał. Chotia tiebie, każetsia, tiem wriemieniem kto-to łopatoj po mordie dał.* Masz! – podał Adlerowi shurikena. – Widzisz różową butelkę? – wskazał na drugi koniec murawy, na deskę, na której zostawił swoje truskawkowe mleko. – Tam masz trafić! *Poniał?*

– Ma trafić w różową butelkę! – ożywił się sąsiad sir George'a. – W tę tutaj, po naszej stronie. Za Chiny tego nie zrobi!

– Nie ma szans – pokręcił głową ktoś inny. – To będzie ze dwadzieścia pięć jardów, jak nic!

Sir George zacisnął pięści, ale nie rzekł nic. Adler przymierzył się do rzutu. Majella złożyła dłonie jak do modlitwy i zacisnęła powieki. Adler cisnął gwiazdą w kierunku ostatniej tablicy. Minęła sekunda lub dwie i sir George usłyszał, jak ostrze wbija się w drewno. Butelka pozostała jednak nietknięta.

Rosjanin ryknął drwiącym śmiechem. Genevieve zawtórowała mu, a jej towarzysz, nazwany przez nią Romeem, naraz wyjął jabłko z mordki prosięcia i zawołał tubalnym głosem:

– Jegor! *Ej, smotri siuda!* – podrzucił jabłkiem. Kiedy zorientował się, że wszyscy na niego patrzą, krzyknął po angielsku: – Jegor! A w to jabłko ty potrafisz trafić? – Wyszedł przed tarczę i ułożył sobie jabłko na dłoni.

– Wariat! – skomentowała jakaś kobieta.

– Straszny ryzykant.

– *Roman, ty mołodiec!* – krzyknęła Genevieve.

Roman uniósł dłoń z jabłkiem wysoko nad głowę.

– Jegor! – zawołał. – Rzucaj w jabłko!

Jegor wyrwał nóż z pobliskiej tarczy i ruszył przez trawnik w jego kierunku.

– Co, stąd nie trafisz? – krzyknął za nim rozdrażniony Adler. – Taki jesteś kozak, że musisz stać dwa kroki od celu?

Rosjanin zignorował prowokację i przystanął dopiero, gdy dystans pomiędzy nim a jabłkiem na dłoni Romana zmniejszył się do może sześciu jardów. Jegor odchylił rękę z nożem i zastygł z wzrokiem utkwionym w celu. Publika zamarła, organizatorzy nerwowo przestępowali z nogi na nogę. Sir George w duchu pogratulował Romanowi zimnej krwi.

Wreszcie Jegor cisnął nożem, ostrze wykonało pełen obrót w powietrzu, a przy kolejnym wbiło się w jabłko i rozchlastało je na pół. Jabłko grzmotnęło wraz z nożem w trawę.

Rosjanin otrzymał nieśmiałe oklaski i na tym skończyła się milsza część przedstawienia. Sir George z bólem odnotował, że część niemiłą wzniecił sam Adler.

Adler chyba czuł smak porażki po nieudanym rzucie, po tym, że nie sprostał wyzwaniu Rosjanina. Może nawet czuł zawiść, bo to właśnie Rosjanin błyszczał teraz na murawie niczym najlepszy cyrkowiec. A może po prostu Adler był taki

sam jak ten Jegor – nieokrzesany. Sir George przecież dobrze go nie znał.

Faktem jest, że to właśnie Adler porwał z kramu płatnerza topór oraz maczugę nabitą żelaznymi kolcami. Sir George miał już na zawsze zapamiętać ten moment, kiedy Adler biegł z tym rynsztunkiem przez trawnik i dopadał wreszcie Jegora. Tłum wstrzymał oddech, a Wyatt odwrócił głowę i zasłonił oczy. Sam nie wiedział, czego właściwie oczekiwał: trzasku łamanych kości, jęków katowanego Rosjanina?

Na szczęście, jedynym, co usłyszał, było zjadliwe syknięcie Adlera:

– Niezły z ciebie akrobata. Zabawiasz nas małymi sztuczkami, a może być lepiej opowiedział, co robiłeś wtedy w lesie, hm? Coś mi mówi, że to była większa sprawa. Może udało ci się oczarować tych wszystkich durniów tutaj, ale mojej uwagi nie odwrócisz byle trikiem!... Gadaj, kim jesteś!

Sir George odjął dłoń od oczu. Nic nie rozumiał z tego, co podsłuchał. Rosjanin chyba też nie, bo tylko splunął, włożył ręce do kieszeni płaszcza i przezornie odsunął się o krok od uzbrojonego Adlera.

Na trawnik wyskoczył długowłosy Roman, lecz Adler zakreślił ostrzegawczy łuk toporem i warknął, by stary się nie wtrącał. A potem zamachnął się kolczastą maczugą i rąbnął w butelkę z truskawkowym mlekiem. Butelkę zmiotło, plastik pękł i na wszystkie strony trysnęła lepka, różowa fontanna.

– Ta butelka nie dawała mi spokoju – wyjaśnił Jegorowi.

Rosjanin powoli wytarł dłonią obryzganą twarz. Jego skośne oczy zwęziły się niebezpiecznie.

Widzowie pospiesznie zaczęli wycofywać się z murawy. Nikt nie chciał czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Sir George też

nie chciał – jednakowoż musiał. Miał dziwne wrażenie, że odkąd poznał Adlera, coraz częściej stawał w obliczu nieciekawych wydarzeń i podbramkowych sytuacji. Czy słusznie go tu ścigał? Czy wydarzenia ze Wzgórza naprawdę były tego warte...?

Majella stała obok, obgryzając nerwowo paznokcie. Sir George wziął jej rękę w swoją pulchną, ciepłą dłoń i ścisnął ją krzepiąco.

– Adler – wykrztusił sir George. – Dosyć tego!

Adler demonstracyjnie pozbył się maczugi: z całych sił sieknął nią w pobliską tarczę. Kolczasta głowica wrąbała się w drewno. – Niech pan stąd weźmie Majellę – rzucił z rozdrażnieniem.

Sir George miał ochotę posłuchać jego rady. Tym bardziej, że chłopak najwyraźniej jeszcze nie zakończył popisów. Podrzucił topór – zaklął, bo topór był diabelnie ciężki – a potem natarł ponownie na Jegora.

– Kim jesteś? – powtórzył, zbliżając obuch do piersi Rosjanina. – Co robiliście wtedy w lesie? Dlaczego, u diabła, łapaliście tego jelenia?!

– Jegor, *idi siuda!* – zawołał Roman.

Ale Jegor nie posłuchał komendy.

Odepchnął oburącz Adlera i przyskoczył do najbliższego straganu z dawnym orężem. Stamtąd pochwycił pierwszą broń, która wpadła mu w oko. A że był ambitny – padło na halabardę. Halabarda miała ciężką, stalową głownię, mierzyła tyle, co sam Jegor i od razu wydała mu się odpowiednią kompanką.

Rosjanin świsnął nią dla próby w powietrzu, wywołując popłoch wśród kupców.

- Chcesz wiedzieć, co robimy w lasach? – rzekł cicho do Adlera. – *Wot, ja tiebie siejczas pokazu.* – Rozejrzył się pośpiesznie i jego uwagę przykuł stragan rzeźnika. Z haków zwisała czerwona wieprzowina: żeberka, karkówka, podgardle, a także łby i całe świniaki. – *Smotri!* – ryknął Jegor do Adlera i wyrzucił halabardę niczym oszczep.

Stalowy grot rozpruł powietrze i zanurzył się w mięsistym karku wiszącego wieprza. Rzeźnik w ostatniej chwili schował się za blatem.

- Wariat! – wrzasnął panicznie. – Wołajcie policję!

Drzewce halabardy chybotąło się w górę i w dół. Jegor roześmiał się, zadowolony z rzutu. Podeszedł do wieprza, chwycił za kij i wyszarpał grot z czerwonego cielska.

- Dobrze! – krzyknął do Adlera. – Musisz spróbować!

- Nie!... – jęknął George Wyatt.

- *Jegor, chwatit!* – zawołał Roman. Nie wydawał się ani zły, ani przestraszony. Przeciwnie – był raczej rozbawiony. Popis jego koleżki najwyraźniej mu się spodobał.

Adler przyskoczył do Jegora i rzucił ze złością:

- Od razu się domyśliłem, że zarzynasz zwierzęta. Nie potrzebowałem do tego żadnego pokazu! Chcę wiedzieć, czemu nazwałeś tamtego jelenia mutantem! Gadaj! – niecierpliwie potrząsnął toporem.

Jegor zawahał się. Przez chwilę wydawał się nawet spłoszony. A potem na jego twarz powrócił zwykły, kpiący półuśmiech.

- Powiem ci – syknął cicho – jak ze mną wygrasz.

- Jak wygram co?

Rosjanin rozejrzył się w poszukiwaniu inspiracji. Jego wzrok

padł na zwisające z haków wieprzowe tusze.

– *Snaczała* – rzekł i poprawił się szybko: – Na początek... kto pierwszy zarąbie świnie – wskazał na tusze.

– One już są zarąbane – zauważył chłodno Adler.

Rosjanin wzruszył ramionami.

– *Nie chcesz, twojo dielo.* – Ton jego głosu brzmiał definitywnie.

Adler podjął szybką decyzję.

– Dobra. Zaraz ci rozchlastam twoją świnie na pół i wszystko mi wygadasz!

Doskoczyli do kramu nieszczęsnego rzeźnika.

– *Jegor, ja skazał: chwatit!* – ryknął drugi Rosjanin.

Jegor uspokoił go gestem dłoni: to zajmie tylko chwilę.

Sir George chwycił się za serce – raczej w odruchu, a nie dlatego, że mu w tym miejscu coś szczególnie dolegało.

Adler dopadł pierwszego lepszego świniaka, zamachnął się i z całej siły rąbnął ostrzem topora w szyję zwierza. Ostrze przecięło kark świni na wylot, łeb zawisł na cienkim pasie skóry.

– Wołam policję! – krzyknął ktoś z nielicznych, pozostałych gapiów.

– Wandale!

Adler ponownie sieknął ostrzem, tym razem wzdłuż grzbietu świniaka. Skóra rozpruła się, a ostrze utknęło gdzieś w krwistych wnętrznościach. Adler wyszarpnął je nie bez trudu. Wywijanie toporem nie było łatwizną. Faceci w średniowieczu może i byli ciemni, za to na pewno mieli krzepę.

Adler dźgał w trzewia świniaka, póki nie rozerwał go na

strzępy. Każdemu ciosowi towarzyszyły zgorszone i przerażone okrzyki. Na boisku nie został już niemal nikt, prócz organizatorów i kupców, którzy bezskutecznie przywoływali chuliganów do porządku. Sporadyczni gapie, którzy nadpływali z sąsiednich imprez, szybko się wycofywali. Nikt nie chciał brać udziału w zadymie, która ewidentnie wymknęła się spod kontroli.

Adler uniósł głowę i zobaczył dwóch medyków Czerwonego Krzyża biegnących przez murawę. Zatrzymali się przy Jegorze, który odruchowo skierował na nich grot halabardy.

– Panowie, wystarczy! – rzucił jeden z medyków. Był zdenerwowany i nie bardzo wiedział, jak się ustosunkować do wymierzonego weń grotu.

– Wezwaliśmy policję! – dodał drugi medyk dziwnie piskliwym głosem.

Sir George jęknął i schował twarz w dłoniach. Tuż obok niego, Rosjanin w kożuchu zacmokał z niezadowoleniem.

– Panowie, nie trzeba było! – spróbował pojednawczo z medykami. – Chłopcy tylko się bawią.

– Fantazja ich poniosła – dodała słodko Genevieve.

Jegor i Adler spojrzeli po sobie.

– Jeden – zero dla mnie – syknął Adler, wskazując na rozłupaną tuszę.

Jegor nie mógł pogodzić się z takim wynikiem.

– *Otwali!* – warknął do medyka i postraszył go grotem.

– Co się tu dzieje, czyżby pojedynki? – zadudnił naraz czyjś wesoły głos.

Na trawnik wkroczył okrutny Czarny Rycerz – z mieczem i nieodłącznym kuflem piwa.

– *Kakowo czorta?* – skrzywił się Jegor.

– To wandal! – krzyknął jakiś kupiec, wskazując na Rosjanina. – Niech mu pan odbierze broń, bo gotów nas wszystkich posiekać!

Czarny Rycerz zamarł, zerkając niepewnie zza podłużnych szpar w hełmie.

– Ach, tak – zadudnił wreszcie.

Wszyscy spoglądali teraz na niego z nadzieją. Wszyscy – prócz Rosjan i Adlera. Rycerz westchnął gdzieś w głębinach żelaznego hełmu. Pojął, iż to w jego rękach było zażegnanie kryzysu na murawie.

Ostrożnie odstawił na trawę cynowy kufel z piwem. W ogóle miał raczej opieszale ruchy, jakby nie palił się do podjęcia chwalebnej akcji ratunkowej.

– Policję wzywaliście? – upewnił się jeszcze.

Potwierdzili gorliwie, że tak.

Rycerz znów westchnął ciężko. Wreszcie zacisnął dłoń na rękojeści miecza i zwrócił się do Jegora:

– Proszę mi oddać tą halabardę.

Jegor parsknął śmiechem i zerknął na Adlera, aby sprawdzić, czy i jego rozbawił ten pajac. Adler kompletnie ignorował rycerza.

Nie spuszczał za to wzroku z Jegora.

– Niech pan mi odda halabardę – powtórzył zirytowany rycerz. – A co do pana – zwrócił się do Adlera – proszę oddać ten topór. Koniec zabawy.

– Koniec zabawy? – powtórzył ironicznie Jegor. – *Da, poszoł ty!*

– uniósł halabardę i żartobliwie puknął wojownika kijem

w hełm.

– Auu! – zawył rozzłoszczony rycerz.

Rosjanin nie miał już dla niego serca.

– Ej! – krzyknął do Adlera. – *My jeszcze nie zakon'czili. Dawaj walim otsiuda!* Spadamy! – I zanim rycerz zdążył zareagować, Jegor wdarł się w przesmyk pomiędzy kramami i zniknął pośród jarmarku.

Adler rzucił się za nim jak gończy pies.

– Adler!... – wyrwało się Majelli.

Sir George mocniej ścisnął jej dłoń.

– Uspokój się, moje dziecko – powiedział cierpko. – Nie jest ci do twarzy z emocjami.

– Ale... – zaczęła i urwała.

– Adler musi zadbać o swoje sprawy – rzekł z naciskiem sir George. – My zaś, moja droga, musimy zadbać o nasze.

– Co masz na myśli? – spytała zgasłym głosem.

– A to, że za chwilę zjawi się tu policja. A ja bardzo nie chciałbym się z nimi spotkać. Dżentelmeni, moje dziecko, lubią towarzystwo psów – ale wyłącznie rasowych.

DZIKI OGRÓD

Nie wiesz, komu leziesz w paszczę.

Keith Wood

ADLER PRZECISKAŁ SIĘ PRZEZ TŁUM, torując sobie drogę toporem. Ignorował wzburzone okrzyki spłoszonych

i zaskoczonych ludzi. Wzrok miał utkwiony w pobłyskującej głowni halabardy, która płynęła nieco dalej nad głowami tłumu, wzniecając przy tym zresztą podobne okrzyki.

Wygodniej byłoby pewnie pozbyć się topora i czym prędzej dopaść Rosjanina, lecz Adler zdążył już trochę poznać temperament Jegora i wiedział, że rzucać się z gołymi rękoma na uzbrojonego dzikusa byłoby skrajną głupotą i proszeniem się o kalectwo. Biegł więc dalej za Rosjaninem, zaciskając dłoń na masywnym drzewcu. Starał się przy tym nie poharatać niewinnych istot wokół.

– Co jest z wami nie tak, ludzie?! – zirytował się, kiedy znów ktoś odskoczył od niego z krzykiem i wyzwiał go od szajbusów. – Przecież to średniowieczna impreza: w tamtych czasach rządziły topory!

Naraz zauważył, że Rosjanin daje susa w bok i znika w okolicach dużego pawilonu z białego płótna. Adler przepchał się w tamtą stronę i dopadł namiotu. Szarpnął za wejściową płachtę, wskoczył do środka i stanął jak wryty.

Powitały go pytające spojrzenia trzech zmęczonych owiec i kilkunastu dzieciaków, zgromadzonych w kółeczku wokół jakiejś pulchnej, średniowiecznej wieśniaczki. Na snopku siana za plecami kobiety siedział ponury wieśniak, zagapiony w ekran smartfona. Trudno było powiedzieć, czy robił tu za bodyguarda, czy też za wątpliwą dekorację.

Wieśniaczka zmarszczyła srogie brwi i zgromiła Adlera spojrzeniem. Jej towarzysz okazał się nieco bardziej życzliwy. Uniósł głowę znad smartfona i ujrawszy gościa z toporem bojowym, wskazał kciukiem na drugie wyjście z namiotu.

– Turnieje są tam, na trawnikach – burknął. – Tutaj mamy pogadankę „Średniowieczny pastuch i żona”.

Adler podziękował mu gestem dłoni i czym prędzej ewakuował się z namiotu.

Po drugiej stronie pawilonu rozciągała się nisko przycięta, prostokątna murawa, otoczona barwnymi, pasiastymi namiotami i prowizorycznymi trybunami. Na trybunach zasiadali kolorowi przebierańcy w koronach i grupki ciekawskiego motłochu. Wokół namiotów krążyli giermkowie, doglądający bojowych rumaków przykrytych pstrokatymi kropierzami. Rycerze dopalali ostatnie papierosy przed wyjściem w szranki. Tu i ówdzie plątali się rzępolący muzykanci, sprzedawcy napitków, sokolnicy i wróżki. Było tłoczno i gwarno, panował chaos nie gorszy niż ten między straganami jarmarku.

Adler przebił się przez grupkę smarkatych paziów i rozejrzał się za Jegorem.

Zobaczył go niemal natychmiast, poznał po długiej halabardzie i rozwianych połach wojskowego płaszcza. Rosjanin wbiegł na tor dla jeźdźców, wzbudzając niemałą sensację. Adler z miejsca pojał, dlaczego: z dwóch przeciwległych krańców pola wystartowali właśnie pierwsi zawodnicy. Z jednej strony nadciągał jeździec na siwym rumaku. Wojownik miał prosty, stalowy hełm oraz kopię, tunikę i tarczę w czarno-białą szachownicę. Z naprzeciwka galopował rycerz w przyłbicy z pióropuszem, w czerwonozłoty barwach. Ten dosiadał karego rumaka.

Rosjanin pędził wprost na czarno-białego jeźdźca, który najpewniej jeszcze go nie dostrzegł, bowiem nie zaczął zwalniać galopu. Może niewiele widział przez szpary w stalowym garnku, który giermek nadział mu na głowę. Adler był pewien, że za parę sekund Jegor i siwy rumak zderzą się

czołowo. Widzowie na trybunach widać myśleli tak samo, bo naraz wydali zbiorowy jęk przerażenia.

W ostatniej chwili Rosjanin wskoczył na niską barierkę rozdzielającą dwa tory. Zachybotął się i odrzucił halabardę, aby nie stracić równowagi. Gdyby jeździec zaczął zwalniać wcześniej, halabarda padłaby pod nogi rumaka. Ale że zareagował zbyt późno, hak halabardy zaczepił się o kopię rycerza. Dwa ciężkie drzewce złączyły się i wykonały w powietrzu dziki obrót, ciągnąc za sobą wojownika. Na szczęście, mężczyzna wiedział, jak bezpiecznie spadać z konia – runął na ziemię dramatycznie i popisowo, zgodnie z tym, jak przyuczano go do turniejów.

Z trybun dobiegły strwożone okrzyki. Wybuchło zamieszanie. Nie wszyscy widzieli, co tak naprawdę się stało. Nie byli pewni, czy upadek rycerza nie był tylko kolejnym elementem pokazu. Wojownik ruszał się, a nawet próbował powstać. Przez trawnik biegli już ku niemu giermkowie.

Sprawca zamieszania prysnął. Nie zamierzał czekać, aż go pojma i wymierzą zasłużoną karę. Adler zobaczył, jak Rosjanin znika między namiotami. Ogarnęła go wściekłość. Zacisnął dłoń na toporze i rzucił się za nim w pogoń.

Ani on, ani Jegor nie znali zamkowych terenów. Rosjanin zasuwał chaotycznie przez trawniki i ogrody, Adler deptał mu po piętach. Mijając ostatnie stragany, Adler w biegu wrąbał ostrze topora w blat kramu.

– Oddaję! – krzyknął i popędził dalej ze zdwojoną prędkością.

Topór był zbędnym balastem. Mimo najlepszych chęci, Adler i tak nie mógłby go teraz użyć w walce z Ruskim. Lepiej było zwrócić pożyczoną broń. To, że zgarnął ją z zupełnie

innego straganu było w tym momencie szczegółem, którym nie zaprzętał sobie głowy.

Rosjanin z kolei wkrótce pozbył się swojego płaszcza. Zwinął go w kulę i cisnął w krzewy róż. Jego wojskowy przydzwiek był nazbyt charakterystyczny, dla policji i innych służb porządkowych stanowił istotny element opisu sprawcy.

Wydostali się wreszcie z jarmarku i tłoku. Jegor kierował się teraz na Zamek. Biegł prosto na główne wrota, wiodące do części mieszkalnej. Wrota stały otworem, jednak na wejściu sprawdzano bilety. Każdego roku, z okazji Festiwalu, wewnętrzne mury Zamku otwierano dla zwiedzających. Porządku pilnował zespół stróżów i podstarzałych wolontariuszy. Ubrani w odprasowane, granatowo-złote uniformy, członkowie zespołu przypominali bardziej załogę luksusowych linii lotniczych niż grupę zwykłych cieciców, którymi de facto byli.

Rosjanin nie zatrzymał się przy wejściu, lecz przeskoczył przez próg z taką nonszalancją, jakby od dziecka mieszkał w tym zamku. Prawdę mówiąc, w swoim białym golfie i butach z ażurowej skóry wyglądał na tyle pretensjonalnie, że właściwie można go było wziąć za księcia Norfolk. Na strój Adlera nikt by się nie nabrał: w czarnym, sportowym zestawie przypominał gości rabujących luksusowe wille. Mimo wszystko, postanowił skopiować manewr Ruskiego: odepchnął stróża i wylądował w hallu.

Bez pardonowe i bezprecedensowe zachowanie chłopaków zaskoczyło ospałych strażników. Pierwszy ocknął się popchnięty portier.

– Ej, ty! – zawołał za Adlerem. – Wracaj! Ej, wy! Stop! –

Nie doczekał się żadnej reakcji, więc zrobił coś, co widniało wprawdzie w opisie jego stanowiska pracy, lecz czego do tej pory nie musiał robić nigdy: puścił się biegiem za intruzami.

– Proszę okazać bilet!! – wrzasnęła histerycznie jego koleżanka, po czym wyjęła zza pasa radio i przekazała zgłoszenie o intruzach cieciom na innych piętrach Zamku.

– Nie ma wejścia bez biletu! – ryknęła do grupki matek z wózkami, sunących w stronę wrót Zamku. Kobiety popatrzyły po sobie, spłoszone i skonsternowane.

Jegor i Adler rzucili się do ucieczki przed galopującym niezdarnie stróżem. Adler przeklinał ruskiego popaprańca i kiedy słyszał jego śmiech niosący się echem w kamiennych korytarzach, miał ogromną ochotę pochwycić losową broń z mijanych ekspozycji i zdzielić nią Ruskiego po karku. Pragnienie to stało się szczególnie palące, gdy przebiegali przez zbrojownię. Nie było jednak czasu na demontaż ekspozycji.

O tej porze zwiedzających nie było wielu, ludzie wciąż jeszcze okupowali festiwalowe stragany i turnieje. W zamkowych komnatach panowała iście muzealna cisza, rozdzierana jedynie stukotem obcasów Jegora i okazjonalnym przemarszem stadek azjatyckich turystów. Do tych odgłosów dołączył naraz ciężki tętent zaalarmowanej brygady strażników. Sytuacja nie była wesoła. Strażnicy może i nie zaliczali się do sprinterów, lecz ich przewagą była znajomość rozkładu pomieszczeń w części mieszkalnej Zamku. Adler klął na głos za każdym razem, gdy wpadał do komnaty, z której nie było przejścia dalej.

– Proszę pana! – zawołał za nim jakiś słaby głosik, kiedy wtargnął do wiktoriańskiej sypialni, w której rozpierało się

gigantyczne łoże z krwistoczerwonym baldachimem.

Odwrócił się i ujrzał w progu małą, niegroźną babcię w przydużym uniformie. Wolontariuszka.

Odetchnął z ulgą.

– Tak? – zapytał, starając się, by jego głos brzmiał uprzejmie oraz by nie poznała, że cholernie mu się śpieszy.

– Czy posiada pan bilet „Gold PLUS”?

– Proszę? – rzucił nieuważnie, bo właśnie zobaczył Jegora w pokoju po drugiej stronie korytarza. Rosjanin, zdaje się, wpadł w podobną pułapkę: pokój bez przejścia, ale i bez wścibskiej babci-służbistki.

– Wstęp do sypialni jest tylko dla posiadaczy biletów „Gold PLUS” – wyjaśniła babcia.

– Kolega ma bilety – rzekł pośpiesznie Adler i wskazał na Jegora. – Hej! – rzucił do Rosjanina. – Pokaż pani nasze wejściówki! – Nie czekał na dalszy rozwój akcji, tylko czym prędzej dał drapakę ze strefy „Gold PLUS”.

Wmieszał się w głośną grupkę Chińczyków i wraz z nią popłynął schodami na kolejne piętro. Po krótkiej chwili dogonił go Jegor. Adler uniósł brwi.

– Szybko się rozprawiłeś ze staruszką – rzucił szeptem. – Mam nadzieję, że obeszło się bez przemocy... Rosjanin wzruszył ramionami.

– O co chodzi z tym „Gold PLUS”? – zapytał.

– Z jakiegoś tajemniczego powodu – odparł Adler – jeśli chcesz sobie pooglądać łóżka VIP-ów, musisz kupić droższy bilet.

Korytarze robiły się coraz węższe i coraz mniej reprezentacyjne. Opuszczali elegancką, dziewiętnastowieczną

nadbudowę i wkraczali do najstarszej części Zamku. Chmara Chińczyków odbiła nagle w bok za strzałką wskazującą kierunek zwiedzania. Adler i Jegor zignorowali strzałkę i pobiegli ciasnym, słabo oświetlonym tunelem, wymurowanym z olbrzymich, kamiennych bloków. Obydwoje musieli uważać na głowy, bowiem projektantowi tunelu, który pewnie sam mierzył nie więcej jak pięć stóp, najwyraźniej nawet się nie śniło, że kiedyś będą chodzić po świecie tacy giganci.

Tunel doprowadził ich do stromych, krętych schodków, schodki zaś wywiodły na wewnętrzne mury. Tutaj mogli się skryć za potężnymi blankami z czarnego krzemienia i piaskowca. Czy udało im się zgubić pościg? Adler spojrzał w dół na zamkowy dziedziniec. Był bezludny i pusty, w owalnym trawniku tkwiły jedynie nieruchome krzewy, przystrzyżone na figury szachowe.

Jegor nie tracił czasu na oględziny. Pognał dalej grzbietem murów. Adler ruszył za nim i po chwili wbiegał już po schodkach prowadzących do ogromnej, cylindrycznej baszty. Wielka wieża była najwyżej położonym ogniwem fortyfikacji. Wznosiła się na szczycie stromego, trawiastego kopca, którego zachodnie i południowe zbocza opadały ku niegdyś potężnej, obecnie kompletnie wyschniętej fosie. Wewnątrz murów baszty znajdował się okrągły, wysypany żwirem i piachem dziedziniec. Blanki można było obejść, wędrując po prowizorycznym, drewnianym podejściu. Tutaj właśnie zatrzymał się Jegor: przystanął na deskach i wychylił się przez wąski prześwit pomiędzy blankami. Jego serce wciąż jeszcze łomotało od szaleńczego biegu, ale nie mógł sobie odmówić frajdy, jaką dawało podziwianie widoków z najwyższej wieży Zamku.

Adler doskoczył do Rosjanina i szarpnął go za ramię.

– Jesteś popaprańcem – warknął – i pieprzonym showmanem! Przez ciebie ściga nas policja i drużyna cieciów!

Miał ochotę zwalić Ruskiego z tej wieży, ale się powstrzymał. Musiał go najpierw przycisnąć w tej jednej, najważniejszej sprawie. Tej, dla której gonił za nim aż tutaj.

Rosjanin uwolnił się z uchwytu Adlera i odgarnął z twarzy zmierzwione włosy.

– *Sigi u tiebia jest’?* – zapytał i wykonał gest, jakby zaciągał się papierosem.

Adler pchnął go ręką na blanki. Nonszalancja Ruskiego już go irytowała.

– Stary, zaraz cię zostawię w spokoju i będziesz mógł sobie fajczyć i podziwiać widoki. Teraz gadaj, dlaczego łapaliście wtedy tego jelenia! Czemu nazwałeś go mutantem?!

Jegor spowaźniał. Wbił ręce do kieszeni spodni i przez chwilę przyglądał się z namysłem Adlerowi, jakby oceniał, czy warto mu cokolwiek wyjaśniać. Wreszcie powiedział:

– Widziałeś kiedyś walki jeleni?

– Masz na myśli walki w czasie rykowiska?

Jegor skrzywił się i Adler zrozumiał, że użył słowa, którego Rosjanin nie rozumiał.

– *Bliad’!* Mam na myśli walki jeleni – burknął. – Pojedynek dwóch samców.

– Okej, widziałem – odparł szybko Adler.

W jego rodzinnych stronach, nad Loch Mòr, występowała spora populacja jeleni szlachetnych. Jesienią zdarzało mu się urywać ze szkolnych zajęć, by nasłuchiwać niosących się po okolicy ryków i czatować na starcie nabuzowanych

testosteronem byków [\[73\]](#).

– No i? – przycisnął Ruskiego i kontrolnie rzucił okiem na mury. Pusto.

– Takich walk nigdy nie oglądałeś – powiedział z przekonaniem Jegor. – Jak zobaczysz, to zrozumiesz.

Adler uśmiechnął się mimo woli.

– Jesteś cholernie tajemniczy – rzekł. – Gdzie mogę zobaczyć te nietypowe walki? Na tych łąkach pod Pelham? Tam, gdzie wtedy was spotkałem?

Rosjanin zawahał się.

– *Niet* – pokręcił powoli głową.

– No to gdzie? – ponaglił go Adler, lecz Jegor nie odpowiedział.

Wyprostował się, nagle zaalarmowany i spytał, pozornie od rzeczy:

– Wspinać się ty umiesz? – Powiedział to z silnym, rosyjskim akcentem, jak mówił zawsze, kiedy był czymś przejęty.

Adler zauważył zdenerwowanie Ruskiego.

– Co jest? – spytał.

Jegor skinął w stronę murów: grzbietem biegła gromada strażników.

Adler zaklął, a Rosjanin wsunął się w prześwit między blankami i krzyknął:

– Szybko, spadamy! *Bystro!* – Zrzucił swe wytworne buty i cisnął je w trawę.

Adler spojrzał w dół: od podestu, na którym stali, do dziedzińca było jakichś dwadzieścia stóp litej, murowanej ściany.

Żadnego punktu zaczepienia.

– *Ej, czewo ty źdiosz?! – ryknął Jegor. – Dawaj bystrieje!*

Rosjanin przymierzał się do zejścia po zewnętrznej ścianie baszty. Adler wychylił się przez prześwit i zobaczył, że zewnętrzna elewacja wieży podziurawiona jest wąskimi otworami okien strzelniczych, które od wewnątrz zamurowano.

Z oddali usłyszał podniecone krzyki stróżów. Pewnie go zobaczyli. Nie zastanawiał się już dłużej. Przełożył nogę przez prześwit i po chwili zawisł kilkadziesiąt stóp nad ziemią, szukając dobrego oparcia dla stopy.

Okna strzelnicze były rozmieszczone dość hojnie. Ich masywne ościeże stanowiły dobry punkt podparcia. Palce dłoni można było wygodnie wbijać w grube szczeliny pomiędzy kamiennymi blokami. Po paru minutach Adler zeskoczył na trawę i odruchowo wytarł zadrapane ręce w spodnie.

Jegor też już był na dole i wypatrywał czegoś w trawie.

– *Bliad’! Gdie że moi tufli?! –*

Rosjanin był boso, w jednej dłoni ścisnął elegancki but z lakierowanej, ażurowej skóry. Zapewne szukał drugiego od pary. Adler dostrzegł zgubę parę kroków za plecami Ruskiego, podniósł ją i ze śmiechem cisnął nim w Jegora.

– Masz tu swojego lakierka! Zakładaj go i spadamy!

Jegor wsunął pośpiesznie buty na odrapane do krwi stopy.

Z góry dobiegły ich okrzyki.

– To oni! Tam, w dole! To ci dwaj intruzi!

Adler zadarł głowę i zobaczył granatowe czapki strażników w prześwitach między blankami.

– Będą strzelać? – zaniepokoił się Jegor.

Adler mimo woli parsknął śmiechem.

– Chyba pluć! Tutejsi strażnicy nie noszą broni.

Co sił w nogach popędzili w dół skarpy, przebiegli przez kamienny most nad wyschłą fosą i schronili się w ustronnym parku. Położony u stóp północnych murów Zamku, park miał tę zaletę, iż nie toczyły się w nim żadne imprezy Ye Olde Axe. Ani Adler, ani Jegor nie mogli już wrócić na festiwal. Ściagała ich policja, kupcy, organizatorzy turnieju rycerskiego, a teraz jeszcze straż zamkowa. Wszędzie widziało ich zbyt wielu ludzi. Musieli uciekać w głąb parku.

W kieszeni Adlera wydzwaniał telefon. To zapewne sir George. Biedny staruszek, chyba kompletnie się zawiódł na swoim ekspercie z Klubu Zoologów. Pewnie żałuje dnia, w którym zaprosił Adlera pod swój dach. Chłopak pomyślał, że jeśli uda mu się z tego wszystkiego wywinąć i zakończy ponownie do drzwi St John's Cottage, w progu stanie rozgoryczony Wyatt i powie coś dramatycznego, w stylu: „Przeklinam dzień, w którym cię poznałem! A teraz odejdz i nie pokazuj mi się więcej na oczy!”. Niewykluczone, że to samo powie profesor Reid, kiedy Adler wróci skruszony do Edynburga...

Dobiegli do wysokiego muru ukrytego pośród drzew. Wzniesiony z solidnych bloków krzemienia i czerwonej cegły, mur wyznaczał granicę terenów zamkowych. Nie mieli wyboru: musieli wdrapać się na mur i przeskoczyć na drugą stronę.

Za murem park ciągnął się dalej, teraz poprzecinany rekreacyjnymi trawnikami, boiskami do krykieta i asfaltowymi alejkami. Spacerowiczów było niewielu, alejkami przechadzały się pary przygarbionych staruszków, szukających tu

wytchnienia od głośnej imprezy w centrum miasteczka. Adler i Jegor płoszyli staruszków, którzy odskakiwali niezdarnie i z przestraczem na widok rozpędzonych młodzianów.

Wreszcie dobiegli do skraju rozległego wzgórza, na którym wznosiło się Arundel. Zatrzymali się i spojrzeli w dół stromego stoku. Teren opadał teraz ostro ku wschodowi, w dole majaczyło ciemne oko stawu.

– Muszę sprawdzić, gdzie jesteśmy – rzekł Adler i sięgnął po telefon.

– Ja wiem, gdzie jesteśmy – oznajmił niespodziewanie Rosjanin.

Adler zerknął na niego z ukosa.

– Co, w tej okolicy też zarzynałeś zwierzaki? – spytał. – A może wyprowadzałeś tu na spacer tę waszą sforę dzikich psów?

Pomyślał sobie, że przecież nie powinien ufać kłusownikowi. Może i uciekali teraz przed wspólnymi wrogami, ale wszystko zaczęło się przecież z winy Roskiego.

Zostawił w spokoju telefon i skrzyżował ręce na piersi.

– Może mi powiesz, kim, do cholery, jesteś? – rzucił do Jegora. – Ty i ci twoi kumple. Macie bazę na Zamku w Pelham?

Jegor ryknął jakimś bluzgiem i puścił się biegiem w dół skarpy. Adler pognał za nim. Zaczął się już przyzwyczajać do temperamentu swego rosyjskiego kompana.

Na dole Jegor zatrzymał się, odgarnął brudną dłonią włosy i rzucił ponuro:

– *Otstan'! Mnie bol'sze nieczewo tiebie skazat'...*

– Nie gadaj do mnie w tym swoim bolszewickim języku! –

zirytował się Adler.

Rosjanin zbliżył swoją twarz do jego twarzy i ryknął:

– *Ja skazał, otstan' ot mienia!*

Adler rozpląszczył dłoń na gębie Rosjanina i silnie go odepchnął.

– Nie zbliżaj się do mnie! – warknął.

Znów byli wrogami. Cienka, chwilowa nić porozumienia pękła. Jegor splunął pod nogi Adlera i bez słowa ruszył w stronę stawu. Po paru krokach zaczął biec. Jego wysoka sylwetka szybko zniknęła za grupą żółtych lip.

Adler nie starał się go ścigać. Nie było po co. Rosjanin nie chciał gadać, a na kolejną bójkę z tym typem Adler nie miał ochoty.

Wyciągnął telefon i sprawdził swoje położenie na mapie. Okazało się, że jednak musi pobiec za Jegorem: droga wzdłuż stawu, którą wybrał Rosjanin, prowadziła prosto do parkingu pod Zamkiem.

Kiedy dotarł na parking, jego uwagę przykuła stara, wojskowa ciężarówka, zbita z ciemnozielonej blachy. Ciężarówka wcisnęła się niezgrabnie w długi rząd aut, zaparkowanych wzdłuż zewnętrznych murów Zamku. Jakichś kilkanaście samochodów dalej stał fiacik sir George'a.

Adler nie zdziwił się wcale, kiedy koło ciężarówki zobaczył Rosjanina. Jegor siedział na asfalcie, wsparty plecami o masywne koło wozu. W ustach przygryzał jakąś słomkę i nerwowo pstrykał palcami. Najwyraźniej nie miał kluczyków i czekał na powrót swoich towarzyszy.

Adler miał wielką ochotę z niego podle zadrwić, ale się powstrzymał, bo wiedział, że jego samego czeka teraz

podobny los. Musiał ukryć się za samochodem i wypatrywać nadejścia sir George'a albo gorzej – Majelli. O ile oczywiście już nie odjechali, zostawiając go tu na pastwę losu.

Nie odjechali: samochód Wyatta wciąż stał w tym samym miejscu. Sir George jednakże zjawił się przy aucie dopiero po zmroku – po uroczystym, średniowiecznym bankiecie i fajerwerkach kończących imprezę. Do tego czasu, Adler niemal przymarzył do maski fiata. Trochę wstyd, bo w końcu wychował się w Szkocji i odrobina rzeńskiego, jesiennego powietrza nie powinna mu do tego stopnia szkodzić.

Wyatt powitał Adlera chłodnym skinięciem głowy, jakby spotkał go zupełnie przypadkowo w okolicach swego samochodu. I jakby Adler był tylko dalekim i niezbyt mile widzianym znajomym, nie zaś człowiekiem, którego gościł w swym domu, z którym wspólnie jadał i któremu zwierzał się ze swoich najskrytszych lęków.

„No cóż”, myślał Adler, przyglądając się oziębłej minie dżentelmena. „Chyba sobie na to zasłużyłem...”

Wyatt wpakował się z trudem za kierownicę fiacika i rzucił sucho do wnuczki, by wsiadała.

– Pan również, panie Adler – dodał sztywno.

Adler zajął miejsce na tylnym siedzeniu i ze zdziwieniem stwierdził, że Majella także postanowiła schronić się w drugim rzędzie, byle dalej od Wyatta. Wyglądało na to, że pokłóciła się o coś z dziadkiem. Przez całą drogę powrotną nie odzywała się do nikogo, tylko spoglądała uparcie w czerń za szybą. Adler zauważył trzonek jakiegoś narzędzia, wystający z jej torebki. Majella owinęła trzonek czerwoną apaszką, lecz była to marna mistyfikacja.

– Majella – szepnął, zaintrygowany.

Chciał ją zagaić o to, co ukrywała w torebce, ale chyba wybrał zły moment. Majella obdarzyła go chmurnym spojrzeniem spod przydługiej, słomkowej grzywki. Jej zwykle łagodne i melancholijne oczy zgasły. Tliły się teraz posępnie jak dwa ciemne reflektory.

Po powrocie do domu, sir George życzył Adlerowi dobrej nocy.

– Mam nadzieję, że bawił się pan dziś równie dobrze jak ja – dodał jadowicie.

Adler poprzysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki jak najszybciej nie wyjaśni wszystkich gnębiących Wyatta zagadek. Wiedział, że jest na dobrej drodze, aby sprostać tej obietnicy.

Po nocnym ataku na farmę Phila Sturridge'a, Adler wpadł na pomysł, jak dopaść drapieżców winnych tej rzezi. Chciał ich nie tylko zidentyfikować, ale też ustalić, skąd przychodzą i gdzie znajdują się ich siedliska. Być może przemierzyły setki mil, zanim trafiły do Pelham i dobrały się do tutejszych gospodarstw i lasów. Możliwe też, iż żerowały w okolicach od lat, lecz trzymały się z dala od osiedli ludzkich i nie zapędzały na farmy, zaś myśliwi nie dostrzegli nic prócz mętnych znaków. Znaków, które wskazywały, że coś tu jest nie tak. Bo spadek lokalnych populacji drobnej zwierzyny i ptactwa nie był przypadkowy. Adler coraz bardziej się w tym utwierdzał.

Postanowił przydybać zwierza, którego w dniu feralnej imprezy u Nicka tropił aż po farmę Sturridge'a. Nie wiedział, co to był za zwierz i podejrzewał, że w okolicy występowały także inne, równie groźne gatunki. Świadczyły o tym wszystkie dotychczasowe obserwacje: zwłoki dziwnych gryzoni na Wzgórzu świętej Anny, drapieżne sarny, o których

wspominał George Wyatt, nietypowy jeleń, którego Rosjanin nazwał mutantem, wreszcie same psy Rosjan, „potwór z Pelham” i inne historie posłyszane w King’s Head od myśliwych. Sporo się tego uzbierało. Od czegoś trzeba było jednak zacząć i Adler postanowił rozpocząć swe śledztwo od zwierząt, które urządziły nocną rzeź w oborze farmera.

Dzięki pomocy najlepszych lokalnych łowców, Keitha Wooda i Ralpa Pearsona, udało mu się przeprowadzić pierwszą akcję. Od Wooda pożyczył kulki usypiające, którymi nafaszerował obfity kawał czerwonego mięsa i parę tuszek strzelonej przez Keitha zwierzyny. Od Pearsona wzięł dodatkowo strzelbę na środki farmakologiczne. Prawdę powiedziawszy, mógł tylko zgadywać, jak duże było zwierzę, na które się przymierzał, a zależało mu jedynie na jego tymczasowym uśpieniu. Powiedział zatem Woodowi, by przygotował dawkę o takim stężeniu, jakie unieruchomiłoby na pewien czas wielkiego psa.

– Ryzykujesz, chłopcze – zauważył Wood, ale w jego głosie nie było przygany. – Jak zeżre za mało, to go tylko otumani. A jak za dużo – to padnie na amen. Nie wiesz, komu leziesz w paszczę.

Adler nie wiedział, lecz miał nadzieję wkrótce to ustalić.

Ralph Pearson udzielił mu paru wskazówek odnośnie dobrych miejsc do zasiadki [74]. Chłopak postanowił zacząć się w którejś z drewnianych budek do obserwacji ptaków. Na piątkową noc wybrał tę, która znajdowała się najbliżej pól Sturridge’a.

Zapakował do worka świeże mięcho ze środkiem usypiającym i wrzucił do plecaka trochę sprzętu, w tym nowo nabyty lokalizator GPS, myśliwską fotopułapkę, czyli kamerkę

ukrytą w kamuflażowej obudowie, lornetkę, amunicję, nóż i termos z kawą. Narzucił na siebie puchową kurtkę pożyczoną od Wooda i w końcu definitywnym gestem przewiesił przez ramię strzelbę. Był gotów, by wyruszyć.

Czekała go długa noc pod gołym niebem, a ściślej mówiąc – w prowizorycznym baraku pośród pól.

Budka obserwacyjna, w której Adler spędził pierwszą noc, była prymitywnym prostopadłościanem, zbitym z podłużnych, nieheblowanych desek. Posiadała dwa prostokątne otwory służące hipotetycznym zapaleńcom do obserwacji ptaków żerujących w polu. W środku znajdowała się prosta ława oraz szeroki parapet, na którym obserwator mógł podeprzeć łokcie, by wygodniej mu się trzymało lornetkę. Latem w kątach pełno było pajęczyn i pajaków, zimą na ścianach osadzał się szorstki szron.

Jesienią też nie było zbyt zabawnie, o czym przekonał się Adler.

Chłopak rzucił mięcho na skraj pobliskich zarośli i przyczaił się za drzwiami budki, skąd miał dobry widok na przynętę. Liczył na to, że tej nocy bestie ponownie wyjdą na żer, a wtedy nie odmówią sobie darmowego kąska.

Temperatury nocą spadały teraz na nieciekawe poziomy, lecz Adler starał się nie poruszać, by nie robić zbędnego hałasu. Przytwierdził jedynie fotopułapkę do jednej ze ścian budy. Nie świecił sztucznym światłem, przyzwyczajał wzrok do naturalnych barw nocy.

Było czarno. Czarno i zimno, a nawet mroźno. Przez długi czas nie działo się absolutnie nic. Do uszu Adlera docierały jedynie okazjonalne pohukiwania sów śmigających nad ciemnymi polami. Raz w pobliżu przemknęło stadko saren,

lecz ku rozczarowaniu chłopaka, te najwyraźniej nie były mięsożerne, gdyż nie tknęły podrzuconego mięsa. Westchnął w duchu i sięgnął po termos z kawą. Zapowiadała się długa noc...

Przysypiał, ale zimno nie dawało mu zasnąć. Nagle do głowy zaczęło mu się cisnąć wiele alternatywnych pomysłów: chciał koniecznie zmienić miejsce zasiadki albo iść szukać Rosjan i jeleni-mutantów. Mógłby też wbiec na Wzgórze świętej Anny i przydybać psychopatycznego mordercę wiewiórek. Kto wie, może znów zarzyna jakieś gryzonie?

W środku nocy wyszedł z budki i zaczął ją obiegać, zataczając coraz to szersze kręgi. Doszedł do wniosku, że nie musi się chować. Przecież bestie, które zaatakowały bydło Sturridge'a, nic sobie wówczas nie robiły z jego obecności w polu. Może nawet dobrze byłoby, gdyby poczuły zapach człowieka, zapach żywego mięsa. To mogłoby je zwabić.

Ale nie było ich. Nie było tych bestii. Wiedział o tym, ponieważ nie słyszał ich diabolicznego zawodzenia. Usłyszał za to coś innego: dalekie ryki. Grzmiące, basowe, charakterystyczne. Ryki samców jeleni. Niosły się nad spowitymi mgłą łąkami i polami Pelham.

Była jesień, okres godowy jeleni. Młode samce rozpoczęły poszukiwania partnerek. Byki stadne pilnowały swoich łań przed rywalami. Od zmierzchu do wschodu słońca będą teraz rozbrzmiewać nawoływania: odgłosy miłości, rywalizacji i triumfu, jak o nich pisał Darwin. Gdy spotka się dwóch godnych siebie rywali, dojdzie do zaciętej walki. Pojedynki jeleni są brutalne i wycieńczające. Wygrywa najsilniejszy. Uzbrojony w najlepsze poroże, najdoskonalszą broń. Wygrywa najzdrowszy, najlepszy. Taki, którego przyszłe potomstwo

najlepiej poradzi sobie w bezwzględny świat przyrody.

Ale świat przyrody w Pelham był nie tylko bezwzględny. Tutejszy świat przyrody był zwyrodniałym ogrodem. Żyły w nim mutanty, które podstępnie upodabniały się do gatunków typowych. Żyły w nim bestie, które wypełzały tylko nocami, by ich nie ujrzało oko ludzkie.

Adler przeczekał do świtu w dziwnym letargu. Nad ranem do przynęty zaczęły się dobierać kruki. Zanim je przepędził, kilka sztuk padło.

Pierwsza noc akcji była zatem pechowa, lecz już kolejna przyniosła pewien sukces. Nie obeszło się bez komplikacji, ale przynajmniej nikt nie zginął – ani łowca, ani zwierz. Choć, nawiasem mówiąc, było blisko...

W sobotę o zmierzchu Adler wprowadził się do drewnianej wieży, rozstawionej na czterech słupkach nad podmokłymi polami pod Plumpton. Gdzieś po drugiej stronie szosy, w oddali majaczył Zamek Bazina. Wybór noclegu nie był przypadkowy. Przez większość dnia Adler szlajał się po okolicznych bezdrożach z paroma lokalnymi myśliwymi, którzy pokazywali mu teren.

O zachodzie słońca wydało mu się, że posłyszał charakterystyczne wycie dobiegające z lasów Plumpton. Nie były to odgłosy tak intensywne, jak je zapamiętał, ale nie mógł zmarnować tej szansy. Cokolwiek potrafiło wydawać takie dźwięki, na pewno nie było przedstawicielem nudnego zbiorowiska, za jakie Adler uważał typową, angielską faunę.

Porozkładał więc przynętę i ukrył się w wieży. A potem znów czekał, lecz tym razem nie musiał czekać długo.

Na niebie wciąż jeszcze drgała różowa poświata, kiedy z szarej gęstwiny nieopodal kryjówki Adlera wynurzył się jakiś

stwór. I bez lornetki z noktowizorem Adler zobaczył, że zwierzę jest masywne, stąpa na czterech, ciężkich łapach i ma mocno rozbudowany przód ciała: kark, barki oraz przednie łapy. Sylwetką przypominało trochę lwa lub goryla, lecz było smuklejsze i miało mniejszą głowę. Pyska Adler nie widział, bo zwierzę obróciło się tyłem do otworów w wieży i jęło obwąchiwać podłożone mięso. Chłopak przyglądał się z napięciem kołyszacemu się zadowi zwierza: zeżre czy nie zeżre...?

Zwierz trącił łapą największy kawał mięsa i wyszarpał pierwszy płat. Pożarł go z mlaskiem i chrapliwym pomrukiem, po czym wbił zęby w kolejną porcję. Adler obserwował go z rosnącą ekscytacją. Zaraz będzie miał tę bestię w garści!

Z oddali, znad ciemnych pól, pofalowanych niczym groźne morze, napłynął upiorny skowyt. Zwierz uniósł łeb i zamarł, nasłuchując. Może rozpoznał odgłosy kumpli ze swojej watahy? Nie odpowiedział im jednak podobnym skowytem. Przez chwilę stał nieruchomo, wyprężony i czujny, a potem znów pochylił łeb i wyszarpał kolejny płat mięsa.

Adler przygotował obrożę z nadajnikiem i odruchowo przyłożył dłoń do pasa. Nóż był na swoim miejscu. Oby jednak nie musiał go użyć...

Zwierz nażarł się wreszcie i zaczął powoli oddalać z zasadzki. Adler wyczekująco świdrował go wzrokiem: kiedy padnie? Czy padnie w ogóle...? Zwierz był potężniejszy od dużego psa. Możliwe, że stężenie środka usypiającego w przynęcie było za słabe dla tej bestii.

Nagle zwierz osunął się na ziemię. Nie mógł powstać, jego cielsko zaległo bezradnie pośród traw. To pęczniało od chrapliwych wdechów, to znów kurczyło się z piskiem niczym

wielki, czarny balon, z którego spuszczone powietrze.

Adler zeskoczył na trawę. Jego serce łomotało z ekscytacji. Nadszedł moment, w którym musiał szybko wykonać swój plan. Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę zwierza.

Bestia uniosła łeb i zaraz bezsilnie wsparła go o wyciągnięte łapy. Adler przykucnął nieopodal i spróbował się jej przyjrzeć. Na pierwszy rzut oka przypominała mu teraz przerośniętą, przygarbioną hienę. Miała muskularny kark i także łapy oraz krótki, masywny pysk z upiornym uzębieniem. Miała też duże, trójkątne uszy i coś w rodzaju grzebienia lub grzywy. Więcej szczegółów nie zdążył zaobserwować, bo zwierz naraz szarpnął łbem i machnął ciężką łapą.

Adler zawył z bólu. Po jego ręce przejechał rząd długich na trzy cale pazurów. Pazury przeorały dwie warstwy rękawów i wbiły się pod skórę. Z rany pociekła krew. Adler poderwał się na równe nogi. Nie mógł uwierzyć własnym oczom: zwierz odzyskiwał siły i podnosił się! Z jego pyska wydobywał się chrapliwy ryk.

- Nie! - krzyknął Adler i bez namysłu padł na bestię okrakiem. Nie mogła mu uciec, nie teraz: nie założył jej jeszcze nadajnika!

Futro bestii śmierdziało krwią i wilgotną ziemią. I czymś jeszcze - odorem znad bagien. Adler przydusił ją całym ciężarem swojego ciała i nerwowym ruchem sięgnął po obrożę. Zwierzę zaczęło się wierzgać, z jego rozwartego pyska kapały szare sople gęstej śliny. Żółte, zaropiałe oczy zwęziły się w niemalże ludzkim wyrazie nienawiści.

Adler z trudem utrzymywał się na grzbiecie bestii. Nie był lekki, lecz dla niej i tak był marnym przeciwnikiem. Rozpierała ją coraz większa agresja. Powstała i spróbowała utrzymać się

na prostych łapach, lecz na szczęście była na to jeszcze za słaba. Z jej pyska wystrzeliła cuchnąca struga wymiotów i bestia padła z powrotem na ziemię.

Adler wykorzystał swą ostatnią szansę i nadzieją na jej kark obrozę. Zawyla wściekle, rozdzierająco. On zaś triumfował: od teraz, jeśli tylko uda mu się bezpiecznie dogalopować do wieży, będzie mógł śledzić każdy ruch bestii, tak długo, jak tylko pozwoli bateria w nadajniku. Nie kontemplował swego dzieła: uruchomił nadajnik i błyskawicznie odskoczył od zwierza. A potem co sił w nogach popędził w stronę wieży. Drewniana budka, która przedtem zdawała się tak lichym schronieniem, teraz była jak bastion w tym dzikim ogrodzie.

Bestia zawyla przeciągle. Odpowiedział jej skowyt przyczajonej w ciemnościach watahy.

CHUSTKA

*Nieustannie włóczą się po lasach,
zamiast kulturalnie dyskutować w salonie.*

Sir George Wilbert Wyatt

ADLER SZYBKO PRZEKONAŁ SIĘ, że zdalne tropienie zwierza ma swoje minusy. Zwłaszcza, gdy okazuje się, że zwierz jest niez mordowanym podróżnikiem.

Pierwszej nocy po założeniu nadajnika było jeszcze spokojnie. Bestia przesiedziała parę godzin w podmokłym łęgu pod Plumpton. Pewnie napchała się darmowym mięsem od Adlera i nie potrzebowała wychodzić na żerowisko. Być może

pozostali członkowie watahy grasowali w tym czasie po okolicznych pastwiskach.

Adler nie został na wieży obserwacyjnej dłużej, niż było to konieczne. Odczekał tylko, aż zwierzę oddali się na bezpieczną odległość i pobiegł przez grząskie pola z powrotem do domu Wyatta. Był ranny w rękę, krwawił; bestia poharatała mu skórę, niszcząc tatuaż z czarnym orłem na wewnętrznej stronie przedramienia. Tatuaż był pamiątką po inicjacji w Klubie Zoologów. *Der Adler*, orzeł. Teraz czarne ptaszysko wyglądało, jakby ktoś pochlastał je szpadą: poszatkował skrzydła i przejechał ostrzem po piersi. Trudno. Na szczęście pozostały mu jeszcze inne tatuaże, strategicznie porozmieszczane na mniej eksponowanych częściach ciała.

W domu Adler pośpiesznie przemył i opatrzył ranę, a potem zamknął się w swojej sypialni i powrócił do monitoringu zwierza. Bestia tkwiła niemal w miejscu, więc w międzyczasie studiował mapę i zapoznawał się z topografią okolicy. Tego rodzaju wiedza była kluczowa u tropiciela. Sporo terenu zdążył już poznać podczas swoich dotychczasowych ekspedycji, ale większość wciąż była dla niego niczym więcej jak wielką, zieloną plamą. Pobawił się trochę mapką w aplikacji do monitoringu: wyznaczył próbnie granicę najbliższych okolic Pelham i włączył opcję powiadomienia, kiedy tylko zwierz przekroczy tę granicę. Oczywiście, trzeba będzie wymyślić plan działania: co robić, kiedy włączy się alarm? Będzie musiał pogadać o ewentualnej obławie z paroma lokalnymi myśliwymi.

Alarm włączył się o świcie. Zwierzę opuściło lokalne żerowiska i wyruszyło na północ. Wyrwany z głębokiego snu, Adler zagapił się nieprzytomnie w ekran, próbując zrozumieć,

co ma oznaczać ten mały, neonowy punkcik śmigający w górę mapy. Kiedy wreszcie to pojawił, ziewnął szeroko, przeraźliwie i padł z powrotem na białe poduchy. Tego dnia i tak nie miał czasu śledzić poczynąń zwierza, bo była to niedziela – dzień festiwalu Ye Olde Axe.

Po festiwalu, stosunki Adlera z Wyattem uległy oziębieniu. Sam Adler nie miał nic do staruszka, jednak sir George wyraźnie o coś się gniewał. Chodziło zapewne o tę bójkę z Ruskim. A może po prostu o całokształt.

Adler obiecał sobie, że się poprawi i skupi wyłącznie na powierzonej mu misji. Sir George oczekiwał pomocy w wyjaśnieniu zagadkowych spraw, które zakłócały sielankę mieszkańców miasteczka. Według relacji Wyatta, wszystko zaczęło się od wydarzeń na Wzgórzu świętej Anny. Należało zatem wrócić na Wzgórze.

Tymczasem, również w niedzielę, okazało się, że tropiony zwierz jest zdolny do pokonywania tras wybitnie długodystansowych. Wieczorem Adler prześledził jego ruchy z całego dnia i ze zdumieniem odkrył, że zwierzę wylądowało daleko poza granicami hrabstwa, niemal pod Londynem! Czy to oznaczało, że już nie powróci więcej do Pelham? Że jest po sprawie – bo pobyt krwiożerczej watahy w okolicy był tylko chwilowy, masakra na farmie była jednorazowym zajściem, a Sturridge po prostu miał pecha, gdyż padło akurat na jego bydło?

W głębi duszy Adler nie chciał, by tak właśnie było: by zwierz znalazł się poza jego zasięgiem. Chciał dopaść bestię, lecz niestety nie mógł sobie pozwolić, by ganiać za nią po całej Anglii.

Może powinien powiadomić i wtajemniczyć w sprawę jakichś

znajomych zoologów z Londynu? Najlepsi byłiby studenci, bo tylko oni mają czas i entuzjazm, by ścigać tajemnicze stwory po podmiejskich lasach. Z drugiej strony, Adler znał też jednego dobrego filmowca, który z chęcią podjąłby się takiej misji. Facet specjalizował się w filmach przyrodniczych i nie dalej jak w zeszłym roku wypuścił produkcję z pogranicza dokumentu i horroru o dzikich psach siejących postrach w południowych dzielnicach Londynu. Film był naprawdę mocny, napakowany efektami, jakich nie powstydziliby się w Hollywood. Szkoda tylko, że wkrótce po premierze okazało się, że dzikie bestie zbiegły z prywatnej posesji pewnego londyńskiego rapera. Raper był cały szczęśliwy, że jego pociechy wróciły do domu i nawet zadedykował im parę swoich hiciorów: „Beasts In Da Dark” i „Outta Control”.

Adler wstrzymał się póki co z alarmowaniem londyńskich znajomych i okazało się, że podjął słuszną decyzję. Jeszcze tej samej nocy zwierz powrócił bowiem na południe. Wciąż jednak był bardzo daleko od Pelham, gdzieś w środku zielonej dziczy, z dala od dróg.

Nad ranem Adler miał dylemat: czy jechać za zwierzem, w ciemno, bez planu obławy, czy też po raz kolejny wybrać się na Wzgórze w nadziei, że tym razem znajdzie jakiś trop, który przybliży go do rozwiązania zagadki. Posiekane wiewiórki były intrygującym znaleziskiem, lecz chyba nie miały zbyt wiele wspólnego z chmarą mięsożernych saren, na których obecność uskarżał się sir George. Wiewiórki mogło natomiast coś łączyć z tak zwanym „potworem z Pelham”. Adler miał na ten temat swoją teorię. Może dziś uda mu się ją potwierdzić?

Sprawnie przygotował niezbędny ekwipunek. Odruchowo powrzucał do plecaka takie drobiazgi jak stary, dobry nóż,

telefon z nawigacją, porządne, laminowane mapy, czołówkę, lornetkę, parę opatrunków i termos. Zabierał też dryling – nigdy nie wiadomo, co wychynie z kniei. Kiedy jednak przyszło do ubierania, okazało się, że ma poważny kłopot.

Po ostatnich przygodach, wszystkie jego tutejsze ubrania wyglądały jak strzępy, wytarżane w krwi i błocie. No, może wyjątkiem były spodnie. Te nosiły ślady krwi i błota aż po pas, ale były w jednym kawałku. Porządna firma. Nie dość, że nieprzemakalne, to jeszcze niezniszczalne. No nic, trzeba będzie się wystroić w jakiś szalowy ciuch z lokalnego sklepu dla myśliwych i rybaków. Na High Street widział magazyny „Fishing & Hunting”. Ale na takie rozrywki przyjdzie czas później, po powrocie ze Wzgórza. Przed wyprawą i tak się nie opłaca nie wiadomo jak upiększać.

W przedpokoju na dole rozbrzmiały jakieś głosy. To pewnie sir George wychodził z Majellą, by odwieźć dziewczynę do szkoły.

Adler poczekał, aż wyjdą, by uniknąć konfrontacji z Wyattem. Dżentelmen był zawsze taki wymuskany: lakierki, jedwabna mucha i tak dalej. Trochę głupio byłoby się z nim zetrzeć, samemu będąc w łachach. I to jeszcze w obecności kobiety, nawet jeśli nieletniej.

Wyszedł przed dom. Na dworze było dosyć ciepło, bezwietrznie, mgliście. W powietrzu czuło się wilgoć, na trawie w ogrodzie i na drewnianym płotku skrzyły się kropelki rosy. Adler wiedział, co to oznacza: na polach będzie masa błota.

Zapakował się do pickupa i wystartował w stronę High Street. Tym razem chciał wejść na Wzgórze świętej Anny od północnego zachodu. Planował przejechać całą główną ulicę miasteczka i zostawić samochód gdzieś na skraju zamkowych

mokradęł.

Ten prosty z pozoru plan okazał się sporym wyzwaniem. Był poniedziałek, dziewiąta rano i na High Street panował paraliż wcale nie gorszy od tych, jakie uprzykrzają życie mieszkańcom dużych miast. Na całej długości drogę blokowały wielkie ciężarówki dostawcze, z których wyładowywano towar do licznych sklepików: świeżo zarżnięte prosiaki do rzeźnika, graty po lokalnych arystokratkach do sklepu z antykami, tony używanej odzieży do sklepów organizacji dobroczynnych. W korku zbiły się auta spóźnialskich odwożących dzieci do szkół, a także terenówki psiarzy, transportujących swoje pupile gdzieś w okoliczne pola oraz wszelkiej maści wehikuly rolnicze, szerokie na całą jezdnię.

Adler wyjechał z zaułka Sheep Lane i – może trochę nazbyt porywczo – wbił się w korek. Nie miał sympatycznych sąsiadów: za nim stała potężna ładowarka, która bez problemu mogła zgarnąć zuchwałego pickupa na chwytak; przed nim wypinała swój kwadratowy zad wojskowa ciężarówka. Ciężarówka wydała się Adlerowi do złudzenia podobna do tej, którą widział wczoraj na parkingu w Arundel. Może dlatego, że ta tutaj też miała militarne barwy?

Uchylił szybę i z westchnieniem zawiesił tępy wzrok na ciężarówce. Rozkraczona, tkwiła w miejscu i ani myślała się ruszyć. Oczywiście, sam wpakował się w tę sytuację, nie musiał przecież brać dziś auta. Na szczyt Wzgórza z St Ann's Close nie szło się dłużej jak czterdzieści parę minut. Zresztą i tak nie wjedzie tam przecież pickupem. Nie o to chodziło. Chodziło o to, że... to był fajny samochód. Poza tym, GPS w każdej chwili mógł pokazać, że tropiona bestia podchodzi w okolice Pelham. Adler musiał być przygotowany na taką

ewentualność. Musiał być gotów do szybkiego działania. Kiedy znajdzie potrzeba, wskoczy do wozu i popędzi w ślad za zwierzem.

Ziewnął i wyjrzał przez szybę. Uniósł leniwie brew i przyglądał się, jak stary rzeźnik w pasiastym fartuchu wita kolejne wieprzowe tusze, wynurzające się z czeluści dostawczego vana. Rzeźnik rozchyłał szeroko ramiona, jakby chciał brać każdego wieprza w objęcia. Adler patrzył, jak tusze znikają pod pasiastą markizą witryny sklepowej. Na szybie pod markizą wymalowano dumnie napis: „Campbell & Son – Traditional Quality Butchers”.

Z letargu wybił go nieznośny ryk klaksonów. Kilku kierowców gdzieś na przedzie chyba straciło cierpliwość. Trąbił także kierowca wojskowej ciężarówki. Coś drgnęło i sznur samochodów wreszcie ruszył. Sunęli powoli i Adler zobaczył kątem oka, jak grupki przechodniów przystają na chodniku i z ciekawością przyglądają się kolumnie samochodów, pokazując sobie coś i komentując z ożywieniem. Co mogło ich tak zainteresować? Na pickupa nawet nie spojrzeli. Ludzie to mają parszywe gusta.

Dopiero gdy auta ponownie się zatrzymały i każde po kolei zaczęło wymijać jakąś zawalidrogę pod sklepem wielobranżowym, Adler zorientował się, że jedzie bezpośrednio za konwojem wojskowym. No, może nie dosłownie – nie były to bowiem brytyjskie czołgi czy transportery. Pojazdy miały jednak barwy militarne.

Była to grupa masywnych ciężarówek z załadunkiem osłoniętym plandeką lub blachą. Wielkie, ociężałe i egzotyczne, toczyły się po głównej ulicy miasteczka, wzbudzając niemałą sensację.

„Ciekawe, dokąd jadą”, pomyślał mimowolnie Adler. „I co tam przewożą w tych kontenerach?...”

Przypomniał sobie słowa Wyatta: o tym, że przed laty na terenie Zamku w Pelham mieściły się magazyny wojskowe. No tak, ale to były dawne dzieje. Teraz na Zamku jest nowy właściciel, Bazin. Kimkolwiek jest ten człowiek i czymkolwiek się zajmuje, na pewno nie bawiłby się w reaktywację brytyjskiej bazy wojskowej.

Zaintrygowany, Adler nie odbił na prawo przy wyjeździe z miasteczka, jak uprzednio planował, lecz potoczył się dalej za ciężarówkami – prosto na Plumpton.

Plumpton było mniejsze od Pelham i miało bardziej jednolitą zabudowę. W zasadzie był to bardziej przysiółek lub wieś niż pełnoprawne miasteczko. Adler był tu tylko przejazdem i zapamiętał głównie imponujący salon Rolls-Royce’a na wjeździe do osady oraz płataninę ciasnych, asfaltowych drózek, obrzeżonych z obu stron wysokim murem z kamienia. Za murem chowały się oblepione gęstym bluszczem rezydencje.

Konwój wjechał do Plumpton i przyblokował drogę: ciężarówki jedna za drugą usiłowały wcisnąć się w zaułek, który odbijał z głównej drogi w głąb przysiółka, na wschód. Adler obserwował z podziwem, jak po efektownych manewrach kolejne ciężarówki wpychają się w końcu w ciasną uliczkę i znikają za murem. Wreszcie zniknął ostatni wóz i przyszła kolej na niego. Podjechał do wylotu zaułka i stwierdził, że ma przed sobą jedną z największych ulic Wielkiej Brytanii. Gdyby nie widział popisów ciężarówek, nie przyszłoby mu nawet do głowy, że to pełnoprawna droga. Prędzej, na przykład, ścieżka rowerowa.

Skręcił ostro kierownicą i wjechał za konwojem. Sunęli teraz klaustrofobicznym korytarzem, którego ściany tworzył masywny mur z ogromnych, kamiennych brył. Zaprawę pomiędzy bryłami zagęszczono kanciastymi płytkami krzemienia. Rolę sufitu pełnił gąszcz wybujałych koron drzew, wychylających się z ogrodów rezydencji za murem. Adler z niedowierzaniem kręcił głową. Przed czym tak się grodzili ci ludzie? Ich domy przypominały twierdze.

W zaułku było tak ciemno, że Adler musiał włączyć światła. Jechał powoli, dopasowując prędkość do tempa konwoju. Mur urwał się nagle i Adler poczuł charakterystyczny odór znad grzędzawisk. Wyjeżdżali z Plumpton. A to oznaczało, że...

„Wygląda na to, że ten konwój jedzie jednak na Zamek”, pomyślał Adler. „Nic innego tam nie ma, na tych mokradłach.”

Naraz ciężarówka jadąca bezpośrednio przed nim zatrzymała się. Adler zahamował i czekał, co będzie dalej. Przez chwilę nie działo się nic, po czym nagle ciężarówka zaczęła się cofać.

Adler zaklął i strąbił kierowcę. Czy ten człowiek upadł na głowę?! Co on zamierzał?! Wziął pickupa za wrogi obiekt i chciał go staranować?...

Tymczasem kierowca ciężarówki zaczął beznamiętnie wykręcać, żłobiąc w ziemi potężne łuki masywnymi kołami. Adler cofnął się gwałtownie parę jardów. Przystanął i z niedowierzaniem obserwował poczynania ciężarówki. Serce biło mu szybko, zacisnął ręce na kierownicy, zawiesił nogę nad pedałem gazu.

Ciężarówka stanęła w poprzek jezdni i jej silnik zgasł.

Adler wpatrywał się w nią z napięciem, spod ściągniętych brwi. Jego uwagę przykuła pięcioramienna, czerwona gwiazda,

którą ktoś wysmarował na ciemnozielonym kontenerze. Poważnie? Czerwona gwiazda?... To chyba jakiś żart.

Z małej szybki w kabinie ciężarówki popłynęła siwa smużka dymu papierosowego. Wyglądało na to, że kierowca ani myślał ruszyć się z miejsca. Zapowiadał się dłuższy postój.

I wtedy Adler zrozumiał, że celowo zagrodzono mu drogę. Nie chcieli, żeby śledził trasę konwoju. Ale przecież trasa była oczywista – konwój musiał jechać na Zamek!

Zerknął na ekran nawigacji – nie miał żadnego pretekstu, by wbijać się na bezludne pola. Nie mógł nawet strąbić ciężarówki. Nie zadziera się z bojowym wozem.

Nie miał innego wyboru, jak tylko wycofać się z powrotem ciemnym korytarzem.

Wiedział, że z północnego stoku Wzgórza będzie miał widok na Zamek. Zeszłej niedzieli oglądał stamtąd przez lornetkę jego mury. Dzisiaj jednak było mgliście i kiedy wspinał się po błotnistym zboczu, nie widział nawet konturów zamczyska.

Westchnął z rozczarowaniem i odwrócił wzrok od rozmytego w szarej mgle pejzażu. Nie udało mu się potwierdzić, czy ciężarówki jechały do Bazina. Zastanawiał się, co mogły przewozić. Antyki? Broń?...

Kim w ogóle był Bazin? Dlaczego kupił zrujnowaną twierdzę na mokradłach?

Tak rozmyślając, Adler brnął grząską, zarośniętą ścieżyną, prowadzącą skrajem lasu na szczyt Wzgórza. Od moczarów ciągnął ziąb. Jak ci ludzie z Zamku wytrzymują w tej wiecznej wilgoci i chłodzie? No i jeszcze ten fetor z nad bagien...

Ścieżka była opustoszała. W błocie nie odcisnął się ani jeden ślad buta, ani jeden trop psa. Wyglądało na to, że nikt dawno tędy nie wędrował. To dziwne, bo takie miejsca były

zwykle popularne wśród spacerowiczów z psami.

Czyżby była to wina „potwora z Pelham”? Ludzie się spłoszyli, nikt nie chciał łązić po górze, na której żyły takie stwory...

Od czasu publikacji sensacyjnego artykułu o potworze, pod tekstem w Pelham Online pojawiły się setki komentarzy, każdy kolejny głębszy od poprzedniego. Ludzie prześcigali się w spekulacjach, usiłując zidentyfikować stwora; lokalni radni podkreślali konieczność gruntownego zbadania sprawy; matki nawoływały, by chronić dzieci przed potworami; panikarze twierdzili, że takich bestii może być więcej. Na stronie tymczasem dyskretnie przybywało reklam: a to ubezpieczenia zwierząt domowych i gospodarskich, a to sklep z bronią myśliwską czy producent gazów pieprzowych...

Nikt nie wiedział, co się stało ze zwłokami potwora, tak dokładnie udokumentowanymi na zdjęciach pod artykułem. Nikt nie potrafił też ustalić z całą pewnością tożsamości tajemniczego pana J., człowieka, który znalazł zwłoki. Naturalnie, było tu wiele teorii. Mógł to być na przykład Jim Beaman z Domu Pod Zegarem. Jim miał psa, a nawet trzy i często spacerował z nimi w okolicach Wzgórza. Równie możliwe, że był to John Hymen albo Jeremy Ricketts. Ich także widywano na Wzgórzu z psami. To samo można było powiedzieć o synach starego Williamsa, którzy nosili imiona Joe i Jim. Problem w tym, że żaden z wytypowanych mężczyzn nie przyznawał się do sensacyjnego znaleziska. Jednego wieczora w King's Head, pijany Dave Potts obwieścił, że to on dokonał odkrycia. Nie podał prawdziwego nazwiska do gazety z obawy „o własne bezpieczeństwo”. Potts twierdził, że tak naprawdę potwory były cztery – pozostałe trzy zbiegły

na jego widok. Nie potrafił jednak powiedzieć, kto był autorem zdjęć zwłok. Nikt nie kupił jego historii.

Adler chętnie by obejrzał truchło zagadkowego stwora, lecz wątpił, by jeszcze zalegało gdzieś w rowie u podnóży Wzgórza. Oględziny nie były konieczne, chciał się jedynie upewnić, czy jego własna teoria była słuszna. Długo przyglądał się zdjęciom i im wnikliwiej analizował anatomię zdechłego zwierza, coraz bardziej był przekonany, że nie było w nim nic a nic z potwora.

Adler uważał, że to po prostu był pies.

Odbił w las i ruszył ścieżką, która miała doprowadzić go do polany ze starymi cisami. Wyciągnął telefon i idąc, raz jeszcze przeglądał fotografie „potwora”.

Biedny pies zapewne się utopił. Jego zwłoki musiały przeleżeć trochę w wodzie, zanim znaleziono je w dole strumienia. Dlatego sierść odeszła, a ciało było spuchnięte. Tkanki na pysku uległy dekompozycji, stąd był on kościsty, straszyl obnażonym uzębieniem. No i ten dziób. Groteskowy dziób, który najbardziej poruszył czytelników Pelham Online. No bo skąd dziób u poczwary, która ma cztery łapy?... No cóż, to po prostu nie był żaden dziób. To były obnażone kości: nosowa, siekaczowa. Pies przypominał potwora, gdyż jego zwłoki znajdowały się w stanie częściowego rozkładu. Miękkie tkanki na pysku rozpadły się, odsłaniając kości, zaś tułów był spuchnięty, wciąż pokryty sinoczerwoną skórą. Gdzeniegdzie nawet zachowały się resztki kudłów.

Adler nie potrafił określić rasy psa, ale był niemal pewien, że poprawnie zidentyfikował gatunek. Pozostawało pytanie, czy zwierzę utopiło się samo, w jakimś podstępnyim strumieniu lub zalanyim rowie, czy też ktoś wrzucił truchło do

wody?

Naraz przerwał swoje rozważania i uniósł czujnie głowę. Usłyszał właśnie subtelny stukot, dobiegający z pobliskich drzew. Stukot nasilał się: to czyjeś kopyta uderzały o błotnisty trakt. Adler przystanął. Zaszleściły liście, trzasnęły gałązki i z zarośli wychynał jeździec na koniu. Adler nie zdążył mu się przyjrzeć, gdyż jeździec od razu skręcił w przeciwną stronę, nie spojrzawszy nawet na chłopaka. Musiał dobrze znać ten las i tutejsze ścieżki.

Adler zerknął przez lornetkę i teraz jak na dłoni zobaczył wypukły zad konia i kształtne plecy jeźdźca. A także nogi opięte różowymi bryczesami.

To była kobieta. Spod toczka na jej głowie spływał lśniący, czarny warkocz. Zapleciony na bok, warkocz odślaniał ciemną szyję.

Ailith...?

W pierwszym odruchu, Adler chciał ją zawołać, ale szybko się rozmyślił. Zdał sobie nagle sprawę, że Ailith jest pierwszą i jedyną osobą, jaką spotkał dotychczas w lesie na Wzgórzu. Za dnia w takich miejscach zwykle spacerowało sporo ludzi z psami, dziś na całej trasie było pusto: na polach, na skraju lasu, na leśnych ścieżynach. Wyglądało na to, że tylko Ailith nie bała się „potwora”. Może nie słuchała plotek? A może знаła prawdę i wiedziała skądś, że potwór to tylko pies?... Ale skąd niby miała to wiedzieć? Nie, żeby odkrycie tego faktu wymagało jakiejś tajemnej, zoologicznej wiedzy, lecz Ailith nie sprawiała wrażenia kogoś, kto dobrze orientuje się w anatomii zwierząt. Wystarczy wspomnieć nieszczęsny portret martwego Hugona, którego podobno była autorką...

Koń Ailith stapał nieśpiesznie, rozbryzgując błoto ciężkimi

kopytami. Zdawało się, że poza stukotem kopyt w lesie zamarły wszystkie inne odgłosy. Adler z ociąganiem ruszył za Ailith. Nie chciał, by go zobaczyła. Jej obecność tutaj, w tym zagadkowym lesie na Wzgórzu, wzbudzała w nim niejasne podejrzenia. Nie uszło jego uwagi, że dziewczyna bez wahania obrała ścieżkę, która prowadziła wprost do polany z cisami. Tej samej polany, na której przed tygodniem znalazł dziesiątki bezgłowych, zakrwawionych trucheł. Czy Ailith także je widziała?...

Przypomniał sobie, że sir George wspominał o upodobaniach wychowanki Love'a do spacerów po okolicznych lasach. Wyatt narzekał, że dziewczyna stale wyciąga ze sobą Majellę. Przypomniał sobie trzonek, wystający z torebki Majelli...

„Nie!”, powiedział sobie stanowczo. „Popadam w absurd.” Potrząsnął głową, jakby miało mu to pomóc w pozbyciu się niedorzecznych myśli. Zagalopował się w swoich fantazjach.

Przystanął w pół kroku, gdyż zobaczył, że koń Ailith zatrzymał się na środku ścieżki. Utkwił wzrok w nieruchomych plecach dziewczyny. Ailith odczekała chwilę, po czym powoli, niemal niezauważalnie, odwróciła głowę, by spojrzeć przez ramię. Adler był daleko, ale nie na tyle, by nie zauważyła, że ktoś stoi na ścieżce. Machnęła palcatem [\[75\]](#), koń poderwał się i pokłusował przez kałuże. W pewnym momencie odbił z grząskiego traktu i zniknął w zaroślach. Adler nie był zdziwiony, kiedy odkrył, że nie było tam żadnej ścieżki dla koni.

Ailith doskonale znała ten las.

Oczywiście, od tej pory mógłby podążać tropem końskich kopyt, lecz wątpił, by doprowadziły go do kolejnych miejsc

mordów na okolicznych zwierzętach. Morderca raczej nie zostawiałby po sobie śladów tak charakterystycznych jak końskie podkowy...

Myśl o psychopacie, który posiekał wiewiórki, odebrała mu do reszty przyjemność z wyprawy. W lesie było grząsko, mgliście, nienaturalnie duszno. Korony starych drzew przerzedziły się, na ziemi, w błocie zalegały lepkie sterty rozmokłych liści. Adler przyspieszył kroku i niebawem wyszedł na znajomą łąkę, okoloną trującymi cisami. Polanę spowijał obłok białej mgły. Mgła pełzała pośród bujnej trawy i włąziła do ogromnych dziupli w rozwidlonych pniach cisów. Przemieszczała się bezszelestnie. Wszędzie wokół panowała absolutna cisza.

Polanę przecinał długi korytarz wydeptany w bujnym ziele. Jakieś zwierzę torowało sobie tędy drogę przez wysoką trawę. Duże zwierzę. Sporo większe od wiewiórki. Cóż, to mogła być po prostu sarna. Zwykła sarna – albo taka, jaką spotkał George

Wyatt...

Podczas swojej wędrówki po Wzgórzu, Adler miał poczucie, że błądzi na granicy rzeczywistości i fantazji. Las tonął w białej mgle – może to ona nadawała wszystkiemu rys nierealności? Nie minęła godzina, odkąd ujrzał Ailith, a już miał wątpliwości, czy w ogóle ją spotkał. Być może była tylko zjawą, halucynacją, niepokojącym widziadłem.

„Cholera, jest coś magicznego w tym lesie”, przyznał.

Gdy dotarł do ruin klasztoru, opary rozwiały się nieco. Kamienne mury migotały w wilgotnym powietrzu jak zamknięte w srebrzystej bańce.

Adler obszedł zabudowania konwentu, przyglądając się

temu, co pozostało z niegdyś wspaniałej budowli. Pozostały zgliszcza, trochę romantyczne, a trochę upiorne. Dawny dom braci Augustynów brutalnie splądrowano. Zachowała się tylko nadwątlona skorupa. Większość kamienia z murów rozkradziono, pozostały jedynie popękane fundamenty, samotne kolumny wiodących donikąd portali i fragmenty ścian ze strzelistymi, łukowatymi oknami. Okienne otwory ziały pustką, ogołoczone z kolorowych witraży.

Adler przystanął na środku murawy okolonej szczerbatym murem. Dawniej w tym miejscu mieściła się jakaś ogromna sala. Może refektarz, gdzie mnisi spożywali w milczeniu swój posiłek: chleb, ser, warzywa z klasztornej ogrodu, ryby z pobliskiego potoku. A może znajdowała się tu główna nawa świątyni – zachował się fragment zwieńczonego ostrym łukiem portalu. Pomiędzy głazy w kamiennej framudze wplątał się skrawek czerwonej tkaniny. Podłużny, jaskrawy, wyglądał trochę jak smuga krwi. Nie takiej zaschniętej, lecz takiej, która wciąż jeszcze wycieka – ze szczeliny pomiędzy obrosłymi mokrym mchem głazami.

Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Dlaczego nagle na widok skrawka tkaniny poderwał się i z łomoczącym sercem przyskoczył do kamiennej framugi. To chyba było przeczucie.

Wyszarpnął materiał ze szpary i stwierdził, że była to chustka. Apaszka z czerwonego jedwabiu. A na apaszce widniały pręgi.

Ciemniejsze, brązowe. Krew?...

Znów sobie przypomniał trzonek wystający z torebki Majelli. Dziewczyna nieumiejętnie owinęła go chustką. Chustką, czerwoną apaszka... Czy to mógł być przypadek?

Oczywiście, na świecie istniały miliony czerwonych apaszek.

W samym Pelham pewnie były ich dziesiątki. Jeśli dodać Plumpton, to może uzbierałaby się i setka. Ta zakrwawiona chustka nie musiała należeć do wnuczki George'a Wyatta. Tylko że...

Tylko że tyle drobnych faktów tutaj pasowało. To, że Majella chodziła po tych lasach z Ailith Love, wbrew zakazom Wyatta. To, że w swojej pierwszej wiadomości do Adlera sir George błagał go o pomoc, gdyż tamtej nocy jego wnuczka wróciła do domu we krwi. Sir George był pewien, że doszło do jakiegoś incydentu na Wzgórzu świętej Anny. Takie były jego słowa.

Majella zachowywała się dziwnie. Adler pamiętał, jak po powrocie z narady spiskowców ujrzeli ją z Wyattem w ciemnym kącie w hallu. Pamiętał jej bladą, wylęknioną buzię i rozdartą sukienkę oraz to, że potem długo wymiotowała.

Wreszcie, czy to mógł być przypadek, skoro za każdym razem, kiedy ją widział, dziewczyna miała na sobie czerwoną apaszkę?... Miała ją na sobie tego dnia, kiedy ją poznał, w hallu St John's Cottage. Miała ją wtedy, gdy wymiotowała po powrocie od Ailith. Miała ją wczoraj, na festiwalu. To taką chustką okręciła trzonek, który wystawał z jej torebki...

Adler w roztargnieniu ścisnął tkaninę w pięści i obrzucił niewidzącym wzrokiem ruiny. Jeśli ta zakrwawiona apaszka naprawdę należała do wnuczki Wyatta... Co to mogło oznaczać? Po co Majella tu przychodziła? Co robiła w lesie na Wzgórzu?...

„Ailith”, pomyślał nagle. „Ailith będzie wiedziała. Jeżeli Majella tu była, to na pewno wyciągnęła ją Ailith.”

Niewiele wiedział o charakterze relacji, jaka łączyła Majellę

z wychowanką Love'a. Zdążył jednak zauważyć, że pewna siebie, przebojowa Ailith imponuje wnuczce Wyatta i ma na nią spory wpływ. Ailith prawdopodobnie imponowałaby każdej małolacie, lecz Majella sprawiała wrażenie osoby szczególnie podatnej. Cicha, zamknięta w sobie, lękliwa, Majella była za słabym przeciwnikiem dla Ailith. Sir George patrzył krzywym okiem na tę przyjaźń i kto wie, może miał rację.

Adler westchnął ciężko, gdyż za dużo w tym wszystkim było psychologii, a ta wykraczała poza pole jego ekspertyzy. Nie czuł się także ekspertem od kobiet – a tych nagle w całej historii pojawiło się sporo.

Wolałby, żeby było więcej bestii i potworów.

Tego dnia nie dokonał już na Wzgórzu innych spektakularnych odkryć. Zbiegł na dziko w kierunku zaparkowanego auta, nie spotkawszy po drodze żywej duszy. W drodze powrotnej zatrzymał się jeszcze przy zaułku St Ann's Close. Na końcu zaułka, tam, gdzie zaczynał się bukowy las, stał dom Keitha Wooda, ponura chata zwana „Skrzydłami Nietoperza”.

Adler zakołatał do zbutwiałych drzwi chaty.

Odpowiedziała mu cisza. Załomotał jeszcze parę razy, ale wyglądało na to, że gospodarza nie ma w domu. Adler nie zniechęcił się. Z Keithem Woodem sprawa była prosta: jeśli nie było go w domu, to zapewne siedział w King's Head albo plądrował okoliczne łowiska.

Zadzwoił do niego. Odkąd Wood sprawnie pomógł mu zaopatrzyć się w środki usypiające i przynętę dla nocnej bestii, Adler uznał, że warto mieć pod ręką numer do starego łowcy.

Teraz też chciał z nim pogadać o śledzonym zwierzu. Uznał,

że warto byłoby namówić Wooda i jeszcze paru myśliwych z Pelham do zorganizowania obławy na bestię, kiedy ta powróci na południe i znów zacznie straszyć w okolicach. Ci goście dobrze znali teren, jemu zaś zależało na pojmaniu zwierza żywcem – z odstrzałem poradziłby sobie w pojedynkę.

Okazało się, że Keith bawi na polowaniu gdzieś w Hampshire.

– Ale powiem ci, co zrobimy, synu – rzekł stary myśliwy. – Ja niebawem będę się zwijał, bo tu trochę sztywno się zrobiło. Dołączył do nas lord Mortimer i jego skostniała stara. *Game over*, synu. Ci to zawsze potrafią zabić klimat łowów. Nic tu po mnie. Wracając, planowałem wstąpić do pewnej przydrożnej gospody. „The Horse & Horse” przy A3. Jakbyś wyjechał do godziny, moglibyśmy się tam spotkać koło trzeciej. Co ty na to?

Adler przystał na propozycję Wooda. Po drodze zajrzał jeszcze do King’s Head i zgarnął paru lokalnych chłopaków, o których wiedział, że mogliby być zainteresowani udziałem w obławie.

Narada w „The Horse & Horse” zajęła im długo. O wiele dłużej niż Adler się spodziewał. Chłopak obiecał sobie, że nie będzie pić, skoro prowadzi, omawia ważne sprawy i tak dalej. Ale z Woodem tak się dało. Pili zatem i omawiali. A potem trzeźwieli, żeby mogli z czystym sumieniem sięść za kierownicą. A potem znów pili i znów trzeźwieli. Zeszło im tak do późnego wieczora.

Kiedy dotarł z powrotem do Pelham i wytoczył się z samochodu, Adler nie czuł już palącej potrzeby, by tropić zwierza koniecznie tej nocy. To mogło przecież poczekać do świtu. Zwłaszcza, że wszyscy jego potencjalni kompani i tak

nie byli teraz w kondycji, by przeprowadzić skuteczną akcję łowiecką. Postanowił zatem zdrzemnąć się parę godzin.

Nad ranem żałował, że nie zachował czujności. Okazało się bowiem, że zwierz grasował tej nocy na pastwiskach w rejonie sąsiedniego Plumpton. Alarm, ten w aplikacji do śledzenia, włączył się poprawnie, lecz Adler miał zbyt mocny sen, by go usłyszeć. Mocny sen to jeden z efektów ubocznych szlajania się po pubach.

Zły na siebie, Adler postanowił się ukarać. Karą miało być zajęcie, którego nie znosił: zakupy. Ale żeby kara była współmierna do winy i znowuż nie aż tak dotkliwa, wybrał się do sklepu myśliwskiego.

Lokalny oddział „Fishing & Hunting” mieścił się na High Street.

Był to porządny magazyn, wypełniony po brzegi konkretnym towarem: sprzętem myśliwskim, wędkarskim, survivalowym i turystycznym. W sklepie zawsze było tłoczno, bo choć większość towarów było do kupienia online, przyjemniej było wpaść osobiście, by pooglądać i porównać towar oraz wymienić uwagi z innymi pasjonatami, którzy kręcili się przy półkach. Zawsze chętni do pogadank i prezentacji byli też chłopcy z obsługi.

Nad działem dla myśliwych od lat czuwał Tim Sanson. Tim wiódł raczej prosty i poukładany żywot: połowę swego dnia spędzał w łowiskach, gdzie testował broń, drugą połowę – w sklepie, gdzie snuł się między półkami z bronią i opowiadał anegdoty z łowisk. Tim znał swój towar na pamięć, żadna broń nie miała przed nim tajemnic: kniejówki, sztucery, strzelby, rewolwery – każdą z nich testował po wielokroć na miejscowej zwierzynie. Sanson potrafił świetnie dobrać

amunicję i optykę, znał się też na broni białej, choć do noży nie pałał taką pasją jak do broni palnej.

Adler z kolei najbardziej lubił noże.

Kiedy już zgarnął ze sklepowych wieszaków trochę porządnej, outdoorowej odzieży, nie mógł się oprzeć, by nie rzucić okiem na kolekcję ostrzy.

Adler oglądał noże z fascynacją konesera sztuki podziwiającego dzieła w galerii lub muzeum. Dla takich jak on, Tim Sanson wyeksponował całą paletę ostrzy: składane – kompaktowe i dyskretne; z głównią stałą – klasyczne i wytrzymałe; filipińskie *balisong* – idealne do popisów i sztuczek; azjatyckie karambity o zakrzywionych niczym sierp ostrzach; noże myśliwskie, noże do łowiectwa podwodnego, wojskowe, dla grzybiarzy; maczety, sztylety, scyzoryki szwajcarskie i ostrza do rzucania. Było na czym zawiesić oko.

Ale zanim wzrok Adlera padł na tą kolekcję, jego uwagę przykuł Tim Sanson i klientka, z którą właśnie rozmawiał – Ailith.

Tim, pochylony nad ladą tak mocno, że aż brzuch mu się wciskał w blat, wyjaśniał coś dziewczynie, żarliwie gestykulując. Ailith stała tyłem do Adlera, ubrana w lśniące futro i obcisłe kozaki sięgające ud.

Adler nie zdążył usłyszeć, o czym to Ailith tak dyskutowała z flejtuchowatym sprzedawcą z działu dla myśliwych, bo dziewczyna schowała właśnie coś do torebki i odwróciła się od lady bez słowa komentarza. Wyglądała na niezadowoloną. Widok Adlera zaskoczył ją, pośpiesznie to jednak ukryła. Wydeła wargi i minęła go bez słowa, demonstracyjnie łomocząc wysokimi obcasami.

Tim powiódł za nią rozbawionym wzrokiem i pokręcił głową.

A potem przeniósł spojrzenie na Adlera. W obdartych, ubłoconych ciuchach, chłopak wyglądał, jakby spędził parę tygodni na ekstremalnej wyprawie survivalowej. Tim miewał sporo tego typu klientów. Zwykle była to znudzona młodzież miejska, szukająca wrażeń na prowincji. Ten tutaj przylazł gapić się na noże, a pewno wie o nich tyle, co nic. Co by takiemu polecić?

Tim podrapał się po łysiejącej głowie. Gest ten w jakiś magiczny sposób zawsze pomagał mu w myśleniu. Teraz też – od razu wpadł na świetny pomysł.

Wygramolił się zza lady, podszedł do Adlera i poklepał go poufale po łopatkach.

– Szukamy fajnego noża, co? – zagaikł przyjaźnie. – Mam tu dla ciebie coś specjalnego, synu.

Tim otworzył szklaną gablotę i wydobył z niej efektowny nóż z czarnej stali nierdzewnej.

– „Rambo” oglądałeś? – spytał.

Adler skinął głową.

– „Rambo II”?

– Też.

– Doskonale! – stwierdził Sanson z aprobatą. – Bo to właśnie – tu potrząsnął czarnym nożem – jest nóż samego Johna Rambo! Nie wierzysz mi, to patrz: jest nawet podpisany! – dumnie przejechał paluchem po głównej, na której istotnie widniał nadrukowany białymi literkami autograf.

Adler wziął od niego nóż i poddał go pobieżnym oględzinom.

– Wygląda na porządny kawałek stali – przyznał.

– W rzeczy samej. Stal nierdzewna, powleczona

piaskowanym tytanem. Świetnie wykończony! Ostrze, jak widzisz, ma optymalną długość: lekko ponad sześć cali. To więcej niż przeciętny nóż turystyczny.

– A jednocześnie trochę mniej niż porządna maczeta.

– Po co ci maczeta, synu! Gwarantuję ci, że kumple będą ci zazdrościć tej zabawki – roześmiał się serdecznie Tim. – W komplecie jest skórzany pokrowiec – dodał nęcąco.

– Takiego noża to aż się nie chce chować do pokrowca! – wtrącił nagle jakiś mężczyzna w kurtce moro. – Witaj, Tim.

– Cześć, Dave. – Panowie uścisnęli sobie dłonie. Tim wskazał na Adlera i wyjaśnił: – Pokazuję właśnie chłopakowi co ciekawsze zabawki. Tutaj mamy nóż Rambo.

Dave pokiwał głową. Przesunął palcem po klindze i pouczył Adlera:

– Najważniejsze, żeby nóż miał stałą głownię. Takie są bardziej wytrzymałe. No i nie otworzą się znienacka w kieszeni.

– Noże składane też są dla ludzi, tyle że trzeba wiedzieć, jak się z nimi obchodzić – dorzucił Tim. – Ważna jest odpowiednia konserwacja. Ludzie często nie pamiętają, żeby na bieżąco czyścić blokadę. Choćby dzisiaj – Tim zniżył głos i pochylił się w stronę słuchaczy – przychodzi do mnie ta czarna panna, wiecie, córka

tego bankiera z Londynu...

– Nicka Love'a? – upewnił się Dave.

– Tego właśnie. No więc dziewczyna przychodzi do mnie, kładzie mi na ladę nóż i mówi: „Ratuj!”. Patrzę: nóż składany, zapaskudzony rozmaitymi brudami, ostrze stępione. Na czym go tak stępiała? Może nieumiejętnie ostrzony? Mówię do niej: „Mogę spróbować odratować ostrze. Ale coś ty z nim

wyczyniała? Nóż jest w stanie tragicznym!”. Nic nie chciała powiedzieć. Mówi tylko: „Kupiłam go wczoraj na targu w Arundel”. Ja sobie myślę, dopiero co kupiła i przez noc zdążyła go wykończyć na amen! Słyszeliście kiedy podobną historię? – Tim z niedowierzaniem kręcił głową. – No to zaczynam reanimację. Najpierw biorę się za czyszczenie i co my tu mamy? Krew i włosy! Pozlepiane, zaschnięte.

– Nie gadaj! – ożywił się Dave. – Krew i włosy? Ludzkie włosy?...

– Ja tam nie wiem, czy ludzkie. Może to i sierść była.

Dave spojrział na Tima z powątpiewaniem. Czy aby na pewno sierść?...

– Raczej sierść, bo to sklep myśliwski, a nie komisariat policji – zauważył Adler.

– Nigdy nie wiesz – rzucił oględnie Dave i pokiwał ostrzegawczo palcem. – Nigdy nie wiesz. Ja o tej dziewczynie różne rzeczy słyszałem. Rozkapryszone dziecko milionera. A wiadomo, co takim w głowach siedzi?

Wszyscy trzej, nie wiedzieć czemu, spojrzeli na nóż Rambo.

– Moja Kim – dodał Dave – mówiła mi, że córka Love’a urządza w najbliższy weekend w Pelham jakaś zamkniętą imprezę. Halloween party. Pojeżdżają się bogate dzieciaki z Londynu.

Możecie sobie wyobrazić, co tu się będzie działo...

– Sex, drugs and rock’n’roll – mruknął ponuro Tim. – Chyba że coś pominąłem, synu? – zapytał Adlera.

– Czy ja wiem, może dirty dancing? Nie jestem wtajemniczony, nie ma mnie na liście gości – odparł wymijająco Adler.

- Mojej córce też nie ma - burknął Dave. - Ale ona się uparła, że musi iść na tą imprezę! Tato, mówi, ta impreza to będzie najlepsza rzecz, jaka przydarzyła się Pelham od czasów, kiedy balowała tu pijana Lady Di. A ja na to, że skoro to będzie impreza zamknięta, Pelham nijak na tym nie skorzysta!

- No tak, dzieciaki zamkną się w ogródku Love'a - mruknął Tim.

- Żeby to! - huknął Dave. - Impreza ma się odbyć w ruinach na Wzgórzu!

- Co ty mówisz? - ożywił się Tim. - Szaleństwo w ciemnym lesie? Może i mnie udałoby się wkręcić?

- Na pewno będzie wielu nieproszonych gości - odparł poważnie Dave. - No bo jak upilnujesz młodzież w lesie? Moja córka wywiedziała się skądś, że goście mają być w przebraniach i maskach. Spryciula, już sobie kupiła cały kostium.

- Ha! - rzekł na to Tim i spojrzał na Adlera. - Może ty też, synu, chciałbyś poszukać sobie kostiumu? W głębi sali mamy kolekcję mieczy ze znanych filmów fantasy.

Adler z roztargnieniem obracał w dłoni nóż Rambo.

W jego głowie kołatała tylko jedna myśl: Ailith organizuje imprezę na Wzgórzu. Na Wzgórzu! W lesie... To musiała być ta impreza, o której kiedyś wspominała Majella. „Może też przyjdiesz?”, pytała. Przyjdzie, właśnie tak postanowił. Przyjdzie incognito, bo po tym, jak zabił kocura Ailith, nie miał co liczyć na oficjalne zaproszenie. Ale nie pójdzie tam po to, by się bawić z „bogатыmi dziećmi z Londynu”. Pójdzie tam, bo musi odkryć tajemnicę Wzgórza świętej Anny. Podejrzewał, że to wszystko może się łączyć: truchła na

polanie, zakrwawiona chustka, nóż – cały w sierści i krwi, „potwór z Pelham”, dziwne zachowanie Majelli i Ailith... Pomysł z kostiumem nie był głupi.

Trzeba sobie znaleźć jakieś fajne wdzianko. Na głowę – najlepiej kominiarka lub maska militarna. W takim „Fishing & Hunting” znajdą się może akcesoria do gier terenowych, paintballu czy ASG. Na dół – starczą jego zwykłe, czarne ciuchy sportowe. Będą wystarczająco egzotyczne dla londyńskich dupków. A jeśli chodzi o gustowne dodatki... Miecz z filmu fantasy odpada... Pewnie stanie na nożu. Czarne ostrze Johna Rambo wyglądało kusząco, ale czy nie lepszym partnerem na taką imprezę będzie stary, ulubiony nóż?

Stary nóż to kawałek historii. Waszej wspólnej historii. Nowy nóż to wielka niewiadoma. W krytycznej sytuacji może się okazać twoim przyjacielem, ale nie zdziw się, jeśli schrzani robotę.

Są takie misje, na które zabiera się tylko sprawdzonych kompanów. Adler czuł, że za tydzień w Halloween czeka go właśnie tego typu misja.

NOCNA HIENA

W tej grze nietrudno będzie o fałszywy ruch.

Keith Wood

– STARY, JA ŚWIRUJĘ. Jestem tu taki samotny!! – jęknął dramatycznie Rory.

Adler przyjrzał się uważnie swojemu przyjacielowi. Rory

mieścił się idealnie w kadrze ekranu: rozwalony na czarnej sofie, z długimi, niechlujnymi włosami, rozsznurowanymi trampkami i butelką Irn-Bru [76] w dłoni wyglądał tak samo jak zawsze. Flejtuchowato, swojsko.

Rory wycelował palcem w środek ekranu.

– Jak nie wrócisz do końca tygodnia, szukam nowego współlokatora! – zagroził. – A najchętniej, współlokatorki – dodał niezobowiązująco.

– Powodzenia. Z tą współlokatorką.

– Co? – obruszył się Rory. – Wątpisz w mój seksapil?

– W twój nie, ale jak już zaprosisz jakąś dziewczynę do naszego domu, lepiej zamknij Rossa w jakimś schowku.

– Ach, Ross – westchnął Rory. – No, na niego nic nie poradzimy...

– Raczej nie. Taki się urodził i co zrobisz. Pechowa mieszanka genów.

– Ty sobie nie kpij, Forbes. Ja mówię poważnie, stary. Z tym współlokatorem. Ty nie masz pojęcia, co to jest samotność w wielkim mieście. Prawdziwa katastrofa!

– Stary, Edynburg to nie Nowy Jork. Poza tym chyba wracam w przyszłym tygodniu.

– W przyszłym tygodniu?! Dlaczego nie w tym? – Mam tu jeszcze parę niedokończonych spraw.

– Stary, co ty właściwie robisz w tej Anglii? – zapytał po raz nie wiadomo który Rory. – Czy tam naprawdę jest tak zajebiście, że człowiekowi odechciewa się wracać na Północ?

– Człowiek chętnie by już wrócił na Północ. Ale jeszcze nie może.

– A zajęcia? – zdumiał się Rory. A potem przypomniał sobie

coś ważniejszego: – A Halloween? Stary, to już w ten weekend! Idziemy na Royal Mile, na gaelicki Festiwal Ognia, a potem jest impreza w podziemiach Starego Miasta!

– Brzmi super – przyznał Adler.

Jego własne plany na Halloween były trochę bardziej pokątne. Zamierzał wprosić się na zamkniętą imprezę organizowaną przez Ailith. Nie obchodziło go, że nie był zaproszony. Miał ważny powód, dla którego musiał być tam obecny.

– Stary, a co ci się stało w twarz? – zainteresował się nagle Rory. – I w resztę ciała. Już nie jesteś taki śliczny, jak cię pamiętałem.

– Dopadli mnie angielscy faszyści.

Rory wybałuszył oczy.

– Nie! – zawołał, zbulwersowany. – Serio?!

– Nie – musiał przyznać Adler. – Zahaczyłem o coś. W lesie – wyjaśnił mętnie. A na widok sceptycznej miny Rory'ego, dodał: – O parę zwierząt.

– Zahaczyłeś w lesie o parę zwierząt – powtórzył wolno Rory. Łyknął z namysłem Irn-Bru, nie spuszczając podejrzliwego wzroku z przyjaciela. – Stary, a co z tym wiewiórem z Ice Age? – zapytał zniecierpliwiony. – Pamiętasz, wysłałeś mi zdjęcia takiego dziwnego gryzonia, pytałeś, co to może być i tak dalej.

– Tak – odparł Adler. – Wciąż nie mam pewności, co to było za zwierzę. Ale doktor Lahm ma ciekawą sugestię.

Doktor Sebastian Lahm był specjalistą od ewolucji wczesnych ssaków i obecnie przebywał na badaniach w terenie w Ameryce Południowej. Znalazł jednak czas, by pobieżnie przyjrzeć się zagadce Adlera. Chłopak był jednym

z jego najlepszych studentów, więc raczej nie zawracałby mu głowy głupotami.

Odpowiedź od doktora Lahma przyszła na początku tygodnia, dzień po festiwalu Ye Olde Axe.

– Lahm uważa, że przypadek wiewióra jest intrygujący – rzekł Adler do Rory’ego. – Jego zdaniem, uzębienie i szczęki tego zwierzęcia są charakterystyczne dla mezozoicznych ssaków. Niektóre z nich żyły także jeszcze we wczesnym permie.

– Zaraz, zaraz – przystopował go Rory. Odstawił butelkę i pochylił się w stronę ekranu. – Lahm sugeruje, że ten wiewiór to prehistoryczny ssak...? – zapytał z niedowierzaniem.

– Wiesz, on na razie tylko wstępnie przeanalizował czaszkę i uzębienie. Twierdzi zresztą, że są pewne minimalne różnice w budowie żuchwy i trzonowców...

– Daj spokój, stary! – przerwał przyjacielowi Rory. – Zdajesz sobie sprawę, że taki Lahm najchętniej wszystko by sprowadzał do prehistorycznych ssaków. W końcu to jego działka! Jakbym mu wysłał żuchwę owcy z farmy mojego ojca, też by się pewnie dopatrzył w niej cech charakterystycznych dla ssaków wczesnego permu...

– Czy ja wiem? – rzekł ponuro Adler. – Zdarzały się przypadki, że znajdowano żywe gatunki znane do tej pory jedynie ze skamieniałości i uważane za wymarłe. Tak zwany efekt Łazarza.

– I co, uważasz, że właśnie dokonałeś takiego odkrycia? – spytał ironicznie Rory. – Stary, daj spokój. Dostałeś swoje stypendium, weź się nim naciesz, zanim zaczniesz sięgać po Nobla z zoologii.

– Stypendium i tak mi zabiorą – odparł niechętnie Adler. – Może więc warto mieć alternatywę? – dorzucił kpiąco. Rory prychnął.

– A ty znowu swoje – rzekł znudzonym głosem. – Niby czemu mieliby ci odebrać stypendium?

– Reid się o to postara – odparł Adler. – Już mnie straszył.

– Reid cię straszył? No co ty! – roześmiał się Rory. – Stary, Reid cię ubóstwia. – Przejechał dłonią po swych długich włosach i z miną małego odkrywcy wyłuskał z nich suchego liścia. – Klon – wyjaśnił, pokazując liścia. – Byłem dziś w Ogrodzie Botanicznym.

Adler nie słuchał go, lecz myślał o Reidzie. Zaledwie dzień wcześniej otrzymał od profesora oficjalnego maila, w którym Reid domagał się uzupełnienia sprawozdań z ekspedycji do Chin. Profesor podkreślał, jak wiele zależy od jakości raportów oraz dodał, że Fundacja ma prawo wycofać swe wsparcie, jeśli nie będzie usatysfakcjonowana działalnością badawczą stypendysty.

Jako twój oficjalny promotor – pisał profesor Reid – *wciąż nie mogę się podpisać pod dokumentacją z tej wyprawy.*

„Będę musiał coś sfabrykować”, myślał Adler. Brakowało, rzecz jasna, raportów z grot i z pobytu w Chongqing. Ale ten etap swojej chińskiej przygody zamierzał zachować w tajemnicy.

Nawet kosztem utraty stypendium.

Zresztą, dużo bardziej niż utraty prestiżowego grantu, Adler obawiał się czegoś innego. Tym, co go naprawdę wystraszyło, był nie oficjalny mail profesora, lecz krótka, nieformalna notka, jaką otrzymał od niego parę godzin później.

Adler, zaniedbujesz obowiązki klubowe. Powinieneś być teraz tutaj, w Edynburgu i użerać się z zepsutym bojlerem w siedzibie Klubu. Żarty się skończyły – mamy prawie listopad. Jest tak cholernie zimno, że na dywanach robi się szron i przymarzamy do foteli. Wezwałem człowieka do naprawy, ale nie wiadomo, czy znajdzie czas w tym tygodniu. Ci goście się są teraz rozchwytywani w całym mieście. Edynburg to zagłębienie wadliwych bojlerów.

Niedobrze. Adler wiedział, że musi się zjawić w Klubie przed naprawą bojlera. A to oznaczało, że właściwie powinien się już pakować z powrotem do Szkocji.

– Śledzisz jeszcze tę zoologiczną aferę z Glen Coe? – zagaił tymczasem Rory.

– Co? Którą aferę? – spytał z roztargnieniem Adler. Śledził aktualnie tyle afer zoologicznych, że tajemniczy przypadek z Glen Coe siłą rzeczy zszedł na dalszy plan. – Aa, „Nick Fraser na tropie prawdy” – przypomniał sobie wreszcie. – Nie, dałem sobie z nim spokój. A co, Fraser dokopał się do jakiejś przełomowej sensacji?

Rory zmiażdżył butelkę po Irn-Bru.

– Właściwie trochę się zawiodłem na Nicku Fraserze – rzekł kapryśnie. – Odnoszę wrażenie, że tym razem nie dał z siebie wszystkiego, by dotrzeć do prawdy. A ta historia miała potencjał, stary. Fraser go nie wykorzystał.

– Miała być rozmowa z jakimś ekspertem z Klubu Zoologów – przypomniał ostrożnie Adler.

– Niby tak, ale ekspert się wycofał i do rozmowy nie doszło – odparł Rory.

– Może nie chciał się wygłupić przed kamerą?

- Kto? Fraser? Stary, on się cały czas wygłupia przed kamerą!

Na tym polega jego praca. Chyba już zdążył przywyknąć.

- Miałem na myśli eksperta.

- A, eksperta. No, może. Może i się spłoszył. W końcu STV to ogólnokrajowa stacja. Cały naród na ciebie patrzy, stary. Jest presja.

Adler już chciał zmienić temat, gdy Rory naraz coś sobie przypomniał.

- A wiesz? - powiedział. - Właściwie to była jedna ciekawostka, do której dokopał się Nick Fraser.

- Odnośnie Glen Coe?

- Tak. Podobno w tamtejszych okolicach jest jakaś tajemnicza farma.

- Jasne...

- Nie, poważnie. Tajemnicza farma. Spory areał. Nikt nie wie, do kogo należy ta ziemia i co tam się hoduje, ale miejscowi opowiadają jakieś dziwne historie.

- Niech zgadnę: słyszeli dziwne dźwięki i widzieli tajemnicze istoty?

- Stary, od kiedy ty jesteś sceptykiem? - obruszył się Rory.

- Nie jestem - odparł Adler - i na tym właśnie polega mój problem.

Jak się wkrótce okazało, miał również problemy mniej abstrakcyjnej natury. Rory uświadomił mu, że jego sytuacja na uczelni robi się nieciekawa: opuścił sporo praktycznych zajęć, nie będzie łatwo nadrobić zaległości, a wyrozumiałość wykładowców zwykle nie trwa dłużej niż tydzień. Ominie go też wypad naukowy do odludnej, nadmorskiej wioski na

Szetlandach. Teoretycznie celem wyjazdu było studiowanie wybranych łowisk Morza Północnego z pokładu statku rybackiego. Rory uważał jednak, że czekają ich obłądne wakacje i uparcie odpychał od siebie realistyczną wizję zimnych i ogarniętych wiecznym sztormem Szetlandów, a tułaczkę kutrem po lodowatych wodach północnego Atlantyku przyrównywał do rejsu po Hawajach.

Adler zdawał sobie sprawę ze swoich zaległości na uczelni. W minionym tygodniu poinformował wykładowców o tym, że nie będzie go na paru zajęciach. W tym tygodniu musiał już kombinować, jak ich udobruchać, a na przyszły zupełnie nie miał pomysłu. Zemszczą się na nim, to pewne. Każdy z nich chował specjalnie na takie okazje jakieś szczególnie perfidne narzędzie zemsty. A facet z genetyki miał ich cały arsenał.

Adler interesował się zagadnieniami z genetyki, ale wiedział, że zaliczenie zajęć nie będzie trywialne. Genetyka jako przedmiot sprawiała trudności wielu studentom. Cała ta aparatura w laboratorium zapowiadała dobrą zabawę, ale szybko wychodziło na jaw, że nie obejdzie się bez solidnego zakuwania.

Rozmowa z Rory'm zmobilizowała go, by przeznaczyć cały wieczór na zaległą naukę. Tego dnia w St John's Cottage było cicho i pusto. Sir George bawił w Londynie na jakiejś konferencji o historycznych budynkach. Majella pewnie była jeszcze w szkole. Nic zatem nie powinno rozpraszać go w nauce. Nic – prócz tajemniczego zwierza, którego obarczył obrożą z nadajnikiem.

Od trzech dni śledził każdy jego krok na aplikacji w swoim telefonie. Zwierz plątał się po okolicy, kreśląc raczej chaotyczne trasy, które Adler obserwował na mapie w czasie

rzeczywistym. Chłopak próbował dopatrzeć się w tych trasach jakiegoś schematu. Póki co, bez większych sukcesów. Zwierz przemierzał dziennie wiele dziesiątek mil, wybierając odludne pastwiska i role na wzgórzach South Downs. Czasem powracał w okolice Pelham i Plumpton, lecz zanim Adler zdążył wsiąść do pickupa, zwierz był już daleko, z powrotem w dziczy. Czasami – zbyt często! – sygnał GPS urywał się, psując całą zabawę. Adler zastanawiał się też, na ile wiarygodne są chaotyczne ruchy zwierzęcia. Jeżeli żyło w stadzie, czy tak samo chaotycznie przemieszczała się cała wataha? A jeśli z jakiegoś powodu zostało od stada odcięte, to wtedy całe śledztwo nie miałoby wielkiej wartości, bo koncentrowałoby się na zachowaniach odizolowanego osobnika.

Adler zauważył, że zwierz lubi powracać na noc w okolice sąsiedniego Plumpton. Wtajemniczył więc w swój plan Keitha Wooda oraz paru jego kumpli myśliwych i umówił się z nimi, że gdy tylko zarejestruje sygnał w najbliższej okolicy, da im znać i wspólnie wyruszą tropem zwierza. Wood palił się do akcji.

Od paru dni na własną rękę przetrząsał okoliczną knieję.

– Stary myśliwy nie potrzebuje satelity, żeby wyniuchać zwierzynę – twierdził. – Wystarczy mu bystre oko, dobry słuch i znajomość terenu.

To powiedziawszy, Keith ruszył w las. Adler nie śmiał zatrzymać starego łowcy, choć GPS wskazywał, iż tropione zwierzę bawi aktualnie gdzieś pomiędzy dalekim South Harting a jeszcze dalszym Buriton.

W środę po południu sytuacja przedstawiała się jednak inaczej. Już zasiadając do zaległej nauki, Adler zauważył, że zwierzę zmierza w linii prostej na Pelham. Wciąż było bardzo

daleko, lecz potwierdzał się pewien schemat: nocą zwierzę będzie żerowało w tutejszych okolicach.

Sprzęt do akcji trzymał w pogotowiu. Najważniejsze były: lornetka, dryling z lunetą i broń pneumatyczna ze środkiem usypiającym. Aparat w telefonie może i odbiegał parametrami od profesjonalnego sprzętu do fotografowania przyrody, lecz do stworzenia szybkiej dokumentacji był wystarczający.

Prędko przebrał się w spodnie przeciwdeszczowe, rzucił na łóżko broń i spakowany plecak, po czym całą siłą woli zmusił się, by przysiąc i otworzyć zadania z genetyki. Pochylił głowę nad ekranem i udawał, że studiuje krzyżówki genetyczne. Allele [77] takie i siakie... Więcej energii poświęcał nerwowemu podrygiwaniu zabłoconym butem i zerkaniu z ukosa na mały punkcik przemieszczający się w dół mapy. Punkcik był coraz bliżej Pelham. Czy już dzwonić po Wooda, czy jeszcze zaczekać...?

Coś zabręczało. Jego telefon.

– Halo? – rzucił w pośpiechu, nie sprawdzwszy nawet, kto dzwoni.

– Panie Adler, tu George Wyatt. Telefonuję z Londynu. – Głos sir George'a brzmiał wyjątkowo ponuro. – Proszę mi wierzyć, nie niepokoiłbym pana, gdyby sprawa nie była pilna...

W to akurat Adler wierzył. Sir George wciąż jeszcze nie otrząsnął się po wydarzeniach z Ye Olde Axe i był obrażony na swojego gościa.

– Co się stało? – spytał krótko.

Wyatt wziął głęboki wdech.

– Moja wnuczka... nie pojawiła się dziś w szkole. „Tylko tyle? Wagary?”, pomyślał z irytacją Adler.

– Szkoła kontaktowała się z jej rodzicami – ciągnął Wyatt. –

Czyli moją córką, wie pan. I jej mężem. Ale oni o niczym nie wiedzą. Poza tym Majella nie odwiedza ich tak często.

– Może nie miała ochoty iść dzisiaj do szkoły? – zasugerował Adler. – To się zdarza – dodał na wszelki wypadek. W końcu sir George zasiadał w szkolnej ławie w zupełnie innej epoce.

– A widział ją pan dziś w domu?

– Nie widziałem – przyznał. – Ale może po prostu zamknęła się w swoim pokoju...

– Panie Adler! – przerwał mu gorączkowo sir George. – Bardzo pana proszę, niech mi pan pomoże odnaleźć to dziecko! – „Dziecko” zabrzmiało w ustach sir George’a tak dramatycznie, że Adler tylko westchnął z rezygnacją i zgodził się pomóc.

Czym prędzej zakończył jałową rozmowę ze stroskanym dziadkiem i wybiegł na korytarz. Sypialnia Majelli mieściła się na tym samym piętrze.

Załomotał do drzwi.

– Majella! – zawołał ze zniecierpliwieniem. Dlaczego wybrała akurat ten dzień, akurat ten moment, by robić problemy?!

Zza drzwi odpowiedziała cisza.

Szarpnął za klamkę, lecz drzwi były zamknięte na klucz. Obrzucił wzrokiem sfatygowaną futrynę i niecierpliwie popukał palcami w spróchniałe, malowane drewno. Zawahał się. Dwa kopniaki i byłoby po sprawie...

– Wchodzę! – rzucił ostrzegawczo i parę razy kopnął buciorem w okolice zawiasów i klamki. Drzwi otwały się z jękiem, nadwątlone skrzydłoomal nie wypadło z framugi.

Adler przestąpił przez próg bez większych wyrzutów sumienia. Sytuacja była awaryjna. Tak ją przynajmniej widział sir George, a to był jego dom, jego drzwi i zamki.

Okazało się, że niepotrzebnie wyłamywał zamek. W pokoju nie było nikogo. Z jednej strony to dobrze, bo zwłoki w łóżku były ostatnim, czego mu teraz było potrzeba. Nie chciałby też przyłapać dziewczyny z jakimś podstarzałym playboym z wioski. Ani w ogóle z nikim innym. Z drugiej strony, jej nieobecność wszystko komplikowała. Trzeba będzie rozpocząć prawdziwe poszukiwania. Westchnął i rozejrzał się po pokoju.

Pokój Majelli zupełnie nie przypominał sypialni typowej małolaty. Było w nim coś magicznego, coś romantycznego – wyglądał jak ilustracja pięknej baśni, jak komnata czarodziejki. Centralny punkt pokoju stanowiło samotne, staroświeckie łoże z amarantowym baldachimem. Ściany pokrywała ciemnogrnatowa tkanina, wyszywana w złote słońca o ludzkich twarzach. Jedną ze ścian zdobiła mała kolekcja obrazów w ciężkich, mosiężnych ramach. Adler uniósł głowę, by przyrzeć się obrazom – a potem już nie potrafił oderwać od nich wzroku.

Były to trzy dziewiętnastowieczne malowidła, trzy tajemnicze, zaczarowane wizerunki kobiet. Każda z tych kobiet przypominała w pewien sposób Majellę.

Pierwszy obraz przedstawiał młodą wróżkę, unoszącą się nad czarną zatoką. Wróżka była naga, delikatna; w ciemnościach migotały jej srebrne skrzydła. W dłoni trzymała cienką różdżkę. Światło z różdżki rzucało bladą poświatę na morską taflę. Adler przeczytał podpis pod obrazem: *Spirit of the Night* [78].

Drugi obraz był reprodukcją znanego dzieła Johna Williama

Waterhouse'a. *The Lady of Shalott* – długowłosa dziewczyna o melancholijnym wejrzeniu, przyodziana w białą suknię i diadem, ucieka w drewnianym czólnie przed śmiertelną klątwą [79].

Trzecie malowidło nosiło egzotycznie brzmiący tytuł: *Ängsälvor*. Przedstawiało roztańczone dziewczęta w zwiewnych, przezroczystych sukniach [80]. Dziewczęta tańczyły o zachodzie słońca, na łące, która do złudzenia przypominała łąki Pelham.

Adler długo gapił się na kobiety z baśniowych płócien. Oczarowały go do tego stopnia, że zapomniał, po co wtargnął do tego magicznego pokoju. W końcu jednak otrząsnął się i uzmysłowił sobie, że to nie był czas, by kontemplować sztukę.

Szybko omiółł wzrokiem pozostałe kąty sypialni. Jego uwagę przykuła gromadka doniczek, ściśniętych na politurowanym stoliku pod oknem. Purpurowa kotara w oknie była rozchylona, zapewne po to, by za dnia na rośliny w doniczkach padał snop słonecznego światła. Adler rzucił okiem na tę małą hodowlę. Same kaktusy i zioła. Zupełnie niepowalające pod względem wizualnym. Dlaczego Majella wolała coś takiego od, dajmy na to, kwiatów róż? Co ją skłoniło, żeby pielęgnować szpetne rośliny?

Pochylił się nad stolikiem i dokładnie zlustrował każdą doniczkę. Im dłużej przyglądał się tej eksperymentalnej hodowli, tym większego nabierał przekonania co do jej przeznaczenia. Wyprostował się, jego oczy pociemniały. Nie był ekspertem od botaniki, ale z niektórymi z tych okazów spotkał się już kiedyś w rozmaitych, pokątnych okolicznościach. *Lophophora williamsii*, *Salvia divinorum*...

to brzmiało znajomo i nie kojarzyło się zbyt dobrze.

„Fantastyczna hodowla”, pomyślał z ironią. „Majelli należy się szóstka z biologii.”

Sir George się o nią zamartwia, a ona sobie pewnie teraz biega goła po lasach.

Wypuścił ze świstem powietrze i niechętnie zrewidował pokój. Nie znalazł więcej nic podejrzanego, jeśli nie liczyć pękatej czarki, z której Majella zapewne popijała swoją rytualną dawkę *ayahuaski* [\[81\]](#).

Zniechęcony, wypadł na korytarz. Żałował, że zgodził się pomóc Wyattowi.

Wrócił do swojego pokoju, sięgnął po telefon i rzucił okiem na aplikację do monitoringu zwierza. Mała ikonka na mapie przemieszczała się konsekwentnie na południe. Jeśli utrzyma ten kierunek, najdalej za pół godziny powinna przekroczyć granicę, która definiowała najbliższe okolice Pelham. Adler wyznaczył tę granicę po konsultacji z myśliwymi, którzy dobrze znali lokalny teren.

Zamknął zadania z genetyki. O nauce mógł zapomnieć. Czas szykować się do akcji.

Narzucił kurtkę i plecak, chwycił w dłoń trójlufkę [\[82\]](#) i zbiegł po schodach do wyjścia. Po drodze zadzwonił do Wooda i przekazał mu krótką wiadomość.

– Keith, zbieraj chłopaków! Hiena na żerowisku! – Było to hasło do rozpoczęcia akcji.

Wood nalegał, aby ich przedsięwzięcie nosiło wszelkie znamiona profesjonalnej operacji. Akcja otrzymała więc kryptonim „Nocna hiena” oraz hasło, będące sygnałem do zbiórki w ściśle określonym punkcie zbornym. Punktem tym był mały most na rzece Rother, który wyznaczał granicę

pomiędzy Pelham i Plumpton i skąd myśliwi mogli wygodnie wtargnąć na pola swoimi wielkimi land roverami.

Adler wskoczył do pickupa, lecz nie ruszył prosto w stronę mostu. Przedtem miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Niewdzięczną misję, na którą zupełnie nie miał w tym momencie ochoty. Nie chciał jednak po raz kolejny zawieść George'a Wyatta.

Do głowy przychodziły mu tylko dwa miejsca, w których mogła ukrywać się Majella. Postanowił sprawdzić jedno z nich, to bliższe. Drugie wiązało się z wyprawą, na którą nie miał teraz czasu.

Wystartował niecierpliwie. Skręcił ostro, z filmowym piskiem opon, w kasztanową aleję Bishop Close i po paru minutach przeciskał się już przez bramę posiadłości Love'a. Czuł narastającą złość. Pieprzone małolaty! Zwykle takie ciche, tak podstępnie spokojne, nagle wybierają najgorszy moment, by rujnować człowiekowi łowy!... Wjechał na podjazd z niepotrzebnym rozmachem i zahamował tak gwałtownie, że jakimś cudem tylko nie wystrzeliły mu w twarz poduszki powietrzne.

Wyskoczył z samochodu, trzaskając drzwiczkami. Zawahał się, po czym sięgnął po dryling, spoczywający na tylnym siedzeniu. Naładowanej broni lepiej nie zostawiać bez opieki.

Niedbałym ruchem przerzucił trójlufkę przez ramię i pobiegł w stronę głównych drzwi rezydencji. Na schodach minął dwa kamienne lwy, upamiętniające słynne, afrykańskie trofeum Samuela Carra.

Nacisnął guzik dzwonka. Za drzwiami rozbrzmiał gustowny gong.

Otworzyła mu niska kobieta z olbrzymim biustem,

potężnymi biodrami i zaawansowaną steatopygią. Ubrana była w szorty i poplamiony podkoszulek. Na szyi miała gruby naszyjnik ze złota. Wisiorek – wielki krzyż – nurkował w głębokiej kotlinie pomiędzy jej piersiami.

Wyglądała na gospodynię domową.

Na widok Adlera uniosła brwi i wzgardliwie wykrzywiła usta. Pewnie nauczyła się takich sztuczek od Ailith.

– Chcę się widzieć z Ailith! – rzucił bezceremonialnie Adler. Zmierzyła go nieprzyjemnym, rozbawionym spojrzeniem.

– Pewnie! – parsknęła. – Niejeden by chciał.

W przyływie fantazji, Adler porywczo ściągnął z ramienia strzelbę i wymachując nią, zażądał:

– Niech mnie pani natychmiast do niej zaprowadzi!

Kobieta struchlała. Przeżegnała się pośpiesznie kciukiem i rozdarła na całe gardło:

– Panienko Ailith!! Ratunku! Panienko Ailiiiith!!

Adler stropił się lekko i opuścił broń.

Po krótkiej chwili w hallu rozbrzmiał szybki stukot obcasów. Za plecami gosposi ukazała się Ailith Love w opiętej sukni z dzianiny. – Co się tutaj dzieje? – zapytała ostro.

Zanim gosposia zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Ailith ujrzała Adlera i wycelowała w niego akrylowym paznokciem.

– Nie jesteś mile widziany w tym domu – przypomniała mu.

– Panienko Ailith – wtrąciła pośpiesznie gospodyni. – On ma broń!

– W porządku, Carol – rzekła wyniośle Ailith. – Możesz wracać do swoich zajęć. Ja się nim zajmę.

Carol skwapliwie usłuchała komendy.

- Jest pani pewna? - zapytała jeszcze, cofając się w głąb hallu. - On ma broń! - powtórzyła.

Ailith niecierpliwie potrząsnęła głową. Zadzwonily ciężkie kamienie w jej kolczykach.

- Jestem pewna - odparła protekcyjnym tonem. - I wiem, że on ma broń. On zawsze ma przy sobie jakieś narzędzie do zabijania. - Uśmiechnęła się złośliwie do Adlera. - Czego chcesz? - spytała.

- Przyszedłem po Majellę - odparł krótko. - Wiem, że ona u ciebie jest - dodał i sam się omal nie roześmiał, słysząc ten żalony blef.

Ailith uniosła ironicznie brew.

- I co, chcesz ją odbić siłą? - Znacząco zawiesiła wzrok na drylingu.

- Jej dziadek się o nią martwi. Podobno nie pojawiła się dziś w szkole.

- A ty masz dobre serce i pomagasz mu w poszukiwaniach - rzekła domyślnie Ailith. W jej głosie brzmiał czysty sarkazm.

- Zgadłaś. Mam dobre serce i pomagam, tylko trochę mi się spieszy, więc byłbym wdzięczny, gdybyś mnie do niej zaprowadziła natychmiast.

Ailith przyglądała mu się przez chwilę nieruchomo, po czym bez słowa odwróciła się i ruszyła w głąb hallu, z przesadą kołysząc biodrami. Adler potraktował to jak zaproszenie i podążył za nią.

- Musisz wiedzieć - powiedziała, nie odwracając głowy - że Majella nie czuje się dziś zbyt dobrze. Chyba miała gorączkę, a teraz jest bardzo osłabiona. Dlatego nie poszła do szkoły.

- Za to postanowiła odwiedzić ciebie, zaprzyjaźnioną

zielarkę?

Ailith zatrzymała się nagle.

– Dlaczego mnie tak nazwałeś? – spytała ostro.

– Słyszałem, że lubisz ją karmić jagodami. Być może także innym zielskiem.

Dziewczyna drgnęła, lecz nic nie odpowiedziała. Zsunęła złote szpilki i wkroczyła bosą do olbrzymiego salonu. Adler wszedł za nią, ignorując zasadę ściągania obuwia. W końcu dom Love'a nie był żadną świątynią, meczetem czy buddyjską pagodą.

Salon przedzielony był na dwie części. W ścianie stanowiącej przegrodę wbudowano ogromny, dwustronny kominek w przeszklonej zabudowie. Ailith przystanęła na białym dywaniku ze skóry, zdobionym marmurową posadzką we frontowej części pokoju.

Adler przyjrzał się dywanikowi i w mig rozpoznał charakterystyczne futro.

– O, kogo ja widzę? Madonna! – zauważył niewinnie, trącając czubkiem buta miękkie, białe włosie. Czy mu się zdawało, czy dostrzegł na twarzy Ailith zmieszanie?

– Nie wybaczę ci tego, co zrobiłeś Madonnie – rzekła, siląc się na dramatyzm. – Ten kot... był mi potrzebny. Sprowadzono go dla mnie aż z Himalajów. Nie masz pojęcia, jakie to było wyzwanie: Madonna ukrywał się w najbardziej niedostępnym miejscu na świecie. Mówiono mi, że w jego poszukiwaniach uczestniczył światowej sławy zoolog. Plus cała armia tubylców.

A ty – podniosła oczy na Adlera – ty wtargnąłeś do mojego domu i zamordowałeś go jednym pchnięciem noża!

– Jednym pchnięciem to byłby niezły wyczyn, ale niestety...

– zaczął.

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– A teraz – warknęła – śmiesz bezcześcić jego zwłoki! – wskazała na czubek buciora Adlera, który bezczelnie przygniótł róg dywanika.

– O, pardon – powiedział Adler i pośpiesznie cofnął buta.

Nie było sensu zaogniać konfliktu.

– Więc gdzie jest Majella? – zapytał.

Ailith gniewnym ruchem głowy odrzuciła włosy na plecy.

– A ty tylko o jednym! Majella i Majella. Tymczasem, prawda jest taka, że ją przegrałeś. Przegrałeś ją!

– Nie wiedziałem, że o nią gram – odparł zdumiony Adler.

– Już nie grasz – rzekła porywczo. – W ten weekend w ruinach klasztoru na Wzgórzu odbędzie się niezwykła impreza. Nie jakieś kolejne, głupie Halloween party, tylko obłądny seans! Ja go organizuję, Majella także weźmie w nim udział. A ty? Ty nie jesteś zaproszony. Żałuj! Moich gości czekają niesamowite przeżycia duchowe. To będzie czysty szamanizm! Na takiej imprezie wszystko się może zdarzyć. Wszystko! Jeśli wiesz, co mam na myśli... Ale ciebie nie spotka nic! Nie potrafiłbyś się wznieść na takie poziomy duchowe, jesteś zbyt przyziemny, umiesz tylko łązić po lasach i mordować wszystko to, co w nich magiczne i niezwykłe!

Adler poruszył się niespokojnie.

– Zaraz, chwila – przerwał dziewczynie. – Na jakiej podstawie twierdzisz, że chodzę po lasach i morduję niezwykłe zwierzęta?... Twój kocur to był wypadek, zresztą, białe futro to żadna magia, tylko zwykły kamuflaż, rzadziej – przypadek albinizmu albo leucyzmu...

Ailith machnęła niecierpliwie dłonią.

– Nie chodzi mi tylko o zwierzęta. Ty mordujesz wszystko! Zabijasz magiczny klimat miejsc. – Zawahała się, po czym nagle rzekła z uczuciem: – Tymczasem są ludzie, którzy doskonale czują magię tych miejsc... Są tacy ludzie! Poznałam ich. – Uśmiechnęła się do siebie. Jej oczy rozbliły się cieplejszym blaskiem.

– Gratuluję ciekawych znajomości – odparł cierpko Adler.

Nie rozumiał stawianych mu zarzutów. „Zabijasz magiczny klimat miejsc”, to dopiero absurd...!

– Gdzie jest Majella? – zapytał ponownie.

Ailith bez słowa wskazała drugą część salonu, ukrytą za przegrodą z przeszklonym kominkiem. Adler ominął dziewczynę i wkroczył za ściankę. Jego oczom ukazał się jasny, ascetyczny kąt, utrzymany w tonacji przywodzącej na myśl bitą śmietanę lub bezę. Stała tu tylko biała sofa, para czyichś ubłoconych gumowców oraz jakaś złocista klatka, przysłonięta częściowo kawałkiem purpurowej tkaniny.

Na sofie kuliła się blada postać, owinięta w jasny koc. Postać dygotała lekko; spod jej przydługiej, rozczochranej grzywki wystawały małe, spierzchnięte usta. Na policzkach pałały chorobliwe rumieńce.

– Majella? – zapytał niepewnie Adler.

– W tym stanie jest do niczego – odezwał się głos za jego plecami.

Ailith wsparła się biodrem o róg ścianki i przyglądała się swojej małej przyjaciółce.

– W jakim stanie? Co jej zrobiłaś?!

– Nic jej nie zrobiłam! – odparła ostro. – Mówiłam ci, że jest

chora. Majaczyła, pewnie miała wysoką gorączkę.

– I nie zadzwoniłaś po lekarza?!

Ailith wzruszyła ramionami.

– A co by tu poradził ten wiejski konował? – rzekła zimno. – Zresztą, gorączka mija. Jest już dużo lepiej. Majella jest tylko osłabiona.

Adler zacisnął spoconą dłoń na kolbie drylingu. Nie wierzył Ailith. Z jakiegoś powodu, nie ufał jej ani trochę.

Naraz obydwójce omal nie krzyknęli: Majella podniosła się zniecierpliwiona i spuściła białe stopy na zimną posadzkę. Nie wstała z sofy, lecz przysiadła, nastroszona; jej wielkie, nieruchome oczy wyglądały zza słomkowej grzywki jak dwa czarne półksiężycy. Adler miał wrażenie, że patrzy na kompletnie obcą osobę. Na przybysza z innej, niepokojącej planety. Na kosmitkę.

Pierwsza opanowała się Ailith.

– Hej – rzekła słodko do Majelli – zobacz, kto po ciebie przyszedł. Twój superman. – Uśmiechnęła się zjadliwie do Adlera.

W kieszeni supermana zadźwięczał telefon. Chłopak zignorował go i przyklęknął przy Majelli.

– Hej – powiedział miękko – jak się czujesz?

Majella zanurzyła małe piąstki w potarganych włosach.

– Ada nie żyje – wyszeptała spieczonymi wargami. Z całych sił zacisnęła powieki.

– Kto to jest Ada? – spytał Adler. Nie odpowiedziała, więc warknął w stronę Ailith: – Kim, do cholery, jest Ada?!

Ailith ze świstem wciągnęła powietrze.

– To mój pudel – odparła wyniośle. – A raczej: to był mój

długowieczny pudel.

Adler uniósł brwi. Czy to możliwe, aby zgon jakiegoś pudła mógł aż do tego stopnia wytrącić Majellę z równowagi...? Przesunął wzrok na klatkę przysłoniętą purpurową tkaniną.

– Czyje to jest? – zapytał.

Ailith skinęła głową w stronę Majelli. Adler uchylił rąbek zasłonki i skrzywił się.

– W tej klatce jest martwa papuga! – rzucił oskarżycielsko.

– No i co ja ci na to poradzę? – syknęła Ailith. – Zrzuć zasłonę, a znajdziesz winowajcę!

Adler szarpnął za purpurową tkaninę i jego oczom ukazało się więcej martwych papużek w różnych stadiach dekompozycji. Ich groteskowe ciała spoczywały na spodzie klatki, pośród trocin i czarnych, pomarszczonych jak rodzynki odchodów. Winowajca zaś czaił się na grubej gałęzi, wetkniętej pomiędzy złociste druty klatki. Świdrował Adlera małymi, wściekłymi oczkami i szczyrzył ostrzegawczo kły. Adler widział już te oczka i oglądał te kły.

Miał przed sobą wiewiórkę ze Wzgórza.

– Majella, skąd masz to zwierzę...?

Dziewczyna milczała, spoglądając na niego pochmurnie.

– Skąd ona ma tą wiewiórkę?! – zwrócił się do Ailith.

– Chciałabym – odparła z mocą Ailith – żebyś już opuścił mój dom. – Odwróciła się i zniknęła za przeszkloną ścianą.

Adler wyciągnął telefon i parę razy obrócił go w dłoni. Zerknął z ukosa na Majellę. Odnalazł ją, nietrudno było odgadnąć miejsce jej kryjówki. Schroniła się u wiedźmy, którą uważała za swą przyjaciółkę. Lecz co miał teraz powiedzieć Wyattowi? Prawdę – że coś brała i zachowuje się jak

obłąkana? A może zwalić wszystko na gripę lub jakieś inne wirusy...?

Jedno wiedział na pewno: nie mógł zostawić jej w tym domu.

Ailith nie była przyjaciółką Majelli. Ze sobą także nie mógł jej zabrać. Akcja „Nocna hiena” nie potrzebowała takich bohaterek. Co zatem robić? Co robić?!...

Nagle olśniło go. Pomysł nie był z gatunku genialnych, ale stanowił najlepsze wyjście awaryjne. Adler przerzucił dryling przez ramię i wyciągnął rękę do Majelli:

– Majella, wstawaj, idziemy!

Spojrzała na niego wylęknionym wzrokiem.

– No, chodź! Zabieram cię ze sobą! Idziemy razem.

Patrzyła na niego nieufnie. Ailith obserwowała ich zza przeszklonej ściany. Adler do reszty stracił cierpliwość. Podszedł do sofy i wziął Majellę na ręce, jak brankę. Była lekka jak puch, jak puszysty kanarek, który pod warstwą pierza skrywa tylko drobne kostki. Nie stawiała oporu.

– Hej, dokąd ją zabierasz? – zaniepokoiła się Ailith.

– Jak najdalej od ciebie, wiedźmo – odwarknął.

Może gdyby wiedział, że będą to ostatnie słowa, jakie usłyszy od niego ta dziewczyna, wymyśliłby coś bardziej wytwornego.

Czym prędzej opuścił nieprzyjazne progi Red Lions. Wrzucił strzelbę do auta i wyładował na przednie siedzenie Majellę. Potem ruszył z piskiem opon w stronę domu sir Ralpa. Miał nadzieję, że zastanie tam Monikę.

Monica Sandalls była w domu. Pijana, roześmiana, objuczona ciężką masą kosztownej biżuterii, gościła właśnie

kilka przyjaciółek z Londynu na popołudniowej herbacie. Adler nie uległ jej usilnym namowom i nie wstąpił, by zapoznać się z paniami. – Słuchaj, Monica, mam sprawę, która wymaga dyskrecji – rzucił konspiracyjnym tonem.

Monica zachichotała głupkowato. Chyba była w kiepskiej kondycji. Zdał sobie sprawę, że być może żąda od niej zbyt wiele.

– Opowiadałaś mi kiedyś, że eksperymentowałaś z jakimiś ziołami u Ailith Love – przypomniał jej. – Mówiłaś, że po tych ziołach zupełnie ci odwalilo.

– Brzmi znajomo – odparła i poluzowała palcem zwój pereł, opinający jej cienką szyję.

– Mam podobny przypadek – rzekł szybko. – Majella, wnuczka George’a Wyatta. Znasz ją, prawda?

– No, znam. Znam. No przecież, że znam! – zapewniła gorąco, klepiąc go radośnie po ramieniu.

– Super. Może byś ją przechowała na parę godzin? Nie wygląda teraz najlepiej i nie chciałbym, żeby staruszek Wyatt zobaczył ją w tym stanie...

Monica zatrzymała dłoń na jego ramieniu.

– Adler – powiedziała z przejęciem – jaki z ciebie troskliwy facet! Musisz naprawdę kochać tego starca...!

– Słucham...?

– Tego Wyatta. Tak się o niego zamartwiasz, jakie to kochane – spojrzała na Adlera z pijackim rozrzewnieniem. – A ja zawsze mówiłam Ralphowi, powtarzałam mu tyle razy: jest możliwa miłość, nawet gdy kochanków dzielą pokolenia! Różnica wieku to dla prawdziwej miłości żadna bariera. No i wreszcie, wreszcie mi się oświadczył!...

Idąc do samochodu po oporną Majellę, Adler miał ochotę zadzwonić do sir George'a i uświadomić starcowi, że pomoc w odnalezieniu jego wnuczki była ostatnią misją natury familijno-obyczajowej, jakiej Adler podjął się w imię ich przyjaźni. Nigdy więcej takiego poświęcenia! Był psychicznie wyczerpany – kobiety z Pelham potrafiły wykończyć człowieka w pół godziny.

Chwilę później pędził już w stronę umówionego punktu zbornego, gdzie czekali na niego ludzie Keitha.

Zapadł zmrok. Wszystko zastygło i zeszywniało. Mgła spowiła okolicę niczym zwoje szarego szyfonu. Nad mokradłami, ciągnącymi się aż pod Zamek, ścieliły się sine opary. Znad czarnych bagien ulatniał się dławiący fetor. Adler pozasuwał szyby i wyteżył wzrok, by nie minąć mostu. Droga nie była oświetlona. Na asfalcie leżały zwłoki potraconych zwierząt. Do świtu jeszcze ich przybędzie. Sam most miał niepozorną konstrukcję i łatwo było go przegapić.

Ekipa łowców zgromadziła się na skraju pastwiska, na wschodnim brzegu rzeki Rother. Kiedy Adler dojechał na miejsce, zobaczył trzy terenowe land rovery, rozstawione w bojowym szyku i świecące groźnie jaskrawymi halogenami.

„Zero subtelności”, pomyślał. To nie będzie dyskretna akcja. To będzie obława, jakiej nie powstydziliby się rosyjscy kłusownicy. Wsiadł z samochodu, a wtedy Keith podliczył obecnych: Keith, Adler, młody Sturridge, jakiś Rob, jacyś Steve i Dave.

Dave otworzył bagażnik swojej terenówki i zademonstrował gigantyczną klatkę, która wypełniała tył wozu.

– Jak dorwiemy Hienę, wpakujemy ją tutaj – rzekł, niezmiernie dumny ze swojego konceptu. Hieną nazywali

roboczo tropionego zwierza, bowiem tak właśnie opisał go Adler – jako przerośniętą hienę.

– Co jeszcze mamy? Pętle z drutu? – zapytał Adler pół żartem, pół serio.

Nie był zdumiony, gdy potwierdzili. Postanowił zatem na wstępie wyjaśnić jedną rzecz.

– Słuchajcie! – powiedział. – Nie chcemy zabijać tego zwierza. Chcemy go złapać żywego. Nikt nie oddaje strzału, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne! Czy to jest jasne?

– Jasne, bracie – odparł niedbale Steve. – Lepiej nam pokaż, gdzie jest teraz zwierz.

Adler wyciągnął telefon. Pozostali otoczyli go ciasnym kółeczkiem, zerkając ciekawie w ekran. Adler pochylił głowę nad mapką w telefonie.

– Cholera – mruknął.

– Co jest? – zainteresowali się łowcy.

– Chyba straciłem sygnał.

– Co żeś stracił, synu?! – zagrzemiał Wood.

– Sygnał GPS...

Wood zmarszczył groźnie brwi.

– Czy to oznacza to, co ja myślę?! – chciał wiedzieć.

– To oznacza, że chwilowo nie możemy ustalić bieżącego położenia Hieny. Czasami tak się zdarza, na przykład, gdy okolica

jest pagórkowata lub zalesiona...

– Tak jak, dajmy na to, nasza okolica?

– Tak – zgodził się Adler i dodał pośpiesznie: – Ale mamy historyczny przebieg trasy.

Wood przerwał mu wzgardliwym prychnięciem.

- Synu, tylko mi tu nie wyjeżdżaj z historią! Czy wędkarza interesuje, gdzie przepływał jego okoń trzy kwadrans temu?

- Ta sytuacja jest inna - zaprotestował Adler. - Ostatnie położenie Hieny zostało zarejestrowane na tyle niedawno, że spokojnie możemy uderzać w tamtym kierunku. Liczę, że w międzyczasie poprawi się jakość sygnału.

- A skąd był ostatni sygnał? - zapytał rzeczowo Rob.

Adler pokazał punkt na mapie, odległy o jakichś pięć mil na północ od punktu zbornego.

- To są grunta National Trust - stwierdził Rob. - W Pelham i Plumpton mają w sumie coś koło tysiąca hektarów! Trochę lasów, sporo łąk i pastwisk.

- Ta Hiena pewno znów będzie żerować na naszych polach - odezwał się młody Sturridge. - Tyle że tym razem komu innemu rozpirzy oborę... - Splunął w bok, zniechęcony.

- Nie dopuścimy do tego! - odparł wojowniczo Wood. - Dziś pojmiemy bestię! Znaczą się, Hienę.

Reszta łowców przytaknęła ochoczo.

Steve podrapał się z namysłem po szorstkim podbródku.

- Ale nie wiemy, czy Hiena będzie w stadzie, czy też działa w pojedynkę? - zagaił.

- Zakładałbym, że spotkamy całą watahę - odparł Adler. - Chociaż tej nocy, kiedy przyczepiłem Hienie nadajnik, dość odważnie oddaliła się od stada. Dobra, panowie - rzekł nagląco. - Czas ruszać! Weźmiemy trzy wozy, w każdym po dwóch myśliwych. Ja pojedę pierwszy. Keith, ty jedziesz ze mną.

Skwapliwie wgramolili się do wozów, zatrzasnąwszy drzwi przed czarną, zimną nocą. Adler wsunął telefon do uchwytu i z

rozczarowaniem stwierdził, że sprzęt wciąż nie radzi sobie z namierzeniem zwierza.

– Dobra, synu, zostaw na razie tą zabawkę i skup się na jeździe – rzucił Keith, który rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu pasażera. – Najpierw pojedziesz wzdłuż rzeki, na północny zachód. – Adler zerknął na ekran nawigacji i skinął głową. – Potem, przy tym dużym zakolu odbijemy już prosto na północ. Najpierw będzie trochę chaszczy, ale później już lecą same pastwiska. Gdzieś tam na pewno przydybiemy bestię!

Ruszyli. Wood był wielce szczęśliwy, że nie musi prowadzić. Nie był amatorem nocnej jazdy po bezdrożach. Noc na wsi oznaczała ciemności absolutne. Znajomy teren wydawał się nagle mroczną, obcą planetą. Ostry blask samochodowych reflektorów tylko potęgował wrażenie surrealizmu. W snopie jaskrawego światła rysowały się niepokojące pejzaże. Groźne, tajemnicze, fragmentaryczne – jak z obrazów Beksińskiego.

Adler miał więcej frajdy z przedzierania się przez czarne wertepy. Przypominały mu okolice rodzinnego Loch Mòr, dzikiego jeziora rzuconego w głąsę w sercu Szkocji.

Nad rzeką Rother teren był nierówny, ziemia zmrożona, twarda i mocno pokarbowana. Samochód raz po raz nurkował w zapadliskach i rowach wyżłobionych przez potężne koła maszyn rolniczych. W świetle halogenów każda wyrwa była spotęgowana, wydawała się trzy razy głębsza niż była w istocie; każda szczelina wyglądała złowieszczo. Adler nie znał terenu, nie wiedział, kiedy z czarnej otchłani wynurzy się kolejne drzewo, zbutwiały parkan lub inna zawalidroga.

Przy zakolu rzeki odbił ostro na północ i wjechał na łąki. Zarył kołami w rozmiękłym gruncie i właśnie próbował

wyszarpać wóz, kiedy nagle Wood zawołał podniecony:

– Synu, chyba mam sygnał! – Keith uniósł wysoko telefon.

Nabożnym gestem, jakby to był Święty Graal.

– Co? Gdzie jest?!

– Na pastwisku. Ze dwie mile stąd, nie więcej!

Adler wyszarpał wóz z zasadzki i zawołał, podekscytowany:

– Jak jechać? W którą stronę?

– Prosto, synu, wal prosto! – odkrzyknął pilot. – Mamy go!

– Wood klepnął się po kolanach i zarechotał. – Dam znać chłopakom, a ty prowadź! Dawaj do przodu!

Adler dodał gazu i wtargnął między trawy. Tu, na łąkach, teren falował lekko i kołysał wozem jak łagodne morze. Za pickupem podążała reszta ekipy, chaotycznie miotając długimi snopami halogenowych świateł.

– Słuchaj, Keith! – mówił Adler, przekrzykując warkot silnika. – Zbliżamy się do celu, trzeba gdzieś zostawić samochody. Dalej pójdziemy pieszo, żeby nie spłoszyć zwierza.

Zanurkował w dół stromego zbocza. W dole ścieliły się gęste mgły.

– Ostrożnie – rzekł Keith. – To podstępna dolina. Zwą ją Diabelskim Parowem.

Adler wyhamował i ostro skręcił koła w bok. Teraz reflektory pickupa błyskały ostrzegawczo w kierunku nadjeżdżających towarzyszy. Lepiej nie zapuszczać się w głąb mglistej doliny.

Zaparkowali na trawiastym stoku i wysiedli z samochodów.

– Dlaczego to miejsce nazywa się Diabelskim Parowem? – spytał Adler, przejmując od Keitha telefon.

– Jak powiedziałem: to podstępna dolina – burknął Wood.

– Jest taka legenda – wtrącił Rob – wedle której sam diabeł zaczął tu kiedyś kopać głęboki rów. W zamyśle diabła rów miał się ciągnąć aż do morza. Woda z morza popłynęłaby wykopaną w ten sposób doliną i zalała kościoły w okolicznych wioskach. Był jednak jeden haczyk – zaznaczył Rob z przejęciem. – Parów musiał być gotowy przed świtem... Adler już nie go słuchał.

– Do diabła! – mruknął. – Znow nie ma sygnału!

Wood zerknął z niedowierzaniem w ekran Świętego Graala.

– Jak to? – zdumiał się. – Jak ja go trzymałem, to był.

– To może węź go potrzyмай, a sygnał wróci! – syknął z irytacją Adler.

Wood potraktował jego słowa poważnie: z namaszczeniem przejął sprzęt i uniósł go niczym ksiądz hostię. Ku ogólnemu rozczarowaniu, manewr ten nie przywrócił sygnału.

– Niech go diabli! – warknął Wood i oddał Adlerowi telefon.

– No i co teraz? – chciał wiedzieć Sturridge.

– Jak to: co teraz? – odpowiedzieli mu. – Broń na ramię i trzeba przetrzebić dolinę!

– Cicho bądźcie! – warknął Adler i ekipa umilkła, zaskoczona jego grubiaństwem.

Stał przez chwilę nieruchomo, uważnie nasłuchując. W końcu Dave nie wytrzymał i trącił go łokciem.

– I co, słyszysz coś? Bo ja albo uszu nie myłem, albo...Adler nie pozwolił mu dokończyć.

– Panowie! Nie ma innej opcji: musimy zejść do parowu! – rzekł stanowczo, na co oni tylko pokręcili głowami i zawołali: „Mówiliśmy przecie!”.

- Nie słyszę nic - rzekł Adler do Dave'a - ale wiem, że ta bestia krąży teraz gdzieś tam we mgle. - Wyciągnął rękę i wskazał w dół na opary kotłujące się w Diabelskim Parowie.

- Tak jest - powiedział Wood, powoli, z namysłem. - Trzeba nam zejść na dno parowu. A tam...

- Choćby śmierć!... - dokończył dramatycznie Steve.

- A, idźże ty! - Wood pacnął go w kaszkiet.

Steve nerwowo pociągnął nosem i poprawił czapkę. Niepotrzebnie się wygłupił.

- Chciałem powiedzieć: musimy się rozdzielić - ciągnął Wood. - Niech każdy zachowa czujność. Pamiętajcie, tropimy bestię, jakiej Pelham jeszcze nie widziało. Hiena jest agresywna i krwiożercza. - Ale nam nie wolno jej ustrzelić - wszedł mu w słowo Adler.

- Tak twierdzi Adler - odparł ponuro Wood. Nie lubił, kiedy mu przerywano. - Ja natomiast, ja - stary, doświadczony łowca - uważam, że w tej grze nietrudno będzie o fałszywy ruch.

- Nie powiedziałem, że będzie łatwo - uniósł się Adler. - Przypominałem tylko cel naszej akcji. A celem tym jest pojmanie zwierza, nie zaś jego ubicie. - Szarpnął za drzwi wozu i demonstracyjnie wydobył wiatrówkę do usypiania zwierząt.

Myśliwi unieśli sceptycznie brwi.

- No dobra! - burknął Wood. - Czas się rozdzielić. Spróbujemy osaczyć bestię. Adler, ty kontroluj jej położenie. Gdy tylko odzyskasz sygnał, poinformuj resztę. W ogóle, jeśli którykolwiek z was zobaczy bądź posłyszy cokolwiek podejrzanego, niech natychmiast daje znać pozostałym, jasne?

- Jasne! - zakrzyknęli.

Adler przywołał ich, pokazał mapę, po czym ustalili pobieżnie plan obławy. Potem rozeszli się na wszystkie strony i poznikali w ciemnościach.

Kiedy Adler wspominał później tą akcję, do głowy przychodziły mu dwa określenia. Pierwszym z nich był „sen”, drugim, niestety - „porażka”.

Sen - bo wszystko tamtej nocy wydawało się surrealistycznym widziadłem. Błąkał się jak ślepiec po czarnym parowie, wypatrując oczy w nieprzeniknionych odmętach. Stąpał ostrożnie, bezszelestnie, jakby sam był duchem. Co rusz zatrzymywał się i nasłuchiwał, spięty, czujny, podenerwowany. Jakby znów miał dziewięć lat, a to była jego pierwsza łowiecka wyprawa. Gdzieś z oddali, z czeluści parowu, dobiegały zdeformowane odgłosy. Na dole było przenikliwie mroźno, kamienie i trawę pokrywał szorstki szron. Tam właśnie, na dnie Diabelskiego Parowu, sen splątał się z porażką.

Najpierw Adlera o mały włos nie zastrzelił spanikowany młody Sturridge, z którym chłopak niespodziewanie zderzył się plecami.

- Jezus Maria!! - krzyknął Sturridge i wybałuszył oczy, jakby właśnie zobaczył słynnego diabła z Diabelskiego Parowu. - Omal cię nie zabiłem! - Mężczyzna był tak roztrzęsiony, że ledwo trzymał broń.

Sturridge otarł spoconą twarz i sięgnął do kieszeni swej myśliwskiej kurtki. Stamtąd wyłuskał małą flaszkę, zakamuflowaną w skórzanym futerale. Łyknął sobie hojnie, a potem podsunął piersiówkę Adlerowi.

- Masz, napij się - mruknął. - Na trzeźwo można dostać

w tym parowie zwidów. Stary Wood miał rację: to podstępne miejsce...

Adler odsunął od siebie flaszkę. Lepiej niech Sturridge ją sobie zachowa na wypadek kolejnego ataku histerii. Nie powinni go ze sobą zabierać, był chyba za bardzo emocjonalny. Co to za łowca, który musi sobie popić, żeby rozmyć zwidy...? W ogóle myśliwy, który miewa zwidy, z definicji jest do niczego.

Sturridge nie chciał się rozdzielać i odtąd uparcie trzymał się Adlera. Każdy drobny szelest wywoływał w nim poruszenie bądź panikę. Co chwila ścisnął ramię towarzysza i świszczą, zaalarmowany: „Słyszałeś to? Co to było?! Na Boga, Adler, to Hiena!...” Na co Adler prychnął i odpowiadał zniechęconym tonem: „Żeby to Hiena... To był tylko jakiś ptak!” Albo: „To tylko jeden z naszych...” Co jakiś czas bowiem słyszeli różne głosy, niosące się po ciemnym dnie doliny. Najczęściej były to przekleństwa, miotane obficie przez pozostałych łowców.

Naraz Adler zatrzymał się i zamarł. Sturridge podskoczył, stanął w rozkroku i wycelował lufę gdzieś w mrok.

– Co? Gdzie?! – zawołał histerycznie.

Adler zaklął w myśli.

– Czujesz ten dziwny zapach? – zapytał Sturridge’a.

Sturridge opuścił broń i z furkotem wciągnął powietrze.

– Bo ja wiem? – zastanowił się. – Tak jakby coś czuję... – Bez ostrzeżenia wyciągnął latarkę i poświecił nią wokół.

– Zgaś to! – rozkazał Adler.

Sturridge niechętnie wyłączył latarkę. Zrobił jeszcze parę głębokich wdechów, po czym stwierdził:

– Jak dla mnie, cuchnie tutaj sadzawką. Pewnie woda

zalega miejscami na dnie parowu.

Adler musiał przyznać mu rację. To nie był zapach zwierzyny. Odór był podobny do tego znad bagien, lecz nie tak intensywny. Potem przekonali się, że dno doliny wyścięła potężna warstwa błota, miejscami tak głęboka, że nie zdołał jej skuć przymrozek. Czarna breja śmierdziała jak kosz z organicznymi odpadami.

Zaczęli się przedzierać przez muł, gdy nagle ich uszy przeszyła skoczna, irytująca melodyjka. Sturridge pisnął jak baba i wypuścił z rąk broń. Sztucer plasnął w breję.

– Halo? – posłyszeli czyjś głos, dobiegający z ciemności.

Adler zmarszczył brwi. Czy to nie był głos Steve'a?

Sturridge szybko wyłowił z błota swój sztucer i wychrypiął:

– Halo? Kto tam jest?!

– Halo, rybko! – odpowiedział głos pieszczotliwie. – Co? Słabo cię słyszę.

Adler i Sturridge popatrzyli po sobie.

– Mówię, że słabo cię słyszę! – odezwał się ponownie głos.

– Za to ja słyszę cię doskonale! – ryknął Sturridge. – Wyjdź z ciemności, pokaż swoją twarz!

– Czekaj, rybko, bo ktoś mi zakłóca – odparł głos.

– Czego on do mnie wyjeżdża z tą „rybką”? Zbok jakiś czy co?

– zirytował się Sturridge.

Głos nawijał dalej. Znieruchomieli i wyteżyli słuch.

– Nie, rybko, nie w pubie. Ee, z jakimi tam pannami. Nie – z chłopakami jestem! No, z Keithem, Dave'em... Co? Nie, no wrócę na kolację. Tak, ziemniaczki. Jezu, zapomniałem obrać!! – Głos umilkł i po chwili odezwał się gdzieś zupełnie

blisko. – Nie krzycz, rybko. Nie denerwuj się. To może dziś usmażymy fryteczki?... Co? Tak, jest jeszcze paczka w zamrażalniku. Na pewno jest, wczoraj ją tam widziałem! – Po tych słowach z odmętów wynurzył się Steve. Przy uchu trzymał telefon i wydawał się roztargniony. Na widok towarzyszy uciął szybko rozmowę: – Dobra, pogadamy w domu. Pa. – Jego głos nie brzmiał już tak miękko i pieszczotliwie. Był szorstki, butny. – Moja stara – wyjaśnił kumplom. – Znaczy się, żona. Musiałem ją trochę poustawiać.

Odchrząknął z zakłopotaniem i spytał, czy widzieli jakiś trop Hieny. Zaprzeczyli, a on także nie miał żadnych obiecujących doniesień.

Potem jeszcze natknęli się na Dave'a, który wskazał w głąb doliny i zaświzczał z przejęciem: „Tam! Tam! Tam czają się bestie!...”. Słowo „bestie” wskazywało na całą watahę, toteż Adler przeprosił się z drylingiem i zdecydował na ewentualny strzał kulowy. Nie było mu jednak dane zmierzyć się z krwiożerczym zwierzem. W lornetce z noktowizorem zobaczył tylko gęsto zbite stadko owiec, które przyglądały mu się tym charakterystycznym dla owcy, flegmatycznym spojrzeniem.

„Niech cię diabli, Dave!”, pomyślał. A głośno powiedział:

– Nic tu po nas, wyłazimy z tego rowu! – I w odpowiedzi na ich pytające spojrzenia, rozwinął: – Beznamiętność i spokój tych owiec utwierdzają mnie w przekonaniu, że żadne krwiożercze stwory nie żerowały w pobliżu...

Wyleźli więc z parowu i przywołali pozostałych łowców.

Wood był niepocieszony. Przez długą chwilę stał po kolana w morzu oszronionej trawy i potrząsał desperacko Świętym Graalem, próbując wydobyć z niego sygnał. Bezskutecznie.

– Pieprzone satelity! – mruzczał ze złością.

Rob ziewnął głośno.

– Panowie, ja mam pomysł – powiedział pogodnie.

Steve, Sturridge oraz Dave spojrzeli na niego z nadzieją. Wood tylko sarkastycznie prychnął. Adler zachował kamienną twarz, usiłując zataić ogrom sceptycyzmu, jakim z definicji obdarzał pomysły Roba i kumpli.

– Skoczmy na jednego do Goodmana! – rzekł Rob. – Kropeczka whisky i od razu człowiekowi lżej na duszy. Sygnał, ma się rozumieć, cały czas będziemy śledzili. Oka z niego nie spuścimy!

Teraz wszyscy spojrzeli z nadzieją na Wooda. On zaś zerknął pytająco na Adlera.

– To dobry pomysł – poddał się Adler.

Miał ochotę zatopić „Nocną hienę” w wiadrze ginu.

ŚMIERĆ DANIELA

*Najgroźniejsze w tym stworze
wcale nie jest to,
że pożera innych.*

Adler

NADINSPEKTOR ADRIAN SPARKS nigdy nie lubił antyków. Ani tym bardziej ich imitacji. Sparks cenił sobie nowoczesne rozwiązania: komfortowe, przestronne, atrakcyjne wizualnie. Pod każdym względem futurystyczne. Stąd też, gdyby życie

go do tego nie zmusiło, nigdy nie nabyłby zabytkowego samochodu. Albo raczej – jego imitacji.

Nadszedł jednak taki moment w życiu Sparksa, gdy zrozumiał, że już dłużej nie może podążać za swoimi preferencjami. Nie może być prawdziwym sobą, bo jego prawdziwe ja było zbyt prostackie. Adrian Sparks, chłopak znikąd – czytaj: z Bognor Regis, podupadłego kurortu nad ponurym morzem. Prozaiczny gość o banalnych zainteresowaniach, takich jak piłka nożna, telewizja czy spotkania z przyjaciółmi w pubie. To było dobre kiedyś, kiedy jeszcze był posterunkowym w Bognor. Albo sierżantem, już w Chichester. Z kolei jako inspektor był tak zawałony robotą, że nie zawracał sobie głowy bzdurami. Na filozofię czas przyszedł później, wraz z kolejnymi awansami. Sparks zaczął wówczas obracać się w zupełnie nowym dla niego środowisku – w środowisku elit. To właśnie wtedy zrozumiał, że dla dobra swej kariery zawodowej powinien sobie sprawić coś ekscentrycznego i ekskluzywnego. Coś, co by uwiarygodniło jego przynależność do elit.

Tym czymś okazał się Morgan 3 Wheeler. A w pakiecie wraz z nim – członkostwo w ekskluzywnym klubie posiadaczy tego klasycznego samochodu.

W klubie Sparks poznał nadętych salonowców południowej Anglii. Poznał lokalnych celebrytów i arystokratów, którzy na co dzień chowali się w swych niedostępnych rezydencjach, zaszytych pośród pól i lasów. Poznał skostniałych starców o dziesięciu imionach i trójczłonowych nazwiskach oraz ich rozwydrzonych synalków i wnuków. Poznał też ekscentryczne kobiety – brzydkie, stare, lecz bogate, a przynajmniej utytułowane. Słowem, poznał rzesze VIP-ów z południowych

hrabstw.

A kiedy już poznał ten cały świat, miał ochotę najzwyczajniej na świecie wypisać się z klubu i sprzedać pieprzonego antyka. I tak wolał jeździć swoim służbowym vauxhallem.

Ale nie mógł tego zrobić. Nie mógł wypisać się z elit, do których sam teraz należał z racji zajmowanego stanowiska. Nadinspektor policji – taka ranga zobowiązuje. Trudno, *show must go on*, jak śpiewał jeden z ulubionych wokalistów Sparksa. Stąd też, kiedy nadszedł dzień zlotu posiadaczy trzykołowego Morgana, Sparks musiał się stawić w swoim modelu, najtańszej imitacji antyka. Najtańszej – co nie znaczy, że taniej.

Zlot odbył się w Chichester, w piątek tuż przed Halloween. Kameralne, historyczne miasteczko Chichester przyciągało tego typu imprezy. Było perełką West Sussex, jedynym większym ośrodkiem handlu i szeroko pojętej kultury w całym hrabstwie. W West Sussex nie było dużych miast; tutejszy pejzaż był typowo wiejski: malutkie wioski i przysiółki, wielkie farmy, pachnące ziołami łąki, prastare lasy, pola i pastwiska, rozrzucone na kredowych wzgórzach South Downs. A na południu – morze: Kanał Angielski [\[83\]](#).

Typowe angielskie miasteczko ma tylko jedną główną ulicę, zwaną High Street. Na High Street koncentruje się życie miasteczka. W centralnym punkcie Chichester – w miejscu, gdzie stał kamienny monument, dawniej pełniący rolę kupieckiego krzyża – przecinały się pod kątem prostym aż cztery główne ulice. East Street – wiecznie zatłoczony deptak z wesołym jarmarkiem, West Street – zdominowana przez potężną, normańską katedrę ze strzelistą iglicą, South Street

– z modnymi restauracjami i North Street – ze sklepikami i kawiarniami.

Program zlotu miłośników i dumnych posiadaczy klasycznego trójkołowca przewidywał ostentacyjną defiladę po wszystkich czterech ulicach centrum. Chcąc nie chcąc, nadinspektor Sparks musiał zatem wbić tyłek w ciasny fotelik Morgana i zaprezentować ludowi swoją wspaniałość i stan posiadania. Osobiście wolał imprezy zamknięte, lecz klubowicze lubili od czasu do czasu pokazać się na mieście.

Nadinspektor sunął zatem po West Street, dumny i wyprężony, w śnieżnobiałej koszuli i służbowym uniformie. To pojawiał się w blasku niskiego, jesiennego słońca, to znów znikał w cieniu monumentalnej bryły katedry. Sunąc, uśmiechał się szeroko tym zniewalającym uśmiechem, któremu zawdzięczał połowę swych życiowych sukcesów. Tak przynajmniej szacowała jego żona. On sam przypisałby więcej wagi swej przebojowości, inteligencji oraz sile.

Pod Krzyżem skręcił w South Street; wcisnął za dużo gazu i omal nie wjechał w sir Ralpa Pearsona, który paradował tuż przed nim. O mały włos!... To by dopiero było *faux pas*... Pearson był jednym z tych sztywniaków, dla których nadinspektor podjął ostatnio przyspieszone lekcje gry w golfa. Sam wolał grać w piłkę, ale niestety minęły stare, dobre czasy, kiedy chodziło się do publicznego parku, by trochę pokopać ze swoimi konstablami.

Po defiladzie był poczęstunek w ogrodach biskupa. Tylko dla członków klubu, rzecz jasna. Podano zapiekankę z królika i tłuczone ziemniaki. Niezłe, swojskie dania. Azjatyckich czy jakichś tam francuskich eksperymentów kulinarnych Sparks zasadniczo nie tykał. Lubił wiedzieć, co ma na talerzu. Ważna

była też ilość.

Na deser nadinspektor wziął sobie gorący pudding ryżowy i pokręcił się trochę po biskupich trawnikach, zagadując to tego, to owego. Sam także był zaczepiany przez rozmaite, nadęte osoby.

Choć był względnie nową twarzą w klubie, jego mundur – zauważył to nie bez satysfakcji – robił na tych darmozjadach spore wrażenie.

Jako nowicjusza w świecie Morgana wciąż, niestety, pytano go o wrażenia. Szybko się przekonał, że na rzetelnej opinii nikomu nie zależy. Oczekiwano od niego wyłącznie peanów na cześć legendarnego trójkołowca. Nie mógł zatem powiedzieć prawdy: że nowy nabytek nie rzucił go na kolana. Że w takiej cenie żądałby czegoś więcej niż ciasnego wehikułu bez dachu, który wyglądał jak parodia samochodu albo karykatura motocykla. Że za każdym razem, kiedy wstawiał go do garażu, czuł się jak frajer, bo auto zajmowało jedną ósmą przestrzeni, a on nie miał już forsy, by wypełnić czymś resztę wolnego miejsca.

Z czasem jednak nauczył się w miarę przekonująco opowiadać, za co kocha swojego Morgana. W dniu zlotu w Chichester przetestował swoją opowieść na niejakim Garym Finneranie, absolutnym nowicjuszem, najświeższym członku klubu.

– Widzisz, Gary – mówił – to nie jest zwykły samochód.

– Tu się z tobą zgodzę – wtrącił natychmiast tamten, przerywając Sparksowi starannie ułożoną mowę.

„Prostak”, pomyślał nadinspektor. Odchrząknął i kontynuował:

– Twój Morgan to pojazd z duszą. Dzieło ludzkich rąk. To

nie jest produkt z fabryki: nijaki, masowy, złożony przez maszyny i roboty. Nie, Gary, pomyśl sobie: ktoś spędził długie godziny, projektując twój model, rozmyślając nad każdym jego elementem, każdą pojedynczą częścią. A potem wziął śrubokręt i młotek i w pocie czoła poskładał cały pojazd. To także były długie godziny, dni, może nawet zarwane noce. Z jednej strony, mamy więc kreatywny proces, z drugiej – ciężką, ludzką pracę. Kiedy to sobie uzmysłowisz, ta świadomość na pewno przełoży się na twą relację z tym niezwykłym samochodem. – Sparks urwał, bo zaschło mu w gardle. Poza tym recytował w niejakim stresie.

Pokrzepił się łyżką puddingu i przyjrzał się rozmówcy. Gary miał na sobie pasiaste spodnie, pastelową kamizelkę z jedwabiu i melonik. Wyglądał jak pajac. Sparks zauważył, że z każdym kolejnym awansem niepokojąco rosła ilość błaznów, z którymi musiał obcować.

Przełknął pudding i dorzucił taką perełkę:

– Wiesz, Morgan to taka odskocznia od monotonii. – Wczoraj to wymyślił, gdy ćwiczył prezentację przed żoną. Spodobało jej się. – Odskocznia od świata pojazdów, w których twoja rola sprowadza się do śledzenia kontrolek i niemal bezrefleksyjnego kręcenia wte i wewte kierownicą. W Morganie to ty przejmujesz inicjatywę.

– Nie, no wiesz, ja generalnie się z tobą zgadzam – odparł Gary. – W końcu sam sobie sprawiłem tą zabawkę. Biznes mi ostatnio nieźle idzie, pojawiły się nieplanowane nadwyżki, to pomyślałem: czemu nie? Ja się tylko zastanawiam, na ile praktyczny jest taki pojazd: wiesz, bez dachu, w naszym klimacie... Jak by nie patrzeć, żyjemy na wietrznych i deszczowych wyspach! – roześmiał się i pokręcił głową. –

W dodatku, trzęsie to to straszliwie i takie ciasne jest jak... – tu zawahał się, szukając bardziej taktownego słowa niż to, które mu przyszło na myśl w pierwszej kolejności. – Ciasne jest wielce – rzekł wreszcie niezgrabnie.

Sparks przyjrzał mu się z zastanowieniem.

– Istotnie – powiedział.

Sam miał podobne wątpliwości, jednak nie zamierzał ich werbalizować. Szczególnie nie teraz, kiedy właśnie dostrzegł zmierzającego w ich kierunku sir Ralpa Pearsona.

Zapytał więc tylko:

– Jaki biznes prowadzisz, Gary? – Po czym dyskretnie pozbył się salaterki z puddingiem.

Sir Ralph nie musi widzieć, że Sparks stale coś pożera. Gotów sobie pomyśleć, że w domu nadinspektora nie ma takich rarytasów.

– Mam biznes dyniowy – odparł Finneran. On z kolei bez zbędnych ceregieli porwał kolejny kieliszek szampana z tacy krążącego po ogrodach kelnera. – Plantacja dyń. W Pelham.

– W Pelham?... – nadinspektor spłoszył się nieco.

W jego głowie zapaliło się światło ostrzegawcze: sprawy z Pelham nie należały do tych, które mógł, ot tak, swobodnie omawiać przy koktajlu z cywilem. Musi być ostrożny w rozmowie z Finneranem. Nie może pozwolić, by zeszło na niewygodne tematy.

Na domiar złego, właśnie dołączył do nich sir Ralph. O ile Sparks dobrze kojarzył, posiadłość Pearsona również znajdowała się w okolicach Pelham. A może to było Plumpton? Nieważne, na jedno wychodzi. Trzeba mieć się na baczności.

Ralph Pearson, wystrojony jak przedwojenny kierowca, ze

staroświeckimi goglami na szyi, uściśnął powitalnie dłoń obydwu panom.

Następnie wyjaśnił Sparksowi, że Finneran jest jego sąsiadem i że to właśnie on, sir Ralph, wprowadził Gary'ego w fascynujący świat sportowych trójkołowców.

- No i żeby dołączyć do klubu i tak potrzebna jest rekomendacja - zauważył praktycznie Gary. - Więc pomyślałem sobie: pogadam z Ralphem. W Pelham póki co tylko my dwaj szarpnęliśmy się na Morgana.

- „Szarpnęliśmy się”? - sir Ralph roześmiał się serdecznie i sięgnął po lampkę szampana.

„Tak, ten to nie musi się na nic »szarpać«”, pomyślał zjadliwie nadinspektor. „Jego przodkowie nagrabili wystarczająco złota i klejnotów, żeby wypełnić rodzinny skarbiec po brzegi. Starczy pewno jeszcze na dziesięć pokoleń do przodu!”.

- Przyznaję, że z początku byłem lekko zdumiony, kiedy Gary zaczął mnie wypytywać o klasyczne samochody - ciągnął sir Ralph. - To był niezbyt fortunny moment w jego życiu, zatem zdziwiło mnie, że ma głowę do takich spraw. No i w grę istotnie wchodziły konkretne koszty...

Sparks zauważył, że Finneran się zmieszał.

- Potem jednak - rzekł Pearson - zrozumiałem, że to była reakcja Gary'ego na tragedię, jaka go spotkała. I pomyślałem sobie: to jest to! Tak właśnie powinien postąpić dżentelmen, którego doświadczył los: nie poddawać się, iść do przodu na przekór wszelkim trudnościom. Być dżentelmenem do końca!... - Sir Ralph wzruszył się swoją przemową i musiał pokrzepić się łykiem szampana.

Gary nerwowo siorbnął swój koktajl.

- Tak, to był... tragiczny cios. Dla mojego biznesu... - wymamrotał bez przekonania.

Sparks zmarszczył brwi. O jakiej tragedii była mowa? Odruchowo, zrobił w myślach szybki przegląd spraw z północnej części dystryktu. Nic szczególnego, powiedziała byś, standard: jakieś włamania, wypadki drogowe. Nie znał, rzecz jasna, szczegółów. Zwykle przeglądał tylko statystyki i nagłówki raportów. Trochę inaczej było w przypadku Pelham. Tutaj musiał być dokładniejszy, bo „góra” patrzyła. Sprawy z Pelham nie podlegały jurysdykcji policji, ale ten fakt utrzymywano w tajemnicy. Do zwykłych zgłoszeń typu stłuczka czy kradzież wciąż wysyłano policyjnych konstabli.

A zatem Pelham... Gary Finneran, plantacja dyń... Nadinspektor przypomniał sobie, że w jednym z ostatnich raportów z Pelham była wzmianka o przypadku wandalizmu. Zdewastowano nieruchomość wchodzącą w skład większego gospodarstwa rolnego. Jednak, o ile dobrze zapamiętał, właściciel gospodarstwa sam wycofał zgłoszenie. Tej sprawy na pewno nie zaraportowano „górze”. Całe szczęście, bo to byłby pewnie nie pierwszy już, mylny trop. Zresztą, ten tutaj, Finneran, wyglądał kwitnąco. Fakt, że właśnie dołączył do klubu dla bogaczy, mówił sam za siebie.

Finneran zerknął niepewnie na Sparksa i nasunął swój melonik głębiej na oczy. Czyżby obawiał się nadinspektora...? Sparks wyprężył się, przybierając swoją ulubioną pozę: potężną, groźną. Pierś do przodu i nabrać powietrza, wyprostować plecy, unieść podbródek. Doskonale! Jak był jeszcze młokosem, znaczy się sierżantem, sporo czasu poświęcał na takie ćwiczenia przed lustrem. I opłaciło się, a jak.

- Nie ma co rozgrzebywać starych ran, panowie - powiedział Gary i jednym haustem opróżnił swój kieliszek. - Zwłaszcza, że nic takiego się nie stało - dodał szybko, zerkając na Sparksa.

- Jakże to? - zdumiał się sir Ralph. - A dynie? Przecież w dzień nie odrosną, a Halloween już jutro.

- Ralph - rzekł Gary i poufale położył Pearsonowi dłoń na ramieniu - czasami Boże Narodzenie jest bez śniegu, a Halloween bez dyń. I co z tego? To nie jest jeszcze koniec świata!

Sir Ralph nie wydawał się przekonany.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio mieliśmy śnieg na Boże Narodzenie - wtrącił Sparks konwersacyjnym tonem.

Obaj panowie go zignorowali.

- Poza tym przypuszczam - dorzucił Gary, siląc się na żartobliwy ton - że nasze nudne miasteczko raczej nie widnieje na mapie policji jako siedlisko przestępczości...

Spojrzeni na Sparksa. I cóż miał im powiedzieć? Pelham na mapie policji widniało. Widniało nawet jako siedlisko - tyle że to nie przestępczość się tam lęła.

Nadinspektor roześmiał się, umiejętnie tuszując zakłopotanie.

- Panowie! - pokręcił głową z udawanym rozbawieniem. - Pelham to... Pelham to takie przyjemne miasteczko! - Nawet nie wiedział, że właśnie udało mu się zacytować samego Churchilla.

Miał wielką ochotę porzucić ich towarzystwo. Rozmowa schodziła na niebezpieczne tory. Rozejrzał się w poszukiwaniu wymówki. Nieopodal, na ścieżce pomiędzy rabatami zwiędłych kwiatów, zobaczył tego nadętego starca, lorda Cravena.

- Panowie wybaczą - rzekł przepraszająco. - Zdaje się, że lord Craven chciałby ze mną zamienić słówko - skinął w stronę rabatek. Cholerny Craven obrócił się akurat plecami.

Finneran wytrzeszczył pytająco gały. Pearson miał więcej taktu.

- Musimy kiedyś zagrać razem w golfa - rzucił szampowo Sparks i oddalił się, myśląc gorączkowo, jak też u licha mógłby zagać Cravena.

Gary powiódł za nim nieżyczliwym wzrokiem.

- Policja! - prychnął pogardliwie. - Przed takimi nie ma co się otwierać, Ralph! - pouczył Pearsona. - Zagalopowałeś się, niepotrzebnie wspomniałeś o dyniach. To nie ich interes!

Finneran dopiero od niedawna był w tak poufałych stosunkach z sir Ralphem. Po starciu w King's Head wydawało się, że już na zawsze pozostaną wrogami. Jednakże, podobnie jak w życiu nadinspektora Sparksa, tak i w życiu Gary'ego Finnerana pojawił się taki moment, gdy Gary zapragnął wkupić się w łaski wielkich tego świata. Wykonał w tym celu kilka taktycznych ruchów. Przede wszystkim, pokajał się i uznał rację arystokratów.

Oni lubią, gdy inni się przed nimi korzą. Tak mu tłumaczyła Sue. Mądra kobieta, ta jego żona. Przeprosił więc George'a Wyatta i posłał kosz z gustownymi upominkami dla jego wnuczki. Ten sam manewr powtórzył z Pearsonem i jego narzeczoną. A potem zaprosił obydwu dżentelmenów na ucztę do Pumpkin Cottage i cały wieczór hojnie polewał im alkoholu, raz po raz bijąc się w piersi. Później właściwie miał ich z głowy. Wyatta ostatecznie udobruchał, kupując od niego dziesięć kopii monografii o Pelham. Pearsona przekabacił przy pomocy swojej nowo odkrytej pasji do trójkołowców. I tak oto

Gary Finneran, hodowca dyń, wylądował w elitarnym klubie. Nie był przekonany, czy to, co łączy go z Pearsonem, można by nazwać przyjaźnią, ale jedno było pewne: zakopali topór wojenny. Los uśmiechnął się do Finnerana i nie leżało teraz w jego interesie, by wzniecać kolejne scysje.

Nie podobało mu się jednak, że pewni ludzie grzebali w poszukiwaniu źródeł jego nowo pozyskanego szczęścia. Przez „szczęście” Finneran rozumiał bogactwo.

– Po cóż nam w Pelham policja – rzucił teraz, niby to żartem, do Pearsona – skoro po miasteczku kręcą się domorośli detektywi?

Sir Ralph uniósł brew.

– Kogo masz na myśli? – spytał.

– A choćby starego Wooda. Albo wnuka Wyatta. Zapomniałem, jak mu na imię.

– Nie wiedziałem, że George ma wnuka – stwierdził z lekkim niepokojem sir Ralph.

– A pewno, że ma! – uświadomił mu Gary. – Przyjechał niedawno do miasteczka. Omal mi karku nie złamał u Goodmana.

– A! – pojął naraz Pearson. – Adler!

– Może i Adler – odparł ponuro Finneran. – Faktycznie, imię brzmiało trochę z niemiecka.

– Nie pojmuję, dlaczego nazywasz go domorośłym detektywem...

– Bo razem z Woodem chodzą i węszą – burknął Gary. – Co tak chcą wywęszyć – ja tam nie wiem... – rozłożył ręce w niewinnym geście.

Nawet jeśli sir Ralph miał jakąś wiedzę lub przypuszczenia

na ten temat, zachował je dla siebie.

– Adler nie jest wnukiem George’a – powiedział tylko.

– A kim on właściwie jest? – chciał wiedzieć Finneran.

– Właściwie to... – Sir Ralph zawahał się. – Właściwie to nie wiem – wyznał bezradnie. – To dobre pytanie: kim jest Adler?

– No, uważaj, Ralph – rozgorączkował się naraz Finneran. – Jeszcze się okaże, że to jakiś Niemiec jest!

– Nie, to Szkot – odparł z przekonaniem Pearson.

– Hmm! – rzekł Gary groźnie, wieloznacznie.

– Ja doprawdy niewiele wiem o jego koligacjach – dodał z namysłem sir Ralph.

– A, widzisz! – zawołał triumfalnie Gary, jakby go na czymś przyłapał. – A to pierwsza rzecz, którą się sprawdza: koligacje! Inaczej nie wiesz, kto ci lezie na salony...

Adler nie pojawiał się na salonach ostatnimi dniami. Dużo za to przebywał w lesie. Zaglądał do gęstych młodników na obrzeżach Pelham, czatował w rudej trawie na przyleśnych łąkach. Wybierał się tam w skrajnych porach: o zmierzchu, o brzasku, w nocy. Mijał uśpione farmy i oprószone szronem pastwiska. Chował się w prowizorycznych czatowniach i czekał, aż zwierzyna zacznie wymykać się ze swych ostoi na żer. Ludzi z reguły nie spotykał, czasami tylko słyszał dalekie strzały myśliwych, niosące się nad tonącymi w białej mgłę polami.

Coraz lepiej znał te tereny. Rozpoznawał już wybrane ścieżyny i pojedyncze drzewa. I choć wciąż łatwiej byłoby łązić po kniei z Pearsonem lub Woodem, był jeden szczególny trop, który Adler zamierzał śledzić wyłącznie w pojedynkę.

Nikomui nie powiedział o jeleniu. O tym groźnym mutancie,

jak nazwał go Jegor. Nie wspomniał też nikomu o okolicznościach, w jakich poznał rosyjskich kłusowników: o obławie na jelenia i dyskusyjnych metodach łowieckich stosowanych przez Rosjan. Początkowo bardzo żałował, że podczas festiwalu Ye Olde Axe nie zdołał wyciągnąć z Jegora żadnych konkretów na temat miejsc, w których odbywały się walki jeleni. Parę dni później wytropił jednak pewien istotny ślad – i nabrał wiary, że być może poradzi sobie bez dalszych wskazówek od Rosjan.

Było to nazajutrz po nieudanej akcji „Nocna hiena”. Adler był zniechęcony fiaskiem akcji i zmęczony po nocnej wizycie w pubie Goodmana. Ale ambicja nie pozwalała mu się poddać. Po południu znów wyruszył za obrzeża miasteczka i właśnie wtedy dokonał obiecującego odkrycia. W dębowym zagajniku, na obsypanej opadłym liściem skarpie tuż nad ciemną rzeką Rother, zobaczył rany na pniach drzew: pozdzierane płaty szarej kory i ślady dźgnięć przez całą biel pnia. Z jednej ze szczelin w okaleczonym drzewie Adler wyłowił kawałek ukruszonego poroża. Odłamek był mały i niecharakterystyczny. Nie musiał wcale należeć do mutanta. W czasie godów, samce jeleni często wyładowują agresję, pocierając porożem pnie drzew.

Chłopak przyjrzał się dokładniej śladom dźgnięć i spostrzegł, że miejscami układają się w specyficzny wzór. Wyglądało to tak, jakby pień został poharatany przy pomocy wideł – albo gigantycznego widelca z dwoma szpikulcami. Adler spróbował odtworzyć w myślach poroże jelenia-mutant. Nie było to trudne – kuriozalne rogi stwora mocno zapadły mu w pamięć. Przypomniawszy sobie, że tuż nad oczami zwierza wyrastały dwie poziome odnogi. Pozostałe odnogi sterczały pionowo do góry.

Pień był pokaleczony na znacznej wysokości, Adler nie musiał się schylać, by oglądać ślady. Pamiętał, że mutant również był sporych rozmiarów – wielki i muskularny, potężniejszy od typowych gatunków *Cervinae* [84]. Ale czy to on właśnie wyżywał się na tym drzewie?... Oczywiście, to nie musiał być – i zapewne nie był – ten sam jelen, którego ścigali wówczas Rosjanie. To równie dobrze mógł być jego przeciwnik – inny, zmutowany samiec, zwłaszcza że w okolicznych lasach nie było czuć tego silnego zapachu, jaki wydzielają „zwykłe” jelenie w czasie rykowiska [85].

Adler rozejrzył się po zagajniku w poszukiwaniu tropów. Ziemia była gęsto porośnięta trawą i dodatkowo przysypana suchymi liśćmi. Na takim podłożu nie zostają trwałe ślady. Dopiero gdy zszedł ze skarpy nad brzeg rzeki, dostrzegł parę wyraźnych, świetnie zachowanych w zamarznętym błocie tropów. Jako doświadczony myśliwy bez trudu rozpoznał, że tropy należały do byka, czyli samca jelenia. Wyczytał z nich także, że byk był ponadprzeciętnej wielkości i z całą pewnością przed czymś uciekał. Odciski były głębokie, wyraźne i dokładnie zarysowane, włącznie z raciczkami.

Adler pokręcił się jeszcze trochę po okolicy: przekopał czarną gęstwinę nad brzegiem rzeki i dotarł aż po faliste pastwiska. Krajobraz rozmywał się, wszystko tonęło w zgaszonych barwach zmierzchu. Adler nie znalazł innych śladów, a tym razem nie miał ochoty na nocleg w głuszy. Postanowił wrócić tu przed wschodem słońca.

Noc była mroźna. Szron skuł liście i trawy białym pancerzem. O świcie, gdy Adler maszerował skrajem pola, przymrozek wciąż nie ustępował. Chłopak rozrywał buciorami perłowe sznury zamarznętych pajęczyn. Jego oczy łzawiły od

ostrego powietrza, a palce sztywniały pod ciepłą tkaniną rękawiczek. Wstał zbyt późno, nad postrzępioną knieją dźwigało się już zimne słońce. Oby tylko nie spotkał po drodze myśliwych, bo mu spłoszą wszelką zwierzynę.

Przebiegł pole biegiem, żeby się rozgrzać. Zatrzymał się pod ciemną ścianą młodnika, którego kontur płonął w blasku wschodzącego słońca. Płatanina czarnych pni i gałęzi nie zachęcała do eksploracji.

Odetchnął głęboko, rozciągnął się i zrobił parę dynamicznych pompek. Czuł, że zaczyna się budzić. O przyrodzie nie można było powiedzieć tego samego: wciąż jeszcze wydawała się uśpiona pod srebrną warstwą szronu. Bezdźwięczna, bezwonna. Jakby martwa.

Przymierzył się do kolejnego sprintu. Chciał dotrzeć bliżej miejsca, w którym znalazł tropy. Pochylił się, by wystartować, lecz zastygł w połowie ruchu.

Coś trzasnęło za jego plecami.

Powoli wyprostował się i obrócił głowę. Trzask ponowił się, zachrząściły łamane gałęzie. Kątem oka Adler zobaczył zwierzę wyłaniające się z głębi młodnika. Był to jeleni.

Adler wstrzymał oddech i zamarł. W chwilowej ciszy, jaka nastąpiła, usłyszał przyspieszone bicie swego serca. Dudniło tak głośno, że był pewien, iż słyszą je wszystkie jelenie w okolicy. Wszystkie jelenie-mutanty.

Nagle pożałował, że ma przy sobie tylko lekką wiatrówkę do usypiania zwierząt. Niby nie chciał nikogo mordować, ale taki mutant może być przecież agresywny...

Zwierzę studiowało przez chwilę plecy Adlera, po czym leniwie wysunęło się na pierwszy plan, jakby zamierzało spojrzeć tropicielowi prosto w oczy. Może chciało go wyśmiać

za tę żalosalną wiatrówkę...

I wtedy Adler zobaczył, że to nie był mutant.

Nie był to nawet jeleń, tylko zwyczajny daniel [86]. Nie wydawał się spłoszony. Spoglądał na Adlera wielkimi, wypukłymi oczami bez wyrazu. W jego szerokie, łopatowate poroże wplątał się mech i martwe, pomarańczowe liście, które przypominały stary, wyschnięty wieniec.

Adler stał nieruchomo, gapiąc się na zwierza nieufnym spojrzeniem spode łba. Z jakiegoś powodu nie mógł tak po prostu uwierzyć, że był on zwykłym daniem. Jeśli tak, dlaczego podszedł tak blisko? Czemu nie bał się człowieka? U danieli był teraz okres godowy, więc samce ganiały po lasach wojownicze i zadziorne. Ale ten tutaj... był jakiś apatyczny. Daniele zwykle są ruchliwe, skoczne, dlatego trudno je ustrzelić. Ten tutaj niemal kładł się pod lufę. No i skoro już mowa o godach, w okolicy nie było czuć tego cuchnącego odoru, jaki zwykle wydziela się z rujowisk danieli.

Jego rozważania przerwał krótki, chrapliwy ryk. To daniel ożywił się i zaczął sygnalizować swą obecność. Adler zawahał się. Jeszcze nigdy nie spotkał się z tak dziwnym zachowaniem u zwierzyny łownej. To było nawet trochę onieśmielające. Zwierzęta zwykle nie pchały się do rąk myśliwych.

Daniel wydał długą serię chrapliwych ryków, a potem spojrzał wyczekująco na Adlera. Chłopak przeanalizował napędce możliwe przesłanie tych ryków. Dyskretnym gestem położył dłoń na rękojeści noża. Daniel był coraz bardziej pobudzony: prychał, rozglądał się na boki, bił kopytami w ziemię. A potem znów zaryczał, przeszywając Adlera tym dziwnym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Czyżby wyzywał go na pojedynek?...

Naraz za plecami Adlera rozbrzmiał chrzęst łamanych gałęzi. Daniel zamarł, gapiąc się wciąż przed siebie. I wtedy Adler zrozumiał: zwierz nie patrzył na niego, tylko wypatrywał czegoś w głębi młodnika. Coś się ku nim zbliżało. Coś miało za chwilę wynurzyć się z ciemnej kniei.

Adler ostrożnie zrobił parę kroków w tył. Nie miał ochoty witać nieznajomej bestii. Jeśli już ktoś tutaj ma pójść na pierwszy ogień, niech to może będzie jego nowy kumpel, daniel.

Przy ostatnim kroku wstecz omal się nie potknął, bo zza drzew wyskoczył nagle drugi byk. Ten wyglądał znajomo. Był to potężny jeleni ze straszliwie zdeformowanym porożem. Takie właśnie okazy ścigali kłusownicy. Lecz ten tutaj miał jeszcze jedną, osobliwą cechę, której Adler nie dostrzegł u poprzedniego mutanta: z jego żuchwy wyrastał gruby, skierowany w dół róg, przypominający trochę wygięty cios [\[87\]](#) słonia. Róg był raczej krótki, lecz masywny niczym kość udowa i dodatkowo ukruszony – jak miecz złamany w boju.

Ewolucja takiego kła u przedstawiciela *Cervinae* stanowiła z pewnością zagadkowy przypadek, jednak Adler nie miał czasu, by się teraz nad nim pochylać. Musiał wiać spod kopyt nagle rozjuszonych byków.

Powietrze rozdarł trzask: byki splotły się porożem i rozpoczęły przepychankę.

Mocowały się z furją, sapały z wysiłku, wściekle ryły kopytami ziemię. Pochyliły łby tak nisko, że ich pyski szorowały o zmarznięty grunt. Poroża zakleszczyły się mocno, solidnie, bez szans na bezkrwawe rozplątanie.

Adler schronił się czym prędzej za drzewami i z ukrycia śledził pojedynek. Nie była to równa walka: daniel był mały,

skoczny; jeleń – potężniejszy, bardziej muskularny i masywny. Jednym ruchem łba mógł wyrzucić swego przeciwnika z ringu. Przewagą daniela zdawało się być poroże. Jego szerokie łopatki wyglądały na niezniszczalne. Lecz okazało się, że poroże mutanta jest twardsze. Zwierz szarpnął wściekle łbem i wybił danielowi jedną tykę jak zęba. Rozległ się trzask gruchotanej kości.

Daniel zabeczał okrutnie i odskoczył w tył. Z wyłamany porożem wyglądał jak kuriozum. Jak sarna, której wbito w łeb kij do krykieta.

Jeleń doskoczył do przeciwnika i dźgnął go ponownie. Tym razem ugodził go w podbrzusze, ostry róg zanurzył się w trzewiach jak włócznia. Adler nie wierzył własnym oczom: w walce byków to był chwyt niedozwolony! Z tym że to nie była zwykła walka byków. Tu pojedynkowały się dwa różne gatunki. O co im szło? Przecież nie o samice...

Daniel zaryczał gniewnie i spróbował odpędzić się od jelenia. Wyszło mu żałośnie. Kolejnej próby nie podjął: krwawił, tracił siły. Jego krótkie nogi zadygotały spazmatycznie.

Jeleń pochylił łeb i znów zaatakował. Dźgnął daniela w bok tułowia z taką furją, że tamten zwałił się w trawę. Adler wiedział już, że daniel nie ma szans. To nie była czysta walka. W skórze jelenia siedziała agresywna bestia. Jej celem było uśmiercić przeciwnika.

Daniel zarzęził boleśnie. Adler gorączkowo potarł czoło. Co powinien teraz zrobić? Uśpić jelenia strzałem z wiatrówki? Wiać, póki bestia się nie zorientowała, że nieopodal w krzakach siedzi bezczelny podglądacz?...

I wtedy jeleń zadał ostateczny cios: wbił swój masywny kieł

w kark konającego daniela. Na srebrny szron spłynęła długimi strugami karminowa krew.

Koniec pojedynku, zwycięzca był bezlitosny – walczył do śmierci przeciwnika. Ale to nie był jeszcze koniec krwawego spektaklu. Dopiero teraz objawiła się w pełni prawdziwa natura mutanta. Dopiero teraz Adler zrozumiał słowa Jegora – o lesie, który zaleje się krwią.

Ten byk nie zaprzętał sobie głowy godami. Nie walczył o samice, jak inni przedstawiciele jego gatunku. Jego nagrodą w tej walce było truchło ofiary. Jeleń ten był bowiem drapieżnikiem.

Gdyby nim nie był, nie zanurzyłby teraz swoich kłów w trzewiach daniela. Nie wyszarpałby płatu ciepłego mięsa i nie pożarłby go z takim upodobaniem. W okolicach było wszak pod dostatkiem pokarmu dla roślinożerców: traw, pędów, ziela, kory czy jagód.

Ten jeleń gardził trawą, był za to skuteczną drapieżcą. Po jego ataku pozostaną tylko strzępy daniela i jego pogruchotane poroże, rozsypane w zmarzniętej trawie, szarej i sztywnej jak blacha.

Adler stał bez ruchu i osłupiały gapił się na uczującego zwierza. W jego głowie kłębiło się mnóstwo chaotycznych pytań. No bo też, jakie zmiany musiały zajść w anatomii pospolitego *Cervus elaphus* [\[88\]](#), żeby uzyskać mięsożernego mutanta? Skąd u niego ta patologiczna agresja? Ile takich udanych ataków miał już na swoim koncie? Od jak dawna grasował w okolicach Pelham i wyżywał okoliczną faunę? Czy to dlatego tropili go Rosjanie: bo wiedzieli, że jest niebezpieczny? A może chodziło im tylko o unikalne poroże drapieżcy?...

Na trawę padły długie pręgi słonecznego światła. Gdzieś rozpląnęła się poranna szarówka. Jeleń uniósł łeb, zaalarmowany.

Może, jak każdy baśniowy stwór, musiał się chować przed blaskiem dnia?

Adler wstrzymał oddech. Jego kryjówka w gęstym młodniku już nie wydawała mu się tak bezpieczna. Ostrożnie zsunął z ramienia wiatrówkę.

Jeleń poderwał się nerwowo i błyskawicznie czmychnął w las. Adler usłyszał tylko serię trzasków i niecierpliwe posapywanie zwierza, kiedy ten przebijał się przez gąszcz. A potem wszędzie wokół zapadła cisza.

Adler odczekał parę minut, po czym wyszedł ze swojej kryjówki. Niespiesznie ruszył przez trawę i przystanął nad resztkami uczyt jelenia. Widok był niespecjalny: krew, rozgruchotane poroże, powyginane dziwacznie kończyny. I łeb z szeroko otwartymi oczyma. Oczy martwe, ale jakże wymowne. Żałosne oczy ofiary.

Adler trącił łeb czubkiem buta, żeby zwierzę tak na niego nie patrzyło. Już po sprawie, stary. Przegrałeś tę walkę. Przegrałeś swoje życie. Wygrała bestia maskująca się w skórze jelenia.

To na pewno nie był zwykły jeleń. Rosjanin miał rację: to był mutant. Groźny mutant. „A najbardziej złowieszczę w tym stworze wcale nie jest to, że żywi się mięsem”, myślał Adler. „Najgroźniejsze jest to, jak dobrze potrafi ten fakt maskować. Nikt na pierwszy rzut oka nie rozpoznałby w nim agresywnego drapieżcy. To potwór w kamuflażu. Wilk w owczej skórze.”

Czy takich potworów było w Pelham więcej?... Czy Pelham było matecznikiem bestii?... Przed oczami Adlera stanął nagle

cały tutejszy zwierzyniec: mięsożerne sarny, wędrujące chmarami po Wzgórzu świętej Anny; drapieżne gryzonie, jakie nie biegały po powierzchni Ziemi od milionów lat, tu zaś jakimś tajemniczym sposobem uchowały się albo też zostały wskrzeszone; watahy krwiożerczych, niezidentyfikowanych stworów, tylko z pozoru podobnych do hieny; gigantyczne, chorobliwie agresywne psy, jakich używali do łowów Rosjanie. I wreszcie – ten jeleń. Jeleń–zabójca.

A przecież gdyby nie znało się prawdziwej natury tych zwierząt, gdyby spotkało się je tylko przelotnie, podczas spaceru przez łąki czy knieję, można by je wziąć za typowe okazy nudnej, angielskiej fauny, za niewinne łanie, pospolite wiewiórki, dostojne jelenie i trochę bardziej egzotyczne wilki.

Narzucano się jedno, podstawowe pytanie: jak to możliwe, by tutejszy świat zwierząt – znany każdemu mieszkańcowi i przecież niegroźny – zmienił się w ostoję żądnych krwi bestii...?

KREW W RAJU

Mogłabym nawet umrzeć teraz.

Byle w Raju, a nie w Pelham.

Majella Humphreys

AILITH OPOWIADAŁA, że na Wzgórzu świętej Anny żyją bestie. Bestie – stworzenia potworne, a jednocześnie fascynujące, kusicielskie. Ailith mówiła, że bestie ze Wzgórza to pół zwierzęta, pół ludzie. Czy może istnieć bardziej kuszące

połączenie? – pytała. Cóż może rozpałcić zmysły bardziej niż zestawienie zwierzęcej siły, agresji i dzikości z ludzką urodą?

Ailith musiała mieć rację, bo ona – w przeciwieństwie do Majelli – umiała posługiwać się zmysłami. Majella, owszem, miała oczy – ale nigdy nie dostrzegała nimi nic godnego uwagi. Nic, co by ją w jakikolwiek sposób poruszyło. Miała też słuch, lecz odbierała jedynie monotonne fale: pomruki nudnych rozmów, szum samochodów. Miała węch – i tu działały na nią tylko pachnące róże z ogrodu dziadka i niektóre zioła od Ailith. O dotyku nie ma nawet co wspominać: ani Majella nie dotykała, ani jej nie dotykano.

Ailith powiedziała, że pomoże Majelli. Pomoże jej dostrzegać, czuć. Wprowadzi ją do świata doznań. Sprawí, iż dziewczyna poczuje, że żyje. Sprawí, że będzie ją ekscytowała każda barwa, każdy dźwięk i dotyk. Majella chciała spróbować. Ostatecznie, miała już szesnaście lat i nigdy jeszcze nie czuła, że żyje. Zawsze jej się wydawało, że przygląda się wszystkiemu z boku, bez emocji, tak jak patrzy się na migający ekran telewizora, kiedy nadają nudny program o agrobiznesie. Kogo obchodzą wahania na rynku trzody chlewnej?... Czy to było życie?? Takie nijakie, bezbarwne i tragicznie nużące?

Ailith kazała jej zapomnieć o trzodzie, zbożach i w ogóle całym tym agrobiznesie. Obiecała, że pokaże jej bardziej ekscytujący świat.

Zabrała ją do lasu i tam Majella po raz pierwszy doświadczyła ekstazy. Odbyła podróż do innego świata. Ta podróż była tak upajająca, a świat tak niesamowity, że chciała pozostać w nim na zawsze. Choćby miała żyć jeszcze tylko kilka krótkich minut, a potem umrzeć – chciała przeżyć te pięć

minut tam i umrzeć tam, w tym cudownym świecie. Ale wróciła. Wbrew swojej woli, wróciła do nijakiego życia, do Pelham, do nudnego dziadzia i szkoły dla dziewcząt. Powrót był bolesny. Gdyby nie Ailith, byłby nie do zniesienia. Majella myślała już tylko o następnej podróży.

A potem Ailith opowiedziała jej o bestiach. I o tym, że spotkała Boga Lasu.

Ailith chodziła do lasu na Wzgórzu już od długiego czasu. Bo tam mieścił się Portal do innego świata. Oczywiście, miejscowi nie mieli o tym pojęcia. Ci ignoranci codziennie włączyli się po leśnych ścieżkach ze swoimi psami, lecz robili to kompletnie bezrefleksyjnie. Ślepcy, mówiła o nich Ailith. W ogóle, zdaniem Ailith, każdy, kto był szpetny lub przekroczył czterdziestkę, był głuchym i nieczułym ślepcem, dla którego Portal był bezwzględnie zamknięty. Majella sądziła, że może być w tym trochę racji. Po co wpuszczać starców do Raju? Sama nie chciała żyć dłużej niż dwadzieścia dwa lata.

Mogłaby nawet umrzeć teraz. Byle w Raju, a nie w Pelham.

Ailith opowiadała, że najpierw słyszała tylko różne dźwięki. Nowe, nieznane, przerażające odgłosy. Niosły się po całym lesie, kiedy tylko przekroczyła Portal. Z początku myślała, że do Raju wdarły się potwory i sieją w nim spustoszenie. Przeraziła ją ta myśl. Ailith – tak samo jak Majella – nie chciała stracić Raju. Nie mogłaby żyć bez podróży do innego świata.

Potem Ailith zobaczyła bestie i zrozumiała, że to nie byli intruzi. To byli pełnoprawni mieszkańcy Raju. Raj otworzył przez nią kolejny wymiar i pozwolił jej zobaczyć więcej. Zapragnęła doznań, jakie obiecywał jej ten nowy wymiar. Zapragnęła szczególnie mocno, kiedy ujrzała Boga Lasu.

Zobaczyła go tylko przelotnie, ale od tamtego momentu nie mogła przestać o nim myśleć.

Myślała tylko o tym, aby znów go spotkać. Ale on się ukrywał w niespenetrowanym jądrze Raju. Ailith nie miała tam dostępu. Jeszcze nie miała. Ailith uprawiała ogród z baśniowymi roślinami, dzięki którym mogła coraz głębiej eksplorować nowe, cudowne światy. Majella wiedziała, że sama musi rozpocząć podobną hodowlę. Nie może zawsze liczyć na Ailith. Kto wie, może kiedyś Ailith dotrze do jądra Raju i już nie wróci? Stamtąd na pewno nikt nie chciałby wracać.

Majella też chciała zobaczyć Boga Lasu. Ailith powiedziała, że go pragnie. Majella też chciała pragnąć. Nie wiedziała w ogóle, jak to jest – pragnąć.

Rozpoczęły z Ailith eksperymenty. Jak przywołać Boga Lasu? Czerpały hojnie z hodowli Ailith. Ailith – po raz pierwszy! – prosiła Majellę o pomoc. Potrzebowała jej! Ktoś po raz pierwszy potrzebował pomocy Majelli. Ailith dawała jej do skosztowania rozmaite mikstury i prosiła, by Majella wybrała się do Raju na poszukiwania Boga Lasu i bestii. Ale eksperymenty najczęściej kończyły się fiaskiem. Majella była za słaba. Cudowne eliksiry przynosiły jedynie straszną chorobę. Ailith była niezadowolona. Była nieszczęśliwa.

Majella nie chciała, by Ailith była nieszczęśliwa. Dziadzio nie lubił Ailith, ale dla niej, dla Majelli, Ailith była wszystkim. Była jedyną prawdziwą przyjaciółką. Tylko Ailith wiedziała o istnieniu Raju. Więcej – to ona zabrała tam Majellę po raz pierwszy. Majella nigdy się nie gniewała, ale teraz obudził się w niej gniew. Gniew budził się za każdym razem, kiedy dziadzio krytykował Ailith. Kiedy nie pozwalał Majelli spotykać

się z przyjaciółką.

Tymczasem Ailith doznała olśnienia. Tak właśnie powiedziała Majelli: to było olśnienie. Aby przywołać Boga Lasu, musiały zmienić rytuał. Bóg Lasu, jak każdy bóg, żądał ofiary. Bóg Lasu był bestią – najbardziej przerażającą i jednocześnie najbardziej pociągającą. Bestie mają jedną słabość: kochają krew. Zrozumiały, że to krew była magicznym eliksirem, dzięki któremu uda im się zwabić Boga Lasu i inne bestie.

I wtedy Majella poznała nowy wymiar Raju: groźny, przerażający, brutalny. Majella bała się tej ciemnej strony Raju. Za każdym razem, kiedy Ailith ją tam ciągnęła, Majella szlochała i histeryzowała. Ailith była niewzruszona. Niczego nie pragnęła tak bardzo, jak tego, by stać się kochanką Boga Lasu. Gotowa była ponieść każdą ofiarę. Żeby uspokoić Majellę, przygotowywała jej specjalne wywary. To cię wyciszy – mówiła. Teraz już nic nie poczujesz. I, faktycznie, Majella coraz mniej czuła, za każdym razem, kiedy unosiła do góry ciężki nóż. I kiedy opuszczała ostrze na tętnicę ofiary.

Tylko że ona chciała czuć. To dlatego przekraczała Portal – żeby czuć. Ale dawna euforia zniknęła. W jej miejsce pojawiły się lęk i przerażenie.

A potem znów coś się zmieniło. Nie w Raju, tylko w tym drugim świecie. W Pelham.

Majella po raz pierwszy poczuła coś... pozytywnego – i nie miało to żadnego związku z Rajem. By to poczuć, nie potrzebowała zupełnie pomocy Ailith. To przyszło samo z siebie. Po prostu narodziło się w Majelli. Gdzieś w jej... sercu?

Majella bała się o tym powiedzieć Ailith. Bała się jej

powiedzieć, że nie chce już pić eliksirów ani składać ofiar. Że w sumie nie obchodzi ją Bóg Lasu. A bestie ją po prostu przerażają.

Lecz Ailith sama zauważyła zmianę w przyjaciółce. Wyśmiała ją. Była zła. Była wściekła. Powiedziała Majelli, że to, co czuje w tym świecie, to złudzenie. Tylko w Raju są prawdziwe doznania i emocje. W tym świecie jest pustka. To świat trzody i paszy, w którym nie ma magii. Jeżeli Majella wybiera ten świat, skazuje się na bolesną agonię. A Portal zamknie się przed nią na zawsze.

Te ostatnie słowa przestraszyły Majellę. Nie była pewna, czy potrafi wytrwać bez choćby okazjonalnych spacerów do Raju.

Poddała się. Wybrała Ailith. I Raj.

Dlatego tej nocy ponownie przekroczyła Portal i ruszyła w stronę Świątyni, gdzie miała czekać na nią Ailith i inni uczestnicy Rytuału.

Znajdowała się w środku lasu. Było jej zimno. A może gorąco.

Na głowie miała rogi.

Drzewa ruszały się, kurczyły, tak że mogła je przeskoczyć, a potem naraz rosły wysoko, wysoko, aż po niebo upstrzone czerwonymi jak krew gwiazdami.

Wyciągnęła rękę i strąciła jedną z gwiazd. Gwiazda spadła, zostawiając po sobie krwawą smugę. A potem Majella szarpnęła za drugą gwiazdę, ale ta nie ustąpiła. Nie dała się strącić – zaczęła puchnąć, w sekundę zrobiła się gigantyczna. Dotykała teraz Majelli, parzyła jej skórę, chciała ją spalić. Majella zaczęła pisać. A potem wrzeszczyć i tupać nogami. Gwiazda wybuchła, a Majella

upadła na ziemię.

Ziemia falowała, podrzucała ją jak morskie fale. To było nawet przyjemne.

Majella zaczęła wirować. Otworzyła szeroko oczy i patrzyła na niebo: było teraz kolorowe jak tęcza. Kolory rozmywały się, kiedy Majella kręciła się, coraz szybciej i szybciej.

Na chwilę odpłynęła w nicość. Może umarła? Czy można umrzeć na chwilę?

Znów jednak żyła. Znów była z powrotem w Raju. Podniosła się. Jej ciało przeszywały dźwięki. Były wszędzie, bardzo głośne. Zasłoniła uszy, ale to nic nie dało – dźwięki były w niej. Poraził ją blask. Nie mogła patrzeć.

Nad czarnym Wzgórzem biła jaskrawa łuna.

Zmieniała barwy: raz była fioletowa, za chwilę różowa lub czerwona, potem znów całkiem biała. Gra światła trwała już od kilku godzin. Była to pewnie iluminacja ruin na czas imprezy. Ailith zaangażowała całą ekipę do pomocy w organizacji swego „obłądnego spektaklu”. Od rana po lesie kręcili się jacyś ludzie, na ścieżki wjeżdżały vany ze sprzętem i cateringiem.

Idąc nocą przez las, Adler nie musiał nawet oświetlać sobie drogi. Ostra łuna biła także w prześwitach pomiędzy drzewami, rzucając na ziemię kolorowe snopy.

Z oddali tętniła muzyka elektroniczna.

Zza drzewa wysunął się potwór.

Potwór ruszył prosto na Majellę. Nie mogła spojrzeć w jego ślepie: były jaskrawe jak słońca. Patrzenie bolało.

Potwór zaryczał potężnie, a ona odskoczyła z piskiem. Usłyszała śmiech. Potwór odleciał.

Jakiś samochód wdarł się na rozjeżdżoną ścieżkę.

Adler usunął się na bok. Minęła go banda pijanych gówniarzy w zabytkowym kabriolecie. Aston Martin, późne lata sześćdziesiąte. Szary, metaliczny lakier.

Pieprzone snoby.

Kabriolet rąbnął bokiem w drzewo. Pasażerowie zarechotali. Kierowca pogłośnił muzykę i popruł dalej zygzakiem pod górę. Ktoś na tyłach wystawił rękę: w krzaki poleciała butelka.

Dźwięki były coraz głośniejsze, przeszywały Majellę, penetrowały jej ciało. To było miłe. Majella miała ochotę tańczyć. Lubiła tańczyć z Ailith.

Ale nigdzie nie widziała Ailith. Jak daleko jeszcze do Świątyni? Majella przeszła już jedną puszcę, taką tęczową, potem drugą – czarną i straszną, a potem jeszcze był ocean. To była długa podróż.

Ktoś chwycił ją za dłoń. Jakieś kobiety. Nie, nie kobiety. To były węże. Szare, paskudne. Oplatały ją, ciągnęły gdzieś w czerń. Majella nie chciała z nimi iść. Wrzasnęła. Jej głos zabrzmiał straszliwie, nieludzko. Węże odpadły od jej ciała i znikły.

Muzyka była coraz głośniejsza. Po lesie grzmiało echo.

Na drodze Adlera stanęły trzy chwiejne, półnagie dziewczyny, całe obsmarowane szarą mazią. Czyżby jedną z atrakcji imprezy były błotne zapasy? A może po prostu dziewczyny wybrały drogę na skrót przez podmokły las? Jedna z nich zarzuciła Adlerowi ramiona na szyję i mocno się do niego przytuliła. Na skórze poczuł lepkie strąki jej długich

włosów. W innych okolicznościach to by nawet mogło być ciekawe, pomyślał, ta cała impreza i w ogóle, ale teraz nie miał głowy do panien umazanych breją. Odsunął ją od siebie stanowczym gestem.

Chyba zaczęła płakać. Była kompletnie wstawiona.

Znów była w puszczy. Drzewa płonęły, drgały i rozmywały się, a potem zmieniły się w kolorowe fale: żółte, pomarańczowe, neonowo zielone. Gdzieś spomiędzy fal zaczęły wyskakiwać malutkie ludziki. Majella śmiała się i przeskakiwała ludziki, uważając, by ich nie rozdeptać. Szkoda by było.

Potem ludziki zaczęły rosnąć, bardzo szybko, za szybko. Majelli zakręciło się w głowie. A może w jej głowie cały czas wirowało? Ludziki przeistoczyły się w giganty z długimi, niebieskimi rękami. Niektóre wystawiały ku niej dłonie z długimi, rozcapierzonymi palcami.

Majella nie bała się ich, ale nie chciała być pochwycona przez wydłużone palce. Śmiała się i wymijała powyciągane dłonie.

Świątynia była już blisko. Czowała to.

Zbliżał się do ruin klasztoru.

Wokół dudniła muzyka: pobudzający, hipnotyczny trance. Pomiędzy rozjarzonymi sztucznym światłem pniami drzew migało coraz więcej ludzi. Większość z nich była rozebrana niemal do naga, jakby zupełnie nie przeszkadzał im chłód jesiennej nocy. Wymalowali się farbami świecącymi w ciemności. Niektórzy pomalowali sobie twarze, inni całe ciała, łącznie z włosami. Mijał więc grupki neonowych kosmitów: błękitnych, różowych, zielonych, fioletowych. Jedni

podrygiwali w jakimś kosmicznym tańcu, inni się obmacywali, jeszcze inni wymiotowali w krzaki.

Znów ktoś go obejmował. Tym razem był to różowowłosy chłopak w workowatej, dżinsowej kurtce w stylu lat osiemdziesiątych.

– Kocham cię – stwierdził, łypiąc półprzytomnie na Adlera.
– Chcę się z tobą kochać teraz.

Adler bez słowa pchnął go na pień drzewa.

Właściwie niepotrzebnie użył siły, bo różowowłosy ledwie trzymał się na nogach – od razu osunął się na ziemię i klapnął boleśnie na splecione korzenie potężnego wiązu.

Zza drzewa wystawił kudłatą głowę Faun. Miał potarmoszone, gęste włosy i bardzo dużo zębów. Zęby nie mieściły się w ustach Fauna. Zaczął je wypluwać.

Majella patrzyła, jak Faun pluje, a potem wystawiła ku niemu ręce. Faun obrzucił ją obojętnym spojrzeniem. A może wcale na nią nie spojrział?

Machnął tylko ogonem i poszedł dalej w las.

Jakiś kształt przesunął się ociężale pomiędzy drzewami. Co to było? Pies?... Ale kto by zabierał psa na taką imprezę?

Adler zmrużył oczy: postrzępiony kształt poruszał się ostrożnie i nieśpiesznie. Jak najedzony zwierz, który wraca z żerowiska do ostoi. Chłopak zawahał się, po czym odbił ze ścieżki parę kroków w gęstwinę, lecz włochaty grzbiet zwierza zniknął na dobre w krzewach leszczyny.

Przed Majellą płonęło słońce. Zastłoniła twarz rękami – złoty blask był oślepiający. Słońce śmiało się z niej. Nawet nie jakoś bardzo złośliwie. To był taki... kokieterijny śmiech. Może nawet mówiło: popatrz na mnie, no, zabierz

te ręce od oczu! Patrz na mnie: ja płonę. Majella ostrożnie odchyliła dłonie.

A wtedy ktoś machnął czerwonym mieczem i wszystko zalała krew.

Tuż pod ruinami zaparkowało na dziko kilka lśniących, sportowych kabrioletów. Na tyłach każdego wozu odbywała się, można powiedzieć, odrębna impreza. W złotym porsche rozpierał się jakiś młody palant w koronie. Korona pewnie była imitacją, ale koleś i tak miał minę, jakby wygrał życie. Nic dziwnego: towarzyszyło mu stadko roześmianych, długowłosych dziewczyn, ubranych jedynie w przyduże kurtki pilotki. Adler pogardzał nim. Najchętniej by mu wepchał tą koronę w zad. Albo porysował porsche.

Tuż obok stał znajomy Aston Martin. Po masce zabytkowego wozu skakało kilka typków w rozchełstanych, białych koszulach z falbanami i żabotami. Jeden z nich uderzał w blachę czymś, co przypominało świetlny miecz. Jedna przednia lampa była kompletnie rozgruchotana. Młody pewnie nawet nie był świadomy, że dokonuje dzieła zniszczenia. Jego stary nie będzie zachwycony, gdy po imprezie odkryje zabytkową gablotę w stanie rozsyпки. Z drugiej strony, to nie musi nastąpić tak szybko. Na pewno w podziemnym garażu ich podlondyńskiej rezydencji mają jeszcze parę podobnych okazów.

Była już pod murami Świątyni.

Po drodze gdzieś zgubiła rogi. Rozejrzała się wokół, ale nigdzie ich nie widziała. Pewnie zostały w puszczy.

Wszędzie tętniła muzyka. Majella zaczęła tańczyć i wtedy nagle zobaczyła rogi. Były na głowie bestii.

Bestie wychodzą z puszczy. Wyczuły, że zbliża się czas Rytuału.

Uwagę Adlera zwróciła kobieta w kamuflażowym kombinezonie. Nie widział dokładnie jej twarzy, gdyż przysłaniała ją nasunięta głęboko na czoło czapka z daszkiem. Spod czapki spływały jasne włosy. Kobieta była przebrana za łowcę: w ręce trzymała niedbale kuszę, do plecaka przytroczyła imponujące poroże. Była dobrze zbudowana, jak żołnierz.

Spodobała się Adlerowi. Dziewczyna w jego typie. Szkoda, że był tu w interesach, a nie żeby się zabawić.

Kobieta przystanęła przy murach i rozglądała się wokół, jakby czegoś wypatrywała. Wszędzie tłoczyli się imprezowicze, po ich twarzach jeździły snopy kolorowego światła z reflektorów. Ogłuszająca muzyka odbijała się potężnym echem od ruin.

Nagle kobieta uniosła do góry dłonie. Adler zauważył, że miała przy sobie radio, jakim zwykle posługuje się wojsko, policja czy myśliwi. Chociaż pewnie to była tylko atrapa.

Spojrzał w kierunku, w którym patrzyła kobieta i zobaczył mężczyznę, przepychającego się przez tłumek młodzieży. Jeden rzut oka na tego faceta i wszystko było jasne. Idealnie się dobrali: on też był dobrze zbudowany i przebrany za łowcę. Miał nawet taką samą kuszę. Trudno było określić jego wiek, bo połowę twarzy przysłonił kamuflażową chustą.

Zniechęcony, Adler odwrócił od nich wzrok.

Myśliwskie stroje zakochanej parki przypomniały mu o Hienie. Miał już taki odruch, że co chwilę wyciągał telefon, by sprawdzić położenie zwierza. Tej nocy był na innej misji, lecz nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć, gdzie hasa

cwana bestia. Zsunął maskę i spojrzął na ekran. Powiększył obraz i zmarszczył brwi.

Hiena była w Pelham.

W otaczającym go łomocie nie miał szans usłyszeć alarmu, który włączał się za każdym razem, gdy zwierz wkraczał na pastwiska pod miasteczkiem. Tak, to rozumiało, że go nie usłyszał. Lecz coś innego go zaniepokoiło. Pochylił głowę i przez chwilę uparcie wpatrywał się w ekran, aż wreszcie ustalił, co było nie tak. Hiena przemieszczała się zbyt szybko.

Malutki punkcik śmigał po mapie z prędkością, jakiej Adler nie obserwował dotąd u tego zwierza. Może Hiena przed czymś uciekała?

Ktoś go popchnął, jakaś banda rozwrzeszczanych małych. Te też były umazane farbami i błotem. Ich nagie plecy były pokryte orientalnymi tatuażami.

Adler przesunął się w nieco ustronniejszy zakątek. Przystanął pod poszczerbioną ścianą klasztoru, tam, gdzie wcześniej stała kobieta przebrana za łowczynię. Ponownie spojrzął na ekran.

Teraz Hiena pędziła, nie wiedzieć czemu, główną drogą, wiodącą z Pelham do Plumton. Dlaczego biegła po ulicy??

Punkcik mignął na mapie koło ostatnich farm Pelham, następnie przemknął obok salonu Rolls-Royce'a i posesji Eddie'ego Harlingtona, zwanego „Człowiekiem z pogranicza”. Przemieszczał się pewnie i szybko, nie zbaczał z drogi. Był jak strzała w locie albo rozpędzony samochód. Wpadł do Plumton, a tam od razu skręcił w boczną uliczkę. Adler śledził poczynania zwierza z rosnącym niedowierzaniem. Znał tą drogę. To tamtędy jechał w miniony poniedziałek za wojskowym konwojem.

Droga prowadziła na mokradła pod Zamkiem Bazina.

Majella przekroczyła bramę Świątyni.

Świątynia była wypełniona ludźmi i zwierzętami. Wszyscy przybyli, by wziąć udział w Rytuale. Ludzie byli nadzy i strasznie kolorowi, Majella nie wiedziała, że może istnieć tyle barw. No ale to był Raj.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Ailith.

Przenikały ją dźwięki. Sprawiały jej ból. Czuła, jakby każdy dźwięk przekuwał jej skórę i wdierał się do delikatnych wnętrzości. Zachciało jej się wymiotować.

Punkcik na mapie migotał teraz w miejscu. Hiena dotarła na Zamek.

Adler potarł mocno oczy i spróbował się skupić. Nie było to łatwe: otaczał go hałas, po oczach biły światła reflektorów. W jego głowie łomotały hipnotyczne dźwięki trance'u.

Doszedł do wniosku, że Hienę ktoś uprowadził. Najpewniej nawet ubił i zawiózł zwłoki na Zamek. Trasa, którą pokonało zwierzę, była trasą samochodową. To jasne, że Hiena sama tamtędy nie biegła, lecz ktoś wiózł jej cielsko w bagażniku. Kto? Bazin?... Skąd wiedział o Hienie? Czy od dawna na nią polował?

Adler potarł czoło w roztargnieniu i na sekundę przymknął oczy. Kiedy je otworzył, sygnał GPS zniknął.

– Co jest?! – mruknął chłopak.

Odświeżył mapę, lecz sygnału nie było. Czyżby nadajnik na obroży Hieny znowu się popsuł? Nie, to było mało prawdopodobne. To nie mógł być przypadek, że sygnał zniknął właśnie teraz. Ktoś musiał wyłączyć nadajnik.

Na Zamku już wiedzieli, że zwierz był śledzony.

Ailith, jak zwykle w Raju, miała platynowe włosy, długie, białe rzęsy i niebieskie wargi. Jej skóra mieniła się jak brokat. Była bardzo piękna.

Siedziała w centrum Świątyni, na małej wyspie pośrodku okrągłego stawu. Bił od niej blask jak od rozpalonej gwiazdy.

Odkąd wypita krew Ady, Ailith stała się nieśmiertelna. Bo Ada nie była zwykłym pudłem. Ada była zaklętą bestią, która przybyła z Raju, by podarować Ailith nieśmiertelność. Tak mówiła Ailith.

Wspólnie zabiły Adę. Ailith mówiła, że Ada umarła tylko w tym drugim świecie. W Pelham. W Raju Ada odrodziła się i przybrała nową postać. Może nawet jest teraz gdzieś tutaj?

Majella nie wypita eliksiru nieśmiertelności. Bała się pozostać w Raju na zawsze. Bo Raj stał się ostatnio bardziej mroczny. Bała się o tym powiedzieć Ailith...

Bała się jej powiedzieć, że Raj ją przerażał.

Wewnątrz ruin było straszliwie tłoczno. Obnażone ciała lepiły się do siebie, jedno spocone, inne przerażająco zimne i pokryte gęsią skórą. Wszyscy byli podnieceni i zdawali się na coś czekać.

Na platformie pod przeciwległą ścianą klasztoru wyżywali się na swoim sprzęcie muzycy. Elektroniczny łomot odbijał się ogłuszającym echem od kamiennych murów.

Adler szukał wzrokiem Ailith. To była jej impreza, więc dziewczyna na pewno będzie chciała znaleźć się w centrum uwagi. Musiała być gdzieś tutaj, w tym tłumie. Zaczął przedzierać się do przodu. Ocierał się o lepkie, kolorowe ciała;

na jego czarnej bluzie zostawały tłuste smugi farby i błota. Bezwzględnie i z użyciem siły, torował sobie drogę pośród imprezowiczów. Niektórzy ludzie coś pili, inni palili, jeszcze inni podskakiwali w miejscu, co w panujących wokół ciężkich warunkach miało być substytutem tańca. Zdecydowana większość jednocześnie piła, paliła, skakała i krzyczała na całe gardło. Adler nie odróżniał słów.

Zauważył, że naraz tłum zaczął się przersedzać. Cała zachodnia część murów była pusta i ogrodzona barierkami. Widać stąd było ciemną ścianę lasu, na którą reflektory raz po raz rzucały długie światła. Wszyscy patrzyli gdzieś w bok, w stronę centralnego punktu ruin, którego Adler nie widział ze swojego miejsca. Będzie musiał przebić się na sam przód.

Przeprosił dwie całujące się panny, przyodziane w brokatowe maski i lekkie, migoczące skrzydła. Odepchnął jakiegoś gówniarza w przyłbicy i czerwonej kurtce z lakierowanej skóry. Dopadł do barierki. Przeskoczył przez nią i stanął jak wryty.

W prześwicie w zachodnich murach zobaczył znajomą postać. Postać nijak nie pasowała do tego towarzystwa i do tej imprezy. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Rosjanin, zwany Jegorem, wspierał się butem o krawędź muru i rozmawiał z mężczyzną uzbrojonym w kuszę. Facet z kuszą też wyglądał znajomo. Czy to możliwe, że był to tamten przebieraniec, z którym spotkała się kobieta-łowczyni? W każdym razie, byli bardzo podobni. Albo wymyślili sobie takie same kreacje na ten wieczór, albo... to w ogóle nie byli przebierańcy. Bo po co rosyjski kłusownik rozmawiałby z człowiekiem, który tylko zgrywa łowcę?

Adler bezwiednie gapił się na tych dwóch. Otumaniony

hipnotyczną muzyką, próbował zebrać myśli. Czy to w ogóle był Jegor? Adler musiałby zdjąć swój kamuflaż, by przyjrzeć się mężczyźnie dokładniej. Zaryzykował i zsunął z twarzy czarną, militarną maskę.

Tak, to był Jegor. Nie miał na sobie swojego znaku rozpoznawczego – długiego, wojskowego płaszcza, lecz Adler potrafił bezbłędnie go rozpoznać nawet w jego nowym wdzianku: kamuflażowej kurtce z demobilu, z nadrukowanymi niemieckimi flagami. W przeciwieństwie do swojego towarzysza, Jegor zrezygnował z dekoracji w postaci kuszy. Adler nie widział też, żeby Ruski miał przy sobie jakąkolwiek inną broń. Ale to chyba niemożliwe, żeby kłusownicy przybyli na Wzgórze, by się tak po prostu zabawić...?

Poza tym, jeśli oni byli tutaj, to kto porwał Hienę?

Jegor splunął w bok i zahaczył wzrokiem o Adlera.

Ich spojrzenia spotkały się. Adler pochylił głowę, ale było już za późno: Rosjanin go rozpoznał. Kłusownik zmarszczył ciemne brwi i rzucił coś do swojego kompana. A potem naciągnął czarną półkominiarkę i obaj zniknęli za murami.

Adler zawahał się. Znów miał ochotę ścigać Rosjanina i siłą zmusić go do gadania. Tym razem by mu nie popuścił. Ruski wyśpiewałby wszystko, co wie o zwierzynie w Pelham, łącznie z tym, czy to jego kumple ustrzelili dzisiaj Hienę.

Ale nie po to przyszedł tej nocy na Wzgórze.

Ailith pozdrowiła wszystkich, którzy przybyli, by uczestniczyć w Rytuale.

Przed oczami Majelli błysnęły świetliste promienie i nagle na wszystkie strony świata trysnęły gigantyczne fontanny. Woda mieniła się kolorami tęczy.

Ailith pogładziła dłonią Małą Bestię. Mała Bestia miała być Ofiarą.

Majella wiedziała, że teraz kolej na nią.

Muzyka ustała. Adler usłyszał nagle uwodzicielski głos Ailith.

Wzmocniony mikrofonem, głos dobiegał ze środka ruin, gdzie urządzono coś w rodzaju sceny przygotowanej pod widowisko. Sceneria składała się z pojedynczych, kamiennych kolumn i fragmentów łukowatych portali. W centrum bulgotało błotniste bajoro. U jego brzegów stała ekipa czarnoskórych muzyków z bębnami. Muzycy byli zupełnie nagi; każdemu strategiczną część ciała przykrywał wielki bęben. Obnażone ręce i torsy muzyków pokryte były plątaniną geometrycznych tatuaży. Nieco dalej, w jednym rzędzie prężyli się atletyczni faceci w czarnych maskach zasłaniających usta. Każdy z nich trzymał w jednej dłoni wielką butlę szampana, zaś w drugiej – najprawdziwszą szpadę.

W samym centrum siedziała Ailith, otoczona kółkiem długowłosych, upačkanych błotem dziewczyn. Adler najpierw zauważył, że Ailith jest kompletnie naga. Potem dopiero dostrzegł subtelne dodatki, takie jak złote kółka na stopach i nadgarstkach. Ailith miała zamknięte oczy i dłonie złożone jak do modlitwy. Na jej ciemnych, rozpuszczonych włosach pobłyskiwał prosty, pozłacany diadem.

O co w tym wszystkim chodziło?... Adler nie bardzo słuchał, co mówiła Ailith. Chyba witała gości i zachęcała ich do zabawy.

Faceci w czarnych maskach naraz wystawili przed siebie butelki z szampanem, a potem otworzyli je jednym, błyskawicznym cięciem szpady. Na publikę polały się spienione strumienie. Niezły trik.

Adler nie spuszczał wzroku z Ailith. Na wszelki wypadek ponownie przysłonił twarz militarną maską. Jeden z mężczyzn złożył u stóp dziewczyny jakieś zwierzątko. To chyba była... mała sarenka?

Ailith powoli i kapryśnie przejechała palcem po szyi sarenki. Ten gest wydał się Adlerowi dziwnie złowieszczy. Lecz nagle coś odwróciło jego uwagę. Czerwony reflektor rzucił snop światła na kamienną ścianę za plecami Ailith i Adler zauważył, że ktoś wpina się po murze.

To był Jegor.

Adler natychmiast się zdenerwował, choć sam nie był pewien, dlaczego. Po co Ruski laźł na ten mur? Co zamierzał?... Ze szczytu ściany na pewno był najlepszy widok na cały ten spektakl, ale czy o to chodziło kłusownikowi?...

Przeklęty reflektor zgasł i teraz światła padły na małą osóbkę, wędrującą ku scenie trawiastym przesmykiem pomiędzy murami.

Była to młodziutka dziewczyna o urodzie leśnej wróżki. Stapała boso, miała na sobie zwiewną, postrzępioną sukienkę z niemal przezroczystej tkaniny. Jej długie, bardzo jasne włosy były w nieładzie i stanowiły burzę luźnych loków, warkoczyków i niesfornych fali, poprządkanych jakimiś gałązkami i kwiatami.

Adler zacisnął spocone dłonie w pięści. Serce zabiło mu szybciej: to była Majella. W dłoniach trzymała ogromną maczetę, owiniętą w skrawek czerwonej tkaniny.

W jej głowie przeraźliwie dudniło.

Ktoś bił ją pięściami po czaszce. Każde uderzenie sprawiało jej nieziemski ból.

Zacisnęła powieki i zrobiła kilka ostatnich kroków. Ailith była już na wyciągnięcie ręki. Czekwała na nią. Jej platynowe włosy tak cudownie mieniły się w białym blasku.

Majella przyklęła przed Ailith, opuściła głowę i wysunęła przed siebie ręce. Na jej dłoniach spoczywał Nóż.

Majella bała się Noża. Dawniej w Raju go nie było. Ale Nóż był konieczny, żeby przybył Bóg Lasu.

Ailith zabrała Nóż i przesunęła ostrze po szyi Małej Bestii. Czerwona krew trysnęła po murach Świątyni. Krew, wszędzie krew. Czy tyle wystarczy, żeby zwabić Boga Lasu? Czy przyjdą inne bestie?

Majella zaczęła drżeć. Bała się bestii. Bała się Boga Lasu. Chciała to wykrzyczeć, ale nie mogła. Nie mogła zepsuć Rytuału.

Wykopali wielki dół. Do dołu wrzucili głowę Ofiary. A potem inne głowy, całe mnóstwo głów. A potem zapłonął wielki ogień. Głowy znikwały w płomieniach. Majella sama chciała zniknąć.

Ailith kapała się we krwi i przywoływała Boga Lasu. Jej głos był potężny, każde słowo przeszywało Majellę na wskroś.

A potem zabrzmiały inne dźwięki. Głośne, zdeformowane, straszliwe. I zaczęli dotykać Majellę i mazać jej ciało krwią. Coraz więcej ją dotykali i coraz więcej mazali krwią. Nie chciała tego. Zasłoniła głowę rękami. Krzyczała.

Pojawił się Wielkolud. Miał węże zamiast włosów.

Majella bała się węży i bała się Wielkoluda. Czy on także był bestią?

Wielkolud szarpał Majellę, widziała go coraz wyraźniej. Węże na jego głowie skurczyły się, ale tylko trochę. Wciąż były ciemne, wijące się i straszne. Wielkolud szarpał, a Majella krzyczała. Czuła ból, ale nie taki, jak czasem odczuwała w Raju. Ten ból kojarzył jej się z drugim światem. Ten ból był... prawdziwy.

I wtedy nagle wyrósł przed nią człowiek z twarzą całą zamazaną na czarno. Człowiek uniósł czarne ręce i zabił Wielkoluda. Czy ten człowiek też był w połowie bestią?... Majella zaczęła płakać. Szlochała i czuła na wargach słony smak łez. Nigdy przedtem nie płakała w Raju.

Podniosła oczy na człowieka z czarną twarzą, lecz jego twarz nie była już czarna. Teraz jego twarz... Teraz on...

Co ON tu robił??... Jak się tu dostał? Majella nigdy przedtem nie widziała go w Raju. On był przecież... z tego drugiego świata.

Zagrzmiały bębny.

Wszyscy patrzyli, jak Majella klęka i podaje Ailith maczetę. Dziewczyna teatralnym gestem zrzuciła czerwoną chustę, którą owinięta była szeroka klinga noża.

Adler brutalnie odepchnął paru gapiów i znalazł się teraz na wprost „sceny”. Czy powinien przeskoczyć przez barierkę i zatrzymać to wszystko, nim będzie za późno?... Wystarczyłoby wyrwać Ailith maczetę. Ta dziewczyna była niepoczytalna.

Zerknął z ukosa na napakowanych facetów ze szpadami. Czy ich rola była wyłącznie dekoracyjna: otworzyć szampana

i prężyć klatę?...

Nim się namyślił, Ailith uniosła oburącz maczetę. W jej oczach płonęło szaleństwo. Krzyknęła coś o ofierze i opuściła ciężkie ostrze na szyję sarenki. Ludzie wrzasnęli, nie jakoś panicznie, raczej z podniecenia. Wszyscy byli porządnie narąbani. Zadudniły bębny. Łeb potoczył się po trawie.

Ktoś zwymiotował pod nogi Adlera. Chłopak zaklął i walnął bezczelnego typa w zarzygany nos. Zrobiło mu się trochę głupio, kiedy zobaczył, że przyłożył dziewczynie. No cóż. Po co się pchała do pierwszego rzędu, skoro ma słaby żołądek? Krwawe widowiska nie są dla wszystkich. Nie wystarczy być naćpanym do obłędu.

Pośpiesznie przeniósł wzrok na scenę. Obawiał się dalszego udziału Majelli w tym spektaklu.

Majella zamarła. Adlerowi wydało się, że widzi, jak pod cienką sukienką dziewczyny dygoczą jej drobne ramiona. Ubłocone panny pochwyciły łeb, z którego krew lała się jak z kranu. Przybiegły jakieś sprężyste golasy i zaczęły kopać dół. Własnymi rękami.

Po chwili ich ręce były czarne aż po łokcie.

Ailith tymczasem wpadła w trans. Zaczęła wykrzykiwać coś w szamańskim języku, wycierając o swe piersi zakrwawione ostrze maczety. Wyglądała jak opętana czarownica. Bębniarze akcentowali każde słowo mantry. Tłum zaczął podchwytywać pojedyncze frazy.

Adler zastanawiał się, czy będą jeszcze inne ofiary. W zasięgu wzroku nie widział potencjalnych kandydatów. Chyba, że Ailith nie poprzestanie na zwierzętach. Była przecież porządnie szurnięta.

Dół był gotowy. Dziewczyny wrzuciły tam sarni łeb

i podłożyły ogień. Buchnął cuchnący dym.

Ailith rozłupała maczetą brzuch sarny i zaczęła mazać się krwią. Jej asystenci poszli w ślady szamanki. Adler patrzył z obrzydzeniem i niedowierzaniem, jak zanurzają dłonie w ciepłym jeszcze, bulgoczącym brzuchu sarny, a potem wzajemnie wcierają w siebie krew ofiary. Ailith zaczęła przywoływać jakiegoś boga lasu. Adler miał ochotę wtargnąć na scenę i własnoręcznie unicestwić dziewczynę. Był w stanie zrobić wszystko – byle tylko skończyć ten obłąkany spektakl.

Uniósł oczy i zobaczył Jegora. Rosjanin siedział okrakiem w łukowatym oknie wykutym w klasztornej ścianie. Wyglądało to trochę tak, jakby przyglądał się widowisku z kamiennej łoży.

Lecz Jegora nie obchodził show stukniętej Ailith. Patrzył gdzieś w dal i machał ręką, wyraźnie dając komuś znaki. Adler przebiegł wzrokiem po murach. Kątem oka dostrzegł ciemną figurę, przemykającą u stóp kamiennej ściany. Figura rozplynęła się w czerni. Adler rozejrzał się dookoła. Po oczach uderzył go ostry blask reflektorów.

Bębny ustały. Ryknęły pierwsze dźwięki trance'u.

Ludzie zaczęli piszczeć i podrygiwać. Adler ze złością przeskoczył przez barierkę i powiódł wzrokiem po murach klasztoru. Zauważył paru przyczajonych ludzi, których wytypował jako kumpli Ruskiego: wszyscy mieli na sobie niepozorne, kamuflażowe stroje. Nie rzucali się w oczy. Zdradzała ich tylko broń: kusze i sztucery. Czego tu szukali?? Dlaczego akurat w tym miejscu?

Muzyka tętniła coraz głośniejsze, coraz dynamiczniej. Hipnotyzowała tłum.

Jeden z koleśi ze szpadą wypatrzył Adlera i machnął

wściekle ostrzem, dając mu w ten sposób znak, by chłopak wracał na drugą stronę barierki. Adler chwilowo usłuchał. Nie chciał zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi.

Wyciągnął telefon i zerknął na ekran aplikacji do monitoringu. Sygnału z nadajnika Hieny wciąż brak. Czego tu szukali Rosjanie??... Jegor siedział teraz przyczajony w rogu okiennego wykusza. Wsparł rękę o zgięte kolano, w dłoni trzymał lornetkę. Adler widział go tylko w okazjonalnych błyskach rozszalałych reflektorów. Za którymś razem wydało mu się, że Ruski gapi się na niego.

Na scenie zaczęła się orgia ciał umazanych krwią. Adler nie wiedział, czy tak miało być, czy też wszystko wymknęło się spod kontroli. Ailith ogarnął szal. Rozsmarowywała sobie po brzuchu krew swojej ofiary. Wołała pieprzonego boga lasu i kopała i gryzła każdego, kto się nie kwalifikował jako taki. Nie bała się nawet gości ze szpadami, rzucała się na nich z gołymi rękami.

Paru ludzi otoczyło Majellę i nachalnie usiłowało umazać ją krwią sarny, której cuchnący łeb kopcił się nieopodal. Majella obronnie zasłoniła głowę rękami. Adler bez zastanowienia przelazł przez barierkę. Dosyć gapienia się na tych popaprańców. Czas wejść do gry. Poza tym nie był jedynym, który próbował teraz wtargnąć na scenę.

Tuż przed niego wepchał się jakiś tłustawy facet z dreadami. Facet miał obleśny, goły tors, naszpikowany agresywnym piercingiem. Upatrzył sobie Majellę. Podszedł do dziewczyny i spróbował ją wyszarpnąć z tłumku gdzieś na bok. Był bezwzględny:

kiedy stawiała opór, obezwładnił ją grubymi łapami.

Adler poczuł furie.

Doskoczył do tłuściocha, szarpnął go za dredy, a kiedy ten się odwrócił, przywalił mu po mordzie. Raz, drugi, lewy prosty, prawy prosty. I jeszcze pięścią w podbródek. Tłusty zawył, jego jęki pochłonęła ogłuszająca muzyka. Adler nie dał mu ochłonać: kopnął go buciorem w brzuch, rozpruwając podeszwę kolczyki. Oderwały się z mięsem i krwią. Tłuścioch ryknął i wyciągnął ręce ku szyi Adlera, jakby chciał go zadusić. Adler podciął mu nogę kopniakiem. Tłusty padł na ziemię. Adler z trudem opamiętał się wreszcie. Raczej nie chciał zabić tego gnoja.

Odwrócił się, dysząc z wściekłości.

Majella stała obok i szlochała. Chyba nigdy jeszcze nie widział, by okazywała emocje. Coś ją naprawdę musiało poruszyć, skoro produkowała tyle łez.

– Nie płacz – powiedział.

Zabrzmiało to jak rozkaz.

Miał wrażenie, że się go bała. Przypomniał sobie, że wciąż ma na sobie maskę. Ściągnął ją pośpiesznie.

Tymczasem tłuściochem z dredami zaczęli się interesować co poniektórzy goście ze szpadami. Może pełnili niewdzięczną i raczej bezcelową rolę ochroniarzy na tej imprezie.

Adler szybko pociągnął Majellę za rękę.

– Chodź! – rzucił. – Spadamy stąd.

Ruszyła za nim z wyraźnym oporem.

Adler musiał ją niemalże wlec: z powrotem w tłum, by zniknąć z oczu tłuściocha i ochraniarzy, a potem przez tłum – w stronę zachodnich murów, gdzie było bezludnie. Majella cały czas wykręcała głowę w stronę sceny, gdzie ekipa Ailith prezentowała właśnie jakiś orgiastyczny układ choreograficzny.

– Nie gap się tam! – warknął bezlitośnie Adler. – Na dzisiaj już dosyć twoich popisów na scenie! – Był na nią wściekły. Nie tak bardzo, jak na pomysłodawczynię całej tej szamańskiej zabawy, ale jednak.

Wyciągnął ją za rozłupany mur. Tu nie docierały światła reflektorów. Było ciemno, bił chłód od lasu. Pogłos muzyki był ogłuszający. Adler musiał krzyczeć, by mieć pewność, że Majella go słyszy.

– Czy wiesz, dlaczego twój dziadek zaprosił mnie do Anglii?
– ryknął dziewczynie w ucho.

Majella nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Patrzyła gdzieś przed siebie nieruchomym wzrokiem, bezgłośnie pochlipując. Sprawiała wrażenie, jakby znajdowała się w kompletnie innym świecie. Fantastycznie, ta też coś ćpała.

Adler z frustracji rąbnął pięścią w mur. Zabolało, to był niepotrzebny wyskok. Powinien bardziej szanować pięści, jeszcze mogą się przydać na tej imprezie.

– Twój dziadek – ryknął ponownie – zaprosił mnie do Anglii, ponieważ uważał, że coś niedobrego dzieje się na Wzgórzu świętej Anny!

Majella milczała, niewzruszona.

– Opowiadał o dziwnych dźwiękach dobiegających z ruin na Wzgórzu – ciągnął Adler. – O tym, że odkrył tu strzępy odzieży i kawałki zepsutego mięsa. A potem pisał do mnie jednej nocy, prosząc, bym jak najszybciej przyjechał, bo jego zdaniem zostałaś zaatakowana na Wzgórzu! – Spojrzał w oczy Majelli, by sprawdzić, czy ta informacja zrobiła na niej jakiegokolwiek wrażenie.

Dziewczyna mrugnęła wolno doklejonymi rzęsami. Rzęsy były różowe i kokieteryjnie wywinięte. Adler odwrócił od niej

wzrok. – Twój dziadek miał lęki, nie mógł spać, ty tymczasem zabawiałaś się w szamankę! – syknął. – Ile zwierząt posiekałyście razem z Ailith, co?! Takie rzeczy cię kręca: podrzynanie gardeł wiewiórkom i bieganie nago po lesie?! Ten pies, ten cały „potwór z Pelham” to też wasze dzieło?!

Majella przykucnęła i położyła głowę na kolanach. Adler nie był pewny, czy go w ogóle słuchała.

Za mur wytoczyła się jakaś grupka czarnoskórych dziewczyn w tandetnych, świecących kreacjach. Dziewczyny rzygnęły symultanicznie w trawę. Poklepały się wzajemnie po plecach i spróbowały z powrotem wbić się w tłum.

– Powiem ci, co zrobisz – rzucił Adler do kulającej się w dole Majelli. – Jutro wyjaśnisz wszystko swojemu dziadkowi. Jeśli tego nie zrobisz, ja będę musiał. Bo ktoś musi powiedzieć mu prawdę.

Majella drgnęła. Oplotła kolana cienkimi rączkami i ukryła twarz w fałdach sukienki.

Adler zawahał się. Może był dla niej zbyt ostry?... Nie! Musiał być stanowczy. Musiał być stanowczy, bo...

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale w Pelham dzieją się rzeczy o wiele groźniejsze niż wasze zabawy. Włóczęc się po tutejszych lasach, ty i Ailith igracie z ogniem. Rozumiesz?! – ryknął i sam się zdziwił na dźwięk swojego ochryplego głosu.

Bo muzyka nagle ucichła.

Adler wzdrygnął się i odruchowo rozejrzał dokoła. Wydało mu się, że wzdłuż muru sunie w ich stronę jakiś kształt. Ciemny, bezszelestny, groźny.

A może to było tylko złudzenie. Był zdenerwowany, zaczynały mu się roić fantastyczne obrazy.

W ruinach ponownie zadudnił wzmocniony głos Ailith.

Ailith przywoływała Boga Lasu. Majella musiała być teraz przy niej!

Wstała, nogi miała dziwne, miękkie, jak kostka cukru w gorącej herbacie. W Raju nie było herbaty – w Raju piło się eliksiry. Ale teraz Raj zaczął się nagle mieszać z drugim światem. Tym, z którego przybyła Majella. I tym, z którego przybył ON.

Wbiegła z powrotem do Świątyni.

Ailith kąpała się we krwi Ofiar. Była cała czerwona.

Nagle wydała się Majelli brzydka. Po raz pierwszy... po raz pierwszy, odkąd się poznały, Ailith wydała się Majelli brzydka. Była potworna. Cała we krwi.

Wiedźma!

Ale Bóg Lasu, który w połowie był przecież brutalną bestią, mógł się zakochać tylko w czarownicy. Ailith o tym wiedziała. Obmyślony przez nią Rytuał był genialny. Bo Bóg Lasu przybył.

Nareszcie – przybył! I porwał Ailith.

Na dźwięk głosu Ailith, Majella poderwała się nagle i jak dzika popędziła trawiastym przesmykiem w stronę sceny.

Adler rzucił się za nią. Dopadł dziewczynę w połowie drogi, lecz nie chciał się z nią szarpać. Pomyślał, że musi szybko uknuć jakiś sprytny sposób, by zgarnąć ją z tej imprezy i dostarczyć w ręce dziadka. A przynajmniej bezpiecznie odstawić do domu.

Majella przystanęła tuż pod sceną i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w widowisko. Teraz na scenie znajdowała się

tylko jedna aktorka – Ailith.

Ailith była cała umazana krwią.

Dosłownie: cała. Od stóp po czubek głowy. Szamanka skąpana we krwi swoich ofiar. Tłum gapił się na nią, chyba zafascynowany.

Niektórzy robili zdjęcia.

Adler zauważył, że po scenie poniewierało się teraz więcej poszatkowanych trucheł. W większości jakieś małe, makabrycznie pokiereszowane zwierzątka.

Ailith była w transie i śpiewała coś niskim, monotonnym głosem. Adler nie rozumiał słów, zauważył tylko, że się powtarzały.

Jakaś pieprzona mantra.

„Boże, ja chcę do Szkocji!...”, pomyślał mimowolnie i westchnął.

Szkocja, kraj prostych, nieskomplikowanych ludzi. Żaden Szkot nie wymyśliłby takiego cyrku. W krainie Szkotów nie było miejsca dla kreatywnych pomysleńców.

Z tych krótkich, nostalgicznych rozważań wyrwał go chrapliwy dźwięk.

Majella nagle ścisnęła go mocno za ramię. Zrobiła co całkiem bezwiednie. Nie patrzyła na niego. Patrzyła w kierunku lasu.

Adler odwrócił się, by spojrzeć tam, gdzie ona.

I naraz wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie.

W trawiasty przesmyk między barierkami wpadł olbrzymi zwierz. W czerwonym świetle reflektora Adler zobaczył rozchylony pysk, napakowany ostrymi jak groty włóczni zębami. Zobaczył też kosmaty łeb zwierza i nieforemny garb

na jego grzbiecie. Hiena! Nie ta, którą śledził, bo ona była na Zamku. Prawdopodobnie, zresztą, martwa. Przed sobą miał inną bestię, być może z tej samej co Hiena watahy.

Nagle, w jednej krytycznej sekundzie przypomniał sobie wszystkie postrzępione cienie i figury, które przesuwają się w leśnej gęstwinie, kiedy wbiegał na Wzgórze i które widział też tutaj, pod murami klasztoru. Może to nie były tylko jego urojenia? Może wokół ruin krążyło stado wygłodniałych zwierząt?... Może za chwilę wszystkich tych ludzi zaatakują krwiożercza wataha?

Bestia popędziła naprzód, pustym przejściem wiodącym w stronę sceny. Jej wielkie łapy uderzały bezszelestnie o trawę, z jej olbrzymich płuc wydobywało się chrapliwe sapanie. Z początku nikt jej nie zauważył. Nikt – prócz Majelli i Adlera, którzy stali pod sceną.

Zwierz biegł prosto na nich dziwnie nierytmicznym kłusem, jak gdyby był ranny lub dezorientowany. Parę razy zarzucił cielskiem o barierkę oddzielającą przejście od tłumu. Łomot zwrócił uwagę imprezowiczów, którzy tłoczyli się najbliżej. Rozbrzmiały okrzyki zaskoczenia. Rozbrzmiały... śmiechy.

Adler prędko pochwycił Majellę i dosyć brutalnie przepchał ją na drugą stronę barierki. Nie było czasu na dobre maniery. Sam skoczył w tłum na oślep, taranując ludzi buciarami.

– Ailith!!! – wrzasnął ktoś przerażonym głosem. – Ailith!!!...

Ailith, wybita z transu, uniosła półprzytomnie powieki. Siedziała po turecku, skąpana w drgającym, nierealnym blasku imprezowych lamp.

Adler wiedział, że jest już za późno. I wtedy zobaczył strzałę przecinającą rozedrgane, czerwone powietrze. Strzała mignęła tuż obok zwierza i wbiła się w trawę, dobry metr od

celu. Adler zaklął, rozczarowany. Ktokolwiek zamierzał unicestwić zwierza, zmarnował ostatnią szansę.

Zwierz ryknął i machnął dziko łbem, oszołomiony ostrymi światłami na scenie. Przez tłum przetoczył się pomruk. Większość gapiów dopiero teraz zobaczyła zwierzę. Nikt nie wydawał się przerażony, nikt nie panikował. Nikt nie oglądał tego spektaklu na trzeźwo.

Bestia wtargnęła na środek sceny. Uniosła łeb i pociągnęła rozdętymi nozdrzami. Czuła krew. Dużo krwi. Ailith zlustrowała bestię mętym wzrokiem i rozchyliła umazane czerwoną posoką ramiona.

– Bóg Lasu!... – krzyknęła ze wzruszeniem.

Nie trzeba chyba dodawać, że były to jej ostatnie słowa.

Bestia powaliła dziewczynę, wbiła kły w jej kark i rozpruła tętnicę. Tłum zamarł. Jakiś naćpany szaman zaczął uderzać w bęben. Adler ścisnął rękę Majelli, zastanawiając się gorączkowo, jak najsprawniej wycofać się spod sceny.

Rozejrzał się i przed jego oczami mignęło nagle wirujące ostrze. Ostrze poszybowało w stronę zwierza i dźgnęło go w grzbiet. Zwierz drgnął i zeszywniał. Z gąszczu grzywy na jego karku sterczała masywna rękojeść.

Adler znał jednego człowieka, który tak dobrze posługiwał się toporkiem. Ale może była to popularna umiejętność wśród rosyjskich łowców?

Odruchowo zerknął na okienny wykusz w klasztornej ścianie – tam, gdzie widział ostatnio Jegora. Ale wykusz był teraz nieoświetlony, a nie było czasu na dalsze obserwacje.

Zwierz na scenie potrząsnął spazmatycznie łbem. Z jego karku toczyła się krew. Zawył przeraźliwie, boleśnie. A potem machnął wściekle łapą i Ailith – a może już tylko jej zwłoki –

zsunęła się do błotnego bajora i zanurzyła w jego głębinach.

Zwierz zaryczał przeciągle i usunął się w cień. Adler zobaczył, jak bestia chwiejnym krokiem oddala się trawiastym przesmykiem, zapewne by paść gdzieś w lesie, z dala od ludzi. Jej sylwetka to pojawiała się, to znów nikła w chaotycznych snopach czerwonego światła. W jednej takiej migawce Adlerowi wydało się, iż widzi, jak do ranionej bestii podchodzi drugi zwierz. W głowie zakołatało mu pytanie: czy tych potworów jest tutaj więcej?...

Zagrzmiała muzyka, chyba przez jakąś koszmarną pomyłkę. Czy ci wszyscy ludzie nie zdawali sobie sprawy z tragedii, która właśnie miała miejsce?!... Czy Adler był jedynym trzeźwym człowiekiem na tej planecie??...

Majella stała w dziwnym otępieniu. Adler usłyszał pojedyncze krzyki. Tuż obok ktoś spanikował i darł się wniebogłosy, lecz jego wrzaski zagłuszyło hipnotyczne dudnienie. Większość ludzi podrygiwała w rytm trance'u. Zupełnie jakby przełączyli kanał – z krwawego spektaklu na dobrą muzę. A tymczasem w bajorze tonęła Ailith, jej krew mieszała się z błotem, zaś wokół panoszyły się drapieżne potwory...

Adler miał wrażenie, jakby wylądował w jakimś surrealistycznym świecie. Wyciągnął telefon, by dzwonić po karetkę, lecz na Wzgórzu nie było zasięgu. Trzeba będzie pędzić po pomoc do Pelham.

Na scenę wbiegli jacyś ludzie, rozpoznał wśród nich facetów ze szpadami. Gdzie były te szpady, gdy dziewczynę rozszarpywała bestia?!... Ktoś dotknął sztywnej ręki Ailith, wystającej z bajora i zaczął się drzeć. Nie było go słychać, zamarł w niemym krzyku jak groteskowy człowiek z obrazu

Muncha.

Adler uznał, że nie ma co zwlekać. Zaraz tych wszystkich ludzi ogarnie fala paniki.

– Chodź! – rzucił do Majelli i utorował jej drogę do barierki.
– No, chodź!! – powtórzył niecierpliwie i pociągnął ją za rękę jak uparte dziecko.

Przeleźli przez barierkę i Adler skręcił w prześwit wiodący w stronę lasu. Mógł się tylko modlić, by za murami nie czyhał raniony zwierz. Ani też żaden z jego kompanów z watahy.

Zaczął biec, ciągnąc za sobą Majellę. Rozszalałe reflektory ciskały w nich snopy jaskrawego światła jak na nocnych zbiegów z więzienia.

Za murami panowały ciemności. Tu rozpoczynał się czarny las. Między drzewami mignęły światła latarek. Adler dostrzegł kilku mężczyzn z kuszami. Kłusownicy z Zamku. Czyżby ścigali ranną bestię? Mężczyźni dawali sobie jakieś sygnały, niektórzy pokrzykiwali coś przez krótkofalówki. Ich słowa momentalnie pochłaniała dudniąca muzyka. Adler odniósł wrażenie, że kłusownicy są mocno podenerwowani: ich gesty były pospieszne i nerwowe, twarze – spięte, czujne, niespokojne. Czy to oznaczało, że ludziom na Wzgórzu groziło poważne niebezpieczeństwo?...

Majella przystanęła, przestraszona. Nie chciała zrobić ani kroku dalej w czarny las.

– Co jest?! – rzucił niecierpliwie Adler. Nie mieli teraz czasu na terapię lęku ciemności.

Majella zadrżała.

– Boję się Boga Lasu – powiedziała nieśmiało.

Czy miała na myśli Hienę??

– Bóg Lasu nie żyje – uciął krótko Adler.

– A-ale... Jak to?... Ale Ailith...

„Ailith też nie żyje”, pomyślał ponuro Adler. „Sama oglądałaś jej śmierć...”

Majella chyba wciąż jeszcze nie uzmysławiała sobie tego straszliwego faktu. Kiedy miną jej halucynacje, rzeczywistość runie na nią jak ciężki, szary głaz.

– Chodź! – ponaglił Adler. – Musimy jak najszybciej dostać się do Pelham.

Po drugiej stronie murów było niemal pusto. Kłusownicy poznikali w lesie. Gdzieniegdzie błąkali się nieliczni imprezowicze. Snuli się po ciemnych chaszczach, pijąc i popalając to i owo, albo leżeli półprzytomni na ziemi lub w swoich samochodach.

Adler rozglądał się dokoła niespokojnie. Gdzieś tu, za tą czarną ścianą gęstwiny, czaiły się bestie. Kto wie, ile ich przylazło na Wzgórze? Może tej nocy kroić się powtórka z masakry na farmie Sturridge’a...

Gdy Adler i Majella mijali grupkę sportowych kabrioletów, muzyka w ruinach nagle ustała. Zrobiło się nienaturalnie cicho.

Słyszeć było tylko dokuczliwe dzwonięcie w uszach.

A potem rozbrzmiały okrzyki. Głośne, masowe, nieartykułowane – jak szum podczas meczu. Tłum chyba wreszcie pojął, że doszło do tragedii... Zaraz z ruin wyleją się setki niepoczytalnych imprezowiczów.

– Szybko! – Adler szarpnął Majellę za dłoń i poprowadził ją przesmykiem pomiędzy zaparkowanymi chaotycznie autami.

Mijali właśnie zabytkowy kabriolet z rozgruchotaną maską.

W fotelu kierowcy spał zmizerowany chłopak w białej, sędziowskiej peruce. Jego kumple rozwalili się na tylnym siedzeniu, jeden z nich wciąż ścisnął świetlny miecz.

Za drzew dobiegł przenikliwy krzyk. Był diaboliczny, nieludzki. Majella zadrżała, Adler mocniej ścisnął jej dłoń. Jego wzrok padł na złote porsche. Teraz nie było już tam długowłosych dziewczyn, a ten pieprzony król leżał w rozsypce na ziemi, opierając obolałą głowę o złotą felgę. Jego korona poniewierała się gdzieś w trawie.

W głowie Adlera zaświtał pewien pomysł. Podniósł koronę i podciągnął króla do pozycji siedzącej.

– Stary, pożyczę sobie twój wóz – poinformował go uprzejmym tonem.

Król wybełkotał coś i zajęczał żałośnie.

Adler nasunął mu koronę na głowę i poklepał po ramieniu.

– Chodź! – rzucił do Majelli. – Za pięć minut będziemy w Pelham!

Kluczyk porsche tkwił w stacyjce. Adler ruszył ostro, mimowolnie delektując się rykiem silnika, podkręcanym przez cztery rury wydechowe.

Za murów klasztoru zaczęli wysypywać się ludzie. Może doszło tam do kolejnej tragedii: wataha zaatakowała tłum? A może kłusownicy wtargnęli z kuszami i rozpoczęli akcję na całego? Kątem oka Adler dostrzegł grupę szlochających dziewczyn. Szlochały teatralnie i przesadnie niczym greckie płaczki.

Porsche pognało ciemnym lasem w dół Wzgórza. Trasa była podstępna: koleiny, wąskie przesmyki, tor przeszkód z pni drzew. Adler starał się trzymać drogi wytyczonej uprzednio przez auta imprezowiczów. Po drodze nie spotkał już Rosjan

z Zamku. Po rannej bestii także ślad zniknął, pewnie padła gdzieś w kniei. Wszystkie inne zwierzęta gdzieś się pochowały. Las był czarny, cichy i straszny jak olbrzymi, pusty grobowiec. Tylko czy naprawdę był pusty?...

Adler zaparkował u stóp Wzgórza, w widocznym miejscu tak, by król nie szukał potem zbyt długo swej świecącej zabawki.

Wysiedli z auta. Daleko, w gęstwinie zamigotały niebieskie światła. Co to było: pogotowie, policja...? Kto ich wezwał? Samochody nie jechały na sygnale. Może to i nic dziwnego – w końcu był środek nocy. Pelham spało, nieświadome dramatu, jaki rozgrywał się na Wzgórzu.

Kiedy ciągnął Majellę przez zaułki do domu, Adler nie mógł się nadziwić, jak spokojne i niewinne zdawało się pogrążone we śnie miasteczko. W oknach świeciły uśmiechnięte dynie, księżyc rzucał bladą, bajkową poświatę na ceglane kamieniczki i kryte strzechą chaty. Ale ten spokój nie będzie trwał już długo. Za parę godzin wstanie nowy dzień, a wtedy ze Wzgórza spełźnie koszmarna prawda.

Ailith Love została zabita przez bestię.

NARADA

Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Adler

W OSTATNIEJ DEKADZIE niewiele było w Pelham zdarzeń, które ściągnęły do Ratusza wszystkich radnych i większość

mieszkańców miasteczka.

Do zdarzeń tych zaliczały się głośne, kontrowersyjne sprawy, takie jak słynne porwanie jedynego syna sir Alana Leigh-Morrisa lub pamiętny pożar w kultowym pubie King's Head. Narady zwoływane po fakcie służyły głównie temu, by uwolnić kreatywność mieszkańców Pelham. Na takiej naradzie każdy mógł snuć spekulacje i bez obaw ciskać oskarżeniami. Każdy mógł dorzucić swoje trzy grosze i wylać, co mu leży na sercu. Nic zatem dziwnego, że tego typu zebrania przyciągały tłumy. Czasem zresztą taka wspólna burza mózgów przynosiła nieoczekiwane korzyści.

Tak było w przypadku porwania młodego Henry'ego Leigh-Morrisa. Ktoś na sali rzucił, że chłopca trzymają na zamkniętej farmie, ktoś inny wyraził przekonanie, że Henry'ego zgarnął nie kto inny, jak jego rodzony stryj, zazdrosny o tytuł i majątek. Jeszcze kto inny zasugerował niezobowiązująco, iż rzeczony stryj to pazerny pedofil. Wszystko to okazało się prawdą i w dodatku pomogło pojmać sprawcę. Autorzy oskarżeń byli z siebie dumni.

Nieco gorzej mieszkańcy popisali się w przypadku pożaru w pubie. Tu dość szybko okazało się, iż nie było to celowe podpalenie, za którym stała konkurencja z „Białego Lwa” w Plumpton. Przyczyna pożaru była bardziej prozaiczna: chłopak z obsługi zapomniał wyłączyć nagrzaną frytkownicę. Joe Goodman wyrzucił nieszczęsnego kuchcika z roboty, wieszcząc mu, że nie zrobi już kariery w porządnym lokalu gastronomicznym. Ale czy nie podobnymi słowy straszono za młodu znanego hotelarza

Ritza [\[89\]](#)?

Sporą publikę w Ratuszu miały również narady

poprzedzające ważne wydarzenia. Publiczne konsultacje towarzyszyły zwykle bardziej spektakularnym projektom, takim jak wizyta świętej pamięci Lady Di w miasteczku czy budowa prywatnego lądowiska helikopterów na Zamku. Księżna Diana gościła przez jedną pamiętną noc u swego dobrego przyjaciela, Cecila Pelhama-Torringtona. Wieczorem wzdłuż High Street przemknęła czarna limuzyna Księżnej, otoczona efektownym, policyjnym kordonem. Nie wiadomo jednak, czy Diana zerkała wówczas przez szybę. Nie jest również znane jej zdanie na temat kosztownych dekoracji głównej ulicy, przygotowanych specjalnie na tę okazję.

Wyskok z dekoracjami radni Pelham przypłacili dziurą budżetową.

Co zaś się tyczy prywatnego lądowiska, oficjalnie, wszyscy mieszkańcy Pelham sprzeciwili się budowie, choć ci najbogatsi, na przykład sir Alan Leigh-Morris, liczyli cichcem na precedens. Ostatecznie radni nie zgodzili się z głosem ludu w tej sprawie i zdecydowali, że lądowisko dla helikopterów jest niezbędnym elementem zmodernizowanej infrastruktury Zamku. Od tamtego momentu przewodniczący rady nie cieszył się już dawnym zaufaniem i szacunkiem miejscowych. Mówiono nawet o nim, że jest skorumpowany. W małym angielskim miasteczku było to niebagatelne oskarżenie. Przewodniczący podał się do dymisji, a na jego miejsce wybrano niejakiego Petera Grahama. Peter był znany w lokalnej społeczności: co roku organizował charytatywny bieg z Pelham do Londynu. Dochód z biegu wpłacano na konto fundacji, której założyciele głosili, iż troszczą się o los bezdomnych i kalekich psów.

Tej jesieni Peter jak co roku zaliczył swój bieg, podsumował

datki na kalekie psy i skrupulatnie przelał sumę na odpowiednie konto. Następnie zapakował swój myśliwski ekwipunek i wyruszył do przyjaciół w Szkocji. Zamierzał tam spędzić kilka przyjemnych tygodni, strzelając do górskich zajęcy, kaczek, pardw i łani.

Tymczasem nie minął nawet tydzień, a już obowiązki wzywały go z powrotem. W Pelham doszło do tragedii, która zdeklasowała wcześniejsze niewesołe incydenty: masakrę dyń w Pumpkin Cottage, rzeź bydła na farmie Phila Sturridge'a oraz odkrycie zwłok „potwora z Pelham”. Tym razem w nagłych i podejrzanych okolicznościach zginął człowiek. Młoda dziewczyna, dwadzieścia jeden lat. Nazywała się Ailith Love i od dziesięciu lat rezydowała z ojczymem w posiadłości Red Lions.

Graham wiedział, że śmierć w miasteczku oznacza jedno: sala obrad zapełni się po brzegi. Natychmiast po otrzymaniu złych wieści, spakował się więc i powrócił do Pelham.

W poniedziałek tuż po Halloween przewodniczący zwołał nadzwyczajne zebranie radnych i mieszkańców Pelham. Zebranie miało odbyć się w Ratuszu o godzinie osiemnastej. Zapowiadał się długi wieczór.

Funkcję ratusza od lat pełnił dawny budynek szkolny przy School Lane. Była to romantyczna, wiktoriańska kamienica z czerwonej cegły układanej w jodełkę. Kamienicę wieńczył spadzisty dach, kryty ręcznie wypalaną dachówką, z wieżą zegarową i małą dzwonnica. Odlany w brązie dzwon, który dawniej tak skutecznie terroryzował uczniów Pelham Grammar School, działał po dziś dzień. Punkt osiemnasta zagrział, by oznajmić początek narady.

Sala obrad była pełna, tak jak spodziewał się

przewodniczący rady.

Radni zasiedli za długim stołem, nad ich głowami huśtał się absurdalny sznur trójkątnych chorągiewek – jakby to było wiejskie wesele, a nie kryzysowa narada. Ludzie siedzieli w plastikowych krzeselkach, spóźnialscy tłoczyli się w przejściach i pod ścianą. Tłum szemrał, podekscytowany. Ze wszystkich stron dobiegało głośnie buczenie jak z ula.

Peter Graham odczekał, aż dzwony zakończą łomot, po czym podniósł się ze swego miejsca przy stole. Odchrząknął i powiódł poważnym wzrokiem po zgromadzonych. Szmery na sali stopniowo zamarły.

– Szanowni koledzy – rozpoczął Graham, skinąwszy głową w stronę nastroszonych emerytów, zajmujących pozostałe miejsca przy długim stole. – Drodzy mieszkańcy Pelham! – zawołał do ogółu. – Jest kilka ważnych powodów, dla których zdecydowałem się otworzyć dziś kolejną – tu zerknął do swoich notatek – ósmą już w najnowszej historii Pelham, nadzwyczajną naradę.

Jeden z radnych wybełkotał coś do swojego mikrofonu. Przewodniczący zmarszczył brwi. Nie lubił, kiedy mu przerywano.

– Słucham, Roger? – zwrócił się do kolegi.

– Chciałbym jedynie coś uściślić – wyjaśnił słabym głosem dziewięćdziesięcioletni Roger Ruffley.

Radny Ruffley przez przeszło pół wieku był księgowym i zawsze pragnął wszystko uściślać.

– Tak? – zapytał niecierpliwie Graham.

Ruffley zwilżył językiem cienkie, bezbarwne wargi i poprawił okulary drżącą dłonią.

– Interesuje mnie, od którego roku liczymy najnowszą

historię Pelham? Jaką przyjąłeś tutaj datę początkową, Peter? Pięćdziesiąty trzeci [\[90\]](#)? Sześćdziesiąty piąty? [\[91\]](#)

Przewodniczący nerwowo popukał palcami o blat stołu.

– Czterdziesty pierwszy – rzekł stanowczo.

Ruffley zamyślił się głęboko. Zapewne usiłował dokopać się do wspomnień z czasów swej szumnej młodości. Na sali rozbrzmiały pomruki. Każdy próbował odgadnąć wydarzenie, które definiowało początek nowoczesnego Pelham.

– Tak, tak. To pamiętny rok – pokiwał głową radny Howard.

– Latem nad polami Butlandów widziano UFO.

– Nie, to było w czterdziestym, w czasie bitwy o Anglię [\[92\]](#)

– sprostowała radna May. – W czterdziestym pierwszym na High Street pojawił się duch królowej Wiktorii. Podobno duch wygłosił wówczas słynny pogląd królowej: „Nie interesują nas możliwości porażki”.

– Tak, i w tym samym roku w sklep rzeźnika na High Street wrąbał kanadyjski czołg – przypomniał gderliwie radny Doyle.

– Wszystkie szyby poszły!

Szum na sali wzmógł się.

– Szanowni koledzy! – rzekł ostro przewodniczący. – Przyjąłem umownie rok czterdziesty pierwszy, bowiem wtedy to właśnie Zamek w Pelham odziedziczył świętej pamięci Charles Pelham-Torrington, ojciec ostatniego dziedzica.

– Taa... I zaraz potem oddał go armii – mruknął posępnie radny Doyle.

– Proponuję wrócić do przyjętego porządku narady – podniósł głos przewodniczący. – A zatem – ryknął w swój mały mikrofon – jak już wspomniałem, jest kilka ważnych powodów, dla których zaprosiłem was na dzisiejsze zebranie.

Wszystkie są związane z wydarzeniami minionej soboty. – Na sali momentalnie zapanowała cisza. Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku przewodniczącemu. On zaś kontynuował z powagą: – Jak wielu z was już zapewne słyszało, sobotniej nocy, na Wzgórzu świętej Anny zginęła dwudziestojednoletnia mieszkanka Pelham, Ailith Love. Zginęła, dodam, w okolicznościach tragicznych i wielce podejrzanych. Szanowni państwo, chciałbym, abyśmy dziś wspólnie pożegnali Ailith. Jej nagła śmierć to olbrzymia strata dla naszej społeczności.

Na sali zapanowała niezręczna cisza. Nikt nie znał dobrze Ailith Love. Wychowanka ekscentrycznego bogacza zadawała się wyłącznie z garstką lokalnych arystokratów. Dla większości mieszkańców miasteczka egzotyczna dziewczyna za życia stanowiła jedynie cenne źródło pikantnych plotek. Nikt nie ubolewał szczególnie nad jej tragicznym końcem. Zdecydowanie bardziej intrygujące były same okoliczności śmierci dziewczyny: nielegalna impreza na Wzgórzu, narkotyki, domniemany atak dzikich zwierząt. Podobno na imprezie widziano też ludzi uzbrojonych w autentyczną broń.

– Wielebny John Ellwood wygłosi teraz krótkie słowo pożegnalne – oznajmił uroczyście Peter Graham.

Wielebny z wyraźnym ociąganiem podniósł się ze swojego krzesła w pierwszym rzędzie. Przewodniczący obserwował go czujnie, z podenerwowaniem. Oby wielebny nie odstawił teraz publicznie jakiegoś gorszącego numeru. Nie było łatwo nakłonić go do wygłoszenia przemowy. Ellwood opierał się, jak mógł, nie pomagały prośby i groźby. Powód był prosty: Nick Love i jego wychowanica nie byli przykładnymi parafianami. Żadne z nich ani razu nie pojawiło się na niedzielnym nabożeństwie u Świętego Botolpha. Nikt też nie zwrócił się do

Ellwooda w sprawie pogrzebu dziewczyny. Czyżby nie zamierzali chować Ailith w Pelham? W takim razie opłata za ceremonię pogrzebową przypadnie pewnie jakiejś bogatej, londyńskiej parafii, której skarbiec i tak puchnie od datków.

Ellwood westchnął ciężko i powlókł się w stronę prowizorycznej mównicy.

Błat mównicy przyozdabiało wielkie zdjęcie zmarłej Ailith.

Radni mieli sporo trudności z wyszukaniem stosownej fotografii. Radna May, która podjęła się tego zadania, twierdziła, że absolutnie wszystkie zdjęcia dziewczyny są obsceniczne, skandaliczne albo co najmniej kontrowersyjne. Ostatecznie, zdecydowano się wyciąć głowę Ailith z olbrzymiego plakatu, na którym dziewczyna pozowała nago na rumaku. Plakat wisiał w stajniach Parrotta, w boksie, który należał do konia Ailith.

Wielebny niechętnie rzucił okiem na wycinek wulgarnego zdjęcia. Położył dłonie na mównicy. Była mała, niewygodna; być może odpowiadała lokalnym politykom, ale na pewno była zbyt skromna dla kaznodziejów pokroju Ellwooda. I jak tu przemawiać znad tego tandetnego stolika? O czym tu w ogóle mówić? Nie znał tej dziewczyny. Widywał głównie jej ojca, bo ten zawsze, jak tylko zaglądał do miasteczka, robił wokół siebie tyle hałasu. Bankier z Londynu! I cóż mu teraz po tych wszystkich milionach?...

Ludzie na widowni wpatrywali się wyczekująco w pastora.

Spojrzenie przewodniczącego Grahama było niemal błagalne.

Ellwood wypuścił z ust powietrze i zaczął bez zapału:

– Kiedy przed paru laty po raz pierwszy ujrzałem Ailith... – („Byłem przekonany, że to nieletnia utrzymanka Love’a.

Egzotyczny import z Afryki.”) – ...pomyślałem, że to anioł. Była tak piękna, promieniała radością, życiem. To życie zostało jej brutalnie odebrane. – Wielebny umilkł. Wszyscy myśleli, że to celowa pauza, lecz pastor po prostu nie miał pomysłu na przekonujący ciąg dalszy. Odchrząknął. – Żałuję, że nie znałem jej tak dobrze jak innych parafian... Żałuję też, że nie dane mi było porozmawiać z jej zrozpaczonym ojcem. Z tego, co wiem, nie ma go dzisiaj tutaj wśród nas.

Istotnie, Nick Love jakoby zapadł się pod ziemię. Od tragicznej nocy, Nick nie odbierał telefonów od swoich lokalnych znajomych, a jego dom zdawał się być zamknięty na głucho. Nie było wiadomo, czy nieszczęśnik pogrążył się w samotnej żałobie, czy też niepostrzeżenie wyjechał z Pelham. W niedzielę o świcie widziano tylko grupę radiowozów zmierzających w stronę posiadłości Red Lions. Ktoś twierdził również, że widział, jak włości Love’a opuszczała dyskretnie ciemna limuzyna z migającym kogutem.

– Ailith czerpała z życia pełnymi garściami. – Ten fakt wielebny zaczerpnął z krótkiej rozmowy, jaką odbył z radną May tuż przed wejściem na salę obrad. Dosłowne słowa radnej brzmiały: „Ta dziewczyna była niczym więcej, jak rozkapryszoną playgirl. Love rozpieszczał ją do granic”. Pastor uznał jednak za stosowne, by odpowiednio zmodyfikować tę charakterystykę. – Wiodła radosne życie. Pozostaje mi ufać, iż wierzyła, że ten szczęśliwy żywot jest darem od Boga. – Wielebny złowieszczo zawiesił głos.

W sali zapadła dzwoniąca cisza.

Przewodniczący nie wytrzymał napięcia. Podniósł się i powiedział pośpiesznie:

– Dziękuję za te krótkie, lecz jakże wzruszające słowa.

Szanowni państwo, proszę wszystkich o powstanie: uczcijmy Ailith Love minutą ciszy.

Rozległo się szuranie krzesel i tłumione westchnienia. Zgromadzeni wytrzymali minutę w milczeniu, gapiąc się tępo to na fotografię Ailith, to na nieciekawe gęby poszczególnych radnych.

Minęło równo sześćdziesiąt sekund, po czym Peter Graham skinął z satysfakcją głową. Punkt pierwszy odhaczony. Pora na ciekawsze tematy.

– Jak wspomniałem na wstępie, Ailith Love zginęła w niejasnych okolicznościach – przypomniał. Na sali, jak na zawołanie, rozbrzmiały podekscytowane pomruki. – Wiem, że krążą na ten temat różne plotki i myślę, że każdy z nas pragnąłby zrozumieć, co tak naprawdę wydarzyło się tamtej nocy na Wzgórzu. – Tłum zaszumiał z aprobatą. – Dlatego też – ciągnął z niemałą dumą przewodniczący – zaprosiłem na dzisiejsze spotkanie przedstawicieli policji. Proszę państwa, oddaję głos naszym lokalnym funkcjonariuszom, dobrze wam znanej PC [\[93\]](#) Grimes oraz jej koledze po fachu, PC Attwoodowi. Wygłoszą oni oficjalny komentarz w tej sprawie oraz udzielą odpowiedzi na nasze pytania.

Sala zamruczała z ożywieniem, kiedy ze stołków w pierwszym rzędzie podniosła się para młodych konstabli, ubranych w oficjalne czarne T-shirty i bojówki. Obydwoje pobrząkiwali ciężkimi pasami, naszpikowanymi kajdankami, paralizatorami, krótkofalówkami i tym podobnymi zabawkami. PC Attwood, łysy młodzieniec z wypielęgnowaną brodą, dodatkowo przyozdobił się parą słonecznych okularów „pilotek”. Wyglądał jak ktoś, kto bardzo chce być wzięty za amerykańskiego glinę.

PC Grimes, rudowłosa chłopczyca o wzbudzającej respekt muskulaturze, znudzonym głosem wygłosiła oficjalny komunikat, co jakiś czas zerkając na ściągawkę w swoim telefonie. W policyjnym komunikacie podkreślano, iż śledztwo w sprawie śmierci Ailith Love jest we wstępnej fazie, policja wciąż gromadzi materiały dowodowe z miejsca zdarzenia. Z początkowych ustaleń wynika, iż w nocy z trzydziestego pierwszego października na pierwszego listopada, w ruinach klasztoru Augustynów na Wzgórzu świętej Anny w Pelham odbyła się nielegalna impreza masowa, na której rozprowadzane były narkotyki. Lokalni śledczy we współpracy z londyńską policją prowadzą zatrzymania w tej sprawie. Część amatorskich nagrań z imprezy przeciekła do sieci, policja podda je analizie.

– Na daną chwilę nie jestem w stanie państwu powiedzieć, co było przyczyną śmierci Ailith Love – stwierdziła obojętnie PC Grimes. – Jedna z hipotez śledztwa zakłada nadużycie środków odurzających.

Na sali podniosły się wzburzone głosy.

– Bzdury! – zawołał ktoś z dalszych rzędów. – Są świadkowie, którzy na własne oczy widzieli, że dziewczyna była cała we krwi! To było morderstwo!...

– Wszyscy świadkowie proszeni są o pilny kontakt z najbliższą komendą policji w celu złożenia zeznań – wyrecytowała monotennie PC Grimes.

– Ja też słyszałam, że w ruinach było pełno krwi – zaskrzeczała jakaś staruszka. – Ktoś zamordował tę biedną dziewczynę!

– Nie „ktoś”, tylko rasiści! Wiadoma sprawa! – stwierdził jakiś znawca życia.

– To nie było morderstwo! – zaprzeczył ktoś inny. – Ludzie mówią, że bidulę rozszarpało dzikie zwierzę.

– Ale jakie tam dzikie zwierzę, co za bzdury!

– Pies może?...

– Proszę nie zabierać głosu bez pozwolenia!! – zdenerwował się przewodniczący Graham.

– W takim razie ja domagam się prawa głosu! – zażądał napastliwy okularnik, który z braku miejsc przysiadł na okiennym parapecie.

– Ja też się domagam! – podchwycił ktoś inny.

– I ja także! I ja!

– Po kolei! – ryknął przewodniczący i wskazał palcem na okularnika. – Pan pierwszy, proszę!

Okularnik skrzyżował nogi po babsku, po czym wycelował palcem w parkę konstabli.

– Jak policja skomentuje fakt, iż na imprezie obecni byli uzbrojeni cywile? – zaatakował.

– Nie jestem upoważniona do składania oświadczeń w tej sprawie – zbyła go PC Grimes.

PC Attwood rozłożył przepaszająco ręce, a potem poprawił słoneczne okulary na swojej ogolonej głowie.

Posypały się kolejne pytania.

– Czy to prawda, że na imprezę wtargnęły dzikie zwierzęta?

– Czy śmierć Ailith Love ma jakiś związek z „potworem z Pelham”?

– Dlaczego policja pojawiła się tak późno na miejscu zdarzenia?

– Dlaczego ignorowano zgłoszenia mieszkańców o hałasie dobiegającym ze Wzgórza?

- Proszę państwa, z uwagi na początkowy etap śledztwa, policja nie ujawnia szczegółów – odważył się na komentarz PC Attwood.

- Wciąż ustalane są istotne dla śledztwa okoliczności sprawy – dodała PC Grimes. – Teren jest zabezpieczony przez stosowne służby. Obowiązuje bezwzględny zakaz wstępu na Wzgórze.

- Jak policja skomentuje znalezisko nazywane „potworem z Pelham”? Czy mieszkańcom Pelham grozi inwazja potworów?

- Nie jestem upoważniona do komentowania niezweryfikowanych publikacji prasowych.

- A mnie zastanawia – podniosła głos radna Barnes – czy policji znane jest aktualne miejsce pobytu pana Nicka Love? Przepadł jak kamień w wodę, a wiem, że widziano samochód na sygnale, opuszczający jego posiadłość... Czy w tym samochodzie znajdował się wówczas pan Love? Skąd takie specjalne traktowanie?... Czy pan Love jest w jakikolwiek sposób zamieszany w tragedię, jaka zdarzyła się tamtej nocy?

- Bez komentarza – rzucił buńczucznie PC Attwood, zanim jeszcze jego koleżanka zdążyła otworzyć usta.

PC Grimes zgromiła młodego spojrzeniem, po czym beznamiętnie odparła:

- Proszę państwa, aktualne miejsce pobytu pana Love jest jego prywatną sprawą. Policja nie posiada informacji na ten temat.

- A moim zdaniem – odezwał się ponuro jakiś mężczyzna w nasuniętym głęboko na oczy kaszkiecie – policja powinna sprawdzić zamek Bazina. Tam się dziwne rzeczy dzieją. Wielkie ciężarówki jeżdżą w tę i z powrotem... A co on tam tak

zwozi i wywozi? Ja myślę, że broń! I narkotyki. – Mężczyzna skrzyżował ręce na piersi i spojrzał wyzywająco na policjantów.

– Też tak sędzę – poparła go siedząca obok kobieta. – A potem ludzie się dziwią, skąd się wzięły narkotyki na imprezie w miasteczku... Ot, skąd: z zamku Bazina!

Przez salę przetoczył się pomruk aprobaty. Zgromadzonym spodobała się wizja niedostępnego Zamku jako sekretnego siedliska narkobiznesu.

– Na obecnym etapie śledztwa policja nie ma podstaw, by wkraczać na teren prywatnych posesji w Pelham – rozczarowała ich PC Grimes.

Przewodniczący Graham nie był zadowolony. Było jasne, że zaproszeni policjanci nie rzucili więcej światła na sprawę. „Nielegalna impreza masowa z narkotykami” – tyle wiedzieli już wszyscy... Wczoraj w całym miasteczku huczało od plotek. Choć nikt oficjalnie nie przyznawał się do udziału w imprezie, każdy miał w tym temacie coś do powiedzenia. Każdy a to coś słyszał, a to przypadkiem coś zaobserwował...

Ludzie zadawali jeszcze jakieś pytania, a PC Grimes i jej kolega sprawnie lawirowali między tym, co naprawdę wiedzieli, a tym, co mogli ujawnić. Następnie radni i policjanci odbyli nudną dyskusję o tym, jak skutecznie zapobiegać podobnym incydentom w przyszłości. Przewodniczącemu przypadła niewdzięczna rola moderatora tej dyskusji. Tematy, takie jak prewencja narkomanii na poziomie samorządu lokalnego, osobiście nie bardzo go interesowały. Ale, na przykład, taki radny Tutt dyskutował o tym z ogromnym zapałem. Z tym że on chyba w ogóle w przeszłości był jakimś hipisem. Kiedyś, po paru głębszych w King's Head, opowiadał

o swojej szumnej i niebezpiecznej przeszłości i o tym, jakoby tylko cudem dożył starości. Ponoć uratowała go miłość i NHS [94].

Po debacie policjanci opuścili zebranie, tłumacząc się obowiązkami służbowymi. Przewodniczącemu ich wyjście w tym momencie było bardzo na rękę, bowiem kolejny punkt narady miał mieć charakter nieco mniej formalny, a także zdecydowanie prywatny – zastrzeżony wyłącznie dla mieszkańców Pelham. Obecność władz była niepożądana, nie pozwalałaby na prowadzenie swobodnej dyskusji. Tak przynajmniej sugerował przewodniczącemu sir George Wilbert Wyatt, z inicjatywy którego, nawiasem mówiąc, dodano ów punkt do porządku narady.

Sir George zatelefonował do Petera Grahama na parę godzin przed rozpoczęciem zebrania, kiedy grafik był już ustalony. Wyatt poprosił o zmianę grafiku, aby wprowadzić dodatkowy punkt.

– Co by to miało być? – zapytał sceptycznie przewodniczy. Nie był zwolennikiem wprowadzania pośpiesznych i nieprzemyślanych zmian.

– Gość specjalny – odparł na to uroczystym tonem sir George. – Osoba, która pomoże nam ustalić źródło zła, które zasiało się w Pelham.

– Ma pan na myśli tę imprezę z narkotykami, sir?

– Nie tylko. Mam na myśli różne niewyjaśnione incydenty ostatnich tygodni, łącznie z odkryciem zwłok „potwora z Pelham”.

Wzmianka o potworze zaintrygowała Grahama. Przewodniczy brał aktywny udział w trwającej już od ponad tygodnia zabawie na stronach serwisu Pelham Online,

polegającej na typowaniu gatunku, którego przedstawicielem mógł być znaleziony stwór. Osobiście, Graham obstawiał krzyżówkę bobra z jakimś kocurem. Tudzież młodego smoka z chorobą genetyczną.

– Kim jest ten człowiek, sir? – zapytał z ciekawością. – Kim byłby ten „gość specjalny”?

– To ekspert z Edynburga – odparł dumnie Wyatt. – Wyjątkowy młody człowiek!

Przewodniczy zadumał się na chwilę. Ekspert z Edynburga? Ekspert – ale w jakiej dziedzinie? I dlaczego akurat z Edynburga? Mało to na południu rodzimych ekspertów? W samym Londynie znalazłyby się setki... No ale z sir George’em nie wypadało się spierać. Bądź co bądź, był to człowiek uhonorowany przez samą Królową.

– Doskonale, sir – rzekł zatem Graham. – Jak mam przedstawić naszego gościa?

– Pan pozwoli, że osobiście go przedstawię. Widzi pan, on przybył do Pelham na moje zaproszenie i gości u mnie w St John’s Cottage.

– Doskonale, sir – powtórzył grzecznie przewodniczący.

Tym sposobem do harmonogramu dodano przemowę eksperta. Teraz właśnie, po wyjściu policjantów, nadszedł czas, by sir George go zapowiedział.

Dżentelmen podniósł się ze swojego krzeselka i ruszył w stronę mównicy. Przewodniczący zauważył, iż lady Leigh-Morris, która zajmowała prominentne miejsce w pierwszym rzędzie, obrzuciła Wyatta antypatycznym spojrzeniem. No tak, lady Leigh-Morris zawsze spoglądała nieprzychylnym okiem na tych dżentelmenów, którzy nie odziedziczyli swojego tytułu, lecz wysepili go od Królowej. Na

mężczyzn bez tytułu nie spoglądała w ogóle.

Jej mąż nie zaszczycił swoją obecnością dzisiejszego zebrania. Nic dziwnego, w całej historii posiedzeń rady sir Alan pojawił się na sali obrad może ze trzy razy. Zamiast męża, po prawicy lady Leigh-Morris siedział nieznany przewodniczącemu mężczyzna: opalony elegant o lśniących, srebrzystych włosach związanych w kitkę. Ubrany był w doskonale skrojoną, czarną marynarkę oraz białą koszulę z czarnym, smukłym krawatem. Wyglądał trochę jak włoski projektant mody.

Przewodniczący musiał oderwać od nich wzrok, bo oto sir George stał już przy mównicy.

– Szanowni państwo, drodzy przyjaciele – rozpoczął lekko dżentelmen. – Z uwagi na nadzwyczajny charakter dzisiejszego zebrania, pozwoliłem sobie naruszyć tradycyjny porządek obrad i – za uprzejmą zgodą przewodniczącego Grahama oraz pozostałych radnych – zaprosiłem dzisiaj specjalnego gościa.

W sali rozbrzmiały zaintrygowane szepty. Sir George uśmiechnął się z satysfakcją.

– Niektórzy z was – rzekł – zdążyli już trochę go poznać, jako że gości u nas w Pelham od paru tygodni. Przyjechał tu, dodam, na me specjalne zaproszenie. Dawno już bowiem zorientowałem się, iż coś niedobrego dzieje się w naszym miasteczku. – Sir George potoczył poważnym spojrzeniem po zgromadzonych w pierwszych rzędach. Tam właśnie, w jakiś naturalny sposób, zasiadały najbardziej prominentne osobistości. – Początkowo usiłowałem samodzielnie prowadzić obserwacje. Szybko jednak pojąłem, iż sprawa jest poważna i wymaga konsultacji z ekspertem. Moja własna, niewątpliwa

ekspertyza w dziedzinie historii architektury tym razem nie okazała się specjalnie przydatna. – Z widowni dobiegły wzgardliwe prychnięcia i tłumione śmiechki. Sir George nie zwrócił na to uwagi. Kontynuował z rosnącym zapałem: – Szanowni państwo, do wyjaśnienia niepokojących incydentów, jakie zdarzyły się w naszym do niedawna tak spokojnym miasteczku, potrzeba wiedzy zoologicznej. I nie chodzi mi wyłącznie o tak zwanego „potwora z Pelham”, który, nawiasem mówiąc, wcale nie jest żadnym potworem, jak wam to niebawem wspaniale wyłuszczy nasz gość.

Przez salę znów przetoczyły się zaintrygowane pomruki. Wszyscy zapragnęli, by z mównicy zniknął już nadęty Wyatt, a w jego miejsce pojawił się zapowiadany gość.

– Proszę państwa, nasz gość jest nikim innym, jak właśnie ekspertem w dziedzinie zoologii – oznajmił dumnie sir George. – Nie było łatwo ściągnąć go na południe, gdyż ten młody człowiek jest niezwykle aktywny i oddaje się rozlicznym, absorbującym i ambitnym, obowiązkom. Dużo podróżuje, zaś jego ojczyzną jest mroczna, północna kraina, która rozciąga się za starożytnym murem Hadriana i dla nas, Anglików z południa, zawsze była symbolem krańca świata. Krańca nakreślonej przez człowieka mapy. To *Ultima Thule* – Szkocja.

Zgromadzeni słuchali teraz uważnie, ich spojrzenia skupione były na krągłej twarzy sir George’a tudzież na jego świecącej muszce z jaskrawozielonego jedwabiu.

– Proszę państwa – rzekł uroczyście sir George – dzisiejszy gość to Christian Tarquin Forbes. Christian studiuje nauki biologiczne na Uniwersytecie Edynburskim. Jest także najmłodszym stypendystą renomowanej Fundacji imienia

Charlesa Darwina, która wspiera unikalne projekty badawcze z dziedziny zoologii. Eksplorowanie Królestwa Zwierząt to jego pasja. Dodam, iż ojcem Christiana jest sam Aaron Emerson Forbes, uznany, powiedziałbym nawet legendarny, zoolog, swego czasu związany z prestiżowym Uniwersytetem w St Andrews.

Mieszkańcom zaściankowego Pelham obce było nazwisko legendarnego zoologa. Wielu ludzi odruchowo pochyliło głowy nad telefonami, by wyszukać tę intrygującą postać w sieci. Tylko elegancki mężczyzna z kucykiem, zasiadający w pierwszym rzędzie tuż obok lady Leigh-Morris, wyraźnie się poruszył na wzmiankę o Aaronie Forbesie. Swoją drogą, mężczyzna ten, choć nieznajomy, kogoś sir George'owi przypominał... Dżentelmen nie potrafił jednak przypomnieć sobie w tym momencie, kogo.

Odchrząknął i zwrócił się teraz wprost do grona swych najbliższych przyjaciół obecnych na sali.

– Jak wspomniałem, niektórzy z was poznali już Christiana. Prawdopodobnie będzie to dla was niejakim zaskoczeniem, gdyż na własne życzenie przedstawiał się swoim pseudonimem klubowym. Namówiłem go jednak, by dziś pozwolił wam poznać swoje prawdziwe nazwisko.

Na te słowa sir Ralph Pearson, Monica Sandalls, Keith Wood i pozostali przyjaciele sir George'a popatrzyli po sobie pytająco.

– Ja sam poznałem prawdziwą tożsamość Christiana dopiero dzisiejszego poranka – przyznał sir George. – Wtedy to właśnie odbyłem szczerą rozmowę z moim młodym przyjacielem i gościem. Christian od paru tygodni próbował wyjaśnić, co stoi za tajemniczymi incydentami, nękającymi

Wzgórze świętej Anny, nasze miasteczko i jego mieszkańców. Dziś właśnie opowiedział mi o swoich odkryciach i przypuszczeniach. Chciałbym, aby teraz podzielił się nimi także i z wami.

Tymi słowy sir George zakończył prezentację gościa i zaprosił go do mównicy. Na sali zapadła absolutna cisza. Ludzie na tyłach odruchowo wbili wzrok w pierwsze rzędy, gdzie zwykle zasiadali goście. Ludzie na przedzie popatrywali po sobie pytająco. Mężczyzna z kucykiem omal nie skręcił sobie karku, rozglądając się czujnie po całej sali.

Adler odepchnął się butem od ściany, którą podpierał od początku zebrania, i ruszył do przodu w kierunku mównicy. Idąc, słyszał szepty i czuł na sobie zaciekawione spojrzenia. Jego tutejsi znajomi wpatrywali się w niego okrągłymi ze zdumienia oczami. Monica Sandalls wytrzymała bez mrugania całe dwie minuty. Tylko Keith Wood był niewzruszony. Poznał już trochę Adlera i czuł, że chłopak nie urwał się z choinki. No i proszę.

Radni spoglądali na Adlera nieufnie. Przewodniczący Graham nie tak sobie wyobrażał eksperta. Chłopak był młody, za młody. Oni wszyscy siedzieli pod krawatem, a tymczasem on miał na sobie czarną bluzę i kurtkę moro z podkasanymi nonszalancko rękawami. Też mi ekspert, młokos jakiś! Dobrze, że nie wjechał tu na desce czy coś.

Wydawał się też dziwnie roztargniony. Zignorował specjalnie przygotowaną mównicę, przystanął obok i pierwsze co zrobił, to zerknął w ekran swojego telefonu. Nie powitał się z radnymi i resztą mieszkańców zgromadzonych na sali. Nie – zagapił się w ekran swojego telefonu!... Peter Graham nie rozumiał tej dzisiejszej młodzieży. Czy ona w ogóle potrafiła

jeszcze funkcjonować poza wirtualnym światem?...

Chłopak wsunął wreszcie przeklęty telefon do tylnej kieszeni spodni. Odrzucił z oczu przydługą, ciemną grzywkę i chyba w końcu zorientował się, że zaproszono go tu w konkretnym celu. A może i nie? Spojrzenie nadal miał rozkojarzone.

Adler, istotnie, był rozkojarzony.

Przed godziną odsłuchiwał wiadomość od niejakiego Scotta Murray'a. Murray przedstawił się jako spec z firmy „Murray Plumbing & Heating Engineers” i informował Adlera o tym, iż właśnie naprawił główny bojler w kamienicy numer dwadzieścia przy Charlotte Square. Dodał również, iż ustawił bojler na maksymalne grzanie, zgodnie z tym, o co prosił w swoim zgłoszeniu profesor Fledermaus. Właściciel kamienicy powiadomił Murray'a, iż profesor przebywa aktualnie poza Edynburgiem, stąd Murray dzwoni z informacją o naprawie do Adlera, którego numer podano jako kontakt w sprawach administracyjnych Klubu.

Tak więc wielki, gazowy bojler został naprawiony i ustawiony na maksymalną temperaturę. Za parę godzin w całej kamienicy zrobi się gorąco jak w piekle.

To była bardzo zła wiadomość.

Bardzo zła. Fatalna. Gorsza nawet niż złe wieści w sprawie zepsutego Defendera. To ostatnie zresztą było już tylko złym wspomnieniem, tym bardziej że wspaniałomyślny sir Ralph zaproponował ostatnio Adlerowi odsprzedaż pickupa. Chłopak nie potrzebował długo się namyślać. Auto było super, cena symboliczna. Bez wahania przystał na propozycję Pearsona.

Ale wracając do bojlera w siedzibie Klubu Zoologów... Ktoś natychmiast musi zmniejszyć temperaturę grzania.

Niezwłocznie! Najlepiej jeszcze dzisiaj, bo jutro... jutro może już być za późno.

Adler długo zastanawiał się nad tym, kogo prosić o pomoc. Sam nie mógł teraz rzucić wszystkiego i wracać do Edynburga. Śmierć Ailith skomplikowała sprawy. Przyspieszyła też decyzję Adlera o wtargnięciu na teren Zamku. Tajną ekspedycję planował już na jutro.

Do kogo zadzwonić w sprawie bojlera?... Nie chciał prosić o pomoc innych klubowiczów. Oni... mogliby odkryć jego tajemnicę. Z kolei żaden z pozostałych edynburskich znajomych Adlera nie wiedział o jego sekretnej przynależności do Klubu. Trudno. Zdecydowanie nadszedł moment, żeby komuś wyjawić swój sekret. Tylko kto byłby godnym powiernikiem? Dyskretnym, stanowczym w działaniu, niezawodnym? Po namyśle, Adler zadzwonił do Rory'ego, który nie uosabiał żadnej z pożądanых cech. Ale Rory nie odbierał. Był poniedziałkowy wieczór. Może miał dziś zajęcia sportowe? Trening rugby?... A może siedział w pokoju gier, czyli swojej zagraconej sypialni i zatracił się w świecie *Beast Wars*? Gra robiła furorę wśród adeptów zoologii.

Ostatecznie, Adler nagrał się na pocztę głosową Rory'ego („Dodds, zadzwoń do mnie jak najszybciej. Mam pilną sprawę.”) i od tej pory co minutę sprawdzał, czy Irlandczyk aby nie dzwonił – cały niespokojny, jakby oczekiwał na telefon z porodówki.

W takim właśnie stanie ducha wyszedł na środek sali obrad, by wystąpić przed mieszkańcami Pelham. Było to ważne wystąpienie, lecz po historii z bojlerem, zupełnie nie potrafił się na nim skupić.

– Sir George przedstawił mnie jako eksperta – zaczął bez

słowa powitania. – Tymczasem ja właściwie jestem dopiero na drugim roku zoologii. A jeśli wkrótce nie wrócę do Edynburga, być może będę musiał cofnąć się na pierwszy – uśmiechnął się z roztargnieniem.

Twarze radnych zastygły w wyrazie dezaprobaty.

– W każdym razie – rzekł chłopak – fakt, że studiuje zoologię raczej nie ma tu większego znaczenia. Ważniejsze jest chyba to, że podobnie jak wielu z was tutaj, lubię polować i tropić zwierzynę. Robię to od dziecka. Od dziecka obserwuję przyrodę. Szczególnie interesują mnie zwierzęta. Ale to jest chyba jasne. – Powiódł po sali rozkojarzonym wzrokiem. – Chciałem dzisiaj omówić z wami dwie sprawy. Pierwsza to raczej stwierdzenie faktu, druga – tylko moje przypuszczenia. Sprawa pierwsza dotyczy wyjaśnienia zagadki „potwora z Pelham”. Druga – okoliczności śmierci Ailith Love. Byłem obecny na tej imprezie. Widziałem, jak zginęła Ailith.

Na widowni podniosły się rozgorączkowane szepty.

Adler w milczeniu zaczął przechadzać się po sali. Widownia powiodła za nim wzrokiem. Jego ruchy były sprężyste i bezszelestne, przywodził na myśl skradającego się drapieżnika. Wreszcie przystanął i przemówił ponownie:

– Druga sprawa jest o wiele ciekawsza, gdyż ma szerszy kontekst. Wszystkie moje dotychczasowe odkrycia z Pelham niejako się z nią wiążą. Chcę wam na przykład pokazać, że śmierć Ailith i atak na farmę Phila Sturridge’a to powiązane ze sobą sprawy. Niestety, nie udało mi się zebrać jakościowych dowodów na potwierdzenie tego typu hipotez. Mimo wszystko, chcę wam przedstawić moje obserwacje i to, co udało mi się w jakiś sposób udowodnić. Na tej sali obecni są też ludzie, którzy ze mną współpracowali. Którzy pomagali mi poznać

lokalny świat zwierząt. W pewnych kwestiach będzie wam musiało wystarczyć nasze słowo. Jakie kroki następnie podejmiecie, to już wasza decyzja. Od was zależy, w jaki sposób chcecie zapobiec kolejnym, niewesołym wypadkom. Bo jestem pewien, że jeśli nie zareagujecie szybko, kolejne wypadki nastąpią już wkrótce. Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Adler mówił szybko, z roztargnieniem. To był zły dzień na publiczne wystąpienia, nie miał do tego głowy. Myślał o tylu sprawach naraz: o telefonie od Murray'a i konsekwencjach naprawy bojlera, o tym, do kogo zadzwonić, gdy Rory w dalszym ciągu nie będzie odpowiadał. Zastanawiał się, jaką akcję wymyśli tym razem Keith Wood, zainspirowany rewelacjami, jakie Adler miał teraz do przekazania. Wreszcie, chłopak myślał też o porannej rozmowie z sir George'em.

Była to bardzo długa rozmowa. Długa i szczerą, jak ją określił przed chwilą sir George w swoim wystąpieniu. Odbyli ją w gabinecie Wyatta. Dżentelmen zasiadł za ogromnym biurkiem, pamiętającym czasy Edwarda VII [\[95\]](#) – wesołego hulaki, któremu na starość trafiła się korona, zapalił edwardiańską lampę z falbaniastym kloszem, po czym łaskawie wskazał Adlerowi miejsce w fotelu naprzeciw.

Adler czuł się jak na audiencji u profesora Reida. Drobny dyskomfort, wynikający z tego poczucia, nie był jednak istotny. Najważniejsze było silne przekonanie Adlera, iż nadszedł czas, by wyłożyć wszystkie karty na stół. Przed wieczornym zebraniem w Ratuszu, sir George powinien poznać wszystkie jego dotychczasowe odkrycia i podejrzenia. No, prawie wszystkie.

Niektóre, dla dobra innych, musiały pozostać tajemnicą.

Zaczął od tego, że wyjaśnił Wyattowi zagadkę „potwora z Pelham”. Sir George wydawał się trochę uspokojony, po tym jak Adler wyłożył mu racjonalne przesłanki, wskazujące na to, iż potwór za życia był jedynie psem. Fakt ten nadal był nieco złowieszczy: któż bowiem porzucił lub, co gorsza, utopił niewinne stworzenie?

– Nie kojarzę, by ostatnio ktoś z mieszkańców miasteczka zgłaszał zaginięcie swojego pupila – zadumał się sir George.

Adlerowi przychodziła na myśl tylko Ada, długowieczny pudel zmarłej Ailith. Pies, którego opłakiwała Majella, gdy odbierał ją z Red Lions w dniu akcji „Nocna hiena”. Mógł się jednak mylić, dlatego nie wspomniał o tym Wyattowi. Zresztą, jakie to miało znaczenie, do kogo należał pies i jak zginął? Najważniejsze, że potwór okazał się psem. Po lasach Pelham łąziły gorsze stwory... O tych stworach także opowiedział Wyattowi.

Odtworzył całą historię z nocy na farmie Sturridge’a. Opisał przygotowania do akcji „Nocna hiena”. Niechętnie wspomniał też o przebiegu akcji. Na końcu dodał, iż jedną Hienę wprowadzono na Zamek. To była sensacja – sir George podskoczył w fotelu jak piłka.

– Na Zamek Bazina?!... Cóż by to miało znaczyć, panie Adler??

Adler opowiedział o swoim pierwszym spotkaniu z rosyjskimi kłusownikami. O tym, jak chciał uratować jelenia, który potem okazał się groźnym „mutantem”. Prawdziwa, krwiożercza natura jelenia wyszła na jaw podczas walki z daniem.

– Rosjanie wiedzieli o tym, że jeleni jest niebezpieczny – rzekł Adler do sir George’a. – Dlatego go tropili. Podejrzewam

też, że to oni uprowadzili i zabili Hienę.

- Sugeruje pan, że Rosjanie z Zamku oczyszczają terytorium

Pelham z bestii?... To było dobre pytanie.

Wiele wskazywało na to, że tak mogło być. No bo czy Jegor nie chciał zabić jelenia-mutanta? To Adler udaremnił kłusownikom akcję, nieświadomy, z czym ma do czynienia. Potem Rosjanie pojмали Hienę. Na pewno ją przedtem zastrzelili, bo po co by im był na Zamku żywy zwierz takiego kalibru? No i sama noc imprezy na Wzgórzu... Adler sporo o niej myślał i był przekonany, że uzbrojeni kłusownicy nie pojawili się tam przypadkowo. Chcieli powstrzymać watahę przed atakiem.

- Z drugiej strony - zastanawiał się sir George - ci Rosjanie wydają się tacy dzicy, nieokrziesani. Sam poznałem kilku na festiwalu w Arundel. Wziąłem ich za hołotę! Dodam, iż podobnego zdania jest Ralph, a on miał okazję poznać samego Bazina. Jak pan uważa, czy tacy ludzie naprawdę pragnęliby dobra mieszkańców miasteczka?...

Adler nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Osobiście, szczerze wątpił w szlachetną naturę takiego Jegora. Dziki kłusownik raczej nie przybył do Pelham, żeby się dobro i chronić słabszych.

Największy kłopot Adler miał z relacją z imprezy w ruinach na Wzgórzu. Jak opowiedzieć o tym wszystkim tak, by pominąć udział Majelli?

Od powrotu z imprezy Majella nie wychodziła ze swego pokoju. Pani Chapman, gosposia, wyjawiała, iż dziewczyna od dwóch dni leży w łóżku jak martwa, nie odzywając się do nikogo i nie przyjmując pokarmu. Sir George zadzwonił już po

jej rodziców. Obecnie przebywali za granicą, lecz mieli po nią przyjechać za parę dni.

- Za parę dni to tego dziecka może już nie być - zaświadczała z przejęciem pani Chapman. - Nie je, nie pije, nie otwiera oczu. Chyba popadła w jakąś straszną depresję!...

Adler nie chciał pogrążyć dziewczyny. Chciał jej dać szansę, by sama wyznała dziadkowi prawdę. Nie zdradził więc roli Majelli w imprezie na Wzgórzu, nie powiedział o tym, że brała narkotyki i asystowała w krwawym show Ailith. Nie wspomniał nawet o rzezi wiewiórek na Wzgórzu, gdyż coraz bardziej wierzył, iż była to sprawka dziewczyn.

W rozmowie z sir George'em skupił się zatem na podejrzeniach odnośnie zmarłej Ailith. Wychowanka Love'a wyprawiała się do okolicznych lasów, gdyż wierzyła, że żyją tam mityczne bóstwa. Być może, odurzona jakimiś psychodelikami, była przekonana, że widzi niezwykle stworzenia: Boga Lasu i tym podobnych cudaków. Tymczasem w rzeczywistości, jeżeli w ogóle cokolwiek widziała, były to po prostu leśne zwierzęta. Takie jak...

- Takie jak bestie, które grasują w Pelham - odgadł sir George i posępnie pokiwał głową. - W takim razie, jeśli można tak powiedzieć o zmarłej, miała dużo szczęścia... Dużo szczęścia, że te potwory nie capnęły jej gdzieś w ciemnej kniei.

Tu należało uświadomić Wyattowi, jak zginęła Ailith. Adler darował sobie opis orgii i krwawego rytuału i skupił się na jednej zasadniczej kwestii.

- Podczas zabawy w ruinach, w lesie na Wzgórzu grasowały drapieżne zwierzęta - rzekł. - Wyczuły obecność ludzi i zaczęły zakradać się pod mury klasztoru. Jedno z nich

zaatakowało Ailith. Z taką bestią nie miała żadnych szans.

Sir George zasłonił dłonią usta. Zaciśnął mocno powieki, jego czoło załśniło od potu.

– O Boże... – wyszeptał. – Żal mi tej dziewczyny, lecz kiedy pomyślę, że była tam moja Majella... w ciemnym lesie... otoczona przez potwory... – Sir George otworzył oczy i spojrzał na Adlera. – Doprawdy nie wiem, jak panu dziękować za to, że sprowadził ją pan do domu całą i zdrową!... Jestem panu dozgonnie wdzięczny! Jej matka nigdy by mi nie wybaczyła... ja sam umarłbym z udręki, jeśli cokolwiek by się stało naszej Majelli...

Adler podsunął dżentelmanowi kieliszek sherry na ostudzenie nerwów. Sam także polał sobie hojnie. Dziwne, ale dopiero teraz w pełni dotarła do niego powaga sytuacji. Majella naprawdę mogła zginąć. Gdyby go tam nie było, gdyby nie popsuł jej zabawy, dziewczyna pewnie przez całą imprezę tkwiłaby u boku Ailith. Aż do nadejścia bestii...

Całym wysiłkiem woli odsunął od siebie tę myśl i skupił się na faktach.

– Podczas imprezy na Wzgórzu pojawili się łowcy z kuszami. Rozpoznałem wśród nich jednego z Rosjan. Myślę, że próbowali powstrzymać atak tych tajemniczych drapieżników.

– Uważa pan, że to ludzie z Zamku?

– Tak zakładam. Może uda mi się to wkrótce potwierdzić...
Sir George przyjrzał się uważnie Adlerowi.

– Zamierza pan wtargnąć na Zamek – odgadł.

Adler uśmiechnął się nieznacznie.

– Dobrze pan wie, sir, że od początku mi to chodziło po głowie – rzekł. – Tylko że przedtem nie miałem dobrego pretekstu.

- A teraz ma pan solidne podstawy - stwierdził w zadumie sir George.

- Zamierzam działać dyskretnie, dlatego chcę to zrobić jak najszybciej, zanim Keith Wood wtargnie tam ze swoją zgrają... Chłopakami z King's Head coraz bardziej się palą do zabawy w zwiadowców.

- To wszystko nie skończy się dobrze - pokręcił głową sir George. - Czuję, że dojdzie do jakiejś wielkiej katastrofy. Śmierć Ailith to tylko preludium.

Adler w zadumie obracał w dłoni kieliszek, przyglądając się refleksom w kryształce.

- Wie pan, sir, to zwierzę, które zaatakowało Ailith... te wszystkie zwierzęta... to nie są drapieżniki typowe dla angielskich lasów... To w ogóle nie są typowe drapieżniki. Te zwierzęta zostały... zmodyfikowane? Ten jelen, na przykład, na pierwszy rzut oka niczym nie różni się od typowego jelenia. W jego przypadku mamy do czynienia z bardzo dyskretną, bardzo podstępłą modyfikacją. Dodano parę nowych, niezauważalnych, lecz śmiertelnych cech. - A zwierzę, które zabiło Ailith? - zapytał trwożnie sir George.

- To zagadkowy mieszaniec - odparł Adler. - Roboczo nazwałem go hieną, ale to spore uproszczenie. - Odstawił kieliszek na zastawiony pamiątkowymi fotografiami blat biurka i zamaszyście podniósł się z fotela. - Zastanawiam się, skąd pochodzą te wszystkie dziwne stwory... Gdzie się wylęgły? W jaki sposób powstały? Dlaczego ich siedlisko jest akurat w Pelham?

Sir George także uniósł się z fotela i stanął obok Adlera.

- Wie pan, panie Adler, kiedy spotkałem na Wzgórzu mięsożerne sarny, owego pamiętnego dnia pod koniec

kwietnia, nie spodziewałem się, że będą one zaledwie wierzchołkiem góry lodowej...

Długo potem jeszcze dyskutowali w zaciszu staroświeckiego gabinetu. Na koniec sir George zapytał nieśmiało o prawdziwe nazwisko Adlera.

– Wiem, że ród Forbesów to potężny klan. Pan tak niewiele o sobie opowiada. Proszę wybaczyć moją ciekawość, lecz teraz, kiedy uważam pana za mojego przyjaciela, pragnąłbym lepiej pana poznać. Interesuje mnie, kim jest Christian Forbes.

Adler opowiedział mu parę słów o sobie. O tym, kim tak naprawdę jest chłopak, którego Wyatt poznał przypadkowo w Klubie Zoologów. Dżentelmen gościł go pod swoim dachem od paru tygodni, nigdy o nic nie wypytyjąc, przyjmując ufnie wszystkie jego poczynania. Zasłużył na odrobinę prawdy o Adlerze. A to był dobry moment, aby ją wyjawić.

Sir George zrewanżował się dość zaskakującą opowieścią.

– Ja też muszę panu coś wyznać, panie Adler – powiedział z niejakim zakłopotaniem. – Czy pamięta pan ten dzień, gdy wybrał się pan z Ralphem na łowy? To był chyba poniedziałek, nazajutrz po feralnym Festiwalu Dyni.

Adler skinął głową. To był dzień, w którym po raz pierwszy spotkał rosyjskich kłusowników.

– Pod wieczór czekaliście na mnie z Majellą w ogrodzie St John's Cottage – przypomniał mu Wyatt. – Wybrałem się bowiem na przechadzkę.

– Pamiętam, sir. Pytałem pana, dokąd pan się wybrał, ale nie bardzo chciał pan zdradzić szczegóły...

– Tak – przyznał sir George, a na jego krągłe policzki wypłynął rumieniec. – Widzi pan, ja byłem wówczas wielce

przygnębiony tą całą historią z kradzieżą dyni... tym, że najpewniej stracę przez nią dobre imię, a może nawet i tytuł... – Dżentelmen westchnął ciężko na wspomnienie przykrych chwil (jak to dobrze, że ciężkie chwile w życiu arystokraty są jednak takie ulotne!). – Tego dnia byłem tak przybity, iż nie mogłem się na niczym skupić: nie szło mi ani pisanie, ani rozmyślanie. Nie bawiły mnie ulubione książki z mojej biblioteki. Postanowiłem zatem wybrać się na przechadzkę. I czy pan zgadnie, dokąd się udałem?

– Jeśli zrobił pan coś szalonego, sir, to pewnie wybrał się pan na Wzgórze?...

Sir George przyłożył dłonie do rozpalonych policzków.

– W rzeczy samej, panie Adler. Nie wiem, co mnie pokusiło, aby iść na Wzgórze. Już wtedy tak bardzo lękałem się tego miejsca... Nie doszedłem na szczyt, ba, nie uszedłem nawet połowy drogi w stronę ruin klasztoru, gdyż naraz kogoś spotkałem. A raczej: ujrzałem. Nieopodal strumienia.

Adler wpatrywał się w Wyatta z rosnącą ciekawością. Dżentelmen zmieszał się i splótł nerwowo dłonie. Odkaszlnął.

– Kogo pan zobaczył, sir? – bezlitośnie przycisnął go Adler.

Wyatt ciężko wypuścił powietrze.

– To była kobieta – wyznał. – Towarzyszył jej pies niezbyt żywej natury. Prawdę mówiąc, wyglądał, jakby spał. Całe szczęście, bo inaczej pewnie od razu by mnie wyczuł, a tak mogłem ukryć się w, khm, krzakach...

– Dlaczego się pan chował, sir?

Twarz sir George'a była teraz purpurowa.

– Widzi pan, ta kobieta... ona dziwnie się zachowywała. – Sir George zawahał się, po czym zaczął wyliczać w pośpiechu: – Była całkiem naga, takie przynajmniej odniosłem, że tak

powiem, wrażenie... Smarowała się jakąś mazią i, zupełnie nie wiem czemu, na widok tej mazi, zrobiło mi się niedobrze... Wcierała w siebie tę maź i chyba z kimś rozmawiała, to znaczy, mówiła do siebie... wyglądała jak opętana!... I ta kobieta... to była Ailith Love. – Dżentelmen pochylił nisko głowę, jakby właśnie skazano go za jakąś ciężką przewinę.

– Cóż, Ailith lubiła tego typu zabawy – zauważył łagodnie Adler.

– Teraz, po tym jak opowiedział mi pan więcej o tej dziewczynie, ta historia zdaje się mieć sens – przyznał Wyatt. – Ale wtedy, w ciemnym lesie, nie mogłem zrozumieć... byłem zszokowany!... Poczekąłem na stosowny moment, by opuścić kryjówkę i czym prędzej się oddaliłem. Co tchu popędziłem do domu...

– Zostawmy już Ailith, sir – rzekł na to Adler. – Niestety, padła ofiarą swoich fantazji. Nie możemy jej pomóc, ale możemy, a nawet powinniśmy, skupić się na tym, jak ochronić pozostałych mieszkańców miasteczka. Musimy powstrzymać bestie przed kolejnymi atakami. W tym celu musimy ustalić, skąd przychodzą, czym tak naprawdę są i czy istnieją ludzie, którzy wiedzą na ich temat więcej niż my. To ostatnie pytanie szczególnie mnie niepokoi: bo jeżeli są tacy ludzie, to dlaczego ukrywają przed nami prawdę?...

Wszystkie te pytania Adler powtórzył w swoim wystąpieniu przed mieszkańcami Pelham. Wyjawił im wszystko to, o czym rozmawiał rano z sir George'em. Podzielił się swoimi spostrzeżeniami i opowiedział pokrótce swoje przygody z bestiami. Kiedy zakończył swą opowieść, na sali wybuchł zgiewk. Przewodniczący rady desperacko łupał sędziowskim młotkiem, próbując przywrócić porządek.

– Proszę o spokój!! – piszczała do mikrofonu radna Barnes.
– Proszę państwa, ja bardzo proszę o spokój! To nie są warunki do cywilizowanej dyskusji!

– Odrażający motłoch! – syknęła lady Leigh-Morris do swojego sąsiada, tego eleganta z kucykiem.

Elegant nie odpowiedział, tylko badawczo przyglądał się stojącemu na środku Adlerowi. Przez całą jego przemowę nie spuszczał wzroku z chłopaka. Chłonał każde jego słowo.

Przez wzburzony tłum przedarł się jakiś rostry mężczyzna w pikowanej kamizelce i gumowcach.

– Panie przewodniczący! – ryknął. – Z całym szacunkiem, ale o czym tu dyskutować?! Wszyscy widzimy, jak jest: wszystkie ślady prowadzą na Zamek! – Na sali rozbrzmiały okrzyki poparcia: „Święta racja, Dave!“. Dave wskazał na Adlera. – Chłopak powiedział wyraźnie: ktoś tutaj ukrywa przed nami prawdę. Kto? Ha!

To chyba oczywiste!

– Bazin! – zawołano z sali. – Rosjanie!

– Proszę o spokój! – zaapelowała odruchowo radna Barnes. Trzydzieści lat doświadczenia w edukacji wczesnoszkolnej dawało o sobie znać.

– Przypuszczam, że ludzie z Zamku faktycznie mogą wiedzieć coś więcej w temacie tajemniczych zwierząt – przyznał Adler.

– Ale my nawet nie znamy tego Bazina – zaskrzeczała jakaś mocno uszminkowana staruszka w olbrzymich okularach.

– Potrzebna jest konfrontacja! – zawołał ktoś z tłumu i za ten koncept otrzymał oklaski.

– Niech przesłuchają Bazina przed całą radą!

- Proszę państwa, spróbujmy to wszystko uporządkować! - Przewodniczący westchnął i zerknął na kartkę, na której notował piąte przez dziesiąte niektóre uwagi Adlera i publiki. - A zatem sądzimy, iż śmierć Ailith Love wiąże się w jakiś sposób z niejasną aktywnością łowiecką mieszkańców Zamku w Pelham. Czy słusznie wnioskuję? - Uniósł wzrok znad kartki i jedno spojrzenie na rozgorączkowany tłum starczyło, by stwierdził, iż jego wnioskowanie było słuszne. - To poważne oskarżenia. Powinniśmy je starannie zweryfikować, zanim poinformujemy władze.

Radny Howard westchnął ciężko do mikrofonu.

- Narkotyki, broń, mordercze stwory... - rzucił w zadumie. - Czy nie za dużo próbujemy upchać w Zamku? Czy to możliwe, aby właśnie tam - i tam tylko - było źródło tego całego zła?...

Spora część uczestników narady nie miała co do tego wątpliwości.

- Wszystkie nieszczęścia i dziwne incydenty zaczęły się, kiedy na Zamku pojawił się nowy właściciel - przypominali. - Przedtem w Pelham nie słyszało się strasznych historii. Nawet za czasów, gdy stacjonowała tam armia, był spokój.

Lady Leigh-Morris prychnęła z irytacją.

- Czy winnych nie powinno się aby szukać najpierw wśród najniższych klas społecznych? - rzuciła retorycznie do swojego sąsiada. - A ci to by od razu uderzali na zamki i pałace!

Radny Huffell podkasał rękawy swej nadgryzionej przez mole marynarki i zwrócił się do Adlera:

- Panie Forbes, wygląda na to, że w tym momencie dysponujemy jedynie pańską relacją na temat tego, jak

zginęła panna Love. Osobiście, nie czuję się z tym zbyt komfortowo – wyznał kapryśnie.

Na sali podniosły się oburzone głosy. Czyżby radny sugerował, że chłopak kłamie?...

Adler nie miał ochoty na przepychanki z lokalną radą starców.

– Przykro mi – odparł. – Może poczuje się pan bardziej komfortowo, kiedy już pan pozna oficjalny raport z policyjnego śledztwa.

– Z całą pewnością – zgodził się Huffell i po namyśle dorzucił: – Nie twierdzę, że panu nie wierzę. Uważam jedynie, że nie powinniśmy opierać się na zeznaniach jednego świadka – te słowa radny skierował już do przewodniczącego Grahama. – Na imprezie z narkotykami ludzie mogą widzieć niestworzone rzeczy...

– To oburzające! – nie wytrzymał sir George. Jego przyjaciele poparli go zgorzonym pomrukiem.

– Z całym szacunkiem, sir – podniósł głos radny Huffell. – Uważam, że zanim podejmiemy jakiegokolwiek działania, powinniśmy poznać relacje innych świadków. Nie możemy uderzać na Zamek tylko dlatego, że chłopak wskazał nań palcem!

– Ale my nie mamy innych świadków, John – uświadomiła mu radna May.

– Doprawdy? Panie Forbes, czy podczas tej zabawy nie spotkał pan żadnej młodzieży z miasteczka? – spytał podstępnie Huffell.

Sir George zamarł, wlepiając w Adlera błagalne spojrzenie. Adler nie patrzył w stronę Wyatta.

– Już powiedziałem: rozpoznałem tylko jednego z Rosjan.

Człowiek ten próbował uratować życie Ailith. Niestety, celując w atakującą ją zwierzę, spudłował. Trudno go za to winić: warunki były fatalne.

– A zatem człowiek ten dysponował bronią palną? – upewnił się przewodniczący.

– I otworzył ogień przy ludziach? – dopytywała się radna Barnes.

– A pudłując, mógł postrzelić niewinnego człowieka! – przeraziła się radna May.

Na widowni znów zawrzało.

– Ludzie, czy wy go w ogóle słuchaliście?! – nie wytrzymał Keith Wood. – Przecież mówił już, że łowcy byli uzbrojeni w kusze!

Przewodniczący Graham nie był pewny, czy to polepszało sprawę.

– Ja wam powiem jedno, panie i panowie! – ryknął Wood, piorunując salę swym srogim spojrzeniem. – Możemy tu sobie siedzieć i się zamartwiać, i gdybać. – Skrzywił wargi, jakby chciał splunąć, lecz się zreflektował. – Ale możemy też działać! Ja, Keith Wood, jestem człowiekiem czynu! Nie będę czekał, aż Bazin łaskawie pojawi się w Ratuszu i wytłumaczy nam swoje postęпки. Sam do niego zapukam! – Łupnął pięścią w otwartą dłoń. – Kto jest ze mną, niech się stawi dziś w pubie Goodmana punkt dwudziesta! Kompletujemy ekipę zwiadowczą.

Na sali wybuchł entuzjastyczny harmider niczym po filmowej przemowie amerykańskiego bohatera.

Przewodniczący westchnął, udręczony, i pokręcił głową. Zerknął na kartkę z punktami spotkania i bez namysłu zgniótł ją w pięści. Takiej narady nie sposób okiełznać. Ten młody

Forbes ma rację: sytuacja wymknęła się spod kontroli. Wszystko w Pelham wymyka się spod kontroli. Ailith Love nie żyje, jej ojciec zapadł się pod ziemię, policja nabrała wody w usta, a w miasteczku grasują potwory.

A teraz jeszcze Wood zwoła zgraję, wyruszy na Zamek i pewno rozpęta w Pelham wojnę domową!

ZWIADOWCA

Osobniki przeciętne nas nie interesują.

Opiekun laboratorium L-11

PO SPOTKANIU W RATUSZU Adler zajrzał do King's Head, gdzie Wood kompletował ekipę zwiadowców.

Nie zabawił tam długo: wypił jedną pintę Bishops Finger i posłuchał, jak stary łowca wraz z grupą ochotników omawiają topografię zamkowych terenów. W pubie było tłoczno, wszyscy pchali się do baru, gdzie Keith siedział z wielką mapą rozpostartą na kolanach i próbował się połapać w *terra incognita* [\[96\]](#), jaką były rozległe włości Bazina.

– Ten stary parkan od strony szosy to tylko zmyłka – mówił, stukając w mapę koślawym paluchem. – W głębi mokradeł postawiono mur. Z drutem kolczastym. Pewnie wojsko go zbudowało, bo wątpię, żeby dziedzic aż tak chronił swe rodowe srebra.

– Byłeś pod tym murem? – zainteresowali się kompani Wooda.

– Przez lornetkę widziałem – burknął stary myśliwy mało

przekonującym tonem. – Ja tam nie włączę ludziom do ich prywatnych ogródków – zastrzegł, a po namyśle dodał: – O ile sytuacja mnie do tego nie zmusza.

– Ten mur otacza Zamek z każdej strony? – spytał Adler.

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział na mokradłach mur lub choćby jego zarys. Z drugiej strony, teren był olbrzymi, a nad bagnami zawsze unosiły się opary i widoczność była bardzo ograniczona. Może o innej porze roku warunki do obserwacji były lepsze.

– Wojsko na pewno grodziło Zamek z każdej strony – odparł Wood. – Ale nie mogę potwierdzić, czy zachowało się całe pierwotne ogrodzenie. Ja widziałem mur jedynie od południa, to jest od strony Pelham. Grunta zamkowe ciągną się jeszcze daleko na wschód. Od zachodu, to jest od szosy, nie widziałem nigdy muru. Może go wyburzyli i postawili w jego miejsce siatkę? My wejdziemy od południa – zdecydował i zaczął wyjaśniać plusy takiej strategii.

Adler dopił piwo i dyskretnie wycofał się spod baru.

Nie planował brać udziału w akcji Wooda, choć stary łowca bez pytania zaliczył go do grona ochotników. Tym razem jednak Adler zamierzał działać w pojedynkę. Wybierał się na prywatne zwiady, a o jego planie wiedziało tylko dwoje ludzi: George Wyatt i Ralph Pearson.

Ten drugi został wtajemniczony niejako z konieczności: Adler wstąpił do Pearsona, by pożyczyć rewolwer myśliwski, a to naturalnie rodziło pytania.

– Rewolwer? – zainteresował się sir Ralph, prowadząc gościa do swej prywatnej zbrojowni. – Czyżby znudziło ci się już pukanie z trójłufki?

– Potrzebuję lekkiej broni o dużym kalibrze, sir – wyjaśnił

Adler. – Wybieram się na zwiady, nie chcę mieć przy sobie ciężkiego sprzętu. Zabieram same lekkie zabawki: kompaktową lornetkę, rewolwer – na wypadek, gdybym spotkał jakiegoś bizona...

– No, jeśli w grę wchodzi bizona, mogę ci polecić tylko magnum – uśmiechnął się sir Ralph. – co powiesz na kultowy kaliber 44?

– Brzmi jak nabój na bizona – przyznał Adler. – Szybki i silny.

– Do takiej amunicji potrzebny jest odpowiedni rewolwer – rzekł Pearson i z niemałą przyjemnością przyjrzał się swojej kolekcji. – Osobiście lubię strzelać z broni amerykańskiej, ale posiadam też na przykład całkiem niezły model brazylijski – idealny na duże, myśliwskie kalibry.

Wyjął dwa rewolwery i podał je Adlerowi. Chłopak obejrzał je z nieskrywaną fascynacją. Oba były porządnie wykończone, miały wygodne rękojeści i lśniące lufy z satynowej stali.

– Może nie są tak piękne jak niektóre kołty – rzucił żartobliwie – wie pan, sir, jak te grawerowane, ze złotym spustem i srebrną rękojeścią. Ale i tak są fajne. Lufa: na oko osiem cali. Świetny kaliber na dużego zwierza. Waga: prawie trzy razy mniejsza od drylingu. Widzę też, że mają szynę na celownik. A jaki jest odrzut przy takim kalibrze?

– Spokojnie, tobie na pewno nie wyłamie nadgarstka – odparł Pearson. – Ja zacząłem zabawę z dużymi kalibrami, kiedy miałem kilkanaście lat – przypomniał sobie z niejaką nostalgią. – Zasadnicze pytanie brzmi: jak dobrze posługujesz się bronią krótką? W łowiectwie, strzelanie do zwierząt z rewolweru to wyższy poziom wtajemniczenia. Tutaj mówimy przecież o odległościach rzędu kilkudziesięciu jardów, a nawet

stu i więcej. Czy czułbyś się pewnie, strzelając z takiego dystansu?

– Mam trochę praktyki w strzelaniu z rewolweru – uspokoił go Adler.

Jego praktyka była raczej skromna, gdyż ograniczała się do ćwiczeń w domowej strzelnicy. No i do mniejszych kalibrów. Sir Ralph nie musiał jednak znać szczegółów, zwłaszcza że Adler nie wybierał się na polowanie. Potrzebował sploty wyłącznie na wypadek, gdyby przyszło mu stanąć oko w oko z jakąś bestią, żerującą na zamglonych mokradłach.

Ostatecznie pożyczył od Pearsona amerykański rewolwer z celownikiem, sześć naboju i fantastyczną księgę pod tytułem „Jagdgeschosse [\[97\]](#)”. To ostatnie wmusił w niego sir Ralph.

– Niestety, nie znam niemieckiego – powiedział. – A to podobno fascynująca lektura. Zastanawiam się, dlaczego nie przetłumaczono jej na angielski... No cóż, w każdym razie, z twoją znajomością języków na pewno wyniesiesz z tej książki więcej niż tylko fajne obrazki.

– Dziękuję, sir – odparł Adler. – Zabiorę ją do Edynburga i spróbuję dla pana przetłumaczyć.

Pomysł ten – ambitny, by nie powiedzieć szalony – przyszedł mu do głowy całkiem spontanicznie. Chciał się w jakiś sposób zrewanżować Pearsonowi za pomoc. Był niezwykle wdzięczny za zaufanie, jakim darzył go sir Ralph. Nie każdy arystokrata pożyczyłby ci splotę. Nawet gdyby posiadał cały arsenał.

Rewolwer został włączony do skromnego ekwipunku na misję zwiadowczą Adlera. Gdyby nie złe wieści z Edynburga, chłopak myślałby już tylko o wyprawie na Zamek.

Po wyjściu z King's Head, Adler nie wrócił od razu do domu Wyatta. Najpierw przystanął pod pubem, wsparłszy się butem o ścianę z bielonego kamienia. Ściana była krzywa i pofalowana jakby gospodę wznoszono po pijaku. Adler wyciągnął z kieszeni telefon. Cieszył się, że tak szybko zapadał zmrok. Po wystąpieniu w Ratuszu stał się rozpoznawalny. Jeszcze w trakcie narady ludzie zaczepiali go i zadawali masę dodatkowych pytań, wprost nie mógł się od nich opędzić. A teraz właśnie potrzebował ciszy – sprawa z bojlerem była stresująca. Nie chciał też, by go podsłuchiwano.

Rzucił okiem na ekran telefonu: żadnych nowych wiadomości od Rory'ego. Zadzwoił do przyjaciela raz jeszcze, lecz ten wciąż nie odbierał. Może wreszcie zrealizował swoje marzenie: dopadł jakąś fajną pannę z pierwszego roku biologii i obściskiwał się z nią teraz w zamkniętym i pogrążonym w obiecujących ciemnościach ogrodzie botanicznym?... Nieważne. Tak czy inaczej, Rory był bezużyteczny. Trzeba będzie poprosić o pomoc kogoś innego.

Adler pochylił głowę nad ekranem i zadumał się nad listą edynburskich znajomych. Po namyśle zadzwonił do Paddy'ego Rawlinsona. Paddy był jego dobrym kumplem z drużyny hokejowej. Był prostoduszny jak Rory, lecz w przeciwieństwie do tego ostatniego, nie zadawał trudnych pytań. Okazało się jednak, że Rawlinson, a w każdym razie jego telefon, znajdował się poza zasięgiem sieci. Taki sam komunikat Adler otrzymał po telefonie do kilku kolejnych znajomych z roku.

– Co jest?! – mruknął, zirytowany. Dlaczego nagle wszyscy znaleźli się poza zasięgiem? Czyżby operatorzy komórkowi zrezygnowali z biznesu na dalekiej północy? A może nad

Edynburgiem przetoczył się jeden z tych jesiennych huraganów, które wywracają maszty telekomunikacyjne?...

Bez większych nadziei, Adler wybrał numer Hamisha Taylora.

Hamish odebrał.

– Christian, jak miło, że w końcu dzwonisz... – wyszeptał przymilnie.

Zaraz, zaraz. To nie był głos Hamisha. Adler zerknął na wyświetlacz i z przerażeniem stwierdził, że się pomylił i wybrał numer siostry Hamisha, Claire.

Kiedyś, na jednej z libacji zoologów, Claire Taylor wyrwała Adlerowi telefon i wpisała mu swój numer, mówiąc: „Zadzwoń! Będę czekać...”. A potem wystawiła naszpikowany kolczykami język i oblizała naszpikowane kolczykami wargi.

Adler nigdy nie zadzwonił. Zapomniał nawet usunąć jej numer. Z dziewczynami miał tak, że jeśli nie kusily go nawet po pijaku, to na trzeźwo ich szanse były mniejsze niż zero.

A teraz właśnie wydzwaniał do Claire...

– Halo?... Christian, jesteś tam?... – Jej głos przerywały jakieś trzaski.

Zaklął w duchu i rzucił rzeczowym tonem:

– Hej, Claire. – Pauza. – Nie wiesz może, co porabia twój brat?...

Odpowiedziała mu seria złowieszczych trzasków.

– Halo? Claire?

– Czy dzwonisz tylko po to, żeby zapytać o mojego brata? – syknęła dziewczyna. – Gdzie ty w ogóle jesteś, Forbes? – Trzaski.

– ...i nie widuję cię już na zajęciach.

- A ty gdzie jesteś, Claire? - zbył ją bezsensownym pytaniem.

- Jak to: gdzie? Na Szetlandach!... Wszyscy jesteśmy na Szetlandach. Wszyscy - oprócz ciebie i Rossa...

„Wszyscy jesteśmy na Szetlandach”... Szetlandy... No tak! No przecież! Jak mógł o tym zapomnieć?? W tym tygodniu drugi rok zoologii bawił na wyjeździe naukowym w nadmorskiej wiosce na szetlandzkiej wyspie Mainland.

Claire dalej coś mówiła, lecz jej głos co rusz tłumili trzaski.

- ...poszli na imprezę inauguracyjną na kutrze... i chce mi się wymiotować, to chyba choroba morska... więc odpuściłam sobie tą imprezę i wróciłam.

Adler już jej nie słuchał. Życzył jej miłej zabawy na rybackim kutrze i pośpiesznie się rozłączył. Świetnie. W Edynburgu został tylko Ross. Vincent Ross - jego dawny przyjaciel...

Dokładnie pamiętał swą ostatnią rozmowę z Vincentem. Ross oskarżył go o mordowanie zwierząt, nazwał go wariatem i fantastą oraz wieszczył mu koniec podobny do upadku jego niegdyś wybitnego i sławnego ojca, o którym teraz zapomnieli cały świat. Adler wysłuchiwał ponuro jego oskarżeń, obracając w dłoni zakrwawiony nóż i czując się podle.

Od tamtego czasu nie rozmawiali już więcej ze sobą. Adler podejrzewał, że Vincent nie pojechał z grupą na Szetlandy, bo wciąż rehabilitował skaleczoną nogę. A może noga była tylko pretekstem. Kto by chciał się huścić na kutrze na północnym Atlantyku o tej porze roku?

Adler przewinął listę kontaktów i zatrzymał się na nazwisku Vincenta. Przez chwilę kontemplował w milczeniu przygłupie zdjęcie Rossa na wyświetlaczu. Wreszcie zaklął pod nosem

i demonstracyjnym gestem wepchał telefon do tylnej kieszeni spodni. Nie potrafił się zmusić, by prosić Vincenta o pomoc.

Przez noc nabrał jednak więcej pokory. Kiedy się obudził, myślał tylko o tym, że od naprawy bojlera minęło już kilkanaście godzin. Kilkanaście godzin maksymalnego grzania. W siedzibie Klubu panują teraz tropiki. To katastrofa. Nie mógł dłużej zwlekać.

Bez namysłu sięgnął po telefon i wybrał numer Rossa. Ciekawe, czy w ogóle odbierze...

Odebrał. Nie za pierwszym razem, ale jednak.

– Cześć, Vincent – powitał go Adler, starając się, by jego głos brzmiał pogodnie i rzeczowo.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Hej – wysilił się w końcu Ross. Jego powitanie zabrzmiało jak bolesne stęknięcie.

– Jak się masz? Jak twoja noga? – brnął Adler.

– Moja noga? Bardzo dobrze. A jak twoja?

– Też nieźle, dzięki – rzekł mechanicznie Adler. – Słuchaj, Ross. Ja... – zawahał się i w roztargnieniu przejechał dłonią po włosach. – Ja myślę, że już czas, żebyśmy przestali zachowywać się jak dwie skłócone baby. Tamta noc... ta historia z psem... była niefortunna. Żałuję tego, co zrobiłem. – Szczerze mówiąc, ani razu nie zdarzyło mu się roztrząsać tamtego wyskoku. Ale jakoś należało udobruchać Rossa, oddanego miłośnika zwierząt, wolontariusza WWF Scotland i Scottish Wildlife Trust.

Vincent milczał. Adler czuł się, jakby próbował nawiązać kontakt z kosmitą. To było cholernie trudne i niewdzięczne zadanie.

– Żałuję, że zabiłem tamtego psa – powtórzył i niemal sam w to uwierzył. Jak mógł ot tak po prostu odebrać życie niewinnemu stworzeniu?

Dobrze, że Vincent nie wiedział, że ten pies to tylko wierzchołek góry lodowej...

Vincent westchnął do słuchawki.

– Forbes – zaczął i umilkł.

– Tak? – zapytał Adler nagłoco. Trochę mu się śpieszyło. Dobrze by już było przejść do sedna sprawy.

– Dlaczego mam wrażenie, że czegoś ode mnie chcesz?

Adler zaklął w duchu.

– Stary, potrzebuję twojej pomocy – wyznał nagle. I tak nie miał nic do stracenia. – Wiem, że zabiłem tamtego psa i masz prawo mnie za to nienawidzić. Ale jeśli teraz mi pomożesz... Jeśli zgodzisz się mi pomóc, możemy wspólnie uratować pewne wyjątkowe zwierzę. Pomóż mi je uratować, Ross – poprosił żarliwie.

– Jakie zwierzę? O czym ty mówisz?...

– Vincent, potrzebuję, żebyś coś dla mnie zrobił – rzekł nagłoco Adler. – To bardzo ważna misja. Od niej zależy los pewnego zwierzęcia.

– Dlaczego dzwonisz z tym do mnie? – zdziwił się szczerze Vincent.

– Bo do niewielu ludzi mam takie zaufanie – palnął Adler. – Mimo wszystko, jesteśmy przecież przyjaciółmi – dodał. – Mimo tej historii z psem i w ogóle.

Vincent milczał złowrogo. Adler postanowił przejść do konkretnych wytycznych.

– Chciałbym, żebyś poszedł w jedno miejsce i coś

sprawdził. To miejsce jest w Edynburgu, w New Town. Trzeba to zrobić dzisiaj, jak najszybciej. Potem może być już za późno... Ja utknąłem w Anglii i nie dam rady wrócić do Szkocji na czas. To bardzo ważna misja, Vincent – powtórzył.

– Dobra – rzekł naraz stanowczo Ross. – Pójdę tam. Pomogę ci.– Wielkie dzięki, stary!

– Masz szczęście, że przez tą historię z psem nie wylądowałem na wózku.

– Mówiłem wam, że to nie był zwykły kundel. To był groźny...

– Nie zaczynaj – uciał Vincent. – Podaj mi adres tego miejsca.

Pójdę tam po zajęciach.

– Nie możesz pójść tam teraz?? – zapytał gorączkowo Adler.

– Nie mogę – odparł mściwie Ross.

– Jakie masz zajęcia? Cały rok bawi się na Szetlandach.

– Prawa zwierząt, to fakultatywny moduł. A potem jeszcze ćwiczenia z BioGIS [98]. W przyszłym tygodniu musimy oddać projekt, pamiętasz?

– Pamiętam – potwierdził ponuro Adler.

Rzecz jasna, nie ruszył jeszcze swojej części projektu. Pamiętał tylko, że zadanie dotyczyło rozmieszczenia siedlisk przyrodniczych nad wybranym jeziorem w Szkocji. Razem z Vincentem i Rory’em wybrali – trochę dla żartu – jezioro Loch Ness.

– Podam ci adres – rzekł do Vincenta. – Charlotte Square, dom numer dwadzieścia. Klucz jest w moim pokoju. Ma breloczek z logo Klu... to znaczy z takim jakby pterozaurom.

- Pamiętam, opowiadałeś nam o tym mitycznym stworze. To chyba za nim ugania się twoja ulubiona doktor Shepherd?
- W odpowiedzi Adler mruknął coś niezobowiązująco, Vincent tymczasem zapytał z wyraźnym zainteresowaniem: - Ta kamienica przy Charlotte Square... Co to za miejsce, Forbes? Do kogo należy ten dom?

- To dom jednego znajomego - odparł mętnie Adler. - Aktualnie przebywa poza Edynburgiem.

Scott Murray, ten spec od bojlera, twierdził, że profesora Fledermaus nie ma teraz w Edynburgu. Co jednak, jeśli Vincent natknie się na innych klubowiczów? Na wszelki wypadek Adler postanowił ostrzec przyjaciela.

- Wiesz, tam czasami kręcą się różni ludzie. To trochę taki dom otwarty. Jakbyś kogoś tam spotkał, po prostu powołaj się na mnie. - Adler zawahał się. Czy powinien od razu ujawnić Vincentowi swój pseudonim i przynależność do Klubu Zoologów? Z drugiej strony, na drzwiach wejściowych do kamienicy nie było żadnej tabliczki, która mogłaby go zdradzić...

- W porządku, powiem, że ty dałeś mi klucze - rzekł Ross.
- A na czym miałyby polegać ta ważna misja, o której wspominałeś?

Adler zastanowił się. Należało być ostrożnym. Być może w kamienicy numer dwadzieścia nie wydarzyło się jeszcze nic złego... Na obecnym etapie lepiej chyba nie opowiadać zbyt wiele.

- Pierwszy etap misji to wyłączenie grzania w całej kamienicy - rzekł. - W piwnicy jest centralny bojler gazowy.

- A kolejny etap? - zapytał Vincent z niejakim rozczarowaniem. Wyłączyć bojler - i to miała być „misja”?...

- Umówmy się, że najpierw tam dotrzesz, wyłączysz grzanie i wtedy... zobaczymy, co dalej – odparł enigmatycznie Adler. – Daj mi znać, jaka jest sytuacja.

- Dziwne to wszystko – mruknął Ross. – O co tutaj chodzi, Forbes?

- Opowiem ci, jak wrócę do Edynburga, okej?– Hm. Okej.

Ross nie zadawał więcej pytań i nie przedłużał rozmowy. Adler w pełni rozumiał jego rezerwę. Dla postronnego obserwatora cała sytuacja mogła wydawać się dziwna. Zwłaszcza gdy wciągał cię w nią człowiek, którego uważałeś za obłąkanego fantastę. Adler był bardzo wdzięczny Vincentowi za obiecaną pomoc. Wyglądało na to, że Ross także chce, by na powrót byli dobrymi kumplami.

Po rozmowie z Vincentem, Adler przebrał się w kamuflażowy strój zwiadowcy i przygotował parę niezbędnych drobiazgów: naładowany rewolwer, nóż, małą lornetkę i lekką latarkę myśliwską o dalekim zasięgu. Telefon, mimo iż teoretycznie wodoodporny, umieścił na wszelki wypadek w specjalnym etui.

Nie wiedział, czego się spodziewać po włościach Bazina. Nie wiedział też zupełnie nic o samym Bazinie, choć na naradzie w Ratuszu padały różne hipotezy. Wszystkie podejrzania, łącznie z jego własnym, wskazywały na to, iż właściciel Zamku nie mógł być raczej miłym facetem. Niezależnie od tego, czy faktycznie parał się kłusownictwem, czy też handlował bronią i prochami. Zamkowe tereny – rozległe, zamglone mokradła, na których nie stanęła stopa nawet tak nieustraszonych eksploratorów jak Keith Wood – zapowiadały raczej nieprzewidywalną wyprawę.

Przygotowania nie zajęły Adlerowi wiele czasu. Po

kwadransie był gotowy. Kaburę z rewolwerem zamaskował pod bluzą. Wszedł na korytarz i zamknął na klucz drzwi do swojego pokoju. Lepiej, żeby nikt tam nie zaglądał. W pokoju został dryling i zapasy amunicji.

W jakimś niewyjaśnionym odruchu zerknął w głąb korytarza, na drzwi wiodące do sypialni Majelli. Drzwi zdawały się być zamknięte na głucho, w całym korytarzu panowała dziwnie niepokojąca cisza. Cisza i mrok – ktoś pogasił światła w mosiężnych lampionach.

Adler zawahał się. Przez chwilę stał w ciemnym korytarzu i bawił się w dłoni kluczami. Przypomniały mu się słowa pani Chapman: o tym, że Majella nie wychodzi ze swojego pokoju. Że od paru dni leży niczym martwa w łóżku, nie odzywając się do nikogo i odmawiając posiłków. Dziś był poniedziałek i dziewczyna powinna iść do szkoły, lecz Adler nie słyszał na korytarzu żadnego ruchu. To oznaczało, że Majella wciąż leży tam sama, za tymi zamkniętymi na głucho drzwiami... Może tak bardzo przeżywa śmierć Ailith? W końcu uważała córkę Love'a za swoją przyjaciółkę. Nie wyglądało to jednak dobrze. Od leżenia w zamknięciu, bez jedzenia, niczym więzień w średniowiecznych lochach, nawet całkowicie zdrowy człowiek mógłby się przekręcić.

A Majella nie była całkowicie zdrowa. Była nastoletnią ćpunką, dzieckiem opuszczonym przez rodziców i sprytnie podrzuconym przez nich dziadkowi. Szkoła opłacona do osiemnastki i cześć.

No ale co on, Adler, mógł na to wszystko poradzić? Dziewczyny były dla niego zwykle źródłem rozrywki, a nie przytłaczających problemów. Nie wiedział, jak się postępuje w takich kryzysowych przypadkach.

Co zatem zrobił? Poprawił stanowczym gestem kaburę i zbiegł po schodach do wyjścia.

Później miał żałować, że nie zajrzał choć na chwilę do pokoju Majelli. To była jego ostatnia okazja, by z nią porozmawiać. Potem nastąpił chaos i wszystko wymknęło się spod jego kontroli. Ale wtedy, o poranku, nawet tego nie przeczuwał.

Tego dnia niebo nad Pelham zakryły czarne chmury znad morza. Niskie i groźne, kotłowały się napastliwie, jakby toczyły ze sobą bójkę. W prześwitach pośród chmur błyskał nienaturalnie jaskrawy błękit nieba. Wiatr rwał na strzępy pomniejsze obłoki.

Adler wyruszył pieszo polami w kierunku Plumpton. Planował wdrzeć się na zamkowe włości od północy. Swojej koncepcji nie zdradził Woodowi, który zamierzał forsować mur na południu. Po co forsować mur? Od strony Plumpton przez mokradła wiódł trakt dla ciężarówek. Adler przypuszczał, że to tamtędy prowadzi najkrótsza droga na Zamek. A skoro była tam droga, ten wycinek moczarów musiał być w miarę łatwy, a w każdym razie możliwy, do przebycia.

Mokradła były podstępny obszarem, który w sposób naturalny izolował Zamek od reszty cywilizacji. Podmokły, nierówny teren krył liczne pułapki: zimne, zasysające bagna, cuchnące bajora o nieokreślonych głębokościach, grząskie, nieprzebyte zarośla, szuwary i łągi. A wszystko to spowite w gęstej, białej mgle.

Adler był raczej skromnie przygotowany do przeprawy przez niedostępne grzęzawiska: musiały mu wystarczyć wojskowe kalosze z protektorami oraz teoretycznie nieprzemakalna odzież. Liczył na to, że jeśli podąży szlakiem ciężarówek, nie

będzie musiał nurkować w błocie.

Dotarł do Plumpton, a potem skręcił w znajomy zaułek wiodący w stronę pól. To tutaj wjeżdżały ciężarówki tego dnia, gdy Adler podążał śladem konwoju. Jego śledztwo urwało się wówczas u wylotu z zaułka, gdzie jedna z ciężarówek zablokowała mu przejazd. Teraz droga była wolna, w samym zaułku nie spotkał nikogo prócz starszej damulki ze stadkiem terrierów tybetańskich. Dama wyłoniła się zza jednej z furtek w kamiennym murze odgradzającym rezydencje od ulicy i bez zastanowienia pognąła swoje pieski w stronę centrum osady. Najwyraźniej w Plumpton nie praktykowano spacerów na mokradła. Być może dlatego, że teren był prywatny, a może po prostu przez tę odstręczającą wilgoć i fetor, które ciągnęły od bagien.

Adler minął ostatnie domy osady i ruszył wyboistym traktem biegnącym w głąb moczarów. Droga była niezła: szeroka, w miarę sucha, dość często używana – na skorupie z zaschniętego błota widniały liczne odciski potężnych bieżników. Po bokach drogi kładły się długie, zrudziałe trawy. Nieco dalej, z rzadkich, białawych oparów wynurzały się matowe tafle pierwszych bajor i sztywne kontury zastygłych we mgle krzewów. Zamku nie było jeszcze widać. Adler liczył, że wzmagający się wiatr wkrótce rozdmucha mgłę.

Po dwudziestu minutach marszu czekała go niespodzianka. Na jego drodze wyrosła dwuskrzydłowa brama ze stali, broniąca dostępu do dalszej części trasy. Po obu stronach bramy ciągnęła się srebrzystobiała siatka, wysoka na dziesięć stóp, kompletnie niewidoczna z oddali.

– Zaczyna robić się ciekawie... – mruknął do siebie Adler, przyglądając się bramie. Zamontowano na niej domofon,

siatka była pod napięciem.

Po drugiej stronie ogrodzenia rozpościerały się zakrzaczone bagna.

„Świetnie. Co teraz?...”, zastanowił się chłopak. „Trzymetrowej bramy nie przeskoczysz. Po siatce biegnie prąd, więc wspinanie też odpada”.

Wyciągnął lornetkę i zerknął przez srebrzyste druty siatki. W oddali widać było zarys jakichś budynków. Nie był to na pewno Zamek, kontury sugerowały raczej proste, pudełkowate baraki. Nieco bliżej, tuż przy drodze, stała blaszana buda wielkości garażu.

Naraz usłyszał chrapliwy pomruk. Odsunął się od bramy i zaczął czujnie nasłuchiwać. Dźwięk narastał i wkrótce przerodził się w warkot potężnego silnika. Adler nie potrzebował lornetki, by stwierdzić, że właśnie od strony Plumpton nadjeżdża ciężarowy samochód.

Pośpiesznie zeskoczył z drogi, lecz nie widział dobrego miejsca na kryjówkę. Teren był lekko pofalowany, porośnięty jedynie rudymi trawami. Do zarośli było za daleko. Poza tym grzęzły one w bagnie.

Ciężarówka zbliżała się, Adler dostrzegł teraz wyraźnie jej kanciastą naczepę. Nie mógł dłużej zwlekać. Jeszcze chwila, a zobaczy go kierowca. Bez namysłu runął płasko na ziemię i stoczył się do wgłębienia w pofalowanym terenie. Rów był płytki jak niedbale wykopany grób. Musiał jednak wystarczyć. Adler przywarł całym ciałem do ziemi, przyległ twarzą do mokrej trawy i znieruchomiał. Gdzieś w brzuchu czuł potężne pulsowanie.

Oby go nie zobaczyli...

Warkot nasilał się i wzrastał. Ciężarówka toczyła się

niemrawo wyboistym torem. Zanim jeszcze podjechała pod ogrodzenie, Adler posłyszał charakterystyczny szczęk metalu. Otworzył jedno oko i uniósł lekko głowę. Tak jak przypuszczał, to rozchylały się stalowe skrzydła bramy. Kierowca musiał otworzyć ją pilotem.

Ciężarówka przetoczyła się tuż obok wciśniętego w trawę Adlera. Zbombardowały go odpryski spod ogromnych kół. Zacisnął powieki, modląc się, by kierowca nie gapił się w boczne lusterko.

Silnik warczał monotonie, samochód poruszał się naprzód. Chyba nic nie zwróciło uwagi kierowcy. Wtedy Adler pomyślał, że to jego szansa. Teraz, kiedy brama była wciąż jeszcze otwarta, mógł się przedostać za ogrodzenie. Uniósł się ostrożnie na łokciach. Ciężarówka potoczyła się w głąb mokradeł. Stalowe skrzydła wrót drgnęły i zaczęły się zamykać.

Adler poderwał się z ziemi i popędził w stronę bramy. Szpara pomiędzy skrzydłami była coraz mniejsza, lecz zdołał przez nią przemknąć. Za bramą znów padł na ziemię i wydobyl lornetkę. Musiał być ostrożny. Teraz już oficjalnie znajdował się na obcym terytorium.

Zobaczył, że ciężarówka przystaje przy przydrożnej budce. W powiększeniu widział dokładnie masywny tył wozu. W blaszanej naczepie o barwie zgniłej zieleni wykrojono wąskie, podłużne otwory. Przypominały trochę żaluzje. Przez szpary w blasze do kontenera wpływało świeże powietrze, być może więc przewożono w nim zwierzęta. Tylko jakie zwierzęta potrzebowały tak olbrzymiego kontenera?... Smoki i dinozaury. Ewentualnie słonie lub niedźwiedzie.

Z budki wyszedł jakiś mężczyzna w czarnym T-shircie

i spodniach moro. Facet był rosłej postury i miał imponująco wyrzeźbione mięśnie. Przyozdobił też pas jakimś gnatem. Mężczyzna zamienił parę słów z kierowcą, który wychylił się przez boczne okno w kabinie. Adler widział dokładnie jego zarośniętą gębę z bulwiastym nochem i mięsistymi wargami, zaciśniętymi na pecie.

„Ten z budki to pewnie jakiś strażnik”, ocenił Adler. „Ale wygląda poważniej niż typowy cieć. Lepiej trzymać się od niego z daleka.”

Nie miał wyboru: jeśli nie chciał przemaszerować pod nosem strażnika, musiał odbić w mokradła.

„Spróbuję podejść pod te dalsze baraki”, postanowił. „Poszukam jakiejś okrzężnej drogi”.

Ciężarówka ruszyła spod budki, a strażnik zaszył się z powrotem w swojej małej twierdzy. Wtedy Adler podniósł się z ziemi i niedbale otrzepał ubranie. Ten ostatni zabieg niewiele mu dał: mokrawy brud zdążył przylgnąć do bluzy. Nie przejął się tym.

Ciemne plamy dodatkowo wzmocnią kamuflaż.

Musiał jak najszybciej zniknąć z pola widzenia strażnika. Odbił na zachód i ruszył przez podmokłe trawy. Splątane, mokre i obumarłe trawy przypominały włosy topielicy. Teren był grząski, lecz w miarę bezpieczny: Adler wciąż nurkował butem na tę samą głębokość. Co parę kroków przystawał i swoim łowieckim zwyczajem, uważnie nasłuchiwał. Takie bagienne obszary mogły być ostoją interesujących zwierząt.

Mgła, choć raczej rzadka, nie ustępowała. Była uparta jak stara pajęczyna. Podmuchy wiatru nie potrafiły jej rozwiać, przynosiły tylko kolejne fale odoru znad bajor.

Adler zbliżał się właśnie do takiego bajora. Było to potężne

rozlewisko o szarej, matowej tafli. Na jego przeciwległym krańcu widniał długi rząd czarnych, niemal już bezlistnych drzew. Adler uznał, że tamtędy może przebiegać alternatywna trasa do baraków, rząd drzew ciągnął się bowiem w kierunku południowym – w stronę Zamku. Musiał się jakoś dostać na drugi brzeg bajora. Zadanie nie było trywialne: Adler potrafił wyznaczyć jedynie przypuszczalne krawędzie rozlewiska. Zaczynało się gdzieś tutaj. Teren stał się mniej przewidywalny, trawy niepostrzeżenie zmieniły się w szuwały. Z każdym krokiem Adler zanurzał się coraz głębiej. Zimna, cuchnąca woda sięgała już powyżej kolan.

„Przydałaby się jakaś gałąź do pomiaru głębokości”, pomyślał. W pobliżu nie rosły jednak większe krzewy. Nie było też żadnego drzewa, a od najbliższego zagajnika dzieliło go przynajmniej kilkadziesiąt jardów.

Zatrzymał się i rozejrzał wokół z namysłem. Bajoro mogło być niebezpieczne. Było dziwnie opustoszałe, wymarłe. Nie zauważył w okolicy żadnych zwierząt typowych dla angielskich mokradł: ptaków brodzących czy choćby wydr lub szczurów wodnych. Z drugiej strony, woda w bajorze nie była gęstą, bagnistą mazią. Przypominała raczej typową wodę w stawie, mętną i śmierdzącą. Na szarej tafli unosiły się patyki i opadłe liście. Wyglądały trochę jak owady złapane w pajęczynę.

Naraz z oddali dobiegły go jakieś odgłosy. Szybko przykucnął i zaczął nasłuchiwać.

Usłyszał czyjąś rozmowę. Głosy należały do mężczyzn. Nie potrafił jednak rozpoznać pojedynczych słów. Usłyszał także coś jeszcze: ciężkie, chrapliwe dyszenie. Wszystkie dźwięki dobiegały skądś z tyłu – od strony siatki.

Adler ostrożnie uniósł głowę i spojrzął przez lornetkę.

Przebiegł wzrokiem wzdłuż ogrodzenia. Nic.

Głosy nasilały się. Do uszu Adlera dobiegały teraz strzępy rozmowy. „Po co ta wzmożona kontrola? Dopiero co robiłem obchód!”, narzekał jeden z mężczyzn, dorzucając jeszcze parę bluzgów. Na co drugi odpowiedział flegmatycznie: „Co zrobisz?”

Jak stary każe, to trzeba...”

Adler ponownie przesunął wzrokiem wzdłuż siatki. Głosy wyraźnie dochodziły z tamtego kierunku. Słyszał ciężkie stąpanie mężczyzn. Musieli być solidnej postury.

Zobaczył ich, gdy nagle wynurzyli się zza chaszczki pod siatką. Byli blisko. Niebezpiecznie blisko. Mógł ich teraz swobodnie oglądać bez lornetki. Było to dwóch gości w maskujących kurtkach i bojówkach. Uzbrojeni w sztucery i paralizatory, prowadzili na łańcuchach wielkie psy.

Zaraz, chwila. To nie były psy.

Dwa masywne, czworonożne stwory lazły niemrawo przez trawę, ciężko posapując. Raz po raz rzucały łbami, bezskutecznie usiłując rozdziawić potężnie uzębione pyski. Każdą bestię skuwał olbrzymi, stalowy kaganiec. Stwory miały wielkie, obłe cielska, nieproporcjonalnie krótkie, lecz masywne łapy i ogromne, spłaszczone łby, kształtem przypominające bijak młota. Były powolne, lecz zabójcze. Adler wyczuł to od razu. Chryste, skąd oni wytrzasnęli te bestie?...

Patrol nie zmierzał w stronę Adlera, lecz trzymał się okolic siatki. Tam pewnie grunt był stabilniejszy, zatem była to najlepsza droga, by obejść rozlewisko. Stwory na łańcuchach co rusz przerywały wolny pochód, zatrzymywały się i węszyły.

Adler skulił się, na ile mu pozwoliła jego raczej postawna sylwetka. Mniej martwił się o to, czy go zauważą. Liczył na

atuty swego kamuflażowego stroju. Bardziej obawiał się, że stworzy go wyczują. Podmuchy wiatru niosły jego zapach prosto w rozdęte nozdrza bestii.

Jeden ze stworów szarpnął łańcuchem.

– Co jest?! – warknął mężczyzna, który go pilnował. – Znowu się rzuca to bydlę!

Adler usłyszał ponowny brzęk łańcucha i odgłosy szamotaniny.

– No, wściekł się czy co? Czego tak szarpie?! Tam nic nie ma.

– Może coś wyczuł? – zasugerował drugi mężczyzna.

– Co on tu mógł wyczuć? – rzucił lekceważąco ten pierwszy.

– Smród jak cholera, ale to znane nam aromaty. Ciągnie od bagien. Znowu zabrzęczały łańcuchy.

– Ty, mój też się tam wrywa! – zorientował się drugi mężczyzna.

– Co, u diabła?!... Nie karmili ich dzisiaj czy co? Jakies takie pobudzone są... Zwykle ożywiają się tylko przed żarciem.

Adler zamarł, przerażony. Wyczuły go, to pewne. Bestie go wyczuły!...

Ostrożnie przesunął dłoń na kaburę. Zawahał się. Jeśli wystrzeli do stworów, zwróci na siebie uwagę tych dwóch gości. Oni także byli uzbrojeni i o ile Adler słusznie wywnioskował, ich misją było wyłapywanie intruzów. Inaczej po co patrolowaliby teren?

Usłyszał monotony, chrapliwy bulgot i wyobraził sobie ociekający śliną pysk bestii. Pysk spłaszczony, kłocowaty jak obuch siekiery. A potem znowu zaszczękały łańcuchy i po krótkiej szamotaninie, jeden z mężczyzn zaklął i rzucił do

kompana:

– No, chodź, zobaczymy, co tam wyniuchały!

Rozległo się ciężkie stąpanie. Adler miał minutę na podjęcie decyzji.

Siedział teraz skulony w mętnej płyźnicy, z tyłkiem połowicznie zanurzonym w wodzie. Czuł nieprzyjemną wilgoć i rozczarowanie, jakie zwykle towarzyszy człowiekowi, gdy nagle odkrywa, że jego wodoodporne spodnie wcale nie są nieprzemakalne.

Miał dwie opcje. Mógł wstać, wyjąć rewolwer i wycelować w łeb pierwszego stwora. A potem od razu rozwalić drugiego. Ciąg dalszy zależałby już od reakcji strażników, od tego, jak bardzo kochają swe bestie albo jak bardzo nienawidzą intruzów. W każdym razie, sądząc choćby po ich mordach, należało się spodziewać najgorszego.

Drugi pomysł był szalony. Spontaniczny. I potencjalnie mógł uratować mu życie.

Gdyby zanurzył się cały w bajorze, bestie straciłyby trop. Strażnicy nie byli przygotowani do penetrowania głębin bajora. Na pewno nie daliby się wciągnąć do wody.

Nie miał czasu na rozważanie za i przeciw. Przedarł się przez szuwary na głębie, zaczerpnął haust powietrza i zanurkował w mętym, cuchnącym roztworze.

Woda była przenikliwie zimna i wydawała się kleista jak ślina. Adler zamknął oczy. Wątpił, by w tych zawieszistych odmętach było coś specjalnego do oglądania. Poza tym w takim bajorze na pewno pleniły się wściekłe kolonie drapieżnych drobnoustrojów, które tylko czekały, by zaatakować spojówki. Musiał jedynie przeczekać zagrożenie. Wytrzymać parę chwil na wstrzymanym oddechu. Nie był to

dla niego większy problem, dzięki temu, że od zawsze lubił nurkować bez sprzętu.

Tkwiał więc pod wodą z wytrwałością, którą zapewne odziedziczył po swych pradawnych przodkach, Piktach. Jak twierdził pewien rzymski historyk, w sytuacji zagrożenia Piktowie zanurzali się w bagnach aż po głowę i potrafili tak wytrzymać wiele dni [\[99\]](#). Mimo iż należeli do ludów Północy, chodzili nadszy i bosi i nie straszne im były żadne niewygody. W każdym współczesnym Szkocie było coś z takiego barbarzyńskiego Pikta.

Pod nogami Adler czuł miękki grunt, mieszaninę mułu i podwodnej trawy. Grunt nie był stabilny, każdy krok naprzód mógł się okazać skokiem w głębinę.

Wynurzył ostrożnie głowę, by zaczerpnąć powietrza. Uniósł mokrą powiekę i jednym okiem zerknął w stronę brzegu bajora. Mężczyźni ze stworami zbliżyli się do krawędzi rozlewiska, lecz nie dostrzegłszy nic podejrzanego, usiłowali teraz odciągnąć bestie i wrócić do patrolowania suchszych i bardziej przyjaznych terenów. Stwory stawiały opór. Tkwiły aż po brzuch w mętnej wodzie bajora i z tępym niedowierzaniem gapiły się w szuwały.

Adler ponownie zanurzył się w cuchnącej toni. Czego się nie robi dla świętego spokoju. Albo dla ratowania własnego tyłka.

Nagle poczuł silny prąd wody i coś potężnego trąciło go w udo. Cios był bolesny. Adler momentalnie otworzył oczy.

Najpierw nie zobaczył nic prócz mętnej toni. Okręcił się i nieopatrznie zrobił krok do przodu. Poczuł, że traci równowagę i osuwa się wraz z mułem w głębinę. Wtedy właśnie ujrział kolejnego stwora. A właściwie tylko jego paszczę.

Wielkie, kwadratowe szczęki z ostrymi zębami jak połamane płyty chodnikowe. Małe, nienawistne oczka rozstawione szeroko po bokach... Nie zastanawiał się nawet, co to za potwór. Machnął zamasyżście ramionami i odbił na bok, byle jak najdalej od stwora.

Potwór kłapnął paszczą – leniwie, z obojętnością drapieżcy, który jest pewien, że i tak dopadnie swą ofiarę. Zarzucił cielskiem, ukazując swe wszystkie atuty. Adler zobaczył rybę długą na osiem stóp. Masywną. Szkaradną. Rybę–potwora.

Ryba machnęła ogromnym ogonem i natarła na Adlera.

Adler zrobił unik niczym podwodny bokser. Zanurkował głębiej i w desperacji wyszarpał rewolwer z za pasa. Miał tylko jedną szansę. Nie wiedział, jak pocisk zachowa się pod wodą. Nie był nawet pewien, czy rewolwer wystrzeli. Cel był jednak na tyle blisko, że pozostało mu wierzyć, że spluwa wystrzeli, a nabój dosięgnie celu.

Ale nie zdążył oddać strzału, gdyż coś znieenacka grzmotnęło go w plecy. Zawył z bólu, z jego ust wytoczyły się bąble powietrza. Rewolwer wyślizgnął się z dłoni chłopaka i opadł w mętną czeluść bajora.

Teraz Adlera ze wszystkich stron okrążyły ciemne kształty. Wirowała wokół niego cała ławica: drapieżne ryby z szeroko rozwartymi pyskami. Ale on myślał tylko o jednym: o tym, że musi koniecznie zaczerpnąć powietrza. Ze wszystkich sił pomknął do góry, ku powierzchni, desperacko kopiąc nogami. Cielska wirujących ryb otaczały go ciasno, coraz ciaśniej, niczym mury studni. Wir wciągał go z powrotem w głębinę. Podał się, zrobił szybki obrót całym ciałem i gwałtownie zmienił kierunek. Zanurkował jeszcze głębiej.

Wydostał się z kręgu od dołu, po czym odbił w bok. Jego

prześladowcy potrzebowali chwili, by pojąć ten manewr.

„Niech żyje przewaga ssaków nad rybami...”, pomyślał sarkastycznie. Nie triumfował długo. Ryby, jedna za drugą, ruszyły za nim.

Zdołał wynurzyć się z wody i chciwie zaczerpnął haust powietrza.

Wiedział, że za nim płyną. Czuł złowieszczy prąd wody. Rzucił się kraulem w stronę brzegu. Brzeg był już blisko. Strażnicy i towarzyszące im potwory gdzieś znikli.

Po chwili dotknął butami grząskiego podłoża. „Udało się”, pomyślał. A potem spojrzał w dół i wiedział od razu, że to nieprawda. Woda zabulgotała, pod wzburzoną taflą czernił się ogromny kształt. Jedno kłapnięcie kwadratowej paszczy i Adler pożegna się z tym światem.

Mówi się, że w takich momentach człowiekowi całe życie staje przed oczami. Adler nie zobaczył nic. Ani jednej pieprzonej migawki. Może na to nie zasłużył. A może po prostu to nie był jego koniec. Bez zastanowienia, powodowany instynktem, zanurzył się cały i szarpnął za nóż. Wiedział, że ryba nie padnie od ciosu, lecz wystarczy ją zranić, zniechęcić do ataku na płyciznie.

Zamachnął się i dźgnął gdzieś w okolice skrzeli. Usłyszał głuchy szczęk, zadrżał mu nadgarstek. Miał wrażenie, jakby ugodził ostrzem w kamień lub w betonową płytę. Nie mógł w to uwierzyć: ryba musiała mieć pancerz!

Raz jeszcze chlasnął stałą, zupełnie na oślep, dla odwrócenia uwagi. Ostrze znów rąbnęło w płytę pancerza, nóż wyleciał z dłoni Adlera. Ryba zaszamotała cielskiem, wzburzając wodę i chłopaka cisnęło na zupełną płyciznę.

Wciąż jeszcze w szoku, czym prędzej wylazł na czworakach

z wody. Podniósł się i przez chwilę dyszał ciężko, patrząc z niedowierzaniem na wzburzoną tafłę.

Opancerzona ryba!... Drapieżna ryba z pancerzem! Jak prehistoryczne plakodermy... Skąd wzięła się na mokradłach Bazina??...

Dopiero po chwili dotarł do niego ogrom strat, jakie przyniosła przygoda z bajorem.

Stał po kolana w błocie na brzegu rozlewiska, cały mokry i zlodowaciały. Obolały od ciosów. Z oczami nabiegłymi krwią i sinymi wargami. Z breją w butach i zimną wodą pod ubraniem. Tuż za nim była siatka pod napięciem, przed nim – niekończące się bagna, patrolowane przez potwory i uzbrojonych typów. Ale nie to było najgorsze. Takie drobne niedogodności go nie złamią.

Prawdziwa katastrofa polegała na tym, że nie miał już żadnej broni. Przepadły: jego ulubiony nóż i rewolwer Pearsona. A przecież znajdował się dopiero na starcie swojej ekspedycji.

I mimo wszystko – nie zamierzał się poddać.

Wyprostował się i zacisnął zęby. Wylał cuchnącą breję z butów i przejechał palcami po włosach, ściągając z nich kleisty kożuch z liści, patyków i mułu. Zdjął z szyi mokre etui i z ulgą stwierdził, że telefon nie przemókł i działa. W każdej chwili mógł się spodziewać wieści od Rossa.

„Dobra, to już wiemy, że to bajoro najlepiej omijać szerokim łukiem”, pomyślał, rozglądając się wokół. „Prawdopodobnie, każde następne także...”

Postanowił pójść w ślady strażników i obejść rozlewisko, trzymając się okolic siatki. Swoją drogą, będzie musiał uważać na tych gości z potworami. Niby gdzieś znikli, ale kto wie, ile

takich parek patroluje ten teren.

Odbił w stronę ogrodzenia. Stąpił rozważnie, wybierając tylko takie miejsca, gdzie nie zanurzał się w grzęzawisku powyżej cholewki buta. Starał się nie myśleć o tym, jakie to podłe uczucie być całym przemoczonym i wystawionym na podmuchy jesiennego wiatru. Z niepokojem zadzierał głowę i spoglądał na czarne chmury, które kotłowały się złowieszczo, wróżąc rychłą zmianę aury. Zmianę na gorsze, oczywiście.

Starał się też nie myśleć o tym, że zaprzepaścił rewolwer sir Ralphi. Starał się, lecz mu to nie wychodziło. Nie mógł od siebie odpędzić tych posępnych myśli. Trudno jest odpędzać nieprzyjemne myśli, gdy ma się przemoczone buty i bieliznę. Świat wydaje się wtedy takim podłym miejscem. Plugawą planetą, na której za mało jest ładu, a zdecydowanie za dużo oceanów.

Zastanawiał się, jak będzie wyglądała jego konfrontacja z Pearsonem. Rozważył kilka niewesołych scenariuszy, w których na różne wyszukane sposoby informował arystokratę o tym, że postradał jego cenne mienie. Szybko dał sobie spokój z tą zabawą. Już przy pierwszym scenariuszu miał ochotę rzucić się na siatkę elektryczną.

Trasa wzdłuż ogrodzenia nie była idealna, lecz przynajmniej w linii prostej prowadziła ku zachodniemu brzegowi rozlewiska, gdzie rosły drzewa i gdzie Adler spodziewał się zastać bardziej stabilny grunt. Wzdłuż siatki było pełno chaszczy, lecz Adler chwilowo wolał przedzierać się przez płataninę gałęzi niż brodzić w zimnej brei. Zresztą na niektórych odcinkach maszerowało się całkiem bez problemu: patrolujący strażnicy wyłamali trochę gałęzi, a w bardziej podmokłych miejscach rzucili w grzęzawisko bale, po których

można było kroczyć, nie dotykając butem wody.

Gdy Adler dotarł w końcu na wschodni brzeg bajora, czekało go rozczarowanie. Owszem, rosły tam wysokie drzewa, lecz każde z nich znajdowało się na osobnej wysepce, pomiędzy wysepkami zaś szarzyła się mętna, stojąca woda niewiadomej głębokości.

„Fantastycznie”, mruknął do siebie i przymierzył się do skoku na pierwszą wysepkę.

To był łatwy skok, szerokość wodnego przesmyku mierzyła na oko sześć stóp, nie więcej. Z kolejnym przesmykiem było trochę gorzej – woda zalała jedną z wysp i teraz z rozlewiska sterczał tylko czarny pień olchy. Do kolejnej wyspy nie doleciałby nawet skoczek olimpijski.

Adler ułamał gałąź z drzewa na swojej wysepce. Trudno, trzeba się zanurzyć. Może tu nie jest głęboko...

Włożył sondażowo kij do wody. Kij zanurzył się na niecałe trzy stopy.

„Nie jest źle”, pomyślał z nadzieją Adler i już miał zrobić pierwszy krok, gdy naraz woda wokół kija zabulgotała jak wrzątek na gazie.

Coś kotłowało się w przesmyku. Woda burzyła się i bełtała, jakby pod taflą toczyła się zacięta szamotanina. Nagle kotłowanie ustało i na wodzie rozeszły się kręgi: najpierw przezroczyste, szarawe, potem – karminowe.

Adler pośpiesznie wyciągnął kij. Z końcówki ociekała zabrudzona krwią woda.

– Świetnie, tu też hodują jakieś piranie... – mruknął chłopak i po namyśle ułamał jeszcze jedną gałąź.

Gdyby chociaż miał scyzoryk, mógłby sobie zrobić prymitywną włócznię. A tak będzie musiał płoszyć tudzież

dźgać podwodne stwory dwoma krzywymi kijami. Całe szczęście, że stwory nie mogły być wielkie: woda w tym miejscu nie była głęboka.

Przełknął ślinę i wlażł do bajora.

Pośpiesznie badał kijami grunt i szybko przesuwał się do przodu. Wreszcie dotarł na następną wysepkę i choć była bardzo grząska, czuł się jak uratowany rozbitek.

„Niezły tor przeszkód”, pomyślał i po raz pierwszy, odkąd wszedł na teren Bazina, uśmiechnął się.

Wyspa po wyspie, przesmyk po przesmyku, przeskoczył w końcu na drugi kraniec mokradła. Nic go nie pogryzło, nic nie zaatakowało i jeśli nie liczyć paru przymusowych zanurzeń po pas, ogólnie nie najgorzej się bawił. Teraz w oddali, w prześwitach w bagiennym zagajniku, widział już kontury pierwszych zabudowań. Poza strefą mokradła mgła rozproszyła się nieco i widoczność uległa poprawie. Wilgoć utrzymywała się nadal, ale przemoczonemu Adlerowi nie robiło to wielkiej różnicy.

Przedarł się przez zagajnik i ostrożnie wystawił głowę z zarośli. Spojrzał przez lornetkę. Jego oczom ukazał się kompleks starych, powojkowych budynków: dawnych hangarów i magazynów o dość upiornej architekturze. Na terenie kompleksu grunt był wyrównany i utwardzony. Na placu przed najbliższym budynkiem stała flota wojskowych pojazdów technicznych. Większość z samochodów pamiętała chyba jeszcze czasy Zimnej Wojny. Prócz wozów brytyjskich, było też parę perełek ze wschodu: Adler rozpoznał radziecką, wielozadaniową ciężarówkę ził i opancerzone samochody terenowe z Arzamaskiej Fabryki Maszyn.

Nasuwało się pytanie: do czego Bazinowi służyła ta flota?...

Przy pojazdach kręcili się ludzie. W pierwszym baraku, który najwyraźniej służył za warsztat, montowano koparkę na gąsienicowym podwoziu.

Adler wolno przesuwiał lornetkę, coraz bardziej zaintrygowany. Część z tych samochodów Bazin dostał zapewne w spadku po brytyjskiej armii. Czy to nie dziwne, że taki sprzęt trafił ostatecznie w ręce Rosjanina?

Zastanowił się, jak bezpiecznie obejść magazyny. Ludzie kręcący się przy wozach nie wyglądali na strażników. Byli to raczej zwykli kierowcy i mechanicy, uzbrojeni jedynie w zestaw samochodowych kluczy. Może gdyby przemaszerował pewnym krokiem w swym pseudomilitarnym stroju, nawet by go nie zatrzymali.

Przesuwiał się wzdłuż krawędzi chaszczy, by mieć lepszy widok na cały kompleks. Wyglądało na to, że od północy i zachodu park ciężarówek graniczył z bagnami. Przez wschodnią część kompleksu musiał przebiegać główny trakt z Plumpton. Adler skierował się w stronę traktu.

Chciał poznać całe imperium Bazina.

Szedł przez zarośla, by nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi. Zarośla stopniowo przerzedzały się, teren wciąż był grząski, teraz jednak bardziej falował. Po drugiej stronie drogi dalej ciągnęły się moczary. Horyzont niknął we mgle. Adlerowi wydało się, że widzi srebrzysty zarys siatki.

Przystanął na krawędzi traktu, który teraz był zupełnie pusty. Gdzieś daleko, za jego plecami, stała budka strażnika. Przed nim wiała się droga, która zapewne wiodła aż pod sam Zamek.

Naraz w oddali na drodze zamigotał ciemny punkt.

Adler zeskoczył do płytkiego rowu, biegnącego wzdłuż

traktu. Chlapnął buciorami w mętną wodę i po raz nie wiadomo który zanurzył tyłek w brei. Trudno. Taki los zwiadowcy. Nie mogli go zobaczyć.

Ciemny punkt zbliżał się, rósł i mnożył. Po chwili widać było wyraźnie, że drogą nadciąga kolumna pojazdów. Nie były to wozy militarne, lecz czarna limuzyna w eskorcie motocykli. Limuzyna należała z pewnością do jakiegoś dyplomaty, gdyż na jej lśniącej masce powiewały małe flagi. Przyczajony w rowie, Adler zdołał uchwycić barwy flag, lecz nie potrafił ich przypisać do konkretnego państwa. Czerwony, biały, czarny, zielony... Takie zestawienie barw spotyka się na przykład we flagach krajów Afryki Północnej. A także Azji Środkowej i Bliskiego Wschodu. To popularne barwy w krajach arabskich [\[100\]](#).

„Ciekawych kumpli ma Bazin...”, pomyślał Adler, śledząc wzrokiem oddalającą się kolumnę.

W jego głowie znów zakołatało pytanie: kim był Bazin? Czy w ogóle istniał jakiś Bazin – cudzoziemiec, który rzekomo nabył Zamek? A może to wszystko było tylko przykrywką, może nie było żadnego Bazina, a Zamek w Pelham na powrót znajdował się w rękach brytyjskiego rządu, tak jak za czasów Zimnej Wojny?

Ale przecież sam spotkał tu Rosjan – egzotycznych, dzikich kłusowników ścigających egzotyczne, dzikie bestie. Bazina nikt nigdy nie widział, jeśli nie liczyć historii sir Ralpa. Jednakże człowiek, którego spotkał kiedyś w polach Pearson, wcale nie musiał być właścicielem Zamku. Adler podejrzewał, że był to po prostu jeden z tych rosyjskich dzikusów.

Przeszedł teraz na drugą stronę drogi i odbił głębiej w mokradła. Dalej kierował się na południe, w stronę

magazynów i Zamku, lecz starał się zachować bezpieczną odległość od głównego traktu. Przed nim majaczyło we mgle zmętniałe lustro moczarów. Tu i ówdzie wyrastały ciemne kępy zarośli lub pojedyncze drzewa o rozczochranych przez wiatr koronach. Pod nogami pełzała mokra, martwa trawa. Czarne chmury opadły tak nisko, że zapachniało deszczem.

Adler dobrnął do grupy niskich, jednopiętrowych baraków, stojących na skraju bagiennego lasu. Naprzeciwko baraków, po drugiej stronie drogi, znajdował się znany mu już kompleks hangarów i park wojskowych ciężarówek.

Na klepisku między barakami stało kilka zbryzganych błotem land roverów. Ich kierowców nigdzie nie było widać, baraki wydały się Adlerowi kompletnie opustoszałe. Przesunął wzrokiem po posępnych ścianach z małymi, zakratowanymi okienkami i ogarnęło go dziwne, niepokojące uczucie. Miejsce to przywodziło mu na myśl obiekty szpitalne w obozie koncentracyjnym, gdzie przeprowadzano jakieś bestialskie eksperymenty medyczne.

Ostrożnie obszedł baraki od tyłu, usiłując zajrzeć do środka przez zakratowane okienka. Niestety, okienka były umieszczone jakichś osiem stóp nad ziemią, a zza krat zionął mrok.

„Te budynki to pewnie też pozostałości po wojsku”, pomyślał. „Teraz zabite na głucho, nieużywane.”

Zerknął na zaparkowane samochody. Jeśli nikogo nie było w barakach, gdzie w takim razie podziali się ludzie, którzy przyjechali tymi terenówkami?

Przychodziła mu do głowy tylko jedna odpowiedź. Powoli obrócił głowę i utkwiał wzrok w ciemnej ścianie bagiennego lasu. Las szumiał dziwnie – nie był to szum drzew, tylko

raczej jakby... buczenie owadów.

Coś kazało mu wejść w ten las. Jakaś siła pchnęła go w podmokłe zarośla, a potem kazała brnąć przez mgłę między smukłymi pniami czarnych, bezlistnych drzew.

W lesie nie było żywej duszy. Adler słyszał tylko chlupot pod swoimi stopami oraz owo tajemnicze buczenie. Nie potrafił wskazać jego źródła. Nie widział żadnych owadów.

Buczenie narastało. Miał wrażenie, jakby otaczał go rój niewidzialnych pszczoł.

Naraz w oparach mignął kolorowy kształt. A potem kolejny. I jeszcze jeden. Kolorowe plamy przesuwały się powoli pomiędzy zasnutymi mgłą drzewami. Do uszu Adlera dotarły niewyraźne głosy.

„Ludzie!”, pomyślał z radością dzikusa, który od lat błąkał się samotnie po bezludnej wyspie.

Rzucił się w pościg za znikającymi plamami – i nagle zatrzymał się jak wryty.

Od dalszej części lasu odgradzała go siatka. Trochę inna od tej pod napięciem, która grodziła teren Bazina. Ta tutaj miała gęste, małe oczka i była tak wysoka, że jej góra niknęła gdzieś pośród koron drzew. Zza siatki dobiegał znajomy szum. Teraz jednak właściwie nie był to już szum, tylko prawdziwy huk.

Zaintrygowany, Adler zaczął biec wzdłuż ogrodzenia, co parę kroków grzęznąc to w stojącej wodzie, to w błotnistej brei. Liczył na to, że znajdzie jakąś furtkę w ogrodzeniu. Że jakimś sposobem uda mu się przejść na drugą stronę.

Zatrzymał się, gdy ujrzał grupę ludzi stojących za siatką. Byli całkiem blisko, ich sylwetki górowały nad ciemnym pasem krzewiny. Przykucnął gwałtownie, choć w rozbrzmiewającym

wokół szumie na pewno nie słyszeli jego kroków.

Gdy się upewnił, że go nie dostrzegli, uniósł się ostrożnie, by się im dokładniej przyjrzeć. Widział ich teraz wyraźnie: było to trzech ludzi ubranych w kombinezony przypominające strój pszczelarza. Dodatkowo, każdy z nich miał na sobie odblaskową kamizelkę BHP. Każdy też ścisnął w dłoni jakiś notatnik lub tablet. Wszyscy patrzyli prosto przed siebie, na dziwnie rozedrganą mgławicę w głębi ogrodzonego terenu.

Adler zmrużył oczy. Nie miał pojęcia, czym była ta mgławica, lecz już po krótkiej chwili jednego był pewien: to ona produkowała szum i była źródłem panującego wokół hałasu.

Ludzie w kombinezonach coś sobie pokazywali, wskazując w środek rozedrgannej chmury. Adler nie słyszał wyraźnie ich słów. Z początku starał się wyłapać fragmenty rozmowy. Usłyszał wzmiankę o ciśnieniu i wilgotności powietrza, a potem jeszcze coś o stężeniu tlenu. Nagle jednak zupełnie przestał ich słuchać. Zdał sobie bowiem sprawę, czym jest ta mgławica.

Zobaczył je. Zobaczył dziesiątki, setki wirujących wściekle owadów. Ich trzepoczące skrzydła tworzyły rozedrganą masę. Adler zapomniał się zupełnie i zagapił w huczący rój z niemałą fascynacją. Bo to nie były zwykłe owady.

To były gigantyczne insekty o odwłokach wielkich jak pięść. Kotłowały się nad parującym bajorem, zamknięte w olbrzymiej wolierze sięgającej czubków drzew.

– To niemożliwe... – wyszeptał do siebie Adler, nie mogąc oderwać wzroku od grzmiącego roju. – Jak to możliwe?? – poprawił się niemal natychmiast.

Owady takiej wielkości nie występowały na Ziemi od

milionów lat. Olbrzymie stawonogi wyewoluowały w okresie karbonu, kiedy stężenie tlenu w atmosferze było znacznie wyższe niż obecnie. Dzięki nadwyżkom tlenu stawonogi, które charakteryzują się dość prymitywnym układem oddechowym, mogły sobie pozwolić na pokaźne rozmiary. To wtedy po świecie wędrowały dwumetrowe wije. Powietrze było gęstsze, co pomagało unosić się ważkom wielkości orła. Ziemię pokrywały wielkie, podmokłe lasy, tworzące idealne miejsce do żerowania drapieżnych stawonogów.

Ale obecnie?... Skąd mogły się wziąć te gigantyczne muchy? Adler wyobrażał sobie, że można by wyhodować takiego owada w warunkach laboratoryjnych, podając mu więcej tlenu. Ale żeby takie żyły na wolności?...

„Musiałyby mieć zmodyfikowany, bardziej wydajny układ oddechowy”, myślał.

A to by oznaczało, że muchy, które właśnie oglądał, nie były typowymi *Diptera* [\[101\]](#), lecz owadami zmodyfikowanymi. Pytanie: przez kogo? Przez Naturę czy przez człowieka?...

Jak długo te giganty przetrwają w wolierze? Po co je tu sprowadzono?...

Przesunął wzrok na ludzi za siatką. Kim byli? Naukowcami?... Przez chwilę przyglądali się wirującym owadom, zapewne urzeczeni jak Adler tą niezwykłą sceną. Wkrótce jednak odwrócili głowy i pochylili je nad swymi notatkami, z ożywieniem omawiając jakieś zapiski czy wyniki badań.

Adler ostrożnie wycofał się w stronę baraków. Już mu nie zależało na tym, by odnaleźć furtkę do woliery. Nie wiadomo, czym się żywią te gigantyczne insekty...

Wrócił do głównego traktu i ruszył dalej na południe. Na

horyzoncie widział już kolejną grupę powojkowych obiektów. Wkrótce musiał odbić z drogi, gdyż była bardziej uczęszczana niż zakładał: po koleinach zasuwały ciężarówki do transportu zwierząt, patrole w uazach i zwykłe land rovery.

Jeden pojazd szczególnie przykuł jego uwagę. Był to amerykański transporter opancerzony z czasów II wojny światowej. Zamiast tylnych kół miał gąsienice, co nadawało mu bardziej bojowy wygląd. Za sterami siedział dumny kierowca. Sekretny załadunek przykryto plandeką.

Adler pokiwał głową z uznaniem. To był idealny wóz do jazdy w trudnym terenie. Bazin miał niezły gust, kolekcjonował praktyczne samochody z klasą.

Dotarł do kolejnych magazynów i tu musiał być bardziej uważny, gdyż przy budynkach kręcili się ludzie. Zakradł się pod niewielki barak, który przypominał prowizoryczną budkę dla robotników. Barak tonął w chaszczach, podobnie jak stojące obok przenośne toalety. Adler omal nie parsknął śmiechem na widok tych toalet. Dla kogo je postavili na tym odludziu? Dla tego afrykańskiego dyplomaty? Bo przecież faceci z obsługi na pewno dawali sobie radę bez tego typu przybytków.

Okazało się jednak, że toalety cieszyły się wzięciem. Kiedy

Adler czaił się na tyłach baraku, pod budkę zajechały dwa SUV-y. Z samochodów wyskoczyły dwie kobiety i natychmiast pomknęły do toalet. Za kobietami wyszło dwóch mężczyzn, ci jednak udali się bezpośrednio do baraku. Adler przylgnął do tylnej ściany, zastanawiając się, kim są ci ludzie. Grupka zabawiła chwilę w baraku, przez cienką ścianę słyszał ich głosy i śmiechy.

Adler miał pewne podejrzenia odnośnie tego, co robili tam

w środku. Słyszał wyraźnie odgłosy rozsuwanych zamków i szamotaniny, jaka zwykle towarzyszy pośpiesznemu zdejmowaniu odzieży... Dlatego też nieco go zdziwiło, kiedy do grupy dołączył jeszcze jeden ze strażników, którzy plądali się koło magazynów. Strażnik nie wyglądał na lowelasa, lecz ochoczo zajrzał do środka baraku. Co za pech!... Nie mogli sobie wybrać innej budy?? Musieli się wpakować akurat do tej, za którą czał się Adler?

Zamarł z mokrymi plecami przyklejonymi do zimnej ściany. Zamknął oczy, starając się nie myśleć o lodowatej brei w swoich butach.

Wyglądało na to, że strażnik nie przyłączył się do zabawy w budce, tylko uciął sobie ze zgromadzonymi w niej krótką pogawędkę. Po chwili wszyscy wysypali się na zewnątrz i ruszyli w stronę magazynów. Nie wiedzieć czemu, mieli teraz na sobie odblaskowe kurtki w jaskrawych kolorach. Rozmawiali o jakimś Tolley'u.

– Gdzie Tolley? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Spóźnia się – odparła idąca obok kobieta. – Nic dziwnego: ponoć jedzie aż z samego Glasgow.

– Ho, ho, kawał drogi!

– Mam nadzieję, że dotrze na czas. To ekspert od płazów z rodzaju *Amphiuma*.

Adler odczekał, aż grupka się oddali, po czym zakradł się na przód baraku i zerknął przez uchylone drzwi. Ze zdumieniem stwierdził, że w środku było coś w rodzaju szatni: na kołkach wisiały rozmaite ubrania, zaś podłoga zasłana była butami. W rogu nieopodal drzwi wisiały odblaskowe kurtki i smycze z przepustkami.

Przyjrzał się nazwiskom na identyfikatorach: profesor Julia

Sawczenko, pan Gleb Astachow, doktor John Tolley... Zatrzymał wzrok na plakietce doktora Tolley'a. Doktor John Tolley z Glasgow. Szkocki ekspert od płazów...

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Przymknął drzwi i pośpiesznie zrzucił z siebie przemoczony strój. Potem pochwycił z wieszaków co popadnie: niebieskie spodnie moro, sportową koszulkę z jakimś różowym kołem i porządną marynarkę z burej wełny. Coś zadźwięczało, gdy narzucił marynarkę na ramiona.

- Cholera, to chyba część wojskowego munduru - zorientował się, spoglądając na rząd orderów nad klapką kieszeni na piersi. Marynarka niewątpliwie stanowiła element munduru galowego i sądząc po ilości odznaczeń, musiała należeć do jakiegoś generała.

Adler chciał ją podmienić, lecz naraz zobaczył przez okienko, że do budki zbliża się strażnik. W popłochu założył odblaskową kurtkę i identyfikator doktora Tolley'a.

Strażnik stanął w progu baraku. Nie był to przyjemny gość: masywny, o sadystycznej gębie, opięty skórzanym pasem, za który wetknął obrzyn [\[102\]](#) i krótkofalówkę.

Przejechał podejrzliwym wzrokiem po identyfikatorze Adlera.

- Doktor Tolley - odszyfrował powoli jak półalfabeta. Adler skinął głową.

Jak dobrze, że w schowku panował półmrok! Strażnik nie widział błota we włosach Adlera ani resztek mułu na jego twarzy. Na identyfikatorze nie było zdjęcia, służył raczej głównie jako karta dostępu - pod nazwiskiem doktora wypisane były kody obiektów, do których Tolley miał uprawnienie.

- Czekają na pana – powiedział strażnik. Mówił z obcym akcentem.

- Trochę się spóźniłem – przyznał Adler i przejechał dłońmi po włosach, by w miarę możliwości nadać sobie bardziej szacownego wyglądu.

Strażnik wyszedł przed barak i wskazał palcem na jeden z magazynów po drugiej stronie placu.

- Pójdzie pan za ten budynek – poinstruował. – Dalej prosto do L-9.

- L-9?

- Laboratorium na świeżym powietrzu. Karta nie będzie potrzebna.

Strażnik sprawiał wrażenie, jakby czekał na ruch Adlera. Chłopak z ociąganiem wyszedł z baraku, zasunawszy starannie zamek odblaskowej kurtki tak, by nie były widoczne generalskie medale. Wydawało mu się, że strażnik łypie na niego nieufnie. Może był za młody do roli eksperta od płazów? Za młody i zbyt brudny... – Gdzie pan zaparkował?

- Przyszedłem pieszo.

- Pieszo?...

- Z tamtego drugiego parkingu – Adler pośpiesznie wskazał na grupę baraków przy bagiennym lesie. Stały tam terenówki, należące pewnie do tych ludzi, których widział w wolierze z olbrzymimi owadami.

- Aha – mruknął strażnik.

- Nie wiedziałem, gdzie mam zaparkować – wyjaśnił Adler.
- Jestem tu pierwszy raz.

Strażnik bez słowa machnął ręką, by przypomnieć Adlerowi kierunek do laboratorium, a następnie definitywnym gestem

skrzyżował masywne ramiona. Najwyraźniej skończyła mu się ochota na pogawędkę ze spóźniałskim uczonym.

Adler bez żalu porzucił jego towarzystwo i na wszelki wypadek udał się w stronę tajemniczego L-9. Droga wiodła przez żwirowy plac i wzdłuż wielkiego magazynu. Wrota magazynu były uchylone, z wewnątrz dobiegały ryki i pokrzykiwania. Adler nie mógł się powstrzymać, by nie zajrzeć do środka.

Przystanął na progu i omal nie krzyknął ze zdumienia.

W prowizorycznym ringu w centrum hali walczyły dwa potężne lwy. Dwa czarne samce: z czarną jak smoła sierścią i taką samą grzywą. Ich wściekły ryk odbijał się echem po pustym pomieszczeniu. Raz po raz rzucały się na siebie: brutalne, rozjuszone, masywne – jak dwa taranujące się wzajemnie czołgi. Przy każdym zderzeniu histerycznie drgała podłoga. Lwy splotły się przednimi łapami niczym zapaśnicy i w końcu jeden zadał ostateczny cios: powalił przeciwnika i wpił się kłami w jego szyję. Trysnęła krew. Rozległ się ostatni ryk konającego.

Zwycięzca od razu przystąpił do uczt. Tak jak olbrzymie psy, które Adler widział dawno temu, przy pierwszym spotkaniu z kłusownikami, także i czarny lew okazał się kanibalem.

Walce przyglądało się dwóch chudych okularników. Jeden był starszy, z niedbałym zarostem i fanatycznym błyskiem w oku.

– Obecnie lwy zjadają swoją ofiarę w siedemdziesięciu procentach – wyjaśniał młodszemu. – My dążymy do dziewięćdziesięciu.

Młody kiwał głową i zapisywał te mądrości w notatniku.

- Chcemy też zwiększyć współczynnik siły ugryzienia, teraz wynosi zaledwie sto pięćdziesiąt.

- To i tak więcej niż w przypadku przeciętnego lwa - zauważył młody.

- Osobniki przeciętne nas nie interesują - odparł kategorycznie jego mentor.

Lew uniósł obryzgany krwią pysk, a mężczyzna obdarzył go czułym spojrzeniem.

Adler odsunął się od drzwi. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zobaczył.

Czarne lwy-kanibale... O ile melanizm [\[103\]](#) spotyka się w przyrodzie, Adler nie słyszał o takim przypadku u lwów. Bardziej intrygujące jednak było zachowanie lwa: agresja i kanibalizm... Oczywiście, zdarza się, że stary lew czy niedźwiedź przywali łapą i zabije młode. Walki dwóch dorosłych samców z reguły nie kończą się jednak uczta zwycięzcy... Ten facet powiedział, że „dąży” do zwiększenia siły ugryzienia. W jaki sposób można do czegoś takiego dążyć? Albo w jaki sposób modyfikuje się zwierzę, by nagle zaczynało pożerać swe ofiary w dziewięćdziesięciu procentach??

„Co to za miejsce?“, myślał Adler, wędrując w roztargnieniu w stronę swojego laboratorium. „Wydaje się, że można tu spotkać wszystko...”

Rozgrzany marszem, Adler rozpiął kurtkę i rozchylił marynarkę.

Na tyłach budynku rozciągały się moczary. Woda przypominała szarą, zawieszistą zupę. Była gęsto podziurkowana cienkimi pniami wątłych drzew. Tu i ówdzie unosiły się płaskie wyspy, usypane z opadłych liści. Na

szczęście nie było głęboko: woda sięgała zaledwie do kolan.

Adler szybko odnalazł swoją grupę, z oddali świeciły ich neonowe kurtki. Stali w kółeczku pośrodku bajora i przyglądali się czemuś w wodzie.

– Więc tak wygląda sekretne laboratorium L-9 – mruknął do siebie Adler i ruszył w stronę grupy.

Zastanawiał się, kim byli ci ludzie. Szalonymi naukowcami?...

Słyszając jego kroki, momentalnie unieśli głowy. Albo mu się zdawało, albo na jego widok na ich twarzach wymalowała się ulga.

– Doktor Tolley, jeśli się nie mylę? – zawołała nieomal radośnie wysoka kobieta w wielkich okularach. Skośne oprawki okularów nadawały jej twarzy wyraz drapieżnej kocicy.

Kobieta wyciągnęła dłoń do Adlera i przedstawiła się:

– Doktor Amanda Price, oficjalnie: Uniwersytet w Dublinie. Nieoficjalnie: sam pan wie... – roześmiała się. – Kieruję tym projektem – wyjaśniła.

Adler uprzejmie potrząsnął jej dłonią.

– Doktor John Tolley, miło mi – powiedział bez zajknięcia.

Kobieta wpatrywała się w niego z zachwytem.

– Pan wybaczy, ale pana nie poznałam, doktorze! – zawołała z uśmiechem. – A zdaje się, że widziałam pana kiedyś na konferencji w Walii. Ale pan... Pan z bliska wygląda tak... młodo.

– Przyznaję, służy mi północny klimat – odparł Adler.

– Pan pozwoli, że przedstawię panu zespół – ciągnęła doktor Price. – To pan Roger Shark z Bioengineering Ltd. –

Prezentowany mężczyzna skinął głową. Pod odblaskową kurtką miał białą koszulę i krawat. – Jeszcze nie korzystaliśmy z ich usług, lecz wachlarz produktów firmy robi duże wrażenie.

– Pozwolę sobie wtrącić, iż Bioengineering Ltd jest liderem na brytyjskim rynku GMO [\[104\]](#) – rzekł butnie Shark. – Specjalizujemy się w zwierzętach transgenicznych.

– Nasza współpraca zapowiada się obiecująco – przyznała łaskawie doktor Price i przedstawiła dwie pozostałe osoby: dziewczynę i chłopaka ściskających w dłoniach jakieś wiaderka i siatki do połowu. – A oto nasi doktoranci: Jacqueline Mills i Denis Pawłow. – Pani doktor uśmiechnęła się do swoich pociech i szepnęła do Adlera na stronie: – Te dzieciaki to pomoc techniczna. Dwie pary rąk od brudnej roboty.

Adler pokiwał głową. Jako młody student wiedział dobrze, jak to jest być asystentem – chłopakiem od brudnej roboty.

Doktor Price klasnęła w dłonie i zawołała energicznie:

– Moi drodzy, pora zaczynać! Panie doktorze – rzekła do Adlera – specjalnie z Florydy, sprowadziliśmy tutaj pańskich ulubieńców. Denis, wyłów proszę jednego czy dwa.

Chłopak posłusznie zanurzył w bajorze siatkę z przynętą.

Adler zastanawiał się, jaką też rolę przewidziano dla doktora Tolley'a w tej całej zabawie. Ktoś wspominał wcześniej, że Tolley jest ekspertem od płazów. Od płazów z rodzaju *Amphiuma*... *Amphiuma* – co to mogło być? Szkoda, że nie miał jak teraz tego sprawdzić. Nie mógł nawet dyskretnie wyciągnąć telefonu: doktor Price patrzyła mu na rękę. W ogóle pożerała go wzrokiem. Wiadomo, kobiety lecą na mundur. Jak widać, potrafią go wyczuć, nawet jeśli jest zamaskowany pod kurtką BHP.

– Ach! – zawołała teraz, podczas gdy jej asystent gmerał

w mętnej toni. – Widzę, że pan doktor również biegł po pierś Agnes!

Adlera zamurowało.

– Słucham?!...

– No, ten bieg charytatywny. „Biegnij po pierś Agnes”, tak chyba brzmiało jego hasło? Widzę, że pan doktor ma koszulkę z biegu. Ja mam taką samą. Ale myślałam, że mężczyznom rozdawali czarne. No i chyba rysunek był inny...

Wszyscy spojrzeli na Adlera, którego nagle tchnęło straszliwe przeczucie. Zmartwiały, opuścił wzrok na kradzioną koszulkę. Nie przyglądał się jej uważnie, kiedy ją zgarniał w pośpiechu z wieszaka. Teraz obejrzał ją dokładnie: była biała, dość obcisła, jak to ciuch sportowy, na przedzie były jakieś napisy i wielkie, różowe koło. Zaraz, zaraz. To nie było takie zwykłe koło. Przełknął ślinę i poczuł, jak na twarz wypływa mu gorący rumieniec.

To była wielka, różowa pierś. Pierś-gigant.

Jak mógł nie zauważyć, że to babska koszulka?! Jak mógł nie zauważyć, że na koszulce jest pierś??... Różowy napis pod sugestywnym rysunkiem głosił: „Biegnij z nami po pierś Agnes! Cancer Research UK.”

Na szczęście, doktor Price odwróciła uwagę zgromadzonych, objaśniając im, o co chodziło w biegu.

– Jakoś przed rokiem, niejaka Agnes Webley z Kent urodziła zdrowe ośmioraczki. Za ten wyczyn sama królowa wręczyła jej specjalną nagrodę i kobieta stała się sławna. Musieliście o niej słyszeć! Robiły z nią wywiad chyba wszystkie stacje. Zdjęcia ośmioraczków i ich słynne przeróbki – szesnastoraczki i tym podobne – po dziś dzień krążą po sieci.

– Ciekawy case – przyznał uprzejmie Shark. – Coś mi się

chyba obito o uszy.

Adler milczał, totalnie upokorzony. Jacqueline gapiła się na jego klatę, a Denis powrócił do połowów.

– W każdym razie – ciągnęła z ożywieniem Price – wkrótce po porodzie u Agnes wykryto złośliwy nowotwór w lewej piersi. Sprawę nagłośniono w mediach. Nie można było pozwolić, by ośmioraczki postradały matkę! Został zorganizowany bieg charytatywny „Biegnij po pierś Agnes” – tu pani doktor poufałym gestem pacnęła w koszulkę Adlera. – Dochód z biegu został w całości przekazany fundacji Cancer Research.

– Piękna inicjatywa – rzucił mechanicznie Shark.

– Tak, pół Anglii biegło po pierś Agnes – rzekła z przejęciem doktor Price. – I ja biegłam, i pan doktor też!

Adler miał już tego dosyć.

– Gdzie są moje płazy? – rzucił ostro do Denisa.

Chłopak triumfującym gestem wyciągnął siatkę z bajora. Siatka ociekała brązową wodą i mułem. Na dnie Adler ujrzał jakieś wijące się paskudztwo.

– Tutaj, panie doktorze – powiedział potulnie Denis i podał Adlerowi siatkę.

– Może pan je wyłowić do wiadra – ożywiła się Jacqueline i potrząsnęła dzierzonym przez nią wiaderkiem. – Będzie lepiej widać.

– To dobry pomysł – pochwalił ją Adler, choć ostatnim, na co miał ochotę, było babranie się z gigantycznymi glistami. Musiał jednak udawać profesjonalistę. Inaczej nie dowie się, co planują ci ludzie.

Przełknął ślinę i zanurzył gołe dłonie w siatce. Jego palce

trafiły na coś zimnego i oślizgłego. Zacisnął je wokół tego czegoś i wyłowił z siatki obłe cielsko. Reszta zespołu w pełnym szacunku milczeniu przyglądała się jego poczynaniom.

Adler uniósł wyłowioną gadzinę, by zaprezentować ją towarzyszom. Sam także chętnie rzucił na nią okiem. Był to gruby, mięsisty, długi na trzy stopy stwór. Przypominał otyłego węża, węgorza lub olbrzymią glistę. Jego skóra była czarna i oślizgła, utyłana cuchnącym mułem. Stworzenie wiło się wściekle i kłapało nieco rybią paszczą.

Więc to w takich stworach specjalizował się biedny doktor Tolley... Cóż to, u diabła, było za cholerstwo?

– Wspaniały okaz – powiedział, starając się, by w jego głosie dało się słyszeć choć cień entuzjazmu. – Lecz widywałem lepsze – zaznaczył i z ulgą wrzucił gadzinę do wiadra.

Spojrzał na doktor Price.

– Czego konkretnie państwo ode mnie oczekujecie? – spytał.

Pani doktor z zastanowieniem wpatrywała się w bure cielsko rzucające się na dnie wiadra.

– Widzi pan, panie doktorze, *Amphiuma* to mało znane, zagadkowe stworzenia – rzekła powoli. – Zdaniem szefa, mają potencjał. I ja się z nim w pełni zgadzam.

„Zdaniem szefa”? Kto tutaj mógł być szefem? Bazin?

– Potrzebujemy dokładnej charakterystyki tych zwierząt. Musimy wiedzieć, w czym tkwią jego atuty. Musimy poznać jego mocne strony.

– No dobrze, a potem?

– A potem go udoskonalimy. Naszym zadaniem jest

przerobić tego płaza w wielkiego, nieposkromionego drapieżnika. Jako szefowa projektu, jestem za to osobiście odpowiedzialna.

– Zwiększenie rozmiaru nie będzie problemem – wtrącił lekko Shark, lecz doktor Price go zignorowała.

– Pan, panie doktorze, musi nam wskazać atuty tego gatunku – rzekła z naciskiem, patrząc w oczy Adlera. – Pan jest jedynym brytyjskim ekspertem od *Amphiuma* i jednym z nielicznych ludzi na świecie, którzy w ogóle zgłębiali ten gatunek.

Adler słuchał jej uważnie. Kiwał głową, jakby wszystko, co mówiła, miało sens. A zatem chcą przerobić tego płaza w krwiożerczą bestię... Nie wiedział, w jakich zagadnieniach specjalizowała się doktor Price. Skoro jednak prosiła go o ekspertyzę, mógł się pokusić o improwizację.

Zerknął do wiadra.

– Tak, tak – powiedział z namysłem. – Ten gatunek ma spory potencjał. Co do tego, absolutnie się z państwem zgadzam. – Umilkł i mechanicznie przejechał brudną dłonią po włosach. Czuł na sobie spojrzenia czterech par oczu. – Otóż, *Amphiuma* to na pierwszy rzut oka gatunek raczej prymitywny...

– Pomimo imponującej wielkości genomu – wtrącił Shark.

– Wielkość genomu nie przekłada się na stopień zaawansowania ewolucyjnego – zbył go Adler i kontynuował swą preparowaną naprędce opowieść. – *Amphiuma* zamieszkuje siedliska wodno-błotne – strzelił. – Widzimy, że lubi tarzać się w szlamie. Szlam jest potrzebny do nawilżania skóry. Taki kokon z mułu może też pomóc przetrwać okresy suszy i znacznego obniżenia poziomu wód gruntowych.

Wspomniała pani, że te okazy sprowadzono z Florydy? – zwrócił się do doktor Price.

– Tak, bo o ile nam wiadomo, jedynie tam występują – odparła z niejakim zdziwieniem.

Adler zaklął w duchu. Z opresji wybawił go Roger Shark.

– Występują jeszcze na terenie paru innych południowo-wschodnich stanów. Doktor Tolley pisał przecież o tym w swoich publikacjach.

– Ach tak, rzeczywiście – odparła ze zmieszaniem Price. Najwyraźniej nie odrobiła swej pracy domowej.

Adler uśmiechnął się trochę z wyższością, trochę z pobłażaniem. Tak, jak zapewne uśmiechnąłby się doktor Tolley, gdyby przyłapał na ignorancji swoją koleżankę po fachu.

– Zdaje się, że tutaj, na tych mokradłach, też się całkiem nieźle zaadaptowały – zauważył.

– Póki co, tak. Wiążemy z tym spore nadzieje – przyznała Price. – Docelowo mają być dystrybuowane na wszystkie kontynenty.

– Oczywiście, w grę wchodzi podobne środowiska? – upewnił się Adler w udawanej trosce o przyszły dobrobyt swoich ulubieńców.

– Oczywiście. Szef jest zainteresowany przede wszystkim Afryką i Azją.

„Ach, tak”, pomyślał sobie Adler. „Ciekawe, dlaczego...” – Pan poznał szefa? – zainteresował się nagle Shark.

– Jeszcze nie – odparł ostrożnie Adler. – Ale mam już wyznaczone spotkanie.

– A, to będzie tylko taka pogadanka o tajnym charakterze

naszych projektów – rzuciła lekko Price.

– No i podpisze pan cyrograf, doktorze – podsunął żartobliwie Shark. – O ile jeszcze pan tego nie zrobił...

Adler nie odpowiedział, gdyż w tej właśnie chwili poczuł wibracje wyciszonego telefonu. „Vincent!”, przypomniał sobie i jego serce momentalnie przyspieszyło. Wyciągnął telefon i zerknął na wyświetlacz. Dzwonił Wood. Pewnie zbiera chłopaków na akcję.

Adler zignorował połączenie i z westchnieniem wyłowił z wiadra oślizgłego płaza. Przyjrzał mu się dokładnie.

– Jak widzimy – powiedział – *Amphiuma* ma silnie zredukowane kończyny. W tej formie są praktycznie bezużyteczne.

– Nie wiem, czy zależy nam na rozbudowie kończyn – zastanowiła się doktor Price. – Wybraliśmy tą rodzinę *Salamandroidea* [\[105\]](#) między innymi z uwagi na jej doskonałe przystosowanie do życia w środowisku wodnym.

Salamandroidea...? A więc beznogie amfiumy były spokrewnione z salamandrą? Adler poczuł, że wraca do gry. O salamandrach mógł już dyskutować.

– Chciałbym zwrócić waszą uwagę na wysokie zdolności regeneracyjne u *Amphiuma* – rzekł z ożywieniem. – Myślę, że to jest jeden z tych atutów, które mogłyby być wykorzystane w naszym projekcie. Pomyślcie tylko: nie istnieje wiele kręgowców, które miałyby wysoką, naturalną zdolność do regeneracji kończyn czy narządów. Jeden z tych nielicznych wyjątków trzymam właśnie w rękach! – z dumą potrząsnął obłym cielskim płaza. Do wiaderka pacnęły bure grudki mułu.

– Pan doktor ma absolutną rację! – zawołała z podekscytowaniem doktor Price. – To niewątpliwie atut!

Musimy się zastanowić, jak najlepiej go wykorzystać.

Znów zabrzączał telefon Adlera. Pewnie to Wood się do niego dobija...

Tym razem to nie był Wood. Dzwonił Vincent.

– Przepraszam państwa na chwilę – powiedział nieuważnie Adler i zrobił parę kroków w głąb mokradła.

Popatrzyli za nim podejrzliwie. A może tak mu się tylko zdawało.

– Hej, Vincent – powiedział cicho. – Co jest?

– Hej. Nic. Tak tylko dzwonię, żeby powiedzieć, że jednak nie robię dziś tego projektu z BioGIS.

– Aha. No i?

– No więc chyba przespaceruję się teraz na Charlotte Square.

Jaki to był numer domu?

– Dwadzieścia. Dzięki, stary. Jakby co, to dzwoń.

– Nie panikuj. Poradzę sobie z przykręceniem bojlera. Lepiej pomyśl nad kolejnym etapem tej misji. Zostałem stworzony do ambitniejszych zadań...

Adler nie przedłużał rozmowy. Szybko wrócił do zespołu doktor Price i w odpowiedzi na pytające spojrzenia, wyjaśnił:

– Profesor Ross z Edynburga chciał się skonsultować w pewnej sprawie.

Pokiwali głowami z szacunkiem. Zadziałała na nich magia nazwiska fikcyjnego profesora.

Adler zakasał rękawy i włożył ręce do wiadra.

– Dobra, wróćmy do tych atutów – powiedział. Rozchylił z nadzieją pysk płaza i znalazł tam to, czego szukał. – Kolejny atut to zęby. Mamy tutaj dwa rzędy superostrego uzębienia.

To nie takie oczywiste wśród płazów.

Jego dywagacje przerwało brzęczenie krótkofalówki doktor Price. – Przyszedł doktor Tolley – usłyszeli chrapliwy głos strażnika.

Doktor Price uśmiechnęła się do Adlera i odpowiedziała strażnikowi:

– Tak, wiemy. Pan doktor jest już tutaj z nami.

Adler wyciągnął ręce z wiadra. Serce zaczęło mu bić szybciej.

– Doktor John Tolley jest teraz ze mną przy stróżówce na wjeździe – oświadczył strażnik.

Wszyscy spojrzeli na Adlera. Chłopak zacisnął spocone dłonie.

– Nie, to musi być jakaś pomyłka – bąknęła niepewnie doktor

Price.

Pogrzebała w kieszeniach i podpięła do radia słuchawki z mikrofonem. Teraz nie słyszeli już głosu strażnika.

– Tak, doktor John Tolley. Tak, jest tutaj z nami – mówiła doktor Price. – Od jakichś, bo ja wiem, dwudziestu minut?

Adler zastanawiał się gorączkowo, co robić. Wiać czy czekać na dalszy rozwój wydarzeń? Jeśli zwieje, narobi zamieszania i wyślą za nim patrole po całym terenie Bazina. Szybko go dopadną.

Stanowczym krokiem podszedł do doktor Price i przerwał jej rozmowę.

– To musi być jakieś nieporozumienie – powiedział. – Albo jakiś żart. Najlepiej pójde wyjaśnić tę sprawę ze strażnikiem.

Skinęła głową i rzuciła do mikrofonu lekko

podenerwowanym głosem:

– Doktor Tolley już do pana idzie wyjaśnić to nieporozumienie.

– Do tego czasu niech lepiej trzymają tego gościa przy wejściu – poradził Adler. – Mam na myśli tego... uzurpatora.

Price skończyła rozmowę ze strażnikiem. Zapadła pełna napięcia cisza. Shark mierzył Adlera szyderczym wzrokiem. Niech się lepiej tak nie gapi. Jak trzeba będzie, da się mu po mordzie.

– Mają wysłać tutaj jakiegoś strażnika – rzekła niepewnie doktor Price, unikając wzroku Adlera.

– Powiedziałem, że sam tam pójdę i wyjaśnię sprawę – rzucił z rozdrażnieniem Adler i odwrócił się w stronę magazynów.

Nie mógł dłużej zwlekać. Nie mógł dopuścić do spotkania ze strażą.

– Ejże, dokąd pan idzie, doktorze? – krzyknął za nim Shark.

Adler usłyszał drwinę w jego głosie. Tak jakby ten cwaniak z Bioengineering Ltd od początku wiedział, że coś tu jest nie tak. Cóż, coś było nie tak: uwalony błotem dwudziestolatek podawał się za respektowanego doktora. Adler sam by tego nie kupił.

– Idę pogadać ze strażnikiem! – odkrzyknął, bo uświadomił sobie, że doktor Price może w każdej chwili wezwać pomoc przez radio. – Za chwilę będę z powrotem. Denis, wyłów jeszcze parę sztuk do wiadra!

Nie zatrzymywali go już. Słyszał tylko chlupot własnych kroków. Kierował się w stronę magazynów, lecz robił to tylko po to, żeby ich zmylić. Bynajmniej nie zamierzał się podkładać pod pięści rosyjskiego wartownika. Ani pod lufę jego strzelby.

Gdy dotarł na tyły hali, w której odbywała się przedtem walka czarnych lwów, odbił w zarośla i zaczął biec. Biegł tak szybko, na ile mu tylko pozwalał grząski, zarosły chaszczami teren. Nie był to łatwy sprint. Po twarzy biczowały go gałęzie, nogi raz po raz grzęzły w zimnym bagnie.

Biegł na południowy wschód, równoległe do traktu wiodącego na Zamek. Od drogi oddzielała go ciemna ściana zarośli. Co jakiś czas słyszał odległy warkot przejeżdżających pojazdów. Przemykał na tyłach powojkowych obiektów, których teraz było coraz więcej. Czuł, że zbliża się do serca imperium Bazina. Zamek musiał być blisko, choć jego szerniałe wieże kryły się w cieniu burzowego nieba.

Adler zatrzymał się przy niskim, wieloskrzydłowym budynku, zbitym z szarej płyty. Budynek był pozbawiony okien i ogrodzony metalowym parkanem. W górnej części ogrodzenia rozpięto spiralny drut ostrzowy [\[106\]](#).

„Chyba czas wykorzystać moją magiczną kartę”, pomyślał Adler.

Jako doktor John Tolley posiadał dostęp do kilku laboratoriów na terenie Zamku. Laboratorium L-9 okazało się zwykłym bajorem, do którego każdy mógłby wskoczyć, gdyby tylko chciało mu się moczyć nogi w bagnie. Pozostałe laboratoria mogły mieścić się w budynkach, które mijał po drodze. Te tutaj, z dodatkowym grodzeniem, wyglądały całkiem poważnie.

Adler postanowił trochę pozwiedzać.

Zrzucił z siebie świecąca kurtkę, gdyż niepotrzebnie przyciągałaby uwagę. Zmiał ją w kulę i cisnął w zarośla. Podobnie postąpił z tą parszywą, babską koszulką, którą najpewniej zwinął samej doktor Price. Spodnie moro były

w porządku, choć miały głupi, niebieski kolor – niepraktyczny i za bardzo rzucający się w oczy. Był zgrzany po biegu, więc zupełnie nie czuł zimna, gdy zapinał na gołym ciele generalską marynarkę. Rozważał odpięcie orderów, ale uznał, że byłaby to profanacja. Zdążył już trochę wyschnąć, teraz czuł tylko zimny muł w butach i zaschnięte błoto tu i ówdzie na skórze. Gdyby nie bolesna utrata broni, odzyskałby dobry humor.

Wkrótce jednak humor i tak mu się poprawił i to w zupełnie nieoczekiwany sposób.

Wychynął z zarośli na tyłach ogrodzonego kompleksu i ruszył w kierunku frontowej bramy. Szedł pewnym krokiem, jak człowiek, który ma do załatwienia konkretny interes. Zdjął z szyi identyfikator i przyjrzał się literkom wydrukowanym na karcie: L-2, L-9, L-15.

L-2? To brzmiało obiecująco. Może nie tak dobrze jak L-1, ale zdaje się, że i tak obdarzono Tolley'a sporym zaufaniem. Szkoda tylko, że nigdzie, na żadnej ścianie mijanych budynków, nie widział tych symboli. Może wtajemniczeni dysponują mapą całego kompleksu i nie potrzebują zewnętrznych oznaczeń?

Przed bramą do grodzonych obiektów zatrzymał się właśnie niewielki samochód dostawczy. Nikt nie wysiadł, lecz brama zaczęła łaskawie rozchyłać swe skrzydła. Obok niej była furtka, na słupku przy furtce zamontowano czytnik.

Adler postanowił powalczyć z czytnikiem. Sytuacja była sprzyjająca: wydawało się, że na placu przed sekretnym budynkiem nie ma żywej duszy, jeśli nie liczyć kierowcy wjeżdżającego właśnie samochodu dostawczego. Na parkingu – całkiem porządnym, utwardzanym – stało kilka innych samochodów, w większości cywilnych. Skrzydła bramy

zamknęły się za furgonetką.

Adler przystanął przy furtce i z nadzieją przesunął kartę w czytniku. Na wyświetlaczu pojawiło się żądanie: „Wprowadź PIN”.

– Do diabła z tą kartą! – mruknął Adler. – Pewnie powinienem się cieszyć, że nie uruchomiła syren alarmowych... Laboratorium L-2 to zapewne kolejne bajoro. A L-15 to zamkowe szambo, w którym hodują larwy gigantycznych much–gnojówek...

Z rezygnacją schował kartę, ledwie się powstrzymując, by nie przełamać jej na pół.

Zerknął tęsknie przez metalowe pręty ogrodzenia. Z furgonu po drugiej stronie wyskoczyło dwóch mężczyzn. Odryglowali tylne drzwi samochodu i zaczęli wydostawać ze środka jakieś ciężkie pakunki, przypominające bryły czerwonego lodu.

– To wszystko idzie do chłodni! – poinstruował kolegę jeden z mężczyzn.

Tamten wyciągnął z bagażnika wózek i wspólnymi siłami załadowali do niego olbrzymią bryłę. Co to mogło być? Rostbef z bizona?... To dla Bazina czy dla jego psów?

Adler odwrócił się, zniechęcony i w tej samej chwili pod bramę zajechały dwa wojskowe uazy. Pierwszy otworzył bramę i wjechał do środka, z drugiego wychylił się facet o wychudłej, naznaczonej bliznami twarzy.

– *Kak diela, bro?* – zapytał Adlera. Miał dość wesoły głos, lecz wyglądał na zmęczonego.

– Nie mówię po rosyjsku, stary – odparł Adler.

Facet nie zniechęcił się i drażył dalej łamanym angielskim:

- Co jest? Ty wyglądasz, mhm... zagubiony?

„Do diabła, naprawdę tak wyglądam?!”, zdenerwował się Adler. Zagubiony intruz, to dopiero porażka. Zbyt długo sterczał pod tą bramą.

Wyprostował się, poprawił generalską marynarkę i wyjaśnił:

- Szukam laboratorium L-2. Nazywam się doktor John Tolley i jestem specjalistą od płazów z rodzaju *Amphiuma*. - Wiedział, że Ruski nie zrozumie ostatnich słów i liczył, że dzięki temu zrobią na nim większe wrażenie.

Rosjanin odwrócił się i zamienił parę słów z kierowcą. Potem ponownie wychylił się do Adlera.

- John, idziesz za nami! - zawołał i machnął ręką w kierunku placu przed budynkiem.

Brama otwarła się, uaz wjechał do środka, a za nim wszedł Adler. Nie był pewien, czy dobrze robił, pakując się do środka. Ale było już za późno na odwrót. Za plecami usłyszał definitywny trzask bramy.

Ludzie z pierwszego uaza wyładowali trochę myśliwskiej broni i zniknęli w najbliższym skrzydle budynku. Z drugiej terenówki wyskoczył Rosjanin, a od strony kierowcy - jakaś kobieta.

Rosjanin podszedł do Adlera. Był brudny i sterany jak stary farmer. Śmierdział tytoniem i potem, ale uśmiechał się przyjacielsko. Może nie wszyscy Rosjanie byli jak ten kłusownik, ten wojowniczy dzikus, Jegor?

- John - powiedział Rosjanin przeciągle, delektując się brzmieniem tego wybitnie angielskiego imienia. - Pierwszy raz w klinice? - zapytał poufale.

- W „klinice”?

- Tak nazywamy L-2. Środkowa część budynku. Idziesz prosto, prosto, aż zobaczysz wielkie, szare drzwi.

- Środkowa część budynku. Wielkie, szare drzwi - powtórzył Adler. - Dzięki, stary.

- Nie ma problemu - odparł pogodnie Rosjanin. - My, myśliwi, lubimy te wasze eksperymenty - dodał. - Chociaż czasem

sprawiają nam trochę problemów...

- Problemów? - zapytał nieuważnie Adler.

Właśnie rozpoznał kobietę, która towarzyszyła Rosjaninowi. Przystanęła, by pozmawiać z facetem, wyładowującym czerwone bryły mięcha z furgonu. To była ta łowczyni, którą spotkał na imprezie w noc śmierci Ailith. Nie widział wtedy dokładnie jej twarzy, lecz teraz był pewien, że to ta sama kobieta. Rozpoznał jej ruchy, sylwetkę. Była świetnie zbudowana, miała długie, jasne włosy i ładne, umięśnione ręce. Wyglądała super nawet w zwykłym, czarnym T-shircie i bojówkach.

Adler chciał, żeby Ruski już się od niego odczepił. Chciał usłyszeć głos dziewczyny. O czym mogła gadać z takim gościem od mięcha?...

- Fajna kurtka - pochwalił go tymczasem Ruski.

- Dzięki - odparł nieuważnie Adler. - Ordery są fałszywe.

- Jasna sprawa.

Adler pośpiesznie zbył Rosjanina.

- Dzięki za pomoc. Dalej dam sobie radę. - Wypiął pierś ze swoimi medalami i ruszył prosto w kierunku furgonu.

- Ej! - usłyszał za swoimi plecami. - Nie tędy! W prawo!

- Wiem, do cholery... - wymamrotał ze złością i uniósł dłoń

na znak, że wie, co robi.

Do środkowej części obiektu można było dojść na wiele różnych sposobów. Nie musiał iść na skróty, prosto do celu. Mógł na przykład zajrzeć po drodze tu i ówdzie i pooglądać sobie... to i owo.

Rosjanin zostawił go w spokoju i zajął się zdejmowaniem załadunku z bagażnika na dachu.

Adler nieśpiesznie kroczył przez plac. Furgonetka zaparkowała nieopodal wielkich wrót, które służyły zapewne jako główne wejście do tego skrzydła budynku. Wrota były zaryglowane jak witryny sklepów nocą, lecz zamontowano przy nich czytnik. Na widok czytnika, Adler uznał, że pobawi się chwilę kartą Tolley'a, przetestuje jej bezużyteczność i tak dalej.

Był teraz tak blisko dziewczyny i kierowcy furgonu, że słyszał wyraźnie ich rozmowę. Z ulgą stwierdził, że nie mówili po rosyjsku.

- Najgorsze jest to, że nie wiemy dokładnie, jak liczne jest stado - mówiła dziewczyna. - Do tej pory odstrzeliliśmy dwanaście sztuk. Nie potrafimy ich wszystkich namierzyć. Latamy za nimi po całym West Sussex. W Hampshire mamy dodatkowe wsparcie. Ale i tak jesteśmy wykończeni.

- Widzę - powiedział współczująco facet z furgonu.

- Całą noc jesteśmy w terenie. Wyjeżdżamy wieczorem, wracamy za dnia, jak teraz. Nie jest wesoło, bo one potrafią nas zaskoczyć. Tej nocy jeden zaatakował Gołubina. Tak go poszarpał, że nie wiem, czy się wylize. Zawieźliśmy go do szpitala.

- Jezu, brzmi poważnie.

- Są groźne. Ale szef nie chce ich zabijać, bo ponosi przez

to straty finansowe. Krzywi się, gdy raportujemy statystyki łowów. „Łapać, nie zabijać”, powtarza. Ale cholernie trudno złapać taką bestię... Łatwiej przywalić kulą.

Adler słuchał z zaintrygowaniem. Przystanął przy czytniku i w roztargnieniu przyłożył do niego kartę. Nie obchodziło go, czy drzwi się otworzą. Interesowały go tylko słowa dziewczyny. Wynikało z nich, że myśliwi z Zamku tropili stado jakichś groźnych zwierząt. Po całym West Sussex i dalej. Czy to możliwe, żeby mówili o agresywnych mieszańcach, do których Adler zaliczał Hienę?...

– Teraz mamy przyzwolenie na odstrzał – powiedziała dziewczyna. – Zrobiło się nerwowo przez ten wypadek w Halloween.

– Aa, słyszałem. Zginęła jakaś kobieta.

– Rozszarpały ją... Szef jest zdenerwowany. Jest presja, żeby uciszyć sprawę. Góra się domaga.

Adler bezwiednie wsparł dłoń na czytniku.

„Jest presja, żeby uciszyć sprawę.” Bez wątplenia chodziło tutaj o śmierć Ailith. Kto mógł wywierać presję? „Góra” – czyli kto? Czy był ktoś jeszcze nad Bazinem? O ile to jego nazywano „szefem”...

– Hej – usłyszał nagle. – Te drzwi się nie otworzą.

Do diabła! Kierowca furgonu zainteresował się jego manewrami z kartą. Teraz obydwójce z dziewczyną gapili się na niego.

– To drugie drzwi do chłodni – wyjaśnił kierowca. – Nieużywane.

– Laboratoria są w drugiej części budynku – dodała dziewczyna.

Adler nie był z siebie zadowolony.

- Jasne, zawsze myślę te pieprzone drzwi od chłodni z wejściem do L-2.

Postanowił czym prędzej zniknąć im z oczu, zanim poważnie zainteresują się jego poczynaniami. Rosjanin przy uazie znów się na niego gapił. Wszyscy oni mieli przy sobie krótkofalówki. W każdej chwili mogli dostać cynk od straży o poszukiwanym intruzie, który podaje się za doktora Tolley'a.

„Mogłeś podać temu Ruskiemu dowolne nazwisko, idioto!”, skarcił sam siebie. „Teraz już za późno. Od razu będą wiedzieć, o kim mowa. Doktor Tolley? A tak, jest tu taki jeden idiota o tym nazwisku. Właśnie próbował włamać się do chłodni...”

Nieważne. Nie był szpiegiem. Był zoologiem i tylko dlatego ciągnęło go do laboratoriów Bazina. Dotychczasowe odkrycia tego dnia zrobiły na nim wrażenie. Tereny zamkowe zapowiadały się jeszcze ciekawiej niż tajemnicze lasy Pelham. W żadnym innym miejscu w całej Wielkiej Brytanii Adler nie widział tylu intrygujących stworów. Poza Wyspami – to już inna historia...

Ostatni raz rzucił okiem na dziewczynę, co odrobinę poprawiło mu humor. Kątem oka zobaczył, że jej rosyjski towarzysz rozmawia teraz przez radio. Trochę go to zaniepokoiło, ale nie zamierzał się wycofywać. Stanowczym krokiem ruszył w kierunku L-2.

W dalszej części grozonego kompleksu było cicho i bezludnie. Wszystkie obiekty przypominały opustoszałą fabrykę. Nigdzie nie widać było strażników. Może zamontowano tu kamery?

Adler odnalazł wielkie, szare drzwi, o których mówił

Rosjanin. Stanowiły jedyne wejście do środkowej części budynku. We frontowej ścianie nie było żadnych okien, jedynie sporych rozmiarów otwory wentylacyjne pod zadaszeniem. Karta dostępu doktora Tolley'a udowodniła wreszcie swoją przydatność. Adler przyłożył ją do czujnika, a wtedy ciężkie, stalowe skrzydło drzwi drgnęło i przesunęło się, by wpuścić go do środka.

Wewnątrz panował mrok i przeraźliwy chłód. Adler poczuł na ciele gęsią skórę. Serce zabiło mu szybciej – nie z lęku, lecz z ekscytacji.

Pomacał ścianę w poszukiwaniu włącznika światła. Trącił palcami parę pstryczków, lecz żaden z nich nie wywołał spodziewanego efektu. Sięgnął po latarkę i rzucił snop światła w ciemności. Najpierw zobaczył goły cement na ziemi i pełzające po nim kable.

Potem poświecił po wysokim suficie: był okratowany, zamontowano w nim świetlówki. Pod kratą ciągnęły się przewody i rury. Zrobił kilka ostrożnych kroków do przodu, świecąc wokół latarką. Z mroku wyłaniały się zarysy pomieszczenia. Wyglądało na to, że znajdował się w rozległej hali, poprzedzielanej chaotycznie prowizorycznymi ściankami.

W hali panowała absolutna cisza. Słyszał każde swoje stąpanie na betonowej posadzce. Nie widział nikogo ani niczego, lecz czuł, że nie jest tu sam. Zajrzał do najbliższego boksu i wstrzymał oddech. Bezwiednie, zacisnął mocniej palce na latarce.

Ściany boksu wyłożone były bladymi kafkami. Na środku znajdował się blaszany stół z czymś w rodzaju żeliwnego imadła. Masywne szczęki imadła pokryte były zaschniętą krwią. Krew była również na podłodze. Brudna, brązowa

smuga ciągnęła się aż po kratę na ścieki. Adler wycofał się z boku i zajrzał do następnego.

W tym znajdowały się tylko puste klatki, połączone ze sobą pordzewiałym łańcuchem. Nie, zaraz. W jednej klatce coś było.

Jakieś zwierzę. Jakie?

Adler poświecił latarką po prętach klatki. W rogu ujrzał niewielkie, przyczajone zwierzątko z czerwonymi oczami. Przypominało trochę lisa, lecz było zbyt zdeformowane, by stwierdzić to na pewno. Zwierzę nie zareagowało na światło. Jego opuchnięte podbrzusze było ciężkie od wylanej do wnętrza ciała krwi. Na wyleniałej skórze malowała się karminowa plama.

– Chyba już po tobie, biedaku – rzekł Adler, przyglądając się uważnie rozmiarom wylewu. – Gdybym miał rewolwer Pearsona – i tłumik – mógłbym ukrócić twoje cierpienia...

Wyszedł z wnęki i ruszył wzdłuż ściany, zastawionej częściami zdemontowanej aparatury. Po podłodze pełzła brudna smuga jakiegoś niedookreślonej cieczy.

Jego ekscytacja opadła. Było coś złowieszczonego w tym miejscu. Dlaczego nazywali je kliniką...? Określenie to przedtem nie wzbudziło podejrzeń Adlera, teraz jednak wydało mu się złowróżbne.

Pierwszych poważnych pacjentów kliniki zobaczył w kolejnej wnęcie.

Stała tam niezrozumiała konstrukcja z żeliwnych rur, w której zakleszczono kilka monstrualnych sztuk bydła. Każdy z tych byków był większy przynajmniej o połowę od przeciętnego buhaja [\[107\]](#). Adler przyjrzał się im z szacunkiem i ledwie się powstrzymał, by nie zrobić zdjęcia dla Rory'ego.

Dodds lubił takie obrazki. Przerośnięte było rozplodowe – to by mogło go zainteresować.

Powstrzymał się jednak, bo taka sesja zdjęciowa wydała mu się mimo wszystko nieestosowna. Zwierzęta prawdopodobnie cierpiały. No i nie robi się zdjęć w klinice.

– Do czego służy ta aparatura? – mruknął.

Odkręcił kurek na jednej z rur. Coś zasyczało i bykowi wyszły z orbit oczy.

– Chryste – powiedział Adler i czym prędzej przekręcił kurek z powrotem.

Ruszył dalej.

Potknął się o zalegający w przejściu wór. Przez folię worka prześwitywała czerwona kula, zlepiona z zakrwawionych płodów.

W następnym boksie czekało go spotkanie z rogaczami.

Jelenie zamknięto pojedynczo w ciasnych klatkach i przypuszczalnie poddano serii nieudanych eksperymentów. Każdy z nich wyglądał bowiem, jakby coś mu dolegało. Jeden był spuchnięty i cały pokryty ropiejącym owrzodzeniem. Inny szczyrzył pysk z groteskowo przerośniętymi kłami. Jego oczy miały pionowe źrenice jak u węża. Trzeci w ogóle nie miał oczu, tylko dwa puste oczodoły. Czwarty miał tak gigantyczne poroże, iż nie potrafił go unieść nad ziemię i tkwił z łbem permanentnie pochylonym ku brudnej posadzce.

Z wnęki z jeleniami przechodziło się do obszernej sali, wyposażonej w urządzenia przypominające narzędzia tortur. Wszystko oplatały kable, przy każdym stanowisku stała aparatura z ekranem do monitorowania przebiegu tortur. W sali było brudno, cuchnęło krwią i chemikaliami.

W ścianie na drugim krańcu sali Adler zauważył drzwi.

Przesuwane, obite blachą, wzmocnione stalowymi ramami. Musiały ukrywać jakiś sekret.

Ruszył w tamtym kierunku, bez większej wiary w to, że Tolley'a dopuszczono do tego sekretu. Przy drzwiach czekała go jednak miła niespodzianka: wejście nie było zabezpieczone, wystarczyło pchnąć potężne skrzydło w bok. Potoczyło się po listwie z nieprzyjemnym zgrzytem.

Ze środka buchnęło smrodem. Był to odór wydzielin i brudnej sierści. Adler przestąpił przez próg i wkroczył w absolutne ciemności. Zewsząd dobiegły go chrapliwe odgłosy: pomruki i sapania, przeciągły, zaaferowany ryk. A potem nagle coś zadudniło potężnie, bardzo blisko, tuż obok.

Adler rzucił przed siebie szeroki snop światła z latarki. Serce waliło mu jak szalone.

Zobaczył długi, szeroki korytarz z betonową podłogą, zadeptaną brudnymi śladami. Po obu stronach korytarza ciągnął się rząd stalowych drzwi. Drzwi były porządnie zabezpieczone i nie posiadały okienek czy większych otworów. Przy każdej zasuwie widniał uchwyt, do którego umocowano niewielką tabliczkę.

Tabliczki przypominały karty pacjentów w szpitalu.

To zza tych drzwi dobiegały odgłosy dzikich zwierząt. Zamknięte w swych celach, zwierzęta wyły i łomotały o stalową płytę. Adler ruszył powoli wzdłuż korytarza. Już po paru krokach odkrył, że poszczególne drzwi mają różną konstrukcję. Niektóre były zbite ze zwykłej blachy i wydrążono w nich szpary. Kiedy poświecił próbnie w jedną ze szpar, zza drzwi dobiegło chrapliwe ujadanie. Po drugiej stronie otworu zobaczył obnażone zęby: ociekające spienioną śliną,

niewiarygodnie długie i ostre, zbite ciasno w wąskim pysku. Inne drzwi były ze stali i nie dobiegał zza nich żaden dźwięk.

Adler przystawał przy tabliczkach, na których nagryzmołono jakieś skrótowe notatki.

H008 ♀ Wysoce agresywna. Brak zdolności hamowania zachowań impulsywnych. Zmniejszyć stężenie THA do 20 nmol/l.

H011 ♂ ♀ (kolonia) Kanibalizm. Przemoc seksualna. Zmniejszyć zagęszczenie.

H017 ♂ Nadpobudliwy. Wysoce agresywny. Wykazuje zachowania destrukcyjne. Gotowy do testów w warunkach rzeczywistych.

H022 ♂? Wykazuje nieprawidłowe zachowania seksualne. Pobrać organy do transplantacji i unieczystwić.

H024 ♀ Patologicznie rozwinięte kły i łamacze. Wykazuje nadmierną agresję i zachowania antysocjalne. Gotowa do testów w warunkach rzeczywistych.

H027 ♀ Liczne wady somatyczne. Unieczystwić.

H030 ♀ Nieprawidłowa transplantacja mózgu. Unieczystwić.

H032 ♀ Zaobserwowano niepożądane emocje (zabawa). Proponowane zastosowanie: wiwisekcja [\[108\]](#).

Adler w zadumie odczytywał kolejne komentarze i uwagi. Wyglądało na to, że w celach przetrzymywano produkty eksperymentów genetycznych: mutanty i hybrydy, niektóre nieudane, chore lub kalekie, inne „gotowe do testów w warunkach rzeczywistych”. Gdzie je testowano? Co robiono z nimi potem? Czy bestie, które grasowały w Pelham

wywodziły się z tego laboratorium? Czy Pelham było podwórkiem do testów?...

Zaglądał przez otwory, lecz były zbyt małe, by mógł uchwycić sylwetki pochowanych w celach potworów. Zakładał, że w większości były to ssaki i to sporych rozmiarów. Wnioskował tak po opisach na „kartach pacjentów” oraz dźwiękach, które dobiegały zza ściany, gdy świecił w otwory latarką.

W ten sposób dotarł do końca korytarza i zatrzymał się przed drzwiami, które wiodły do dalszej części budynku. Drzwi osadzono w aluminiowej framudze, na skrzydle z matowego szkła widniał napis: *Reptilia*.

Reptilia. Gady... Adler poczuł, że przez całą wyprawę dążył do tego właśnie miejsca. To był jego ostateczny cel, to była nagroda za skradanie się przez bagna i wszystkie niefortunne przygody. Gady fascynowały go od zawsze, od małego pociągał go świat tych pradawnych stworzeń o wyglądzie jak z filmów fantasy. Choć te najbardziej niezwykle wymarły przed milionami lat, a te, które żyły obecnie, stanowiły w Królestwie Zwierząt tylko małą grupę, Adler wierzył, że są wśród nich gatunki nieodkryte, wierzył, że istnieją zdumiewające okazy, jakich nigdy przedtem nie oglądał człowiek. Wierzył w to – i miał na to dowody.

Teraz stał pod drzwiami laboratorium i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w napis na szkle. *Reptilia*... Coś mu mówiło, że w środku nie będzie zwykłych gadów. Bo to nie było zwykłe miejsce. Tutaj przeprowadzano eksperymenty, a wynikiem eksperymentu rzadko bywa coś standardowego. „Osobniki przeciętne nas nie interesują”, jak to ujął ten facet od czarnych lwów.

Adler położył dłoń na aluminiowej framudze i zdecydowanym ruchem pchnął oszklone skrzydło. Był już na progu, gdy zadzwonił jego telefon. To mógł być Wood. Albo Vincent.

- Nie teraz, Vincent - wyszeptał Adler, ignorując brzęczenie.

- Oddzwonię do ciebie za chwilę...

Postąpił krok czy dwa do przodu i przystanął, oczarowany.

Postronny obserwator nie zrozumiałby zapewne, co go tak urzekło w posępnym pomieszczeniu, które służyło za terrarium. Sala przypominała wielką, mroczną piwnicę. Było w niej coś upiornego, coś, co kazało pamiętać o jej dawnym przeznaczeniu, o sekretnej działalności brytyjskiego wojska za czasów Zimnej Wojny. Wnętrze sali było surowe: ciemne, betonowe ściany i także posadzka. Ascetyczny wystrój sprawiał, iż wzrok obserwatora momentalnie skupiał się na jednym: na długim rzędzie podświetlonych inkubatorów, w których niczym muzealne eksponaty osadzono jaja.

I tak właśnie poczuł się Adler: jakby się przeniósł do słynnego muzeum. Jakby znalazł się w Luwrze i zobaczył posąg Wenus.

Albo wszedł do sali z Mona Lisą.

Podszedł powoli do inkubatorów. Jego oczy jaśniały tym blaskiem, który widuje się na twarzach odkrywców, gdy eksplorują nowe, fantastyczne światy.

Przyłożył dłonie do przezroczystej ścianki i przyglądał się jajom ułożonym w ściółce. Opiekunowie terrarium najwyraźniej dzielali pasję Adlera: jaja były wyeksponowane niczym skarby.

Każdy inkubator miał indywidualnie regulowane oświetlenie,

nad każdym znajdował się niewielki czujnik. Do czego służył? Może sterował światłem lub wilgotnością powietrza?

Jaja były duże, ich skorupy różniły się kształtem, wielkością i barwą. Niektóre były białe i podłużne, inne – nakrapiane i pękate jak kule. Adler nie potrafił ich przypisać do znanych mu gatunków. Wiele z nich miało kształty nietypowe dla jaj gadów, przypominały raczej jaja wymarłych nietotów.

Kolekcję opisano przy pomocy kodów. Adler zauważył, że w laboratorium Bazina nie zwracano sobie głowy naukowymi nazwami łacińskimi. Nic dziwnego, produkty tutejszych eksperymentów zapewne trudno byłoby sklasyfikować.

Nagle jego uwagę przykuło samotne jajo, opisane enigmatyczną literą „A”. Jajo było blade, podłużne i na pierwszy rzut oka całkiem niepozorne. Spoczywało w ziemistym dołku, bieląc się w subtelnej poświacie. Jeszcze przed chwilą nie różniło się niczym od pozostałych okazów, lecz naraz przestało przypominać statyczny eksponat.

Na oczach Adlera jajo zaczęło pękać. Z rozcięć w miękkiej, skórzastej skorupie wytoczyła się piana. Z piany wyłonił się wąski pysk. Błysnęło oko z pionową źrenicą.

„Wygląda na węża”, pomyślał Adler. Na jego usta wypłynął bezwiedny uśmiech.

W tym wszystkim musiał być jednak jakiś podstęp. To nie mógł być przecież zwykły wąż. Laboratorium było wylęgarnią mutantów, a nie porodówką dla gatunków typowych.

Adler wsparł ręce na krawędzi inkubatora i z fascynacją gapił się na polepioną śluzem paszczę, z której raz po raz wyskakiwał rozwidlony język. Paszcza rozwarła się szeroko, załśniły kły jak szpile. Wąż popisywał się i demonstrował, że gdy za chwilę wysunie się z jaja, od razu będzie gotów, by

połknąć swą pierwszą ofiarę w całości.

Adler żałował, że nie ma czym poczęstować młodego. Może by poszukać jakiegoś przysmaku w klatkach za ścianą? Ten lis z wylewem by się nadał. I tak marny jego los.

Zaabsorbowany narodzinami drapieźnika, z pewnym opóźnieniem zorientował się, że ktoś do niego dzwoni. Telefon brzęczał namolnie i bez przerwy. Adler z syknięciem szarpnął za ramię od etui.

Nie zdążył jednak odebrać, gdyż nagle za drzwiami terrarium rozbrzmiały szybkie kroki. Ktoś potknął się na progu, zaklął i znów się potknął. Adler z trudnością oderwał wzrok od węża.

Do sali wpadł zdyszany mężczyzna w białym kitlu.

Mężczyzna dopadł inkubatora i zsunął z oczu ochronne okulary.

– A więc jednak! – wychrypiał. Jego oczy szklily się ze wzruszenia. – Wykluł się! W końcu się wykluł! Czekałem na to osiem miesięcy – wyjaśnił Adlerowi. – Osem miesięcy i osiem dni! Dwieście pięćdziesiąt trzy dni wyczekiwania. Tyle lęków, tyle niepewności!... – Mężczyzna wyciągnął brudną chustkę z kieszeni kitla i przetarł nią spocone czoło. – Jak tylko dostałem sygnał – tu wskazał na swój zegarek z pagerem – przybiegłem co sił w nogach! Biegłem... – znów zerknął na zegarek – dokładnie minutę i trzydzieści jeden sekund. Dziewięćdziesiąt jeden sekund!

Adler odwrócił wzrok od dziwaka i znów zagapił się na węża.

Z lepkiej pajęczyny śluzu wysuwał się tułów.

– Co to za gatunek? – spytał.

– Niezidentyfikowany – odparł facet w kitlu. – Jajo pochodzi

z Azji.

- Co oznacza ta litera „A” w opisie?

- Amfisbaena, tak go nazwałem. To z mitologii greckiej. Nieśmiertelny wąż o dwóch głowach.

- Na razie widzę tylko jedną głowę... – Adler pochylił się nad pękniętą skorupą. Wąż z coraz większą werwą wysuwał się z jaja.

- Amfisbaena ma po jednej głowie na każdym końcu tułowia. Gdyby wziąć sztylet i rozciąć ją na pół, obie części zrosną się – na powrót połączą się w całość. Jest nieśmiertelna!

Adler zerknął z ukosa na zaaferowanego naukowca.

- Twierdzi pan, że ten wąż ma drugą głowę w części ogonowej...? – spytał. – Gdzie w takim razie ma odbyć? Jak sobie radzi z...

Ale tamten już go nie słuchał. Wyciągnął telefon i jednym pacnięciem w ekran połączył się z szefem.

- Szefie! – zawołał, podekscytowany. – Tu profesor Dan Powell. Dzwonię, bo... wyklął się! Nareszcie! Naprawdę! Wyklął się

cały i zdrowy! Narodził się Nocny Zabójca!... Adler uniósł głowę. Nocny Zabójca?

- To wielki dzień dla nas wszystkich – nawijał profesor Powell. – Musi pan to zobaczyć! Już panu nagrywam filmik! – odsunął telefon od ucha i zaczął kamerować scenę narodzin. – Niech się pan odsunie! – rzucił do pochylonego nad jajem Adlera. – Włazi pan w kadr!

- Widział to pan, szefie? – dopytywał się po chwili. – Wygląda na absolutnie zdrowy okaz. Wciąż czekamy na drugą

główkę, za chwilę powinna się wysunąć. Tułów już teraz na oko ma trzydzieści cali, ale będzie więcej!... – Nagle profesor zmieszał się, jego głos przybrał obronny ton, jak u karconego dziecka. – Słucham? Kim on jest? I co robi w terrarium? Prawdę powiedziawszy, sam nie wiem... – Powell odwrócił się do Adlera i spytał: – Przepraszam, kim pan w ogóle jest?

– Doktor Tolley, płazy *Amphiuma* – odparł mechanicznie Adler.

– To doktor Tolley, od płazów – wyjaśnił pogodnie Powell. – Aha. Aha. W porządku. O, chyba muszę kończyć, bo czuję, że zaraz wyjdzie druga główka!...

Profesor rozłączył się i z wypiekami na twarzy pochylił nad młodym wężem.

– Wciąż nie widać drugiej główki – mruknął i niecierpliwie popukał palcami w szybę inkubatora.

– Skąd przypuszczenie, że będzie druga główka? – zapytał Adler z roztargnieniem.

Dlaczego szef Powella wypytywał o Adlera? Niepotrzebnie włąził w kadr filmu. Sam Powell wyglądał na nieszkodliwego, ale jego szef mógł rozpoznać uzurpatora... Musiał przecież znać prawdziwego doktora Tolley'a. Być może nawet w tym momencie gościł go w swoim gabinecie...

– Prześwietlałem jajo – wyjaśnił z entuzjazmem profesor. – I zobaczyłem charakterystyczne zgrubienie na drugim końcu tułowia.

– Skąd pan w ogóle wiedział o tym, że wąż się narodził? – wypytywał Adler.

– Przy każdym inkubatorze jest czujnik ruchu. Wykrywa minimalny ruch w gnieździe i wysyła sygnał na pager.

Adler czuł coraz większe podenerwowanie. Spróbował się skupić na węźle, na jego wydłużającym się tułowiu, który opadał śliskimi zwojami na skorupę...

Ponownie zabrzączał telefon Adlera. Chłopak wyszarpał go z etui i rzucił nerwowe:

– Halo?!

Odpowiedziało mu równie rozgorączkowane:

– Forbes?!

– Vincent? Co jest? Coś się stało?

– Czemu nie odbierasz, do cholery?! Wydzwaniam do ciebie jak pieprzony telemarketer!

Adler odsunął się od inkubatora.

– Co się dzieje, Ross? Gdzie jesteś?

– Jestem na Charlotte Square. W tym domu...

Adler poczuł, jak jego serce przyśpiesza i zaczyna walić z łomotem o żebra.

– No i? Wyłączyłeś grzanie?

Vincent wziął głęboki wdech.

– Faktycznie, jak otworzyłem drzwi, buchnęło gorącem jak z piekła – powiedział nieswoim głosem. – Ale nie o to chodzi...

– A o co chodzi, stary...?

– Christian, tu chyba... było jakieś włamanie. Nie wiem. W hallu, na podłodze leży masa rozbitego szkła... I wszędzie rozlało się jakieś paskudztwo. Boże, Forbes! Tu jest pełno rozlanych mózgów!...

– Vincent, posłuchaj...

– Co to za miejsce, Forbes?! Gdzie ja jestem? O co chodzi z tymi mózgami?! Chryste, tu są też jelita! ...i embriony!

– Vincent! – warknął Adler. – Uspokój się i opowiedz mi dokładnie, co widzisz. Porozbijane szkło... i co jeszcze?

Vincent wziął kolejny głęboki wdech i umilkł. Może rozglądał się po hallu, oceniając straty. Adler pospiesznie dopadł drzwi i wydostał się z terrarium.

– Doktorze! – krzyknął za nim Powell, zgięty w pół nad inkubatorem. – Wychodzi! Chyba wychodzi druga główka!

Ale Adler nie myślał już o wężu.

– Co tam jeszcze widzisz, Vincent? Jesteś sam? Czy widzisz tam jeszcze kogoś? – pytał, biegnąc betonowym korytarzem.

Zza drzwi cel z mutantami dobiegało skrobanie i upiorne chichoty.

– Nikogo tu nie ma, Christian! Jestem sam w hallu. – Nagle głos Vincenta zmienił się. – Myślisz, że oni mogą być jeszcze w środku? – zapytał z lekkim drżeniem.

– Jacy oni?!

– Włamywacze... – Vincent zaczął nagle szeptać. – Zupełnie o tym nie pomyślałem. Forbes, oni wciąż mogą tu być!...

– Ross, nie panikuj... Proszę cię, żebyś wyłączył ten pieprzony bojler i posprawdzał piętra.

– Ja się stąd nie ruszam, Forbes – wyszeptał Vincent. – Chyba najlepiej będzie, jak zadzwonię teraz na policję... Adler aż przystanął.

– Ross, nie wołaj glin! – zaprotestował.

– Stary, nie rozumiesz, tu było włamanie. Przetrzepali cały dom, wszystko jest porozbijane!

– Nie było żadnego włamania! – nie wytrzymał Adler.

Zapadło milczenie.

– Skąd wiesz? – zapytał w końcu Vincent. Już nie szeptał.

Adler oparł czoło o betonową ścianę. Zamknął oczy.

– Proszę cię, nie dzwoń na policję – powiedział cicho. – Wejdź na piętro i sprawdź, czy nikogo... czy nie ma tam niczego podejrzanego.

– Nie rozumiem – stwierdził Vincent, choć polecenie nie było wszak skomplikowane.

– Jeśli coś znajdziesz... daj mi znać. Wszystko ci wyjaśnię.

– A jak nie znajdę nic podejrzanego?

– Po prostu wyjdź z domu i zamknij drzwi na klucz... – Stary, wszystko w porządku? – zapytał niepewnie Vincent. – Brzmisz, jakby... jakbyś się załamał.

Adler nie odpowiedział. Nagle otworzył oczy i uniósł głowę.

Usłyszał szybkie, ciężkie kroki.

Ktoś nadchodził korytarzem.

Nowy pan na Zamku w Pelham popijał właśnie herbatę w Sali Łowców.

Salą Łowców nazywano główny hall zamczyska. Jeśli wierzyć kronikom, miano to zyskał jeszcze w czasach Tudorów.

W potężnym hallu sylwetka właściciela wydawała się wątła i maleńka. Sala była wysoka na sześćdziesiąt stóp i w dawnych czasach hucznych uczt i balów mieściła tłumy biesiadników. Nisko przy ziemi, ściany obito boazerią w kolorze gorzkiej czekolady i obwieszono ją mrocznymi tkaninami. Posępne arras, utkane z ciemnych, jedwabnych nici obrazowały krwawe sceny myśliwskie oraz mitologiczne potwory na tle niepokojących, baśniowych krajobrazów. Największy arras portretował piękną, śmiertelnie bladą łowczynię, wbijającą długą włócznię w szyję szmaragdowego

smoka. Powyżej linii arrasów straszyły wynurzające się z półmroku myśliwskie trofea: kuriozalne głowy, gigantyczne kły, kopyta i powykręcane poroża bestii z różnych krain świata. Jeszcze wyżej, nad wypchaną zwierzyną, prezentowała się wspaniała kolekcja broni, obejmująca grawerowane dubeltówki, kniejówki i sztucery, a także kordelasy i łuki, a nawet harpuny.

Nowy właściciel Zamku lubił przebywać w Sali Łowców. To tu zwoływał zebrania, tu ucztował i przyjmował gości. Dzisiaj na przykład rozmawiał tutaj z pewnym ambasadorem.

Pertraktacje były owocne. Dyplomata już wcześniej zapoznał się z produktami oferowanymi przez właściciela Zamku i jego zleceniodawca wyraził zainteresowanie nabyciem tego i owego. Podpisano wstępny kontrakt.

Kiedy sekretarz zabrał kopię umowy oraz złote pióro wieczne, grawerowane w sceny łowieckie, na stół wjechała taca z whisky w kryształowej karafce. Ambasador zatankował do pełna. Podobno bał się lotów, a teraz czekała go długa podróż do ojczystego kraju.

Właściciel Zamku pił razem z nim, choć skrycie preferował wódkę. Gdy tylko pożegnał ambasadora, golnął sobie parę kieliszków swojej ulubionej gorzałki *Russkij Standard*. A potem poprosił o podanie herbaty. Choć od roku był panem na angielskim zamku, nie pijał herbaty na modłę brytyjską. Był Rosjaninem, a w domu Rosjanina herbatę parzy się w samowarze.

Siedział więc teraz za wielkim stołem do obrad i rozkoszował się cejlońską herbatą z dodatkiem konfitury. Przed nim, na ażurowej serwecie, pykał potężny, srebrny samowar. Obok stała tacka z blinami [\[109\]](#) ze śmietaną

i czerwonym kawiozem.

Tę chwilę relaksu przerwał telefon od profesora Powella.

Wyklął się pierwszy Nocny Zabójca, to była dobra wiadomość. Oczywiście gada trzeba będzie teraz poddać serii testów, by sprawdzić jego jadowitość i przewagę nad mambą czarną. O tym jednak pomyśli się później.

Teraz właściciela Zamku zaabsorbowała inna sprawa. Sprawa o wiele pilniejsza – i potencjalnie ciekawsza.

Zadzwoił po straż i wezwał syna. Po chwili już słyszał szybkie kroki młodego. Ciszę rozerwał stukot jego obcasów o marmurową szachownicę posadzki.

– Mamy gościa – powiedział właściciel Zamku do syna. – Nasz przyjaciel ze Szkocji, Christian Forbes. Mówiłem wam o nim na wczorajszym zebraniu. Dziś wtargnął na teren Zamku. Włamał się do laboratoriów. Właśnie posłałem za nim ludzi do terrarium. – Co mam z nim robić?

– Idź i zaproś go tutaj. Chcę z nim pomówić. – Właściciel sięgnął po blina ze śmietaną, połknął go w całości i oblizał wargi.

Sięgnął po kolejnego i jakby po namyśle dodał:

– Tylko nie połam mu karku. Potrzebuję tego chłopaka w jednym kawałku.

W korytarzu Adlera dopadło dwóch strażników.

Jeden bez żadnego wstępu pchnął go na ścianę. Drugi walnął chłopaka w brzuch kolbą strzelby. Adler zwinął się z bólu. Usłyszał rehotliwy śmiech, a potem stukot kolejnych kroków na betonowej posadzce. Świetnie. Zbiera się cała banda. Zakatują go tu na śmierć...

Uniósł głowę i wtedy zobaczył, kto nadchodzi korytarzem.

Znał tego człowieka. Znał go na tyle dobrze, iż wiedział, że jego nadejście nie wróży niczego dobrego. To był ten dzikus, kłusownik Jegor. Pewnie chciał się przyłączyć do dobrej zabawy.

Strażnik uderzył Adlera w twarz i przyłożył mu do piersi lufę krótkiej strzelby.

– *Ty kto? Szpion?! Gowori, suka!* – Dźgnął go lufą w pierś.

– *Otjebis' ot niego!* – ryknął naraz niski, rozzłoszczony głos.

Na widok Jegora strażnicy lekko spokornieli.

– To szpieg! – wyjaśnił jeden z nich, wskazując na Adlera. – Szef kazał go złapać.

Jegor wytrącił broń z jego dłoni i warknął niecierpliwie:

– *Poszoł otsiuda, gnida! Prowaliwaj!*

Do drugiego zaś rzekł w podobnym tonie:

– *Won otsiuda! Ja s nim razbierus'.*

Strażnicy wycofali się, wbijając w Adlera nienawistne spojrzenia. Byli jak para rozjuszonych pitbulli, które nagle wzięto na smycz. Adler, wciąż w szoku, nie mógł pojąć, dlaczego Jegor cieszył się takim posłuchem. Sprawa miała wkrótce się wyjaśnić.

Jegor nonszalancko pacnął lufą w dłoń, a potem schował obrzyn za pas.

– Hej, Forbes – rzucił niedbale.

Zmierzył Adlera roziskrzonym wzrokiem i uśmiechnął się kpiąco.

– Mój ojciec chce się z tobą widzieć – rzekł.

Adler uniósł brwi i spojrzał pytająco w skośne oczy Jegora.

– Twój ojciec? Czyli kto?...

– Roman Wadimowicz Bazin – odparł Jegor, dosadnie akcentując każde słowo. – Właściciel tej ziemi.

NA ZAMKU

Piekło zaczyna się tutaj, na bagnach w Pelham.

John Buckland

EKIPA ZWIADOWCÓW pod przywództwem Wooda zgromadziła się w punkcie zbornym, na który obrano starą szopę stojącą na północnym krańcu pola Johna Bucklanda.

Ziemia Bucklanda graniczyła z mokradłami pod Zamkiem. W sprzyjających warunkach pogodowych z szopy można było prowadzić skuteczną obserwację terytorium wroga. Tego dnia jednak, podobnie jak przez większość dni w roku, warunki były dalekie od idealnych.

– Nie widać nic – mruknął Wood, opuszczając lornetkę. – Pieprzona mgła.

– A będzie jeszcze gorzej – dorzucił Dave Cox. – Za dwie godziny zacznie zmierzchać.

– Zmierzch jest naszym sprzymierzeńcem – odparł Wood. – Co innego mgła. Ta bładź zepsuła już niejedną ekspedycję. – Łyknął kawy z termosu i znów spojrzał przez lornetkę. – Ale pamiętajcie, chłopcy: los sprzyja dzielnym. To nasze motto.

– Myślałem, że nasza dewiza to: „Zawsze czujni” – zauważył Steve Farrell.

- Jedno z drugim się nie kłóci – burknął Wood.

Coś zaskrzybiało potężnie. To wielki Rob Beattie wycofał się ze swego stanowiska obserwacyjnego.

- Rzeczywiście, mgła jak mleko – sapnął. – Nie widać nawet tego drzewa za szopą.

- Ee, drzewo widzę całkiem nieźle – zaprotestował Wood.

Rob spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Tak? Serio, widzisz to drzewo? Coś ty sobie polał do termosu, Keith? Bo chyba masz zwidy. Ja żadnym sposobem nie mogę niczego wypatrzyć w tym mleku.

- To może zdejmij z oczu tę pieprzoną moskitierę! – warknął Wood. – Tu nie Afryka.

Rob zmieszał się i podwinął siatkę na swoim kapeluszu.

- Myślałem, że na bagnach mogą być Moskity – wyjaśnił nieśmiało.

- Jak żyję, nie widziałem w West Sussex Moskita! – ryknął Wood.

- Ja żem też nie widział – oświadczył stary Buckland.

- Wystarczy, że ja nie widziałem – zbył to oświadczenie Wood. – Ja tu jestem dowódcą, to mój oddział zwiadowczy. Jeśli mówię, że nie ma moskitów, moi ludzie zdejmują z głów moskitiery. Jasne?

Nikt nie protestował. W szopie zgromadził się tuzin lokalnych chłopaków, czekających na dalsze wytyczne i rozkazy.

- Nasze cele to: rozpoznać teren i podejść pod Zamek – przypomniał im Wood. – Uważam, że nasz oddział jest doskonale przygotowany do tej misji. Trzynastu zawodowców i doborowy sprzęt. Nie straszny nam Rosjanin i jego

zamczysko.

Szeregowcy przyklasnęli z zapalem.

– A gdzie Adler? – zapytał ktoś.

Wood spochmurniał.

– Szeregowy Adler nie stawiał się na odprawie – burknął.

– Jak to, zdezerterował? – podniosły się zdumione głosy.

Wood zmarszczył brwi i nieco nazbyt porywczym gestem przerzucił przez ramię swą kniejówkę.

– Licho go wie – odparł niechętnie. – Nie odpowiada na wezwania.

– Wsadził kij w mrowisko i zwał! A to dobre... – pokręcił głową zniesmaczony Rob.

– Pokazał palcem na Zamek i schował się za plecami dziadka Wyatta!...

– Słuchajcie! – warknął Wood. – Nikt nam nie musiał niczego pokazywać, my nie w ciemność bicia! Sami doszliśmy do tego, kto zagraża miasteczku. Zamek od dawna był na celowniku.

– Oni już tak mają, panowie z wyższych sfer... – mruknął ktoś z niechęcią. – Weźmy takiego Pearsona: zawsze atakował Bazina, a jakoś nie widzę go dziś w naszych szeregach!

– Do diabła z Pearsonem! – rzekł Wood. – W ogóle nie ma co dłużej sterczeć w tej budzie. Chłopaki, ruszamy na akcję!

W szopie zawrzało. Wood pchnął zbutwiałe wrota i z kryjówek wychynęła grupa mężczyzn, objuczonych bronią i ciężkimi plecakami z przytroczonym sprzętem. Dodatkowo, każdy ze zwiadowców dzierżył w dłoni dwumetrowy kij. Każdy też miał przy sobie krótkofalówkę. Niektórzy – nawet po dwie.

– Ty, Dave, po co ci dwa radia? – zainteresował się Steve.

Dave był naszpikowany sprzętem jak brytyjski żołnierz na misji w Afganistanie. Każdy jego krok wywoływał terkot, jakby ktoś podrzucał skrzynką z narzędziami.

– Jedno radio jest do komunikacji z teamem, drugie do nasłuchiwania częstotliwości lokalnych służb – wyjaśnił. – Straży, policji i tak dalej.

– Czy to legalne? – zastanowił się Steve.

Dave wzruszył ramionami.

– Nawet jeśli nie, to doskonale wpisuje się w charakter naszej misji – odparł.

– Ja też mam dwie krótkofalówki – wtrącił Tim Browne i klepnął dłonią w pękate futerały na pasku. – Zawsze zabieram ze sobą coś z nowości plus stary, niezawodny model. Nowościom nie ufam, ale fajnie się nimi pobawić. Stary model jest sprawdzony. Nie zawiesza się, ma dobry zasięg.

Tak rozprawiając, przebrnęli przez grząskie pole Bucklanda i ruszyli w głąb moczarów. Szli gęsiego, prowadził Wood. Stary myśliwy badał grunt kijem. Pozostali kopiowali jego ruchy.

– Nie jest źle – mruzczał Wood. – Woda do kolan, żadnych pijawek, węży i robaków. Żeby nie ta mgła, to pewno w pół godziny dotarlibyśmy pod Zamek.

Mgła snuła się nad grzęzawiskiem, maskując pułapki terenu. Jeden fałszywy ruch i można było zapaść się w bagienną studnię lub poharatać nogi na starym ogrodzeniu, którego kolczaste szczątki sterczały nad taflą mokradła.

Taka właśnie przygoda spotkała młodego Sturridge'a. Mężczyzna potknął się o zwój żyletkowego drutu i rozdarł swoje wodery [\[110\]](#). Stracił równowagę i plasnął w mętną

wodę. Blaszane kolce wbiły się w skórę i podziurawiły mięśnie. Sturridge zawył jak chory wilk. Z ran wypłynęła gęsta, ciemna krew.

Ekipa rzuciła się na pomoc koledze. Woda zachlupotała od chaotycznych kroków.

– Sturridge, co z tobą?!

– Cholera, ale go pocięło!

– Trzeba go opatrzyć, szybko!

– Wyjmijcie zestaw pierwszej pomocy! Prędko, wyjmijcie opatrunki!...

– Kto ma pieprzony zestaw ratunkowy?! – zagrzmiął Wood.

Zapadła złowroga cisza, przerywana histerycznym łkaniem Sturridge'a.

– Nikt nie ma pieprzonych opatrunków?! – pojął Wood. – Mogę zatem wiedzieć, co zapakowaliście do swoich plecaków?!

– Ja mam na przykład łopatę. Składaną – bąknął obronnym tonem Dave.

– A ja nożyce do cięcia metalu. I wykrywacz metali – rzekł Chris Hood.

– Ja wziąłem drabinę sznurkową z hakami. Upchałem cały rulon – wyznał Steve.

– Ja mam trochę kanapek – stęknął bojaźliwie Rob. – I trzy termosy: z kawą, z herbatą i z... – urwał i spuścił oczy.

Pozostali milczeli markotnie. Sturridge siedział w wodzie i pojękiwał.

– Pomóżcie mu wstać! – ryknął rozeźlony Wood. – Też nie wziąłem opatrunków – przyznał. – Bo nie wiedziałem, że idą z nami baby! – tu spojrzął karcąco na nieszczęsnego Sturridge'a.

Koledzy pomogli rannemu wstać. Ktoś znalazł w swoim ekwipunku chusteczki antyseptyczne.

– Keith, jemu chyba poharatało tętnicę. Może wykrwawić się na śmierć!...

– Hm, tak mówisz? – zaniepokoił się Wood. Niedobrze. Piętnaście minut zabawy i już pierwsze straty w ludziach... – Ja nie żartuję, Keith. Sytuacja jest poważna.

– Widzę – mruknął Wood, zerknąwszy na zbroczone krwią udo Sturridge'a.

– To co robimy?

– Ja nie chcę umierać! – poinformował ich Sturridge.

– Dobra, Tom, zabierz go do miasteczka – zdecydował Wood. – Idźcie do przychodni albo po prostu wezwij karetkę. Tylko ani słowa o naszej akcji! Reszta ekipy kontynuuje wyprawę.

Tom spojrział na dowódcę z wyrzutem. „Dlaczego właśnie ja?!”, mówiły jego oczy.

Wood poklepał go po ramieniu.

– Idź, idź – ponaglił. – Jak się pośpieszysz, to może jeszcze nas dogonisz przy murze. Co do Sturridge'a, on już raczej odpadł z gry... Nie dla ciebie niebezpieczne wyprawy, bracie – uzmysłowił rannemu w ramach pożegnania.

Sturridge odwrócił się i pokuśtykał precz, wsparty na ramieniu miłosiernego Toma.

Reszta zwiadowców ponownie podjęła przeprawę przez moczary. Brnęli w milczeniu, z pochylonymi głowami – jak skazańcy na katordze. Unieśli oczy dopiero, gdy z mgły – teraz już nie białej, lecz brudnej jak trujący dym z komina – wyłonił się zarys ogrodzenia.

Był to mur z betonowej płyty, wysoki na osiem stóp i zwieńczony drutem kolczastym. Mur zdawał się ciągnąć w nieskończoność, jego krańce niknęły we mgle.

Zwiadowcy zadarli głowy i spojrzeli na spiralne zwoje drutu, iskrzące na tle zachmurzonego nieba.

– Prawdopodobnie – rzekł Wood w zadumie – jesteśmy pierwszymi cywilami, którzy kiedykolwiek forsowali ten mur. Nie wiadomo, co kryje się po drugiej stronie... Jedno jest pewne: nie bez przyczyny nazywają Zamek siedliskiem zła.

Szeregowcy spojrzeli na swego dowódcę. Jego oczy skrzyły, twarz promieniała dziwnym blaskiem. Rozbudził w nich niepokój. – Czujecie? – wychrypiał, a oni natychmiast struchleli. – Cuchnie bagnami.

Odprężyli się, pokiwali głowami. Tak, oni także czuli smród nadpływający znad mokradeł.

– Ale ja wyczuwam coś jeszcze – rzekł Wood. – Zapach zwierzyny.

Wciągnął powietrze pełną piersią, po czym wypuścił je z nieprzyjemnym świstem.

– Tak, za tą ścianą czai się zwierzyna – rzekł. – Gdy przekroczymy mur, przygotujcie broń. Bądźcie czujni. One już wiedzą, że nadchodzimy.

Jegor Bazin prowadził Adlera na Zamek.

Rosjanin był w dobrym humorze. Raz po raz, z wyraźną przyjemnością zaciągał się cuchnącym papierosem, pogwizdywał i z wprawą rewolwerowca wywijał krótką strzelbą. Ani na sekundę nie spuszczał wzroku z Adlera: jego przenikliwie oczy śledziły każdy ruch jeńca.

Adler nie stawiał oporu. Nie miałoby to większego sensu: kłusownik był uzbrojony, a teren obstawiono strażą.

Laboratoria, w których przydybano Adlera, znajdowały się tuż pod Zamkiem.

Po raz pierwszy, odkąd przybył do Pelham, Adler ujrzał zamkowe wieże z bliska. Wiedział od Wyatta, iż Zamek w Pelham nigdy nie był prawdziwą fortecą. Owszem, dawniej w tym miejscu stała jedna z pomniejszych twierdz Sussex. Lecz kiedy sir Henry Pelham rozpoczął budowę na jej zgliszczach, nie było jego zamysłem tworzenie fortyfikacji, lecz domu. Dom przypominał zamczysko, jednak nie pełnił funkcji obronnej. Wzniesiono go w początkach szesnastego wieku, gdy funkcje zamków w budownictwie obronnym przejmowały bastiony.

Sir George wspominał również, że Zamek znajduje się w ruinie. U schyłku osiemnastego wieku zniszczył go ogromny pożar. Rodzinie Pelham-Torrington nie udało się już potem przywrócić rodowej siedziby do dawnej świetności. Kolejni dziedzice woleli trwonić majątek na zagraniczne wojaże, nowinki techniczne, kobiety i hazard. Z oryginalnej zabudowy, wzniesionej z zielonkawego piaskowca, zachował się jedynie imponujący front z głównym hallem i ośmiobocznymi wieżami. Część pomieszczeń odbudowano z szarych, kamiennych bloków z lokalnych kamieniołomów. Inne pozostały w ruinie i straszyły wytłuczonymi szybami, obnażonymi klatkami schodowymi, ślepych murami i połamanymi niczym wybite zęby blankami.

Na widok ruin, Adler odwrócił się do Jegora.

– Ty i twój stary mieszkacie w tym squacie? – zapytał złośliwie.

Miał wielką ochotę dokopać Ruskiemu.

Sam nie wiedział, dlaczego tak źle znosił jego przewagę.

Nie chodziło mu tylko o obecną sytuację: o to, że to Rosjanin był ciemniejszą, zaś Adler robił za jeńca. W krótkiej historii ich znajomości, za każdym razem, gdy się spotykali – lub raczej: ścierali – Jegor Bazin zawsze był górą, wygrywał każdą konkurencję. Rosjanin, w przekonaniu Adlera, lepiej miotał nożami i średniowieczną bronią białą. Kiedy Adler błąkał się jak ostatni ignorant po okolicznych lasach, Jegor od dawna wiedział o zagrożeniach, jakie stwarza tutejsza fauna. Wiedział o jeleniu–mutancie i o bestii, która zabiła Ailith.

A teraz bawił się w pana na Zamku. I świdrował Adlera spojrzeniem płatnego zabójcy. Jego zielone oczy iskrzyły niebezpiecznie pod ciemnymi brwiami.

– Nie czepiam się – prowokował Adler. – Widziałem gorsze ruiny. Te tutaj to nawet, powiedziałbym, wersja *de luxe*. W sam raz dla oligarchy ze wschodu. Co, nie starczyło rubli, żeby kupić coś z porządnym dachem i szybami w oknach?

Rosjanin nie zareagował adekwatnie. Nie rzucił się z pięściami na Adlera, nie trzasnął go kolbą strzelby po głowie. Może z całej prowokacyjnej tyrady zrozumiał tylko słowa „de luxe”?

– Niech cię diabli! – mruknął zniechęcony Adler.

Jego słowa zagłuszył nadjeżdżający pojazd: ogromna ciężarówka z cysterną. Ciężarówka przetoczyła się żwirowym traktem i skręciła w stronę grodzonych baraków na tyłach Zamku.

Syn Bazina zaprosił Adlera do swojego królestwa: wskazał lufą na łukowaty otwór w bocznej ścianie zamczyska. Otwór zionął pustką, lecz niegdyś musiał stanowić ramę całkiem okazałych drzwi.

Przestąpili przez próg z wyslizganych kamieni i znaleźli się

w obszernym, nieoświetlonym korytarzu. Wewnątrz panował nieprzyjemny przeciąg i chłód. Nic dziwnego, kto by ogrzewał ruiny? Głazy na posadzce i ścianach były popękane, wilgotne i pokryte zielonkawym pokrowcem z porostów. W wąskich, łukowatych oknach drgały pojedyncze szybki.

Adler przypomniał sobie lokalną plotkę o tym, jakoby Bazin kupił zamczysko za pół miliona. Cóż, Rosjanin najwyraźniej nie był jednak milionerem: teraz nie było go stać nawet na remont części mieszkalnej. Laboratoria też wyglądały na mocno niedofinansowane. Adler miał rację: Zamek był luksusowym squatem.

Naraz w korytarzu pojawiło się dwóch strażników. Zamienili parę słów z Jegorem i przyłączyli się do pochodu. Adler żałował, nie po raz pierwszy zresztą, że nie zna rosyjskiego. Nie miał pojęcia, o czym rozmawiali jego ciemiężcy. Może przerzucali się żartami, a może – pomysłami na tortury dla pojmanego...

Szedł, zaciskając pięści i starał się nie myśleć o tym, co go teraz spotka. W jego kieszeni spazmatycznie wibrował telefon. To dzwonił Vincent. Przerwano im rozmowę w takim krytycznym momencie...

Korytarz skończył się i wkroczyli do ogromnej sali. Na widok zgromadzonych w niej łowieckich trofeów, Adler na moment zapomniał, że znajduje się w rękach wroga, że jego dalszy los zależy od kaprysu dzikusów, którzy pojмали go i przywlekli do swojej jaskini.

Zadarł głowę i zafascynowany wpatrywał się w zdumiewającą kolekcję baśniowych poroży, głów, pazurów, piór i kłów. Jakież niezwykle musiały być bestie, których spreparowane członki zawisły nad pasem posępnych

arrasów!...

Potem jego wzrok padł na wypchaną zwierzynę. Z kłębow gęstniejącego mroku wynurzały się kuriozalne okazy. Adler zagapił się na garbatego olbrzyma z jasną, frędzlowatą sierścią i porożem jak dwie skrzyżowane jelmami katany [\[111\]](#). Olbrzym za życia musiał ważyć tyle co dwa rosyjskie uazy.

– Podoba się? – usłyszał nagle i drgnął.

Dopiero teraz zauważył mężczyznę, który zasiadał za długim stołem pod ścianą. Mężczyzna był ubrany w lśniący, czarny garnitur o ekscentrycznym kroju, będącym zapewne owocem fantazji włoskiego projektanta. Jego twarz przysłaniały rozpuszczone włosy: długie do ramion i srebrzyste, jak futro ze śnieżnego lisa, które narzucił na swe szerokie ramiona.

Mężczyzna nieśpiesznie odsunął od siebie talerzyk z przekąskami, po czym wyłuskał wykałaczkę i począł nią gmerać w zębach.

– Ten zwierz to legendarny piżmowół czukocki – wyjaśnił leniwie, spoglądając na wypchanego olbrzyma. – Zwany teraz, nie wiedzieć czemu, piżmowołem Abramowicza [\[112\]](#).

Jegor parsknął krótkim śmiechem.

Mężczyzna przeniósł wzrok na kłusownika i przez chwilę przyglądał mu się spod ociężałych powiek.

– Upolował go mój syn – rzekł bez entuzjazmu. – To była łatwa zdobycz: nieruchawy roślinożerca. Piżmowoły czukockie są otyłe i z natury niemrawe. Tak wielkie, że można do nich strzelać w ciemno, bez specjalnego celowania.

Adler spostrzegł, że Jegor zeszywniał i stracił swój dobry humor.

– Oczywiście, najpierw trzeba je wytropić i tu właśnie tkwi

haczyk – ciągnął beznamiętnym głosem mężczyzna w srebrnym futrze. – Według moich ustaleń, piźmowoły czukockie występują obecnie tylko w górach Półwyspu Czukockiego. Dawniej widywałem je także na Wyspie Wrangla, ale chyba wytępiłiśmy już całą tamtejszą populację – stwierdził.

Wyjął z ust wykałaczkę i spojrzał poważnie na Adlera.

– Do rzeczy – rzekł. – Wiesz zapewne, kim jestem?

Adler skinął głową. Zdał sobie sprawę, iż od początku wiedział, kim jest mężczyzna w futrze. Zdradzał go nie tylko obcy akcent, ale również egzotyczna powierzchowność i osobliwe maniery. Tak, to musiał być Roman Bazin, nowy pan na Zamku w Pelham.

Człowiek, który zadecyduje o dalszym losie Adlera.

Bazin przyjrzał się uważnie Adlerowi.

– Mam nadzieję, że mój syn za bardzo cię nie poturbował – rzekł, nie patrząc na Jegora. – Zawsze reaguje agresywnie, gdy spotyka drugiego osobnika płci męskiej. Jest szczególnie brutalny, gdy ten drugi okazuje się bardziej atrakcyjny, inteligentniejszy i – nie daj Bóg – lepszy w wywijaniu siekierą.

Jegor milczał potulnie. Był spięty, lecz ani drgnął. No, może tylko odrobinę się obruszył na słowa: „bardziej atrakcyjny”...

– Ja, naturalnie, wiem, kim jesteś ty – ciągnął Roman Bazin, lustrując Adlera. – Choć przyznaję, twoje imię poznałem dopiero wczoraj.

Adler mimowolnie drgnął. Bazin dostrzegł jego poruszenie.

– Byłem obecny na zebraniu w Ratuszu – wyjaśnił. – Wszak zapraszali na nie wszystkich mieszkańców Pelham... A ja interesuję się życiem lokalnej społeczności.

Adler potrzebował chwili, by przetrwać tę nowinę.

Wczorajsze zebranie... Jak mogli być tak głupi?! Jak mogli zakładać, że Bazin się na nim nie zjawił?!... Nikt przecież nigdy go nie widział. Nie wiedzieli, jak wygląda... Przez cały wieczór ciskali oskarżeniami, pluli na Zamek i planowali krucjatę. A Roman Bazin przez cały ten czas siedział wśród nich i przysłuchiwał się wszystkiemu...

– Byłem w pierwszym rzędzie – dodał teraz.

...i to w pierwszym rzędzie!

– Wiem zatem o twoich przypuszczeniach. Poznałem twoje teorie.

Adler milczał. Skoro Bazin poznał jego teorie, nie zostało już nic do dodania.

Rosjanin zmrużył oczy.

– Co ja widzę? – rzekł nagle. – To chyba mundur generała Harper-Hobana!

Adler poruszył się niespokojnie. Kątem oka zobaczył strażników, czających się pod ścianami jak hieny.

– Generał sir Bryan Harper-Hoban – rzekł Bazin, dobitnie akcentując każdy człon przydługiego tytułu i nazwiska – byłby niepokieszony, gdyby wiedział, że mu gwizdnąłeś jego order.

Adler milczał, niewzruszony. Miał w tym momencie większe problemy niż niepokieszony generał sir Bryan Harper-Hoban.

– Generała nie należy lekceważyć – wyjaśnił mu Bazin. – Ma już swoje lata, ale wciąż pamięta przydatne chwytai aikido, rzuty judo, techniki kendo i ciosy kungfu. Do tego jest nieśmiertelny: w siedemdziesiątym piątym jako jedyny z załogi przeżył ostrzał helikoptera podczas walk w Omanie

[113]

Adler westchnął.

– Musiałem się przebrać – wyznał. – Po tym, jak zanurkowałem w jednym z pańskich stawów rybnych... – W którym? – zainteresował się Bazin.

– W tym z opancerzonymi rybami.

– Aa, z pancernikami – pokiwał głową Bazin. – Ciesz się, że nie wpadłeś do bajora, w którym hodujemy bojowe kałamarnice!

– Zarechotał, a wraz z nim parsknęli śmiechem strażnicy.

Tylko młody Bazin się nie roześmiał. Milczał ze spuszczoną głową, wpatrując się uparcie w złoty krzyż na swej piersi. Adler nie był znawcą, lecz krzyż wydał mu się dziwny, by nie powiedzieć: przekombinowany. Jego główną oś przecinała nie jedna, lecz trzy belki. Kto wie, do jakiej sekty przynależał kłusownik?

– A zatem zaliczyłeś bliskie spotkanie z pancernikami – rzekł beznamiętnie Roman Bazin. – To by wiele tłumaczyło. Na przykład, twój fatalny wygląd. Krew w oczach, muł we włosach i tak dalej. Ale i tak zastanawiam się, jakim cudem wyszedłeś z tego cało. Rozczarowują mnie te ryby – pokręcił głową z wyraźnym niezadowoleniem.

– Tak, jeszcze sporo można by w nich udoskonalić – syknął zjadliwie Adler.

Nie oczekiwał od Bazina współczucia, ale nie godził się też na to, by teraz wspólnie opłakiwali fakt, iż potwory z miejsca nie pożarły go w całości.

Rozeźlony, wygładził poły generalskiej marynarki. Mimo wszystko uważał, że było mu w niej do twarzy. W każdym razie, na pewno prezentował się w niej poważniej niż taki syn Bazina, który w swej koszulce z dekoltem przez całą klatę

wyglądał jak tancerz z gejowskiego klubu.

Roman Bazin pochylił się nad lśniącym blatem stołu, rozstawił szeroko łokcie i wbił wzrok w Adlera. Miał oczy jak staroświecka lalka z porcelany: chłodne i nieruchome, ukryte pod opadającymi powiekami.

– Zastanawia mnie jeszcze jedna sprawa – rzekł powoli, starannie dobierając słowa. – Dlaczego zdecydowałeś się wystąpić przed mieszkańcami Pelham? Po co ten cały show w Ratuszu? Twój ojciec wolałby chyba, abyś zachował swoje odkrycia dla siebie... Czyż nie?

– Mój ojciec? – zdumiał się Adler. – Co ma do tego mój ojciec?

Bazin odchylił się w fotelu i z rozbawieniem przyjrzał się swojemu jeńcowi.

– Jesteś kiepskim łgarzem, Forbes – rzekł przeciągle, upajając się nazwiskiem wroga. – I jeszcze gorszym szpiegiem. Nie chodzi mi tylko o to, że nie rozumiesz ani słowa po rosyjsku. – Zarechotał bezdźwięcznie, co wyglądało, jakby się krztusił. Paru strażników pod ścianą parsknęło głupawym śmiechem.

– Proponuję, by oficjalnie zakończyć tą dziecinną zabawę – ciągnął po chwili Bazin. – Nie wyszło ci, źle to rozegrałeś, Forbes. Twój ojciec chyba to zrozumie. W końcu wie, że jesteś jeszcze gówniarzem...

Adler poczuł nagłą wściekłość. Nie dlatego nawet, że nazwano go gówniarzem, lecz dlatego, że ktoś znów wywlekał zakazane nazwisko. Nazwisko jego ojca.

– On nie ma z tym nic wspólnego – warknął. – Nie mieszajmy go do tego.

Bazin skrzywił się i pokręcił głową.

– Daj spokój, Forbes. Dość już tych bezsensownych uników. Każdy w tej sali wie, dlaczego tu jesteś. Wszyscy wiemy, że szpiegujesz dla swojego ojca.

– Plan jest taki: Steve włązi na mur i spuszcza drabinę dla pozostałych – zdecydował Wood.

– Dobry plan – pokiwali głowami zwiadowcy.

Tylko Steve nagle zmarkotniał.

– Czemu to ja pierwszy mam się pchać na ten mur? – chciał wiedzieć.

Wood zmarszczył kosmate brwi i zgromił szeregowca wzrokiem.

– A kto ma drabinę w plecaku? – warknął.

– Ja – przyznał Steve.

– Więc ty leziesz pierwszy.

Steve westchnął i ponownie zadarł głowę, by przyjrzeć się betonowej ścianie.

– No, dalej, synu! – zachęcił go dowódca. – Nie będziemy tu sterczeć do zaszranej nocy.

Steve odłożył na bok swój dwumetrowy kij, poprawił szelki plecaka i podszedł do muru. Przez chwilę medytował w milczeniu jak żyd pod Ścianą Płaczu. A potem wystawił w górę rękę, wbił palce w szczeliny między betonowymi płytami i podciągnął swój ciężki tyłek, wierzgając przy tym dramatycznie nogami.

Koledzy z zainteresowaniem obserwowali jego poczynania.

– Uważaj na drut kolczasty! – doradził jeden życzliwie.

Steve pocił się i sapał, jego palce dygotały pod ciężarem ciała, buty szorowały histerycznie o beton.

– Keith, nie dam rady! – wrzasnął, choć dowódca był tuż

obok i patrzył na niego z potępieniem. – Ten drut... Ja tam nie wleżę! – Trzeba porozcinać drut, żeby zrobić więcej miejsca – ocenił Chris Hood. – Ja tam wejdę. Mam nożyce do cięcia metalu. Steve, złaż i daj mi drabinkę!

Steve z ulgą odczepił się od muru i zasapany opadł na trawę.

Akcja w wykonaniu Chrisa przebiegła znacznie sprawniej. Hood ponacinał zwoje drutu i odgiął je na boki. W ten sposób powstał otwór, przez który można było się przedostać na drugą stronę ogrodzenia. Na koniec, Chris spuścił sznurową drabinkę, po której wdrapali się pozostali zwiadowcy. Jeden po drugim zeskoczyli w bagna po drugiej stronie muru.

– Auu!! – zawył Dave, padając na czworaki w grząską trawę.

Wielki plecak przygniół go do ziemi i Dave wyglądał teraz jak żółw schowany w pancerzu.

– Auu!! – powtórzył, gdyż nikt nie zwrócił uwagi na jego pierwszy okrzyk.

– Nie wydzieraj się, do diabła! – skarcił go dowódca. – Właśnie wylądowaliśmy na terytorium wroga!

Dave podniósł na Wooda swe cierpiące oblicze.

– Keith, ja... dostałem łopatą po głowie! – stęknął.

– Bzdury! – zgromił go Wood. – Nie widziałem tu żadnych typów z łopatami. Wstawaj, ale już!

Dave nie posłuchał rozkazu. Wsunął dłoń pod plecak, który przysłaniał mu głowę i drżącą dłonią namacał ciemię.

– To ten szpadel... – jęknął. – Mam szpadel w plecaku...

– Na cholere był ci szpadel – mruknął nieuważnie Wood.

Wciągnął powietrze przez swe owłosione nozdrza, skrzywił

się i warknął oskarżycielsko:

– Kto ma czelność wyżerać zapasy?! Czuję wędzoną szynkę!

Wielki Rob stropił się i schował za plecami nadgryzioną kanapkę.

– Nie żryj mi tu, bo sprowadzisz na nas zwierzynę!

– Musiałem się posilić... przed dalszą aktywnością fizyczną.

– To nie jest czas i miejsce na piknik!

Rob pośpiesznie upchał resztę kanapki do ust. Wood wyciągnął lornetkę i przez chwilę studiował zamglony pejzaż.

– Chłopaki – rzekł w końcu – czeka nas przeprawa przez bagna. Kije w dłoń i jazda za mną!

– Nie czekamy na Toma?

– Tom odpadł na zaplecze. Jak będzie gotów wrócić na front, da nam znać.

– Lepiej rozpoznać teren, zanim zapadnie zmrok – zgodzili się zwiadowcy.

Przed nimi rozpościerały się moczary, otulone płachtą z gęstej mgły. Nad ich głowami zbiły się niskie, ciemne chmury. Krajobraz przypominał znaną na strychu, starą fotografię: był rozmyty, bez kolorów i świateł, zdominowany przez sepię i szarości.

– Oddział za mną! – zakomenderował Wood. – Pamiętajcie: nie znamy tych bagien, więc musimy zachować ostrożność. Każdy nieprzemyślany krok może nas zgubić.

Zacisnęli dłonie na swych kijach i wtargnęli w głąb moczarów. Początkowo brnęli przez płytkie wody, całkiem niegroźne dla kogoś, kto ma na sobie spodnie rybackie sięgające pach. Mijali grząskie wyspy pokryte długą trawą

i mchem.

- Tfu, cuchnie zgnilizną! - skrzywił się Len Hobbs, zamykający pochód.

- Śmierdzi torfem. Rozkładająca się roślinność cuchnie nie gorzej jak padlina.

- A tak swoją drogą, pewnie sporo zwierza potopiło się w tych bagnach.

- Ćśśś! Słyszycie?... - Wood przystanął i zastygł z dłonią przyłożoną do ucha.

Nad mokradłami przetoczyła się fala chrapliwych ryków.

- Co to było?!

Kilku zwiadowców pospiesznie chwyciło za kniejówki. Wood uniósł do oczu lornetkę i w skupieniu lustrował mgłę.

- Wiedziałem - mruknął. - Czają się gdzieś tu, na tych mokradłach...

- Kto taki?

- Bestie. Bestie, o których mówił Adler.- Te same, które zagryzły Ailith Love?

- I ją, i Bóg jeden wie, kogo jeszcze...

Zwiadowcy popatrzyli po sobie niepewnie. Z powątpiewaniem potrząsnęli bronią.

- I jak do takich mierzyć we mgle? Trudno będzie ocenić odległość...

- A co, jeśli to nie żadne tam bestie, tylko zwykłe bydło? - rzucił wojowniczo Dave.

Był zły, bo nie dość, że zdzielił go po głowie jego własny szpadel, to jeszcze w grzęzawisku postradał trochę sprzętu: przepadł GPS, szpanerskie okulary balistyczne i komplet zapasowych baterii. Do diabła, przepadła nawet busola!

- Jakie tam było – warknął lekceważąco Wood. – To nie farma, tylko torfowisko! Ruszamy, chłopaki.

Poszedł przodem, co rusz rzucając przez ramię następujące komendy: trzymać broń w pogotowiu, stąpać uważnie, nasłuchiwać.

Ryki ustały, na grzęzawisko opadła cisza. Zwiadowcy brnęli przez coraz wyższe wody i mgłę. Mgła była tak gęsta, że każdy z nich widział jedynie plecy najbliższego kompana.

- Chłopaki – mówił Wood przez radio. – Na przedzie woda sięga już po pas. Niewykluczone, że trzeba będzie zmienić kierunek. Len, jak tam tyły?

Po chwili wołał:

- Odbijamy na zachód! Na zachód, kto nie chce iść na dno!

Zachodni brzeg mokradeł nie był dużo lepszy. Gdyby w oddziale był Filipińczyk, z wody wystawałby mu tylko kapelusz.

- Gdzieś tam dalej musi być stały ląd – upierał się Wood. – Ten ryk, który słyszeliśmy, nie należał przecież do krokodyla!

Trudno było ustalić właściwy kierunek dalszej wędrówki. Widoczność była kiepska, a głębokość wody zupełnie nieprzewidywalna. Zwiadowcy złamali szyk i brnęli chaotycznie to w tę, to w inną stronę, rozcinając piersią mętną taflę i szuwary. Ktoś zaplątał się w podwodne pędy i zanurkował w galaretowatej toni.

Słyszając plusk, ktoś inny spanikował i wrzasnął przez radio:

- Oddział idzie na dno! Ratuj się, kto może!

We mgle dało się słyszeć pluski i przekleństwa. Wood bezskutecznie nawoływał do ponownego sformowania szyku.

Dave wynurzył głowę z topieli.

- Dowódczo, melduję, że tonę! - zawołał histerycznie.

- Toniesz, boś za dużo sprzętu pozabierał! - rozeźlił się Wood. - Zrzuć kamizelkę taktyczną i wszystko, coś do niej upakował.

To rozkaz!

Dave zamilkł. Ktoś inny tymczasem zawołał panicznie:

- Coś jest w wodzie! - A potem powtórzył to samo przez radio.

- Co jest w wodzie?! - ryknął Wood. - Nic nie widzę - mamrotał do siebie, podenerwowany. - Nie widzę moich ludzi!

Przystanął w szerokim rozkroku, woda pomknęła w bok pomiędzy jego udami. Zmarszczył brwi, zmrużył oczy i spróbował wypatrzyć cokolwiek w gęstwinie snujących się wokół oparów.

Coś trąciło go w nogę. Chciał odskoczyć na bok, lecz toń stawiała opór. Jego nogi splątały się i zakleszczyły wokół czegoś twardego. Z trudem utrzymał równowagę, serce mu podskoczyło, a potem zaczęło bić nierównym rytmem. Niedobrze. W jego wieku takie przygody w bajorze mogły się skończyć zawałem. Po sześćdziesiątce bezpieczne są tylko spacerzy z psem i tai chi.

- Keith - usłyszał w głośniku - tu Graham. Znalazłem ludzką głowę. Odbiór.

Wood pomyślał, że się przesłyszał.

- Keith, słyszysz mnie? Znalazłem głowę. Ludzką. Odbiór.

- Tu Keith. Chcesz mi powiedzieć, że tak po prostu wyjąłeś z wody ludzki łeb?! Odbiór.

- Sam wypłynął nagle na powierzchnię. Aha, głowa jest przytwierdzona do tułowia. Wszystko jest bardzo małe.

Skurczone i jakby zwęglone. To chyba było dziecko... Brakuje tylko nóg. Tak mi się wydaje. Odbiór.

Wood westchnął ciężko, gdyż naraz doznał ponurego olśnienia. Zanurzył rękę w toni i sięgnął między uda.

– Keith, mamy tu głowę i tułów dziecka – forsował Graham.

– Beznogą mumię. Odbiór.

– Słyszę! No cóż. Chyba znalazłem resztę: nogi... Bez odbioru. Dowódca przyjrzał się swemu znalezisku.

Było czarne i zmarszczone niczym skóra słonia. Ociekało brudną wodą. Kształt nie pozostawiał jednak żadnych wątpliwości.

Były to nogi małego człowieka: zgięte w kolanach, cienkie, wychudłe jak u skazańców głodzonych na śmierć.

Woodowi przypomniała się nagle mała Penny Browne. Penny urodziła się w Angel Cottage, tej błękitnej chatce krytej grubą strzechą. Mieszkała tam przez trzy lata, zanim nagle zniknęła w niewyjaśnionych okolicznościach. To było w latach osiemdziesiątych. Poszukiwania policyjne trwały wiele tygodni i zakończyły się fiaskiem. Wolontariusze z Pelham i Plumpton na własną rękę przeczesywali okoliczne pola. Na teren wojskowy nikt nie miał wstępu.

Lecz czy to możliwe, aby ta mumia była małą Penny?... Przez lata zakopana w torfie, teraz wypłynęła im na spotkanie... Dlaczego właśnie teraz? Czy to ich kije wzburzyły torf, czy to ich kroki zbełtały mętną topiel, oswobadzając zmumifikowane zwłoki?...

Zarządził zbiórkę, lecz oddział tak się rozproszył, że we wskazanym, niezbyt zresztą precyzyjnie, miejscu pośród bajora stawiła się tylko garstka zwiadowców. Część pozostałych odpowiadała na sygnały, inni złowieszczo milczeli.

Graham Ferrett, który znalazł zwłoki, postulował, by przerwano ekspedycję.

– Znaleźliśmy Dziecko z Torfu, Keith. Tak je nazwałem. Uważam, że to wielkie odkrycie. Sądzę też, że należy poinformować o tym policję.

Wood ani myślał się wycofać.

– Jesteśmy dopiero na początku drogi, Graham. Nie możemy zawracać już teraz. Pomyśl, ile torfowych dzieci możemy jeszcze odnaleźć! Te bagna są przecież olbrzymie!

Powyższy argument nie przemówił do Ferretta. On i bracia Williams, którzy dzierżyli mumię na noszach skleconych z kijów, postanowili zawrócić do Pelham. Wood ofiarował im nogi Dziecka z Torfu i w zamian zażądał, by się wstrzymali z wzywaniem służb do zakończenia ekspedycji.

Tym sposobem, z trzynastu mniej lub bardziej dzielnych zawodników pozostało ośmiu. Dowódca szczególnie ubolewał nad utratą braci Williams. Byli oni wybornymi strzelcami, w przeciwieństwie do reszty amatorów w oddziale.

Wood westchnął i splunął do bajora. Spieniona ślina utknęła w oblepiającym tafłę kożuchu z glonów.

– Dobra, to kogo nam tu brakuje? – rzekł i potoczył wzrokiem po szeregowcach, którzy stawili się na zbiórce. – Widzę pięciu ludzi, a powinno być siedmiu.

W tym momencie usłyszeli trzask w krótkofalówkach.

– Tu Steve – odezwał się znajomy głos. – Chyba mamy problem.

Wood ściągnął brwi i warknął:

– Tu dowódca. Co znowu?!

– Chodzi o Dave'a. Ugrzązł w bagnie. Nie dam rady go sam

wyciągnąć. Potrzebuję pomocy teamu.

– Gdzie jesteście? Nie widać was w tej pieprzonej mgle.

Steve rzucił jakieś mętne koordynaty.

– Pośpieszcie się – dodał nagląco. – Jeszcze chwila, a wessie go w całości!

– Nie szpieguję dla mojego ojca! – warknął Adler.

Zacisnął brudne dłonie i zadrżał ze złości, a może i z zimna – od marmurowej posadzki bił dotkliwy chłód. W całej sali było mroźno niczym w przemysłowej chłodni.

Młody Bazin niedbałym krokiem podszedł do stołu, przy którym zasiadał jego ojciec. Oparł się o blat i demonstracyjnie skrzyżował ramiona. Wbił swój dziki, świdrujący wzrok w Adlera i przygryzł wargę, by choć trochę poskromić drwiący uśmiech.

Nie wierzyli mu, to było jasne.

– Po co miałbym szpiegować dla ojca? – zastanowił się szczerze Adler. – Nie wiem, czym się zajmuje. Nie interesują mnie jego sprawy. Tak jak jego nie obchodzą moje – dorzucił gorzko.

Roman Bazin zmrużył oczy i z zastanowieniem przyjrzał się swojemu jeńcowi.

– Interesujące – rzucił lekko. – Christian Forbes, wybitny student nauk zoologicznych, nie ma pojęcia, czym zajmuje się jego ojciec, niegdyś równie wybitny zoolog. Co więcej, wcale go to nie interesuje...

Adler wzruszył ramionami.

– Taka jest prawda – powiedział po prostu. – Nic mnie nie łączy z ojcem. Nic! Poza chromosomem Y [\[114\]](#). Zbieżność naszych zainteresowań naukowych jest zupełnie

przypadkowa.

Bazin uśmiechnął się. A właściwie obnażył zęby i zmarszczył nos, w efekcie czego uniosły mu się kąciki ust.

– Jeśli był pan na spotkaniu w Ratuszu, dobrze pan wie, że przyjechałem tu na zaproszenie sir George’a Wyatta – ciągnął Adler.

– Tak... coś mi się obilo o uszy.

– I jak pan zauważył, nie rozumiem po rosyjsku. Po co komu taki szpieg?

– Istotnie.

Adlerowi nagle przyszło coś do głowy. Zaryzykował.

– A może to pan jest szpiegiem? – zaatakował. – Pan doskonale mówi po angielsku. A na spotkaniu w Ratuszu pojawił się pan incognito i nie odezwał ani słowem! Jak pan wytłumaczy pańską tutejszą działalność? Te wszystkie laboratoria i...

– Dosyć! – przerwał mu Bazin. – Za dużo mówisz. Za dużo i nie na temat. Nie o mnie teraz mowa.

– Nie szpieguję dla mojego ojca – powtórzył uparcie Adler.

Bazin w milczeniu odkręcił kranik samowaru i dopełnił wrzątkiem szklankę z czarną esencją.

– Mój syn pija samą esencję – wyznał. – Paskudztwo!

Adlera w najmniejszym stopniu nie obchodziły upodobania kulinarne kłusownika. Zapach aromatycznej herbaty uświadomił mu, jak bardzo był spragniony. Nie pił nic od wyjścia z domu, a od tego czasu minęło już wiele godzin.

Bazin posłodził swój cejloński napój i siorbnął ze smakiem.

Przez chwilę przyglądał się z namysłem Adlerowi.

– Czy słyszałeś o bestiach z Kilamby? – spytał znienacka.

W pierwszej chwili Adler myślał, że się przesłyszał. Z ust Rosjanina padło pytanie, które on sam zadał swojemu ojcu, gdy się spotkali tej jesieni nad Loch Mòr.

Zachodni świat nie interesował się specjalnie najnowszymi wydarzeniami z Angoli. Wojna domowa się skończyła, rząd próbował podźwignąć kraj z ruiny. Nudy. Lepiej było przerzucić kamery w inne części Czarnego Lądu – tam, gdzie coś się działo. Cokolwiek: konflikty zbrojne, porwania białych, przekręty koncernów farmaceutycznych... Ewentualnie, stare i sprawdzone: głód i bieda.

Wzmianka o tajemniczych zbrodniach w angolskim mieście-widmie, Kilambie, wyciekła do mediów całkiem przypadkowo. Władze zareagowały szybko, aby uciszyć niechciany rozgłos. Wypuszczono parę propagandowych historyjek o rzekomych praktykach oszalałych szamanów, domagających się krwawej ofiary. Wspomniano też o formującym się w nowym mieście gangu, a także o nękających obrzeża Kilamby sforach dzikich psów. Serię zakończono zwycięskim komunikatem o tym, iż szamani zostali wyłapani co do jednego, podobnie rzecz się ma z członkami gangu, zaś psy zostały rozstrzelane przez odpowiednią straż. Krótko mówiąc, było nieciekawie, ale nie ma się już czego obawiać.

Adler nie wierzył w tę oficjalną wersję. Zaintrygowały go zeznania świadków, którzy mówili o watahach dzikich, tajemniczych bestii, grasujących w na wpół opustoszałym, betonowym kanionie. *Monstros gigantes. Terríveis monstros cinzentos.*

Skinął głową.

- Słyszałem o zagadkowych zbrodniach w Kilambie – rzekł.
- Nad sprawą nie pochylił się nikt prócz garstki blogerów

i BBC World, które wypuściło krótki reportaż radiowy.

- Tak - rzekł z namysłem Bazin. - Świat nie przygląda się tego typu historiom. Dla świata takie historie to co najwyżej chwilowa sensacja i tyle. Tymczasem podobne incydenty miały miejsce ostatnio także w innych częściach Afryki. Słyszałeś może o masakrze w północnej Nigerii?

Adler pokręcił przecząco głową.

- Ha! Możliwe, że ta sprawa nie trafiła do mediów - zadumał się Bazin.

Adler przyjrzał mu się badawczo.

- W takim razie skąd pan o niej wie? - spytał.

Bazin rozciągnął usta w chytrym uśmiechu.

- Że tak powiem, muszę śledzić, co się dzieje na rynku. Od tego zależy sukces mojego biznesu.

- O jakim rynku mowa?

Rosjanin zignorował pytanie.

- Dziwi mnie, że syn Forbesa nie orientuje się w tych sprawach - rzekł. - Może bliższe ci będą historie z twojego podwórka - ze Szkocji. Bodaj przed paroma tygodniami było głośno o wypadku autokaru w Glen Coe... - zerknął pytająco na Adlera.

- Słyszałem o tym wypadku - odparł chłopak.

- To był dziwny incydent - stwierdził Bazin, bawiąc się łyżeczką do herbaty. - Mówi się, że za tragedię odpowiadają niezidentyfikowane zwierzęta. Miejscowi pokazują palcem na pewną farmę w górach... - Bazin zawiesił głos i znów łypnął na Adlera.

Adler milczał. Nie był pewien, do czego zmierza jego rozmówca.

Rosjanin z rozbawieniem pokręcił głową.

– *Każetsia, on diejstwitelno nie w kursie* – rzucił do swoich ludzi. – Ty chyba naprawdę nic nie wiesz – zwrócił się do Adlera. – Albo tak dobrze udajesz. Ale nie... Widzę pustkę w twoich pięknych oczach – parsknął szyderczo.

Adler poczuł, że jego serce znów przyspiesza. Nie miał pojęcia, o czym mówił Bazin. Czuł jednak, że coś tu jest nie w porządku. Czuł, że jest jakaś sprawa, o której powinien wiedzieć, jakiś sekret, z którego powinien sobie zdawać sprawę...

– Naprawdę nie sądziłem, że Forbes aż tak zaniedba własnego syna! – upajał się tymczasem Bazin. Pochylił się nad stołem i spytał z teatralnym zdumieniem: – On ci naprawdę niczego nie powiedział?... A to głupiec! Żeby zmarnować taki potencjał... Gdyby mój syn miał takie zdolności intelektualne – zaczął i natychmiast się poprawił: – Gdyby mój syn miał jakiegokolwiek zdolności intelektualne... – Urwał, przygryzł wargę i pokręcił głową.

Adler wolał w tym momencie nie patrzeć na Jegora.

– Jest on, niewątpliwie, świetnym łowcą – ciągnął Bazin. – Lecz nie nadaje się do tego, by dyrygować eksperymentami transgenicznymi. – Bazin z łoskotem odłożył łyżeczkę na stół. – Postanowiłem dać mu szansę, bo sam w młodości, jak to się mówi, do orłów nie należałem. Zapisałem go zatem na wykłady z genetyki, wybrałem uniwersytet rolniczy w Krasnojarsku. Bardzo szacowna instytucja [\[115\]](#) – wyjaśnił Adlerowi, który nigdy nie słyszał o tej placówce.

Jegor poruszył się nerwowo. Jego ojciec kontynuował tyradę, znęcając się nad chłopakiem z wyraźnym upodobaniem.

- Dałem mu taką szansę! Studia w Krasnojarsku, jednym z największych miast Syberii! Ja w jego wieku mogłem tylko marzyć o takich perspektywach... Kiedy miałem tyle lat, co mój Jegor, włączyłem się po syberyjskiej tajdze – wyjaśnił. – W dzikich borach i na górskich przełęczach spotykałem innych awanturników i kłusowników. Z dwoma połączyła mnie szczególna więź.

To miała być przyjaźń na lata. Stało się jednak inaczej... Adler słuchał uważnie, mimowolnie zaintrygowany.

- Razem wtargnęliśmy w sekretny świat. Świat tajemniczych bestii. Przyznaję, wówczas jeszcze nie wiedziałem, jaki potencjał kryje się w tym świecie. Byłem tylko prostym kłusownikiem, interesowały mnie głównie trofea. Twój ojciec natomiast – rzekł z mocą, patrząc na Adlera – był większym wizjonerem.

- Mój ojciec?... – wyszeptał zdumiony chłopak.

- Aaron Emerson Forbes. Ja znałem go wówczas pod imieniem Emerson. Tak się przedstawiał: Emerson – brytyjski łowca, miłośnik prymitywnej broni łowieckiej. Doskonale mówił po rosyjsku. Dopiero później domyśliłem się, że był kimś więcej niż tylko kłusownikiem. Za późno to odgadłem...

Bazin zamilkł. Adler i Jegor wpatrywali się w niego z napięciem. Obydwaj dziś po raz pierwszy usłyszeli tę historię.

Gdy Bazin przemówił ponownie, jego głos był zmieniony, twarz – sposepniała.

- Polowaliśmy razem na baobary – rzekł i nostalgicznie pociągnął nosem.

- Na co?... – zapytał Adler.

- Na baobary. Legendarne potwory z Kraju Nadmorskiego.

Łowy nie były udane. Wytropiliśmy w końcu jedną sztukę, lecz gdy ją podeszliśmy... okazało się, że w górach Sichote-Aliń mieszkają też inne stwory... O wiele potężniejsze niż dziki baobar. Okazało się również, że jeden z naszej trójki jest szują, podstępna swołoczą.

– Mój ojciec?... – zapytał cicho Adler i spuścił głowę.

Bazin popatrzył na niego niewidzącym wzrokiem.

– Nie... nie twój ojciec. To był pewien Chińczyk. Osobiście nigdy mu nie ufałem, lecz twój ojciec miał o nim odmienne zdanie.

– Gdzie jest teraz ten Chińczyk? – spytał Adler.

Bazin potarł twarz szeroką dłonią i znów podniósł oczy na chłopaka.

– Czy nie powinno cię bardziej interesować, gdzie jest teraz twój ojciec i czym się tak naprawdę zajmuje?

Keith Wood i jego oddział ruszyli z misją ratunkową. Ich przyjaciel Dave wpadł w pułapkę na zamglonych moczarach i tonął w bagiennej brei.

– Jest tam – wskazał Steve, który czekał w pobliżu miejsca tragedii.

Zobaczyli Dave'a, a właściwie tylko jego zmartwiałe popiersie, wystające ponad tafłę czarnego kisielu.

– Chcieliśmy wyjść z głębokiej wody – wyjaśnił Steve. – Odbiliśmy nieco na północ i poziom wody faktycznie się obniżył. Doszliśmy w to miejsce i tu zastało nas jedynie błoto. Z początku dość sprawnie brnęliśmy przez muł, ale wkrótce zaczęliśmy się zapadać po kolana i głębiej. Ja się ledwo wycofałem, gdy błoto sięgało mi już po uda. Dave zapadł się jeszcze głębiej, a potem spanikował i zaczął wykonywać gwałtowne ruchy. Z każdym ruchem zapadał się coraz głębiej

i głębiej. Mówię ci, Keith, to było przerażające!

– Wierzę – mruknął Wood i z namysłem przejechał szorstką dłońią po nieogolonej szczęce. – Czemu on nic nie gada? – zapytał, skinąwszy w stronę Dave'a. – Gapi się tylko na nas jak jaka niemota...

Nieszczęśnik tkwił z twarzą zastygłą w wyrazie przerażenia. Miał wytrzeszczone oczy i obnażone zęby. Wyglądał groteskowo jak szczerzący się szyderczo krasnal ogrodowy.

– Kazałem mu się nie ruszać. I nie odzywać. Żeby nie tracił niepotrzebnie energii – wyjaśnił Steve. – Ale i tak stopniowo się zapada – dodał cicho. – Mówię wam, jeszcze kilka minut, a zadusi się na naszych oczach...

– Sytuacja przedstawia się niedobrze – zaczął ponuro Wood.

– Słuchajcie, ja mam linę! – przerwał mu Chris Hood. – Osiem metrów. Trochę krótka, ale może starczy... – Pospiesznie zdjął plecak, by odzepić przytroczony zwój.

– Ja też zabrałem linę – oznajmił triumfalnie Tim Browne. – Piętnaście metrów!

– Musi starczyć – zdecydował Wood. – Jak nie, to połączymy obie liny. Spróbujmy najpierw z twoją, Tim.

Browne zaczął rozwijać linę. Śpieszył się, z nerwów drżały mu palce.

– Słuchaj, Dave, wyciągniemy cię z tego – zagrzmiął Wood. – Ale musisz z nami współpracować.

Dave zamrugał gorączkowo powiekami. Jego twarz ociekała potem.

– Musisz wyciągnąć ręce, synu! – przykazał mu Wood. – Wiem, to nie będzie łatwe – dodał na widok miny biedaka. –

Ten czarny syf jest cholernie gęsty. Musisz jednak spróbować. Gdy wystawisz ręce nad powierzchnię, odzyskasz kontrolę i możliwość manewru. Rzucimy ci linę i pomożemy stamtąd wyleźć.

– Tylko pamiętaj: żadnych gwałtownych ruchów! – krzyknął Steve. – Spokojnie, bez paniki – przykazał i przygryzł nerwowo kciuka. – Jesteśmy z tobą! – zawołał krzepiąco stary Buckland.

– Na szczęście, tylko w metaforycznym sensie – mruknął wielki Rob.

Dave zebrał się w sobie, zacisnął zęby i spróbował dźwignąć łokcie, przywalone litrami ciężkiej, półpłynnej masy. Nie udało się, podstępna siła pchnęła go jeszcze bardziej w głąb bagna.

– Zbyt gwałtownie! – ryknął karcąco Wood.

– Pójdzie na dno... – pokręcił głową Rob.

W oczach Steve'a zaszklily się łzy.

– Dave był moim najlepszym przyjacielem... – zaczął.

– Wstrzymaj się jeszcze z mową pogrzebową – przerwał mu Wood. – Patrz, zaraz przyplynie do nas kraulem!

I rzeczywiście, Dave podjął kolejną próbę i tym razem udało mu się wyrzucić ramiona ponad powierzchnię grzęzawiska.

– Prędko, lina! – zakomenderował Wood.

Tim zrobił pętlę na końcu liny i wyrzucił ją niczym lasso w kierunku tonącego. Nie trafił.

– O, psia mać! – krzyknęła zmartwiona drużyna.

– To wszystko przez tą mgłę – poskarżył się Browne. – Nie widać dokładnie celu...

Zgarnęli linę z powrotem. Sznur upaprał się w ciemnej mazi.

- Chris, ty zarzuć pętlę - zdecydował Wood. - Tim, z ciebie, bracie, jest główniane sokole oko. A od tego rzutu zależy życie naszego kamrata.

Chris stanął na wysokości zadania: zakręcił w powietrzu liną i zarzucił ją jak wprawny kowboj. Pętla opadła na ramiona Dave'a.

- Brawo, Chris! Chłopaki, ciągniemy za linę! Tylko powoli, żeby nie zadusić biedaka.

Dave zacisnął dłonie na sznurze i popłynął przez maziste błota, spętany niczym cielak podczas popisów rodeo.

- Wolniej! - chrypiał. - Nie mogę złapać tchu...

- Stop! - grzmiał Wood. - Dajcie mu zaczerpnąć powietrza! Dave, spróbuj się przewrócić na plecy, inaczej co chwila będziesz nurkował głową w błocie...

Zasapani i zgrzani, wyciągnęli go wreszcie na płyciznę. Dave dyszał ciężko, kompletnie wyczerpany. Oswobodzili go z pętli i ściągnęli z niego ubłoconą kamizelkę i bluzę. Nie od razu odkryli, iż wraz z odratowanym topielcem na płyciznę wypłynęło coś jeszcze.

Pierwszy zorientował się Len Hobbs.

- Chłopaki, chyba mamy trupa! - wrzasnął.

- Ejże, jakiego tam trupa - zaprotestował stary Buckland. - Przecie widzę, że dyszy! - Dla pewności łypnął raz jeszcze na Dave'a. W porządku, dyszał.

- Nie mówię o nim. Patrzcie tutaj! - Len uniósł zwój umazanej błotem liny, odsłaniając zaplątane węń znalezisko. - Trup, jak Boga kocham!

Spojrzeli, gdzie im kazał. Ujrzeli kanciasty kształt, obklejony grubą warstwą brunatnego mułu.

– Cóż to, u diabła? – chciał wiedzieć Wood. – Wygląda jak rozwarty sekator.

– To łeb jakiegoś zwierza – stwierdził Rob. – Widzicie? Tu są szczęki. – Przejechał dłonią po grzbiecie znaleziska, zrzucając z niego grudy błota.

Ich oczom ukazał się podłużny pysk. Szeroko rozwarty, zastygły w bezgłośnym ryku.

– A niech mnie, krokodyl! – huknął z niedowierzaniem Wood.

Pozostali otoczyli paszczę i przyglądali się jej z przekrzywionymi na bok głowami.

– Keith, słuchaj, a może to dinozaur?... – ożywił się Chris.

– Skąd on się tu wziął? – zastanawiał się Tim.

– Pewno utopił się w bagnie.

– Nie, miałem na myśli: skąd w ogóle wziął się krokodyl na mokradłach w Pelham?...

– To dobre pytanie, bracie – rzekł dowódca. – I chyba wszyscy znamy na nie odpowiedź... – Wood skinął znacząco w stronę niewidzialnego Zamku, ukrytego w tumanie tańczących oparów. Dave stęknął i spróbował podnieść się z mułu.

Steve i Rob wyciągnęli ku niemu dłonie. Reszta oddziału już zapomniała o wyłowionym z bagna druhu.

– Jeśli to prawda, że ten krokodyl wylazł z Zamku, w moczarach może siedzieć więcej takiej gadziny – zauważył Buckland.

Wood zatarł ręce i rzekł z zapalem:

– A to oznacza, chłopaki, że jeszcze dzisiaj zapolujemy na krokodyle! Nie wiem, jak wy, ale ja sobie nie odmówię

trofeum z afrykańskiej bestii.

Dave wydał umazane breją policzki.

– Ja się nie piszę na te łowy, Keith – oświadczył z dąsem w głosie.

– A to niby czemu? – zdumiał się dowódca.

Dave prychnął i otrzepał się jak pies. Na wszystkie strony strzeliły grudy błota.

– Keith, o mały włos nie pochłonęło mnie bagno – przypomniał. – Otarłem się o śmierć! Omal nie zadusił mnie zimny muł, poniosłem straszne straty w sprzęcie... Dość już mam przygód na dziś. Wood nie zdążył nawet zripostować.

– Ja też się wycofuję, Keith – rzucił pośpiesznie Steve. Nie patrzył na dowódcę, lecz wbijał wzrok w paszczę gada, jakby to z nią prowadził konwersację. – To nie był dobry pomysł, by przemierzać te moczary na dziko. Nie mamy mapy, nie znamy terenu, a tu jest niebezpiecznie. Mało ci ludzkich zwłok i zwierzęcych szczątków?... Zaraz nadejdzie zmrok, a wtedy ugrzęźniemy tu na amen. Potopimy się w bagnach, zanim dotrzemy na Zamek.

Steve umilkł, zapadła cisza. Złowieszcze słowa prawdy wirowały w przesyconym nieprzyjemną wilgocią powietrzu.

Zwiadowcy pospuszczali głowy i zaczęli chlupać bezmyślnie gumowcami w galaretowatej brei. Wood zacisnął szczęki i nasrożył brwi. Spoglądał gdzieś w dal, milcząc uparcie.

Wtedy nagle z głębi spowitych szarą mgłą moczarów dobiegły przytłumione ryki.

– To znowu one – wyszeptał chrypliwie Wood. – Bestie z Zamku... – Wyprostował się, jego oczy rozbłysły drapieżnie. – Cox, Farrell! – skinął na Dave'a i Steve'a. – Jeśli o mnie chodzi, możecie odmaszerować precz. Ja nikogo na siłę nie

będę zatrzymywać. To trudna misja i nie sposób przewidzieć ani jej przebiegu, ani tym bardziej finału. Jedno mogę powiedzieć: nie raz pewnie jeszcze przyjdzie nam zamoczyć portki w błocie. Nie raz przyjdzie stawić czoła nurzającej się w torfie padlinie. Nie znamy terenu i nie posiadamy mapy. Jesteśmy oddziałem zwiadowców – eksplorujemy ziemie nieznane.

Dowódca zrobił krótką przerwę. Splunął, poprawił broń na ramieniu, po czym zacisnął dłoń na splekanym kiju.

– Ja maszeruję dalej – oświadczył z mocą. – Jak będzie trzeba, to w pojedynkę rozwalę łeb krokodylowi i sam zapukam do wrót Zamku.

– Keith, nie jesteś sam! – zawołał Chris. – Ja idę z tobą!

– I ja! – krzyknęli jednocześnie Len, Tim i wielki Rob.

– No i ja przecie – dorzucił ciepło stary Buckland.

– Reszta niech idzie precz – burknął Wood i zamaszystym krokiem ruszył przez grzęzawisko.

Za nim podążył zdziesiątkowany oddział.

Po drodze Wood podjął próby, by uzupełnić braki w ludziach, lecz ani Tom, ani Adler nie odpowiadali na wysyłane sygnały. Zwiadowcy brnęli więc w szóstkę przez mgłę i zarośnięte wody. Zmierzali na północny wschód, gdyż stamtąd właśnie co jakiś czas dobiegały odgłosy dzikiej zwierzyny.

– Jeśli który z was zobaczy krokodyla, niech mu z miejsca pakuje kulę w mózg! – rozkazał Wood. – To dzika bestia, z taką nie ma żartów. Jak padnie, pokroimy go na poręczniejsze ćwiartki.

Krokodyłów nigdzie jednak nie było widać. Może spały, przyczajone w mętnej toni.

Zwiadowcy niestrudzenie parli naprzód. Mijali kępy burego sitowia, mijali obklejone mchem pnie i obumarłą krzewinę. Pod kożuchem z glonów i uschniętych liści odkrywali kolejne szczątki zwierząt. Najczęściej była to drobnica w postaci wydry, lisa, ptactwa wodnego tudzież błotnej sowy. Miejscami trafiały się jednakże kości pokaźniejszych rozmiarów.

– Co to może być? – mruknął Tim, dokonawszy połowu jednej z takich kości.

– Spory gnat – ocenił Wood. – Długi, wygięty. Wygląda, jak zebro wyszarpane z piersi.

– Pytanie: czyjej?

– Może krokodyla?

Tim przetarł kość i przytroczył ją sobie do plecaka jak trofeum. Ruszyli dalej.

Powoli zmierzchało. Tylko mgła jaśniała teraz bladym, tajemniczym światłem. Woda wsiąkała w grunt i bagienne trawy. Pod stopami maszerującego oddziału kładły się masy mułu, poorane długimi bruzdami.

– Co to za ślady? – mruknął Len. – Przedziwne jakieś. Jakby przez muł czołgało się ciężkie, obłe cielsko.

Towarzysze podrapali się po głowie.

– Krokodyl? – padła nieśmiała sugestia.

– Dajcie spokój z tym krokodylem! – obruszył się Len. – Mnie to bardziej przypomina ślady węża.

– Chyba anakondy! – prychnął Wood. – Taki wąż musiałby mieć z piętnaście cali średnicy. I obwód długości jarda!

Wielki Rob zarechotał.

– Taki obwód to ma moje udo – stwierdził.

– To nie jest śmieszne, Rob – odparł z powagą Len. – Nie

podobają mi się te ślady. Jeśli zostawiło je zwierzę, musiało być poważnych rozmiarów.

– Hmm, ślady wyglądają na świeże – zauważył Buckland. – Ale równie dobrze mogła je wydrążyć woda...

– Nie będziemy ich teraz studiować – burknął Wood. – Ewidentnie nie są to tropy grubego zwierza. A ryki, które słyszeliśmy, mógł wydać tylko takowy. Zastanawia mnie, dlaczego nigdzie tutaj nie ma śladów tych bestii. Żadnych tropów w mule, żadnych oznak żerowania... A przecież czają się gdzieś w pobliżu. Co rusz słyszę ich chrapliwe nawoływania. Czuję ich zapach, miesza się z zapachem torfu.

Buckland pokiwał w zadumie głową.

– Adler twierdził, że te bestie są niezwykle agresywne – rzekł. – Czemu więc od nas stronią? Dlaczego nie bronią swojego terytorium? W noc Halloween nie bały się wtargnąć między tłum...

– Nie wiemy, czy to te same bestie – zauważył rozsądnie Len. – Tamtych ze Wzgórza nikt prócz Adlera nie widział. A ryki znad moczarów, które teraz niesie wiatr, nie są charakterystyczne. Takie odgłosy może wydawać dowolny zwierz.

– Pora ustalić jego tożsamość – rzekł twardo Wood i nasunął na skronie czołówkę. – Robi się ciemno. Ruszajmy!

Powędrowali za nim. Mimo szarówki, nie włączali jeszcze świateł, by nie płoszyć zwierzyny. Mgła utrzymywała się, rozpięta między gałęziami niczym zaklęta pajęczyna. Maszerowało się coraz sprawniej: grunt nie był już tak grząski, muł opadł, pojawiły się kępy suchej trawy.

Nagle, gdzieś całkiem blisko, rozległ się chrypliwy wrzask.

Zwiadowcy struchleli. To wył ich dowódca.

Poderwali się i pobiegli naprzód, prosto w brudny obłok mgły. Znaleźli Wooda już po paru krokach. Stary myśliwy leżał w trawie, przyciskając pięść do brzucha. W oczach miał łzy, jego twarz wykrzywiał bolesny grymas. Zza zaciśniętych zębów toczyła się piana.

– Keith, co z tobą?! – krzyknął przerażony Rob.

Padł na kolana i pochylił się nad dowódcą.

Wood zbulgotał boleśnie. Jego ludzie otoczyli go zwartym kołem.

– Co mu jest? Nie widzę krwi.

– Może miał atak?

Dowódca ryknął jak postrzelony zwierz i nagle uniósł się do pozycji siedzącej. Rozchylił spieczone wargi i wychrypiął ze złością:

– Nie dotykajcie tych prętów. – Podniósł rękę i wskazał przed siebie. – Puszczono przez nie prąd!

Obrócili głowy i zmrużyli oczy. Dostrzegli kontury stalowego parkanu, srebrzące się pośród kłębow szarej mgły.

– A niech mnie, Zamek jest podwójnie grodzony! – krzyknął zdumiony Rob.

Wood splunął długą, lepłą strugą i nasrożył brwi.

– To tam grasują bestie – warknął. – Zamknęli je jak w zoo.

Rob wyciągnął rękę, by pomóc Woodowi wstać. Dowódca odepchnął jego dłoń i podniósł się o własnych siłach. Jego oczy błyskały jak u rozjuszonego amstaffa.

– Ale wiecie, co my zrobimy? – ciągnął. – Włamiemy się do tego zoo i pootwieramy klatki!

Zwiadowcy wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Keith, czy to aby rozważne? – zapytał sceptycznie Buckland.

Wood chuchnął w poparzoną dłoń i podniósł z ziemi swój rozsypany ekwipunek.

– Jest nas sześciu – powiedział. – Każdy z nas ma broń i zapasy amunicji. Wycieczka do zoo nie powinna stanowić dla nas problemu. Poza tym, innej drogi na Zamek i tak nie ma... Pokiwali głowami, niezbyt przekonani.

Wood ściągnął z ramienia kniejówkę i postąpił naprzód.

– Chris! – zawołał przez ramię. – Wyciągaj nożyce! Między słupami jest siatka, wytniemy w niej otwór i przeleziemy do środka. Oddział, przygotować broń! Dziki zwierz nie lubi nieproszonych gości...

Bazin podniósł się od stołu i zaczął przechadzać wzdłuż obwieszanej posępными arrasami ściany. Przystanął pod wyszywaną ciemnym jedwabiem sceną, obrazującą starcie łowcy z siedmiogłową stworą. Łowca przegrał, siedem głów stwory rozszarpywało jego członki. Z zębatach pysków sterczały kikuty i czerwone wstęgi jelit.

Rosjanin założył ręce do tyłu i przez chwilę przyglądał się ponurej scenie.

– Pytałem cię o ojca, a ty milczysz – powiedział nagle, nie odwracając się do Adlera.

Adler stłumił westchnienie.

– Każdy wie, jaki los spotkał mojego ojca – rzekł głośno, dobitnie. Nie cierpiał o tym mówić. Nie znosił nawet o tym myśleć. – Każdy słyszał o jego upadku i ucieczce w dzicz.

– Upadku? – Bazin odwrócił się gwałtownie. – Sądzisz, że taki właśnie los spotkał twojego ojca?

Adler nie odpowiedział.

– Uważasz go za przegranego, bo porzucił karierę na prestiżowej uczelni i przestał wdzięczyć się w mediach, pokazując ciekawe zwierzaki? – Bazin prychnął i pokręcił głową. – Jeśli tak sądzisz, naprawdę nie wiesz nic.

Rosjanin niecierpliwym gestem zrzucił z siebie srebrne futro. Tylko jemu w całej sali zrobiło się gorąco. On jeden bowiem pił rozgrzewający napar. Reszta drżała w chłodzie bijącym od wilgotnych murów.

Futro padło na posadzkę.

– Podnieś! – rzucił ostro Bazin do swojego syna.

W oczach młodego kłusownika zapłonął nienawistny ogień. Jednakże bez słowa sprzeciwu podniósł futro ojca i po chwili namysłu narzucił je na swoje ramiona. Wyglądał teraz jak młody carewicz.

Roman Bazin przystanął tymczasem przy wypchanym piźmowole. Uniósł rękę i pociągnął zwierza za martwą, frędzlowatą brodę. Zarechotał.

Gdy odwrócił się wreszcie do Adlera, jego twarz była na powrót poważna.

– Jest w Szkocji pewna farma, ukryta w górach – rzekł. – Znajduje się gdzieś pomiędzy źródłami rzeki Spey a jeziorem Loch Mòr. Strasznie bezludna okolica. Podobno.

Na wzmiankę swych rodzinnych stron, Adler mimowolnie drgnął. Rosjanin nie spuszczał z niego badawczego wzroku.

– Farma zwie się Gobhar Farm – ciągnął. – Z tego, co wiem, w języku Szkotów *gobhar* oznacza górską kozę?

Adler wzruszył ramionami.

– Wie pan więcej niż ja – stwierdził. – Nie mówię po

gaelicku.

- Jej pełna nazwa jest trochę bardziej zagmatwana. Zapamiętałem tylko pierwszy człon, gdyż rozbawiła mnie ta koza... Nie słyszałeś nigdy o tej farmie?

- Nie.

- Mimo iż pochodzisz z tamtych stron?

Adler zmarszczył brwi. Skąd Bazin o tym wiedział? Może wciąż utrzymywał kontakty z jego ojcem?

- Nie znam każdej farmy w okolicy – odparł. – W pobliżu Loch Mòr nie ma żadnych gospodarstw. To bezludne ziemie. Nawet w Whitefalls jest tylko destylarnia whisky.

- No cóż, niewielu ludzi słyszało o Gobhar Farm. Tymczasem jest to ważny punkt na mapie sekretnego świata, o którym ci mówiłem.

- Wspominał pan o świecie bestii, jakich nie oglądało oko ludzkie.

- Tak.

- Co ma wspólnego z tym światem jakaś nikomu nieznaną farmę w Szkocji?

- Widzisz, na tej farmie nie hodują kóz. Gobhar Farm to laboratorium, w którym powstają eksperymentalne bestie. Specjalizacja jest dość wąska, zmodyfikowane zwierzęta bazują głównie na przedstawicielach rodziny psowatych. Wilki, jenoty i tak dalej. Laboratorium wypracowało sobie sporą renomę w środowisku i już od paru lat zaopatruje rynek w sprawdzone produkty. Największą popularnością wśród kupców cieszy się Dog 009, zwany też superdogiem. Dobrze sprzedają się także jego wariacje. Aktualnie Dog 009 jest testowany w Angoli, Nigerii i republikach somalijskich. Ja sam, z ciekawości, nabyłem kilka podobnych okazów. Wymagają

tresury, ciężko je okiełznać. Tak przynajmniej twierdzi mój syn, a to jemu powierzyłem opiekę nad dogami. Przyznaję, to dość niewdzięczne zadanie. Stawką jest życie tresera...

Adler milczał, wstrząśnięty.

– To były cholernie drogie psy, Forbes. Możesz więc sobie wyobrazić, że nie byłem szczęśliwy, kiedy odkryłem, że ktoś rozwalił łeb jednemu z nich. Kto? Moi ludzie twierdzą, że to byłeś ty.

Adler pamiętał ten dzień. Pamiętał chwilę, w której podjął decyzję, by rozstrzelać monstrualną bestię ścigającą krwiożerczego jelenia–mutanta.

– Wątpię, żebyś mógł mi zwrócić za ten model – ciągnął Bazin. – Jak wspominałem, taki dog sporo kosztuje. Na całe watahy stać jedynie afrykańskie rządy i dobrze ustawionych, lokalnych watażków. Oni chętnie wydają na uzbrojenie olbrzymie pieniądze. A dogi z Gobhar Farm to doskonali zabójcy. Bardziej podstępni od kałasznikowa. No bo czy można kogokolwiek obarczać winą za mord dokonany przez zwierzę?

Bazin wykrzywił wargi w mało przekonującym uśmiechu.

Zbliżył się do Adlera i popatrzył mu prosto w oczy.

– No i zgadnij, kto zarządza tą całą produkcją? Kto jest mózgiem i głównodowodzącym w laboratoriach Gobhar Farm?

Adler domyślał się odpowiedzi, lecz nie przechodziła mu ona przez gardło.

Przypomniał sobie, jak zobaczył ojca na jednej z bezludnych wysp Loch Mòr. Aaron Forbes urządził tam arenę do tresury muskularnego psa białej maści i nieznannej rasy. Pies był rozjuszony, wrywał się ze stalowego łańcucha, próbując rozszarpać tresera. Ojciec potraktował go w końcu

paralizatorem i spętał jego łeb sznurem.

W wielkim hallu zapadła cisza, którą dość szybko przerwał donośny głos strażnika. Mężczyzna rozmawiał z kimś przez radio, jego słowa łomotały echem po kamiennych ścianach. Roman Bazin skrzywił się i przywołał strażnika.

- Anglik czy *russkij*? - zapytał.

- Anglik, szefie. John Barton, szef straży - przypomniał swoją godność wartownik.

- Prowadzę tu ważną rozmowę, Barton - wyjaśnił mu Bazin. - Nie chcę słyszeć w tle żadnych zakłóceń. Nie zatrudniłem cię, żeby słuchać twojego pierdolenia. Zatrudniłem cię, żebyś grzmocił pięściami albo przywalił kulą, kiedy trzeba. Jasne?

- Tak jest, szefie. - Barton nie lubił, gdy go karcono na oczach podwładnych, toteż wyjaśnił z urażoną dumą: - To był komunikat od ochrony w centrali. Jest problem z czujnikiem w strefie Z-4. To strefa żerowania zwierzyny szczególnie niebezpiecznej - dodał na widok pustki w oczach szefa.

- A, tak. Zagroda z potworami - pokiwał głową Bazin. - Co to za problem?

- Pewnie nic takiego - musiał przyznać strażnik. - Prawdopodobnie któryś zwierz otarł się o siatkę lub próbował ją przegryźć. Możliwe też, że sam czujnik jest wadliwy...

- No dobrze, już, dobrze! - przerwał mu Bazin. - Poślij tam kogoś, niech sprawdzi, w czym problem.

- Właśnie zamierzam posłać tam Budge'a - Barton wskazał na jednego z wartowników podpierających ścianę. - Zastanawiałem się tylko, jaki wóz mu przydzielić.

- A niechże sobie weźmie choćby i czołg! - warknął

niecierpliwie Bazin.

– Naprawdę? – ożywił się Budge. – Dzięki, szefie!

– Ostatnio odratowaliśmy fajny amerykański wóz bojowy – wyjaśnił Barton. – Po tuningu jest jak nowy. Chłopaki się zabijają, żeby sięść za sterami!

Bazin odprawił Bartona niecierpliwym machnięciem dłoni. Był jak despota, jak tyran z mokradła.

– Zapewne się domyślasz – zwrócił się do Adlera – że to twój ojciec stworzył bestie z Gobhar Farm.

Adler skinął tylko głową.

Potrzebował więcej czasu, by przyswoić wszystkie zasłyszane rewelacje. By uwierzyć, że to, co usłyszał, jest prawdą i pogodzić się z faktem, że jego własny ojciec tę prawdę przed nim ukrywał.

Bazin zdawał się czytać w jego myślach. A może raczej – oczach. Bo oczy Adlera były teraz zgaszone i chmurne jak niebo nad Szetlandami.

– Gobhar Farm to pomysłowy biznes – zauważył delikatnie Bazin. – Nie wspominając już o tym, jak bardzo dochodowy.

Adler ściągnął brwi i milczał uparcie.

Rosjanin zmienił ton: przemawiał teraz miękkim, nieomal życzliwym głosem.

– Dziwię się Emersonowi, że nie wtajemniczył w to przedsięwzięcie swego uzdolnionego syna. To duży błąd z jego strony. – Bazin pokiwał głową i westchnął, niby to ze smutkiem lub rozczarowaniem. – Jesteś wyjątkowym młodym człowiekiem, Christian – oświadczył, a zaskoczony Adler podniósł na niego oczy. – Tak, tak. Po wczorajszym spotkaniu w Ratuszu myślałem tylko o tym, jak niezwykłego syna ma

mój dawny przyjaciel. Po powrocie na Zamek przetrząsnąłem cały internet w poszukiwaniu informacji o Christianie Forbesie – studencie zoologii z Edynburga, stypendyście prestiżowej fundacji. Widziałem twoją relację z podróży do Chin, oglądałem też filmy i zdjęcia z innych twoich wypraw, czytałem nawet udostępnione prace akademickie twojego autorstwa. Przeglądałem twoją aktywność na serwisach typu The Zoologist, Darwin Club, BBC Earth czy Animal Planet. Obejrzałem też wszystkie drastyczne filmiki i obrazki ze zwierzakami, które wgrałeś na stronę Bored Panda.

I nie zgadniesz – poznałem nawet twoje wyniki w grze *Cyber Poachers* [\[116\]](#)!

– Tego bym nie zgadł – mruknął Adler. – Nie jestem w czołówce – dodał ponuro. – Zaniedbuję konsolę. Za dużo się uczę i szlajam po świecie.

Bazin uniósł dłoń i potrząsnął niecierpliwie głową. Nie życzył sobie, by mu teraz przerywano.

– Uwierz mi, Christian – rzekł. – Gdy słuchałem twojego wystąpienia w Ratuszu, byłem pod wrażeniem. Nie wyobrażam sobie, by jakikolwiek inny młody człowiek na wieść o domniemanych bestiach w południowej Anglii, rzucił wszystko i wyruszył natychmiast, by je tropić. Zwłaszcza, gdyby młodzieniec ten był zaangażowany w tyle innych, równie absorbujących projektów. Mówiąc zupełnie szczerze, im więcej się o tobie dowiaduję, tym mocniej jestem przekonany, że jesteś osobą, której tutaj potrzebujemy.

To wyznanie zaskoczyło Adlera.

– Co ma pan na myśli? – spytał.

Nie był pewien, do czego zmierza Bazin. Nie rozumiał tej nagłej zmiany tonu i tych ciepłych wyznań.

– Potrzebuję takich ludzi jak ty, Christian – odparł Bazin. – Wykształconych, uzdolnionych, ale i nieustraszonych. Ludzi, którzy sprawdzą się zarówno w laboratoriach, jak i podczas niebezpiecznych wypraw do egzotycznych krain. Mój własny syn... – tu Rosjanin przesunął leniwie wzrok na Jegora i zlustrował go ociężałym spojrzeniem spod opadających powiek. – Cóż. Nie można mu odmówić odwagi, a może raczej brawury, lecz żaden z niego materiał na intelektualistę.

– *Ty użę goworił ob etom* – warknął Jegor.

– Widzisz? – ciągnął niewzruszenie Bazin, kierując swoje słowa do Adlera. – Ciężko mu nawet przyswoić najpopularniejszy bodaj język obcy. Wciąż tylko rosyjski i rosyjski. I jak takiego pokazywać na salonach? – spojrzał pytająco na Adlera, jakby oczekiwał od niego w tej kwestii porady.

Adler nie wiedział, o jakich salonach mowa i po co ktoś w ogóle chciałby prezentować kłusownika szerszej publiczności.

– A mówiłem mu – ciągnął Bazin. – Mówiłem: twój ojciec w młodości także nie był poliglota. Potem jednak wziął się do roboty – prawda, pewne okoliczności pomogły – i teraz biegle posługuje się angielskim. I nie tylko. A wiesz, kto mnie zainspirował? Emerson, twój ojciec. Kiedy za młodu włączyłem się z nim po tajdze, on już wówczas znał rosyjski, łacinę, a nawet trochę chińskiego. Ale wróćmy do rzeczy – rzucił lekko Bazin na widok chmurnego oblicza Adlera. – Zatem mój własny syn trochę mnie rozczarowuje. Na uczelni w Krasnojarsku nie zjawił się ani razu! Nie zaszczycił swoją obecnością ani jednych zajęć. Nie powiem, ile mnie kosztowało, by przekonać władze uczelni, że mój Jegor jest

obietującym kandydatem na przyszłego eksperta w dziedzinie genetyki. Ale umówmy się: w grę wchodziła poważna ilość rubli. W gotówce, co w dzisiejszych czasach nie jest takie oczywiste.

Adler i młody Bazin milczeli zgodnie, słuchając utyskiwań starego.

– Co za niewdzięczność! – wybuchnął Roman Bazin, a jego twarz spurpurowiała. – Pieniądze wyrzucone w błoto! To ja go wyrwałem z blokowisk na kijowskiej Trojeszczyźnie i podarowałem mu zajęcie i przyszłość! Inaczej by się stoczył jak wszyscy, którzy chowali się w tym betonowym kanionie na wschodnim brzegu Dniepru. A ten niewdzięcznik zamiast chodzić na zajęcia, pływa sobie i wędkuje w najlepsze w rzece Jenisej [\[117\]](#)! Raz tylko przyłapałem go z książką, raz! I wiesz, co czytał?!

Adler pokręcił przecząco głową.

– „Zachowania homoseksualne wśród zwierząt”! – ryknął Bazin.

– Ciekawy temat – zauważył ostrożnie Adler.

– Nie – warknął Rosjanin. – Temat jest wybitnie nieciekawym.

– Jeśli mogę coś powiedzieć – zaczął delikatnie Adler. – Zastanawiam się, co właściwie pan mi proponuje. Jak pan wie, jestem dopiero na drugim roku zoologii... Po co panu student? Przecież pracuje pan z ekspertami.

Z jakiegoś powodu, Roman Bazin twierdził, że „potrzebuje” Adlera. Dlaczego właśnie jego? Może i był uzdolniony, ale wciąż był jedynie studentem. I tak naprawdę dopiero zaczynał swoją przygodę z zoologią. Dlaczego Bazinowi tak na nim zależało?

Adler doszedł do wniosku, że powód mógł być tylko jeden. Chodziło o jego ojca, o Aarona Forbesa. Aaron Forbes i jego Gobhar Farm stanowili konkurencję dla działalności Bazina. Adler miał już jako takie pojęcie, czym zajmowali się naukowcy w laboratoriach na Zamku. Gdy Bazin odkrył, że Aaron Forbes nie wtajemniczył syna w swoje interesy, postanowił przeciągnąć chłopaka na swoją stronę. Dlaczego? Może miała to być zemsta za jakieś wydarzenie z przeszłości? A może po prostu był to element walki o udziały w rynku? Rynku, o którego istnieniu Adler dowiedział się dopiero dzisiaj...

Roman Bazin wyraźnie postradał swój dobry humor.

– Co ci proponuję? – warknął. – Powiedzmy sobie szczerze, Forbes: twój ojciec się na ciebie wypiął. Wtargnąłeś na mój teren, pojмали cię moi ludzie – jesteś teraz na łasce Romana Bazina, pana na Zamku w Pelham. Chyba rozumiesz, że twoja sytuacja jest raczej nieciekawa?

Adler rozumiał.

– Masz dużo szczęścia, bo postanowiłem być wspaniałomyślny. Zamiast wrzucić cię do klatki z jednym z moich eksperymentalnych zabójców, zdecydowałem, że dołączysz do zespołu. To wielkie wyróżnienie, Forbes. I wielka łaska z mojej strony.

Adler nie bardzo sobie wyobrażał, w jaki sposób Rosjanin mógłby go zmusić do pracy w swoich laboratoriach. Świetnie natomiast wyobrażał sobie klatki z zabójcami. Nie wiedział, czy Bazin ma poczucie humoru, lecz gdyby miał i to szczególnie okrutne, rzuciłby go zapewne na pożarcie dogom z Gobhar Farm. W ten sposób winę za śmierć Adlera poniósłby niejako jego własny ojciec...

Postanowił grać na zwłokę. Niech Rosjanin myśli, że Adler jest wzruszony wyróżnieniem, jakie go spotkało.

– Bardzo chciałbym dołączyć do takiego zespołu – powiedział. Była to zresztą prawda: chciałby tropić legendarne bestie i eksperymentować w laboratoriach. Niekoniecznie jednak na usługach Roskiego.

Jegor Bazin łypnął na niego z ukosa. Adler nie miał wątpliwości, że Rosjanin nie wierzy w jego słowa. Młody Bazin sam pewnie, gdyby tylko mógł, wyrwałby się spod dyktatury ojca– tyrańca. Z jakiegoś powodu jednak – nie mógł.

Roman Bazin rozchmurzył się nieco. Jednym szarpnięciem zdjął futro z Jegora i poufałym gestem nałożył je na ramiona Adlera.

– Ja, naturalnie, chcę, aby dobrze nam się razem pracowało – rzekł. – Niczego ci u nas nie będzie brakować.

Adler powstrzymał odruch, by rzucić futro na ziemię. Było ciężkie, pachniało stęchlizną, jak komnaty tego zrujnowanego zamczyska oraz wszystko, co w nich zamieszkiwało.

– Mówił pan o tajemnym świecie – powiedział z namysłem.
– O świecie sekretnych bestii.

– Tak.

– Zastanawiam się, jaka jest pańska rola w tym świecie.

– A jak sądzisz?

– No cóż. Posiada pan laboratoria i drużynę łowców. Sporo pan wie o świecie, o którym inni nie mają pojęcia. Odnoszę więc wrażenie, że jest pan tu jednym z kluczowych graczy.

Bazin zaśmiał się, zadowolony. Adler tymczasem kontynuował:

– Wciąż jednak nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie:

dlaczego tutaj? Dlaczego wybrał pan właśnie Zamek w Pelham?

Chris Hood wyciągnął nożyce do metalu i wykroił spory otwór w siatce.

– No to mamy: magiczny portal do świata krwiożerczych drapieńców – zarechotał Wood.

Pozostali zwiadowcy powitali ten fakt bez uśmiechu. Nie dzielali zapału dowódcy ani tym bardziej jego dobrego humoru. Wood szybko zapomniał o oparzeniu i nie mógł się doczekać starcia z potworami, o których słyszał z ust Adlera. Potwory, prawdziwe bestie!... Kto by przypuszczał, że po pół wieku plądrowania nudnych lasów Sussex starego myśliwego spotka taka gratka?

– Panowie, wchodzimy – zarządził. – Pamiętajcie: broń w pogotowiu, oczy dookoła głowy. I więcej entuzjazmu – dodał na widok ich min. – Jesteście drużyną wybranych. Elitarną jednostką.

Jeden po drugim, każdy z identycznym westchnieniem, zaczęli przelażać przez otwór.

Krajobraz po drugiej stronie parkanu nie uległ znacznej zmianie: wciąż były to pogrążone w przygnębiającej szarówce łąki, po których gęsto słała się mgła. Jedynie grunt był stabilniejszy, suchszy. Błoto sięgało zaledwie do kostek.

Wood zacisnął prawicę na strzelbie i czujnie rozejrzał się dokoła. Pozostali nasłuchiwali, spięci. Nie ruszyli się z miejsca, czekali, aż ich oczy przywykną do półmroku.

– Rozdzielimy się i przeczeszemy to pole – zdecydował Wood. Wyprostował się i głęboko wciągnął chłodne, wilgotne powietrze. – Ustawicie się na jednej linii, w odstępach osiemdziesięciu jardów. Ja zaczynam z tego miejsca, wy

zajmiecie stanowiska na lewo i na prawo ode mnie. Ruszymy na mój znak. Będziemy się przemieszczać na północny wschód. Pamiętajcie: poruszamy się bezszelestnie i ostrożnie. Zejście ze stanowiska tylko za moją zgodą. Lub w razie zaistnienia szczególnych okoliczności – dodał po namyśle.

– Takich jak? – chcieli wiedzieć.

– Takich jak nagły, niespodziewany atak bestii – odparł.

Szeregowcy zajęli swoje stanowiska.

– Ruszamy! – mruknął do radia dowódca.

Nasunął na usta kominiarkę, zmarszczył brwi i postąpił do przodu. Miał poczucie ważnej misji. Czuł, że już wkrótce stanie oko w oko ze stworami, które siały zamęt w całej okolicy. Które mordowały mieszkańców miasteczka. On, Keith Wood, najlepszy łowca w Pelham, musi je dopaść i wymierzyć im sprawiedliwość. Razem z nim są jego ludzie, jego dzielni żołnierze. W liczbie pięciu, ale co tam. Elitarne jednostki zwykle mają skromny skład. Nigdzie nie jest łatwo o najlepszych ludzi. Nawet w Pelham nie masz takich na pęczki.

Oddział posuwał się powoli do przodu. Stąpali cicho i uważnie, wypatrując świeżych tropów w błocie i nasłuchując odgłosów zapadającego zmierzchu. Łąka tonęła we mgle. Gdzieś w pobliżu szemrała woda, spływająca wartko wąskimi korytarzami w brązowym mule. Z oddali dobiegały stłumione pomruki i szelesty.

Rob Beattie, którego masywna osoba tworzyła niejako lewe skrzydło oddziału, dotarł do podmokłego zagajnika. Zagajnik nie był rozległy. Tworzyła go grupa gęsto zbitych drzew o czarnych, smukłych pniach i koronach splecionych niczym dłonie.

Z górnych konarów zwisały sznury grubych lian.

Rob zawahał się, czy nie wezwać posiłków. Nieroztropnie byłoby wdzierać się do zamglonej gęstwiny w pojedynkę. Z drugiej strony, jakie zło może się czaić w kępie drzew? Z zagajnika nie dobiegały żadne dźwięki. Zastygł w szarówce niczym ponura kompozycja martwej natury.

– Rob, po prostu tam wejdź i nie rób scen – przykazał sobie zwiadowca.

Pociągnął nosem i wkroczył między drzewa. Mokra, siwa mgła opadła na jego skórę jak osad. Żadna bestia nie wychynęła z jądra gęstwiny.

– Nie jest źle – mruknął do siebie i postąpił parę kroków do przodu.

Ziemia była grząska i kleista. Za każdym razem, kiedy z trudem odrywał stopę od gruntu, Rob miał wrażenie, jakby coś usiłowało go powstrzymać przed kolejnym krokiem w głąb mrocznego lasu. Ogarnęło go nieprzyjemne przeczucie. Zacisnął mocniej dłoń na strzelbie.

Zmrużył oczy, by lepiej widzieć w mroku. Pochylił się lekko do przodu i ruszył krętym przesmykiem między czarnymi pniami drzew. Pnie były mokre i oślizgłe niczym węże.

Do jego uszu docierał jakiś subtelny dźwięk. Dźwięk brzmiał poniekąd znajomo, lecz Rob nie potrafił określić jego źródła. Rozejrzał się wokół, lecz nie zobaczył nic podejrzanego. Zadarł głowę i omiótł wzrokiem spowite mgłą korony. Coś tu się nie zgadzało. Coś było nie tak... Serce Roba biło coraz szybciej, oddech stał się płytki, nerwowy. Opuścił głowę i potarł dłonią mokre czoło.

– Tylko bez paniki, Rob – wyszeptał do siebie. – Wszystko jest w porządku...

I nagle wzdrygnął się, gdyż pojął, co się nie zgadzało: grube liany poruszały się, choć w zagajniku nie było przecież wiatru.

Z trudem przełknął ślinę i ponownie zadarł głowę. Krzyknął przeraźliwie i cofnął się o krok. To nie liany zwisały z czarnych konarów. To były węże. Ich tłuste, pałukowate cielska wiły się bezustannie i gibały niczym poruszane wiatrem. Skórę węży pokrywał lepki śluz. Ich muskularne tułowia uderzały o siebie i splatały się leniwie, wydając charakterystyczny dźwięk, coś jakby mlaskanie. Najwięcej węży oplatało pień w miejscu, skąd odchodziły główne konary. Tam znajdowało się gniazdo, kłębowisko kurczących się i rozwierających pierścieni.

Rob trzęsącą się dłonią pacnął guzik alarmowy radia.

– Tu Rob, lewe skrzydło – wychrypiał nieswoim głosem. Ze strachu zaschło mu w gardle. – Mam tu węże... Całe mnóstwo... mnóstwo węży... Są na każdym drzewie!... – Jego głos zmienił się w histeryczny pisk.

Właśnie bowiem spostrzegł, iż nabrzmiate cielska gadów oplatały każdy pień w otaczającej go gęstwinie. To nie był zwykły zagajnik, lecz gniazdo dusicieli.

– Tu dowódca – usłyszał głos Wooda. – Ołać węże. Maszerować dalej!

Rob myślał, że się przesłyszał.

– Ale Keith!... – pisnął. Z wrażenia zabrakło mu tchu.

– Powtarzam: trzymać szyk, maszerować dalej! Nie ma czasu na zabawy.

Rob oniemiał z oburzenia.

A potem zdał sobie sprawę, że po komendzie Wooda reszta oddziału nie będzie na niego czekać. Poderwał się z miejsca i pospiesznie powędrował grząskim szlakiem przez zamglony

las.

Podczas wędrówki cały się spocił. Zawsze był wielki i niezgrabny, ale teraz odczuwał to szczególnie boleśnie: co chwila zahaczał o podstępne gałęzie, jego brzuch ledwie się przeciskał między ciasno zbitymi pniami wężowych drzew, głowa zahaczała o wijące się ogony gadów.

Idąc, mamrotał do siebie jak szaleniec. W jego oczach był strach, czoło szklilo się od potu.

Poczuł ulgę, gdy drzewa przerzedziły się nagle i znalazł się na małej polanie. W prześwicie między koronami drzew nie było widać nieba, przysłaniała je sina mgła rozpięta nad polaną jak baldachim. Na ziemi zalegały potężne konary o czarnej korze. Rob pomyślał, że to pozostałości po ogromnym drzewie, które niegdyś rosnęło w tym miejscu, w samym sercu lasu.

Z ciężkim sapnięciem przysiadł na grubym konarze. Zamknął oczy i oddychał głęboko, by uspokoić rytm serca. Mokre opary przyjemnie chłodziły jego spoconą twarz. Pień był wilgotny, być może skapywał na niego śluz z pobliskiego gniazda węży. Zaniepokojony tą myślą, Rob drgnął i zadarł głowę, lecz zobaczył tylko szarą mgłę.

I wtedy stało się coś dziwnego: pień drgnął. Zatrząsał się tak mocno, że Rob zwałił się na ziemię i wylądował na czworakach w czarnym błocie. Błoto cuchnęło, jakby zmieszano je z odchodami, lecz Rob miał większe zmartwienia. Przerażony, podniósł głowę i zobaczył, że pień się porusza. Serce na powrót zaczęło walić szaleńczo w jego olbrzymiej piersi.

Pień był czarny, śliski, obły... przesuwał się po grząskim podłożu z przeciągłym i wstrętnym dla ucha, kleistym mlaskiem. Sunął najpierw powoli, a potem coraz zwawiej

i żwawiej. Zataczał szybkie koła niczym puszczony w ruch diabelski młyn.

W oczach Roba zawirowało. Poderwał się z ziemi i rozejrzał w panice. Wtedy pojął, że jest osaczony: okrąża go potężny zwój.

Był to tułów bestii. Tułów olbrzymiego, czarnego dusiciela.

Rob jęknął i odnalazł w błocie swą strzelbę. Wiedział jednakże, że śrutem może tylko połaskotać bestię. Staął w rozkroku, ze łzami w oczach i rozedrganymi kolanami i drżącym palcem pociągnął za spust.

Rozległ się huk wystrzału. A zaraz po nim rozdzierający wrzask. Olbrzymi wąż okręcił swoje cielsko wokół Roba. Pierwsze trzasnęły kości nóg. Złamały się na raz jak kruche zapalki. Potem pękły żebra i zmiażdżyły się wszystkie wnętrzności. Z ust Roba, niczym klej z tubki, wytoczyła się ciemna, gęsta posoka.

Nie żył.

Zwiadowcy usłyszeli huk.

– Który strzelał?! – ryknął Wood przez radio.

Szybko ustalono tożsamość strzelca. Tim Browne, który maszerował wzdłuż skraju zagajnika, był przekonany, iż wystrzał dobiegł zza drzew.

Wood bezskutecznie próbował nawiązać łączność z Robem.

– Nie odpowiada – mruknął. – Wspominał coś o węzłach... – Odwrócił głowę i obrzucił ponurym spojrzeniem rozmazane we mgle kontury lasu.

Zwołał zbiórkę, a gdy się spotkali pośród podmokłego pola, zarządził ekspedycję ratunkową w głąb zagajnika.

– Rob oddał strzał, a teraz straciliśmy z nim łączność. To

nie jest duży las, ale kto wie, jakie licho tam mieszka... Musimy tam wejść, zanim zapadną kompletne ciemności.

– Rob miał tylko zapasy śrutu – przypomniał sobie Tim. – Mówiłem mu, że nie idziemy na kaczki...

– Mhm – mruknął złowrogo Wood. – Dobra, ruszać za mną. Trzymać zwarty szyk! – zakomenderował.

Pomaszerowali w stronę zagajnika. Odprowadzał ich przeciągły skowyt, niosący się z głębi moczarów. Naraz jednak skowyt został zagłuszony przez warkot silnika. Pojazd zbliżał się, warkot narastał. We mgle rozbłysły żółte kręgi światła.

– Jedzie tutaj! – wychrypiał stary Buckland. – Keith, co robimy?

Wood zastanowił się. Jakichś dwieście jardów przed nimi czerniła się ściana drzew. Czy zdążą tam dobiec, zanim kierowca ich zauważy?

Pojazd jechał zbyt szybko, a Wood zastanawiał się zbyt długo.

– Padnij! – ryknął i wszyscy naraz runęli w grząską trawę.

Pojazd toczył się wzdłuż zachodniej linii ogrodzenia. Był teraz bardzo blisko, tak blisko, że kiedy Tim uniósł głowę, zobaczył wyraźnie jego kontury.

– A niech mnie, wóz bojowy! – zawołał, zdumiony.

Jego okrzyki przytłumił ryk silnika.

Pojazd zatrzymał się przy siatce nieopodał zagajnika. Zwiadowcy unieśli się ostrożnie na łokciach i zobaczyli, że choć nie był to czołg, i tak odbiegał znacznie od lokalnych standardów.

Był to bowiem opancerzony samochód terenowy z gaśnienicami na tylnych kołach. Takich wozów nie używali

tutejsi farmerzy.

Z wozu wyskoczył jakiś człowiek. W półmroku błysnęło światło jego latarki.

Buckland trącił łokciem Wooda.

– Ty, a może to Bazin? Usłyszał strzał i przyjechał sprawdzić, co tu się u diabła wyrabia.

– Możliwe – mruknął ponuro Wood. – Szybko, skubaniec, zareagował.

– Oby nas nie zobaczył – wyraził życzenie Len. – Sytuacja byłaby trochę niezręczna...

Nieznajomy jednakże rzucił snop światła w przeciwnym kierunku.

– Chyba ogląda siatkę – zauważył Wood.

– Ty, patrz: a teraz wchodzi do lasu! – ożywił się Buckland.

– W tym zagajniku jest Rob! – zorientował się Tim. – Trzeba go ostrzec!

– Rob ma uszkodzone radio – burknął Wood. – Albo je zgubił, licho wie.

– Ha! – rzekł na to Tim, który na wszelki wypadek zabrał ze sobą dwie krótkofalówki.

– Tak czy inaczej, musimy teraz wejść do lasu, żeby odbić Roba – zdecydował Wood. – Jest nas pięciu, a ten facet działa w pojedynkę.

Podnieśli się z ziemi i niedbale otrzepali z błota.

– Tylko pamiętajcie: nie strzelać! – przykazał Wood. – W końcu jesteśmy tylko gośćmi. Nie wypada otwierać ognia do gospodarza.

Sprawdzili stan ekwipunku, po czym chwycili kije w dłoń i zaczęli się zakradać w stronę zagajnika. Zmrok zapadał tak

szybko, że ledwie widzieli jeden drugiego. W oddali podniosły się krzyki zwierząt. Bagna ożyły niczym dżungla po zachodzie słońca.

Wood zatrzymał się w pół kroku.

– Ćśśś! – rzekł niepotrzebnie, bo przecież pozostali milczeli.

Dowódca stał przez chwilę nieruchomo w dziwnej, spiętej pozie, jakby jakiś czar przemienił go w posąg.

– Słyszycie? – wychrypiał w końcu.

– Co? – zapytał szybko Len i na wszelki wypadek przyjął pozycję do strzału. Nie wiedział, gdzie celować, więc miotał się jak ryba w sieci, mierząc to w lewo, to w prawo, to do góry.

Chris trzepnął go w łopatkę, by się uspokoił. Len podskoczył, zaskoczony i pociągnął za spust. Zagrzemiał strzał, a potem posypały się przekleństwa. Len oberwał ciężką łapą Wooda.

– Nie strzelać bez rozkazu!! – ryknął Wood. – Nie strzelać w ciemno!!

Len był w szoku, zbladł jak duch i drżały mu ręce.

– Wybaczcie – wyszeptał wyschniętymi wargami. – Poniosło mnie...

Buckland pogrzebał w kieszeniach swej myśliwskiej kamizelki i wyłuskał paczkę papierosów.

– Ani mi się waź! – zgromił go dowódca, po czym rzucił rozkaz: – Padnij na ziemię!

Buckland wzruszył ramionami i padł wraz z innymi. Nie lubił odstawać od reszty. Na mały dymek będzie jeszcze czas.

– Co słyszałeś, zanim Len strzelił? – spytał Wooda.

– Cicho! – warknął tamten w odpowiedzi. – Zaraz nas

namierzy tamten facet z lasu. Nie wiem, czy zobaczył Roba, ale tam się dzieje coś podejrzanego... Słyszałem jakieś trzaski, jakby drzewa się waliły.

- Może Bazin rąbie drwa? - podsunął Tim. - Zimno jest, a on musi nagrzać w całym zamku.

- Taa, i przyjechał tu w tym celu opancerzonym transporterem - zadrwił Wood. - Nie widziałem nawet, żeby miał siekierę.

- Dzięki Bogu! Tam jest przecież Rob - zauważył Chris.

- Może jest, a może i nie ma - odparł mrocznie Wood.

Nie zdążyli go zapytać, co też miał na myśli, bowiem w tym momencie zobaczyli coś, co sprawiło, że ich serca zamarły.

Z gęstwiny wysuwał się olbrzymi wąż. Gigantyczny, czarny dusiciel. Gdy unosił tułów, jego pysk znajdował się na wysokości koron drzew. Obłe cielsko musiało ważyć tonę lub więcej. Przy każdym szarpnięciu tułowia, wąż ciskał na bok hałdami brunatnego mułu. Z rozjątrzonej bagiennej ziemi ulatniał się nieznośny smród.

- Jezu, potwór! - wyszeptał płaczliwie Len. - Potwór!! - wrzasnął, jakby jego towarzysze potrzebowali w tej kwestii oświecenia.

- Kiedy Rob powiedział, że w tym lesie są węże... - wyjąkał Tim. - Nie sądziłem, że miał na myśli coś takiego...

Buckland nie powiedział nic, tylko stanowczym gestem sięgnął po swoje papierosy. Niech go diabli, jeśli sobie nie zafajczy ten ostatni raz - przed śmiercią.

Znów jednak nie dane mu było zapalić. Papieros wypadł z jego dłoni, kiedy usłyszał niespodziewany huk wystrzału. A zaraz potem huknęła rozzierająca salwa.

To Wood i Chris mierzyli do bestii ze sztucerów. Okazało się jednak, że nie tak łatwo było położyć olbrzymiego dusiciela.

– Co on, nieśmiertelny?! – warknął Wood.

Dowódca był mocno podenerwowany. Jego czoło lśniło od potu. Dłoń jednak ani drgnęła pod ciężarem broni.

– Nabój nie da rady przebić się przez łuskę gadziny – stwierdził Chris. – To nie jest normalna łuska. To pancerz!

Buckland pośpiesznie przygotował kniejówkę, by dołączyć do ostrzału. Znow jednak nie nadażył za wydarzeniami. Ech, starość.

Wąż porzucił swoją twierdzę i ruszył przez trawy. Sunął szybko, był jak wielki, towarowy pociąg. Jego pysek unosił się lekko nad zamgloną łąką.

Zwiadowcy pierzchli na boki. Wybuchł popłoch. Ktoś wystrzelił w powietrze w nieudanej próbie odstraszenia bestii. Na strzał odpowiedziały ryki dzikiej zwierzyny. Już nie dobiegały z oddali, było je słychać całkiem blisko. Słychać było także tętent i posapywanie.

Wood rozejrzał się w panice i w nagłym, błogosławionym natchnieniu wymyślił swą ostatnią komendę.

– Drużyno! – huknął. – Do transportera, szybko!!

Nie wszyscy usłyszeli ten ostatni rozkaz. Ci jednak, którzy go usłyszeli i pojęli, rzucili się w stronę transportera, nie oglądając się za siebie.

– Tim, ty siadasz za kierownicą! – zdecydował Wood, kiedy już dopadli pojazdu. Sam nie znosił nocnej jazdy po wertepach i dopóki miał ze sobą innych chłopaków, będzie się trzymał z dala od sterów.

– Nie! Ty prowadź, Chris. Widziałem, jak sprawnie

zasuwasz traktorem. – Tim szarpnął za pancerne drzwiczki i niemal wepchnął Chrisa do środka.

– Ale ja... ja nawet nie mam prawa jazdy! – przeraził się Chris, lecz siadł posłusznie za kierownicą.

– Do prowadzenia czołgu nie potrzeba prawa jazdy, synu! – ryknął Wood. – Włączasz silnik i dajesz czadu!

Tim i Len pośpiesznie wskoczyli na pakę. Była to opancerzona skrzynia ładunkowa, której jedynym słabym punktem był dach, obity zaledwie plandeką.

Wood wgramolił się na skrzynię i huknął przez radio:

– Ruszaj, Chris! – Podniósł oczy na tonące w mroku łąki. Drżały od tętentu niewidzialnych kopyt. – Ruszaj, jeśli życie ci miłe... – wychrypiał.

Minęła długa – zbyt długa! – chwila, zanim transporter poderwał się z miejsca. Tim powitał ten fakt dzikim okrzykiem ulgi, Len – niemal radosnym wystrzałem z kniejówki.

Wóz potoczył się w mrok. Teren był trudny: głębokie koleiny, bajora i bagna. Gąsienice wozu dość sprawnie toczyły się po wertepach, wyciskając w glinie masywne odciski. Przednie koła i potężny bęben wyciągarki co rusz taranowały hałdy gęstego mułu. Chris jechał w ciemno. Sparaliżowany strachem, nie panował dobrze nad sterami.

– Chris, włącz światła! – rzucił Tim przez radio.

Chris nie odpowiedział, ani też nie włączył halogenów.

Pasażerowie nie mieli lekko: skrzynią trzęsło potężnie, odpryski błota bombardowały plandekę i wdzierały się do środka przez szparę pod zadaszaniem. W środku było czarno, zwiadowcy nie widzieli swych twarzy.

Tim pstryknął latarką i zobaczył skulonego Lena oraz

Wooda z twarzą wykrzywioną grymasem. Grymas ten mówił, że życie jest wstrętne.

– A gdzie Buckland? – spytał nagle Tim, kiedy już przyjrzał się gębom swoich towarzyszy.

Popatrzyli po sobie.

– Może siedzi na przedzie – bąknął bez przekonania Len.

Wood już sięgał po radio, kiedy naraz wszyscy usłyszeli szum w swoich krótkofalówkach.

– Tu Dave – rozległ się znajomy głos. Znajomy, lecz jakiś niewyraźny, nieswój. – Ja i Steve... znaleźliśmy Toma. – Cisza i trzaski. – Tom nie żyje. Odbiór.

Zwiadowcy wymienili zmartwiałe spojrzenia.

– Wood, jesteś tam? Odbiór.

– Jestem – wychrypiął Wood. Z wrażania nie wcisnął nawet przycisku nadawania.

Skrzynia zakołysała się gwałtownie i wszystkich rzuciło w kąt. Wood zaklął i pośpiesznie wcisnął guzik radia.

– Tu Wood! – powtórzył. – Co z Tomem? Gdzie jesteście? Odbiór.

– Tu Dave. Jesteśmy ze Steve'em przy murze. Tom... Coś go zaatakowało zaraz za ogrodzeniem. Keith, coś... coś wyżarło mu trzewia! W jego ciele są dziury wielkości talerzy... jakby... jakby jego wnętrzości penetrowały jakieś olbrzymie robaki!... Dave urwał i rozplakał się.

Wood zaklął potężnie jak jakiś zły bóg. Tim i Len milczeli, zmartwiali ze smutku i grozy. Wsłuchiwali się tępo w ryk silnika i ujadanie zwierząt.

John Buckland widział, jak odjeżdżali. Znikający we mgle, rozkołysany zad transportera miał być jednym z ostatnich

widoków, jakie przyszło oglądać staremu farmerowi.

Buckland szybko zorientował się, że nadszedł jego koniec. Zawsze był wąły i niewysoki – pięć stóp, no, pięć i dwa cale, jakby liczyć z obcasem – lecz w porównaniu z gigantycznym węzem nawet największe chłopaki z Pelham wypadłyby komicznie. Komiczne karzełki. I tak też czuł się Buckland: jak komiczny karzełek. Jak pyłek we flanelowej koszuli, z nic nie wartą pukawką na ramieniu.

Olbrzymi pysk czarnego dusiciela huśtał się nisko nad łąką niczym spodek UFO. Zbliżał się i powiększał. Do uszu Bucklanda docierał już odgłos miażdżonych przez zwaliste cielsko traw. Farmer pociągnął nosem i wyłuskał papierosa. Zapalił. Wreszcie. Ostatni papieros. Zaciągnął się i zrobił kółko z wypuszczanego dymu. Fajne wyszło, idealny okrąg.

Potem z westchnieniem wyrzucił peta w trawę i zmiażdżył go buciorem.

– No to bierz mnie, bestio – powiedział z rezygnacją i rozłożył ramiona.

Wówczas za plecami posłyszał rzenie i z oparów wyłonił się rumak.

„Rumak z niebios!”, pomyślał ze wzruszeniem Buckland. „Dar od aniołów lub nawet i samego Boga, zesłany, by w ostatniej chwili uratować maluczkiego grzesznika!”

Koń zarżał histerycznie, bijąc kopytami w ziemię. Gdzieś w pobliżu, za utkaną z mgły kurtyną, wciąż rozbrzmiewał tętent. Buckland przyjrzał się darowi z niebios i z ukłuciem w sercu stwierdził, iż rumak ten żadnym sposobem nie może być wysłannikiem aniołów, o Bogu już nie wspominając. No, chyba że piekło zaczyna się tutaj, na bagnach w Pelham. Miał bowiem przed sobą nie konia, lecz prawdziwe monstrum.

Monstrum miało olbrzymi, rozdęty sterydami tułów. Jego muskulatura przypominała kiść winogron: poszczególne mięśnie sterczały niczym mocno napompowane baloniki albo poduszki powietrzne. Rumak miał lichą grzywę i potężny garb. Najpaskudniejszy był jego pysk, zaś najstraszliwsze – mocno wysunięte do przodu siekacze, ostre i długie jak bolce stalowych gwoździ. Rumak spoglądał na Bucklanda zwariowanymi ślepiami: były to ślepiea różnej wielkości, szeroko rozstawione, jedno wyżej, drugie niżej, po obu stronach istic krokodylego pyska.

Rumak zarżał i pochylił upiorny łeb ku Bucklandowi. Rozbrzmiewający w pobliżu tętent ustał, podobnie jak stanęło serce Bucklanda. Farmer usłyszał jeszcze podniecone rżenie i z mgły wychynęły łby kolejnych rumaków. Ich pyski szczyrzyły się do niego w szkaradnym, diabolicznym uśmiechu. Kopyta siekały histerycznie ziemię.

Wokół Bucklanda zawrzało, powietrze nad kręgiem rumaków smagnał nagle czarny, rozwidlony jęzor. Stary farmer pojął, że oto przybył na ucztę olbrzymi dusiciel. Tego było za wiele. Buckland chwycił się za serce i, szczęśliwie, zemdłał.

Zamknięci w panczernej skrzyni zwiadowcy usłyszeli grzmot. Warkot silnika zmieszał się z donośnym skowytom dobiegającym od strony maski.

Len poderwał się na równe nogi. Natychmiast rzuciło go o ścianę. Padł na kolana i sapnął:

– Chyba o coś uderzyliśmy! – Potoczył wielkimi oczami po skrytych w cieniu twarzach towarzyszy.

– Nie – odparł ponuro Wood. – Coś uderzyło o nas... Jakieś zwierzę, sądząc po tym żalonym skowycie.

– Chris! – rzucił Len przez radio. – Co się stało?! Dokąd my właściwie jedziemy?

Chris nie odpowiedział od razu.

Len podniósł się, by wyrzeć przez szparę pod plandeką, lecz zobaczył tylko ciemność.

– Jak to: dokąd? – zaszumiało w jego krótkofalówce. – Jedziemy na Zamek!

– Wiesz, jak tam dojechać? Nie włączyłeś świateł!

– Widzę światła na Zamku, to już niedaleko...

Głos Chrisa urwał się, znów posłyszeli łomot. Tym razem dużo potężniejszy, jakby transporter wjechał w szlaban albo zderzył się z innym opancerzonym wozem. Od strony kierowcy dobiegł przeciągły wrzask.

– Chris, co się dzieje?! – ryknął Wood.

Nie dostał konstruktywnej odpowiedzi. Usłyszeli dźwięk rozbijanego szkła, coś przetoczyło się po dachu, plandekę przebiły metalowe pręty.

Wóz podskoczył. Len, Wood i Tim pierzchli do kątów, osłaniając głowy rękami. Przez dziurę w rozprutej plandece zaatakował ich stalowy grad: posypały się odłamki drutu i fragmenty siatki.

Wood bezskutecznie ryczał do radia. Chris nie odpowiadał. Może spanikował, a może był ranny, pokiereszowany przez odpryski metalu lub szkła.

Pojazd toczył się szybko i bezładnie.

– Ktoś inny musi przejąć stery! – zdecydował Wood.

– Ja pójdę! – odezwał się stanowczym acz drżącym głosem Len. – Tylko jak mam się przedostać do kabiny?

Kokpit transportera oddzielała od naczepy metalowa

przegroda. Najwyraźniej skrzynia nie służyła do przewozu ludzi.

Wood przygryzł wargę. Doszedł do wniosku, że jako dowódca powinien teraz zmotywować swojego człowieka. Położył rękę na ramieniu Lena i poważnie spojrzał w jego wystraszone oczy.

– Len – rzekł. – Ty zawsze byłeś trochę jak James Bond.

Tim prychnął i skulił się w kącie jak obrażone dziecko. – Ja? – wyjąkał Len. – Nie... – Tak! – huknął Wood.

– Czy ja wiem? – zastanowił się Len. – Może... W pewnych sytuacjach...

– Len, teraz jest właśnie taka sytuacja – wyjaśnił mu Wood. – A zatem śmigaj do kokpitu choćby po dachu, bo od tego zależy życie całego oddziału!

Len ściągnął brwi, dzięki czemu przestał tak bardzo przypominać wystraszonego zająca. Wyprostował się i zawołał cokolwiek piskliwie:

– Tak jest, dowódco!

Pojazd gwałtownie podskakiwał na wybojach. Len kurczowo wczepił palce w krawędź skrzyni, by złapać równowagę.

A potem wyciągnął rękę i rozchylił plandekę, wpuszczając do środka ciężką lawinę odłamków. Prócz szkła i metalu, na ziemię runęło też czarne ptaszysko: martwe, zbroczone krwią, podziurawione odłamkami jak śrutem.

Len zadarł głowę i zobaczył niebo, ciemne i złowieszcze jak ten martwy kruk. Pod niebem niczym pod czarnym parasolem wirowały cienie – chmara wielkich ptaków. Na twarz zwiadowcy opadła delikatna mżawka. Opuścił głowę i skierował wzrok ku przodowi. Serce podeszło mu do gardła.

Na wprost nich wyrastał barak, otoczony siatką i oświetlony wątłym światłem pomarańczowych latarni. Len pojął od razu, iż to te lampy ujrzał Chris, kiedy twierdził, że widzi światła z Zamku.

Len nie widział Zamku. Widział jedynie rosnącą bryłę baraku i cylindryczne kontenery, przylegające do jego ścian. W parę sekund później dostrzegł coś jeszcze. Coś, co czaiło się poza kręgiem światła. Zobaczył dyskretne kontury opastej, stalowej cysterny. Jechali prosto na nią.

Wood mylił się – lub kłamał. W każdym razie, Len Hobbs ani trochę nie przypominał agenta 007. Słynny agent byłby zgorszony takim porównaniem, gdyby wiedział, jak postąpił Len w tej krytycznej sytuacji.

Na widok cysterny, Len Hobbs po prostu się poddał. Zacisnął mocno powieki i zdołał tylko wrzasnąć:

– Chris! STOOOP!!!!...

Po twarzy Bazina przebiegł nieodgadniony grymas.

– A zatem interesuje cię, dlaczego ktoś taki jak ja, to jest przybysz z dzikiej Rosji, kupuje ruiny na bagnach i decyduje się osiedlić w angielskiej wiosce?

Adler, do którego było skierowane to pytanie, pokręcił przecząco głową.

– Nie – odparł. – Interesuje mnie, dlaczego wybrał pan akurat te ruiny na swoje laboratoria. Na Wyspach jest mnóstwo innych zrujnowanych majątków dawnych lordów. A i wiele spośród żyjących arystokratów podupadło do tego stopnia, że chętnie odsprzedali by panu swoje zadłużone pałace.

Bazin przyjrzał mu się z namysłem. Bezwiednym gestem poprawił kołnierz srebrnego futra, które przygniatało ramiona

Adlera, po czym rzekł:

- No cóż. Dla mieszkańców Pelham ten zamek to tylko ruiny. Ja jednak marzyłem o nabyciu tych ruin, odkąd po raz pierwszy o nich usłyszałem...

Rosjanin zamilkł i przez chwilę ważył w myślach, jak wiele może zdradzić synowi Emersona. Wciąż jeszcze nie był pewien, co pocznie ze swym młodym jeńcem. Nie lubił jednak przydługo kalkulować, toteż zdecydował, że uchyli mu rąbka tajemnicy. Bez szczegółów, tyle tylko, by zaspokoić pierwszą ciekawość.

- Jak już zapewne słyszałeś, ziemie te należały od wieków do rodziny Pelham. Po wielkim pożarze w osiemnastym wieku zrujnowany dziedzic popełnił mezalians, by podreperować stan rodowego skarbcza. Poślubił córkę bogatego przemysłowca z północy, niejakiego Torringtona z Manchester. Torrington, człowiek nie tylko przedsiębiorczy, ale i bezczelny, wymógł na Pelhamie, by ten po ślubie przyjął podwójne nazwisko. Od tej pory, kolejne pokolenia rodu nosiły już nazwisko Pelham-Torrington.

Jegor Bazin ziewnął i zadygotał z zimna. Nudziły go podobne historie. Podszedł do samowaru, zdjął imbryczek z esencją i nalał sobie trochę naparu do brudnej szklanki ojca. Następnie wlał do gardła całą zawartość. Skrzywił się i z niepotrzebnym hałasem odstawił szklankę na stół. Esencja była gorzka i obłędnie mocna. Miała niezwykle pobudzające działanie.

Jegor zignorował nieżyczliwy grymas ojca i wbił zaborczy wzrok w srebrzyste futro.

Adler teatralnym gestem poprawił futro na swoich ramionach, niby to rozkoszując się jego miękkością i ciepłem,

jakie biło od cuchnącej sierści. Zrobił to tylko po to, by rozjuszyć młodego Rosjanina.

Roman Bazin nie zwracał uwagi na te subtelne gierki i ciągnął swoją opowieść:

– Przypuszczam, że zanim moi ludzie cię pojмали, zdążyłeś się trochę przyjrzeć mojej posiadłości – rzekł do Adlera. – Zauważyłeś zapewne, że sporo tu powojkowej infrastruktury. Otóż w okresie Zimnej Wojny na Zamku w Pelham stacjonowała brytyjska armia. Podejrzewam, że lokalni mieszkańcy niewiele wiedzą na ten temat.

– Wiedzą tylko tyle, że podobno mieściły się tu magazyny wojskowe – rzekł Adler. – Trudno powiedzieć, ile jest w tym prawdy. Sir George Wyatt, który wnikliwie studiuje lokalną historię, nie dotarł do żadnych szczegółowych informacji.

– Tak – powiedział wolno Bazin. – Nie dotarł, to pewne. Nie jest łatwo o tego typu informacje...

– Rozumiem, że pan wie coś więcej?

Bazin uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Wywiad rosyjski przez wiele lat interesował się działalnością brytyjskiego wojska na Zamku w Pelham – rzekł.

– Rosjanie zgromadzili na ten temat całkiem pokaźną dokumentację.

– Dlaczego Zamkiem zainteresował się wywiad?

– Ponieważ na tym oto Zamku mieściła się tajna jednostka naukowo-badawcza. Przeprowadzano tu ciekawe, choć nierzadko drastyczne, eksperymenty na zwierzętach.

– Skąd pan o tym wie? – zdumiał się Adler.

Bazin znów się uśmiechnął.

– Po rozpadzie Związku Radzieckiego mieliśmy spory burdel

w papierach – rzekł kpiąco. – Wiele informacji wyciekło w niepowołane ręce. Na sprzedaży tego typu dokumentów można było nieźle zarobić. W tym czasie prowadziłem już, nazwijmy to, eksperymentalną hodowlę, choć oczywiście na dużo mniejszą skalę. Pewien urzędnik zaproponował mi sprzedaż dokumentów.

To była pierwsza transza. Potem dokupiłem kolejne.

– I w ten sposób dowiedział się pan o tajnej jednostce badawczej na Zamku?

– Tak. Dokumenty były niekompletne, więc by dogłębniej zbadać sprawę, musiałem sięgnąć i po inne źródła... Dowiedziałem się, że w latach osiemdziesiątych jakość badań w tutejszej placówce podupadła i wkrótce ją zamknięto. Uczyniono to w pośpiechu, bowiem sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli i nikt nie chciał brać za to odpowiedzialności.

– Sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli? – powtórzył Adler, świadom, że tych samych słów użył na spotkaniu w Ratuszu, by opisać niepokojące wydarzenia ostatnich tygodni.

– Mówiąc wprost, drapieżne i szalenie agresywne mutanty oraz hybrydy, które produkowano i testowano w Pelham, rozpiezchły się po okolicy. Nie wszystkie, nie. Większość zagazowano lub w jakiś inny sposób pośpiesznie uśmiercono. Część być może wywieziono do innych placówek. Na szczęście, zwierzęta, które przetrwały, cechowały się podobną morfologią do tutejszej fauny. Jak to się mówi, diabeł tkwi w szczegółach.

– To prawda – mruknął ponuro Adler, wspomniawszy krwiożerczego jelenia.

Gdzieś z oddali, znad zamglonych pól za oknem dobiegły przytłumione wystrzały. Nadchodził wieczór, myśliwi wychodzili na łowy.

Bazin i jego strażnicy wsłuchiwali się przez chwilę w echo odległych strzałów. Wreszcie Rosjanin drgnął i powrócił do przerwanej opowieści:

– Uznałem, że infrastruktura, która zachowała się na Zamku po likwidacji jednostki, będzie stanowić świetne zaplecze dla mojego biznesu. Postanowiłem odtworzyć i rozwijać badania, nad którymi pracowali tutejsi naukowcy. Wielka Brytania wydała mi się doskonałą lokalizacją. Tutaj macie lepszy dostęp do technologii, mniejsze ograniczenia eksportowe, łatwiej też o rzetelnych ekspertów.

– Ale przecież potem Zamek wrócił w ręce prawowitych właścicieli – zauważył Adler. – Czy oni o niczym nie wiedzieli?

– Nie wiem, ile powiedziano Cecilowi Pelham-Torringtonowi, od którego formalnie odkupiłem Zamek.

– Formalnie? – powtórzył Adler. – A faktycznie?...

– Cecil Pelham-Torrington od lat mieszka w Stanach. Podejrzewam, iż zasugerowano mu, że tak będzie dla niego najlepiej, a utratę rodowej ruiny wynagrodzono mu wygodną posiadłością gdzieś na Florydzie. Zamienił więc bagna na gorący piasek i palmy. Nie wyszedł na tym źle.

– Podobno jednak pojawiał się w Pelham...

– Co z tego? Mógłby przyjechać tu i dziś. Domek Myśliwego, w którym zwykł się zatrzymywać, oficjalnie nie wchodzi w skład mojej posesji.

W sali znów rozbrzmiał donośny głos szefa straży. Barton rozmawiał przez radio, wypytywał kogoś o Budge'a. Bazin zmarszczył brwi i wskazał Bartonowi ręką, by opuścił salę.

- Ja ten Zamek nabyłem jako ekspert, bowiem uznano, że ktoś musi oczyścić okolicę z monstrów – rzekł do Adlera. – Do biznesu natomiast nikt mi się nie wtrąca. To czysto komercyjny interes, tak jak Gobhar Farm.

Adler zawahał się, po czym spytał:

- Czy mój ojciec ma jakikolwiek związek z tym miejscem? Z tą dawną jednostką naukowo-badawczą?

- Z tą konkretną? Nie sądzę – odparł Bazin.

Adler zaryzykował kolejne pytanie.

- Powiedział pan: „uznano, że ktoś musi oczyścić okolicę z potworów”. Kto tak uznał? Rząd? Wojsko? Lokalne władze?...

Było to bodaj najważniejsze pytanie. Kto przez ten cały czas wiedział o potworach z Zamku, lecz trzymał to w tajemnicy?

W Sali Łowców zapadła cisza. Zdawało się, że każdy z obecnych chciał poznać odpowiedź. Nawet strażnicy nastawiali ucha. Na widok ich wyczekujących twarzy, Bazin zarechotał. Jego chrapliwy śmiech odbił się echem po murach wielkiej sali.

Lecz naraz śmiech zastygł na wargach Rosjanina, jakby przykryty wulkanicznym popiołem. Za oknami rozbrzmiał ogłuszający grzmot.

Ściany komnaty zatrzęsyły się, wszyscy padli na ziemię. Grawerowane strzelby, harpuny i myśliwskie trofea posypały się ze ścian i runęły z trzaskiem na kamienną posadzkę. Cienkie szybki w oknach zadygotały i rozpękły się na tysiące kawałków. Podniosły się nerwowe przekleństwa i jęki ranionych. W sali pogasty światła. Zapanował mrok.

A potem cały zgiełk ustał i przez chwilę słyhać było tylko ciszę. Paniczną, dzwoniącą ciszę.

- Pali się!! - ryknął nagle jeden ze strażników i wskazał rewolwerem za okno.

Wszyscy poderwali się na nogi i ujrzeli kłęby ognia, tak olbrzymie, jakby paliła się gwiazda. Potężne słupy czarnego dymu zlewały się z ciemnym niebem.

- To generator! - krzyknął ktoś. - I kontenery z paliwem! Dziś była dostawa...

- Szybko! Gasić pożar!! - ryknął Bazin. - Ratować sprzęt z L-1!! Ewakuować zwierzęta!

Wybuchł popłoch. Z oddali dobiegały wrzaski i okrutne wycie zwierząt. Szef straży wykrzykiwał komendy do swoich chłopaków.

Bazin szarpnął Adlera za kołnierz futra i zbliżył rozwścieczoną twarz do jego twarzy.

- Jeśli masz z tym cokolwiek wspólnego, zaduszę gołymi rękami! - wycedził nienawistnie. - Nie takim sukinsynom łamałem już karki!...

Rosjanin miał łapy wielkie i ciężkie jak sztaba ołowiu. Oczywiście wyobraźni, Adler zobaczył, jak miażdżą jego szyję niczym szczęki potężnego imadła. Nie zdążył zaprotestować, bo naraz rozbrzmiał kolejny huk, tym razem całkiem blisko.

Ziemia zatrzęsała się, zadrżały ściany. Z sufitu runęła lawina kamieni. Grzmot wyrąbał wyrwę w ścianie. Do sali wdarła się fala gorącego powietrza, zmieszana z pyłem i odpryskami. Adler usłyszał krzyki i przekleństwa.

Wyszarpał się z uchwytu Bazina i co sił w nogach rzucił ku drzwiom, krztusząc się dławiącym powietrzem. Jakiś strażnik stanął mu na drodze i próbował pochwycić, lecz on odepchnął napastnika i wreszcie dopadł progu.

- *Ty kuda?!* - usłyszał za plecami rozjuszony ryk Jegora.

Nie odwrócił się. Popędził na oślep zadymionym korytarzem.

Wszystkie kąty wypełniał obłok parzącego dymu. Adler osłonił się futrem i zakrył twarz brudną dłonią. Pochylony, pobiegł ku wyjściu, potykając się o gruz. Za sobą słyszał szybkie kroki.

Ktoś pokrzykiwał, ktoś wył potwornie z bólu.

Na zewnątrz nie było lepiej niż w Zamku. Panował mrok i chaos.

Od gigantycznych kłębow ognia na tyłach Zamku buchał nieznośny żar. W gorącym powietrzu wirowały płonące odłamki. Słyszać było trzaski i tąpnięcia. Wokół biegali ludzie, warczały silniki odpalanych napędce samochodów. Przez to wszystko przebijało się żalosne i upiorne zarazem wycie pozamykanej w celach zwierzyny.

Jakiś ogromny, charczący zwierz przeciął drogę Adlera, lecz nawet nie zwrócił na niego uwagi. Tak jak Adler, zasuwał na oślep, byle jak najdalej od ognia i słupów dławiącego dymu.

Na oczach Adlera runęła okiennica. Przecięła powietrze jak płonący shuriken i wbiła się w plandekę jednego z uazów. Plandeka zajęła się ogniem i po chwili z ogłuszającym hukiem eksplodował cały załadunek. Pod nogi Adlera posypały się odłamki.

Chłopak zakrztusił się duszącym dymem, zatoczył i omal nie wpadł pod koła wojskowej ciężarówki. Ciężarówka minęła go z rykiem i zniknęła w rozrywanej wrzaskami i skowytem ciemności.

Adler powiódł za nią zażawionymi od dymu oczami.

„Tam jest droga do Plumpton!”, pomyślał.

Wiedział już, że musi biec w tamtym kierunku. Jak najdalej od Zamku i od pożaru, który rozlewał się po czarnych bagnach jak oślepiająca lawa.

Cisnął futro na ziemię i rzucił się naprzód zatopionym w czerni traktem. Nie miał latarki, nie widział nic prócz mrocznych zarysów, lecz nawet one rozmazywały się i wtapiały we wszechobecną czerń, gdy zbyt długo na nie spoglądał zalanymi łzami i krwią oczami.

Po drodze mijały go rozpędzone wozy, warkot potężnych motorów to rósł, to ucichał. Adler biegł szybko, uparcie i bez przestanku, bowiem od tego sprintu zależało jego życie. Z każdym krokiem upiorna kakofonia za jego plecami gasła i przycichała.

Oczom Adlera ukazały się teraz kontury znajomych budynków: zobaczył warsztaty i plac z flotą wojskowych pojazdów. Kompleks był pogrążony w ciemności, opustoszały. Adler ledwie rozróżniał zarysy budynków i wozów. Zdawało się, że jeszcze chwila, a wszystko to pochłonie noc. A jak nie noc, to ogień, którego jęzory sięgały coraz łapczywiej w głąb posiadłości Bazina.

Adler zatrzymał wzrok na najbliższym uazie i nagle naszła go pewna myśl. Szarpnął za drzwi uaza. Były otwarte. Otworzył schowek i namacał kluczyki. Jego serce, łomoczące po biegu, przyspieszyło jeszcze bardziej. Poczuł nieomal euforię.

Nie wiedział, czy uaz odpali, w końcu zaparkowano go pod warsztatem. Wiedział jednak, że jeśli samochód ruszy, umożliwi mu to nie tylko ucieczkę przed pożarem i pościgiem Bazina. Będzie mógł wyruszyć na północ, jeszcze tej nocy, już

teraz! Bo to tam właśnie, na północy, w odległym o setki mil Edynburgu, wybuchł dziś pożar, z którym musi sam się uporać, a każda minuta zwłoki zamienia w popiół jego marzenia.

Po raz ostatni odwrócił się i spojrzął w stronę Zamku.

Ujrzał krwawy kontur gorejących ruin. Bagna płonęły. Cały świat stanął w ogniu i duszącym dymie.

EPILOG

TORFOWISKA W PELHAM tliły się jeszcze przez wiele tygodni po ugaszeniu pożaru. Dławiący dym włączył się nisko nad polami i snuł po zakamarkach miasteczka. Pośrodku spalonych bagien straszyły czarne zgliszcza opuszczonego Zamku.

Mieszkańcy Pelham i sąsiedniego Plumpton jeszcze długo mieli wspominać tamtą feralną noc. Wybuch był tak silny, że słyszano go połowie hrabstwa. Echo eksplozji przetoczyło się po wzgórzach South Downs, docierając do odległych przysiółków i farm.

W gaszeniu wielkiego pożaru wzięły udział zastępy straży z Pelham, Chichester, Petersfield, a nawet Horsham. Na miejsce przybyła również policja i specjaliści z Environment Agency. Rannych w eksplozji przewieziono do szpitala świętego Ryszarda w Chichester. Mieszkańcom Pelham oraz Plumpton polecono pozamykać okna i nie wychodzić z domów. Przez noc strażakom udało się powstrzymać rozprzestrzenianie ognia, lecz dogaszanie pożaru trwało

jeszcze kilka kolejnych dni. Badaniem przyczyn wybuchu zajęła się policja.

W Pelham zapanowała żałoba. W noc pożaru zginęło siedmiu lokalnych myśliwych i farmerów. Tom Perry, Rob Beattie, John Buckland, Len Hobbs, Chris Hood, Tim Browne oraz Keith Wood zostali pochłonięci przez ogień i czarne bagna. Przewodniczący rady Pelham ogłosił oficjalną żałobę. Zmarłym wyprawiono uroczysty wspólny pochówek na cmentarzu przy kościele świętego Botolpha. Ceremonię odprawił wielebny Ellwood, zaś przewodniczący rady z ledwie skrywaną dumą odczytał list od samej Królowej, w którym to liście Jej Królewska Wysokość składała najszczerze kondolencje rodzinom zmarłych i mieszkańcom miasteczka. Pogrzeb zaszczycił swoją obecnością także pewien królewski pociotek, który akurat bawił w okolicy na polowaniu. Według relacji przewodniczącego rady, królewski gość zachwycił się miasteczkiem: jego urokliwą, prawdziwie angielską architekturą oraz życzliwością mieszkańców. Ponoć ubolewał, że dane mu było poznać Pelham w tak smutnych okolicznościach i zapowiedział kolejną wizytę w niesprecyzowanej przyszłości. Pastor Ellwood również miło wspominał królewskiego gościa. Otrzymał bowiem od niego wyjątkowo hojny datek na remont kościelnego dachu.

Joe Goodman, właściciel pubu King's Head, urządził w swym lokalu wielką stypę. Podczas stypy wspólnie zapijano smutki, wspomniano zmarłych kolegów i dywagowano na temat okoliczności ich śmierci. Padło wiele pytań, na które nikt nie potrafił dać dobrej odpowiedzi. Jakie były prawdziwe przyczyny wybuchu i serii eksplozji, która po nim nastąpiła? Czy faktycznie był to tylko nieszczęśliwy wypadek? A może za tym wszystkim stali terroryści?... Czy Zamek rzeczywiście był

siedliskiem zła? Co się stało z Bazinem? Czy zginął w płomieniach?

W międzyczasie ukazał się oficjalny komentarz policji w sprawie śmierci Ailith Love. Był jednak zbyt lakoniczny, by zaspokoić ciekawość mieszkańców. W komunikacie stwierdzono jedynie, iż dziewczyna zmarła na skutek wykrwawienia, spowodowanego rozerwaniem tętnicy szyjnej. Kto lub co rozerwało nieszczęsnej Ailith tętnicę, o tym już nie wspomniano ani słowem. Nie było też kogo się zapytać, bowiem Nick Love na dobre zniknął z Pelham, a Jean Chambers, pośredniczka nieruchomości luksusowych, wystawiła jego posiadłość na sprzedaż. Sugerowana cena Red Lions oscylowała wokół miliona i trzystu tysięcy.

Pomimo oficjalnego zakończenia śledztwa, Wzgórze świętej Anny jeszcze przez jakiś czas pozostawało zamknięte dla spacerowiczów. Gdy wreszcie zniesiono zakaz, tylko nieliczni miejscowi zdobyli się na odwagę, by na powrót wędrować leśnymi ścieżkami. Śmiałkowicie opowiadali potem w King's Head niestworzone historie. John Hymen twierdził na przykład, iż na szczycie Wzgórza ukazała się przed nim paskudna zjawa o obliczu do złudzenia przypominającym wykrzywioną gębę świętej pamięci Keitha Wooda. Zjawa wystraszyła psa Hymena i zapowiedziała kolejne, rychłe śmierci w miasteczku. Podała nawet konkretne nazwiska, lecz oszołomiony Hymen niestety ich nie spamiętał.

Dave Potts natomiast twierdził, że w ruinach na Wzgórzu widział gniazdo olbrzymiego, bodaj piętnastometrowego węża.

Nadinspektor Adrian Sparks z komendy w Chichester miał do końca życia przeklinać pożar w twierdzy Bazina. Góra stwierdziła pewne niewybaczone niedopatrzenia i zesłała

Sparksa na daleką Północ. Tam, w przygranicznym miasteczku Berwick-upon-Tweed, gdzie Anglicy od wieków użerali się ze Szkotami, umarł właśnie śmiercią naturalną, to jest ze starości, niejaki inspektor Douglas Rutherford. W chwili śmierci Rutherford miał siedemdziesiąt dziewięć lat. Sześćdziesiąt jeden przepracował w policji, z czego aż czterdzieści cztery na stanowisku inspektora. Sparksa namaszczono jako jego następcę. Otrzymał do pomocy jednego sierżanta oraz dziesięciu entuzjastycznych konstabli. Swoją degradację przypłacił alkoholizmem i rozwodem – żona nie miała zamiaru towarzyszyć mu w wygnaniu na Północ. Spakował więc manatki do swojego trójkołowca i pojechał sam.

Sir George Wilbert Wyatt również ciężko odchorował noc pożaru.

Niepokoił się o Adlera, odkąd zorientował się, że chłopak naprawdę wyruszył na Zamek. A kiedy na mokradłach nastąpił wybuch, sir George załamał się, bowiem zakładał najgorsze. Czy ktokolwiek mógł przeżyć taką eksplozję? Upiorne krzyki gorejących w płomieniach lub przysypanych gruzem ofiar niosły się po całym Pelham.

Sir George opadł na fotel i rozsypał się zupełnie. Takim też zastał go Adler, który pojawił się znienacka w progu gabinetu dżentelmena.

Jakimś cudem, chłopak przeżył, lecz nie zabawił długo w domu Wyatta. Jeszcze tej samej nocy, ba! – w tej samej godzinie, zniknął, zgarnawszy w pośpiechu swoje rzeczy i broń. Wyglądał koszmarnie, sir George mógł tylko zgadywać, co go spotkało na bagnach. Adler nie chciał jednak odpowiadać na żadne pytania. Był roztargniony

i zdenerwowany, śpieszył się. Na odchodnym poprosił tylko sir George'a, by zaopiekował się Majellą.

Po jego wyjściu Wyatt zaczął więc dla odmiany martwić się o swą wnuczkę. Lękał się także o los zabytkowych, krytych strzechą domków przy High Street, które straż pokryła przewencyjnie białą pianą. Oby to wystarczyło, oby nie zajęły się ogniem... Sir George, miłośnik tradycyjnej architektury West Sussex, nie przeboleałby takiej straty.

Domy przetrwały. Przeżyła również Majella. Była jednak w kiepskim stanie, podobnie jak jej dziadek. Na szczęście, rodzice wkrótce zabrali ją do Long Crendon, urokliwej wioski w Buckinghamshire. W tamtejszym dworze mieszkała ciotka Majelli od strony ojca. Rodzice uznali, iż będzie to odpowiednie miejsce na rekonwalescencję. Sir George był tego samego zdania. Ciotka hodowała kury oraz trzódkę różowych prosiaków. Na śniadanie we dworze podawano więc ekologiczne jaja i plastry świeżego bekonu. Posiadłość okalały sady, a zerwane jabłka służyły do produkcji wybornego cydru.

Sir George uważał, że Majelli nie stała się krzywda. Sam chętnie podreperowałby siły w podobnym przybytku.

Jeszcze tej samej nocy Adler przebył cały kraj kradzionym uazem.

Kiedy o świcie wjeżdżał do Edynburga, był kompletnie wyczerpany. Północne miasto powitało go gradem i mroźnym, bezlitosnym wichrem.

Zaparkował byle jak na krawędzi bezludnego placu Charlotte Square i pośpieszył do siedziby Klubu.

Otworzył drzwi, ze środka buchnęło dusznym powietrzem. Vincent nie wyłączył zatem grzania. Lecz teraz i tak nie miało to już żadnego znaczenia...

W hallu cuchnęło chemikaliami. Na marmurowej posadzce, wśród potłuczonego szkła gniły rozlane preparaty. Wszędzie wokół poniewierały się pożółkłe kości i pogruchotane szkielety.

Adler przystanął na skraju hallu niczym ranny żołnierz na poboju. Jego zmęczony wzrok padł na wyrwę w regale, nieopodal ciężkich ram dźwigających portret założyciela Klubu. Portret pozostał nietknięty, czego nie można było powiedzieć o otaczających go regałach z preparatami. Ktoś mógłby pomyśleć, że wyrwa jest pozostałością po olbrzymiej kuli, która wprawdzie przebiła ścianę, potem niczym piorun kulisty zakreśliła chaotyczną krzywą, demolując klubową kolekcję oraz wszystko inne, co napotkała na swej drodze.

Adler wiedział jednak, że to nie kula ani piorun odpowiadają za spustoszenia. Znał winowajcę. Osobiście go tu sprowadził. Nie spodziewał się jednak, że tak szybko opuści tymczasową kryjówkę.

„Obudził się”, pomyślał i rozejrzył się wokół.

Nie spodziewał się zastać go w hallu. Na pewno był głodny. Instynkt kazał mu szukać pożywienia.

Adler przypomniał sobie o Vincencie i drgnął. Teoretycznie, Vincent był zbyt duży jak na pierwszy posiłek, lecz nie można było mieć pewności, że wyszedłby cało z ewentualnego starcia.

Chłopak poderwał się i rzucił w kierunku schodów wiodących na piętro. Z sercem w gardle, przeskakiwał po kilka stopni, zostawiając brudne ślady na szafirowym dywanie.

Na pierwszym piętrze mieścił się pokój wspólny, w którym klubowicze zasiadali na wyściełanych szafirowym aksamitem sofach, pili whisky, palili cygara lub zakazane zioła i prowadzili

barwne dysputy na tematy związane mniej lub bardziej z zoologią. Do pokoju prowadziły dwie pary dwuskrzydłowych drzwi. Adler spostrzegł, iż obie były teraz otwarte na oścież.

Wszedł szybko do środka i stwierdził, że pokój jest pusty. Na miękkim dywanie spoczywał strącony abażur, lecz nigdzie nie było widać rozszarpanych zwłok Vincenta. Ani też nikogo innego.

„Żadnych trupów”, stwierdził z ulgą i podszedł do otwartego okna, by zaczerpnąć rzeńskiego powietrza.

Wtedy właśnie zdał sobie sprawę, że okno nie było otwarte, lecz rozbite w drobny mak. Wychylił się i zobaczył resztki szkła na wewnętrznym dziedzińcu.

Stał tak przez chwilę, drżąc w zimnym przeciągu i próbował zebrać myśli.

– Potrafi latać! – wyszeptał wreszcie z triumfem. A zaraz potem dodał: – Uciekł...

Uciekł, a to nie wróżyło niczego dobrego. Ani dla niego samego, ani dla Adlera, który był na tyle zuchwały, by go sprowadzić do Edynburga. Co gorsza, nie oznaczało to również nic dobrego dla mieszkańców miasta. Nie wszyscy ludzie lubią, gdy bajki mieszają się z rzeczywistością.

Zwłaszcza gdy te bajki – to krwawe fantazje.

[1] Do imion bohaterów w tym rozdziale nie należy się zbyt przyzwyczajać, gdyż je po prostu pozmyślali.

[2] Rzeka w angielskim hrabstwie West Sussex (przyp. autorki).

[3] Brytyjska organizacja zajmująca się ochroną zabytków

i przyrody. W skład majątku organizacji wchodzi również wybrane lasy (przyp. autorki).

[4] Hrabstwo na południowym wschodzie Anglii. To tutaj rozgrywa się większość wydarzeń opisanych w tej powieści (przyp. autorki).

[5] Łańcuch wzgórz na południowy wschód od Edynburga (przyp. autorki).

[6] Mowa o jaskini Lascaux w południowo-zachodniej Francji, gdzie w 1940 roku odkryto malowidła i rysunki pochodzące z paleolitu (przyp. autorki).

[7] Człowiekowate, hominidy (łac.)

[8] Założony w piętnastym wieku uniwersytet w St Andrews należy do najstarszych i najbardziej renomowanych wyższych uczelni na Wyspach. Położone na wschodnim wybrzeżu Szkocji, starożytne miasteczko St Andrews znane jest skądinąd jako ojczyzna golfa (przyp. autorki).

[9] Mowa tu o rokselanie czarnej (łac. *Rhinopithecus bieti*), zagrożonym, endemicznym gatunku małpy ogoniastej (przyp. autorki).

[10] *Nova Cidade de Kilamba* – nowe miasto na południe od Luandy, wybudowane z inicjatywy angolskiego rządu. Miasto miało zaspokoić potrzeby mieszkaniowe nowej grupy społecznej w Angoli – klasy średniej, lecz z uwagi na zaporowe ceny mieszkań oraz znikomą liczbę przedstawicieli tejże klasy, Kilamba stała się miastem-widmem (przyp. autorki).

[11] Występujący głównie w Afryce południowo-wschodniej przedstawiciel rodziny psowatych.

[12] Park narodowy w północno-zachodniej Angoli,

kilkadziesiąt kilometrów na południe od Luandy (przyp. autorki).

[13] Potwór (portug.)

[14] Nawiązanie do masakry, która miała miejsce w Glen Coe w 1692 r. Kilkudziesięciu członków klanu MacDonald z Glencoe zostało wymordowanych za niewierność względem króla Williama III przez żołnierzy z klanów popierających monarchę (przyp. autorki).

[15] Joseph Francis Charles Rock (1884–1962) – urodzony w Austrii podróżnik i botanik, który w latach 20. i 30. XX wieku eksplorował chińskie prowincje Yunnan, Syczuan, Gansu, Qinghai oraz Tybet (przyp. autorki).

[16] 他妈的 [tā mā de] – popularne chińskie przekleństwo, taka polska „cholera” lub „niech to diabli” (przyp. autorki).

[17] Hipotetyczne gatunki zwierząt, których istnienie bada i próbuje dowodzić paranauka zwana kryptozoologią (przyp. autorki).

[18] Lamasztu – bliskowschodni demon odpowiedzialny za śmierć i choroby niemowląt oraz ich matek. Kult Lamasztu wywodzi się z Mezopotamii. Jedno z najbardziej znanych wyobrażeń demona przedstawia kobietę z głową lwicy i ptasimi szponami zamiast stóp. Jej piersi z jednej strony ssie prosię, z drugiej pies. W obu rękach Lamasztu trzyma węże. Portret w pokoju bilardowym Forbesa jest luźną interpretacją domniemanego wyglądu demona.

[19] Gaelicka nazwa doliny (przyp. autorki).

[20] Trzy północne wierzchołki masywu Bidean nam Bian w okolicach Glen Coe (przyp. autorki).

[21] Jedna z prac Charlesa R. Darwina, opublikowana drukiem w Londynie w 1839 r. (przyp. autorki).

[22] Przerost tkanki mięśniowej (przyp. autorki).

[23] Zaginione miasto Z – takie miano pułkownik P.H. Fawcett nadał mitycznemu miastu, które w jego przekonaniu zlokalizowane było na terytorium niezbadanej jeszcze wówczas brazylijskiej prowincji. Fawcett zaginął w trakcie ekspedycji do brazylijskiej dżungli w 1925 r. Wraz z nim zniknęli także jego syn i drugi towarzysz. Ich ciał nigdy nie odnaleziono. Istnieje wiele hipotez odnośnie dalszych losów Fawcetta, w późniejszych latach w jego ślady ruszyły setki łowców przygód. Wielu z nich przyplącało tę przygodę śmiercią (przyp. autorki).

[24] Poszukiwać prawdy (łac.)

[25] Rzymska fortyfikacja w północnej Anglii, w pobliżu granicy ze Szkocją. Był to długi na 70–80 mil wał obronny, ciągnący się wzdłuż północnych granic rzymskiej prowincji, Brytanii. Budowę fortyfikacji podjęto za panowania cesarza Hadriana w II wieku n. e. (przyp. autorki).

[26] Sir George nigdy nie był w Mongolii. Obszary na wschód od Berlina utożsamiał z baśniowymi krainami rodem z Tolkiena. Trzymając się tej analogii, można powiedzieć, że sir George zdecydowanie wolał bytować w swoim przyjaznym i komfortowym Shire – południowej Anglii.

[27] Świnia brodata (łac.)

[28] Ważka (niem.)

[29] Nietoperz (niem.)

[30] Sir George od dziecka przepadał za pociągami. Była to fascynacja raczej abstrakcyjna, gdyż osobiście nader rzadko korzystał z usług przewoźników kolejowych – na dworcach kręciło się za dużo plebsu. Jeśli więc zdarzało mu się jechać pociągiem, podróżował tylko pierwszą klasą i najchętniej

w gronie równie dystyngowanych przyjaciół.

[31] Sowa (niem.)

[32] Sowa płomykówka (łac.)

[33] Obszar administracyjny w południowo-wschodniej Szkocji; graniczy z Anglią (przyp. autorki)

[34] Puszczykowate (łac.)

[35] Puchacz wirginijski (łac.)

[36] Człowiek-sowa – rzekomo pierwszy raz zaobserwowany w latach 70. XX wieku w kornwalijskiej wiosce Mawnan na południowym zachodzie Anglii (przyp. autorki).

[37] Sowa śnieżna (łac.)

[38] Dissolution of Lesser Monasteries Act – zatwierdzony przez angielski Parlament w 1536 r., akt dawał królowi prawo wywłaszczania małych majątków klasztornych (przyp. autorki).

[39] General practitioner – lekarz pierwszego kontaktu w Wielkiej Brytanii (przyp. autorki)

[40] Taksonomia to nauka zajmująca się systematyką i klasyfikacją organizmów, natomiast filogeneza dotyczy rozwoju gatunków (przyp. autorki).

[41] Nietoperze (łac).

[42] Angielskie hrabstwo, od północy graniczące ze Szkocją (przyp. autorki).

[43] Główna rzeka przepływająca przez Edynburg (przyp. autorki).

[44] Prefektura autonomiczna mniejszości etnicznej Dai na południu chińskiej prowincji Yunnan. Graniczy z Laosem (przyp. autorki).

[45] Na podst. Darwin, C.R. 1872. *The expression of the*

emotions in man and animals. London: John Murray. 1st edition. (tłum. autorki).

[46] Szkocki poeta tworzący w XVIII w. Uważany za pioniera romantyzmu w Szkocji. Wiele dzieł tworzył w lokalnym dialekcie. Był znany z licznych przygód miłosnych (przyp. autorki).

[47] Park przylegający do Królewskiego Ogrodu Botanicznego w Edynburgu (przyp. autorki).

[48] Miasto w północno-zachodniej Anglii, 10 mil od granicy ze Szkocją (przyp. autorki).

[49] Z paliczków (łac. *phalanges*) zbudowane są kości palców (przyp. autorki).

[50] Na podst. Darwin, Francis ed. 1887. *The life and letters of Charles Darwin, including an autobiographical chapter*. London: John Murray. Volume 2. (tłum. autorki).

[51] Brytyjski traktor, produkowany głównie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX w. (przyp. autorki).

[52] W Wielkiej Brytanii nie poluje się w niedziele oraz w święto Bożego Narodzenia (przyp. autorki).

[53] Uniwersalna, trójlufowa, kombinowana broń myśliwska. Drylingi od austriackich rusznikarzy z Ferlach to broń elitarna, ciesząca się znakomitą opinią wśród myśliwych (przyp. autorki).

[54] Kenneth Grahame „O czym szumią wierzby” (tłumacz. Marii Godlewskiej).

[55] Plum (ang.) – śliwka (przyp. autorki).

[56] Świniowate (łac.)

[57] Odbieranie tytułu szlacheckiego jest w Wielkiej Brytanii praktyką rzadką, stosowaną wobec wyróżnionych osób, które

nie są już godne piastowania tytułu. Tytuły honorowe przyznawano w szczególnych przypadkach także osobom niebędącym obywatelami Wielkiej Brytanii. Do takich osób należał m.in. Benito Mussolini, który został pozbawiony tytułu w 1940 r. po tym, jak wypowiedział wojnę Wielkiej Brytanii (przyp. autorki).

[58] Sir George nie był pewien, czy wierzy w Boga. Na kryzys wiary Wyatta największy wpływ miała jego przynależność do instytucji znanej jako Church of England. Z wiekiem sir George odzyskiwał jednak postradaną jeszcze w dzieciństwie wiarę. Pomagali mu w tym wielebny Ellwood oraz niewesołe wydarzenia, w obliczu których niejedni dżentelmen szukał pocieszenia i ratunku u wyższej instancji.

[59] Rzeczy przyrodzone nie są brzydkie (łac.)

[60] Na podst. „Shooting High Pheasants in Theory and Practice” autorstwa sir Ralpa Payne-Gallwey’a, opublikowanego w 1913 r. w Londynie (tłum. autorki).

[61] Nad ogromnymi i słabo zaludnionymi obszarami północnej Wielkiej Brytanii często widuje się wojskowe samoloty, przelatujące w ramach treningów militarnych nad wrzosowiskami Yorkshire i górami Szkocji (przyp. autorki).

[62] C.R. Darwin: O Pochodzeniu człowieka (tłum. M. Ilecki)

[63] Każdej jesieni tysiące ton liści opadają na trakcje kolejowe w Wielkiej Brytanii. Mokre liście zbijają się w gładką, śliską masę, która przykleja się do torów i zmniejsza przyczepność kół. Masy śliskich liści zalegających na torach mają poważny wpływ na ruch kolejowy. Najczęstszym skutkiem są duże opóźnienia pociągów. Każdej jesieni brytyjscy przewoźnicy publikują zmienione rozkłady jazdy tzw. *leaf fall timetables* (przyp. autorki).

- [64] Numer telefonu brytyjskich służb ratunkowych (przyp. autorki).
- [65] Ciężki pocisk o dużej sile rażenia; przystosowany do broni śrutowej (przyp. autorki).
- [66] Popularna ulica handlowa w Londynie (przyp. autorki).
- [67] W Zjednoczonym Królestwie, 101 to numer policyjny, pod który dzwoni się w mniej pilnych przypadkach, np. zniszczenie mienia, kradzież samochodu (przyp. autorki).
- [68] Dosł. stary topór (przyp. autorki).
- [69] Anglia została podbita przez Normanów w 1066 r. (przyp. autorki).
- [70] Brytyjczycy uwielbiają rondo. Wstawiają je, gdzie tylko się da: od wiejskich i osiedlowych uliczek po drogi ekspresowe. Najbardziej ekstremalnym przykładem są tak zwane magiczne rondo, czyli systemy kilku powiązanych ze sobą mini-rond, które razem tworzą jedno, gigantyczne skrzyżowanie (przyp. autorki).
- [71] Przydomek nadany sir Williamowi Wallerowi, generałowi walczącemu po stronie parlamentarzystów w angielskiej wojnie domowej w XVII w. (przyp. autorki).
- [72] Broń miotana o wielu ostrzach. Używana niegdyś przez japońskich wojowników. Ośmioramienny shuriken kształtem przypomina gwiazdę (przyp. autorki).
- [73] W języku myśliwych mianem byka określa się samca jelenia lub daniela (przyp. autorki).
- [74] Zasiadka to miejsce, w którym myśliwy zaczyna się na zwierzynę, np. ambona (przyp. autorki).
- [75] Szpicruta, kij do popędzania konia (przyp. autorki).
- [76] Popularny, szkocki napój gazowany o słodkim,

cytrusowym smaku i jaskrawo pomarańczowej barwie (przyp. autorki).

[77] Allel to jedna z wersji danego genu, odpowiedzialna za powstawanie alternatywnych wartości cechy, np. ciemny kolor włosów lub jasny kolor włosów (przyp. autorki).

[78] Dosł. Duch nocy. Obraz Johna Atkinsona Grimshawa, artysty z epoki wiktoriańskiej (przyp. autorki).

[79] Obraz nawiązuje do ballady Alfreda Tennysona pod tym samym tytułem. Losy Lady of Shalott luźno bazują na historii Elaine of Astolat, bohaterki legend arturiańskich (przyp. autorki).

[80] Obraz szwedzkiego artysty Nilsa Blomméra, w Polsce znany pod tytułem „Wróżki na łące” (przyp. autorki).

[81] Psychodeliczny wywar rodem z Amazonii (przyp. autorki).

[82] Dryling, myśliwska broń o trzech lufach. Jak mówi myśliwy Krzysztof Celuch, „rodzaj kombajnu na każdego zwierza” (przyp. autorki).

[83] W polskim nazewnictwie geograficznym przyjęła się francuska nazwa Kanału – La Manche. Brytyjczycy jednak określają go mianem Kanału Angielskiego, The English Channel, i ja także trzymam się tej perspektywy (przyp. autorki).

[84] Jelenie (łac.)

[85] Jelenie wydzielają charakterystyczny zapach, który służy im do komunikacji. W czasie rykowiska, za pomocą zapachu jelenie sygnalizują swoją obecność, a byki oznaczają granice swoich ostoi (przyp. autorki).

[86] Daniele (łac. *Dama dama*) na pierwszy rzut oka

podobne są do jeleni, lecz tak naprawdę różnią się od nich wieloma istotnymi cechami. Jedną z takich cech jest poroże, które u daniela bardziej przypomina szerokie łopaty łosia niż cienkie tyki jelenia. Inną różnicą są charakterystyczne blade cętki, jakie zdobią boki tułowia daniela (przyp. autorki).

[87] Ciosy, zwane popularnie „kłami”, to charakterystyczne, mocno rozwinięte siekacze słoni (przyp. autorki).

[88] Jeleń szlachetny (łac.)

[89] César Ritz – zwany „królem hotelarzy i hotelarzem królów”. Mimo iż skromnego pochodzenia (był synem szwajcarskiego chłopca), Ritz zrobił niezwykłą karierę w hotelarstwie i zapisał się w historii jako założyciel sieci luksusowych hoteli w atrakcyjnych miastach Europy i Afryki (przyp. autorki).

[90] W roku 1953 odbyła się koronacja Elżbiety II (przyp. autorki).

[91] Rok śmierci Winstona Churchilla (przyp. autorki).

[92] W czasie drugiej wojny światowej, w 1940 roku, brytyjskie siły powietrzne Royal Air Force odpierały atak niemieckiej Luftwaffe na Wielką Brytanię (przyp. autorki).

[93] Police Constable – najniższa ranga w policji brytyjskiej (przyp. autorki).

[94] National Health Service – brytyjska publiczna służba zdrowia (przyp. autorki).

[95] W historii brytyjskiej, lata panowania Edwarda VII (1901–1910), najstarszego syna królowej Wiktorii i księcia Alberta, zwane są epoką edwardiańską (przyp. autorki).

[96] Ziemia nieznaną, niezbadany ląd (łac.)

[97] Amunicja myśliwska (niem.)

[98] Przedmiot na studiach zoologicznych, zajmujący się wykorzystaniem systemów informacji geograficznych (ang. Geographic Information System) w badaniach bioróżnorodności (przyp. autorki).

[99] Słowa te przypisuje się rzymskiemu historykowi, Kasjuszowi Dionowi, który w III wieku n.e. opracował „Historię rzymską” (przyp. autorki).

[100] Zielony, biały, czerwony i czarny to tak zwane barwy panarabskie. Ich znaczenie wyjaśniają wersy irackiego poematu z XIV wieku: „Białe są nasze czyny, czarne są nasze bitwy, zielone są nasze pola, czerwone są nasze miecze” (przyp. autorki).

[101] Muchówki, dwuskrzydłe (łac.)

[102] Strzelba lub karabin ze skróconą lufą lub kolbą (przyp. autorki).

[103] Ciemne (czarne lub brunatne) zabarwienie skóry i jej wytworów wskutek zwiększonej zawartości melatoniny w komórkach barwnikowych (przyp. autorki).

[104] Z ang. genetically modified organisms – organizmy modyfikowane genetycznie, czyli takie, których genom został zmieniony metodami inżynierii genetycznej w celu uzyskania pożądanych cech (przyp. autorki).

[105] Podrząd płazów ogoniastych, obejmujący m.in. salamandrowate i amfiumy.

[106] Zwany także drutem żyłkowym; forma drutu kolczastego: stalowy drut, uzbrojony w gęsto rozstawione ostrza (przyp. autorki).

[107] Samiec bydła domowego, przeznaczony do rozplodu.

[108] Zabieg operacyjny dokonywany na żywym zwierzęciu w celach naukowych lub doświadczalnych (przyp. autorki).

[109] Rodzaj niewielkiego naleśnika, tradycyjna potrawa kuchni rosyjskiej. Gotowe bliny układa się jeden na drugim i serwuje na gorąco. Można je także podawać lub zasmażać z różnymi dodatkami. Dawniej, na Rusi, bliny wypiekano z mąki gryczanej, obecnie do wypieków stosuje się także inne rodzaje mąki. (przyp. autorki).

[110] Nieprzemakalne buty połączone z nogawkami spodni lub pełnymi spodniami; używane przez rybaków i myśliwych (przyp. autorki).

[111] Miecz japoński o lekko zakrzywionej głowni (przyp. autorki).

[112] Potoczna nazwa legendarnego stwora z Czukotki może mieć coś wspólnego z faktem, iż przez kilka lat z tym właśnie regionem związany był politycznie znany rosyjski oligarcha Roman Abramowicz. Piastował on m. in. funkcję gubernatora Czukockiego Okręgu Autonomicznego i odniósł skromne sukcesy w swych próbach wyrwania Czukotki z ekonomicznej zapaści i wszechobecnego pijaństwa. Najwyraźniej, przypisywano mu również pewne sukcesy łowieckie (przyp. autorki).

[113] Wielka Brytania wspierała militarnie rząd Omanu podczas rebelii w Zufarze – wojny domowej, która toczyła się w Omanie w latach 1962–1976 (przyp. autorki).

[114] Chromosom determinujący płeć, przekazywany z ojca na syna. Chromosomy są formą organizacji materiału genetycznego w komórce (przyp. autorki).

[115] Według najnowszych rankingów, rzeczony uniwersytet, niestety, plasuje się w czołówce najgorszych szkół wyższych w Rosji (przyp. autorki).

[116] Z ang. *poacher* – kłusownik

[\[117\]](#) Jedna z największych rzek Syberii, przepływa przez Krasnojarsk (przyp.autorki).

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

